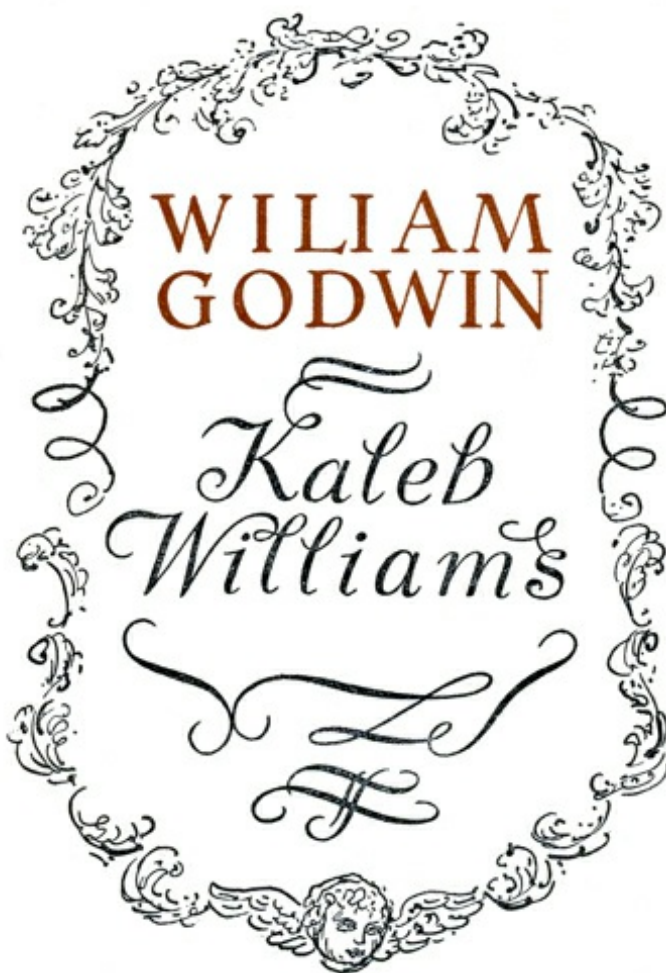


WILIAM  
GODWIN

*Kaleb  
Williams*

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY



PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

## Spis treści

### *Strona tytułowa*

ROZDZIAŁ I

ROZDZIAŁ II

ROZDZIAŁ III

ROZDZIAŁ IV

ROZDZIAŁ V

ROZDZIAŁ VI

ROZDZIAŁ VII

ROZDZIAŁ VIII

ROZDZIAŁ IX

ROZDZIAŁ X

ROZDZIAŁ XI

ROZDZIAŁ XII

ROZDZIAŁ XIII

ROZDZIAŁ XIV

ROZDZIAŁ XV

ROZDZIAŁ XVI

ROZDZIAŁ XVII

ROZDZIAŁ XVIII

ROZDZIAŁ XIX

ROZDZIAŁ XX

ROZDZIAŁ XXI

ROZDZIAŁ XXII

ROZDZIAŁ XXIII

ROZDZIAŁ XXIV

ROZDZIAŁ XXV

ROZDZIAŁ XXVI

ROZDZIAŁ XXVII

ROZDZIAŁ XXVIII

ROZDZIAŁ XXIX

ROZDZIAŁ XXX

ROZDZIAŁ XXXI

ROZDZIAŁ XXXII

ROZDZIAŁ XXXIII

ROZDZIAŁ XXXIV

ROZDZIAŁ XXXV

ROZDZIAŁ XXXVI

ROZDZIAŁ XXXVII

ROZDZIAŁ XXXVIII

ROZDZIAŁ XXXIX

ROZDZIAŁ XL

ROZDZIAŁ XLI

POSTSCRIPTUM

POSŁOWIE

*Strona redakcyjna*

# ROZDZIAŁ I

Życie moje od wielu lat było widownią klęsk. Stałem się ofiarą zawziętego okrucieństwa i nie mogłem znaleźć przed nim schronienia. Najpiękniejsze moje nadzieje wniwecz się obróciły. Nieprzyjaciel mój okazał się nieczułym na błagania i nieznużonym w prześladowaniach. Zniesławił moje dobre imię i zniweczył moje szczęście. Nie było człowieka, który by usłyszawszy moją historię przyszedł z pomocą pogrążonemu w rozpacz i który by nie przeklinał mojego imienia.

Nie zasłużyłem na takie traktowanie. Własne moje sumienie daje świadectwo niewinności, choć świat za niewiarygodne uznaje, bym przy niej mógł obstawać. Słabą mam nadzieję, abym zdołał się wyrwać z oplatających mnie zewsząd sieci. Do zapisywania tych wspomnień jedno mnie pobudza pragnienie: by w obecnym moim godnym pożałowania stanie umysł rozerwać, i niepewna nadzieja, że potomność czytając je skłonniejsza będzie oddać mi sprawiedliwość, której współcześni odmawiają.

Opowieść moja odznaczać się będzie przynajmniej ową logiką wydarzeń, która nieczęsto się trafia tam, gdzie prawdy nie ma.

Syn skromnej kondycji rodziców, urodziłem się w zapadłym hrabstwie Anglii. Życie ich było takie, jakie zazwyczaj jest losem wieśniaków, i nie mogli dać mi nic innego poza skromnym wychowaniem, wolnym od tego, co zazwyczaj staje się źródłem zepsucia, i dobrym imieniem, jakże dawno utraconym przez ich nieszczęsnego potomka. Nie pobierałem innych nauk prócz początków czytania, pisania i arytmetyki. Umysł jednak miałem dociekliwy i nie zaniedbywałem żadnych środków, by wiadomości swoje wzbogacać przez lekturę i rozmowy. Postępy, jakie zrobiłem, były większe, niżby warunki mego życia pozwalały oczekiwać.

Inne jeszcze okoliczności miały wpływ na historię mego późniejszego życia i zasługują na to, by o nich wspomnieć. Wzrostu byłem nieco więcej

niż średniego. Nie mając postaci szczególnie atletycznej i nie będąc wysoki, byłem niezwykle silny i zręczny. Członki miałem zwinne, a ciało jakby stworzone do tego, by przodować w młodzieńczych grach. Atoli skłonności mego umysłu były jak gdyby w walce z porywami chłopięcej próżności. Odczuwałem silną niechęć do krzykliwej wesołości wiejskich chwatów i potrafiłem zaspokajać swój głód pochwał rzadkim jeno udziałem w ich zabawach. To, że celowałem w nich, wpływało jednak na tok moich myśli. Z rozkoszą czytałem o dzielnych czynach, a szczególnie pociągały mnie opowieści, w których zręczność ciała lub siła wiodły do zdobycia bogactwa i przewyciężenia wszelkich przeszkód. Przykładałem się do mechaniki i poświęcałem wiele czasu próbom dokonania jakiegoś wynalazku z tej dziedziny.

Bodźcem mego działania, bardziej może od wszystkich innych znamienym dla kolei mego życia — była ciekawość. Ona to zapewne pchnęła mnie ku mechanice. Pragnąłem zbadać rozmaitość skutków, które mogły być następstwem pewnych przyczyn. I to właśnie uczyniło ze mnie jak gdyby filozofa natury. Nie zaznałem spoczynku, póki nie nabyłem znajomości teorii, jakimi wyjaśniano zjawiska świata. Spowodowało to we mnie nieprzeparty pociąg do niezwykłych opowieści. Oczekiwałem rozwikłania intrygi i zakończenia przygód z nie mniejszym bodaj niepokojem niż człowiek, którego przyszła szczęśliwość lub nędza od nich zawisły. Nie czytałem, lecz pochłaniałem wprost takie utwory. Zawładnęły one moją duszą, a skutki, jakie stąd płynęły, nierzadko dawały się rozpoznać w moim zewnętrznym wyglądzie i stanie zdrowia. Ciekawość moja nie była całkowicie nieszlachetna: wioskowe plotki i skandale nie miały dla mnie uroku. Coś musiało poruszyć moją imaginację, w przeciwnym razie ciekawość moja pozostawała w stanie uspienia.

Siedziba moich rodziców leżała w obrębie posiadłości Ferdynanda Falklanda, majątnego właściciela ziemskiego. We wczesnych latach dzieciństwa zwróciłem na siebie uwagę Mr Collinsa, zarządzającego dóbr tego pana, który zwykł był odwiedzać czasem mego ojca. Ten z aprobatą obserwował moje postępy i swemu panu pochlebne składał relacje o mojej pracowitości i talentach.

Latem roku... Mr Falkland po paromiesięcznej nieobecności odwiedził swoją majątność w naszym hrabstwie. Byłem w tym czasie bardzo nieszczęśliwy. Miałem osiemnaście lat. Ojciec mój leżał zmarły w naszej chacie. Matkę utraciłem parę lat wcześniej. W tym opuszczeniu i niedoli zaskoczony zostałem poleceniem dziedzica, bym przybył do dworu nazajutrz po pogrzebie ojca. Choć nie brak mi było orientacji w książkach, zbywało mi na praktycznej znajomości ludzi. Nie miałem nigdy okazji zwracać się do osoby tak wysoko postawionej i w obecnej sytuacji nie miałem odczuwać niepokój i lęk. Mr Falkland okazał się mężczyzną niskiego wzrostu, o niezmiernej delikatności postaci i manier. W przeciwieństwie do owych szorstkich i nieruchomych twarzy, do których przywykłem, każdy rys i najdrobniejszy nawet szczegół jego fizjonomii zdawał się pełen niewysłowionego wyrazu. W zachowaniu był uprzejmy, dobry i ludzki. Oko miał żywe, ale oblicze jego wyrażało dostojną i smutną powagę, którą w niedoświadczeniu moim wziąłem za cechę wrodzoną moim, a służącą do zachowania dystansu między nimi a niżej od nich postawionymi. Spojrzenie jego zdradzało utrapienie umysłu i często błędziło dokoła z wyrazem niepokoju i nieukozonej żałości.

Przyjęcie, jakiego doznałem, było tak łaskawe i zachęcające, jak tylko tego pragnąć mogłem. Mr Falkland wypytywał mnie o nauki, jakie pobierałem, oraz o moje pojęcia o ludziach i rzeczach, a odpowiedzi moich słuchał z łaskawością i aprobatą. Ta grzeczność przywróciła mi wkrótce w znacznej mierze panowanie nad sobą, aczkolwiek i dalej czułem się onieśmielony miłą, lecz niewzruszoną godnością jego zachowania.

Kiedy Mr Falkland zaspokoił swoją ciekawość, poinformował mnie z kolei, że potrzebuje sekretarza i że kwalifikacje moje zdają mu się wystarczające dla objęcia tego stanowiska. Dodał, że gdybym w obecnej mej, śmiercią ojca zmienionej sytuacji miejsce to objął, pragnąłby mnie przyjąć w poczet swych domowników.

Propozycja ta pochlebiła mi wielce, gorąco też za nią podziękowałem. Pośpiesznie jąłem się pracy, by rozporządzić pozostawioną przez ojca niewielką spuścizną, w czym pomocny mi był Mr Collins. Nie miałem już teraz na całym świecie ani jednego krewniaka, do którego życzliwości lub

wstawiennictwa miałbym prawo. Lecz daleki od lęku przed tym opuszczeniem, tworzyłem sobie złociste wizje dotyczące pozycji, którą miałem objąć. Nie podejrzewałem zgoła, że wesołość i lekkość serca, którymi cieszyłem się do tej chwili, miały odtąd opuścić mnie na zawsze, a reszta moich dni upłynąć miała w nieszczęściu i trwodze.

Obowiązki moje były łatwe i przyjemne. Polegały one częściowo na przepisywaniu i porządkowaniu pewnych papierów, częściowo zaś na pisaniu pod dyktando mego pana listów dotyczących interesów, jak również szkiców o charakterze literackim. Liczne z tych szkiców zawierały analizę dzieł rozmaitych autorów oraz rozważania na temat pewnych ich powiedzeń, zmierzające albo do wykazania błędów tych autorów, albo też do szerszego rozwinięcia ich odkryć. Wszystko to nosiło na sobie znamię głębokiego i wytwornego umysłu o szerokiej znajomości literatury, obdarzonego niezwykłą żywością oraz zdolnością rozeznania.

Stancja moja znajdowała się w tej części domu, która była przeznaczona na pomieszczenie książek, jako że do obowiązków moich należały funkcje zarówno bibliotekarza, jak sekretarza. Tutaj dni moje płynęłyby w spokoju i ciszy, gdyby położenie obecne nie przyniosło ze sobą warunków całkowicie odmiennych od tych, jakie miałem w chacie ojcowskiej. We wczesnych latach umysł mój pochłonięty był lekturą i rozmyślaniami; obcowanie z bliźnimi było przypadkowe i krótkie. W nowej jednak mojej siedzibie ciekawość i żądza nowości nieustannie podniecały mnie do studiowania charakteru mego pana; tu znalazłem szerokie pole do rozważań i domysłów.

Życie jego było w najwyższym stopniu zamknięte i samotnicze. Żadnej nie okazywał skłonności do zabaw i wesela. Unikał miejsc pełnych ruchu; nie zdawał się też szukać pociechy za owe prywacje w urokach przyjaźni. Wydawał się zupełnie obcy wszystkiemu, co zazwyczaj nosi miano rozkoszy. Rysy jego z rzadka tylko łagodził uśmiech, nigdy jednak nie opuszczał ich ów wyraz, który mówił o niedoli ducha; obyczaje jego nie były jednak takie, aby go można było nazwać posępnym lub mizantropem. Pełen współczucia wobec drugich, okazywał wiele uczynności, choć wyniosłe manieri i nacechowane rezerwą usposobienie nie ulegały nigdy zmianie.



Jego powierzchowność i ogólne zachowanie zdobyłyby mu powszechną przychylność, lecz chłodne obejście i skrytość uczuć zdawały się hamować przejawy życzliwości, do jakich skądinąd człowiek miałby skłonność.

Taka była w ogólności postać Mr Falklanda; lecz usposobienie jego było w najwyższym stopniu nierówne. Strapienie, czyniąc go nieustannie chmurnym, miewało, jak choroba, swe paroksyzmy. Bywał popędliwy, gniewny i okrutny; lecz pochodziło to raczej z udręczenia jego duszy niżeli z wrodzonej nieczułości charakteru; a gdy zastanowienie powracało, zdawał się pragnąć, by cały ciężar nieszczęścia przypadł jemu samemu. Czasami w zupełności tracił panowanie nad sobą, a zachowanie jego nabierało cech szaleństwa: uderzał się wówczas w czoło, marszczył brwi, zaciskał zęby, a twarz wykrzywiała się straszliwie. Czując zbliżanie się tych symptomów zwykł był powstawać gwałtownie i przerywając zajęcie, któremu się oddawał, jakimkolwiek by ono było, śpieszył ukryć się w samotności, gdzie nikt nie śmiał go niepokoić.

Nie należy przypuszczać, że wszystko to, co opisuję, widoczne było dla ludzi z jego otoczenia. Ja też po prawdzie nie byłem wówczas tego świadom w tej mierze, jak dziś rzecz ową tu przedstawiam, lecz dopiero po dłuższym czasie stopniowo świadomości tej nabierałem. Domownicy jego — nie odejmując nic z należnego im szacunku — niewiele wiedzieli o swym panu. Żaden z nich z wyjątkiem mnie samego — a to z natury moich obowiązków — i Mr Collinsa — z racji dawności jego służby i czcigodności jego osoby — nie zbliżał się do Mr Falklanda inaczej jak tylko w określonych porach, i to na bardzo krótko. Znali go tylko z łagodnego postępowania i zasad niewzruszonej prawości, którymi zwykł był się kierować; a choć pozwalali sobie czasem na domysły co do jego dziwactw, na ogół biorąc spoglądali na niego ze czcią jako na istotę wyższego gatunku.

Pewnego dnia — coś ze trzy miesiące byłem już na służbie u mego pana — poszedłem do alkierza czy też niewielkiej komnaty, którą od biblioteki dzielił wąski korytarz oświetlony małym, wysoko pod dachem umieszczonym okienkiem. Przypuszczałem, że w pokoju tym nie ma nikogo, i zamierzałem jedynie uporządkować wszystko, co znajdę nie na właściwym miejscu. W momencie, kiedy otwierałem drzwi, usłyszałem

głuchy jęk wyrażający nieznośną udrękę. Skrzyp otwieranych drzwi zdawał się zatrwożyć znajdującą się wewnątrz osobę; usłyszałem, jak pośpiesznie spuszczano wieko skrzyni, a potem odgłos jak gdyby przytwierdzania kłódki. Pomyślałem, że to Mr Falkland, i natychmiast miałem wyjść, w tej samej jednak chwili jakiś głos, tak straszliwy, że zdawał się nadprzyrodzonym, wykrzyknął: „Kto tu?” Był to głos Mr Falklanda. Dźwięk jego zmroził mnie do szpiku kości. Próbowałem przemówić, ale słowa uwięzły mi w gardle i niezdolny do odpowiedzi, odruchowo popchnąłem drzwi, które ustąpiły. Mr Falkland wstawał właśnie z podłogi, na której siedział czy też klęczał. Oblicze jego zdradzało silne oznaki zmieszania. Opanowane wielkim wysiłkiem, zmieszanie to ustąpiło natychmiast miejsca gwałtownej wściekłości.

— Nędzniku! — krzyknął — co cię tu sprowadziło?

Wahałem się, odpowiadając coś niepewnie i z pomieszaniem.

— Nieszczęsny! — przerwał mi Mr Falkland z niepohamowanym zniecierpliwieniem — chcesz mnie zniszczyć. Jak szpieg śledzisz moje czyny; ale gorzko odpokutujesz za swą bezczelność. Czy myślisz, że bezkarnie przyglądać się będziesz temu, co jest wyłącznie moją tajemnicą?

Próbowałem bronić się.

— Precz, diable! — krzyknął w odpowiedzi. — Wyjdź stąd albo cię zetrę na miazgę! — Mówiąc to zbliżał się do mnie. Ale ja dostatecznie byłem już przerażony i zniknąłem w jednej chwili. Usłyszałem, jak drzwi za mną zatrzasnęły się gwałtownie, i w ten sposób zakończyła się owa niezwykła scena.

Ujrzałem go ponownie wieczorem, a tym razem był już dość spokojny. Zachowanie jego, zawsze miłe, było dziś w dwójnasób uważne i łagodne. Zdawało się, że pragnie wyzwolić swój umysł z czegoś, co mu ciążyło, ale że brak mu słów, które by to mogły wyrazić. Spoglądałem na niego z niepokojem i oddaniem. Dwakroć próbował zacząć, lecz bez powodzenia, za czym potrząsnął głową i wkładając mi w dłoń pięć gwinei, uścisnął ją w sposób, który — mogłem to odczuć, choć nie potrafiłem wytłumaczyć — mówił o wielkim wzruszeniu jego umysłu. Uczyniwszy to, natychmiast jakby się uspokoił i znowu okrył się zwykłą sobie powagą i chłodem.

Zrozumiałem bez trudu, że jedną z rzeczy, jakich oczekiwano ode mnie, była dyskrecja; rzeczywiście, umysł mój zbyt był zajęty tym, co ujrzałem i usłyszałem, bym chciał czynić z tego przedmiot rozmowy z każdym, kto się nadarzy. Zdarzyło mi się jednak, że wieczorzaliśmy tego wieczoru razem z Mr Collinsem, co było przypadkiem rzadkim, ponieważ zatrudnienia jego zmuszały go do przebywania wiele poza domem. Nie mógł nie spostrzec niezwyklego przygnębienia i niepokoju w moim zachowaniu i z serdecznością zapytał o ich przyczyny. Usiłowałem odpowiadać wymijająco, ale moja młodość i nieznajomość świata nie były mi w tym względzie pomocne. Poza tym przywykłem okazywać Mr Collinsowi duże przywiązanie i byłem zdania, że ze względu na charakter jego stanowiska zwierzyć mu się w tym wypadku nie będzie niewłaściwością. Powtórzyłem mu dokładnie wszystko, co się zdarzyło, a na koniec oświadczyłem uroczyście, że choć potraktowano mnie dość chimerycznie, przecież nie o siebie troskałem się — żadne bowiem przykrości czy niebezpieczeństwa nie wzbudziłyby we mnie bojaźni, lecz współczułem jedynie memu panu, który posiadając wszystko, co może być dane człowiekowi dla jego szczęścia, i zasługując na nie w najwyższym stopniu, zdawał się z woli losu doświadczać nie zawinionych cierpień.

W odpowiedzi na moją relację Mr Collins uświadomił mnie, że do wiadomości jego doszło już parę wypadków podobnej natury jak ten, który przytoczyłem, i że biorąc to wszystko pod uwagę, musi wnioskować, że nieszczęsny nasz pan cierpi czasem na pomieszanie umysłu.

— Niestety — dodał — nie zawsze tak było. Ferdynand Falkland był niegdyś jednym z najweselszych ludzi. A zaiste nie była to owa czcza wesołość, która budzi wzgardę miast podziwu, a której płochość świadczy raczej o bezmyślności niż szczęściu. Jego wesołości towarzyszyła zawsze godność. Była to wesołość bohatera i człowieka światłego. Miarkowały ją zastanowienie i wrodzona wrażliwość, tak że nigdy nie przekraczała wymogów dobrego smaku i uprzejmości. Mówiła jednak o niekłamanej radości serca, nadawała niepojętą świetność jego zachowaniu i konwersacji i czyniła z niego przedmiot uwielbienia rozmaitych kół towarzyskich, w których wówczas chętnie bywał. To, co widzisz, mój drogi Williamsie, jest

tylko ruiną owego Falklanda, otaczanego względami ludzi świątłych, uwielbianego przez płeć piękną. Przygasła jego młodość, która od pierwszych dni tak niezwykle rokowała obietnice, zamarła czułość pod brzemieniem wydarzeń najgłębszy wstręt w nim budzących. Umysł jego pełen był porywów urojonego honoru i sam uważał, że tylko przyziemna część jego istoty — zewnętrzna powłoka Falklanda — mogła przeżyć cios zadany jego dumie.

Uwagi mego przyjaciela Collinsa tak silnie podsycały mą ciekawość, że prosiłem go, by wdał się w bardziej szczegółowe wyjaśnienia. Na prośbę moją przystał chętnie, rozumiejąc, że choć przystoi mu zachować ścisłą dyskrecję, to ze względu na moją pozycję byłaby ona nie na miejscu, a także widząc prawdopodobieństwo tego, że i sam Mr Falkland byłby skłonny do podobnej relacji, gdyby nie zamęt i zgorączkowanie jego umysłu. Z opowieścią Mr Collinsa przeplatać będę różne wiadomości otrzymane z innych stron, by biegowi wypadków nadać całą możliwą przejrzystość. Aby zaś w opowiadaniu mym uniknąć zamętu, usunę osobę Collinsa przyjmując, że to ja sam jestem dziejopisem losów mego pana. Czytelnikowi może się zrazu wydawać, że szczegóły życia Mr Falklanda poprzedzające moje z nim zetknięcie nie związane są z moją własną historią. Niestety. Z gorzkiego doświadczenia wiem, że tak nie jest. Serce moje krwawi na wspomnienie jego nieszczęść, jakby to były moje własne. I czyż może być inaczej? Z jego dziejami związane są losy całego mego życia; ponieważ on był nieszczęśliwy, i moje szczęście, dobre imię i cały mój byt nieodwołalnie zostały zniszczone.

## ROZDZIAŁ II

Za młodych lat mój pan rozczytywał się we włoskich poetach opiewających dzieje bohaterów. Oni to przepoili go umiłowaniem rycerskiego ducha i romantycznych przygód. Za wiele miał zdrowego rozsądku, by żałować czasów Karola Wielkiego i króla Artura [**Król Artur — legendarny król brytyjski, który miał żyć pod koniec V w. Uważany za wzór cnót rycerskich.**], a ponieważ imaginacja jego uszlachetniona była zasadami filozofii, pojmował, że w obyczajach odmalowanych przez owych wielbionych poetów jedno naśladować, a drugiego unikać należy. Był zdania, że nic tak pewnie nie czyni ludzi dwornymi, mężnymi i pełnymi delikatności jak zachowanie należnych względów dla urodzenia i honoru. Jego poglądy w tej materii znajdowały odzwierciedlenie w jego postępowaniu, kształtowanym wzorami męstwa, jakie mu podsuwała wyobraźnia.

Mając takie przekonania wyruszył w podróż w wieku, kiedy zazwyczaj odbywa się wojaze, a przygody, jakie go spotkały, raczej utwierdziły, niż naruszyły te przekonania. Idąc za głosem serca najdłużej zabawił w Italii i tu wszedł w kompanię z kilkoma szlachetnie urodzonymi młodzieńcami, których zainteresowania i zasady życiowe były tej samej co i jego natury. Spotkał się z ich strony z wyszukaną grzecznością i niezwykle wyróżniającym go uznaniem. Młodzieńcy ci zachwyceni byli towarzystwem cudzoziemca przejętego tym wszystkim, co cechowało najszlachetniejszych i najbardziej poważanych spośród ich własnego społeczeństwa. Płeć piękna niemniej go podziwiała i otaczała swymi względami. Choć wzrostu był niewielkiego, osobę Falklanda cechowała wyjątkowa godność. Godność tę podnosiły wówczas pewne dodatkowe cechy, które zatarły się później — a to wyraz szczerości, niewymuszonej prostoty i otwartości, a także duch promiennego entuzjazmu. Żaden może Anglik nie był w równym stopniu

uwielbiany przez mieszkańców Italii co on.

Nie podobna, aby czerpiąc tak obficie ze źródeł ducha rycerskiego, nie wdawał się czasem Falkland w sprawy honorowe, a wszystkie zakończone zostały w sposób, który nie przyniósłby ujmy samemu rycerzowi Bayardowi **[Bayard Terrail Pierre (1473—1524) — Francuz, który wślawił się jako „rycerz bez strachu i zmazy”]**. W Italii młodzieńcy wyższego stanu dzielią się na dwie kategorie: tych, którzy wyznają najczystsze zasady dawnego honoru, i tych, co — pobudzani równie ostrym uczuciem obrazy i zniewagi — przywykają do używania najętych zbirów jako narzędzi swej zemsty. W istocie cała różnica polega na niewłaściwym stosowaniu ogólnie przyjętego rozróżnienia. Najszlachetniejszy nawet Italczyk sądzi, że są ludzie, których wyzwać na ubitą ziemię byłoby zmasą dla jego czci. Wierzy jednak, że hańba krwią tylko może być zmyta, a życie ludzkie błahostką mu się zdaje wobec satysfakcji należnej jego zranionemu honorowi. Dlatego też żaden bodaj Italczyk nie zawaha się w pewnych wypadkach przed morderstwem.

I wśród nich jednak są ludzie obdarzeni sercem, którzy mimo wychowania pełnego przesądów nie mogą powstrzymać się od tajemnego przeświadczenia, że skrytobójcze morderstwo jest nikczemnością, i pragnęliby jak najszerszej stosować wyzwania honorowe. Innych prawdziwa lub udana pycha uczy patrzeć na cały prawie rodzaj ludzki jak na niższych od siebie, a co za tym idzie, zaspokajać swoją zemstę nie narażając na szwank swej osoby. Mr Falkland spotkał i takich. Lecz jego nieustraszony duch i zdecydowany charakter dawały mu wyraźną przewagę nawet w tak niebezpiecznych zajściach. Spomiędzy wielu przytoczę jeden przykład jego postępowania z tymi dumnymi, zapalczywymi ludźmi. Mr Falkland jest w głównej mierze sprawcą moich nieszczęść, a Mr Falkland u zmierzchu i schyłku swych sił, bo takim go poznałem, nie może być w pełni zrozumiany bez znajomości jego dawnego charakteru, jaki cechował go w całym blasku młodości, kiedy nie doświadczył jeszcze naporu przeciwności, kiedy udręczenie i zgryzota sumienia nie zakłóciły jego pokoju.

W Rzymie przyjmowany był ze szczególnymi względami w domu markiza Pisaniego, którego jedyna córka, dziedziczka ogromnej fortuny,

stanowiła przedmiot uwielbienia całej dobrze urodzonej młodzieży wielkiej stolicy. Lady Lukrecja Pisani była wysoka, o postawie pełnej godności i niezwykle piękna. Nie zbywało jej na słodyczy i uprzejmości, ale dusza jej była wyniosła, a postępowanie nierzadko wzgardliwe. Duma jej podsycana była świadomością wdzięków, wysokiej pozycji społecznej i powszechnego uwielbienia, jakim stale była otaczana.

Spośród wielu ubiegających się o względy Lukrecji najbardziej wyróżnianym przez jej ojca był hrabia Malvesi, a zdawało się, że jego zaloty i córce nie są obojętne. Hrabia był człowiekiem wielkich zalet umysłu i ciała, nienagannej prawości i uprzejmości charakteru. Zbyt gorąco jednak kochał, by zawsze zachować mógł jednakowe usposobienie. Wielbiciele, których zaloty były źródłem zadowolenia dla pani jego serca, dla niego byli wiecznym utrapieniem.

Ponieważ całe swe szczęście pokładał w zdobyciu owej dumnej piękności, przeto najbliższe wydarzenia napełniały go trwogą o bezpieczeństwo własnych przywilejów. Lecz najbardziej zazdrosny był o angielskiego kawalera. Markiz Pisani, który spędził wiele lat we Francji, nie podzielał wcale podejrzliwej ostrożności italskich ojców i zezwalał swej córce na wiele swobody. Z wyjątkiem pewnych rozsądnych ograniczeń dom jego był otwarty, a córka mogła przyjmować wizyty mężczyzn. Lecz bardziej od wszystkich innych przyjmowany był na wielce przyjaznej stopie Mr Falkland, jako cudzoziemiec i człowiek, co do którego małe zachodziło prawdopodobieństwo, by rościł sobie pretensje do ręki Lukrecji. Sama pani, świadoma niewinności tego stosunku, nie żywiła skrupułów co do drobnostek, a postępowanie jej cechowała ufność i szczerść, właściwe tym, którzy są ponad podejrzenia.

Po parotygodniowym pobycie w Rzymie Mr Falkland udał się do Neapolu. Tymczasem zaszły pewne wydarzenia, opóźniające zamierzone zaślubiny dziedziczki rodu Pisani. Kiedy Mr Falkland powrócił do Rzymu, hrabia Malvesi był nieobecny. Lady Lukrecja, obdarzona żywym i dociekliwym umysłem, już poprzednio miała przyjemność znajdowała w rozmowach z Mr Falklandem, a w przerwie między jego pierwszym a drugim pobytem zapragnęła zaznajomić się z angielską mową; natchnęły ją

tym pragnieniem żywe i gorące pochwały, jakie o naszych najlepszych pisarzach słyszała od ich współrodaków. Zaopatrzywszy się w tym celu w zwykle używane materiały, poczyniła pewne postępy w czasie nieobecności Mr Falklanda. Lecz po jego powrocie śpieszno jej było skorzystać z nadarzającej się sposobności czytania wybranych ustępów z naszych poetów wraz z Anglikiem o nieprzeciętnym smaku i uzdolnieniach. Obawiała się, że równie korzystna sposobność mogła się więcej nie nadarzyć.

Propozycja ta z konieczności doprowadziła do częstszego przestawiania tych dwojga ze sobą. Hrabia Malvesi stwierdził po powrocie, że Mr Falkland przyjmowany był w pałacu Pisani prawie jak domownik. Sytuacja wydała mu się krytyczna. Być może, żywił on tajemne przeświadczenie, że Anglik góruje nad nim osobistymi przymiotami, i drżał na myśl o postęпах, jakie poczynić mogą uczucia obu stron, zanim nawet uświadomią sobie grożące niebezpieczeństwo. Był przekonany, że partia taka w każdym względzie schlebiać musi ambicjom Mr Falklanda i do wściekłości doprowadzała go piekąca myśl, że ów zamorski przybłęda pozbawi go tego, co najdroższe jego sercu.

Hrabia był jednak na tyle roztropny, by wpierw prosić lady Lukrecję o wyjaśnienie. Powodowana wrodzoną wesołością, obróciła w żart jego niepokoje. Wtedy wyczerpała się jego cierpliwość i ciągnął dalej swoje wyrzuty w tonie, którego pani ta żadną miarą nie była skłonna przyjąć z uległością. Lady Lukrecja przyzwyczajona była do tego, że okazywano jej zawsze uszanowanie i uległość, a gwałtowność spadających na nią wyrzutów, przejąwszy ją zrazu jak gdyby lękiem, obudziła w niej natychmiast uczucie najwyższej niechęci. Nie raczyła odpowiedzieć na pytania zuchwalca, a nawet pozwoliła sobie na pewne nieznaczące napomknienia, obliczone na to, by wzmóc siłę jego podejrzeń. Najpierw przedstawiła jego szaleńcze domysły i zuchwałość w słowach pełnych najdowcipniejszych uszczypliwości, potem zaś nagle zmieniając ton poprosiła, aby nie starał się jej widzieć, chyba na stopie zgoła dalekiej znajomości, jako że postanowiła nigdy więcej nie narażać się już na podobnie niegodne traktowanie. Szczęśliwa jest, że odkrył jej nareszcie



swój prawdziwy charakter, i będzie wiedziała, jaki zrobić użytek z tego, czego dziś doświadczyła, aby niebezpieczeństwo takie nie zagroziło jej nigdy powtórnie. Wszystko to odbyło się w oka mgnieniu, wśród gwałtownego uniesienia obu stron, które ogarnęło ich jak płomień, i lady Lukrecja nie miała nawet czasu pomyśleć, jakie skutki może wydać podobne rozdrażnienie jej narzeczonego.

Hrabia Malvesi opuścił ją udręczony wszystkimi mękami szaleństwa. Był przekonany, że scena ta była z góry obmyślona dla znalezienia pretekstu, by zerwać zaręczyny, które w najbliższym czasie miały zakończyć się ślubem, a umysł jego przechodził tortury tysiącznych domysłów: to wydawało mu się, że wina jest po jej, to znów, że po jego stronie; gniewał się na lady Lukrecję, samego siebie i cały świat. W takim usposobieniu udał się śpiesznie do gospody, w której zatrzymał się angielski kawaler. Minął już ów stan umysłu, w którym czynił wyrzuty pani swego serca, i hrabia poczuł teraz nieprzewartą potrzebę usprawiedliwienia swej srogości wobec lady Lukrecji. Wmówił więc w siebie, że to, co podejrzewał, było faktem.

Mr Falkland był w domu. Pierwsze słowa hrabiego były oskarżeniem o nieuczciwość w stosunkach z lady Lukrecją i wyzwaniem na pojedynek. Anglik żywił szczery szacunek dla Malvesiego, który w istocie był człowiekiem niepoślednich zasług i z którym, spotkawszy go po raz pierwszy w Mediolanie, zawarł jedną ze swych pierwszych w Italii znajomości. Lecz nie tyle o tym myślał teraz Mr Falkland, ile o skutkach pojedynku w obecnej sytuacji. Gorąco wielbił lady Lukrecję, choć nie były to uczucia kochanka, i wiedział, jak czułe względy miała ta dama dla hrabiego Malvesiego, jakkolwiek w wyniosłości swej próbowała to ukryć. Nie mógł znieść myśli, że jakieś niewłaściwe z jego strony posunięcie mogłoby zniszczyć widoki szczęścia tak bardzo zasługującej na nie pary. Wiedziony tymi uczuciami próbował wyłożyć to Włochowi. Ale usiłowania Mr Falklanda nie odniosły skutku. Przeciwnik jego, pijany gniewem, nie chciał słuchać ani słowa z wywodów, które zmierzały do powściągnięcia jego popędliwych myśli. Przemierzając niespokojnymi krokami komnatę zdawał się pienieć miotany męczarniami wściekłości. Falkland widząc, że wszystko

na nic się nie zda, powiedział hrabiemu, że jeśli przyjdzie jutro o tej samej porze, gotów będzie mu towarzyszyć na każde miejsce, jakie hrabia uzna za stosowne na pojedynki.

Pożegnawszy hrabiego Malvesiego Mr Falkland niezwłocznie udał się do pałacu Pisanich. Tutaj z niemałym trudem ułagodził oburzenie lady Lukrecji. Jego pojęcia o honorze żadną miarą nie pozwoliłyby mu wspomnieć o przysłanym wyzwaniu, by ją przekonać o swej słuszności; z drugiej strony, to właśnie stałoby się natychmiast najsilniejszym i najpewniej działającym argumentem spośród wszystkich, jakie można było wysunąć wobec owej dumnej piękności. Bo choć lady Lukrecja lękała się takiej możliwości, owa niejasna obawa nie była dość silną, by skruszyć jej dumę i skłonić ją do natychmiastowego złożenia broni. Atoli Mr Falkland odmalował tak przekonujący obraz wzburzenia panującego w umyśle hrabiego Malvesiego i w tak pochlebny sposób wytłumaczył porywczosć jego postępowania, że wszystko to, wraz z przytaczanymi przez niego na poparcie argumentami dopełniło zwycięstwa nad gniewem Lukrecji. Dopiero gdy osiągnął zamierzony skutek, przystąpił do odkrycia jej wszystkiego, co zaszło.

Następnego dnia hrabia Malvesi zjawił się o oznaczonej godzinie w gospodzie Mr Falklanda. Mr Falkland przyjął hrabiego w drzwiach prosząc go, by zechciał wejść na chwilę, ponieważ musi jeszcze załatwić pewną sprawę, która nie potrwa dłużej niż trzy minuty. Udali się do salonu. Tu Mr Falkland pozostawił hrabiego i niebawem powrócił prowadząc samą Lukrecję w całej krasie jej wdzięków, którym świadomość okazywanej przez nią szlachetnej, a zarazem łaskawej ustępliwości dodawała tym większego blasku. Mr Falkland podprowadził ją do zdumionego hrabiego, a ona delikatnie kładąc dłoń na ramieniu narzeczonego zawołała najmiłszym, pełnym powabu głosem: „Czy pozwolisz, bym odwołała te przykre słowa, które wypowiedziałam w uniesieniu, zaślepiona pychą?” Hrabia zaskoczony, ledwie mogąc uwierzyć własnym uszom, padł przed nią na kolana i z trudem wyjąkał odpowiedź. Wyznał, że to właśnie on się uniósł, że on tylko winien prosić o przebaczenie i że choćby oboje mu przebaczyli, on nigdy nie przebaczy sobie tej świętokradzkiej zbrodni, jakiej

dopuścił się wobec niej i tego bogom równego Anglika. Skoro tylko minęło pierwsze radosne wzburzenie hrabiego, Mr Falkland zwrócił się do niego tymi słowy:

— Najżywszą mi to sprawia radość, że w pokojowy sposób rozbroiłem pański gniew i przyczyniłem się do waszego szczęścia. Lecz wyznać muszę, żeś mnie, hrabio, wystawił na ciężką próbę. Charakter mój niemniej od pańskiego jest gwałtowny i dumny i nie w każdym wypadku byłbym zdolny tak się opanować. Lecz uważałem, że w istocie ja ponoszę główną winę. Podejrzenia pańskie, choć bezpodstawne, nie były niedorzeczne. Pozwoliliśmy sobie na igranie z ogniem. Ze względu na niedoskonałość naszej natury i naszych form społecznych nie powinienem był tak pilnie asystować tej zachwycającej damie. Nie byłoby rzeczą nazbyt dziwną, gdybym w tak sprzyjających okolicznościach, odgrywając rolę nauczyciela, jak to czyniłem, wpadł nieświadomie w sieci i zapłonął pragnieniem, którego bym później nie zdołał stłumić. Winienem więc panu zadośćuczynienie za tę nierozwagę.

Lecz prawidła honoru są niezmiernie sztywne; i istniała obawa, że choć tak bardzo pragnąłem być pańskim przyjacielem, mogłem stać się pańskim mordercą. Szczęściem, odwaga moja dość jest znana, by odrzucenie przeze mnie pańskiego wyzwania na szwank ją narazić mogło. Dobry los to zdarzył, że przy naszej wczorajszej rozmowie nikt nie był obecny, i ten przypadek złożył całą tę sprawę w moje ręce. Gdyby rzecz się teraz wydała, znany będzie nie tylko fakt wyzwania, ale i ostateczny obrót całej sprawy, co starczy mi za satysfakcję. Gdyby jednak wyzwanie było publiczne, to dowody męstwa, jakie dawałem poprzednio, nie mogłyby usprawiedliwić dzisiejszej powściągliwości i choćbym nawet pragnął uniknąć walki, nie byłoby to w mojej mocy. Niech to dla nas obu będzie nauką, by strzec się uniesień i nieroztropnych czynów, których skutki tylko krwią zmyć się dają. I niech niebo ci błogosławi w tym związku małżeńskim, którego — mniemam — ze wszech miar jesteś godny.

Jak już wspomniałem, nie był to bynajmniej jedyny wypadek w czasie podróży Mr Falklanda, w którym ten zachował się w najświetniejszy sposób, jako człowiek wielkich zalet i męstwa. Przebywał jeszcze kilka lat

za granicą, a każdy rok pomnażał szacunek, jakim go otaczano, jak również własną jego czułość na wszelki dyshonor, wszelkie pokalenie czci. W końcu uznał za stosowne powrócić do Anglii z zamiarem spędzenia reszty życia w siedzibie swych przodków.

## ROZDZIAŁ III

Od chwili kiedy Mr Falkland, powodowany przypuszczalnie naturalnym poczuciem swych obowiązków, przystąpił do spełnienia tego zamiaru, rozpoczęły się jego niedole. Całe jego dzieje, jakie dalej kreślić tu będę, to bezustanne prześladowanie złośliwego losu, pasmo przygód, które — zda się — biorą początek z różnych przypadkowych wydarzeń, ale wszystkie zmierzają do jednego zakończenia. One to napełniły go udręką, którą mniej niż ktokolwiek inny znieść potrafił, a owa fala goryczy, rozlewając się wokół niego, sączyła i w inne dusze swoją śmiertelną truciznę. Ja sam jestem najbardziej nieszczęsną jej ofiarą.

Człowiekiem, który stał się przyczyną tych utrapień, był najbliższy sąsiad Mr Falklanda, równie jak on majątny, nazwiskiem Barnaba Tyrrel. W pierwszej chwili mogło się zdawać niepodobieństwem, by człowiek o jego wykształceniu, skłonnościach i trybie życia mógł zakłócić szczęśliwe bytowanie tak hojnie przez naturę obdarzonego człowieka jak Mr Falkland. Mr Tyrrel mógł uchodzić za wierny wzór angielskiego dziedzica. Wcześnie stracił ojca i został na opiece matki, kobiety ograniczonej, która nie miała innych dzieci. Należy dodać, że jedynym poza nią członkiem rodu była Miss Emilia Melville, stryjeczna siostra Mr Tyrrela z linii ojcowskiej, sierota przygarnięta do dworu i w zupełności zależna od łaski jego właścicieli. Mrs Tyrrel była przekonana, że nie ma na świecie nic równie doskonałego jak jej Barnaba, tak wielkie rokujący nadzieje. Uważała, że wszystko powinno służyć jego wygodzie i korzyści; że każdy w jak najbardziej niewolniczy sposób musi być posłuszny jego rozkazom; że nie wolno go drażnić ni ograniczać jego swobody jakąkolwiek nauką. Wskutek tego umiejętności syna, nawet w sztuce czytania i pisania, były nadzwyczaj szczupłe. Od urodzenia był silny i krewki, a że nie wyrzał nigdy poza „światek” wychowawczego systemu swej matki, Barnaba przypominał młodego

lewka, którego jakiś barbarzyńca mógłby ofiarować swej pani niby pokojowego pieska.

Rychło jednak synek wyrwał się z matczynych więzów i zawarł znajomość z chłopcem stajennym i leśniczym. W ich szkole okazał się równie pilnym uczniem, jak niepojętym i krnąbrnym był wobec pedagoga, który pełnił funkcję jego guwernera. Jasnym się stało, że jego niewielkiej biegłości w literaturze nie należało przypisywać brakowi uzdolnień. Okazywał bowiem nie byle jaką pojętność i bystrość umysłu w dyscyplinie traktującej o koniach i był wybitnym znawcą w sztuce strzeleckiej, w rybołówstwie i myślistwie. Nie ograniczając się do tych umiejętności wzbogacił je jeszcze teorią i praktyką boksu, walki na kije i grube krótkie pałki. Te ćwiczenia dziesięciokrotnie pomnożyły jego dawną siłę i wigor.

Dorósłszy mierzył ponad pięć stóp i dziesięć cali wysokości, a kształty jego mogłyby posłużyć malarzowi jako model do wizerunku owego starożytnego bohatera, którego męstwo polegało na obaleniu wołu uderzeniem pięści i pożarciu go na jeden posiłek. Świadomy swej przewagi w tym względzie, Tyrrel był pyszny i okrutny wobec niżej od niego stojących, a zuchwały wobec równych w sposób trudny wprost do zniesienia. Pozbawiony możliwości użytecznego działania i doskonalenia się, zasmakował w grubych żartach rozzuchwalonego młokosa. W tej sztuce, podobnie jak w innych jego umiejętnościach, nikt mu nie mógł dorównać i gdyby można było przymknąć oczy na owe dzikie i okrutne skłonności, o których te grube żarty świadczyły, trudno byłoby powstrzymać się od podziwu — tak pomysłowe były te psie figle, którymi się popisywał, tak uszczypliwe te grubiańskie dowcipy, które im zazwyczaj towarzyszyły. Mr Tyrrel daleki był od tego, by pozwolić owym niezwykłym talentom rdzewieć w zapomnieniu. W najbliższym miasteczku co tydzień odbywały się zebrania, które były miejscem spotkań całej okolicznej szlachty. Tam z powodzeniem dzierżył berło wielkiego mistrza „koterii”, ponieważ nikt nie dorównywał mu majątkiem, a większość obecnych, choć pretendująca do miana panów na włościach, o wiele niżej od niego stała w tym zasadniczym względzie. Młodzi ludzie z „koterii” odnosili się do tego bezczelnego pyszałka z nieśmiałą czią, świadomi stosunkowej świetności

umysłu, jaką bez wątpienia posiadał; on zaś twardą dłonią potrafił doskonale utrzymywać to stanowisko. Często rozpogadzał twarz przybierając na chwilę wyraz uprzejmej poufałości; lecz młodzieńcy wiedzieli z doświadczenia, że ktokolwiek, ośmielony jego przystępnością, zapomniał o względach, jakie, zdaniem Mr Tyrrela, należne były jego osobie, rychło dostawał nauczkę i żałował swej zuchwałości. Było to, jak gdyby tygrys raczył zabawić się z myszką: zwierzątku w każdej chwili groziło niebezpieczeństwo, że zmiażdżą je pazury krwiożerczego towarzysza.

Obdarzony dużą łatwością wysłowienia i bogatą, choć nie zdyscyplinowaną wyobraźnią, Mr Tyrrel mógł być zawsze pewien posłuchu.

Sąsiedzi tłoczyli się przy nim, gotowi wtórować mu śmiechem po części ze służalczości wobec niego, po części zaś — ze szczerego podziwu. Zdarzało się, że wśród największej zabawy przychodziło mu nagle do głowy jakieś wymyślne okrucieństwo. Kiedy spoufalona świta zapomniała o zwykłej ostrożności, on, wiedziony jakimś dzikim kaprysem, ukazywał nagle marsa na czole, głos z przyjaznego stawał się straszny i o byle co wszczynał kłótnię z pierwszym człowiekiem, którego twarz mu się nie spodobała. Uciecha, jaką otoczenie jego znajdowało w tych niepohamowanych wybrykach, nie wolną jednak była od przymieszki znużenia i lęku. Mniemać należy, że despotyzm Mr Tyrrela nie od razu osiągnął takie nasilenie i że napotykać musiał sprzeciw. Jednak ciężka ręka tego wiejskiego Anteusza tłumiała wszelki opór.

Górując nad sąsiadami majątkiem i siłą charakteru, potrafił zawsze zmusić przeciwnika do przyjęcia broni, jaka jemu samemu najbardziej odpowiadała, a starłszy się nie omieszkał tak mu porachować kości, by nieszczęśnik odczuł całe swe niegodne zuchwalstwo. Despotyczne rządy Mr Tyrrela nie byłyby tak cierpliwie znoszone, gdyby prócz urodzenia i odwagi osobistej nie miał pewnych talentów wzmacniających jego słabnący autorytet.

Od pozycji jednak, jaką nasz panek zajmował pośród własnej płci, bardziej jeszcze godna pozazdrosczenia była jego pozycja wśród płci pięknej. Każda matka pouczała swą córkę, by rękę Mr Tyrrela uważała za

przedmiot najwyższych ambicji. Każda córka spoglądała łaskawym okiem na jego atletyczną postać i powszechnie uznane męstwo. Wybitnie atletyczna postać przeważnie ma piękne proporcje; poza tym kobiety od najwcześniejszych lat przyuczane są pierwej od innych zalet szukać w osobniku płci odmiennej opiekuna. I podobnie jak nie było mężczyzny dość odważnego, by zakwestionował wyższość Mr Tyrrela, tak rzadko która kobieta z tego prowincjonalnego środowiska nie wolałaby względów Mr Tyrrela od względów każdego innego wielbiciela. Wszystkie znajdowały szczególny urok w jego samochwalstwie i nic tak bardzo nie schlebiało ich próżności jak widok tego Herkulesa, zmieniającego maczugę na kądziel. Przyjemna im była myśl, że zupełnie bezpiecznie igrać mogą z tą dziką bestią, której samo imię napawało drżeniem najmężniejsze serca.

Takiego człowieka przeznaczył kaprys fortuny na rywala świetnemu wykształceniem i manierami Falklandowi. Ten dziki, choć nie pozbawiony inteligencji grubianin potrafił zniszczyć przyszłość człowieka, który posiadał wszystko, by radować się życiem i innym nieść szczęście. Zawzięta uraza między nimi istniejąca, podsycana fatalnym zbiegiem okoliczności, osiągnęła wreszcie rozmiary, z którymi nic równać się nie mogło; dlatego zaś, że ci dwaj żywili do siebie śmiertelną nienawiść, ja stałem się nędzną istotą, od której każdy odwraca się ze wstrętem.

Przyjazd Mr Falklanda w niepokojący sposób zachwiał powagą, jaką Mr Tyrrel cieszył się na wiejskich zebraniach i różnych innych zgromadzeniach. Usposobienie tego ostatniego bynajmniej nie skłaniało go do unikania miejsc wykwintnych rozrywek; obaj współzawodnicy byli niby dwie gwiazdy, którym los przeznaczył, by nigdy w jednym czasie nie ukazywały się na firmamencie. W zestawieniu z Mr Tyrrelem przewaga Mr Falklanda była oczywista, a gdyby nawet było inaczej, to i tak „poddani” wiejskiego tyrana gotowi byli w każdej chwili podnieść bunt przeciw jego bezlitosnej przemocy. Dotychczasowa ich uległość miała swe źródło w lęku, nie zaś w miłości, i jeśli nie zbuntowali się dotąd, to tylko z braku przywódcy. Nawet damy spoglądały na Mr Falklanda z osobliwym upodobaniem. Jego wyborne maniery szczególnie odpowiadały delikatnej naturze kobiet. Subtelny i świeży jego dowcip znacznie górował nad



zartami Mr Tyrrela, a miał i tę przewagę, że jakkolwiek bujny z natury, dowcip ten miarkowany był roztropnością światłego umysłu. Osobisty urok Mr Falklanda podnosiły jeszcze wykwintne maniery, a życzliwość i dobroć przejawiały się przy każdej sposobności. Wspólną cechą Mr Tyrrela i Mr Falklanda było to, że uczucia zakłopotania czy też zawstydzenia nie znajdowały do nich przystępu. Lecz pierwszy zawdzięczał to zuchwałemu zadowoleniu z własnej osoby i twardym a chełpliwym słowom, którymi gromił zazwyczaj swych napastników; Mr Falkland zaś, obdarzony umysłem bystrym i prawym, o rozległej znajomości świata i świadomy własnych możliwości, potrafił zawsze w jednej prawie chwili obrać najwłaściwszy sposób postępowania.

Mr Tyrrel spoglądał na rosnące powodzenie swego rywala z niepokojem i wstrętem. Wobec ludzi, którym szczególnie ufał, wyrażał się o tym krytycznie, nazywając je faktem zgoła niepojętym, Mr Falklanda opisywał zaś jako istotę niższego rzędu, nie zasługującą nawet na pogardę. Cherlawy, o karlim ciele, pragnął on jakoby ludzkiej naturze przedstawić nowy wzór przystosowany do swego nędznego stanu. Chciał przekonać wszystkich, że ród ludzki stworzony został na to, by przykuty do krzesła ślęczeć nad książkami. Życzył sobie, aby inni zamiast owych krzepkich ćwiczeń cielesnych wykonywanych z radością, a wyrabiających w nas męstwo, oddawali się uczonym trudom, łamiąc głowy nad wynalezieniem rymu lub licząc na palcach kadencję wiersza. Jeśli to mają być ludzie, to i mała chyba jest człowiekiem. Naród, który by się składał z tak podłych istot, nie dałby rady jednemu pułkowi starych angielskich zuchów — amatorów wołowiny i puddingu. On sam nie widział nigdy, aby z nauki wynikało coś dobrego — robi tylko z ludzi wymuskanych i zuchwałych błaznów, a rozumny człowiek nie życzyłby gorszej klęski nieprzyjaciołom swego kraju od tej, by ogarnęło ich tak zgubne i nedorzeczne szaleństwo. Niemożliwe, aby ludzie znajdowali prawdziwe upodobanie w tak śmiesznym towarze jak ten zagraniczny, na obcą modę przykrojony Anglik. On, Tyrrel, wie dobrze, jak się rzeczy mają: wszystkie te maskaradowe sztuki wymierzone. są tylko przeciw niemu. I niech go piekło pochłonie, jeśli za to wszystko z nawiązką nie odpłaci.

Jeśli takie były uczucia Mr Tyrrela, to cierpliwość jego na ciężką wystawiona była próbę z powodu opinii, jaką Mr Falkland cieszył się u sąsiadów. Podczas gdy Mr Tyrrel widział w Falklandzie tylko przedmiot drwin, oni zdawali się nieznużeni w pochwałach.

Co za godność, co za uprzejmość, jakie nieustanne baczenie na dobro innych, jaka delikatność uczuć i wysłowienia! Uczony, a wolny od chępliwości, pełen poluru, a wolny od fanfaronady, wytworny, a wolny od zniewieściałości. Przejęty troską, by nikogo nie zranić swą wyższością, co powodowało, że każdy tę wyższość uznawał — Mr Falkland budził w ludziach uznanie miast zazdrości. Zbyteczne chyba dodawać, że owa gwałtowna odmiana w sposobie myślenia tej wiejskiej społeczności przedstawia jeden z bardziej oczywistych rysów ludzkiej natury. Najprymitywniejsze formy sztuki są przez nas podziwiane, póki nie zobaczymy szlachetniejszych, i dziw nas bierze, że tak łatwo było nas wprawdzie zadowolić. Mr Tyrrelowi zdawało się, że nie będzie końca tym pochwałom, i czekał tylko, kiedy wspólni znajomi padną na twarz, by oddać intruzowi cześć należną Bogu. Najbardziej przypadkowa, niebaczenie wyrażona pochwała pod adresem Mr Falklanda sprawiała mu piekielne udręki. Wił się jak w mękach konania, twarz wykrzywiała mu się, a spojrzenie napawało grozą. Takie cierpienie przykrym by uczyniły najłagodniejszy nawet charakter; jakież więc musiało być ich działanie na osobę Mr Tyrrela, tak zawsze dumnego, porywczego i nieubłaganego.

Przewaga Mr Falklanda, choć przestała być nowością, nie straciła nic ze swej siły. Każda nowa ofiara okrucieństwa Mr Tyrrela przechodziła pod sztandary jego przeciwnika. Nawet damy, które Mr Tyrrel w roli wiejskiego zalotnika obdarzał większą uprzejmością niż mężczyzn, narażone były czasem na jego chimery i zuchwalstwa. Nie mogły nie dostrzec różnicy między tymi dwoma ludźmi przodującymi w rycerskich zaletach: jeden miał na uwadze własną jeno przyjemność, drugi zdawał się być wcieleniem dobroci i uczynności. Na próżno Mr Tyrrel starał się opanować szorstkość swego charakteru. Ponościła go niecierpliwość. Myśli jego były posępne, a zaloty niezgrabne jak stąpanie słonia. Wydawał się bardziej ludzki, kiedy pobłażał swym wrodzonym skłonnościom, niż teraz,

kiedy, ponury, próbował im nałożyć wędzidła.

Spośród dam bywających na owych, wspomnianych już, wiejskich zebraniach jednej zwłaszcza okazywał Mr Tyrrel szczególne względy; była to Miss Hardingham. Ona też, jedna z niewielu, nie przeszła jeszcze do wrogiego obozu, czy to dlatego, że istotnie wyróżniała człowieka, z którym od tak dawna była w znajomości, czy też z wyrachowania, by tym łatwiej zdobyć męża. Atoli pewnego dnia dama ta postanowiła pokazać Mr Tyrrelowi — może tylko po to, by go doświadczyć — że i ona mogłaby wszcząć kroki nieprzyjacielskie, gdyby kiedykolwiek dał jej po temu powód. Manewrując zręcznie doprowadziła do tego, że Mr Falkland poprosił ją by zechciała z nim tańczyć tego wieczoru. Uczynił to jednak bez najmniejszej intencji urażenia sąsiada. Mr Falklandowi bowiem w sposób godny potępienia brakło znajomości nowinek towarzyskich i planowanych mariażów. Aczkolwiek odnosił się do ludzi z życzliwością i uwagą, to godziny spędzane w samotności wypełnione były myślami tak wzniosłymi i obejmującymi tak rozległe horyzonty, że nie było w nich miejsca na gorszące obmowy, parafiańskie zwady lub małomiasteczkową politykę wyborczą.

Na krótko nim rozpoczęto tańce, Mr Tyrrel podszedł do swojej pięknej bogdanki i dla skrócenia czasu wdał się z nią w jakąś żartobliwą rozmowę zamierzając za parę chwil poprowadzić ją do tańca. Nie przewidując możliwości, by ktokolwiek ośmielił się oprzeć jego woli, zwykł lekceważyć zwyczaj wymagający uprzedniej zgody damy. W każdym razie uznałby tę formalność za niepotrzebną w tym wypadku, skoro było powszechnie wiadome, że Miss Hardingham wyróżnia go.

Zajęty był więc tą rozmową, gdy wtem zbliżył się Mr Falkland. Mr. Tyrrel okazywał mu zawsze niechęć i odrazę. Jednakowoż Mr Falkland w sposób naturalny i pełen wdzięku przyłączył się do rozpoczętej już rozmowy, a w zachowaniu jego tyle było wesołej prostoty, że rozbroiłaby samego diabła. Mr Tyrrel uważał prawdopodobnie, że rozmowa Mr Falklanda z Miss Hardingham jest zdawkową grzecznością i oczekiwał, że ten lada chwila przejdzie gdzie indziej.

Tymczasem w towarzystwie wszczął się ruch, sposobiono się do tańca i

Mr Falkland oznajmił to Miss Hardingham.

— Pozwól pan — przerwał gwałtownie Mr Tyrrel — ta pani jest moją partnerką.

— Nie sądzę, proszę pana, ta pani raczyła przyjąć moje zaproszenie.

— Powiadam panu, że nie. W sercu tej pani zajmuję zaszczytne miejsce i nie ścierpię, by ktokolwiek jak intruz wchodził w moje prawa.

— Nie chodzi w tej chwili o uczucia tej pani.

— Dosyć tego próżnego gadania. Usuń się pan!

Mr Falkland z uprzejmością odparł natarcie przeciwnika:

— Po cóż te spory — rzekł z pewną stanowczością — udamy się do mistrza ceremonii, który jest osobą powołaną do decyzji w takich nieporozumieniach, jeśli nie możemy załatwić tego sami. Nie możemy wszak tu, wobec dam, popisywać się naszym męstwem i dlatego wesoło poddamy się jego wyrokowi.

— Niech mnie piekło pochłonie, jeśli wiem, o co chodzi...

— Powoli, nie zamierzałem pana obrazić, ale nikt na świecie nie wstrzyma mnie od tego, bym bronił raz przez siebie nabytych praw.

Mr Falkland wyrzekł te słowa z największym w świecie spokojem. Mówił głosem nieco podniesionym, lecz bez cienia szorstkości czy zniecierpliwienia. Było coś tak urzekającego w jego sposobie bycia, że przeciwnik z wściekłości popadł jakby w odrętwienie.

Miss Hardingham poczęła już czynić sobie wyrzuty za ów eksperyment, ale obawy te szybko zostały rozwiane dzięki pełnej godności postawie jej nowego partnera. Mr Tyrrel odszedł nie wyrzekłszy ani słowa. Odchodząc mełł w ustach jakieś przekleństwo, którym przysłuchiwać się nie nakazywały już Mr Falklandowi prawa honoru, a które zrozumieć dokładnie niełatwym zresztą byłoby zadaniem. Mr Tyrrel nie dałby może tak łatwo za wygraną, gdyby zdrowy rozsądek nie pouczył go w oka mgnieniu, że jakkolwiek śpieszno mu do pomsty, nie na tym gruncie wypada mu jej szukać. Nie mogąc jednak jawnie wystąpić w obronie swego ponizonego autorytetu, pielęgnował urazę skrycie w zakamarkach złośliwego umysłu. I widoczne było, że gromadzi siły do gorzkiego ze swym przeciwnikiem porachunku, którego, jak wierzył, uda mu się pewnego dnia

dokonać.

## ROZDZIAŁ IV

Oto jeden z niezliczonych przykładów drobnych ponizeń, które Mr Tyrrel musiał wycierpieć z powodu Mr Falklanda, a które z każdym dniem zdawały się mnożyć. We wszystkich tych wypadkach Mr Falkland zachowywał się tak nienagannie, że reputacja jego tylko rosła. Im bardziej Mr Tyrrel walczył ze swą klęską, tym bardziej stawała się ona widoczną, tym silniej ugruntowaną. Tysiące razy przeklinał zły los, który — jak mniemał — znajdował złośliwą przyjemność, by na każdym kroku czynić Mr Falklanda narzędziem jego upokorzeń. Przytłoczony szeregiem niepomyślnych wypadków, cierpiał głęboko z powodu każdego wyróżnienia, jakie spotykało jego przeciwnika, nawet w dziedzinach, w których on sam nie szukał żadnego wyróżnienia. Taki się właśnie wydarzył wypadek. Mr Clare, poeta, którego dzieła nieśmiertelną chwałą okryły jego rodzinną ziemię, usunął się był niedawno w zacisze po życiu spędzonym w najwznioślejszych trudach ducha i osiadł w najbliższym sąsiedztwie, aby tu cieszyć się dostatkiem i sławą zdobytymi w ciągu długiego żywota. Okoliczna szlachta otaczała tego sąsiada uwielbieniem. Głęboką dumą napawała ich świadomość, że ten, który jest chlubą Anglii, urodził się w ich okolicy. Nie szczędzili też objawów wdzięczności wobec człowieka, który opuściwszy ich dla poszukiwania przygód, wracał u schyłku dni uwieczony sławą i dostatkiem. Czytelnik zna jego dzieła: zapewne zachwycał się nimi i nie potrzebują przypominać mu, jak są wysmienite. Być może jednak obce mu są jego osobiste zalety i nie wie, że konwersacja poety równie była zachwycająca jak płody jego pióra. W towarzystwie on jeden zdawał się być nieświadomym wielkości swej sławy. Dla świata pisma jego na długo pozostaną rodzajem sprawdzianu, czego umysł ludzki zdolny jest dokonać; nikt jednak nie dostrzegał ich wad z większą niż on przenikliwością, nikt jaśniej od niego nie widział, jak wiele jeszcze

pozostawało do zrobienia; on jeden zdawał się spoglądać na swe prace z wyższością i obojętnością. Jednym z najwybitniej wyróżniających go rysów była niezmacona słodycz i wyrozumiałość, która na błędy bliźnich kazała patrzeć bez odrobiny gniewu i sprawiała, że nikt nie mógł być jego wrogiem. Szczerze i otwarcie wytykał ludziom błędy, a napomnienia jego zadziwiała i przekonywała, nie sprawiając przykrości tym, do których były skierowane. Ludzie wiedzieli, że owe napomnienia są narzędziem, które ma usunąć ich niedoskonałości, i że to narzędzie nigdy nie rani tych, których zamierza uzdrowić. Takie były zalety moralne, które wyróżniały poetę spośród grona znajomych. Walory zaś umysłowe, jakie przejawiał, były to przede wszystkim łagodny zapał i bogactwo wyobraźni, które mowie jego nadawało naturalny polot i taką łatwość, że tylko odtwarzając w pamięci to, co powiedział, można było uświadomić sobie ową zdumiewającą różnorodność myśli poruszonych w toku rozmowy.

Niewątpliwie Mr Clare niewielu znalazł ludzi na tej prowincji, którzy mogliby dzielić jego myśli i rozrywki. Kryć się w samotności i przebywać chętniej w lasach i gajach niżli w gronie podobnych sobie tęgich i pojętnych umysłów — zawsze było jedną ze słabości wielkich ludzi. Od chwili jednak kiedy Mr Falkland przybył w te strony, Mr Clare wyróżniał go w najbardziej pochlebny sposób. Ten genialny a przenikliwy człowiek nie potrzebował długich doświadczeń, aby odkryć wady i zalety każdego z ludzi, z którymi się stykał. Przesłanki, na których opierał swe sądy, od dawna już gromadził i można było niemal powiedzieć, że teraz, u schyłku swego świetnego życia, jednym spojrzeniem przenikał naturę człowieka. Cóż dziwnego zatem, że zainteresował go umysł w pewnej mierze pokrewny jego własnemu? Lecz w chorobliwej wyobraźni Mr Tyrrela każde wyróżnienie jego sąsiada zdawało się być obelgą umyślnie skierowaną przeciw niemu samemu. Z drugiej strony, Mr Clare, choć w napomnieniach swych łagodny i życzliwy do tego stopnia, że nie sposób było obrazić się na niego — nie był wcale oszczędny w pochwałach, nie wahał się też robić użytku z powagi, jaką się cieszył, aby zasługom innych oddać sprawiedliwość.

Zdarzyło się pewnego razu, że podczas jednego z owych towarzyskich

zebrań, na którym byli obecni Mr Tyrrel i Mr Falkland, w jednym z licznych kółek, na jakie rozbiło się całe towarzystwo, rozmowa zesłała na poetyckie talenta tego ostatniego.

Jedna z dam wyróżniająca się rozumem i bystrością powiedziała, że miała zaszczyt widzieć świeżo napisany poemat Mr Falklanda zatytułowany *Oda do ducha rycerskości*, który wydał się jej wyborny. Całe towarzystwo zapłonęło natychmiast ciekawością, a dama dodała, że posiada przy sobie kopię poematu i że gotowa jest służyć nią zebrany pod warunkiem, że nie będzie to niemiłe autorowi. Wtedy wszyscy zaczęli prosić Mr Falklanda, aby uczynił zadość ich życzeniom, a Mr Clare, który również był obecny, poparł tę prośbę.

Nic bowiem nie sprawiało temu dżentelmenowi takiej przyjemności, jak zetknięcie się ze świetnym umysłem i oddanie mu sprawiedliwości. Mr Falkland nie miał w sobie ani fałszywej skromności, ani afektacji i z ochotą wyraził zgodę.

Mr Tyrrel siedział przypadkowo niedaleko tego kółka. Trudno przypuszczać, aby obrót, jaki wzięła rozmowa, był mu przyjemny. Wyglądał, jakby pragnął się usunąć, ale nieznaną jakąś siłą niby czary jakieś zatrzymała go na miejscu i zmusiła, by wypił aż do dna kielich goryczy, który zgotowała mu własna zazdrość.

Poemat został odczytany przez Mr Clare'a, który obok innych talentów posiadał niepoślednią doskonałość dykcji. Prostota, głębokie zrozumienie i siła towarzyszyły mu nieodstępnie w ciągu lektury i nie łatwo wyobrazić sobie bardziej wytworną rozkosz niż znajdowanie się w liczbie tych, którym szczęśliwy los pozwolił zostać jego słuchaczami. Jakoż piękno poematu Mr Falklanda zabłysło w całej krasie. Każde z potężnych uczuć autora zostało przekazane słuchającym. Gwałtowność i powaga zostały oddane z odpowiednim uczuciem, głosem płynnym i naturalnym. Obrazy wyczarowane twórczą wyobraźnią poety stawały przed oczyma jak żywe, to przejmując duszę zabobonnym lękiem, to znów zachwycając bogactwem piękna.

Pewne rysy cechujące słuchaczy zostały już nakreślone. Byli to po większej części ludzie prości, nieuczni, o niewielkiej ogładzie. Jeśli w ogóle



czytali poezje, to czynili to wiedzeni siłą naśladownictwa i niewielkie znajdowali w nich rozkosze. Ten jednak poemat nosił szczególne znamię płomiennego natchnienia. Wielu z nich prawdopodobnie nie oceniłoby go przeczytawszy, ale w interpretacji Mr Clare'a docierał do głębi serca. Skończył: i tak jak przedtem fizjonomie słuchaczy wyrażały przejęcie głębokimi uczuciami utworu, tak teraz prześcigali się w wyrażaniu swego podziwu. Były to dla nich całkiem nowe przeżycia. Jeden przemówił, drugi, jakby wiedziony nieświadomym nakazem, podjął i ciągnął dalej, a niekunsztowne i przerywane zdania, w jakie oblekali swoje pochwały, czyniły je tym bardziej szczególnymi i godnymi uwagi. Najtrudniejsze jednak do zniesienia dla Mr Tyrrela było zachowanie Mr Clare'a. Oddawszy manuskrypt damie, od której go otrzymał, zwrócił się następnie do Mr Falklanda mówiąc głosem dobitnym i ożywionym:

— Dobrze zrobione. Dobre pióro. Zbyt dużo już widziałem ciężkich prób zrodzonych ze scholarskiego wysiłku i sielankowych piosenek, chorych na brak jakiegokolwiek sensu. Takich jak pan nam potrzeba. Nie zapominaj pan jednak, że Muza darzy cię łaską nie po to, by bezczynność przystrajać wykwintem, lecz dla wyższych i bardziej szacownych celów. Niech czyny twoje będą na miarę twego przeznaczenia.

W chwilę później Mr Clare opuścił zgromadzenie wraz z Mr Falklandem oraz dwiema czy trzema innymi osobami. Skoro tylko oddalili się, Mr Tyrrel przysunął się bliżej. Tak długo siedział był w milczeniu, że teraz zdawało się — lada chwila wybuchnie goryczą i oburzeniem.

— Bardzo piękne wierszyki — powiedział na wpuł do siebie, nie zwracając się specjalnie do nikogo — ha, cóż, zupełnie dobre wiersze. Niech to piorun trzaśnie! Chciałbym tylko wiedzieć, na co się zda choćby cały statek tego towaru.

— Ależ przyzna pan z pewnością — odrzekła dama, która zapoznała zebranych z odą Mr Falklanda — że poezja jest miłą i wytworną rozrywką.

— Zaiste wytworna! Proszę, wystarczy spojrzeć na tego Falklanda. Jakie to kruche, jaka delikatna robota! Do diabła, czy myślisz pani, że on pisałby wiersze, gdyby zdolny był do czegoś lepszego?

Rozmowa nie stanęła na tym. Dama przekładała swe racje. Przyłączyło

się jeszcze parę innych osób będących pod świeżym wrażeniem tego, co dopiero co odczuwali. Mr Tyrrel stawał się coraz gwałtowniejszy w swych przycinkach i nie znajdował żadnej przeszkody w ich wypowiedaniu. Wszyscy, którzy mogliby w pewnej mierze powściągnąć jego zapalczywość, byli nieobecni. Ci, którzy zabierali głos, milkli teraz jeden po drugim, zbyt lękliwi, by oponować jego dzikiej pasji, lub nadto gnuśni, by jej stawić czoła. On wiedział, że odzyskuje znów dawną przewagę, czuł jednak, jak złudna jest i nietrwała, i ogarniało go posępne niezadowolenie.

Mr Tyrrel wracał z owego zebrania w towarzystwie pewnego młodzieńca, który z racji podobnego usposobienia stał się jednym z jego najbliższych powierników. Kierując się do swych domów przez pewien czas jechali razem. Można by sądzić, że Mr Tyrrel dał wystarczający upust swym śledziennym humorom w niedawno zakończonej rozmowie. Nie mógł jednak zapomnieć bolesnych, dopiero co przeżytych chwil:

— Przeklęty Falkland! — zaczął. — Cóż to za nędzny łajdak! Żeby tyle wrzawy robić dokoła jego osoby. Ale kobiety i głupcy pozostaną głupcami, nie ma na to rady. Bardziej winni są tu ci, z których poduszczenia wszystko to się dzieje: a najbardziej z wszystkich — Mr Clare. Wszakże to człowiek, który powinien wiedzieć coś niecoś o świecie i nie przystoi mu dać się oszukać bzdurnymi błyskotkami i tanim szychem. Zdawałoby się, że powinien znać się na rzeczy: nigdy bym go nie podejrzewał o to, by niegodnie i nierozumnie podszczuwał sforę kundłów. Ale widać już cały świat taki. Ci, co się zdają lepsi od swych sąsiadów, są tylko przebieglejsi. Do tego samego zmierzają, choć inną obierają drogę. Zmylił mnie, ale na krótko: teraz wszystko wyszło na jaw. To właśnie są szkodnicy. Głupcy mogą pobłądzić, ale nie trwaliby w błędzie, gdyby ludzie, których zadaniem jest wskazywać im słuszną drogę, nie wskazywali im złej.

W parę dni po owym wydarzeniu Mr Tyrrel zaskoczony został wizytą Mr Falklanda. Bez dłuższych ceremonii Mr Falkland przystąpił do wyjaśnienia celu swego przybycia.

— Przybyłem — powiedział — aby dojść z panem do przyjaznego porozumienia.

— Porozumienia? A jakąż jest moja wina? — spytał Mr Tyrrel.

— Nie ma najmniejszej i dlatego, tuszę, najodpowiedniejsza jest to pora, by osiągnąć prawdziwe porozumienie.

— Diabelnie się pan śpieszysz. Takiś pan pewny, że ten pośpiech zamiast doprowadzić do porozumienia, nie popsuje sprawy?

— Myślę, że tak. Pokładam wielką wiarę w czystość moich intencji i nie wątpię, że gdy dostrzeże pan cel, który mnie tu sprowadza, z ochotą przyjdzie mi pan z pomocą.

— A może — Mr Tyrrel na to — nie będziemy tu mogli dojść do zgody. Jeden człowiek myśli tak, drugi zaś inaczej. Być może, już teraz nie znajduję powodów, abym był z pana zadowolony.

— I to możliwe. Nie mogę jednakowoż siebie obwiniać, abym dał panu powód do tego niezadowolenia.

— Słuchaj pan, nie masz prawa wyprowadzać mnie z równowagi! Jeśliś pan przyszedł drwić ze mnie i wypróbować, com ja za jeden, to niech mnie piekło pochłonie, jeśli znajdziesz przyczynę, by być sobie wdzięcznym za ów eksperyment.

— Nic łatwiejszego od kłótni — odpowiedział Mr Falkland. — Jeśli pan jej pragnie, nie ma obawy, by nie znalazł pan sposobności.

— Do stu diabłów! Pewny jestem, że pan przyjechał tu do mnie brewerie wyprawiać.

— Bądź pan łaskaw strzec się! — wybuchnął Mr Falkland.

— Strzec się? A czegoż to, jeśli łaska? Grozisz mi pan? Niech mnie piekło pochłonie! Po coś tu pan przyjechał?

Zapalczywość Mr Tyrrela przywiodła jego gościa do opamiętania.

— Niewłaściwie postępuję — powiedział Mr Falkland. — Przyznaję to. Przybyłem w celach pokojowych. Z tym zamiarem pozwoliłem sobie pana odwiedzić. Dlatego, jakiegokolwiek byłyby moje uczucia w innych okolicznościach, zmuszony jestem stłumić je teraz.

— Ha! Cóż pan jeszcze proponujesz?

— Z łatwością dojdzie pan do przekonania — ciągnął dalej Mr Falkland — że przyczyna, która mnie tu sprowadziła, nie należy do błahych. Nie byłbym niepokoił pana odwiedzinami, gdyby nie poważne powody. Przybycie moje jest rękojmią, jak głęboko sam jestem przejęty tym, co mam

panu zakomunikować. Położenie nasze jest krytyczne. Stoimy o krok od groźnego odmetu, który raz pochwywszy nas udaremni dalsze próby porozumienia. Nieszczęsna zazdrość, którą chętnie bym zniweczył, wkradła się między nas: przybyłem prosić pana o pomoc. Obu nam nie zbywa na żywości temperamentu, obaj skłonni jesteśmy do zapalczywości, obaj głęboko zawzięci. W obecnym stanie rzeczy przezorność żadnemu z nas nie może przynieść ujmy; może nadejść czas, kiedy żałować będziemy, żeśmy jej nie zachowali, a stwierdzić nam przyjdzie, że już za późno. Czemuż mielibyśmy być nieprzyjaciółmi? Upodobania nasze są odmienne; dążenia nasze nie muszą stać sobie na zawadzie. Obaj w pełni posiadamy możliwość szczęścia: możemy, poważani przez wszystkich, żyć długo w spokoju i weselu. Czy roztropne byłoby taki obraz przyszłości zamieniać na owoce zwady? Zwada między ludźmi o naszych właściwościach charakteru, o nam właściwej słabości wiedzie za sobą skutki, o których lękam się myśleć. Obawiam się, panie, że brzemienna być może w śmierć dla jednego z nas przynajmniej, dla tego zaś, który przeżyje — w niedolę i zgryzoty sumienia.

— Na honor, dziwny z pana człowiek! Czemu dręczysz mnie swymi wróżbami i prorocत्वami?

— Dla pańskiego szczęścia! — mówił Mr Falkland. — Albowiem stosownym mi się wydaje teraz raczej zwrócić uwagę pana na grożące nam niebezpieczeństwo aniżeli czekać chwili, kiedy nie będę już mógł tolerować rzeczy z obecnym spokojem. Dopuszczając do zwady będziemy jeno naśladowcami niezliczonych przedstawicieli rodzaju ludzkiego, którzy na naszym miejscu powadziliby się zapewne. Czy nie stać nas na coś lepszego? Okażmy wielkoduszność wobec błahych nieporozumień. Postępowanie takie tylko zaszczyt przynieść nam może. Inaczej staniemy się jedynie zabawnym widowiskiem dla uciechy znajomych.

— Tak pan myślisz? Być może, jest w tym coś z słuszności. — Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli zgodzę się być przedmiotem żartów jakiegokolwiek żywej istoty.

— Ma pan rację. Postępujemy obaj w ten sposób, by jak najłaciej zapewnić sobie szacunek. Żaden z nas nie pragnie zmienić swej drogi;

pozwólmy, aby każdy w spokoju podążał swoim szlakiem. Taka niech stanie między nami ugoda i niech wzajemne pobłażanie będzie rękojmią pokoju między nami.

Mówiąc to Mr Falkland wyciągnął dłoń do Mr Tyrrela na dowód przyjaznych uczuć. Ale gest ten był zbyt nieoczekiwany. Uparty prostak, którego słowa Mr Falklanda poruszyły cokolwiek, cofnął się zaskoczony. Mr Falkland gotów już był zapłonąć gniewem na tę nową zniewagę, lecz pohamował się.

— Wszystko to jest niepojęte! — zawołał Mr Tyrrel. — Skąd, u diabła, ta serdeczność, jeśli nie kryje się za nią jakiś przebiegły zamiar, aby mnie obezwładnić.

— Zamiary moje — odpowiedział Mr Falkland — są szlachetne i godne mężczyzny. Czemuż miałby pan odrzucić propozycję dyktowaną przez rozum i korzystną dla nas obu?

Mr Tyrrel ochłonął tymczasem i znowu był sobą.

— Przyznaję, że jest w tym wszystkim coś z szczerości. Odplacę się panu tym samym. Mniejsza, jak się to stało, dość, że mam wybuchowy charakter, który się nie da poskromić. Być może, uznasz to pan za słabość, ale ja nie pragnę w nim żadnych zmian. Zanim pan tu przybyłeś, wszystko szło mi jak najlepiej: lubiłem swoich sąsiadów, a oni mi nadskakiwali. Ale teraz wszystko się zmieniło. Nie mogę wprost kroku zrobić, by nie spotkać się z jakimś poniżeniem, którego pan jesteś bezpośrednią lub pośrednią przyczyną. Tak długo, jak to będzie trwało, będę pana nienawidzić. Przeto jeśli zabierzesz się pan z naszego hrabstwa lub w ogóle z kraju, i to do diabła, jeśli łaska, abym nigdy więcej o tobie nie słyszał, to, mój panie, przyrzekam ci nie szukać z tobą zwady do końca mego życia! A wtedy niech sobie pańskie rymy i zagadki, pańskie żarciki i błazeństwa będą znakomite.

— Okaż pan więcej umiarkowania! — zawołał Mr Falkland. — Czy nie mógłbym równie dobrze pragnąć, abyś to pan opuścił nasze hrabstwo, jak pan pragnie, bym ja to uczynił? Przybyłem do pana nie jako do zwierzchnika, ale do równego sobie. W społeczności ludzkiej wypada nam nie tylko znajdować radość, ale czasem i znosić przykrości. Nikomu nie

wolno myśleć, że świat został dla niego stworzony. Bierzmy rzeczy, jakimi są, i stosujmy się, jak możemy, do okoliczności, których uniknąć nie podobna.

— Racja. Dobrze pan mówisz. Ale powracam do tego, com powiedział: jesteśmy tacy, jakimi nas Pan Bóg stworzył. Ja tam nie jestem ani filozofem, ani poetą i nie myślę wiatru gonić po polu próbując zmienić siebie w innego człowieka niż ten, którego pan widzisz przed sobą. Co zaś do skutków: co ma być, będzie. Jakies piwo nawarzył, takie wypić musisz. A zatem wiesz pan co? Nie będę się frasował tym, co być może, ale z mężnym sercem przyjmę, co przyjdzie. To tylko powiem panu: jak długo będę widział, że co dzień pchasz się pan do mojej miski, obmierzły mi pan będziesz jak senes lub waleriana. I niech mnie diabli porwą, jeżeli nie obmierzłeś mi jeszcze bardziej przybywszy dzisiaj jak natręt, kiedy nikt pana nie prosił, po to tylko, aby okazać, o ile mądrzejszy jesteś pan od całej reszty świata.

— Uczyniłem, co do mnie należało — odpowiedział Mr Falkland. — Przewidując rozwój wypadków, przybyłem jak przyjaciel. Żywiłem nadzieję, że wyjaśniwszy sobie wzajemnie niejedno łącniej dojdziemy do porozumienia. Zawiodłem się, lecz być może, kiedy spokojnie rozważy pan, co zaszło, uwierzy pan w moje intencje i pomyśli, że propozycja moja nie była nierozsądna.

Powiedziawszy to Mr Falkland oddalił się.

Niewątpliwie przez cały czas tej rozmowy zachowywał się w sposób przynoszący mu jak największy zaszczyt. Nie zdołał jednak zupełnie stłumić swej zapalczywości. Kiedy postępowanie jego było w pełni przykładne, w manierach przebijała wyniosłość jakby obliczona na podrażnienie rozmówcy, prawdziwe zaś dostojeństwo, z jakim opanowywał swe namiętności, ten odniosło skutek, jak gdyby było drwiną z przeciwnika. Pobudką do tego spotkania były najszlachetniejsze uczucia, to pewne jednak, że przyczyniło się ono do pogłębienia rozłamu, któremu — w zamierzeniach Falklanda — miało zaradzić.

Co do Mr Tyrrela, to uciekł się do swego zwykłego sposobu i by ulżyć zamętowi swych myśli, podzielił się nimi z zaufanym przyjacielem.

— Oto — wołał — nowa sztuczka tego jegomościa, jaką wymyślił, by dowieść swej domniemanej wyższości. Wiedzieliśmy dobrze, że ten to potrafi gadać. To pewne, że gdyby słowami można było świat zawojować już by on sobie potrafił dać radę. O tak, wszystko by mu stało otworem. Ale co warte jest takie bajanie? Myślę, że działać trzeba w inny sposób. Sam nie wiem, co mi się stało, że go nie wyrzucił za drzwi! Ale na wszystko przyjdzie czas. To tylko jeszcze jedna pozycja dopisana na jego rachunku, który mi pewnego dnia z nawiązką zapłaci.

Ten Falkland prześladowuje mnie jak szatan. Myślę o nim na jawie. Oglądam we śnie. Zatrzuwa wszystkie moje uciechy. Chciałbym go widzieć rozrywanego kleszczami i sam bym mu wygryzł serce. Nie zaznam radości, póki nie ujrzę własnymi oczyma jego zguby. Być może, jest w nim i coś dobrego; ale dla mnie jest wieczną udręką. Myśl o nim ciąży memu sercu jak kamień i mam prawo zrzucić ten ciężar. Czyż on myśli, że będę znosił to wszystko, co cierpię bez winy?

Jednakowoż, mimo nieprzyjaznych uczuć, jakie Mr Tyrrel żywił dla swego rywala, prawdopodobnie oddał mu wreszcie sprawiedliwość. Spoglądał na niego, prawda, ze wzmożoną niechęcią, ale już nie jak na wroga godnego wzdargy. Unikał teraz swego przeciwnika; strzegł się traktować go z nieprzemyślaną wrogością: zdawał się czaić w zasadzce i zbierać siły do śmiertelnego ataku na swą ofiarę.

## ROZDZIAŁ V

W niedługi czas potem wybuchła w okolicy złośliwa choroba, która postępując z niesłychaną szybkością, okazała się fatalna w swych skutkach dla niejednego z mieszkańców.

Jeden z pierwszych uległ jej Mr Clare. Łatwo pojąć, jak wielki smutek i niepokój wypadek ten wzbudził w całym sąsiedztwie. Mr Clare uważany był tu za coś więcej od zwykłego śmiertelnika. Jego wewnętrzna równowaga pozbawiona pretensji, wzięcie, wielka życzliwość i dobroć serca połączona z talentem, dowcipem i wyrozumiałością umysłu czyniły go bożyszczem wszystkich, którzy go znali. W tym wiejskim zaciszu w każdym razie nie miał ani jednego nieprzyjaciela. Smutek ogarnął ludzi na myśl o grożącej mu śmierci. Zdawało się, że ma jeszcze przed sobą długą drogę życia i zejdzie do grobu przeżywszy wiele lat, syt życia i sławy. Może były to tylko zwodnicze pozory. Może wysiłek umysłowy nie znający chwili wytchnienia, zbyt czasem gwałtowny, nie liczący się ze zdrowiem, pozostawił po sobie zalążek przyszłych niedomagań. Ale optymistyczny obserwator prorokowałby niezawodnie, że umiarkowanie obyczajów, żywość umysłu i niezmacona wesołość zdolne będą nawet śmierci stawić przez pewien czas czoło i udaremnić ataki choroby, byleby nadejście jej nie było niezwykle szybkie i gwałtowne. Dlatego też smutek, jaki ogarnął wszystkich, był podwójnie bolesny.

Nikogo jednak wydarzenie to nie obeszło tak mocno jak Mr Falklanda. Nikt może tak dobrze jak on nie rozumiał wartości tego życia, o które szła stawka. Przybył natychmiast na miejsce, lecz tu napotkał na pewne trudności: nie chciano go dopuścić. Mr Clare wiedząc, że choroba jest zaraźliwa, wydał polecenie, aby jak najmniej ludzi zbliżało się do niego. Mr Falkland podał swoje nazwisko. Odpowiedziano mu, że i do niego stosuje się ogólne rozporządzenie. Mr Falkland nie był jednak z tych, co łatwo dają



za wygraną. Nalegał uporczywie i w końcu postawił na swoim. Musiał jednak obiecać, że zastosuje się do przepisów ostrożności, które — jak uczy doświadczenie — chronią przed zarażeniem.

Falkland zastał Mr Clare'a w sypialni, lecz nie w łóżku. Siedział w szlafroku przy biurku opodal okna. Wyglądał na pozór spokojny i wesoły, ale na twarzy jego była już śmierć.

— Miałem szczerą ochotę — powiedział — nie pozwolić panu wejść tutaj; zarazem niczyj w świecie widok tyle by mi nie sprawił radości. Lecz przemyślawszy rzecz lepiej, sądzę, że niewielu ludzi, narażając się na podobne niebezpieczeństwo, większe ma widoki od pana, by wyjść cało. Spodziewam się przynajmniej, że w pańskim wypadku załodze nie grozi zdrada ze strony dowództwa. Nie potrafię powiedzieć, jak się to stało, że ja, który panu zalecam roztropność, sam się zaraziłem. Ale niech mój przykład nie odbiera panu odwagi. Nie dostrzegłem zbliżającego się niebezpieczeństwa, w przeciwnym bowiem razie lepiej bym się wywiązał z zadania.

Mr Falkland, dostawszy się wreszcie do mieszkania swego przyjaciela, za żadną cenę nie chciał go opuścić. Mr Clare uznał, że z postanowieniem tym wiąże się, być może, mniejsze niebezpieczeństwo niżli z częstym przechodzeniem od zdrowego do skażonego powietrza; zaprzestał więc swych wyrzutów.

— Kiedyś pan wszedł — powiedział do Mr Falklanda — kończyłem właśnie spisywać ostatnią wolę. Nie byłem zadowolony z tego, co poprzednio skreśliłem w tej materii, a nie chciałem w obecnej mojej sytuacji wzywać jurysty. Istotnie dziwne byłoby, gdyby człowiek rozumny, o czystych i jasnych zamiarach niezdolny był sam tego dokonać.

Zachowanie Mr Clare'a cechował zwykły mu spokój i swoboda, jak gdyby był w najlepszym zdrowiu. Sądząc z pogodnego głosu i pewności ruchów, nikt by nie pomyślał, że to człowiek umierający. Chodził, rozprawiał, żartował, a wszystko w sposób, który dowodził doskonałego panowania nad sobą. Lecz na twarzy jego z każdym kwadransiem widać było zmianę na gorsze. Mr Falkland nie spuszczał zeń badawczego spojrzenia, w którym malowało się po społu uczucie niepokoju i podziwu.

— Przyjacielu — zwrócił się do Falklanda po krótkiej chwili, podczas której zdawał się pogrążony w zadumie — czuję, że umieram. Dziwna to choroba. Wczoraj jeszcze zdawałem się zdrowy, a jutro już stanę się nieczułym trupem. Jak misterna jest granica, która dla nas śmiertelnych oddziela życie od śmierci! Być w jednej chwili czynnym, wesołym, byстрыm, mieć do dyspozycji zasób wiedzy i zdolność zachwycania, nauczania i wzruszania ludzi... i już w następnej chwili martwym i obmierzłym, zakałą na obliczu ziemi! Oto los wielu — i mnie nie inny przypadnie.

Czuję, że jeszcze dużo miałbym do zrobienia w życiu, ale nie sądzono mi. Muszę zadowolić się tym, co już dokonane. Na próżno gromadzę w sercu siły ducha. Nieprzyjaciel jest zbyt potężny, zbyt dla mnie bezlitosny, nie da mi nawet tyle czasu, bym zdołał odetchnąć. Te rzeczy, przynajmniej jak dotąd, nie są w naszej mocy: należą do wielkiego pasma nieustannych przemian. Powszechne szczęście trwać będzie dalej i ogromny kołowrót wszechświata nie stanie, choć ja nie będę już uczestniczył w trudzie popychania go naprzód. Ten trud zachowany jest dla młodszych, dla pana i takich jak pan. Doprawdy zasługivalibyśmy na wzgardę, gdyby nadzieja na ludzkie doskonalenie się nie sprawiała nam czystej i niezmaconej rozkoszy niezależnie od tego, czy sami istnieć będziemy, by w nim mieć swój udział. Ludzie niewiele by mieli do pozazdroszczenia przyszłym wiekom, gdyby cieszyli się tak doskonałą pogodą ducha, jaka była moim udziałem w drugiej połowie mego życia.

Przez cały dzień Mr Clare nie kładł się, oddając się spokojnym i miłym zajęciom, które lepiej może nadawały się do tego, by pokrzepić i wzmocnić ciało, niż gdyby szukał był wypoczynku w jego bezpośredniej formie. Od czasu do czasu opadały go nagłe bóle; lecz on znosił je z ogromną pogodą ducha, uśmiechając się na widok bezsilności ataków choroby. Mogły go zniszczyć, nie mogły naruszyć jego spokoju. Trzy czy cztery razy wystąpiły nań obfite poty; po nich zaś z kolei następowała ogromna suchość i gorączka. Ciało jego pokryły drobne sine plamy. Czuł nadchodzące dreszcze, lecz opanował je siłą woli. Potem uspokoił się, a po jakimś czasie postanowił położyć się, gdyż była już noc.

— Przyjacielu — powiedział ściskając dłoń Falklanda — umieranie nie

jest tak trudne, jak to sobie niektórzy wyobrażają. Kiedy człowiek, stojąc już jakby na krawędzi, spogląda wstecz, dziw bierze, że tak tanio przychodzi mu okupić tę całkowitą zagładę wszystkiego, co było dotąd.

Potem przez parę chwil leżał nie odzywając się i Mr Falkland miał nadzieję, iż zasnął, ale mylił się. Nagle Mr Clare uchylił zasłony łoża i spojrzał w twarz przyjaciela.

— Nie mogę spać — powiedział. — Nie, gdybym mógł zasnąć, byłoby to to samo co ozdrowieć, mnie zaś los przeznaczył zginąć w tej bitwie.

A zwracając się do Falklanda:

— Myślałem o panu — rzekł. — Nie znam człowieka, do którego przyszłości przywiązywałbym tyle nadziei. Uważaj pan na siebie. Masz wielkie cnoty, nie marnuj ich. Znam pańską słabość na równi z siłą. Masz w sobie porywczosć i niecierpliwość na urojone zniewagi, a te cechy — raz źle pokierowane — mogą uczynić z pana jednostkę wyjątkowo szkodliwą, choć w przeciwnym wypadku mógłbyś być wyjątkowo użytecznym. Trzeba poważnie pomyśleć nad tym, by przywarę tę wyplenić.

Skoro jednak nie mogę spowodować w panu owej poddanej zmiany przez te skąpe uwagi, na jakie mi pozwala moje położenie, jedno przynajmniej mogę. Mogę ostrzec pana przed nieszczęściem, które wisi nad panem. Strzeż się Mr Tyrrela. Uważaj, byś nie popełnił błędu wzgardziwszy nim, jako nierównym sobie przeciwnikiem. Błahe przyczyny sprawić mogą wielkie nieszczęścia. Mr Tyrrel jest chełpliwy, przykry i okrutny; pan zaś jesteś zbyt gwałtowny, zbyt ostre masz poczucie doznanej obrazy. Doprawdy, byłoby to godne pożałowania, gdyby człowiek o tyle niżej stojący, tak zupełnie niegodny nawet zestawienia z panem, zdołał zmienić koleje pańskiego życia w pasmo niedoli i przewinień. Mam jakieś bolesne przecucie, że coś straszliwego dosięgnie cię z tej strony. Pomyśl o tym. Nie wymagam od pana obietnic. Nie chcę krępować pana więzami jakichś przesadnych przewidywań, pragnę tylko, byś kierował się sprawiedliwością i rozwagą.

Te słowa do głębi poruszyły Mr Falklanda. Tak bardzo przy tym odczuł wielkoduszność Mr Clare'a, który w takiej chwili jemu poświęcał uwagę, że odebrało mu to prawie mowę. Odpowiadał krótkimi zdaniem, z widocznym

wysiłkiem.

— Będę postępował lepiej — zapewniał. — Niech się pan nie lęka o mnie! Nie zapomnę o pańskich napomnieniach.

Mr Clare zmienił temat rozmowy.

— Uczyniłem pana egzekutorem mojego testamentu: nie odmówisz mi tej ostatniej przyjacielskiej przysługi. Niedawno dopiero miałem szczęście poznać pana, ale w tym krótkim czasie dużo o panu myślałem i dobrze go zrozumiałem. Proszę nie zawieść nadziei, jaką w panu pokładam!

Pozostawiłem parę legatów. Wszyscy moi dawni znajomi, z czasów kiedy prowadziłem życie ruchliwe i wiele bywałem w świecie, wszyscy, których łączyła ze mną zażyłość — są mi drodzy. Nie miałem czasu, by wezwać ich dziś do siebie, anim tego pragnął. Ufam, że pamięć o mnie na szlachetniejszych oprze się podstawach, niż to zazwyczaj bywa w podobnych wypadkach.

Ulżywszy w ten sposób swym myślom, Mr Clare zamilkł na parę godzin. Kiedy zaczęło świtać, Mr Falkland rozsunał ostrożnie zasłony u łoża i spojrzął na umierającego. Oczy jego były otwarte, a teraz zwróciły się łagodnie ku młodemu przyjacielowi. Policzki zapadły się, a twarz wyglądała jak martwa.

— Mam nadzieję, że panu lepiej! — powiedział Falkland półszepem, jak gdyby w obawie, by nie zakłócić spokoju chorego.

Mr Clare uniósł rękę z pościeli i wyciągnął ją do Falklanda, a on przystąpił bliżej i ujął tę dłoń.

— O wiele lepiej — odrzekł chory stłumionym, ledwie słyszalnym głosem — walka już zakończona; spełniłem, co do mnie należało. Żegnaj! I pamiętaj!

Były to jego ostatnie słowa. Żył jeszcze parę godzin; widać było, że wargi jego poruszają się; skonał bez jęku.

Przez cały ten czas Mr Falkland odczuwał ogromny niepokój. Nadzieja pomyślnego przesilenia, a jednocześnie obawa, by nie zakłócić ostatnich chwil umierającego przyjaciela, sprawiły, że milczał jak niemy. Ostatnie pół godziny stojąc wpatrywał się z napięciem w Mr Clare'a. Był świadkiem ostatniego oddechu, ostatniego, ledwie dostrzegalnego skurczu

ciała. Nie spuszczał oczu z umarłego; chwilami zdawało mu się, że życie powraca weń na nowo. W końcu nie mógł się już dłużej łudzić i wykrzyknął z szaleństwem w głosie:

— A więc to wszystko?

Chciał rzucić się na ciało przyjaciela; słudzy odciągnęli go i zmusili, by przeszedł do sąsiedniej komnaty. Lecz wyrwał się im i z tkliwością pochylił nad łóżem.

— Czy taki jest koniec talentu, cnoty i zalet? Czy ten, który był chlubą świata, odszedł na zawsze? Ach, wczoraj jeszcze, wczoraj! Clare, czemuż nie mogłem umrzeć zamiast ciebie? O straszna chwila! Niepowetowana strata! Stracony w pełni sił dojrzałego umysłu! Udaremniona przyszła pożyteczność, tysiącokrotnie cenniejsza od wszystkiego, czego dotychczas dokazał! O, to był umysł zdolny nauczać mędrców, kierować moralnością świata! Oto co nam z niego zostało! Stracona na wieki wymowa tych ust! Ucichło to serce! Odszedł najlepszy i najmądrszy z ludzi, a świat nie przeczuwa nawet swej straty!

Mr Tyrrel wysłuchiwał wieści o zgonie Mr Clare'a ze wzruszeniem całkiem innej natury. Przyznawał, że nie przebaczył mu jego stronnictwej życzliwości wobec Mr Falklanda i że dlatego nie wspomina go mile. Gdyby nawet potrafił zapomnieć o poprzednich przykrościach, to i tak — jak się zdaje — postarano się o to, by uraza jego pozostała żywa.

— Falkland pielęgnował go na łożu śmierci, jak gdyby nikt poza nim nie był godny zwierzeń zmarłego.

Ale najgorsze z wszystkiego było to, że Falkland został egzekutorem woli zmarłego.

— Ten uprzykrzony łotr na każdym polu wpycha się przede mnie. Cóż to za nędznik, nie zasługujący nawet na miano mężczyzny! Czyż wiecznie musi deptać lepszych od siebie? Czyż nikt nie zdoła przejrzeć, jaką wartość ten człowiek przedstawia? Czy każdy musi być zmylony tym tylko, co powierzchowne? Stawiać to, co słabe i ulotne, wyżej od tego, co mocne i trwałe? I to nawet na łożu śmierci? (Mr Tyrrel w swym grubiańskim nieuctwie mylił, jak się to zdarza zazwyczaj, pewne pospolite wyobrażenia religijne.)

— Choćby ze względu na swoją sytuację powinien się być wstydzić. Biedak! Dusza jego odpowie za to. Nie zaznam przez niego spokoju i jakiegokolwiek wynikną z tego skutki, jemu powinniśmy za to dziękować.

Ze śmiercią Mr Clare'a nie stało człowieka, który mógł skutecznie łagodzić nienawiść Mr Tyrrela i hamować jego wybryki. Ów wiejski tyran chcąc nie chcąc był trzymany w ryzach umyslową przewagą sławnego sąsiada i pomimo dzikości swego charakteru do ostatka zdawał się nie żywić wobec niego nienawiści. W krótkim okresie czasu, który upłynął od chwili osiedlenia się Mr Clare'a w sąsiedztwie do chwili przybycia Mr Falklanda z kontynentu, postępowanie Mr Tyrrela zdradzało nawet pewne oznaki zmiany na lepsze. Po prawdzie wolałby nie widzieć nawet tego intruza w kręgu, w którym przywykł panować. Ale o rywalizacji z Mr Clare'em nie mogło być mowy: reputacja i powszechna cześć, jaką cieszył się, skłaniała do uległości. Wielki ten człowiek bowiem stał ponad gorzką walką świata i wyrafinowaną uszczypliwością źle pojętego honoru.

Ale co do Mr Tyrrela, to łagodność Mr Clare'a chybiała skutku, a to ze względu na rywalizację między tym pierwszym a Mr Falklandem. Teraz zaś, kiedy wpływ Mr Clare'a i jego cnót ustał, charakter Mr Tyrrela doprowadzał go do jeszcze bardziej zbrodniczych wybryków niż kiedykolwiek. Sąsiedztwo Mr Falklanda pogłębiało jego zły humor, który też bez żenady okazywał wszystkim swoim znajomym; a wciąż nowe, z każdym dniem mnożące się przykłady własnego zgorzknienia i okrucieństwa Mr Tyrrela jeszcze wzmagaly w nim złowieszczą wrogość do sąsiada.

## ROZDZIAŁ VI

Na skutki jej nie trzeba było długo czekać. Następne wydarzenie w tej historii zdecydowało w pewnej mierze o katastrofie. Dotychczas materiają mojego opowiadania były tylko wstępne wypadki, na pozór nie powiązane ze sobą, a jednak wiodące obie strony do tego stanu umysłu, który pociągnął za sobą tak fatalne skutki. To, co mi zostało do opowiedzenia, jest nagłe i straszliwe. Śmiertelne nieszczęście zbliża się coraz szybszym krokiem, zdając się drwić z ludzkiego rozumu i sił, które by chciały udaremnić jego działanie.

Przybierając na sile złe skłonności Mr Tyrrela szczególnie dawały się we znaki domownikom i tym, którzy mu byli podlegli. Najbardziej cierpiała młoda sierota, wspomniana już poprzednio córka jego rodzonej ciotki. Matka Miss Melville nieopatrznie, a może raczej nieszczęśliwie, wyszła za mąż wbrew woli rodziny, która jednomyślnie odwróciła się od niej. Mąż okazał się czymś w rodzaju awanturnika. Roztrwonił jej fortunę, która na skutek nieprzejednanego stanowiska rodziny okazała się mniejsza, niż przewidywał, i złamał jej serce. Małeńka córeczka pozostała bez środków do życia. W tym stanie rzeczy relacje ludzi, u których dziecko przebywało, skłoniły Mrs Tyrrel — matkę obecnego dziedzica, by przygarnęła małą. Być może, iż po sprawiedliwości dziecku przysługiwało prawo do tej części majątku, którą matka Emilii utraciła przez swą nierozwagę, a która powiększyła jeszcze majątek męskiego przedstawiciela rodziny. Ale myśl taka nigdy nie powstała w głowie matki ni syna. Mrs Tyrrel uważała, że spełnia największe dobrodziejstwo stawiając Emilię w dość dwuznacznej sytuacji, gdyż dziewczyna nie była traktowana ani jako służąca, ani jako członek rodziny.

Zrazu jednak dziewczę nie odczuwało tych wszystkich przykrości, jakich należałoby się spodziewać w jej położeniu. Mrs Tyrrel, choć dumna i

wymagająca posłuchu, nie była kobietą złą. Niewiasta, która pełniła w domu funkcje gospodyni, była osobą pamiętającą lepsze czasy i odznaczała się niezwykle prawym i przyjemnym usposobieniem. Rychło zawarła przyjaźń z małą Emilią, która pozostawała po większej części pod jej pieczęcią. Emilia ze swej strony w pełni odpłacała uczucie swej wychowawczyni i z łatwością posiadała te niewielkie zasoby wiedzy, jakich Mrs Jakeman była w stanie jej udzielić. Ale przede wszystkim przejęła od niej usposobienie pogodne i bezpośrednie, dzięki któremu Mrs Jakeman w każdym wydarzeniu widziała coś miłego i zachęcającego, szczerze i po prostu okazując uczucia, które nigdy nie miały w sobie nic brudnego. Poza korzyścią, jaką Emilia znajdowała w towarzystwie Mrs Jakeman, wolno jej było pobierać lekcje od preceptorów zatrudnionych w domu Tyrrelów dla nauki jej kuzyna. Istotnie, gdyby nie szczęśliwa obecność Miss Melville, nie mieliby zazwyczaj co robić, jako że młody panicz najczęściej bywał nie usposobiony do lekcji. Z tej też przyczyny Mrs Tyrrel zachęcała Emilię do nauki; ponadto wyobrażała sobie, że taki żywy przykład kształcenia mógłby się stać pewną zachętą dla jej drogiego Barnaby, jako że innych argumentów wobec syna nie uznawała. Przymusu wzbraniała najsurowiej, zaś o istotnych ponętach literatury i nauk ścisłych pojęcia nie miała.

Emilia dorósłszy przejawiała niezwykle silną wrażliwość, która w jej warunkach stać by się mogła źródłem wiecznego niezadowolenia, gdyby nie szła w parze z wielką słodyczą i łatwością usposobienia. Daleko jej było do piękności. Postawę miała niezbyt okazałą i pospolitą, płeć ciemną — jakoby brunetki — a twarz poznaczoną śladami ospy w stopniu dostatecznym, by ją pozbawić gładkości i blasku, ale nie wyrazu. Lecz chociaż powierzchowność jej nie była piękna, nie przeszkadzało to dziewczynie mieć bardzo wiele powabu.

Cera jej była zarazem zdrowa i delikatna; długie, ciemne brwi zmieniały co chwila swój zarys w zależności od myśli, a cała twarz mówiła jednocześnie o bystrej przenikliwości i wesołej szczeroci.

Całkowicie przypadkowe wykształcenie, jakie otrzymała, ustrzegło ją od zupełnego nieuctwa, nie pozbawiło jednak pewnej wrodzonej naiwności i sama niezdolna do podstępów — niezdolna była dopatrywać się ich u



innych. Rozmowa z nią była przyjemna, gdyż Emilia zdawała się być nieświadoma subtelności, jaką odznaczały się jej uwagi, a raczej — nie będąc wcale zepsuta pochwałami — nie doceniała swych zalet i mówiła z czystej radości młodego serca, kierując się wrodzoną inteligencją i nie oczekując zgoła wyróżnień ni podziwu.

Śmierć ciotki niewiele zmieniła jej sytuację. Ta roztropna dama, dla której niemal świętokradztwem byłoby uznać Miss Melville za płonkę z pnia rodowego Tyrrelów, tyle pamiętała o niej w swej ostatniej woli, że w wykazie legatów dla służby zapisała jej sto funtów. Mrs Tyrrel nigdy Emilii nie dopuszczała do zażyłej bliskości; młody zaś panicz, teraz kiedy została pod jego wyłączną opieką, jeszcze mniej się nią zajmował niż matka. Wzrastała na jego oczach, przeto choć tylko sześć lat od niej starszy, odczuwał jak gdyby ojcowskie zainteresowanie jej szczęściem. Przyzwyczajenie uczyniło mu ją w pewnym sensie potrzebną i w każdej przerwie między zajęciami poza domem i rozkoszami stołu czuł się samotny i opuszczony bez towarzystwa Miss Melville. Bliskie pokrewieństwo i brak urody Emilii sprawiały, że nie patrzył na nią nigdy pożądliwie.

Jej talenty towarzyskie ograniczały się do powierzchownej znajomości muzyki i tańca, czego wymagał zwyczaj. Jej zręczność w tych ostatnich sprawiała, że młody dziedzic udając się na sąsiedzkie zebrania zezwalał jej czasem zająć wolny kąt w pojeździe. Niezależnie od tego, jak sam uznawał za stosowne traktować dziewczynę, skłonny był sobie wyobrażać, że i jego pokojowa uprawniona by była do poczesnego miejsca w najlepszej kompanii, gdyby ją tam zechciał wprowadzić. Muzyczne talenty dziewczęcia często służyły jego rozrywce. Miała bowiem zaszczyt grywać mu niekiedy do snu po trudach łowieckich, a ponieważ znajdował pewne upodobanie w harmonii dźwięków, dziewczyna mogła nieraz w ten sposób ukoić w jego duszy zamęt, któremu tak łatwo poddawało się jego chmurne usposobienie. Na ogół biorąc, mogła być uważana w pewnym sensie za jego ulubienicę. Była pośredniczką, do której przywykli udawać się dzierżawcy i domownicy, kiedy popadli w niełaskę pana, i uprzywilejowaną towarzyszką, która bezkarnie mogła się zbliżać do lwa nie bacząc na jego wściekłe ryki. Przemawiała do niego bez obawy; jej prośby płynęły zawsze z

bezinteresownej dobroci serca, a kiedy nawet Mr Tyrrel odprawiał ją z niczym, był już jakby rozbroiony, dwakroć mniej groźny i poprzestawał na kpinkach z jej zbytniego zadufania w sobie.

Takie było przez kilka lat położenie Miss Melville. Niezwykła pobłażliwość, z jaką traktował ją surowy opiekun, stwarzała złudne pozory, że nie było jej źle. Lecz od kiedy Mr Falkland zamieszkał w okolicy, Mr Tyrrel, grubiański z natury, stawał się coraz bardziej okrutny. Często zapominał teraz o łagodności, z jaką zwykł był odnosić się do swej dobrej i tkliwej kuzynki. Jej niewinne sztuczki, do których uciekała się, by ułagodzić jego gniew, nie zawsze odnosiły pożądany skutek; czasem zaś na jej przymilność odpowiadał tak niecierpliwie i srogo, że dziewczę drżało ze strachu.

Przecież jej beztroskie usposobienie szybko zacierało to wrażenie i zachowywała się po dawnemu.

Zdarzenie, które miało miejsce w tym czasie, znacznie wzmogło srogość Mr Tyrrela i położyło ostateczny kres szczęściu, jakim się Miss Melville mimo przeciwności losu do tej chwili cieszyła. Emilia skończyła właśnie lat siedemnaście, kiedy Mr Falkland powrócił do kraju. W tym wieku (szczególnie była wrażliwa na wdzięk, urodę i wyższość moralną, jeśli cechy te skupiały się w jednostce płci odmiernej). Była nieroztropna dlatego właśnie, że serce jej tak obce było wszelkim podstępom. Nigdy jeszcze nie uczuła żądła ubóstwa, na jakie była skazana, ani nie rozmyślała nad nieprzebytą granicą, którą obyczaje postawiły między zamożne i uboższe warstwy społeczeństwa.

Ilekcóż Mr Falkland znalazł się na jej drodze — a spotykała go na zebraniach towarzyskich — patrzyła na niego z podziwem. Nie zdając sobie jasno sprawy z uczuć, które się w niej rodziły, śledziła go przez cały czas płonącym i chciwym spojrzeniem. Nie spoglądała na niego, tak jak reszta obecnych, jako na dziedzica jednej z rozleglejszych posiadłości w całym hrabstwie, który miał wszelkie prawo pretendować do najbogatszej dziedziczki. Myślała jedynie o nim, o tych zaletach, które stanowiły najbardziej osobistą jego własność i których żadne przeciwności losu nie zdołałyby go pozbawić. Słowem, w jego obecności wpadała w zachwyt, on

był ustawicznym przedmiotem jej rojeń i snów; przy tym zaś obraz Falklanda nie budził w duszy Miss Melville innych uczuć poza bezpośrednią rozkoszą, jaką sprawiała jej każda myśl o nim.

Uwaga, jaką nawzajem obdarzał ją Mr Falkland, zdawała się wystarczającą zachętą dla Emilii, zajętej tylko myślami o nim. Spojrzenie jego stawało się szczególnie uprzejme, ilekroć zwracał się do niej. Powiedział kiedyś w towarzystwie, a ktoś z obecnych powtórzył jej to zdanie, że Miss Melville wydaje mu się miłą i powabną; że współczuje z jej położeniem biednej i nie zabezpieczonej dziewczyny i że rad by jej okazywać więcej względów, gdyby nie świadomość, że wobec podejrzliwości Mr Tyrrela wyrządziłby jej tym jeno krzywdę. Wszystko to ona uznała za zachwycającą łaskawość wyższego ducha: jeśli bowiem nie dość miała w pamięci rozmiary jego fortuny, to była za to pełna głębokiej czci dla jego nieporównanych przymiotów osobistych. Lecz jeśli z pozoru wykluczała wszelką możliwość zestawienia swej osoby z Mr Falklandem, to jednocześnie, kto wie, czy nie pielęgnowała niejasnego pragnienia, że jakieś wydarzenie, które los kryje już może w zanadrzu, zdoła zbliżyć to, co na pozór tak sobie dalekie. Pełna była takich przesadnych wyobrażeń i grzeczność raz czy dwa wyświadczona jej wśród gwaru towarzyskiego zebrania, podniesienie upuszczonego przez nią wachlarza lub odebranie z jej rąk pustej filiżanki po herbacie, powodowały bicie serca i dawały asumpt do najdziwaczniejszych chimer, jakie rodziły się w jej rozigranej imaginacji.

W owym czasie wydarzył się był właśnie wypadek, który niepewności Miss Melville dopomógł przeobrazić się w jasne przekonanie.

Jednego wieczoru, w niedługi czas po śmierci Mr Clare'a, Mr Falkland bawiąc w domu swego zmarłego przyjaciela w roli egzekutora, jego testamentu został przez jakieś dość błahe wydarzenia zatrzymany tu dłużej o trzy czy cztery godziny. Dopiero o drugiej po północy wyruszył w powrotną drogę. W okolicach oddalonych od stolicy o tej porze cisza jest taka, jak gdyby w bezludnym kraju. Księżyc świecił jasno, a gwałtowne kontrasty światła i cieni, padających na wszystkie przedmioty, nadawały całej scenerii jaką niewzruszoną powagę i dostojeństwo. Mr Falkland miał

przy sobie Collinsa, jako że sprawa, którą należało załatwić w siedzibie Mr Clare'a, była w pewnym względzie podobna do tych, które składały się na tok zwykłych obowiązków tego wiernego domownika. Po drodze wdali się w rozmowę, bo Mr Falkland nie miał jeszcze wówczas zwyczaju oficjalnym i pełnym rezerwy postępowaniem zniewalać swych domowników do zachowania dystansu. Uroczy spokój otoczenia sprawił, że Mr Falkland nieco niespodziewanie zamilkł, by móc się nim cieszyć bez przeszkód. Nie ujechali jeszcze daleko, kiedy usłyszeli z oddali jak gdyby głucho huczący wicher, a uszu ich dobiegł skłócony szum morza. W oka mgnieniu jedna strona nieba okryła się czerwono-brunatną barwą, a minąwszy ostry zakręt drogi ujrzeli to zjawisko wprost przed sobą. Posuwając się naprzód, widzieli je coraz lepiej, a w końcu widocznym się stało, że przyczyną jego jest pożar. Falkland spiął konia ostrogami. miarę zbliżania się widok stawał się coraz groźniejszy. Płomienie dziko strzelały w górę, ogarniając szeroką przestrzeń horyzontu, unosząc ze sobą drobne cząsteczki pożeranych przez ogień przedmiotów, które świecące i niezwykle jaskrawe w barwie, dawały pewne wyobrażenie, czym jest straszliwy wybuch wulkanu. Pożar wybuchł w wiosce, przez którą wiodła ich droga. Osiem czy dziesięć domów, stało już w ogniu, a całej osadzie zdawała się grozić natychmiastowa zagłada. Mieszkańcy, nie doświadczeni nigdy dotąd podobną klęską, byli w najwyższej konsternacji. W pośpiechu wynosili sprzęty domowe i całe ruchome mienie na pobliskie pola. Kiedy wszyscy wynieśli ze swych domów, co mogli, nie narażając się na niebezpieczeństwo, stanęli bezradni, łamiąc ręce i ze śmiertelną rozpaczą wpatrując się w spustoszenie, jakie szerzył ogień. Cała woda, jakiej można było dostarczyć wszystkimi stosowanymi tu sposobami, była kroplą w walce z rozpętanym żywiołem. Tymczasem zerwał się wiatr i płomienie szerzyły się z coraz większą szybkością.

Mr Falkland przyglądał się tej scenie przez parę chwil, jak gdyby rozmyślając nad tym, co należało uczynić. Za czym rozkazał paru stojącym obok niego wieśniakom, by zburzyli nietknięte domostwo, najbliższe tego, które już całe stało w ogniu. Zdawali się zdumieni rozkazem, wymagającym od nich dobrowolnego niszczenia swej własności, i uznali, że

pracy tej nie można podjąć się dla wielkiego niebezpieczeństwa. Widząc, że stoją bez ruchu, zeskoczył z konia i głosem nakazującym posłuszeństwo wezwał, by szli za nim. W jednej sekundzie znalazł się na dachu, jak gdyby wśród płomieni. Przy pomocy dwu czy trzech ludzi, którzy pośpieszyli tuż za nim i którzy tymczasem zdążyli się już zaopatrzyć w pierwsze lepsze narzędzia — wyrwał podpory podtrzymujące komin i pchnął go w sam środek ognia. Przebiegłszy zaś po dachu tam i z powrotem i wszędzie wyznaczwszy ludziom pracę, biegł na dół, aby zobaczyć, co jest do zrobienia gdzie indziej.

W tej właśnie chwili jakaś starsza niewiasta wydostała się z wnętrza płonącego domu, a w spojrzeniu jej malowało się najwyższe przerażenie: lecz skoro tylko przyszła do siebie na tyle, by pojąć, co się z nią dzieje, obawy jej w oka mgnieniu zwróciły się ku innemu przedmiotowi.

— Gdzie moje dziecko? — krzyknęła rzucając niespokojne i przeszywające spojrzenia na otaczający ją tłum.

— O! Już stracona! W płomieniach! Ocalcie ją! Ocalcie! Moje dziecko! — Takimi rozdzierającymi serce krzykami nappełniała powietrze. Po czym zwróciła się w stronę domu. Stojący w pobliżu ludzie usiłowali ją powstrzymać, ale odtrąciła ich gwałtownie. Stanęła w drzwiach, rzuciła okiem na okropne spustoszenie i miała już wejść na płonące schody, kiedy Mr Falkland dostrzegł to, dogonił ją i chwycił za ramię: była to Mrs Jakeman.

— Stać! — krzyknął głosem nakazującym posłuszeństwo, lecz pełnym dobroci. — Proszę pozostać tu, na ulicy! Ja ją odnajdę i ocale!

Mrs Jakeman usłuchała. On polecił stojącym w pobliżu, by ją powstrzymywali, sam zaś zapytał, w którym pokoju znajdowała się Emilia. Mrs Jakeman przybyła bowiem na wieś odwiedzić mieszkającą tu siostrę i zabrała ze sobą Emilię. Mr Falkland wspiał się na sąsiedni dom i wszedł do domu, w którym była Emilia, przez okienko na poddaszu.

Kiedy odnalazł ją, zbudziła się już była ze snu i uświadomiwszy sobie niebezpieczeństwo zarzuciła na siebie szlafrok. Taka jest bowiem nieodparta siła kobiecych przyzwyczajęń; lecz uczyniwszy to wpatrywała się w otaczające ją przedmioty, nieprzytomna z rozpaczy. Mr Falkland

wszedł do pokoju. Emilia błyskawicznie rzuciła się w jego ramiona. Wiedziona impulsem tak nagłym, że nie zdążyła się opanować, objęła go i przytuliła się z całej siły. Uczuć jej niesposób opisać. W tych paru krótkich chwilach przeżyła całe wieki miłości. Po paru minutach Mr Falkland ukazał się ponownie na ulicy ze swym powabnym brzemieniem półnagiego dziewczęcia w ramionach. Przywróciwszy tkliwej opiekunce ofiarę wyrwaną wprost z objęć śmierci, z których gdyby nie on, nikt by jej nie zdołał wyzwolić, powrócił do przerwanej pracy. Dzięki przytomności umysłu, nieznużonej uczynności i nieustającym staraniom ocalił trzy czwarte wioski od zagłady.

Kiedy pożoga została w końcu ugaszona, Falkland odszukał Mrs Jakeman i Emilię, które w międzyczasie dostały jakieś odzienie w miejsce tego, które spłonęło. Okazał najczulszą troskliwość o bezpieczeństwo młodej damy i rozkazał Collinsowi, aby z największym pośpiechem udał się do domu i przysłał powóz do jej dyspozycji. Do tego momentu zdążyła upłynąć przeszło godzina czasu. Miss Melville nigdy dotąd nie miała okazji tak długo przebywać z Mr Falklandem, widok zaś tak wielkiej dobroci, delikatności uczuć, siły i stanowczości w jednym człowieku, który wypełniał sobą całą tę niewielką przestrzeń, był dla niej czymś zgoła nowym i w najwyższym stopniu czarującym. Miała niejasne poczucie, że w jej zachowaniu, lub wyglądzie było coś nieprzystojnego, w momencie kiedy Mr Falkland przybył jej na pomoc, i ta myśl obok nurtujących ją uczuć sprawiała, że wszystko wydawało jej się decydujące i odurzające.

Skoro tylko Emilia przybyła do rodzinnego dworu, Mr Tyrrel wybiegł na jej spotkanie. Właśnie doszła go wieść o smutnym wypadku, który miał miejsce we wsi, i zatrwożony był o los swej wesołej kuzyneczki. Okazywał nieklamane wzruszenie, znane każdemu prawie człowiekowi. Myśl, że Emilia mogła paść ofiarą katastrofy, która nastąpiła tak niespodziewanie wśród głuchoj nocy, wstrząsnęła nim ogromnie.

Kiedy ogarnął ją ramionami, a trwożne obawy ustąpiły radosnej pewności, zawładnęło nim najmiłsze wzruszenie. Zaledwie Emilia wstąpiła pod dobrze znany sobie dach, kiedy odzyskała rześkość umysłu, a język jej był niezmordowany w opisywaniu niebezpieczeństwa i ocalenia. Mr Tyrrel

nieraz już przeżywał istne tortury słuchając jej niewinnych pochwał pod adresem Mr Falklanda. Ale tamto było wręcz wstrzemięźliwością w porównaniu z tą obfitością i bogactwem wymowy, która teraz płynęła z jej ust. Miłość, zwłaszcza w tym momencie, inny zgoła na nią wywierała wpływ niż na osoby przyuczone do udanych rumieńców i nieczystego sumienia. Opisywała więc czyny i pomysłowość Falklanda, szybkość każdej decyzji i ostrożną, a zarazem śmiałą mądrość, z jaką były wykonywane. Wedle jej prostego opowiadania wszystko to było czarnoksięstwem i baśnią: widziało się dobroczynnego geniusza czuwającego nad wszystkim, ale nic nie wskazywało na to, by osiągał swe cele ludzkimi sposobami.

Mr Tyrrel cierpliwie przez czas jakiś przysłuchiwał się tym naiwnym, a wylewnym zwierzeniom; znosił nawet pochwały, jakimi obsypywano w jego obecności tego człowieka; wszakże dopiero co wyświadczył mu wielkie dobrodziejstwo. Jednak temat ów przez ustawiczne nawracanie do niego i rozwijanie szczegółów stawał się przykry nie do wytrzymania, tak że w końcu z pewną szorstkością położył opowiadaniu koniec. Pochwały te musiały mu się wydać bardziej zuchwałe i nieznośne, kiedy później powracał do nich myślą, niż kiedy ich słuchał; poczucie wdzięczności zatarło się, ale hymny na cześć jego wroga dalej dręczyły wyobraźnię i brzmiały w jego uszach. Emilia przyłączyła się do spisku, który zakłócał jego spokój. Co do niej samej, to była zupełnie nieświadoma przykrości, jaką sprawiała kuzynowi, i przy każdej okazji stawiała Mr Falklanda za wzór wytwornych manier i prawdziwej mądrości. Wszelkie udawanie było jej obce; nie mogła pojąć, by ktokolwiek mógł znajdować w przedmiocie jej uwielbienia mniejsze niżli ona upodobanie. Jej niewinna miłość stała się bardziej żarliwą. Pochlebiała sobie, że tylko namiętna miłość mogła popchnąć Mr Falklanda do tak szalonego kroku, jakim było ocalenie jej z płomieni; wierzyła też, że ten, którego wielbiła, rychło wyzna jej swą miłość, nie zważając na jej niższą pozycję.

Mr Tyrrel próbował zrazu z pewnym umiarkowaniem powściągnąć niestrudzoną w pochwałach Miss Melville i na różne sposoby dawał jej poznać, że jest to przedmiot jemu niemiły. Przywykł do tego, by traktować ją uprzejmie. Emilia ze swej strony skłonna była do jak najdalej idącej

uległości i dlatego nietrudno ją było powstrzymać. Lecz przy najbliższej okazji ulubiony temat cisnął się jej — niby przemocą — na usta. Posłuszeństwo tego dziewczęcia płynęło z otwartego i dobrego serca, natomiast zastraszyć ją było rzeczą najtrudniejszą w świecie. Wiedząc, że sama nie skrzywdziłaby nawet robaczka, nie mogła pojąć, by ktokolwiek mógł wobec niej żywić urazę i okrutne zamiary. Usposobienie uchroniło ją przed ostrzejszymi zatargami z ludźmi, których opiece była poddana, a nie zmacona niczym zgodność charakteru sprawiła, że nie doświadczyła dotąd surowego traktowania. W miarę jak Mr Tyrrel coraz częściej i wyraźniej obruszał się na sam dźwięk nazwiska „Falkland”, Miss Melville wzmogła swą ostrożność. Urywała w połowie zdania, ilekroć mimo woli zaczynała wychwalać Falklanda. Ta okoliczność prowadziła nieodbitnie do fatalnych skutków; stała się bowiem jakby ostrą satyrą na głupotę jej krewniaka. Przy takich okazjach odważała się czasem na żartobliwe wyrzuty.

— Drogi mój kuzynie — mawiała — doprawdy jak można być tak niepocziwym? Pewna jestem, że Mr Falkland wyświadczyłby ci każdą przysługę.

Dalsze słowa Tyrrel powstrzymywał surowym gestem zniecierpliwienia.

W końcu Emilia opanowała zupełnie swą nieuwagę i niedbałość. Lecz było już za późno. Mr Tyrrel już podejrzewał istnienie tego uczucia, któremu niebaczenie się poddała. Jego pomysłowa w dręczeniu wyobraźnia poddawała mu najróżnorodniejsze aluzje w rozmowie, które naprowadziłyby dziewczynę na pochwały Mr Falklanda, gdyby nie narzucony jej przymus. Rezerwa, jaką okazywała obecnie w stosunku do tego przedmiotu, była bardziej bodaj nieznośna niż poprzednia elokwencja.

I tak pomału zniknęła cała jego łaskawość wobec tej nieszczęśliwej sieroty. To, że i ona wzięła stronę człowieka, który był mu w nieprzewyciężony sposób obmierzły, wydało się Tyrrelowi ostatecznym ciosem ze strony przewrotnego losu. Zdawało mu się, że grozi mu opuszczenie przez wszystko, co ma postać ludzką, przez wszystkich ludzi, którzy pod wpływem jakiegoś straszliwego uroku cenią to, co sztuczne i wykrygowane, a nienawidzą tego, co proste i naturalne. Przejęty tymi ponurymi przecuciami, żywił względem Miss Melville tylko uczucie



nienawistnej odrazy, a że miał zwyczaj folgowania swym popędom, postanowił walczyć się na niej zemścić.

## ROZDZIAŁ VII

Mr Tyrrel zwierzył się ze swym planem staremu przyjacielowi i powiernikowi. Ten, gustując w grubiaństwie i zuchwalstwie swego przyjaciela, sądził, że nie można zezwolić, by jakaś tam nic nie znacząca dziewczyna, bez majątku lub urody, mogła choćby przez chwilę stać się przeszkodą do szczęścia człowieka o tym co Mr Tyrrel znaczeniu. Pierwszą myślą okrutnego krewniaka było zamknąć przed nią drzwi swego domu i pozostawić ją własnemu losowi. Wiedział jednak, że taki postępek ściągnąć nań może ludzką obmowę, i w końcu obrał plan, który jak mniemał, wystarczająco chroniąc jego reputację o wiele pewniej zarazem doprowadzi do pogńębienia i ukarania dziewczyny.

Do tego celu Mr Tyrrel postanowił użyć dwudziestoletniego młodzieńca, syna niejakiego Grimesa, który dzierżawił niewielką fermę od jego przyjaciela. Tego chłopca umyślił narzucić na męża Miss Melville, która — jak to przebiegle przewidywał — wiedziona tkliwymi uczuciami, jakimi na swe nieszczęście obdarzała Mr Falklanda, nie zechce nawet słyszeć o małżeństwie. Wybrał zaś Grimesa, ponieważ ten był pod każdym względem krańcowym przeciwieństwem Mr Falklanda. Nie był to ściśle biorąc chłopak o złych skłonnościach, ale dziwnie nieokrzesany i gburowaty. Twarz jego zaledwie przypominała ludzkie oblicze: rysy były pospolite i dziwnie nieharmonijne: każdy jakby z innej twarzy. Wargi miał grube, głos szorstki i jednostajny. Nogi były równej grubości od góry do dołu, stopy zaś szpetne i niezgrabne. W usposobieniu jego nie było ani złośliwości, ani dokuczliwości, ale wszelka tkliwość była mu obca: nie potrafił wyczuwać w innych tych subtelnych uczuć, których sam nie doświadczał. Był wybornym zapaśnikiem, zaś wrodzone skłonności kazały mu szukać jak najbardziej rubasznych rozrywek: znajdował upodobanie w owym rodzaju „odręcznych uszczypliwości”, których nie uważał za bardzo obraźliwe, jako że nie

pozostawiały po sobie śladów. Zachowanie jego było na ogół głośnie i wrzaskliwe; nieuważny wobec innych, okazywał upór i nieustępliwość płynącą nie z okrucieństwa czy przykrego charakteru, ale ponieważ niedostępne mu były wyższe uczucia, które tak wiele znaczą w życiu ludzi odlanych ze szlachetniejszego kruszcu.

Tę nieokrzesaną i na pół cywilizowaną istotę uznał Mr Tyrrel w swej pomysłowej złośliwości za najlepiej odpowiadającą jego celom. Dotąd Emilia zupełnie nie odczuwała ucisku jego despotycznej władzy. Mierność była jej obroną. Nikt nie sądził, by warto było krępować ją tymi drobiazgowymi ograniczeniami, które zazwyczaj są udręczeniem posażnych córek. Wyrosła wolna jak ptak, który śpiewa swobodnie w rodzinnym gaju. Było też coś z ptaka w jej drobnej postaci.

Kiedy zatem usłyszała od swego kuzyna o Mr Grimesie jako o przyszłym mężu, oniemiała na chwilę ze zdumienia na tak niespodziewane słowa. Skoro tylko jednak odzyskała mowę, odparła:

— Nie, nie pragnę męża.

— Cóż znowu! Czy nie wzdychasz ustawicznie do mężczyzn? Najwyższy czas, by los twój został ustalony.

— Ale nie Grimes! Jeżeli wyjdę za mąż, to nie za takiego jak Mr Grimes.

— Milcz! Jak śmiesz pozwalać sobie na tak niepojęte zuchwalstwo?

— Wielki Boże, a cóż bym ja z nim robiła? Równie dobrze mógłby mi kuzyn ofiarować swego wielkiego kosmatego wyżła i nakazać mi, bym mu przygotowała jedwabną poduszkę w mojej gotowalni. Ponadto Grimes jest prostym rolnikiem, a ciotka mówiła, że pochodzimy z bardzo wielkiego rodu.

— To kłamstwo. Pochodzimy! Z rodu! Czy masz tę czelność, by uważać się za członka naszej rodziny?

— Oczywiście, skoro dziadek kuzyna był moim dziadkiem? Czy możemy należeć do innych rodów?

— Owszem, i to z najważniejszych na świecie racji. Jesteś córką jakiegoś Szkota — hultaja, który roztrwonił fortunę mojej ciotki Łucji do ostatniego szylinga i zostawił cię w nędzy. Posiadasz sto funtów, a ojciec

Grimesa obiecuje dać mu tyleż. Jak śmiesz z góry spoglądać na równych sobie?

— Doprawdy nie jestem dumna. Ale Bóg mi świadkiem, nie potrafię nigdy pokochać Mr Grimesa. Szczęśliwa jestem w moim stanie, czemuż mam iść za mąż?

— Dosyć tego gadania! Grimes będzie tu dziś po południu. Bacz na to, byś go dobrze przyjęła. W przeciwnym razie zapamięta to sobie i potrafi odpłacić ci, kiedy najmniej tego będziesz chciała.

— Jestem pewna, że kuzyn nie mówi tego serio!

— Nie mówię serio! Niech mnie piekło pochłonie, jeśli nie serio. Wiem, co ci w głowie. Wolałabyś romansować z Falklandem niż być żoną uczciwego farmera. Ale ja się wezmę do ciebie. Oto do czego prowadzi pobłażliwość. Weźmiemy cię krótko, panienko. Musisz się nauczyć, że co innego górnotłoczenie, a co innego rzeczywistość. Być może, weźmiesz mi to za złe, ale mniejsza o to. Dumie zawsze trzeba przytrzeć rogów. Gdybyś się naraziła na wstyd, mnie, nie kogo innego, będą o to winić.

Ton, jakim przemawiał Mr Tyrrel, był tak odmienny od wszystkiego, do czego przyzwyczajona była Miss Melville, że zupełnie nie wiedziała, jak to sobie wytłumaczyć. Czasem przychodziło jej na myśl, że Mr Tyrrel istotnie powziął plan zmuszenia jej do małżeństwa, o którym sama myśl była jej nieznośna. Lecz już w następnej chwili odrzucała to przypuszczenie, jako niegodne krewniaka, i myślała, że po prostu na swój sposób chciał ją wypróbować. Dla pewności jednak postanowiła zasięgnąć rady swej stałej doradczynie Mrs Jakeman i opowiedziała jej wszystko, co zaszło. Mrs Jakeman zobaczyła sprawę w odmiennym świetle niż Emilia i przejęła ją trwoga o przyszły pokój ukochanej przez nią sieroty.

— Boże, zmiłuj się nade mną! — zawołała Emilia. — Mamuńciu moja (tym mianem z upodobaniem obdarzała Pocziwą gospodynię), to być nie może! Ale mniejsza o to. Niech się co chce dzieje, nigdy nie poślubię Grimesa.

— Ale cóż ty na to poradzisz? Nasz pan zmusi cię do tego.

— Teraz mówisz jak do dziecka. Mój to ma być mąż, nie Mr Tyrrela. Czy myślisz, że pozwolę, by ktokolwiek za mnie tego męża wybierał? Nie

jestem taka głupia.

— Ach, Emilio! Nie wiesz, w jak trudnym jesteś położeniu. Twój kuzyn to gwałtownik i jeśli mu się będziesz opierać, może zamknąć przed tobą drzwi swego domu.

— Mamuńciu droga! Nieładnie tak mówić. Pewna jestem, że Mr Tyrrel jest bardzo dobrym człowiekiem, choć czasem lubi fuknąć. Wie on dobrze, że słuszne jest, abym w takiej jak ta sprawie szła za własną swoją wolą, a nikt nie jest karany za to, co jest słuszne.

— Nikt nie powinien być karany, moje drogie dziecko. Ale na świecie nie brak ludzi przewrotnych i okrutnych.

— Może to i prawda, ale nigdy nie uwierzę, by mój kuzyn był jednym z nich.

— Miejmy nadzieję, że nie jest.

— A gdyby był, co wtedy? Bardzo bym nie chciała go rozgniewać.

— Co będzie? Moja biedna Emilia zostanie żebraczką! Czy myślisz, że zniosłabym ten widok?

— Nie, nie. Mr Tyrrel powiedział mi właśnie, że mam na własność sto funtów. Ale gdybym nie miała majątku, czyż inny jest los tysięcy ludzi? Czemuż miałabym się smucić tym, co inni znoszą z łatwością? Nie trap się o to, mamuńciu. Zdecydowana jestem na wszystko, aby nie poślubić Grimesa; taka jest moja wola.

Mrs Jakeman nie mogła znieść tego niepokoju, jaki wzbudziła w niej rozmowa z Emilią, i niezwłocznie udała się do dziedzica, by rozproszyć swoje wątpliwości. Sposób, w jaki zwróciła się do niego, wystarczająco wskazywał, co sądzi o tym związku.

— Tak, to prawda — rzekł Mr Tyrrel — chciałem pomówić z wami o tej sprawie. Dziewczyna nabiła sobie głowę niestworzonymi historiami, co by ją w końcu doprowadziło do zguby. Wy byście może mogli powiedzieć, skąd jej się to wzięło. Ale tak czy inaczej, najwyższy czas, żeby temu zaradzić. Najkrótsza droga jest najlepszą i trzeba kuć żelazo póki gorące. Krótka mówiąc, postanowiłem, że Emilia poślubi tego chłopca. Czy wiecie o nim co złego? Macie na nią niemały wpływ i chcę, żebyście go użyli dla dobra dziewczyny. No i dla waszego, ostrzegam. Zuchwała z niej diablica!

Niezadługo byłaby z niej lafirynda, a w końcu nic lepszego jak zwykła dziewczka publiczna i zgniłaby na kupie gnoju, gdybym nie przyłożył wszystkich starań, aby ją ocalić od zguby. Chcę z niej zrobić uczciwą żonę farmera, a panienczka nie może znieść tej myśli.

Po południu, jak było postanowione, zjawił się Grimes; pozostawiono go samego z młodą damą.

— A zatem, moja panienko — powiedział — podobno dziedzic ma nas zamiar pożenić. Co do mnie, nie mogę powiedzieć, żeby mi to samemu przyszło do głowy. Ale skoro dziedzic przełamał lody, a pannie się to widzi — no to mnie macie. Rzeknij słówko. Czy kiwniesz, czy mrugniesz — dla ślepego konia to jedno i to samo.

Emilia była już wystarczająco zgnębiona nieoczekiwanym pomysłem Mr Tyrrela. Pomieszaniam napełniła ją ta nowa sytuacja, a bardziej jeszcze prostactwo konkurenta, które przechodziło najgorsze oczekiwania. Pomieszanie to Grimes wziął za nieufność.

— No, no, nie ma się czym turbować. Głowa do góry! Co tam! Miałem już jedną dziewczynę, była to Bet Butterfield, ale cóż z tego? Co mus, to mus; smutkiem nikt się jeszcze nie pożywił. Mocna z niej była dziewczucha, co prawda, to prawda; pięć stóp, dziesięć cali, a tęga jak dragon. O, ta by potrafiła odwalić dobry kawał roboty! Od wczesnego ranka na nogach, a spać chodziła późno; dziesięć krów sama wydoiła. Potem ubrała się w swoją salopkę i pomiędzy koszykami jechała na targ, pogoda czy plucha, grad, wicher czy śnieg. Serce człowiekowi rosło, kiedy widział jej wyszczypane mrozem policzki tak czerwone jak te małe szkarłatne jabłuszka z jej sadu! Ech! z ogniem to była dziewczyna, bywało pobaraszkuje z chłopami przy żniwach, jednego palnie w plecy, z drugim się posiłuje i dla każdego miała, szelma, jakiś figiel czy żarcik. Biedna dziewczyna! Spadła na chrzcinach ze schodów i skręciła sobie kark. Jedno przynajmniej pewne, że nie spotkam już jej podobnej! Ale niech się panna tym nie przejmuje; z pewnością bardziej mi się spodoba, jak ją lepiej poznam. Choć na oko wydaje się panna wstydliva i nieśmiała, powiedziałbym, że w gruncie niezła z was szelmutka. Kiedy was trochę rozruszam, pokuksam i pomiętoszę, zobaczymy dopiero! Cokolwiek by panna myślała, już ja nie młodzik. Znam

się na rzeczy i na sprycie mi bardziej od innych nie zbywa. No, no, skruszejesz panna. Ryba zawsze weźmie przynętę, nie ma obawy. Tak, tak, jakoś się dopasujemy.

Emilia, która tymczasem zdołała w pewnej mierze zebrać myśli, zaczęła, choć niepewnie, dziękować Mr Grimesowi za jego przychylnie mniemanie, ale wyznała zarazem, że nigdy nie będzie zdolna mile przyjąć jego względów. Dlatego też prosiła go, by zaprzestał wszelkich dalszych starań. To wystąpienie Emilii lepiej by zostało zrozumiane przez Grimesa, gdyby nie jego hałaśliwe maniere i nadmierna wesołość, która nie pozwalała mu uciszyć się ani na chwilę i napełniała go przeświadczeniem, że w pół słowa dostatecznie już pojął myśl swego rozmówcy. Mr Tyrrel tymczasem tak się niecierpliwił, że przerwał tę scenę, zanim oboje młodzi zdążyli dalej posunąć się w swych wyjaśnieniach; następnie zaś pilnie uważał, aby nie powiedzieli sobie zbyt otwarcie, co o sobie myślą. Skutek był taki, że Grimes przypisywał niechęć Miss Melville dziewczęcej wstydlivosti i płochliwej nieśmiałości nieujeżdżonej źrebiczki. Gdyby nawet było inaczej, mało jest prawdopodobne, by słowa dziewczyny wywarły na nim głębsze wrażenie, ponieważ przywykł uważać kobiety za istoty stworzone dla rozrywki mężczyzn i wyrzekał głośno na słabość ludzi, którzy kładli kobietom do głów, że mogą same o sobie stanowić.

W miarę jak zaloty postępowały dalej i Miss Melville częściej widywała konkurenta, antypatia jej ku niemu wzrastała. Bo choć nie była zepsuta owymi urojonymi pragnieniami, jakie często unieszczęśliwiają ludzi z możliwych rodów, podczas gdy mają wszystko, czego im potrzeba, to jednak nie przyzwyczajona była, by się jej opierano, i wzrastająca surowość krewniaka przerażała ją. Czasem myślała o ucieczce z domu, który teraz stał się dla niej więzieniem; lecz kiedy bliżej rozważyła ten projekt, przyzwyczajenia młodości i nieznajomość świata kazały jej od niego odstąpić. Mrs Jakeman nie mogła spokojnie myśleć o młodym Grimesie jako o mężu dla swej najdroższej Emilii, ale roztropność nakazywała jej całą siłą przeciwdziałać temu, by jej pupilka nie posunęła się do ostateczności. Nie mogła uwierzyć, że Mr Tyrrel będzie się upierał przy tym niepojętym prześladowaniu dziewczyny, i namawiała Miss Melville,

aby przez pewien czas była ostrożniejsza i czułością przebłagała upór kuzyna. Pokładała bowiem wielką ufność w prostej i niewymuszonej wymowie sieroty. Mr Jakeman nie wiedziała jednak, co działo się w sercu okrutnika.

Miss Melville poszła za radą mamuńci. Pewnego ranka natychmiast po śniadaniu, podeszła do swego klawikordu i grała, jedną po drugiej, najbardziej ulubione melodie Mr Tyrrela. Mrs Jakeman gdzieś wyszła, słudzy rozeszli się do swych zajęć. Mr Tyrrel również zamierzał wyjść. Był rozstrojony i nie znajdował zwykłej przyjemności w muzycznych popisach Emilii. Lecz jej uderzenie było dziś doskonalsze niż kiedykolwiek. Pomna na sprawę, której miała bronić, dziewczyna grała z większą pewnością i fantazją, a ręka jej nie drżała z trwogi, którą odczuwałby człowiek, nie śmiejący spojrzeć w twarz ubóstwu.

Mr Tyrrel niezdolny był opuścić pokoju. Czasem przemierzał go niespokojnym krokiem, to znów pochylał się nad biednym niewinnym dziewczęciem, które tak bardzo starało mu się przypodobać. W końcu rzucił się na fotel, zwróciwszy oczy na Emilię. Nietrudno było zauważyć, że jego wzruszenie wzrasta. Zmarszczki złobiające jego oblicze stopniowo się wygładziły, rysy rozjaśnił uśmiech, a życzliwość, z jaką dawniej spoglądał na Emilię, zdawała się ożywać w jego sercu.

Emilia spostrzegła, że nadeszła oczekiwana sposobność. Skoro tylko skończyła jedną z melodii, wstała i podeszła do Mr Tyrrela.

— No, czy nieładnie grałam? A teraz czy nie otrzymam za to nagrody?

— Nagrody! Dobrze, chodź tutaj, to cię pocałuję.

— Nie, nie o takiej myślę nagrodzie. Co prawda nie często mnie teraz całujesz. Dawniej mówiłeś, że mnie kochasz, i nazywałeś swoją Emilią. To pewne, żeś nie kochał mnie więcej niż ja ciebie. Czy cała ta dobroć, jaką niegdyś mi okazywałeś, poszła w zapomnienie? — i zapytała z obawą.

— W zapomnienie? Ależ nie, nie! Jak możesz o to pytać? Zawsze pozostaniesz moją drogą Emilią!

— Ach, szczęśliwe to były czasy — odparła nieco żałośnie. — Czy wiesz, kuzynie, pragnęłabym obudzić się i stwierdzić, że cały zeszły miesiąc — tylko miesiąc — był po prostu snem.



— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał Mr Tyrrel zmienionym głosem. — Strzeż się! Nie psuj mi humoru. Nie zwracaj mi teraz głowy twymi romantycznymi pomysłami.

— Ależ nie; to nie żadne romantyczne pomysły. Mówię o czymś, od czego zawisła cała moja szczęśliwość.

— Widzę, do czego zmierzasz. Milcz lepiej. Wiesz, że to bezcelowe naprzykrzać mi się swoim uporem. Nie możesz ani chwili ze mną przebywać, by mi nie popsuć humoru. A od tego, com sobie postanowił co do Grimesa, nie odstąpię, choćby cały świat sprzysiął się przeciw mnie.

— Drogi mój, drogi kuzynie! Ależ zechciej to rozważyć. Grimes jest nieokrzesanym wiejskim prostakiem, jak ten Orson z książki z baśniami. Trzeba mu takiej jak on sam żony. Będę dla niego niewygodą i kłopotem w równej mierze co on dla mnie. Czemuż mielibyśmy oboje być zmuszeni do tego, do czego żadne z nas nie czuje skłonności? Nie mogę zrozumieć, jak w ogóle powstał ten pomysł. Ale na litość boską, niech go kuzyn poniecha! Małżeństwo to rzecz poważna. Nie powinienes dla kaprysu łączyć ze sobą dwojga ludzi, którzy pod żadnym względem nie nadają się dla siebie. Przez całe życie czulibyśmy rozczarowanie i udrękę. Mijałyby miesiące i lata, a ja nie miałabym innej nadziei na odzyskanie wolności jak tylko przez śmierć człowieka, którego powinna bym kochać. Pewna jestem, że nie zamyśla kuzyn uczynić mi takiej krzywdy. Cóż ja zrobiłam, byś był moim wrogiem?

— Nie jestem twoim wrogiem. Powiadam ci, że to konieczne, by cię ustrzec od zguby. Lecz gdybym i był twoim wrogiem, nie potrafiłbym stać ci się gorszą udręką. niż ty stałaś się dla mnie. Czyż nie wyśpiewujesz ustawicznie hymnów pochwalnych na cześć Falklanda? Czyż nie jesteś zadurzona w Falklandzie? Ten człowiek jest dla mnie niczym cały legion diabłów! Ludzie traktują mnie nie lepiej od żebraka! Równie dobrze mógłbym być karłem lub jakimś monstrum! Był czas, kiedy uważano, że należy mi się respekt. A teraz, zepsuci przez tego sfrancuziałego łotra, ludzie nazywają mnie szorstkim, gruboskórnym, okrutnym! To prawda, że nie potrafię mówić wymyślnie, pochlebiać ludziom obłudnymi chwalebami ani hamować prawdziwych uczuć. Łajdak wie o swojej politowania godnej przewadze i korzysta z niej, by mnie ustawicznie znieważać! To mój rywal i

prześladowca; a na domiar złego znalazł sposób, by zawlec zarazę do mej własnej rodziny. Ty, którą przygarnęliśmy z litości, przypadkowy bękart, owoc ukradkowego małżeństwa! Właśnie ty musiałaś zwrócić się przeciw swemu dobroczyńcy i zranić mnie w najczulsze miejsce! Czy nie miałbym powodu, by zostać twoim wrogiem? Czy potrafiłbym kiedykolwiek tak cię zranić, jak ty mnie? A kimże ty jesteś? Życie pięćdziesięciu takich jak ty nie warte jednej godziny mych cierpień. Choćbyś przez dwadzieścia lat była rozciągnięta na torturach, i tak byś nigdy nie zaznała tej męki, której ja zaznałem. Lecz ja jestem ci przyjacielem. Widzę, ku czemu zmierzasz, i zdecydowany jestem ocalić cię przed tym złodziejem, tym obłudnikiem niszczącym nas wszystkich. Każda chwila, w której zło pozostawimy samemu sobie, pogarsza jeszcze sytuację, postanowiłem więc ocalić cię jak najspieszniej.

Gniewne wyrzuty Mr Tyrrela otworzyły oczy Miss Melville. Nigdy dotąd tak całkowicie nie obnażył swej duszy, ale burza myśli odebrała mu panowanie nad sobą. Spostrzegła ze zdumieniem, że jej kuzyn był nieprzejednanym wrogiem Mr Falklanda, o którym w czułości swego serca sądziła, że wystarczy go poznać, by go zacząć uwielbiać. Dostrzegła dalej, że wobec niej samej Mr Tyrrel żywi głęboką i mocno zakorzenioną urazę. Nie wiedząc sama czemu, zadrżała na widok dzikiej pasji swego krewniaka, przekonana, że po tej nieubłaganej naturze niczego się już nie można spodziewać. Ale trwoga jej nie była wstępem do tchórzostwa, lecz do stanowczości.

— Nie, kuzynie — odparła — doprawdy nic mnie nie skłoni, bym była powolna twemu kaprysowi. Przywykłam cię słuchać i we wszystkim, co słuszne, słuchać cię będę nadal. Ale ten przymus idzie za daleko. Co kuzyn tu opowiada o Mr Falklandzie? Czyż uczyniłam cokolwiek, by zasłużyć na tak niegodne podejrzenia? Jestem niewinna i taką pozostanę. Do Mr Grimesa nie mam zastrzeżeń i nie wątpię, że znajdą się kobiety, które go polubią; ale dla mnie nie jest odpowiedni i tortury nawet nie zmuszą mnie, bym została jego żoną.

Mr Tyrrel był niemało zdziwiony odwagą Emilii. Zbyt liczył na jej łagodność i wrodzoną słodycz usposobienia. Teraz więc usiłował załagodzić

ostrość swych wcześniejszych słów.

— Niech mnie piekło pochłonie! A więc potrafisz wymyślać? Chciałabyś, żeby każdy zawracał ze swej drogi i aportował jak pies dla twojej przyjemności, co? Miałbym prawie ochotę... ale znasz moją wolę. Nalegam na to, abyś pozwoliła Grimesowi zalecać się do siebie i porzuciwszy swoje dąsy wysłuchała go z życzliwością. Czy uczynisz to? Jeśli i potem trwać będziesz uparcie w swej zaciętości, to cóż, przypuszczam, że położy to koniec całej sprawie. I nie myśl, że tak od razu będą z tobą żenić, czy będziesz tego chciała, czy nie. Zapewniam cię, że nie przedstawiasz tak wielkiej wartości. Gdybyś rozumiała własne dobro, z radością przyjąłabyś tego młodzieńca, póki on chce tego.

Miss Melville ucieszyła się, że prześladowania jej skończą się niedługo. Nadzieją tą natchnęły ją ostatnie słowa kuzyna. Mrs Jakeman, której powtórzyła te słowa, powinszowała Emilii, że zdołała nawrócić pana do umiarkowania i rozsądku, sobie samej zaś roztropności, z jaką skłoniła młodą damę do tego pomyślnego wyjaśnienia. Ale niedługo miały sobie winszować. Mr Tyrrel powiadomił starszą z niewiast, że musi ją koniecznie wysłać w dość oddalone miejsce w sprawie, która niechybnie zatrzyma ją tam na okres kilku tygodni; a choć polecenie to żadną miarą nie miało w sobie nic sztucznego ani dwuznacznego, obie przyjaciółki wyciągnęły smętną wróżbę z tej rozłąki nie na czasie. Tymczasem Mrs Jakeman upominała sierotę, by wytrwała w cierpliwości, przypomniała o skrusze, jaką już okazał jej krewniak, i pocieszała, że odwaga i pogoda usposobienia mogą wiele zdziałać. Emilia ze swej strony, choć zasmucona wyjazdem opiekunki i doradczyni w tak krytycznej chwili, niezdolna była podejrzewać Mr Tyrrela o złośliwość lub fałsz nastęrczające poważne obawy. Winszowała sobie uniknięcia tak groźnych prześladowań i w szczęśliwym zakończeniu pierwszej swej poważnej sprawy życiowej widziała dobrą wróżbę na przyszłość. Hart duszy i podniecenie ustąpiły miejsca poprzednim miłym rojeniom o Mr Falklandzie. Snuła je też niezmordowanie. Niepewna tego, jak skończy się jej miłość, pragnęła raczej przedłużyć niżli zmienić obecną sytuację, która mogła być zwodnicza, ale dawała jej trochę szczęścia.

## ROZDZIAŁ VIII

Nic nie mogło być dalsze od zamierzeń Mr Tyrrela niż dopuścić, by plany jego spełzły na niczym. Skoro tylko wyzbył się obawy, że gospodyni wmiecha się w tę sprawę, zmienił zupełnie swe postępowanie. Rozkazał, by Miss Melville nie wydalala się poza obręb swego pokoju, i uniemożliwił jej przesłanie wiadomości o sytuacji, w jakiej się znalazła. Umieścił ją pod nadzorem służącej, na której mógł polegać. Swego czasu zaszczycona miłosnymi względami pana, uważała ona wyróżnienia, jakimi cieszyła się we dworze Tyrrelów Emilia, za uzurpowanie praw, jakie jej by się słuszniej należały. Sam dziedzic robił wszystko, co mógł, by popsuć reputację dziewczyny, a środki ostrożności przeciw Emilii przedstawiał służbie jako niezbędne, by uniemożliwić jej ucieczkę do sąsiada, co byłoby jej zupełną zgubą.

Kiedy Miss Melville spędziła już pełną dobę w swym więzieniu i można było przypuszczać, że zmiękła dostatecznie, by poddać się sytuacji, Mr Tyrrel uznał za stosowne udać się do niej, aby wyjaśnić przyczyny obecnego jej traktowania i uzmysłwić jedyny sposób, dzięki któremu mogłaby żywić nadzieję zmiany. Emilia ledwie zobaczywszy go, zwróciła się ku niemu z wyrazem takiej stanowczości, jakiej twarz jej nigdy dotąd nie przybrała, i zaczęła w te słowa:

— Ach, więc to ty, kuzynie! Chciałam cię widzieć! Jestem tu zamknięta jakoby na twój rozkaz. Cóż to znaczy? Jakim prawem mnie więzisz? Cóż ci jestem winna? Twoja matka zostawiła mi sto funtów; a ty czy kiedykolwiek pomyślałeś, by zwiększyć mój majątek? Lecz gdyby nawet tak było, nie chcę nic. Nie jestem lepsza od dzieci innych biednych rodziców: mogę zapracować na życie, tak jak one to robią. Wyżej stawiam wolność niż bogactwo. Widzę, że jesteś zdumiony, iż zdobyłam się na takie postanowienie. Lecz czyż nie powinnam odejść stąd, gdzie depczą moją

godność? Byłabym wcześniej opuściła ten dom, gdyby Mrs Jakeman nie odradziła mi tego i gdybym sama nie myślała o tobie lepiej, niż na to zasługujesz sądząc z twego obecnego zachowania. Teraz jednak pragnę opuścić twój dom natychmiast i żądam, byś nie próbował mi w tym przeszkodzić.

Mówiąc to wstała i skierowała się ku drzwiom, podczas gdy Mr Tyrrel stał jak wryty, porażony jej szlachetnym uniesieniem. Widząc jednakże, że lada moment gotowa mu ujść, odzyskał przytomność umysłu i wciągnął ją z powrotem do pokoju..

— A to co nowego? Czy myślisz, dziewczko, że samą bezczelnością coś u mnie wskórasz? Siadaj! Pozwól, że zaspokoję twoją ciekawość! Chcesz zatem wiedzieć, jakim prawem jesteś tutaj, czyż tak? Otóż prawem posiadania. Dom jest mój i ty jesteś w mojej mocy. Nie ma żadnej Mrs Jakeman, która by cię mogła stąd wyrwać. O nie, ani żadnego Falklandu, który by tutaj dla ciebie brewerie wyprawiał. Zniweczyłem twoje zamysły, niech mnie licho, i obaliłem plany. Czy myślisz, że można mi się bezkarnie sprzeciwiać? Czyś widziała kiedy, by ktokolwiek przeciwstawiał się mej woli i nie został zmuszony do skruchy? A teraz miałyby mną pomiatać taka smarkula? Nie dałem ci majątku! Niech cię wszyscy diabli! A któż cię chował? Wystawię ci rachunek za utrzymanie i mieszkanie. Wiesz chyba, że każdy wierzyciel ma prawo zatrzymać zbiegłego dłużnika. Myśl sobie o tym, co chcesz; ale zostaniesz tu, póki nie poślubisz Grimesa. Niebo i ziemia nie przeszkodzą mi, bym przemógł twój upór.

— Niegodny, bezlitosny człowieku! A więc to dosyć dla ciebie, że nie mam nikogo, kto by mnie bronił? Ale nie jestem tak bezradna, jak sobie wyobrażasz. Możesz więzić moje ciało, ale nie zdołasz odnieść zwycięstwa nad duszą. Poślubić Mr Grimesa! Czyż tą drogą zamierzasz mnie do tego skłonić? Każda trudność, którą znoszę, oddala cię od celu, dla którego tak niesprawiedliwie mnie karzesz. Nie przywykłeś, by sprzeciwiano się twej woli! A kiedy ja się jej sprzeciwiałam? Lecz w sprawie tak osobiście mnie dotyczącej, czyż moja wola nic nie znaczy? Czy ty jeden tylko masz prawo postępować według własnej woli i nikt poza tym? Nie chcę nic od ciebie; jak śmiesz odmawiać mi prawa do spokojnego życia w ubóstwie i niewinności,

należnego każdemu człowiekowi? Jakimże to człowiekiem sam się okazujesz, ty, który domagasz się dla siebie podziwu i poważania ze strony każdego, kto cię zna?

Te śmiałe wyrzuty zrazu napełniły Mr Tyrrela zdumieniem i sprawiły, że poczuł wstyd i niepokój w obliczu tak bezbronnej i niewinnej istoty. Lecz zmieszanie to było wynikiem zaskoczenia.

Kiedy minęło pierwsze wrażenie, klął samego siebie za to, iż dał się poruszyć jej skargom; to, że ośmieliła się zlekceważyć jego gniew, gdy powinna była drzeć ze strachu, dziesięciokrotnie wzmogło jego rozdrażnienie. Jego despotyczna i zawzięta popędliwość doprowadziła go do stanu graniczącego niemal z szaleństwem. Wrodzona zaś posępna duma sprawiała, że przemyślał nad różnymi planami ukarania jej uporu. Wreszcie czując, że jest mało prawdopodobne, by powiodło mu się działać coś siłą, postanowił uciec się do podstępu.

W Grimesie znalazł narzędzie dość podatne swoim zamiarom. Chłopak ten, choć nie złośliwy, dzięki swemu nieokrziesaniu zdolny był dopuścić się najgorszej niesprawiedliwości. Dla niego rzeczy były pożyteczne lub szkodliwe zależnie od tego, czy zaspokajały jego pragnienia, czy też nie; ludzi zadręczających się urojonymi nieszczęściami uważał za zniewieściałych i traktował ich z pogardą, przekonany, że tak nakazuje prawdziwa mądrość. Wierzył święcie, że młodej kobiecie nie może przypaść szczęśliwszy los niż zostać jego żoną, i sądził, że takie zakończenie w pełni wynagrodzi wszystkie niedole, jakie dziewczyna mogłaby sobie tymczasem uroić. Dlatego też pewne pokusy, które Mr Tyrrel zręcznie wysunął, łatwo go skłoniły do wzięcia udziału w spisku obmyślonym dla zwiedzenia Miss Melville.

Urobiwszy w ten sposób Grimesa, Mr Tyrrel postanowił teraz działać na swego więźnia zastraszeniem — a to za pośrednictwem służącej, która strzegła Emilii (bowiem doświadczenie, jakiego nabrał po pierwszej osobistej rozmowie, nie skłaniało go do ponownych wizyt).

Kobieta owa, czasem pod pozorem przyjaznych uczuć, czasem zaś z jawną złośliwością informowała, Emilię o przygotowaniach, jakie czyniono do jej zamążpójścia. A to jednego dnia, że „pan wyjechał obejrzeć niewielką

schludną fermę przeznaczoną na mieszkanie dla młodej pary”, a to drugiego, że „mnóstwo bydła i różnego sprzętu jest już na miejscu, aby wszystko było gotowe na ich przyjęcie”. Następnie powiedziała jej, że „zakupiono indult, proboszcz czeka, a dzień ślubu ustalony”. Kiedy Emilia próbowała, co prawda wśród wzrastających obaw, obrócić w śmiech te przedsięwzięcia, jako najzupełniej niedorzeczne bez jej zgody, jej przebiegła opiekunka przytaczała różne historie o małżeństwach zawartych siłą i zapewniała, że żadne protesty, milczenie lub omdlenie, nie przydadzą się na nic, by odroczyć ceremonię czy też unieważnić zawarty ślub.

Położenie Miss Melville było w najwyższym stopniu godne pożałowania. Nie przestawała z nikim poza swymi prześladowcami.

Nie miała człowieka, którego by się mogła poradzić, lub który by, choć w najmniejszym stopniu, mógł udzielić jej pociechy i dodać odwagi. Emilia była mężna, lecz męstwo to nie było ani wypróbowane, ani kierowane doświadczeniem. Nie można więc było spodziewać się, by miała tak niezachwiane męstwo, jakie niechybnie by w sobie znalazła posiadając lepszą znajomość świata. Duszę miała czystą i szlachetną, lecz nie wolna była od przywar swej płci. Umysł jej poddał się wiszącej nad nią niezmiennie grozie, a zdrowie w widoczny sposób zostało nadwreżone.

Kiedy już męstwo jej zostało tak bardzo zachwiane, Grimes w najbliższej z nią rozmowie, idąc za danymi sobie wskazówkami, napomknął mimochodem, że on ze swej strony nigdy nie dbał o ten związek i jeśli jest on jej tak wstrętny, wolałby, by do małżeństwa nie doszło. Zaplątał się jednak w tę sprawę i przypuszcza, że rad nierad będzie musiał się zenić. Widząc najmniejszą oznakę opieszałości z jego strony, obaj dziedzice doprowadzą go niechybnie do ruiny, jak to zwykli czynić z każdym niżej od nich stojącym, jeśli opierał się ich woli. Emilia ucieszyła się, że wielbiciel jej był w tak dobrym usposobieniu, i usilnie nalegała, by wprowadził w czyn swoje miłe oświadczenie. Przemawiała z siłą i elokwencją. Grimes zdawał się być wzruszony tą żarliwością, lecz zasłaniał się zemstą Mr Tyrrela i swojego pana. W końcu wysunął projekt, podług którego mógłby dopomóc jej w ucieczce, a panowie by się nie dowiedzieli, że on to zrobił, jako że istotnie małe było prawdopodobieństwo, aby na niego skierowali

podejrzanie.

— Co prawda — powiedział — odpaliłaś mnie, panienko, w dość obraźliwy, można powiedzieć, dla mężczyzny sposób. Myślałaś pewnie, że mam zwykły grubianin; ale ja nie chowam do ciebie złości i pokażę, że lepsze mam serce, niż to sobie panna wyobrażasz. Dziwny to koncept samej sobie stać na przeszkodzie do szczęścia i tak przykrą być dla wszystkich przyjaciół. Lecz jeśli już takie panny postanowienie, to cóż?

W pogardzie mam małżeństwo z dziewczyną, która nie byłaby tak samo chętna jak ja, a więc pomogę pannie, byś mogła pójść za swymi uczuciami.

Emilia słuchała tych propozycji zrazu ochoczo i z aprobatą. Lecz zapał jej przygasł cokolwiek, kiedy przyszło do omówienia szczegółów przedsięwzięcia. Konieczne było, jak powiadomił ją Grimes, by ucieczkę przedsięwziąć ciemną nocą. W tym celu on ukryłby się w ogrodzie, a mając podrobione klucze, wyzwoliłby ją z jej więzienia. Takie okoliczności żadną miarą nie nadawały się do uspokojenia wzburzonej wyobraźni dziewczęcia. Rzucić się samej w ramiona mężczyzny, którego wszelkimi sposobami starała się unikać i którego najmniej ze wszystkich mogłaby znieść w roli towarzysza życia — było niewątpliwie niezwykle przedsięwzięciem. Towarzyszące tej eskapadzie okoliczności: ciemność i samotność, pogarszały jeszcze ten obraz. Dwór Tyrrelów położony był na wyjątkowym pustkowiu; od najbliższej wsi dzieliły go trzy mile, a od tej, gdzie mieszkała siostra Mrs Jakeman, pod której opiekę pragnęła się udać Emilia, nie mniej niż siedem. Wrodzona prawość Emilii nie pozwalała jej ani przez chwilę podejrzewać Grimesa, by w sposób nieczny i brutalny zamierzał skorzystać z tej sposobności. Lecz nieświadomie buntowała się przeciw myśli, by zdać się samej na łaskę człowieka, którego niedawno jeszcze uważała za narzędzie knującego zdradę kuzyna.

Kiedy tak rozmyślała nad tym wszystkim, przyszło jej do głowy, że dobrze byłoby poprosić Grimesa, by sprowadził siostrę Mrs Jakeman, która czekałaby na nią tuż przy furtce ogrodowej. Tego jednak Grimes stanowczo odmówił, a nawet wpadł w gniew słysząc tę propozycję. Było to dowodem zupełnego braku wdzięczności — twierdził — wymagać, by ujawnił swój udział w tej niebezpiecznej historii. Co do niego, to ze względu na własne



bezpieczeństwo postanowił, że żywa dusza o tym się nie dowie. Jeśli panienska nie wierzy mu, podczas kiedy on wysuwa swą propozycję z czystej dobroci serca, i nie ufa mu ani odrobinę, to niech się martwi potem o skutki. On nie ulegnie już więcej kaprysom osoby, która w stosunku do niego okazała się tak dumną jak sam Lucyfer.

Emilia ze wszystkich sił starała się ułagodzić tę urazę; ale cała wymowa jej nowego sprzymierzeńca nie mogła doprowadzić do tego, by od razu pozbyła się swych zastrzeżeń. Chciała to rozważyć do następnego dnia. Za dwa dni przypadał ślub naznaczony przez Mr Tyrrela. Tymczasem zadręczano ją tysiącem napomknień o tak bliskim już, czekającym ją losie. Przygotowania do ślubu nie ustawały ani na chwilę, były przy tym tak drobiazgowo, że musiały napawać ją bolesnym niepokojem. Wystarczyło, by choć na chwilę przestała się martwić, a już jej towarzyszka niezawodnie umiała przerwać jej spokój jakimś chytrym napomknieniem lub złośliwą uwagą. Emilia, jak to później sama zauważyła, czuła się samotna i bezradna; ledwie wyzwolona z więzów dzieciństwa, nie miała żywej duszy, która by troszczyła się o jej los. Ona, która dotąd nie miała nieprzyjaciół, od trzech tygodni nie widziała człowieka, o którym by nie miała prawa myśleć, że był jej co najmniej niechętnym, jeśli nie dążył wyraźnie do jej zguby. Po raz pierwszy doświadczała teraz bolesnego braku rodziców i wiedziała, co to znaczy być zdaną na łaskę ludzi, od których zbyt wiele ją dzieliło, by mogła liczyć na przyjacielskie przysługi z ich strony.

Po rozmowie z Grimesem spędziła bardzo niespokojną noc. Ledwie zapadała w krótki sen, już wzburzona wyobraźnia wywoływała tysiączne obrazy gwałtu i zdrady: widziała siebie w rękach swych nieprzejednanych wrogów, którzy nie wahali się użyć najczarniejszej przewrotności, by zgubę jej uczynić zupełną. Na jawie myśli jej nie były bardziej kojące. Walka stawała się ponad jej siły. Gdy nadszedł ranek, postanowiła ważyć się na wszystko i oddać się w ręce Grimesa. Po powzięciu tej decyzji zrobiło się jej znacznie lżej na sercu. Nie wyobrażała sobie, by z tego postępuku mogło wyniknąć zło równe temu, które nieuchronnie czekało ją pod dachem jej krewniaka.

Kiedy zawiadomiła Grimesa o swym postanowieniu, nie podobna było

powiedzieć, czy wiadomość ta sprawiła mu radość, czy przykrość. Uśmiechnął się, ale uśmiechowi temu towarzyszyło nagle skrzywienie twarzy, tak że mógł on równie dobrze wyrażać szyderstwo jak i życzliwość. Jednakowoż ponowił zapewnienia, że wiernie i punktualnie wywiąże się ze swego przyrzeczenia.

Tymczasem dzień mijał wśród składania ślubnych podarków i przygotowań, świadczących o nieustępliwej pewności siebie tych, którzy kierowali tą grą. Emilia żywiła nadzieję, że wobec zbliżania się decydującej chwili nie będą jej strzegli tak pilnie. W tym wypadku, gdyby trafiła się dobra sposobność, postanowiła wymknąć się zarówno swym stróżom więziennym, jak i nowemu, a niechętnie obranemu sprzymierzeńcowi. Lecz chociaż niezwykle czujnie wypatrywała takiej sposobności, uznała wykonanie tego zamysłu za niemożliwe.

W końcu nadeszła noc tak decydująca o całym jej szczęściu. Emilia była niezwykle podniecona. Najpierw musiała wysilić całą swą przezorność, by wymknąć się spod czujnej straży swej towarzyszki. Ta okrutnica jednak, bezczelna i nieczuła, zamiast wzruszyć się choć trochę, szukała tylko rozrywki w jej niepokoju. Schowała się więc na chwilę, pozwalając Emilii sądzić, że droga jest wolna, a potem stanęła przed nią w końcu korytarza u szczytu klatki schodowej.

— Jak się czujemy, kochanie? — odezwała się urągliwie. — Więc moja ślicznotka myślała, że starczy jej sprytu, by wywieść mnie w pole? O, chytra mała, chciała mnie ocyganić. Wracaj, wracaj do siebie, moja duszko, a szybko.

Emilia głęboko odczuła ten figiel. Westchnęła, lecz nie raczyła ani słowem odpowiedzieć na tę niską gminność. Znalazłszy się z powrotem w swym pokoju, padła na krzesło i pozostała tak ponad dwie godziny, pochłonięta rojem myśli, które snuły się jej po głowie. Po czym podeszła do szuflad i pośpiesznie, w pomieszeniu zaczęła przerzucać bieliznę i suknie myśląc o rzeczach potrzebnych jej do ucieczki. Strażniczka Emilii postępowała za nią natrętnie, krok w krok, przyglądając się jej w milczeniu. Była to pora udania się na spoczynek.

— Dobranoc, dziecko — powiedziała ta zuchwała dziewczyna

wychodząc. — Czas już zamykać drzwi. Przez parę najbliższych godzin będziesz miała czas dla siebie. Korzystaj z niego, jak możesz. Czy może myślisz, kochaneczko, że potrafisz się stąd wysliznąć przez dziurkę od klucza? O ósmej rano obaczysz mnie znowu. A potem, a potem — dodała klaszcząc w dłonie — będzie już po wszystkim. I tak pewnie jak to, że słońce jutro wstanie, połączysz się z twoim poczciwym chłopakiem.

Ton, jakim ta wiedźma powiedziała „dobranoc”, obudził wątpliwości w Emilii.

„Co ona ma na myśli? Czyż możliwe, by wiedziała o tym, co zostało uplanowane na najbliższe godziny?”

W tym momencie po raz pierwszy nasunęło jej się podejrzenie, lecz trwało krótko. Z bólem serca zrobiła zawiniątko z tych niewielu niezbędnych rzeczy, które zamierzała zabrać ze sobą. Mimowolnie natężyła ucha z takim niepokojem, że zdolna byłaby prawie dosłyszeć szmer liścia na drzewie. Od czasu do czasu zdawało jej się, że ucho jej chwyta odgłos ludzkich kroków; ale jeśli to były kroki, to tak ostrożne, że nie miała żadnej pewności, czy to dźwięk rzeczywisty, czy tylko wytwór jej wyobraźni. Potem znów zapadała cisza, jak gdyby wszelki ruch zamarł na świecie. Po niedługiej chwili zdawało jej się, że słyszy odgłos jak gdyby stłumionej, szeptem prowadzonej rozmowy. Serce jej zadrżało; po raz drugi zaczęła wątpić o uczciwości Grimesa. Tym razem wątpliwości były bardziej niepokojące niż poprzednio; lecz było już za późno. Nagle usłyszała chrobot klucza w drzwiach swego pokoju i ukazała się w nich postać wieśniaka. Przerazona krzyknęła:

— Czy odkryto nas? Czy to nie był pański głos?... — Grimes podszedł na palcach, z ręką na ustach.

— Ależ nie, nie — odparł — jesteśmy zupełnie bezpieczni. — Ujął ją za rękę i w milczeniu wyprowadził z domu; szli przez ogród. Emilia badała wzrokiem mijane drzwi i rozglądała się na wszystkie strony z trwożną podejrzliwością, lecz dokoła była taka pustka i cisza, jak tylko mogła sobie tego życzyć. W końcu Grimes pchnął otworzoną już tylną furtkę, która wychodziła na mało uczęszczaną drożynę. Stały tu dwa konie osiodłane do podróży i uwiązane za uzdy do słupa oddalonego nie więcej jak o sześć

jardów od ogrodu. Zatrzasnąwszy furtkę Grimes powiedział:

— Patrzajcie no! Serce już miałem w gardle. Przyszedłem po was, a tu patrzę, stangret Mun mignął mi w tylnych drzwiach stajni. Był o włos, o krok, o jeden sus ode mnie. Ale trzymał w ręku latarnię i nie zobaczył mnie, bo byłem w ciemności.

Mówiąc to, pomagał Miss Melville dosiąść konia. Podczas jazdy nie naprzykrzał się jej; przeciwnie — był szczególnie milczący i zamyślony, co nie sprawiało Emilii najmniejszej przykrości, ponieważ rozmowa z nim nigdy jej nie była miła.

Ujechawszy około dwóch mil skręcili w las, poprzez który wiodła droga do miejsca, gdzie zdążali. Noc była niezwykle ciemna, powietrze łagodne i ciche, gdyż był to sam środek lata. Kiedy znaleźli się już pośrodku tego mrocznego pustkowia, Grimes pod pozorem wyszukania drogi tak pokierował swym koniem, że ten szedł łeb w łeb z wierzchowcem Emilii, potem zaś niespodziewanie wyciągając rękę, uchwycił za jej wodze.

— Myślę, że możemy równie dobrze zatrzymać się tu na chwilę — powiedział.

— Zatrzymać się? — wykrzyknęła ze zdziwieniem Emilia. — Czemuż mielibyśmy się tu zatrzymywać? Co pan zamierza?

— No, no — odpowiedział — nie ma się czego dziwić. Czy myślisz, że taki dureń ze mnie, bym sobie robił tyle kłopotu po to tylko, żeby spełnić kaprys panienki? Dalibóg, nikt nie zrobi ze mnie jucznego konia ani nie będę biegał nikomu na posyłki nie wiedząc sam po co. Nie mogę powiedzieć, żebym zrazu dbał wiele o to, by cię mieć, ale panienka tak się zachowuje, że nawet w moim dziadku krew by się wzburzyła. Wiadomo: co niezwykle i drogo kupione, to przypada do smaku. Tak ciężko było uzyskać przyzwolenie panny, że zdaniem dziedzica, pewniej będzie o nie prosić po ciemku. Ale powiedział także, że nie chciałby czegoś takiego w swoim domu, więc przyjechaliśmy tutaj.

— Na miłość boską! Pomyśl pan, do czego zmierzasz! Byłżebyś na tyle nikczemnym, by gubić nieszczęsną istotę, która sama oddała się pod twoją opiekę?

— Gubić? Gdzie tam! Kiedy już będzie po wszystkim, zrobią z panny

uczciwą kobietą. O, nie, nic tu panienka nie wskóra. Żadnych sztuczek! Podróżnych nie ma na tej drodze! Mam cię tu tak pewnie jak raka w koszu. O milę stąd nie ma w okolicy domu ani nawet szopy; i możesz mnie nazwać wałachem, jeśli nie wyzyskam tej okazji. Na Boga, delikatny z ciebie kęsek i nie ma co dłużej tracić czasu.

Miss Melville miała krótką chwilą na zebranie myśli. Zrozumiała, że niewielką można mieć nadzieję na zmiękczenie tego upartego i nieczułego prostaka, pod którego władzę się dostała. Ale właściwe jej męstwo i przytomność umysłu nie opuściły jej i tu. Zaledwie Grimes zakończył swą przemowę, kiedy silnym nieoczekiwanym szarpnięciem wyrwała uzdę z jego garści i puściła swego konia galopem. Ledwie wyprzedziła go o dwie długości konia, a już Grimes, opanowawszy zdumienie, bezgranicznie upokorzony tym, że tak łatwo dał się wyprowadzić w pole, rzucił się za nią w pogoń. Dolatujący z tyłu tętent jego konia podniecił jeszcze bardziej krewkiego wierzchowca Emilii; czy to przypadkiem, czy przez pojętność, nie potknąwszy się ani razu, zwierzę rwało naprzód wąską krętą drogą i pościg ten trwał przez całą długość lasu.

Na jego skraju była brama. Pamięć o tym ulżyła nieco piekącemu uczuciu zawodu, jaki przeżywał Grimes, który liczył, że dzięki tej przeszkodzie uda mu się zatrzymać konia Emilii. Mało też było prawdopodobne, by w takim miejscu i głuchą nocą zjawił się ktokolwiek, kto mógłby pokrzyżować jego zamiary. Jednakże niezwykłym trafem zastali czekającego przed bramą jeźdźca.

— Na pomoc! Na pomoc! — wykrzyknęła przerażona Emilia. — Złodzieje! Mordują! Ratunku!

Jeźdźcem tym był Mr Falkland. Grimes rozpoznał jego głos, dlatego też chociaż próbował, markotny, stawiać pewien opór, nietęgo to wypadło. Dwaj inni mężczyźni, których z powodu ciemności nie dojrzał zrazu, a którzy należeli do służby Mr Falklanda, słysząc zgiełk jakiegoś zajścia i zaniepokojeni o bezpieczeństwo swego pana, podjechali bliżej. Wówczas Grimes, zawiedziony utratą spodziewanej rozkoszy, czując wyrzuty nieczystego sumienia, umknął przed dalszą rozmową i odjechał w milczeniu.

Wydawać się może dziwnym, że w ten sposób Mr Falkland powtórnie stał się wybawcą Miss Melville, i to w szczególnych i nieoczekiwanych okolicznościach. Lecz w tym wypadku łatwo to można wyjaśnić. Otóż słyszał on o pewnym człowieku, który dla rabunku czy też w innych złych zamiarach ukrywał się w tym lesie. Jak przypuszczano, człowiekiem tym był niejaki Hawkins, jeszcze jedna ofiara prowincjonalnej tyranii Mr Tyrrela, którego niebawem będę miał sposobność przedstawić czytelnikowi.

Historia Hawkinsa wzbudziła już poprzednio głębokie współczucie Mr Falklanda; na próżno jednak usiłował go odnaleźć i wyświadczyć mu jakąś przysługę. Mr Falkland sądził, że jeśli to, co słyszał o Hawkinsie, okazałoby się prawdą, mógłby nie tylko mu pomóc, co od dawna zamierzał, lecz co więcej, ocalić od niebezpiecznej kolizji z prawem i społeczeństwem człowieka, który zdawał się silnie przepojony zasadami sprawiedliwości i cnoty. Zabrał ze sobą dwóch służących, ponieważ jadąc z umyślnym zamiarem spotkania rozbójników, uważał za rzecz niewybaczalną nie zabezpieczyć się przed możliwością jakiegoś nieszczęśliwego przypadku, w razie gdyby rozbójników tych spotkał.

Jednak rozkazał im trzymać się w takiej odległości, by mogli usłyszeć jego wołanie, a sami pozostali niewidzialni; tylko więc nadmierna gorliwość spowodowała ich tak rychło na miejsce opisanego spotkania.

Nowa ta przygoda zapowiadała się nieco niezwykle. Mr Falkland nie od razu rozpoznał Miss Melville, osoba zaś Grimesa była mu całkowicie obca i nie przypominał sobie, by ją kiedykolwiek był widział. Ale z miejsca zrozumiał, o co chodzi, i wiedział, że powinien wdać się w tę sprawę. Zdecydowana postawa Mr Falklanda i przerażenie, jakie Grimes, zgębiony wyrzutami sumienia, odczuł na widok tak znakomitej osoby w roli swego przeciwnika — sprawiły, że niedoszły gwałciciel umknął co tchu.

Emilia pozostała sama ze swym wybawcą; ten zaś stwierdził, że jest spokojniejsza i bardziej opanowana, niżby można się było spodziewać po osobie, która przed chwilą jeszcze znajdowała się w tak niezwykle groźnej sytuacji. Dziewczyna powiedziała mu, dokąd pragnęłaby, by ją odwiózł, a on natychmiast podjął się eskortować ją na samo miejsce. W czasie drogi odzyskała na tyle spokój, że mogła opowiedzieć wypadki, jakie się jej

ostatnio przydarzyły, temu człowiekowi, wobec którego miała tylokrotne długi wdzięczności i który był przedmiotem tak gorącego jej uwielbienia. Mr Falkland słuchał z ciekawością i zdumieniem. Choć znał już liczne przykłady niskiej zazdrości i bezwzględnej przemocy Mr Tyrrela, ten jednak przechodził wszystkie; słuchając opowiadania ledwie mógł wierzyć własnym uszom. Ów sąsiad-grubianin zdawał się być wcieleniem wszystkiego, co przypisuje się diabelskiej złości. Miss Melville zmuszona była w toku swej opowieści powtórzyć prostackie oskarżenia swego krewniaka o gorącą skłonność żywioną do Mr Falklanda; co zresztą uczyniła z czarującą prostotą i uroczym pomieszaniem. Chociaż ta część opowieści była źródłem prawdziwego bólu dla jej oswobodziciela, to jednak przypuszczać należy, że ta pochlebna dla niego skłonność nieszczęsnej dziewczyny wzmogła jego zainteresowanie jej losem i oburzenie, jakim zapałał wobec jej piekielnego krewniaka.

Bez dalszych przygód dotarli do domu zacnej kobiety, pod której opiekę Emilia pragnęła się oddać. Tu, jako w miejscu całkiem bezpiecznym, Mr Falkland chętnie ją pozostawił. Powodzenie spisków tego rodzaju jak ten, który został ukartowany przeciw Emilii, zależy od tego, czy osoba, przeciw której są wymierzone, jest zupełnie bezbronna, czy też nie. Raz wykryte, zostają udaremnione. Niewątpliwie rozumowanie takie zostałyby na ogół uznane za wystarczająco słuszne i Mr Falklandowi zdawało się, że w tym wypadku doskonale można je zastosować. Mylił się jednak.

## ROZDZIAŁ IX

Mr Falkland wiedział z doświadczenia, że rozmowa z Mr Tyrrelem nie zdałaby się na nic. Zadowolili się więc w tym wypadku skupieniem swej uwagi na tej, którą Mr Tyrrel upatrzył na swoją ofiarę. Oburzenie, jakim napawał go sąsiad, wzmogło się teraz do tego stopnia, że myśl o dobrowolnym spotkaniu z nim napełniała go odrazą. Była jeszcze inna sprawa w tym samym czasie, która doprowadziła do starcia między tymi śmiertelnymi wrogami i przyczyniła się do tego, że rozjątrzona i żrąca gorycz Mr Tyrrela urosła do stanu bliskiego szaleństwa.

Mr Tyrrel miał dzierżawcę, niejakiego Hawkinsa. Nie mogę wspomnieć tego nazwiska, by nie stanęły mi w pamięci owe bolesne, tragiczne wypadki, które się z nim łączą! Tego Hawkinsa Mr Tyrrel swego czasu wziął pod opiekę, aby obronić przed samowolnym postępowaniem innego właściciela ziemskiego z sąsiedztwa, choć teraz Hawkins stał się z kolei przedmiotem prześladowań ze strony samego Mr Tyrrela. Zetknęli się ze sobą z następujących powodów: Hawkins poza fermą, którą dzierżawi od wyżej wspomnianego właściciela ziemskiego, miał niewielką posiadłość, którą odziedziczył po swym ojcu. To naturalnie dawało mu prawo głosowania w wyborach na terenie hrabstwa; kiedy zaś doszło do jakichś gorących walk wyborczych, właściciel dóbr zażądał od niego oddania głosu na kandydata, za którym sam się opowiedział. Hawkins odmówił spełnienia tego rozkazu i niebawem otrzymał polecenie opuszczenia dzierżawionej przez siebie fermy.

Tak się złożyło, że Mr Tyrrel zainteresowany był niepomahału w wyborze przeciwnego kandydata; a ponieważ posiadłość Mr Tyrrela graniczyła z miejscem zamieszkania Hawkinsa, wyrzucony z ziemi wieśniak nie mógł znaleźć lepszego wyjścia, jak osiodławszy konia udać się do dworu tego dżentelmena i opowiedzieć mu całą sprawę. Tyrrel wysłuchał go uważnie.



— Przyjacielu — rzekł w końcu — to prawda, że chciałem, aby Mr Jackman odniósł w tych wyborach zwycięstwo; ale wiesz dobrze, że zwyczaj nakazuje dzierżawcom głosować tak, jak to dogadza ich panom. Nie uważam za stosowne popierać buntów.

— Wszystko to święta racja, proszę łaski pana — odparł Hawkins — i głosowałbym wedle rozkazu mego pana na każdego innego człowieka w całym królestwie, byle nie na pana dziedzica Marlow. Musi pan wiedzieć, że pewnego razu jeden z jego dojeżdżaczy przejechał przez mój płot i dalej przez moje najlepsze pole nie zżętego zboża. Nałożyłby nie więcej niż dwanaście jardów, gdyby pojechał drogą. I ten obwieś, proszę łaski pana, wypłatał mi tę samą sztukę już trzy czy cztery razy przedtem. Więc ja go tylko zapytałem, po co to robi i czy nie ma sumienia, żeby w ten sposób niszczyć ludziom zboże na pniu. Na to zaraz przystąpił jego pan. A to pokurcz przecież, bez obrazy wielmożnego pana; nędzne to, pomarszczone na twarzy, choć szlachcic. Więc on wpadł w ostatnią pasję i zagroził mi batogami. Dalibóg, zrobiłbym, co mogę, dla przypodobania się memu panu, jak każdy inny z jego dzierżawców, ale nie dam mojego głosu człowiekowi, który grozi, że mnie batogami oćwiczy. A teraz, wasza łaskawość, ja i moja żona, i troje dzieci mamy być wyrzuceni z domu i z naszej zagrody i jak mam ich utrzymać, Bóg jeden chyba wie. Pracowałem ciężko i zawsze miałem się dobrze, ale myślę, że teraz sprawa jest bardzo trudna. Mój pan, Underwood, wyrzuca mnie z fermy; i jeśli wasza łaskawość nie przyjmie mnie do siebie, wiem, że nie zrobi tego nikt z okolicznej szlachty z obawy, jak mówią, aby nie zachęcać własnych dzierżawców do podobnego zuchwalstwa.

Ta przemowa do Mr Tyrrela nie pozostała bez skutku.

— Dobrze, mój człowieku, dobrze — odparł — zobaczymy, co się da zrobić. Porządek i subordynacja to dobra rzecz, ale ludzie powinni wiedzieć, ile można wymagać. Z tego, coś tu opowiedział, widzę, że niewielka jest twoja wina. Marlow to błazen i mędrak — w tym cała rzecz, a jak się człowiek chce narażać na pośmiewisko, to cóż, musi ponosić tego skutki. Ja sam z całej duszy nienawidzę tego sfrancuziałego wiercipięty i nie mogę powiedzieć, żeby mi się to podobało, że mój sąsiad Underwood bierze stronę

tego szelmy. Jak mówiliście, że się nazywacie? Hawkins? Jutro możecie się zgłosić do mojego rządcy Barnesa, on z wami pomówi.

Mówiąc to Mr Tyrrel przypomniał sobie, że ma nieobsadzoną fermę, tej samej mniej więcej wartości, co ta, którą Hawkins dzierżawił ostatnio od Mr Underwooda. Natychmiast naradził się ze swoim rządcą i stwierdziwszy, że pod każdym względem będzie to rzeczą korzystną, od ręki umieścił Hawkinsa w spisie swych dzierżawców. Mr Underwood odczuł ten postępek jako ciężką osobistą zniewagę i niewielu ludzi poza Mr Tyrrelem poważyłoby się na to, co było sprzeczne ze zwyczajami przyjętymi wśród właścicieli ziemskich. Byłby to koniec wszelkiego ładu, powiadał Mr Underwood, gdyby zachęcać dzierżawców do takiego nieposłuszeństwa. Nie chodzi tu już o tego czy innego kandydata, ale o to, że każdy szlachcic, który naprawdę dobrze życzy swojemu krajowi, wolałby raczej przepaść w wyborach niż dopuścić się czegoś, co mogłoby wejść w zwyczaj i raz na zawsze pozbawić szlachtę władzy kierowania wyborami. Lud pracujący dość już i tak jest krnąbrny i zuchwały, z każdym dniem trudniej jest utrzymać go w subordynacji, i jeśli szlachta rodowa jest tak nierozważna i niedbała o dobro publiczne, by jeszcze zachęcać lud do zuchwalstwa, trudno przewidzieć, jak się to może zakończyć.

Mr Tyrrel nie był człowiekiem tego pokroju, by przestrogi te odnieść miały jakiś skutek. Ogólny ich duch był dość zgodny z jego własnymi zapatrywaniami, lecz zbyt gwałtowny temperament nie pozwalał mu wytrwać w roli dobrego polityka. I jakkolwiek opaczne być mogło jego postępowanie, w żadnym razie nie zmieniłby go pod wpływem czyjejkolwiek krytyki. Im bardziej krytykowano opiekę, jaką otoczył Hawkinsa, tym bardziej nieugięcie przy niej obstawał; i nie zdarzało się, by w towarzystwie lub na zgromadzeniach był w kłopotcie, jak uciszyć lub nawet ofuknąć tych, którzy mu przyganiali. Poza tym Hawkins posiadał pewne talenta, które czyniły go ulubieńcem Mr Tyrrela. Jego prostackie maniery i szorstki charakter nadawały mu podobieństwo do jego pana; a ponieważ cechy te przypuszczalnie częściej dałyby się we znaki osobom, które popadły w niełaskę Mr Tyrrela, niż jemu samemu, więc Mr Tyrrel patrzył na nie z pewnym pobłażaniem. Jednym słowem, nowy dzierżawca

co dzień otrzymywał świeże oznaki wyróżnienia ze strony swego opiekuna, a po pewnym czasie został pomocnikiem Mr Barnes'a z mianem rządcy. W tym samym mniej więcej okresie spisano z nim długoterminową umowę dzierżawną na fermę, którą dotychczas miał na czas krótki.

Mr Tyrrel postanowił, że jeśli nadarzy się po temu okazja, każdemu z członków rodziny swego ulubieńca dopomoże wyjść na ludzi. Hawkins miał syna, siedemnastoletniego chłopca o miłej powierzchowności, świeżej cerze, szybkiego i zwawego z natury. Wielki to był ulubieniec ojca, któremu nic tak nie leżało na sercu jak przyszła pomyślność syna. Chłopiec parokrotnie zwrócił na siebie uwagę Mr Tyrrela, a lubując się w grach myśliwskich, dojeżdżał niekiedy za psami dając w obecności pana różne dowody zręczności i roztropności. Jednego dnia zwłaszcza tak się popisał, że Mr Tyrrel nie zwlekając dłużej zaproponował ojcu, iż przyjmie chłopca w poczet swych domowników i odda mu nadzór nad psiarnią do czasu, póki nie postara się dla niego o jakieś bardziej korzystne stanowisko w swym domu.

Hawkins przyjął tę propozycję z wszystkimi oznakami przygnębienia. Tłumaczył się z wahaniem, dlatego nie przyjmuje okazanej łaski, mówił, że chłopiec na różne sposoby jest użyteczny jemu samemu, i wyrażał nadzieję, że dziedzic nie będzie nalegać i nie zechce pozbawić go pomocy syna. Te wymówki byłyby chyba wystarczające dla każdego innego, ale nie dla Mr Tyrrela. Ten dżentelmen znany był z tego, że kiedy raz powziął choćby najłabsze postanowienie, nigdy później od niego nie odstępował; wszelki opór wywoływał w nim gwałtowne i nieustępliwe pragnienie tego, co na początku było mu niemal obojętne. Zrazu przyjmował tłumaczenie Hawkinsa dobrodusznie, uznając je za całkiem rozsądne; potem jednak, ilekroć zobaczył chłopca, wzmagala się w nim chęć wzięcia go na służbę i nieraz powtarzał ojcu, jak dobrze jest w stosunku do jego syna usposobiony. W końcu zauważył, że chłopak nie bierze jak dawniej udziału w ulubionych rozrywkach, i zaczął podejrzewać, że dążono do pokrzyżowania jego zamysłów.

Wzburzony tym podejrzeniem (a człowiek o usposobieniu Mr Tyrrela nie mógł ścierpieć niepewności), posłał do Hawkinsa, aby się z nim rozmówił.

— Słuchajcie, Hawkins — zaczął gniewnym głosem — nie jestem z was zadowolony. — Rozmawiałem z wami dwa czy trzy razy o waszym chłopcu, którego chciałbym wziąć pod opiekę. Czemuż to, mój panie, zdajesz się okazywać niewdzięczność i odrazę wobec mej życzliwości? Powinniście wiedzieć, że nie pozwolę ze sobą żartować. Nie zniosę tego, by taki jak wy człek odrzucał ofiarowaną przeze mnie łaskę. Uczyniłem z was to, czym jesteście, i jeśli zechcę, mogę uczynić was bardziej opuszczonym i nieszczęśliwym, niż byliście, kiedym was poznał. Strzeżcie się!

— Proszę waszej łaskawości — odparł Hawkins — był pan dla mnie bardzo dobrym panem i powiem panu całą prawdę. Myślę, że nie pogniewa się pan. Chłopak jest moim ulubieńcem, moją pociechą, podporą mojej starości.

— No i cóż z tego? Czy to powód, by stawać na zawadzie, kiedy trafia mu się możliwość wyjść na ludzi?

— Nie, ale proszę, niech wasza łaskawość zechce mnie wysłuchać. Być może, jest to tylko słabość z mojej strony, ale nie ma na to rady. Mój ojciec był duchownym. Cała nasza rodzina żyła w poważaniu i nie mogę znieść myśli, aby mój biedny chłopak poszedł na służbę. Co do mnie, nie widzę, żeby co dobrego przypadało w udziale tym, co służą. Nie wiem, wasza łaskawość, ale tak sobie myślę, że nie chciałbym, żeby mój Leonard był taki jak oni. Nie żebym ich chciał obrazić, Boże odpuść! Ale to rzecz dla mnie najdroższa i nie mogę przystać na to, by wystawiać na szwank dobro mojego syna, kiedy za pozwoleniem, tak łatwo mogę uniknąć niebezpieczeństwa. Teraz to chłopiec skromny i pracowity i choć nie jest zuchwały ani grubiański, wie, co mu się należy. Wiem, wasza łaskawość, że to bardzo głupio, że pozwalam sobie tak mówić, ale wasza łaskawość był dla mnie tak dobrym panem, że nie mogę kłamać.

Mr Tyrrel wysłuchiwał całej tej przemowy w milczeniu, albowiem zbyt był zaskoczony, by wyrzec choć słowo. Nie okazałby chyba większego zdumienia, gdyby grom w niego uderzył. Sądził, że Hawkins tak szaleńczo kocha swego syna, że nie może znieść myśli, by powierzyć go komukolwiek obcemu; ale nigdy, w najlżejszym nawet stopniu nie podejrzewał prawdy.

— No, no, no, to jesteście szlachcic, co? Na honor, dobry mi szlachcic!

Ojciec jego był duchownym! Jego rodzina za szlachetna, aby pójść w moją służbę! Cóż to, bezwstydnny hultaju! Więc po to cię przygarnąłem, kiedy Mr Underwood wyrzucił cię za zuchwalstwo? Więc wyhodowałem zmię na własnym łonie? Doprawdy, obyczaje pięknego panicza mogą tu być zepsute! Nie będzie wiedział, co mu się należy, ale nauczy się słuchać rozkazów! Precz, wstrętny łajdaku! Nie pokazuj mi się na oczy! Możesz być pewny, że nie będę dłużej trzymał szlachciców na mojej ziemi. Niech idą na złamanie karku z całą rodziną, z betami i bachorami. Słyszysz pan? Przyjdiesz tu jutro rano, przyprowadzisz syna i będziesz mnie prosił o przebaczenie. A nie to — klnę się na honor — zrobię cię tak nieszczęśliwym, że będziesz pragnął, byś się był wcale nie narodził.

Tego było już za wiele dla Hawkinsa.

— Nie ma potrzeby, wasza łaskawość, żebym wracał tu znów jutro w tej sprawie. Postanowiłem, com postanowił, i żadna zwłoka tego nie odmieni. Wielce mi przykro, że rozgniewał waszą wielmożność, i wiem, że wielmożny pan może mi uczynić niemało krzywdy. Ale spodziewam się, że nie będzie pan tak twardego serca, żeby gubić ojca za to tylko, że kocha swego syna, nawet gdyby to kochanie popchnęło go do nierozsądnych czynów. Nic na to nie poradzę, wasza łaskawość: człowiek musi tak robić, jak mu się słusznym wydaje. Najbiedniejszy Murzyn nawet, można powiedzieć, też ma jakiś przedmiot, z którym się nie chce rozstać. Mogę utracić wszystko i być zmuszony pracować jak wyrobnik i syn mój także, ale nie zrobię z niego sługi szlachcica.

— Doskonale, mój przyjacielu, doskonale — odparł Mr Tyrrel piniąc się z wściekłości. — Na honor, zapamiętam to sobie! Twoja pycha doczeka się kary. Niech to wszyscy diabli! A więc do tego już doszło? Żeby hultaj, co gospodaruje na czterdziestu akrach, śmiał stawiać się tak zuchwale panu na włościach? Zetrę cię na miazgę! Przyjmij moją radę, łajdaku: zamykaj dom i uciekaj, jakby ci diabeł deptał po piętach! Możesz się uważać za szczęśliwego, jeśli zaraz teraz nie wezmę się ostro do ciebie, jeśli wyniesiesz stąd całą skórę! Za wszystkie bogactwa Indii nie ścierpię żeby taki łotr choćby dzień dłużej zostawał na mojej ziemi.

— Nie tak śpiesznie, wasza łaskawość — odparł śmiało Hawkins. —

Spodziewam się, że pan pomyśli jeszcze i zobaczy, że nie jestem winien. Lecz gdyby tak być nie miało, to może mnie pan skrzywdzić, ale są krzywdy, których i pan wyrządzić nie może. Choć jestem prostym pracującym człowiekiem, widzi wasza łaskawość, jestem jednak człowiekiem. Nie, dostałem moją fermę w długoletnią dzierżawę i nie opuszczę jej z dnia na dzień. Ufam, że prawo jest dla biednych tak samo jak dla bogatych.

Mr Tyrrela, nieprzywykłego do sprzeciwów, odwaga i niezależność jego dzierżawcy wyprowadziła z cierpliwości w sposób przekraczający wszelkie granice. W całym jego dobrach nie było ani jednego dzierżawcy — w każdym razie ani jednego w sytuacji majątkowej Hawkinsa — którego by ogólna polityka właścicieli ziemskich, a jeszcze bardziej samowładny i nieopanowany charakter Mr Tyrrela nie powstrzymywały skutecznie od tak otwartego zuchwalstwa.

— Na honor, to doskonale! Niech mnie piorun trzaśnie! Rzadki z ciebie ptaszek! Masz więc kontrakt dzierżawny? I nie usuniesz się, co? Ładne rzeczy, jeśli akt dzierżawy wystarczy, by bronić podobnych jak ty gagatków przeciw panu włości. Ale chcesz próbować, kto tu mocniejszy? Dobrze, przyjacielu, bardzo chętnie! Z całej duszy! — jeśli już doszło do tego, dostarczymy ci niezłej rozrywki przy tej okazji. Ale teraz precz z moich oczu, łotrze! Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Żebyś mi nie śmiał przestąpić progu tego domu!

Hawkins (aby zapożyczyć języka światowego) zawinił w tej sprawie podwójną nieroztropnością. Przemawiał do swego pana w sposób bardziej stanowczy, niż ustawy i zwyczaje tego kraju pozwalają przemawiać człowiekowi zależnemu. Przede wszystkim jednak, dawszy się w ten sposób porwać uczuciu gniewu, powinien był przewidzieć jego skutki. Czystym szaleństwem z jego strony było myśleć o sporze z człowiekiem tej pozycji i majątku co Mr Tyrrel. Było to, jakby sarna porwała się na lwa. Nic łatwiejszego do przewidzenia jak to, że na nic mu się zdało mieć za sobą prawo, skoro jego przeciwnik miał za sobą majątek i wpływy, dzięki którym mógł zwycięsko obronić wszelkie szaleństwa, jakie uznałby za stosowne popełnić. Prawda ta została potwierdzana przez dalszy bieg wypadków.

Bogactwo i despotyzm dobrze wiedzą, jak oprzeć swój ucisk na prawie, które być może, przeznaczone było pierwotnie (nierozumny to i mizerny środek zapobiegawczy!) dla obrony biedoty.

Od tej chwili Mr Tyrrel wziął się na zgubę Hawkinsa i nie zaniedbał żadnego sposobu, którym by mógł bądź to nękać, bądź skrzywdzić przedmiot swych prześladowań. Pozbawił go stanowiska rządcy i rozkazał Barnesowi i innym swym podwładnym, by na każdym kroku szkodzili mu, ile się da. Jako pan na włościach, Mr Tyrrel miał przyznane sobie duże dziesięciny, co dostarczało częstych okazji do drobnych utarczek.

Część pól należących do fermy Hawkinsa, choć obsiana zbożem, była niżej od pozostałych położona i na skutek tego narażona czasem na wylewy okalającej je rzeczki. Mniej więcej na dwa tygodnie przed zniwami Mr Tyrrel potajemnie otworzył tamę na tej rzece, tak że pola Hawkinsa zalała woda. Ponadto rozkazał parobkom, aby nocą rozebrali ogrodzenie dokoła niżej położonych gruntów i wpędzili tam bydło dla zupełnego zniszczenia plonów. Jednakowoż były to środki, które prowadziły do częściowej tylko ruiny nieszczęśnika. Mr Tyrrel nie poprzestał na tym. Bydło Hawkinsa zaczęło nagle padać, a towarzyszyły temu bardzo podejrzanym okoliczności. Wypadek ten pobudził bardzo czujność Hawkinsa, któremu w końcu udało się tak dokładnie wysledzić całą sprawę, że nabrał przekonania, iż potrafi dowodami unieszkodliwić nawet Mr Tyrrela.

Aż dotąd Hawkins mimo poniesionych szkód unikał starannie wszelkiego procesowania się, był bowiem zdania, że z prawa łatwiej uczynić narzędzie przemocy w rękach bogaczy niż tarczę, która by chroniła niższe warstwy społeczeństwa przed nadużyciami tych bogaczy. Uważał jednak, że przestępstwo dokonane przeciw niemu było tak okropne, iż żadne względy na pozycję społeczną jego przeciwnika nie zdołają obronić winowajcy przed surową ręką sprawiedliwości. Ale dalszy przebieg wypadków przekonał go, jak słusznym było unikać sądów. Żałował tego, że jakieś — choć rzeczywiście poważne przyczyny — skłoniły go do zmiany postępowania.

Do tego właśnie chciał go przywieść Mr Tyrrel, który powiadomiony, że Hawkins wszczął sprawę sądową, ledwie wierzył własnemu szczęściu.

Okoliczność ta rozradowała go niezmiernie, rozumiał bowiem, że teraz zguba jego niedawnego faworyta była nieodwołalna. Odbył naradę ze swym jurystą i przytaczając wszystkie możliwe racje nalegał na niego, by użył w tej sprawie wszystkich swych kruczków.

O to, by odeprzeć wysunięte przeciw niemu oskarżenie, troszczył się bodaj najmniej; zagadnienie leżało w tym, by przy pomocy zeznań, wniosków, mów obrończych, odroczeń, unieważnień i apelacji ciągnąć sprawę od terminu do terminu, od trybunału do trybunału. Byłoby to hańbą dla cywilizowanego kraju — dowodził Mr Tyrrel — gdyby szlachcic, tak bezczelnie zaatakowany w swych prawach przez jakiegoś ostatniego hultaja z podlejszego stanu, nie mógł zmienić sprawy w przewlekłą aferę, a swemu wrogowi tak zalać sadła za skórę, by go w końcu puścić z torbami.

Mr Tyrrel nie był jednak na tyle zaabsorbowany swym procesem, by poniechać innych sposobów zaczepnego działania wobec swego dzierżawcy. Pośród różnych nasuwających się tu środków był jeden, który — choć zmierzał raczej do dręczenia niżli do wyrządzenia ofierze niepowetowanych szkód — nie został pominięty. Wiązał się ze szczególnym położeniem Hawkinsowego domostwa, jego stodół, brogów i innych zabudowań. Mieściły się one na krańcu wąskiego skrawka gruntu, który łączył ten teren z resztą fermy, z trzech zaś stron otoczone były polami innego dzierżawcy jak najbardziej powolnego zachciankom Mr Tyrrela. Droga do miasteczka, gdzie odbywały się targi, biegła wzdłuż skraju największego z tych pól, na wprost okien domu Hawkinsa. Okoliczność ta nie przyczyniała do tej pory żadnych niewygód, ponieważ szeroka ścieżka prowadziła prosto z domu Hawkinsa do gościńca. Ta ścieżka czy też prywatna droga została teraz na skutek porozumienia między Mr Tyrrelem a jego uległym dzierżawcą zamknięta, co uczyniło Hawkinsa jak gdyby więźniem we własnej posiadłości i zmuszało go do nakładania blisko mili, kiedy chciał gdzieś pojechać.

Młody Hawkins, ów chłopiec, który stał się przyczyną sporu między ojcem a panem, odziedziczył po ojcu odwagę i czuł niepohamowane oburzenie na widok tych aktów okrucieństwa, których był świadkiem. Gniew jego był tym silniejszy, że wszystkie przykrości, na jakie był



narazony ojciec, płynęły z miłości do niego, a jednocześnie nie podobna mu było usunąć przyczyny waśni, bo czyn ten zdawałby się znieważać rodzicielską miłość. W takiej sytuacji chłopiec nie pytając, nikogo o zdanie, a kierując się jedynie własną niepohamowaną zawziętością, wybrał się ciemną nocą i usunął wszystkie przeszkody umieszczone na dawnej drodze; rozbił założone rygle i otworzył na roścież bramy.

Nie udało mu się przy tych czynnościach zostać nie zauważonym i następnego dnia wydano przeciw niemu nakaz aresztu. Stanął przed gremium sędziów, którzy osadzili go w miejscowym więzieniu, przekazując jego sprawę na najbliższą okręgową sesję sądu. Mr Tyrrel zdecydowany był pomścić tę zniewagę z największą surowością, a jego adwokat, poczyniwszy w tym celu odpowiednie inwestygacje, postanowił podciągnąć wypadek pod paragraf aktu 9 Geo. I, nazywanego powszechnie Czarnym Aktem, który głosił, że „ktokolwiek uzbrojony mieczem lub inną zaczepną bronią, a mający twarz uczernioną lub w inny sposób przebrany, dostrzeżony zostanie w pomieszczeniu lub miejscu, gdzie chowane są lub bywają zazwyczaj zające lub króliki, ten jeśli mu zostanie całkowicie dowiedzione, ma być sądzony jako winien zbrodni i ukarany śmiercią, jak to przyjęto w wypadku ciężkiej zbrodni bez wyjątku dla stanu duchownego”. Młody Hawkins miał pono zorientowawszy się, że go spostrzeżono, zarzucić na twarz szeroki kołnierz swej kapoty, ponadto miał przy sobie łom żelazny zabrany dla rozbicia rygli. Adwokat podjął się dalej udowodnić przy pomocy świadków, iż owo pole było terenem, na którym żywiły się zawsze zające. Mr Tyrrel uchwycił się tych wykrętnych kruczków z niewysłowionym zadowoleniem. Odmalował taki obraz uporczywości i zuchwalstwa Hawkinsów, że skłonił sędziów, by w pełni obciążyli chłopca tym nieszczęsnym oskarżeniem; i bynajmniej nie było to tak pewne, jakby tego pragnęła ojcowska miłość, że w dalszym biegu wypadków te same wszechmocne wpływy nie sprawią, by i w odniesieniu do kary paragraf nie został wykonany z całą surowością.

Był to ostateczny cios dla Hawkinsa; nie zbywało mu na odwadze, przeto dzielnie stawiał czoło wszystkim prześladowaniom. Świadom był przewagi, jaką w sporach tego rodzaju nasze prawa i obyczaje dają

bogatym nad biedakami. Lecz skoro raz dał się w nie wciągnąć, wrodzony upór nie pozwalał mu się cofnąć i sprawiał, że prześladowany ufał raczej, niż przewidywał, że wszystko skończy się pomyślnie.

Lecz w tym ostatnim wypadku zraniony został w najczulsze miejsce. Obawiał się, aby stan służebny nie zniepawił i nie spodlił syna, a oto teraz patrzył, jak go oddają do takiej szkoły, jaką jest więzienie. Nie miał nawet pewności, czym się skończy pobyt w więzieniu, i drżał na myśl o tym, że przemoc bogactwa może zniweczyć na zawsze nadzieje jego życia.

Od tej chwili stracił ochotę do życia. Wierzył, że uporczywą pracą i zręcznością zdoła ocalić szczątki swego niewielkiego majątku przed niską zawiścią pana. Lecz nie miał już w sobie mocy, by podejmować wysiłki, jakich jego obecne położenie bardziej niż kiedykolwiek wymagało. Mr Tyrrel zaś nie ustawał w swych knowaniach. Interesy Hawkinsa z każdym dniem przedstawiały się bardziej rozpaczliwie i czekający tylko sposobności dziedzic skorzystał z pierwszej okazji, by położyć rękę na resztkach jego mienia pod pozorem zajęcia za zaległą opłatę dzierżawną.

Tak stała sprawa, kiedy Mr Falkland i Mr Tyrrel spotkali się przypadkowo na polnej drodze, w pobliżu domostwa tego ostatniego. Obaj byli konno. Mr Falkland udawał się do domu nieszczęsnego dzierżawcy, który nękany zawziętą złością swego pana zdawał się bliski niechybnej zguby. Historia tego prześladowania dopiero teraz doszła uszu Falklanda. Fatalną sytuację Hawkinsa pogarszał jeszcze fakt, że ten dżentelmen, którego interwencja mogłaby stać się ocaleniem dzierżawcy, przez dłuższy czas był nieobecny w okolicy. Trzy miesiące spędził w Londynie, a stamtąd wybrał się odwiedzić swe posiadłości w innej części wyspy.

Przy tym duma nieszczęśliwca i jego dufność we własne siły sprawiały, że — jak długo to było możliwe — starał się polegać tylko na sobie. W początkach sporu ani nie zgłosił się do Mr Falklanda, ani nawet nie pozwolił sobie w jakikolwiek bądź sposób powiadomić go i uzalić się na swój ciężki los. Kiedy zaś nieszczęścia stały się bardziej dojmujące i Hawkins był skłonny odstąpić nieco od swych zasad postępowania, jak się okazało, nie było to już możliwe. W końcu po długotrwałej nieobecności Mr Falkland powrócił dość nieoczekiwanie; a kiedy słuchając okolicznych nowin przede

wszystkim dowiedział się o strapieniach biednego farmera, postanowił nazajutrz rano udać się konno do jego domu i zaofiarować mu wszelką pomoc, jaka będzie w jego mocy.

Na widok Mr Tyrrela, którego spotkać się nie spodziewał, twarz Falklanda okryła się rumieńcem oburzenia. Pierwszą jego intencją, jak mówił później, było uniknąć tego spotkania; lecz ujrzawszy, że musi go wyminąć, powiedział sobie, że byłoby brakiem odwagi nie powiedzieć mu przy tej okazji, co o nim myśli.

— Pozwól pan — rzekł więc nieco porywczo — z przykrością dowiedziałem się pewnych nowin.

— Wybacz pan, ale cóż mnie do tego, że panu przykro?

— Owszem. Powinno to pana obejść niemało: chodzi tu bowiem o niedolę pańskiego dzierżawcy — Hawkinsa. Jeśli ekonom działał bez pańskiej wiedzy, uważam za słuszne poinformować pana, co zaszło. Jeśli zaś działał w myśl pańskich rozkazów, pragnąłbym szczerze przekonać pana, byś lepiej rzecz tę rozważył.

— Najlepiej byłoby — odparł Mr Tyrrel — gdybyś się pan zajął swoimi sprawami, a mnie pozostawił troskę o moje. Nie pragnę, by mnie kto napominał, ani tego nie ścierpię.

— Mylisz się pan — Mr Falkland na to. — To są moje sprawy. Jeśli widzę, żeś wpadł do dołu, moją jest sprawą wyciągnąć pana stamtąd i uratować życie. Jeśli widzę, żeś wstąpił na złą drogę, moją jest sprawą przywieść cię na drogę słuszną i ocalić pański honor.

— Na rany Boga żywego! Nie myślisz pan chyba stosować tych zabawnych konceptów do mnie? Czyż to nie mój dzierżawca? Czy majątek mój nie do mnie należy? A cóż z tego, że nazywa się moim, jeśli nie rządę w nim? Uważaj pan: płacę to, com winien — a nie jestem winien nikomu ni pensa. I nie oddam swojego majątku w opiekę ani panu, ani nikomu innemu, choćby miał największą dynię na karku.

— Prawda to — odparł Mr Falkland udając, że nie słyszał ostatnich słów Mr Tyrrela — istnieją różnice stanu. Sądzę, że różnice te są rzeczą słuszną i potrzebną dla spokoju na świecie. Lecz musimy przyznać, że choć potrzebne, nakładają one pewne ciężary na niższe sfery. Serce boli na myśl,

ze jeden człowiek rodzi się na to, by odziedziczyć wszystkie dobra, i to w nadmiernej obfitości, podczas gdy drugiemu przypadają w udziale, bez najmniejszej z jego strony winy — tylko krwawa praca i przymieranie głodem; bolesna jest myśl, że tak być musi. My, bogaci, winniśmy czynić wszystko, co w naszej mocy, by ulżyć brzemieniu tych nieszczęsnych. Nie wolno nam wykorzystywać przewagi, jaką dała nam nielitościwa ręka losu. Biedacy! I tak uciskani są niemal ponad zdolność wytrzymania; i jeśli my niemiłosiernie obciążymy jeszcze to jarzmo, zmiażdżeni zostaną na pył.

Obraz ten nawet na zawziętym umyśle Mr Tyrrela wywarł wrażenie.

— Słuchaj pan — powiedział — nie jestem okrutnikiem. Wiem doskonale, że okrucieństwo jest rzeczą złą. Ale chyba pan nie wyprowadzisz stąd wniosku, że ci ludzie powinni robić, co im się żywnie podoba, i nigdy nie spotkać się z tym, na co zasłużyli?

— Widzę — Mr Falkland na to — że przełamał pan w sobie zawziętość. Pozwól mi pan powitać rodzącą się dobroć jego natury. Udajmy się razem do Hawkinsa. Nie mówmy o tym, na co on zasługuje. Biedak! Cierpiał bodaj więcej, niż człowiek znieść może. Niech pańskie przebaczenie okazane jemu będzie zadatkiem przyjaznych sąsiedzkich między nami stosunków.

— Nie, nie pojedę — odparł Mr Tyrrel. — Przyznaję, jest coś z prawdy w tym, co pan mówi. Zawsze wiedziałem, że nie brak panu dowcipu, by dowieść słuszności własnego zdania, by opowiadać pozornie prawdziwe historie. Ale ja się nie dam wziąć na to. Taką już mam naturę, że kiedy już raz ułożę sobie plan zemsty, nigdy od niego nie odstąpię. A natury swojej nie zmienię. Podałem rękę Hawkinsowi, kiedy go wszyscy opuścili, zrobiłem z niego człowieka, a ten niewdzięczny łotr odpłacił mi za moje trudy tylko zuchwalstwem. Niech mnie jasne pioruny, jeśli mu kiedykolwiek przebaczę! A to dobry żart, rzeczywiście: ja miałbym przebaczyć temu chłystkowi, który mi wszystko zawdzięcza, i to na prośbę pana, który jest moim wiecznym utrapieniem.

— Na litość boską — mitygował go Mr Falkland — opamiętaj się pan w gniewie. Przypuśćmy, że Hawkins postąpił karygodnie, że obraził pana, czyż wina ta nigdy nie może zostać zmazana? Czyż ojciec musi być

zrujnowany, a syn powieszony, by nasycić pańską zawziętość?

— Gadaj pan zdrów — Mr Tyrrel na to. — I tak, do licha, nic tu ze mną nie wskórasz. Nie darowałbym sobie nigdy, gdybym pana choć na moment posłuchał, i nie ścierpię, by ktokolwiek stawał mej zemście na drodze; gdybym miał mu kiedykolwiek przebaczyć, to nie na czyjeś nalegania i prośby, ale z własnej woli. Ale to nigdy nie nastąpi, słyszysz pan? Choćby z całą rodziną rzucił mi się do nóg, kazałbym ich wszystkich natychmiast powiesić, gdyby to tylko było w mojej mocy.

— To jest więc pańska decyzja? Doprawdy, wstyd mi za pana! Boże wszechmocny! Słyszając pańskie słowa człowiek gotów przeklinać ustawy i urządzenia społeczne i kryć się na widok ludzkiej twarzy. Lecz nie! Społeczność odrzuca pana, człowiek brzydzi się panem, żadne względy ni majątku, ni stanu nie zmyją z pana tej plamy. Będziesz pan żył samotny między ludźmi. Udasz się na tłumne zgromadzenie, a nikt nie raczy cię nawet powitać. Ludzie będą unikać twych oczu niby wzroku bazyliuszka. Gdzie myślisz pan znaleźć tak kamienne serca, które by mu okazywały sympatię? Widzę na tobie piętno nieszczęścia: cierpieć będziesz nieustannie, nie znajdując ulgi, pozbawiony współczucia.

Mówiąc to Mr Falkland spiął konia ostrogami, odepchnął gwałtownie Mr Tyrrela na bok i w oka mgnieniu znikł z oczu. Płonące oburzenie stłumiło w nim nawet tak drogie mu poczucie honoru i sąsiad wydał mu się takim nędznikiem, z którym nie podobna się było pojedynkować. Mr Tyrrel stał chwilę bez ruchu, jak skamieniały. Uniesienie, z jakim mówił Mr Falkland, było tak płomienne, że potrafiłoby odebrać śmiałość najdzielniejszemu nieprzyjacielowi. Mr Tyrrelem wbrew jego woli owładnęła skrucha za winy — niezdolny był do odpowiedzi. Nakreślony przez Mr Falklanda obraz zdał mu się proroczy. Malował to, czego Mr Tyrrel najbardziej się lękał, a co już zaczynało się sprawdzać. Przepowiednie Mr Falklanda odpowiadały temu, co mu podszeptowały własne przeczucia; nadały po prostu kształt dręczącemu go upiorowi i lękom, których był ustawiczną pastwą.

Niebawem jednak przyszedł do siebie. Im silniejsze było jego chwilowe zmieszanie, tym gorętsza miotła nim nienawiść teraz, kiedy odzyskał

panowanie nad sobą. Taka nienawiść nie może istnieć w ludzkim sercu nie znacząc swej drogi gwałtem i przelewem krwi. Mr Tyrrel nie był jednak skłonny uciec się do pojedynku. Tchórzostwo było mu czymś zupełnie obcym, ale duch jego ukorzył się przed duchem Falklanda. Zemstę pozostawił zrządzeniu przypadku. Pewien był, że jego zawziętość nie pójdzie w niepamięć i nie osłabnie pod wpływem czasu ani żadnych wypadków. Zemsta śniła mu się po nocach, a za dnia panowała w jego myślach.

Mr Falkland odjeżdżał po tej rozmowie umocniony w przeświadczeniu, że postępowanie sąsiada jest godne potępienia i z niezachwianym zamiarem, by uczynić wszystko, co w jego mocy, dla ulżenia niedoli Hawkinsa. Lecz było już za późno. Zajechawszy na miejsce stwierdził, że gospodarze opuścili dom. Rodzina przeniosła się, nikt nie wiedział dokąd.

Ojciec ukrył się, a co dziwniejsza, tego samego dnia uszedł z okręgowego więzienia i chłopiec. Poszukiwania, jakie Mr Falkland przedsięwziął, były bezskuteczne, nie znaleziono żadnych śladów tej nieszczęśliwej rodziny. O tragedii tych ludzi będę miał niedługo sposobność opowiedzieć, a czytelnik przyzna, że jest straszliwsza od wszystkiego, co mogłaby podsunąć najczarniejsza nienawiść.

Wracam do opowieści. Oto dalszy ciąg wydarzeń, z którymi w tak niepojęty sposób splotły się moje własne losy. Odsłaniam kurtynę i ukazuję ostatni akt tragedii.

## ROZDZIAŁ X

Łatwo pojąć, że zapiekła złość, jaką podsycił proces z Hawkinsem i wzrastająca wrogość między Mr Falklandem i Mr Tyrrelem, sprawiały, że ten ostatni z coraz większym oburzeniem myślał o ucieczce Emilii.

Mr Tyrrel z największym zdumieniem przyjął wieść tym, że plan, co do którego powodzenia nie miał cienia wątpliwości — zawiódł. Oszalał ze złości. Grimes nie ważył się osobiście zdać sprawy ze swojej wyprawy, a lokaj, który na jego życzenie miał oznajmić panu, że Miss Emilia wymknęła się, uciekł, po chwili sprzed oblicza pana, zdjęty najstraszliwszą trwogą. Mr Tyrrel natychmiast grzmiącym głosem zaczął wzywać Grimesa i młodzieniec zjawił się w końcu przed nim, ledwie żywy ze strachu. Kazano mu powtórzyć szczegóły opowiadania, a Grimes ledwie skończywszy umknął znów cichaczem, oszołomiony przekleństwami Mr Tyrrela. Chłopak nie był tchórzem, lecz okazywał poszanowanie dla wrodzonego majestatu związanego z pozycją społeczną, tak jak Indianie okazują cześć diabłu. I nie tylko to. Wściekłość Mr Tyrrela była tak dzika i niepohamowana, że mało znalazłoby się serc dość mężnych, by nie zadrżały, opanowane poczuciem własnej niższości.

Wystarczyło, by Mr Tyrrel zebrał myśli, a już zaczął wywoływać w swej rozjątrzonej pamięci wszystkie okoliczności towarzyszące sprawie.

Skargi jego były gorzkie, zdolne obudzić w spokojnym słuchaczu litość nad jego cierpieniem i grozę wobec jego podłości. Przebiegał myślą wszystkie podjęte środki ostrożności; nie mógł doszukać się bodaj jednego błędu w całym przedsięwzięciu i przeklinał ową ślepą, złośliwą siłę, która znajdowała rozkosz w krzyżowaniu jego gruntownie przemyślanych planów. Oto doświadcza na sobie tej złośliwości bardziej niż jakakolwiek ludzka istota. Nie ma żadnej władzy; ściga go tylko jej szydercze widmo, bo kiedy wyciąga rękę, by dosięgnąć wroga, ręka opada jakby tknięta

paralizem. W rozgoryczeniu i męczarni zapomniał o ostatnim zwycięstwie nad Hawkinsem lub może wydawało mu się ono nie zwycięstwem, lecz porażką, jako że nie udało mu się w pełni zaspokoić swej zaciętej złości. Na cóż mu niebo dało wrażliwość na zniewagi i wrodzoną mściwość, skoro nie mógł nikogo dosięgnąć swą zemstą! Wystarczyło, by był czyimś wrogiem, a mógł być pewien, że osoba ta zabezpieczona jest przed wszelkim nieszczęściem. Ileż bezczelnych, najohydniejszych zniewag spotkało go ze strony tej nędznej dziewczyny! A kto wyrwał ją teraz jego mściwemu gniewowi? Ten diabeł wcielony, który dręczy go nieustannie, sprzeciwia mu się na każdym kroku, do woli razi pociskami wprost w serce, a na widok jego nieznośnych męczarni wykrzywia się szpetnie i drwi.

Jeszcze jedna myśl powiększała jego udrękę i uczyniła go nieogłędnym i zdesperowanym w przyszłych poczynaniach. Próżno było skrywać przed samym sobą, że całe to wydarzenie okrutnie narazi na szwank jego reputację. Wyobrażał sobie przedtem, że skoro narzuci Emilii to wstrętne jej małżeństwo i będzie ono już faktem dokonany, sama przyzwoitość nakaze jej rzucić zasłonę na przymus, jakiego padła ofiarą. Lecz pewność tę teraz utracił i wiedział, że Mr Falkland z dumą rozgłosi jego hańbę.

Chociaż w jego własnym rozumieniu prowokacyjne zachowanie Miss Melville usprawiedliwiało wszelkie środki, którymi by uznał za stosowne ją ukarać, miał świadomość, że świat widzieć będzie tę sprawę w innym świetle. Ta myśl dodawała gwałtowności jego postanowieniom i skłoniła do decyzji niecofnięcia się przed żadnym środkiem, którym by mógł udręczyć innych równie dotkliwie, jak dotkliwą była dziś jego własna udręka.

Tymczasem odkąd Emilia poczuła się w bezpiecznym miejscu, jej równowaga i męstwo znacznie osłabły. Jak długo czyhało na nią niebezpieczeństwo i niesprawiedliwość, znajdowała w sobie odwagę, która z pogardą odrzucała możliwość poddania się. Pozorny spokój, jaki nastąpił z kolei, okazał się dla niej zgubny. Wypadki nie wymagały już jej odwagi i energii. Widziała znów przed sobą minione próby i dusza jej wzdrygała się na wspomnienie tego, co zniosła z taką mocą. Do czasu kiedy Mr Tyrrel powziął ku niej tak okrutną nienawiść, obcy był jej niepokój i lęk. Nie przygotowana na przeciwności losu, stała się nagle ofiarą szatańskiej



wprost przewrotności.

Kiedy chorobie ulegnie człowiek silny i krzepki z natury, ma ona poważniejsze następstwa niż ta sama niedyspozycja u cherlaka. Tak też było i w wypadku Miss Melville. Następną noc spędziła w niepokoju i bezsenności, a z rana pojawiła się silna gorączka. Wzburzenie Emilii sprzyjało gorączce, choć należało mieć nadzieję, że jej zdrowy organizm w warunkach spokoju i życzliwości otoczenia powinien przewyciężyć chorobę. Nazajutrz wpadła w malignę. Następną zaś nocy została aresztowana na skutek skargi Mr Tyrrela, że była mu dłużna za wyżywienie i utrzymanie w okresie ostatnich czternastu lat.

Pomysł aresztowania, jak to czytelnik, być może, sobie przypomina, zrodził się po raz pierwszy w czasie rozmowy między Mr Tyrrelem a Emilią, wkrótce potem, kiedy ten postanowił uwięzić dziewczynę w jej pokoju. Lecz wówczas przypuszczalnie nie myślał na serio, aby kiedykolwiek mogło dojść do wykonania tego pomysłu. Wspomniał o tym jedynie w formie pogroźki lub może był to podszept umysłu od dawna przywykłego rozpatrywać wszelkie możliwe środki okrutnej zemsty.

Teraz jednak, kiedy wyzwolenie i ucieczka nieszczęsnej krewniaczki wzburzyły Mr Tyrrela do tego stopnia, że był bliski utraty zmysłów, i kiedy w głębi swej posępnej duszy rozważał, jakby tu otrząsnąć się z przygnębiającego poczucia zawodu, myśl ta powróciła ze zdwojoną siłą. Nie mieszkając powziął decyzję i wezwawszy swego ekonoma Barnesa, natychmiast pouczył go, jak ma działać.

Barnes już od kilku lat był powolnym narzędziem w rękach Mr Tyrrela, który posługiwał się nim, gdy chciał komuś wyrządzić krzywdę.

Przyzwyczajony do tego, Barnes miał twarde serce i nie odczuwając wyrzutów mógł asystować przy uwięzieniu za długi lub nawet występować jako skarżący w takich sprawach. Lecz w tym wypadku nawet on zdawał się nieco wzdragać. Charakter Emilii i całe jej postępowanie we dworze Mr Tyrrela były nieskalane. Nie miała ani jednego wroga: istotnie, na widok jej młodości, żywego usposobienia i szczerzej naiwności nie sposób było oprzeć się sympatii i współczuciu.

— Wybaczcie mi, wasza dostojność — nie rozumiem — uwięzić

panienkę — panienkę Emilię?

— No, tak. Mówię chyba wyraźnie. Co wam się stało? Idźcie natychmiast do jurysty Swinearda z poleceniem, aby niezwłocznie doprowadził tę sprawę do końca.

— Niech Bóg ma waszą dostojność w opiece! Uwięzić ją? Toż ona nie jest panu dłużna ani złamanego szeląga, a żyła zawsze z waszej łaski.

— Ach, ty ośle! Hultaju! Powiadam ci, że dłużna mi jest — dłużna tysiąc i sto funtów. Prawo uznaje to za sprawiedliwe. A cóż ty sobie myślisz, od czego są prawa? Robię tylko to, co jest słuszne, a co mi się słusznie należy, to potrafię uzyskać.

— Wasza miłość! Nie zdarzyło mi się dotąd podawać w wątpliwość rozkazów pana, ale teraz muszę to zrobić. Nie, nie mogę dopuścić, by pan złamał życie tej biednej dziewczyny, panienki Emilii. A swoje własne także tym samym. Nie mogę milczeć, kiedy widzę, do czego pan zmierza. Spodziewam się, że pan wybaczy to, co mówię. Toż gdyby nawet była panu tak wiele dłużna, i tak nie może być uwięziona. Nie jest pełnoletnia.

— A przestaniesz wreszcie? Co mi tu będziesz opowiadał, czy to możliwe, czy niemożliwe! Robiło się tak już nieraz, więc i teraz się da. Patrzcie go, będzie tu ze mną dysputował, co można, a czego nie można! Masz powiedzieć Swineardowi, że jeśli będzie się wahał choć przez chwilę, drogo będzie go to kosztowało — zginie jak żebrak.

— Błagam waszą dostojność, by to lepiej przemyślał. Jak mi życie miłe, toż cały kraj obwoła pana zhańbionym!

— Cóż ty sobie myślisz, Barnes? Nie przywykłem, by się kto do mnie tak odzywał, i nie zniosę tego. Nieraz byłeś mi wiernym towarzyszem, lecz jeśli przekonam się, że przyłączyłeś się do tych, którzy opierają się mojej władzy, to niech mnie piekło pochłonie, jeśli nie doprowadzę do tego, że ci życie obrzydnie.

— Skończyłem, wasza miłość. Nie powiem już ani słowa, poza tym jednym: słyszałem, że panienka Emilia jest obłożnie chora. Postanowił pan, jak słyszę, uwięzić ją. Przypuszczam, że nie zamierza pan jej uśmiercić.

— A niech sobie umiera. Nie będę jej oszczędzał ani godziny. Dostyc tych, wiecznych zniewag! Skoro ona nie miała względów dla mnie, nie mam

dla niej litości. Jestem zdecydowany. Drażnili mnie ponad miarę, więcej niż człowiek znieść może — poczują mnie teraz. Powiedz Swineardowi, że czy ją zastanie w łóżku, czy na nogach, w dzień czy w nocy, nie chcę słyszeć o najkrótszej choćby zwłóce.

Takie były rozkazy Mr Tyrrela i zgodnie z tymi rozkazami postępował ów szanowny członek stanu prawniczego, do którego się w tym wypadku odwołano.

Przez znaczną część dnia Miss Melville leżała w malignie, wieczorem zaś nadszedł komornik i towarzyszący mu urzędnik. Medyk, któremu Mr Falkland zlecił opiekę nad dziewczyną, zapisał uspokajającą miksturę i Emilia, wyczerpana strasznymi i dziwacznymi obrazami, które od wielu godzin dręczyły jej wyobraźnię, zapadła teraz w kojący sen. Mrs Hammond, siostra Mrs Jakeman, siedziała u wezglowia Emilii, pełna współczucia dla cierpiącej, radując się uspokojeniem chorej, kiedy małe dziewczątko, jedyne dziecko Mrs Hammond, otworzyło stukającemu do drzwi wejściowych komornikowi. Urzędnik oznajmił, że chce mówić z Miss Melville, a dziecko odparło, że powie o tym matce. Dziewczynka skierowała się ku drzwiom pokoju, gdzie leżała Emilia. Lecz skoro tylko je otwarła, komornik zamiast czekać na matkę wszedł do pokoju wraz z dziewczynką.

Mrs Hammond spojrzała na niego pytająco:

— Kim pan jesteś? Czemuś pan tu wszedł? Szz... cicho!

— Muszę mówić z Miss Melville — odparł.

— Doprawdy nie może pan mówić z nią teraz. Proszę mi powiedzieć, o co chodzi. Biedne dziecko bredziło przez cały dzień. Dopiero co zasnęła i nie trzeba jej budzić.

— To mnie nie obchodzi. Muszę wykonać rozkaz.

— Rozkaz? Czyj rozkaz? Co pan przez to rozumiesz?

W tej chwili Emilia otworzyła oczy mówiąc:

— Co to za hałas? Proszę, zostawcie mnie w spokoju.

— Panienko, muszę pomówić z wami — odezwał się urzędnik. — Otrzymałem pozew przeciw wam opiewający na tysiąc sto funtów na podstawie skargi wniesionej przez jaśnie wielmożnego Tyrrela.

Słyszając to Mrs Hammond i Emilia osłupiały. Dziewczyna ledwie zdolna

była zrozumieć sens usłyszanej wiadomości. Mrs Hammond lepiej знаła użyte w tym wypadku słownictwo, jednak słowa te były tak dziwne i nieoczekiwane w odniesieniu do Emilii, że i Mrs Hammond wydały się równie tajemnicze.

— Pozew? Jakże ona może być coś dłużną Mr Tyrrelowi? Pozew przeciwko dziecku?

— Na nic się zda pytać nas o to. Robimy tylko to, co nam każą. Proszę patrzeć — oto nakaz.

— Boże Wszechmogący! — wykrzyknęła Mrs Hammond. — Cóż to ma znaczyć? To niemożliwe, żeby Mr Tyrrel pana przysłał.

— Moja dobra kobieto, przestańcie raz nam głowę zawracać. Czy nie umiecie czytać?

— To wszystko jakieś oszukaństwo. Ten papier jest podrobiony. To podły zamysł, żeby wyrwać biedną sierotę z rąk ludzi, u których jedynie jest bezpieczna. Wykonaj pan nakaz, a odpowiesz za to.

— Uspokójcie się więc: właśnie to chcemy zrobić; wierzcie mi na słowo, już my dobrze wiemy, co do nas należy.

— Na Boga, nie zechcecie chyba porywać jej z łóżka? Powiadam wam, że ma wysoką gorączkę, jest w malignie; ruszać ją teraz — to śmierć. Jesteście komornikiem, czyż nie tak? Ale nie jesteście mordercą?

— Prawo nic o tym nie wspomina. Mamy nakaz zabrać ją chorą czy zdrową. Nie zrobimy jej krzywdy: musimy tylko spełnić nasz obowiązek, reszta nas nie obchodzi.

— Gdzie chcecie ją zabrać? Co zamierzacie zrobić?

— Do okręgowego więzienia. Bullock, idź, zamów dyliżans pocztowy u Griffina.

— Stójcie, powiadam. Nie wydawajcie tych poleceń. Zaczekajcie tylko trzy godziny. Poślę umyślnego do hrabiego Falklanda i pewna jestem, że zajmie się tym, żeby nic złego nie wynikło z tego dla was, a obejdzie się bez zabierania tego biednego dziecka do więzienia.

— Dostaliśmy specjalne polecenie zabraniające tego. Nie wolno nam tracić ani minuty. A ty, czemu tu jeszcze stoisz? Każ, żeby zakładano natychmiast konie.

Emilia przysłuchiwała się tej rozmowie, która dostatecznie dobrze wyjaśniała jej wszystko, co było zagadkowego w najściu komornika. Bolesna i niewiarygodna prawda odsłonięta przed nią zupełnie rozproszyła półprzytomne majaczenia, których jeszcze przed chwilą była ofiarą.

— Moja droga pani — zwróciła się do Mrs Hammond — proszę nie dręczyć się i nie zadawać sobie trudu, który na nic się nie zda. Przykro mi, że tyle pani sprawiła kłopotu. Lecz niedola moja widać jest nieuchronna. Zechciej pan przejść do sąsiedniego pokoju, a ubiorę się i niezwłocznie będę do pańskiej dyspozycji.

Mrs Hammond zrozumiała już tak samo jak Emilia, że jej opór jest bezcelowy, nie zdołała jednak zdobyć się na równą Emilii cierpliwość. Odchodząc wprost od zmysłów opowiadała o grubiaństwie Mr Tyrrela, który — jak twierdziła — był wcielonym diabłem, a nie człowiekiem. To znów rzucając gorzkie oskarżenia wyrzekała na nieczułość komornika i zaklinała go, aby w pełnieniu swych powinności zachował ludzkość i umiar. Ale on był niewzruszony mimo wszystkich jej molestowań. Emilia natomiast okazywała pełną słodczy rezygnację poddając się nieuniknionemu złu. Mrs Hammond nalegała, aby przynajmniej zezwolono jej towarzyszyć młodej damie w dylizansie, komornik zaś, choć otrzymane przez niego rozkazy były tak ścisłe, że nie śmiał uchylić się od nich przy egzekucji pozwu, zaczął jednak pojmować niebezpieczeństwo i pragnął zezwolić na wszelkie środki ostrożności, które nie były wyraźnie sprzeczne z jego obowiązkami. Zresztą rozumiał, że w każdym razie niebezpiecznie byłoby dopuścić do zachorzenia lub wyraźnej niemożliwości przewiezienia oskarżonej — byłoby to bowiem wystarczającą przyczyną dla przerwania bezpośredniego postępowania prawnego. Że dalej, we wszystkich wątpliwych sprawach i domniemaniach co do popełnionego zabójstwa, praktyka prawa z godną pochwałą stronnictwem skłonna jest obwiniać przede wszystkim swych funkcjonariuszy.

Poza tymi ogólnymi zasadami był ponadto pod wrażeniem stanowczych zleceń Swinearda i grozy, jaka w obrębie wielu mil związana była z nazwiskiem Tyrrela. Przed odjazdem Mrs Hammond wyprawiała do Mr Falklanda posłańca z listem, w którym w paru słowach zawiadamiała go o

tym niezwykłym wydarzeniu. Kiedy posłaniec przybył na miejsce, Mr Falkland był poza domem, a powrotu jego oczekiwano dopiero nazajutrz. Tak więc w tym wypadku los zdawał się sprzyjać zemście Mr Tyrrela, on sam bowiem był zbyt opanowany niepohamowaną wściekłością, aby uwzględnić podobną okoliczność w swych knowaniach.

Nie trudno przedstawić sobie okropny stan obu kobiet wiezionych — jednej przymusowo, drugiej z własnej woli — do miejsca tak pozbawionego wszelkich wygod, jakim jest publiczne więzienie. Jednakowoż Mrs Hammond obdarzona była iście męską odwagą i energią, cechami szczególnie potrzebnymi w oczekujących je trudnościach. Krewki temperament i namiętne poczucie niesprawiedliwości skłaniały ją w pewnej mierze do spełniania takich nawet przysług, których by wzbraniały umiarkowanie i spokojne zastanowienie.

Zdrowie Miss Melville ucierpiało poważnie na skutek niespodziewanego wstrząsu i przymusowej podróży, które spadły na nią w chwili, kiedy najpotrzebniejszy jej był wypoczynek. Gorączka podniosła się, maligna wzmogła, a męki, jakie przechodziła jej imaginacja, ocenić można wedle opłakanego stanu, w jakim odbywała tę podróż. Małe było prawdopodobieństwo, by mogła powrócić do zdrowia.

W momentach, kiedy traciła przytomność, Emilia wzywała ustawicznie Mr Falklanda. On — mówiła — był jej pierwszą i jedyną miłością i miał zostać jej mężem. W chwilę później zarzucała mu niepocieszonym, lecz pełnym wyrzutu głosem niegodną uległość wobec przesądów świata. Okrucieństwem było z jego strony okazywać taką dumę i mówić jej, że nigdy nie zgodzi się poślubić zebraczki. Lecz jeśli on był dumny, i ona także postanawia okazać dumę. Przekona się, że ona nie zachowa się jak lekceważona dziewczyna i że choć może ją odrzucić, nie w jego mocy jest złamać jej serce. To znów zdawała się widzieć Mr Tyrrela i jego narzędzie — Grimesa — z rękami i ubraniem ociekającymi krwią, a namiętne wyrzuty, jakich im nie szczędziła, potrafiłyby wzruszyć nawet kamienne serce. Potem szalonej jej wyobraźni jawiła się twarz Falklandu, zniekształcona ranami i śmiertelnie blada. Emilia wykrzykiwała boleśnie, wołając, że wszyscy są bez serca, że nikt, nie chce podjąć najmniejszego

wysiłku, by pośpieszyć mu na pomoc. Wśród takiej coraz to odmiennej udręki, karmiąc swą imaginację obrazami nieżyczliwości, zniewag, knowania i zbrodni, spędziła Emilia prawie całe te dwa dni.

Wieczorem drugiego dnia nadjechał Mr Falkland wraz z doktorem Wilsonem, który ją poprzednio pielęgnował. Scena, jakiej Falkland musiał być świadkiem, była czymś niesłychanie bolesnym dla człowieka o jego wyjątkowej wrażliwości.

Wiadomość o aresztowaniu Emilii wstrząsnęła nim niewypowiedzianie. Bezprzykładna zawziętość człowieka, który się do tego przyczynił, wyprowadziła Mr Falklanda z równowagi. Lecz kiedy ujrzał ściągniętą twarz Miss Melville — ofiary szatańskiej złości swego krewniaka i wyryte na niej piętno śmierci — poczuł, że to jest ponad jego siły. Kiedy wszedł, dziewczyna bredziła właśnie i niezwłocznie wzięła obecnych za dwóch morderców. Pytała, gdzie ukryli jej Falklanda, jej pana, jej życie, jej małżonka. Błagała, by zwrócili jej jego okaleczone ciało, aby mogła objąć je swymi sztywniejącymi rękami, wydać ostatnie tchnienie na jego ustach i zostać pogrzebaną w tym samym grobie. Wyrzucała im, że niegodziwie postępują pozwalając uczynić z siebie narzędzia w ręku jej nikczemnego kuzyna, który odebrał jej rozum i nie spocznie, póki jej nie zamorduje. Mr Falkland oderwał się od tej bolesnej sceny, a pozostawiając doktora Wilsona przy chorej wyraził życzenie, by ten po wydaniu niezbędnych zarządzeń udał się za nim do gospody.

Ustawiczne podniecenie, w jakim — z natury swej dolegliwości — od kilku dni pozostawała, było nadzwyczaj wyczerpujące dla Emilii. W niespełną godzinę po wizycie Mr Falklanda delirium ustąpiło pozostawiając ją w stanie takiego wyczerpania, że z trudem można było dostrzec jakieś oznaki życia. Doktor Wilson, który był odszedł, aby w miarę możliwości uspokoić wzburzone i niecierpliwe myśli Mr Falklanda, został na widok tych odmiennych symptomów ponownie wezwany i przez resztę nocy przesiedział przy chorej. Stan pacjentki był taki, że w każdej chwili można się było obawiać jej zgonu. Podczas gdy Miss Melville leżała taka słaba i wycieńczona, Mrs Hammond otaczała ją najczulszą tkliwością. Mrs Hammond była osobą głęboko wrażliwą, Emilia zaś posiadała zalety, które

uczyniły ją drogą sercu tej poczciwej niewiasty. Kochała ją też jak matka. W obecnej sytuacji każdy dźwięk, każdy ruch przyprawiał Mrs Hammond o drżenie. Mając na względzie trudy, jakie nieustannie znosiła Mrs Hammond, Wilson sprowadził inną pielęgniarkę i usiłował perswazją, a nawet i rozkazem zmusić Mrs Hammond, by opuściła pokój chorej. Lecz była to nieustępliwa kobieta. Doktor doszedł w końcu do przekonania, że więcej jej złego wyrządzi gwałtem — co byłoby konieczne — odciągając od niewinnie cierpiącej dziewczyny, niż zezwalając, by szła za swymi skłonnościami. Oczy jej, pełne niepokoju, po tysiackroć zwracały się ku twarzy doktora Wilsona, lecz nie ośmielała się choćby szeptem zapytać o jego zdanie, obawiając się najgorszej odpowiedzi. Z natężoną uwagą wsłuchiwała się w każde słówko, jakie padało z ust lekarza czy pielęgniarki, jak gdyby w nadziei, że z jakiegoś nieznacznego napomknienia dowie się o tym, o co nie miała odwagi zapytać wprost.

Nad ranem stan chorej zdawał się ulegać poprawie, drzemała blisko dwie godziny, a kiedy ocknęła się, wydawała się zupełnie spokojna i przytomna. Dowiedziawszy się, że to Mr Falkland przysłał do niej lekarza i sam musiał być w pobliżu, prosiła, by go mogła zobaczyć.

Mr Falkland tymczasem udał się wraz z jednym ze swych dzierżawców, by złożyć poręczenie za dług, potem wrócił do więzienia, aby zapytać, czy można młodą damę bezpiecznie przenieść z jej obecnego nędznego miejsca pobytu do jakiegoś wygodniejszego pomieszczenia, w którym byłoby więcej powietrza. Kiedy ukazał się w drzwiach, widok jego obudził w Miss Melville jakieś niejasne wspomnienie jej gorączkowych majaczeń. Zakryła więc twarz dłońmi i w najwyższym zmieszaniu, ale ze zwykłą sobie prostotą dziękowała mu za trudy. Wyraziła nadzieję, że oszczędzi mu dalszych kłopotów, gdyż czuje się lepiej. To wstyd — mówiła — żeby taka młoda i zdrowa dziewczyna jak ona nie potrafiła znieść tych błahych przykrości, jakie ją dotknęły. Lecz mówiąc to była wciąż niezmiernie słaba. Próbowała przybrać wesoły wyraz twarzy, lecz był to wysiłek zbyt wielki na jej wątłe siły. Mr Falkland i doktor prosili ją, by leżała spokojnie i unikała tymczasem wszelkiego zmęczenia.

Podniesiona na duchu chwilowym polepszeniem Emilii, Mrs Hammond



wyszła za dwoma dżentelmenami z izby, aby dowiedzieć się, jakie lekarz żywi nadzieje. Doktor Wilson przyznał, że początkowo stan chorej był bardzo poważny, że są pewne oznaki polepszenia i że obecnie nie brak pewnych podstaw, by oczekiwać wyzdrowienia. Dodał jednak, że nie może za nic odpowiadać, że najbliższe dwanaście godzin będzie okresem niezwykle krytycznym, lecz jeśli stan chorej nie pogorszy się do rana, będzie mógł ręczyć za jej życie. Mrs Hammond, która do tej chwili była pełna rozpaczy, ogarnęła teraz szalona radość. Rozpłakała się ze szczęścia, błogosławiła lekarza najbardziej namiętnymi i pełnymi uniesienia słowami i mówiła tysiące niedorzeczności. Doktor Wilson skorzystał z tej okazji, by ją skłonić do odpoczynku, na co przystała. Uprzednio już przygotowano dla niej łóżko w sąsiedniej izbie — pielęgniarce zaś poleciła, by zawiadomiła ją o każdej zmianie w stanie chorej.

Przez wiele godzin Mrs Hammond zażywała niczym nie zmaconego snu. Zapadła już noc, kiedy obudził ją niezwykle ruch w sąsiedniej izbie. Nasłuchiwała przez krótką chwilę, potem postanowiła pójść i zobaczyć, co się stało. W drzwiach natknęła się na pielęgniarkę, która właśnie szła do niej. Twarz tej kobiety bez słów powiedziała, z jaką nowiną przyszła. Mrs Hammond rzuciła się w stronę łóżka i ujrzała, że Emilia kona. Złudne pozory, które tyle dawały nadziei, trwały krótko. Poprawa, jaka nastąpiła z rana, okazała się tylko poprawą przed śmiercią. Trwała kilka godzin, potem chora poczuła się gorzej. Cera jej straciła blask młodości, oddychała z trudem, oczy stawały się nieruchome. W tej chwili wszedł doktor Wilson i natychmiast spostrzegł, że to koniec. Emilia miała przez pewien czas konwulsje, lecz kiedy te przeszły, zwróciła się do lekarza przytomnym, choć słabym głosem. Dziękowała mu za opiekę i mówiła, jak wielkie ma zobowiązania wobec Mr Falklanda. Przebaczyła szczerze swemu kuzynowi i wyrażała nadzieję, że wspomnienie okrucieństwa, jakie względem niej okazał, nie będzie go zbyt dręczyło. Pragnęłaby żyć. Niewielu ludzi znajdowało szczerze od niej upodobanie w radościach życia; lecz stokroć woli umrzeć niż zostać żoną Grimesa. Kiedy weszła Mrs Hammond, Emilia zwróciła się ku niej i z tkliwością powtórzyła jej imię. Były to jej ostatnie słowa: w niespełna dwie godziny później wydała ostatnie tchnienie w

ramionach tej wiernej przyjaciółki.

## ROZDZIAŁ XI

Takie były losy Miss Emilii Melville. Nigdy może okrucieństwo nie wystawiło sobie bardziej bolesnego pomnika odrazy, na jaką zasługuje. Każdy, kto był świadkiem tego wydarzenia, nabrał nieodparcie przekonania, że Mr Tyrrel jest największym łotrem, jaki kiedykolwiek był zakałą rodzaju ludzkiego. Sprawa rozegrała się zbyt publicznie, by ludzie nie dowiedzieli się prawdy. Nawet sami dozorczy tego miejsca kaźni wyrażali zdumienie i odrazę na widok niesłychanego okrucieństwa Mr Tyrrela.

Jeśli takie były uczucia ludzi, których zawodem było wyrządzanie krzywdy, trudno opisać, jakie musiały być uczucia Mr Falklanda. Odchodził od zmysłów, miotał przekleństwa, bił się po głowie, wyrywał sobie włosy. Nie miał chwili spokoju. Uciekł z miejsca tego wydarzenia z taką gwałtownością, jak gdyby próbował zostawić za sobą nawet pamięć o jego istnieniu. Zdawało się, że w dzikim szaleństwie będzie darł ziemię pazurami. Powrócił jednak niebawem. Zbliżył się do smętnych szczątków tego, co było niegdyś Emilią, i wpatrywał się w nie z takim napięciem, że — zdawało się — oczy lada chwila wyskoczą mu z orbit. Jakkolwiek wysokie miał poczucie honoru i cnoty, przecież nie mógł się powstrzymać, by nie oskarżać natury, że zrodziła takiego jak Tyrrel potwora. Czuł się zhańbiony posiadaniem tych samych co on, ludzkich kształtów. Nie mógł myśleć spokojnie o gatunku ludzkim. Pienił się oburzeniem przeciw prawom wszechświata, które nie pozwalają jednym ciosem zgnieść podobnego płaza, tak jak niszczymy nieraz szkodliwe insekty. Trzeba było czuwać nad nim jak nad szaleńcem.

Decyzja, co należy dalej robić w obecnej sytuacji; spadła na doktora Wilsona. Ten był człowiekiem działającym chłodno i metodycznie. Jedną z pierwszych myśli, jakie mu się nasunęły, było, że Miss Melville pochodziła

z rodu Tyrrelów. Nie miał on wątpliwości, że Mr Falkland gotów jest pokryć wszelkie wydatki związane z tym, co należało się smętnym szczątkom nieszczęsnej ofiary. Lecz uznał, że formy towarzyskie i przyzwoitość wymagają, by głowa rodziny w jakiś sposób została powiadomiona o tym wypadku. Być może, że miał również na względzie własne zawodowe interesy i niechętnie narażałby się człowiekowi o tym co Mr Tyrrel znaczeniu w okolicy. Lecz przy całej owej słabości podzielał jednak powszechne oburzenie i musiałby był zadać sobie niemały gwałt, aby zdobyć się na spełnienie tej misji samemu. Poza tym nie uważał, aby dobrze było w obecnej sytuacji zostawiać Mr Falklanda bez opieki.

Ledwie doktor Wilson wspomniał o tych swoich myślach, a już zrobiły one głębokie wrażenie na Mrs Hammond, która skwapliwie prosiła, by jej pozwolono zanieść tę wiadomość. Była to nieoczekiwana propozycja; lecz doktor nie opierał się zbyt i w końcu dał przyzwolenie. Mrs Hammond postanowiła — jak sama mówiła — zobaczyć, jakie wrażenie zrobi wieść o katastrofie na jej sprawcy. Obiecywała przy tym postępować z umiarkowaniem i uprzejmością. Szybko też wybrała się w podróż.

— Przyjechałam, panie — powitała Mr Tyrrela — z wiadomością, że pańska kuzynka, Miss Melville, zmarła dziś po południu.

— Zmarła?

— Tak, panie. Byłam przy jej śmierci, zmarła na moich rękach.

— Zmarła? A kto ją zabił? Co wy mówicie?

— Kto? I pan o to pyta? Zabiła ją pańska złość i okrucieństwo,

— Moja? Ja? Bah! Ona nie umarła — to niemożliwe — nie ma jeszcze tygodnia, jak stąd wyjechała.

— Nie wierzy mi pan? Powiadam, że nie żyje.

— Strzeż się, kobieto! Tu nie ma co żartować! Nie, choć źle wobec mnie postąpiła, za nic w świecie nie chcę uwierzyć, żeby umarła.

Mrs Hammond pokiwała głową ze smutkiem i oburzeniem.

— Nie, nie, nie i nie! Nigdy w to nie uwierzę! Nigdy!

— Czy chce pan pójść ze mną i przekonać się na własne oczy? To widok godny pana — i będzie miły dla takiego jak pańskie serca!

Mówiąc to Mrs Hammond wyciągnęła rękę, jak gdyby po to, by

poprowadzić go na miejsce, gdzie leżała zmarła.

Mr Tyrrel cofnął się.

— Jeśli nawet zmarła, cóż mnie do tego, czyż mam być odpowiedzialny za wszystko zło, jakie się dzieje na świecie? Po coście tu przyszli? Na co mi ta wiadomość?

— A komuż ją miałam przynieść, jeśli nie jej krewnemu i mordercy?

— Mordercy? Czyż napadłem na nią z nożem albo z pistoletem? Czy zadałem jej trucizny? Nie zrobiłem nic, na co by nie zezwalało prawo. Jeśli umarła, nikt nie może mnie o to winić.

— Winić! Cały świat będzie pana przeklinał i czuł do niego odrazę. Byłżebyś pan na tyle szalony, by myśleć, że skoro ludzie czują respekt dla majątku i stanu, zamkną oczy na podobny czyn? Śmiać się będą z tak jawnego oszustwa. Najnędzniejszy żebrak będzie panem pomiatał i będzie mógł pana oplwać. A tak, możesz pan stać osłupiały na wieść o tym, co zrobiłeś. Okrzyczę pana przed całym światem i będziesz pan uciekał na sam widok ludzkiej twarzy!

— Moja dobra kobieto — odparł Mr Tyrrel, niezwykle upokorzony. — Przestańcie mówić w ten sposób! Emilia nie umarła! Jestem pewny — wierzę, że nie umarła! Powiedzcie mi, żeście mnie okłamali, a przebaczę wam wszystko — i jej przebaczę — wezmę ją w opiekę, zrobię wszystko, co zechcecie! Nigdy nie chciałem jej skrzywdzić.

— Powiadam panu, że nie żyje. Zamordowałeś pan to najśłodsze, niewinne dziecko. Czy możesz pan zwrócić jej życie, któreś jej odebrał? Gdybyś pan mógł, gotowa byłabym klęczeć przed panem dzień i noc. Coś pan uczynił? Nieszczęsny! Czyś pan myślał, że będziesz mógł krzywdzić i odrabiać zło? Co się stało, to się już nie odstanie, losu pan nie odmienisz!

Słuchając wyrzutów Mrs Hammond Mr Tyrrel po raz pierwszy musiał wypić do dna gorzki kielich kary za swoje winy. Był to jednakże tylko wstęp do całego szeregu upokorzeń, wstrętów i zniewag, jakie los chował dla niego. Słowa Mrs Hammond były prorocze. Okazało się, że chociaż majątek i dziedziczne godności bywają usprawiedliwieniem niejednej zbrodni, istnieją wśród nich takie, które nieodparcie ściągają na siebie ludzkie oburzenie i podobnie jak śmierć, znoszą wszystkie różnice, a

człowieka, który się jej dopuścił, równają z najuboższym i najbardziej nędznym przedstawicielem rodzaju ludzkiego. Ci, którym brakło śmiałości, by bez żenady wyrażać swoje uczucia względem Mr Tyrrela, okrutnego i nieludzkiego mordercy Emilii, przeklinali go po cichu. Reszta wybuchła jednogłośnie krzykiem wstrętu i złoźczenia. Tyrrel w tej nowej dla siebie sytuacji był jak osłupiały. Przyzwyczajony do posłuszeństwa i pokornych hołdów, wyobrażał sobie, że trwać będą wiecznie i że żadne ekscesy z jego strony nie rozwieją tych uroków. Teraz spozierał dokoła i na wszystkich twarzach widział głuchą, z trudem tłumioną odrazę, która za najłżejszą zaczepką z jego strony wybuchała jak niepowstrzymana powódź, krusząc wszelkie tamy uległości i strachu. Cały jego wielki majątek nie mógł okupić mu grzeczności ze strony szlachty rodowej, chłopstwa, a nawet niemal własnych sług. Powszechne oburzenie było niby upiór dręczący go zawsze i wszędzie, niby piekący wyrzut sumienia, nie dający mu chwili spokoju. Zdawało się, że z każdym dniem cała okolica staje coraz bardziej wzburzona przeciw niemu, że nie ścierpi dłużej jego widoku i oczywistym stawało się, że w końcu winowajca będzie zmuszony opuścić swoje strony. Zbrodniczość ostatniego postępków dodała ludziom bodźca do przypomnienia wszystkich innych jego ekscesów i w sądach ludzkich urastał przeciw niemu straszliwy zaiste katalog. Zdawało się, jakby zawziętość społeczeństwa od dawna niepostrzeżenie wzbierała na sile, by teraz wybuchnąć z niepoohamowaną gwałtownością.

Nie było bodaj człowieka, dla którego taka właśnie kara byłaby równie bolesna jak dla Mr Tyrrela. Choć nie miał przeświadczenia o własnej niewinności — było to zupełnie obce jego charakterowi — które by pobudzało go ustawicznie do trwoźliwego cofania się przed wrogością świata, to jednak jego władcza natura i uległość, z którą się dotąd ciągle stykał, sprawiały, że teraz, miotany zniecierpliwieniem i wściekłością, odczuwał bardzo ciężko powszechną, nie maskowaną już wzgardę. Nie mógł tego pojąć i nie do wiary wydawało mu się, że on, przed którym — na jeden błysk jego oka — chyliły się wszystkie głowy, on, któremu w srogim gniewie nikt nie śmiał odpowiedzieć słowa, spotykał się teraz z jawną niechęcią i bezwzględnym potępieniem. Oznaki powszechnej odrazy czuł

niby smagnięcia bicia, pod którym zdawał się skręcać w nieznośnym bólu. Wściekłość jego nie знаła miary i wybuchala bezustannie. Odpierał atak po ataku z najdzikszym oburzeniem; lecz im zacieklej walczył, tym rozpaczliwszą stawała się jego sytuacja. W końcu zdecydował zebrać siły na ostateczną próbę i za jednym zamachem rozprawić się z całą wzbierającą przeciw niemu falą opinii publicznej.

Stosownie do tych zamiarów postanowił udać się niezwłocznie na jedno z owych wiejskich zebrań okolicznego ziemiaństwa, o których już wspominałem w toku mego opowiadania.

Od śmierci Miss Melville upłynął miesiąc. Mr Falkland wyjechawszy w jakieś odległe strony, był nieobecny od tygodnia i nie oczekiwano jego powrotu wcześniej jak za tydzień. Mr Tyrrel chętnie skorzystał z tej okazji, przeświadczony, że jeśli uda mu się teraz odzyskać dawną pozycję, to utrzyma ją nawet wobec swego groźnego rywala. Na odwadze mu nie zbywało; lecz rozumiał, że obecny okres zbyt jest doniosły dla jego życia, by mógł sobie pozwolić na jakiegokolwiek niepotrzebne ryzyko w tej walce o przyszły spokój i znaczenie.

Kiedy Mr Tyrrel pojawił się na zebraniu, wśród obecnych powstał gwar: bywająca tu bowiem szlachta postanowiła wzbronić mu wstępu, jako człowiekowi, z którym nie życzyli sobie przestawać. Wyrok ten został mu już listownie zakomunikowany przez mistrza ceremonii, lecz w człowieku tego co Mr Tyrrel charakteru wiadomość taka mogła raczej obudzić zuchwałość niż trwogę. Przy drzwiach wejściowych spotkał go osobiście mistrz ceremonii, który dostrzegł jego ekwipaż i próbował teraz ponowić zakaz. Mr Tyrrel jednak gestem urodzonego władcy i z niewymowną pogardą usunął go na bok. Gdy wszedł, wszystkie oczy zwróciły się ku niemu i natychmiast obecni w sali mężczyźni okrążyli go wkoło. Jedni napierając nań usiłowali go wypchnąć, inni obsypali go zarzutami. Lecz on znalazł sposób, by uciszyć jednych, odtrącić drugich. Jego atletyczna budowa, ogólnie znane zalety umysłu, wreszcie długoletnie przyzwyczajenie otoczenia do uznawania jego wyższości, wszystko przemawiało na jego korzyść. Rozumiał, że gra idzie o ostatnią stawkę, i natężył wszystkie siły, aby sprostać zadaniu. Opędziwszy się niby od

naprzykrzającego się robactwa, wyniosłym, posuwistym krokiem przeszedł po sali tam i z powrotem miotając dokoła gniewne spojrzenia. Potem odezwaniem swym przerwał panującą ciszę. Jeśli ktokolwiek ma mu coś do zarzucenia — mówił — on będzie wiedział, w jaki sposób i na jakim gruncie mu odpowiedzieć. Radziłby jednak każdemu, kto ma taki zamiar, by dobrze się przedtem zastanowił. Jeśli ktoś sądzi, że jest coś, na co powinien by się osobiście uskarżać przed nim — wszystko w porządku. Lecz on, Tyrrel, spodziewa się, że nikt nie będzie tak ciemny i nieokrzesany, by mieszać się w nie swoje rzeczy i wtrącać się w rodzinne sprawy innego człowieka.

Słowa te były niby wyzwaniem, ten i ów zatem z obecnych wystąpił, by na nie odpowiedzieć. Ten, który był pierwszy, zaczął mówić, lecz Mr Tyrrel wyrazem twarzy i stanowczym tonem, w odpowiedniej chwili rzucanymi słowami, którymi przerywał mówiącemu, i rzeczowymi uwagami sprawił, że ten zrazu zaczął się wahać, potem zaś umilkł. Zdawało się, że Mr Tyrrel szybkim krokiem zmierza ku zwycięstwu, jakie sobie obiecywał. Wszyscy obecni zastygli w zdumieniu. Czuli tę samą odrazę do Mr Tyrrela i potępiali jego charakter, lecz nie mogli oprzeć się podziwowi dla odwagi i zręczności, jaką okazał w obecnej sytuacji. Bez trudu można było w nich rozniecić dawne oburzenie, ale zdawało się braknąć im przywódcy.

W tej krytycznej chwili wszedł do sali Mr Falkland. Prosty przypadek pozwolił mu wrócić wcześniej, niż zamierzał.

Na swój widok obaj z Mr Tyrrelem poczerwienieli. Przybyły bez chwili zwłoki przystąpił do Mr Tyrrela i stanowczym głosem zapytał, co on tutaj robi.

— Tutaj? — odparł zagadnięty. — Jak pan to rozumiesz? Mam prawo tu przebywać tak jak i pan, a jesteś pan ostatnim z ludzi, któremu zechciałbym zdawać sprawę z moich czynów.

— Nie masz prawa tu przebywać, mój panie. Czyż nie wiesz, żeś został powszechnym wyrokiem wykluczony z tych zebrań? Jakiegokolwiek były pańskie prawa, przekreśliłeś je swym haniebnym postępowaniem.

— Mój panie, jak cię tam zwa, jeśli masz mi coś do powiedzenia, wybierz odpowiedni czas i miejsce. Nie przybieraj tych tonów pod osłoną zebrania! Tego nie ścierpię.



— Mylisz się pan. To miejsce jest jedynym, w którym mam waści cokolwiek do powiedzenia. Jeśli nie chcesz pan stykać się z oburzeniem świata, nie powinieneś pojawiać się w towarzystwie ludzi. Miss Melville! O, hańba na twoją głowę, nieludzki, nieubłagany okrutniku! Czy możesz słuchać tego imienia i nie zapaść się ze wstydu pod ziemię? Czy możesz usunąć się w samotność i nie widzieć jej bladego, cierpiącego ducha, który jawi się przed tobą z wyrzutem? Czy możesz pan wspomnieć jej cnoty, niewinność, nieskalane życie, dobroć, i nie oszaleć od udręki sumienia?

Czy nie zabiłeś jej pan w zaraniu jej młodości? Czy możesz znieść myśl, że przez pana przekłete zamysły ona leży teraz gnijąc w grobie, ona, która zasługiwała na chwałę tysiącokrotnie bardziej, niż pan zasługujesz na życie? I spodziewasz się pan, że ludzie kiedykolwiek zapomną lub przebaczą taki postępek? Precz stąd, nędzniku! Wiedz, że i to za wiele dla ciebie, jeśli wolno ci będzie kryć się przed widokiem ludzkiej twarzy. Na honor! Jak załóżnie wyglądasz w tej chwili! Czy myślisz pan, że cokolwiek na świecie byłoby w stanie sprawić, że łotr tak zatwardziały jak pan wstrząsnąłby się na stawiane mu zarzuty, gdyby sumienie pana nie było po stronie tych, którzy te zarzuty stawiają? Byłżebyś pan na tyle szalony, by sądzić, że upór, choćby nie wiem jak zacięty, wystarczy, byś pan mógł gardzić tak ostrą naganą sprawiedliwych. Usuń się, zamknij we własnej nędznej osobie. A teraz precz i niech twój widok nigdy już nie kala mych oczu!

I oto — choć może się to zdawać nie do wiary — Mr Tyrrel słuchał pokornie słów swego oskarżyciela. Spojrzenie jego było jakby obłąkane i pełne grozy, drżał na całym ciele, a język odmawiał mu posłuszeństwa. Nie miał sił, aby odeprzeć ów gwałtowny potok wyrzutów, jakimi go zasypywano. Wahał się: wstydził się tej porażki i pragnął jak gdyby zaprzeczyć jej. Lecz jego usiłowania były bezowocne; wszystkie próby zostały udaremnione. Zebrani z całą skwapliwością jęli go jednogłośnie zawstydzają i w miarę jak jego zmieszanie stawało się bardziej widoczne, gwar wzrastał i przybierał na sile przechodząc w głośne okrzyki, tumult, a wreszcie w ogłuszającą wrzawę wyrażającą oburzenie. Na koniec Mr Tyrrel z własnej woli usunął się spośród zebranych, niezdolny ani chwili dłużej znosić przykrości, którą ta scena mu sprawiała.

W jakieś półtorej godziny później powrócił. Nie zabezpieczono się przed taką możliwością, bo też nie było nic bardziej nieoczekiwanego. On zaś tymczasem, pijąc wódkę ogromnymi łykami, zdołał wpaść w stan odurzenia.

W jednej chwili znalazł się w kącie sali, gdzie stał Mr Falkland, i jednym ciosem swego potężnego ramienia powalił go na ziemię. Cios jednak nie był ogłuszający, bowiem uderzony natychmiast powstał. Jasną jest rzeczą, jak bardzo nierównym był przeciwnikiem w tego rodzaju walce. Ledwie podniósł się, a już Mr Tyrrel uderzył go powtórnie. Mr Falkland miał się już teraz na baczności i nie upadł. Lecz przeciwnik z niepojętą szybkością zadawał wciąż nowe ciosy i Mr Falkland znów znalazł się na ziemi. Wtedy Mr Tyrrel jął kopać powalonego już wroga i nachylił się nad nim najwidoczniej w zamiarze wleczenia go po podłodze. Wszystko to stało się tak błyskawicznie, że obecni, przy tym mężczyźni nie zdołali ochłonąć ze zdumienia. Teraz wmieszali się w zajście i Mr Tyrrel ponownie opuścił salę.

Trudno wyobrazić sobie straszliwsze zdarzenie dla człowieka, który padł jego ofiarą, niż poniżenie, jakie spotkało Falklanda. Wszystko, co mu było drogie, przyczyniło się, by tym ostrzej odczuł doznaną zniewagę. Kilkakrotnie okazywał nieprzeciętną energię i roztropność starając się, by nieporozumienia między nim a Mr Tyrrelem nie doprowadziły do ostateczności, lecz na próżno. Doszło do katastrofy przewyższającej wszystko, czego się lękał lub co podsunąć mu mogło najbardziej wnikliwie przewidywanie. Dla Mr Falklanda hańba była gorsza od śmierci. Najlżejsze tchnienie niesławy raniło go do głębi duszy. Cóż więc musiało się z nim dziać w wypadku takiej sromoty, połączonej z upokorzeniem doznany w miejscu publicznym? Gdyby Mr Tyrrel rozumiał całe zło, które wyrządził, nawet on, mimo wszystkich okoliczności pchających go do tego, nie byłby się może dopuścił swego czynu.

W duszy Mr Falklanda panowało wzburzenie podobne walce rozszalałych żywiołów, przepełniały ją cierpienia, przy których bladło najbardziej wyrafinowane umyślne okrucieństwo. Pragnął przestać istnieć, utonąć w wiecznym zapomnieniu, w beczuciu, które w porównaniu z tym,

czego doświadczał, zdawało mu się niemal tak upragnione jak niebiańska szczęśliwość. Zgroza, nienawiść, żądza zemsty, niewysłowione pragnienie otrząśnięcia się z tej słabości i przeświadczenie, że w tym wypadku wszelkie wysiłki nie zdadzą się na nic — wszystko to przepełniało jego duszę po brzegi.

Jeszcze jedno zdarzenie dopełniło wypadków tego pamiętnego wieczoru. Mr Falkland został pozbawiony zemsty, poza którą nic mu już nie zostało. Ktoś z obecnych znalazł Mr Tyrrela na ulicy — nieżywego. Zamordowano go w odległości kilku jardów od domu, w którym odbywało się zebranie.

## ROZDZIAŁ XII

Resztę tej opowieści będę się starał oddać słowami Mr Collinsa. Czytelnik mógł się już przekonać, że Mr Collins nie był człowiekiem przeciętnym i że jego refleksje dotyczące przedmiotu opowiadania były wyjątkowo rozumne.

„Dzień ten był krytyczny dla dziejów Mr Falklanda. Od tego momentu bierze początek owa posępna, samotnicza melancholia, która go dręczy nieustannie. Trudno znaleźć dwa pod pewnymi względami silniej od siebie odbijające charaktery niż Mr Falkland z okresu poprzedzającego i następującego po tych wypadkach. Aż do tej chwili towarzyszyły mu zawsze pomyślne losy. Usposobienie jego było żywe i wesołe, pełne tej niezachwianej ufności we własne siły, którą zdolna jest zrodzić pomyślność. Choć życie jego było życiem poważnego i pełnego wzniosłości marzyciela, było jednak pełne radości i spokoju. Lecz od tego dnia duma jego i wyniosła śmiałość ducha zostały gruntownie pogrzebane. Nie zazdrość już budził, ale litość. Życie, którym dotąd cieszył się w sposób tak doskonały jak nikt inny, stało mu się ciężarem. Żegnajcie zadowolenie z siebie i porywy, żegnaj dobroci pełna samoaprobaty i dająca radość sercu! On, który bardziej niż ktokolwiek inny żył wspaniałymi i natchnionymi wizjami wyobraźni, zdawał się teraz być nękany tylko obrazami bóleści i rozpacz. Przypadek jego zasługiwał na szczególne współczucie, bo jeśli prawość i czystość intencji mogą być tytułem do szczęścia, to niewielu mogłoby rościć doń słuszniejsze i większe pretensje niż Mr Falkland.

Zbyt głęboko przesiąknięty był pustymi i nierealnymi historiami rycerskimi, by kiedykolwiek mógł zapomnieć o sytuacji tak upokarzającej i hańbiącej według jego pojęć jak ta, w jakiej się wtedy był znalazł. Osobie prawdziwego rycerza przypisuje się jakąś tajemniczą boskość, która sprawia, że wszelkie grubiaństwo i gwałt popełnione na nim stają się

niezmazalne i wiecznotrwałe. Zostać powalonym na ziemię, obitym kulakami, skopanym, wleczonym po podłodze! Wielkie nieba, przecież pamięć takiego ponizenia jest nie do zniesienia! Żadne późniejsze oczyszczenie się nie zdoła zmazać tego piętna — a co najgorsze, w tym wypadku oczyszczenie przepisane prawami błędnego rycerstwa stało się niemożliwe, skoro ten, co dopuścił się obrazy, przestał żyć.

Być może, w jakiejś przyszłej, doskonalszej erze ludzkości nieszczęście, które obecnie przyczyniło się do zaćmienia i zgnębienia jednego z najbardziej wzniosłych i subtelnych umysłów, będzie w pewnym sensie niepojęte. Gdyby Mr Falkland dobrze się zastanowił nad tym, co go spotkało, przypuszczalnie byłby zdolny przyjąć obojętnie cios, który w obecnej sytuacji zranił go do żywego. O ileż więcej godności znajdujemy u Temistoklesa, najmężniejszego z Greków, niż u współczesnego amatora pojedynków; kiedy Eurybiades, wódz naczelny, w odpowiedzi na jakieś przestrogi Temistoklesa uniósł laskę grożąc mu uderzeniem, Temistokles zwrócił się do niego z tym szlachetnym wezwaniem: «Uderz, lecz wysłuchaj!»

Jak w takim wypadku odpowie brutalnemu napastnikowi prawdziwie mądry człowiek?

«Chlubię się tym, że potrafię znieść ból i nieszczęście; czyżbym nie był zdolny znieść tej błahej przykrości, jaką mi może wyrządzić pańskie szaleństwo? Być może, człowiek byłby pełniej kształcony, gdyby zgłębił wiedzę o obronie osobistej; lecz jak rzadkie byłyby okazje, w których musiałby ją wykorzystać. Gdyby człowiek kierował się zasadami rozsądku i dobroci, jakże niewiele spotkałby osób równie niesprawiedliwych i zdolnych do wyrządzenia krzywdy jak pan. Ponadto, jak niewielki byłby użytek tej wiedzy, choćby już nabytej. Człowieka o delikatnych kształtach i niewielkim wzroście zaledwie zrównałaby ona z atletycznym pięściarzem. I jeśli w pewnej mierze zabezpieczyłaby mnie przed złośliwością pojedynczego przeciwnika, to i tak tam, gdzie tylko siła wchodzi w grę, moja osoba i życie byłyby zagrożone, gdybym się znalazł wobec dwóch przeciwników. Wiedza ta nie byłaby mi w niczym przydatna poza bezpośrednią obroną przeciw doraźnemu gwałtowi. Człowiek, który

świadomie spotyka się ze swym przeciwnikiem w tym celu, aby jego lub może i siebie narazić na szwank, depce wszelkie zasady rozsądku i sprawiedliwości. Pojedynkowanie się jest najbardziej godną wzgardy formą samolubstwa. Ten, kto się pojedykuje, traktuje społeczność, która ma prawa do wszystkich jego sił i czynów, jakby była niczym; własną zaś osobę — a raczej niepojęte urojenia związane z własną osobą — jakby była jedynie godna uwagi. Pan jest silniejszy ode mnie. Cóż zatem? Czy ta okoliczność hańbi mnie? Bynajmniej, zhańbić mnie może tylko niesprawiedliwy czyn. Honor mój jest w moim własnym ręku i nikt na świecie nie ma nad nim mocy. Uderzaj! Pozostanę bierny. Żadna krzywda, którą zdołasz mi wyrządzić, nie sprowokuje mnie do tego, bym pana lub siebie narażał niepotrzebnie na szkodę. Odmawiam pojedynku, nie abym był bojaźliwy; gdybym unikał wszelkiego niebezpieczeństwa tam, gdzie dobro publiczne może być pomnożone — wtedy piętnujcie mnie jako tchórza!»

To rozumowanie — jakkolwiek beznamiętny badacz uznałby je za proste i nieodparte — znajduje rzadko dostęp do myśli ludzi w ogólności, a z przesadami Mr Falklanda było w najwyższym stopniu niezgodne.

Lecz publiczna zniewaga i otrzymane ciosy, choć pamięć o nich była nie do zniesienia — to jeszcze nie całe nieszczęście, jakie spadło w tym dniu na naszego nieszczęsnego bohatera. Natychmiast zaczęto szeptać, że on to sam był mordercą swego przeciwnika. Pogłoska ta zbyt wielkie miała znaczenie dla całego jego dalszego życia, by można ją było przed nim ukrywać. Dowiedział się o niej z niewypowiedzianym zdumieniem i zgrozą; był to straszliwy dodatek do owego brzemienia niepokoju, który przygnębiał jego umysł. Nie było człowieka, który by bardziej od niego cenił swe dobre imię, i oto teraz w jednym dniu spadły na niego najokrutniejsze klęski, obraza osobista i podejrzenie o najnikczemniejszą zbrodnię. Mógłby był uciec, nikt bowiem nie kwapił się występować przeciwko człowiekowi tak uwielbianemu jak Mr Falkland lub pomścić kogoś tak powszechnie przeklinanego jak Mr Tyrrel. Lecz ucieczką pogardził. Tymczasem sprawa przybrała bardzo poważne rozmiary, a nietłumione pogłoski zdawały się z dnia na dzień przybierać na sile. Mr Falkland skłonny był chwilami do

podjęcia kroków, które doprowadziłyby najpewniej do tego, aby rzucone nań podejrzenie stało się przedmiotem przyspieszonej rozprawy sądowej. Przypuszczalnie obawiał się, by zbyt bezpośrednim odwołaniem się do władzy sądowej nie skonkretyzować podejrzenia, o którym wszelka myśl była mu nieznośna. Jednocześnie zaś z całej mocy pragnął być poddany surowemu śledztwu i jeśli nie spodziewał się kiedykolwiek zapomnieć o tym, że go oskarżono, chciał przynajmniej dowieść niesłuszności oskarżenia w jak najbardziej przekonujący sposób.

Miejscowi sędziowie pokoju uznali w końcu za konieczne wszcząć pewne kroki w tej sprawie. Nie wydając rozkazu zatrzymania Mr Falklanda zaproszono go, by przybył na jedno z ich posiedzeń. Stanowiło to rodzaj postępowania prawnego i Mr Falkland wyraził nadzieję, że jeśliby sprawa na tym się miała skończyć, przynajmniej ich badanie będzie przeprowadzone jak najformalniej.

Posiedzenie było tłumne. Każdy członek wyższych klas społeczeństwa miał wolny wstęp. Całe miasto, jedno z największych w hrabstwie, znało charakter sprawy. Niewiele prawdziwych procesów sądowych budziło tak powszechne zainteresowanie. A że wytoczenie procesu w tym wypadku było prawie niemożliwe, więc zarówno przewodniczący, jak i sędziowie asesory pragnęli nadać przesłuchaniu całą powagę i rozstrzygający charakter procesu.

Sędziowie wysłuchali szczegółów sprawy. Wynikało z nich, że Mr Falkland opuścił salę natychmiast po wyjściu swego napastnika. A choć udał się do swej oberży w towarzystwie jednego czy dwóch dżentelmenów, to jednak zostało stwierdzone, że natychmiast po przybyciu opuścił ich pod jakimś błahym pozorem, kiedy zaś zapytali o niego służbę, okazało się, że dosiadł już konia i pojechał do domu. Nie było innych danych w sprawie, które by można było przeciwstawić tym faktom. Skoro tylko zostały one szczegółowo przedstawione, Mr Falkland przystąpił do swojej obrony. Sporządzono kilka kopii jego przemówienia i przez pewien czas Mr Falkland miał zamiar ogłosić je w pismach, aczkolwiek później dla jakichś względów odstąpił od tej myśli. Jedna z tych kopii jest w moim posiadaniu i odczytam ją tobie.”

Mówiąc to Mr Collins wydobyl papier ze skrytki w swym sekretarzyku. Czyniac to zdawal sie zbierac, myśli: nie zeby sie w ścisłym sensie tego słowa wahał, ale okazywał chęć wytłumaczenia się z tego, co czynił.

— Zdaje się, że nigdy nie slyszales o tej pamietnej sprawie. I rzeczywiście trudno się temu dziwić, skoro dobre intencje ludzkie staraly się stłumić jej rozgłos; wiadomo, że jeśli ktoś musiał się bronić przed posądzeniem o zbrodnię, to choć wyszedł z tego jak najczystszy i najgodniejszy, poczytywane mu to jest za hańbę. Można przypuszczać, że to stłumienie rozgłosu sprawy jest szczególnie przyjemne dla Mr Falklanda. I nie postępowałbym sprzecznie z jego życzeniami, gdyby nie pewne szczególnie naglące okoliczności, które czynią to pożądanym. — Mówiąc to zaczął czytać trzymane w ręku pismo:

„Panowie,

Stają tutaj oskarżony o zbrodnię najczarniejszą ze wszystkich, jakie może popełnić ludzka istota. Jestem niewinny. Nie lękam się, bym nie potrafił przekonać każdego z tu obecnych o mojej niewinności. Tymczasem jednak jakież muszą być moje uczucia? Czyż może być dla mnie coś okrutniejszego niż odpowiadać na zarzut morderstwa wiedząc, że zasługuję na pochwałę, nie na naganę, że życie moje zbiegło na sprawiedliwych i dobrych czynach? Sytuacja moja jest tak fatalna, że nie mógłbym przyjąć, panowie, łaskawego uniewinnienia, gdybyście mi go byli skłonni udzielić. Muszę odpowiadać na zarzut, o którym sama myśl jest dla mnie tysiakkroć gorsza niżli śmierć. Muszę wyteńczyć całą siłę mego umysłu, by nie zostać zaliczonym do rzędu najpodlejszych z ludzi.

Panowie! W takiej sytuacji dozwolone jest człowiekowi chwalić samego siebie. Przeklęta sytuacja. Niech nikt mi nie zazdrości tego niskiego i splugawionego triumfu, który mam odnieść. Nie wezwałem tu nikogo, kto by dał świadectwo o moim charakterze.

Wielki Boże! Cóż to za charakter, o którym trzeba dawać świadectwo. Lecz — jeśli muszę już o tym mówić — spójrzcie dokoła, zapytajcie kogokolwiek z obecnych, zapytajcie własnych serc! Nigdy nie padło przeciw mnie najmniejsze słowo wyrzutu. Nie waham się odwołać do tych, którzy mnie znają najlepiej, aby wydali ten zaszczytny dla mnie sąd.



Życie moje zbiegło wśród najczujniejszej i nieustannej troski o dobre imię. To jak zakończy się dzisiejszy dzień, jest mi niemal obojętne. Nie otworzyłbym nawet ust, gdyby moje życie było tu jedyną stawką. Nie w waszej jest mocy orzeczeniem waszym przywrócić mi moją nieskalaną reputację, zetrzeć hańbę, którą przeżyłem, lub zabezpieczyć mnie od hańbiącego wspomnienia, że byłem oskarżony o morderstwo i poddany badaniu. Orzeczenie wasze nie zdoła nigdy sprawić, aby ta nędzna reszta życia nie była mi nieznośnym brzemieniem.

Obwiniony jestem o morderstwo popełnione na osobie Barnaby Tyrrela. Z największą radością oddałbym wszystko do ostatniego szeląga i skazałbym się na wieczny los żebraka, aby tylko zachować go przy życiu. Jego życie było cenniejsze dla mnie od życia całej ludzkości. Moim zdaniem, największą krzywdą wyrządzoną przez jego (nieznanego zabójcę jest to, że ograbił mnie z prawa słusznie mi należnej zemsty. Wyznaję, że wyzwalałbym go na ubitą ziemię i że nasze spotkanie nie inaczej by się skończyło, jak śmiercią jednego z nas lub nawet obu. Byłaby to jeszcze nędzna odpłata i niewspółmierna z obrazą nie mającą sobie równej, ale to jedynie mi pozostawało.

Nie proszę o litość, lecz muszę otwarcie wyznać, że nigdy niczyje nieszczęście nie było okrutniejsze od mojego. Chętnie poszukałbym uciezki od wspomnień tej nocy w dobrowolnej śmierci. Moje życie zostało teraz odarte ze wszystkich tych wartości, które dotąd czyniły mi je tak drogim.

Lecz nawet ta pociecha została mi odebrana. Zmuszony jestem wiecznie wlec za sobą to nieznośne brzemie życia pod grozą, że gdybym kiedykolwiek, choćby po długim czasie, zechciał je strząsnąć z siebie, przyjęte by to zostało jako potwierdzenie słuszności rzuconego mi oskarżenia! Gdybyście swoim orzeczeniem mogli odebrać mi życie w ten sposób, aby nie pociągnęło to za sobą mojej hańby, błogosławiłbym ten sznur, w którego uścisku wydałbym ostatnie tchnienie.

Wszyscy wiecie, jak łatwo mogłem zbiec i uniknąć tego badania. Czy nie skorzystałbym ze sposobności, będąc winnym? Ale faktem jest, że w mojej sytuacji nie mogłem tego zrobić. Dobre imię było moim bożyszczem, klejnotem mego życia. Nie zniósłbym przenigdy myśli, że jakaś ludzka

istota, choćby w najodleglejszej krainie kuli ziemskiej, mogłaby wierzyć w to, że jestem zbrodniarzem. Niestety! Jakież to bożyszcze obrałem, aby mu oddawać cześć? Ściągnąłem na siebie nie ustające cierpienie i rozpacz.

Chcę dodać jeszcze jedno tylko. Panowie! Zobowiązuję was, byście mi oddali tę niepełną choćby sprawiedliwość, jaka jest w waszej mocy. Życie moje nie ma wartości. Lecz mój honor, te znikome resztki, jakie mi pozostały z honoru, zależą od waszego wyroku i od dziś każdy z was winien nałożyć na siebie trud zostania jego obrońcą. To tylko możecie dla mnie zrobić — niewiele, niemniej jednak uczynić to jest waszym obowiązkiem.

Oby ten Bóg, który jest źródłem honoru i dobra, błogosławił wam i pomagał! Człowiek, który stoi oto przed wami, skazany jest na wieczną jałowość życia i ruinę! Niczego już nie oczekuję, poza tą nędzną pociechą, jaką może mi dać dzisiejszy dzień!”

„Nie trudno wyobrazić sobie, że Mr Falkland został uniewinniony wśród najbardziej zaszczytnych okoliczności. W naszych instytucjach to jest bodaj najbardziej opłakane, że nawet tak niewątpliwe i zupełne oczyszczenie się z winy ma w sobie odcień niesławy. Nikt nie żywił w tej sprawie nawet cienia wątpliwości, a jednak prosty zbieg okoliczności sprawił, że najszlachetniejszy z ludzi musiał bronić się publicznie, jak gdyby rzeczywiście był podejrzany o okrutną zbrodnię. Trudno powiedzieć, by Mr Falkland nie miał win, lecz właśnie te winy usuwały możliwość takiej zbrodni. Był maniakiem na punkcie honoru i sławy; człowiekiem, dla którego dobre imię było wszystkim, który by wszystkie bogactwa świata oddał za reputację prawdziwego rycerza bez trwogi i zmazy i który każde pozorne niepowodzenie uważał za plamę na swym honorze. Jakże potwornie absurdalne jest przypuszczenie, że jakikolwiek względ mógłby skłonić takiego człowieka do odegrania roli skrytobójcy. Jakimże brakiem delikatności było zmuszać go, by bronił się przed takim zarzutem! Czy ktokolwiek, a tym bardziej człowiek o najczystszych charakterze, może w jednej chwili przejść od życia nie splamionego ni jednym niesprawiedliwym czynem do otchłani ludzkiego zepsucia?

Kiedy ogłoszono orzeczenie sędziów, rozległ się szmer: ze wszystkich piersi wyrwał się mimo woli głos aprobaty i radosnego uniesienia. Szmer

ten, zrazu cichy, przybierał na sile. A brzmiał w tym taki zachwyt wesela, tak bezinteresowne i wzniosłe uczucie, coś tak nieopisanego było w każdym dźwięku, że przenikały one serce na wskroś i każdemu z obecnych wpajały przekonanie, że nie ma takiej osobistej radości, która by w porównaniu z tą nie wydała się błaha i śmieszna. Każdy starał się jak najlepiej wyrazić swoją cześć dla cieszącego się ogólną sympatią oskarżonego.

Skoro tylko Mr Falkland opuścił salę, zebrani dżentelmeni postanowili złożyć mu gratulacje i w ten sposób dodać wagi orzeczeniu sędziów. W tym celu wybrano natychmiast deputację, która miała dokonać tej czynności. Ludzie prześcigali się w wyrażaniu radości. Było to jakieś jedno wspólne przeżycie, ogarniające wszystkich bez różnicy stanu i godności. Tłum przyjął go wiwatami, wyprzężono konie z jego ekwipażu i ciągnięto go tryumfalnie, a potem na przestrzeni wielu mil towarzyszono mu w drodze powrotnej do domu. Publiczne śledztwo w karnej sprawie, które dotąd w każdym wypadku uważane było za piętno niesławy, zdawało się tym razem zmieniać w manifestację namiętnego uwielbienia i bezprzykładnej czci.

Nic jednak nie trafiało do serca Mr Falklanda. Nie pozostał obojętny na powszechną życzliwość i jej oznaki, lecz widać było aż nadto wyraźnie, że melancholia, która ogarnęła jego duszę, nie da się rozproszyć.

Dopiero w parę tygodni po owym pamiętnym wydarzeniu odkryto prawdziwego mordercę. Historia ta jest niezwykła w każdym calu. Prawdziwym mordercą okazał się Hawkins. Znaleziono go wraz z synem w pewnej wiosce, odległej o jakie trzydzieści mil, gdzie ukrywali się pod fałszywym nazwiskiem, cierpiąc najdotkliwszą nędzę. Od chwili ucieczki Hawkins żył tu w takim ukryciu, że ani wszystkie poszukiwania, jakie z życzliwości przedsięwziął Mr Falkland, ani niezmordowana złość Mr Tyrrela nie zdołały go odszukać. Pierwsza rzecz, jaka naprowadziła śledztwo na ślad mordercy, była to znaleziona w rowie paczka z zakrwawionym ubraniem, w którym ludzie z wioski rozpoznali ubranie Hawkinsa. Morderstwo popełnione na osobie Mr Tyrrela nie było wydarzeniem, które by mogło pozostać nieznanne, i natychmiast obudziły się podejrzenia. Po starannych poszukiwaniach znaleziono rzuconą w kącie izby zardzewiałą rękojeść noża z kawałkiem ostrza, ta zaś przyłożona do

odłamka, który pozostał w ranie, pasowała dokładnie. Po dalszych badaniach dwaj wieśniacy, którzy przypadkowo byli na miejscu zbrodni, przypomnieli sobie, że widzieli Hawkinsa z synem w mieście właśnie tego wieczora; że wołali za nimi, ale ci nie odpowiedzieli, choć pewne było, że to właśnie oni. Na skutek wszystkich tych poszlak, Hawkins i jego syn zostali oddani pod sąd, skazani i powieszani. W czasie, jaki upłynął od wyroku do egzekucji, Hawkins wyznał swą winę z wszystkimi oznakami skruchy, choć są ludzie, którzy temu zaprzeczają. Lecz ja nie szczędziłem fatygi, dociekając tej sprawy i jestem przekonany, że wątpliwości te są niewczesne i nieuzasadnione.

Przypomniano sobie wtedy o okrutnej krzywdzie, jakiej Hawkins doznał ze strony wiejskiego tyrana. Jakaś fatalność losu sprawiała, że barbarzyńskie postęпки Mr Tyrrela nigdy nie zawodziły, zawsze osiągając swój cel; nawet jego śmierć posłużyła do dopełnienia ruiny człowieka, którego nienawidził; gdyby ta okoliczność mogła trafić do świadomości Mr Tyrrela, byłaby mu może choć w części osłodziła przedwczesną śmierć. Ten biedny Hawkins zasługiwał w pewnej mierze na litość, bo to przecież niezależność charakteru i niewzruszona cnota doprowadziły go w końcu do ostatecznej desperacji i skazały wraz z synem na tak haniebny los. Lecz ogół po większej części nie miał dla niego współczucia. To, że nie zdecydował się śmiało przyjąć konsekwencji własnego postęпку i pozwolił na to, aby człowiek takich zasług i tak pragnący jego, Hawkinsa, dobra narazony był na ewentualny proces o morderstwo popełnione przez Hawkinsa — uważane było za akt okrutnego i niewybaczalnego samolubstwa.

Od tamtej pory aż do chwili obecnej Mr Falkland był mniej więcej takim, jakim go znasz dzisiaj. I choć od czasu tych wydarzeń upłynęło dobrych kilka lat, wrażenie, jakie pozostawiły w umyśle naszego nieszczęśliwego pana, jest wciąż żywe. Od tego momentu zmienił zupełnie swoje zwyczaje. Wpierw gustował w publicznych zebraniach i lubił odgrywać jakąś rolę wśród ludzi, z którymi los go zetknął. Teraz stał się surowym odludkiem, nie ma towarzyszy ani przyjaciół. Choć sam niepokieszony, innym pragnie okazywać uprzejmość. W jego zachowaniu

jest jakiś poważny smutek, połączony z najdoskonalszą łagodnością i ludzkością. Wszyscy szanują go za jego niezmienną życzliwość, ale w jego sposobie bycia jest jakiś chłód i rezerwa, które utrudniają jego otoczeniu jakkolwiek z nim zażyłość płynącą z przywiązania. Taki stan rzeczy trwa nieprzerwanie, z wyjątkiem chwil, kiedy cierpienia jego stają się nieznośne, a on sam zdradza oznaki straszliwego obłąkania. Wówczas mowa jego jest przerażająca i tajemnicza, a wyobraźnia zdaje się wywoływać kolejne obrazy prześladowania i trwogi, które mogłyby być skutkiem oskarżenia o morderstwo. Lecz w takich momentach, świadom natury własnej słabości, stara się on usunąć na ubocze i pozostawać w samotności, tak że domownicy na ogół nie dostrzegają nic poza brakiem rozmowności i wyniosłą, choć łagodną melancholią, która cechuje całe jego postępowanie.”

## ROZDZIAŁ XIII

Przedstawiłem tu opowieść Mr Collinsa — uzupełnioną innymi wiadomościami, które zdołałem zebrać z całą dokładnością, do jakiej zdolna jest moja pamięć, wspomagana zapiskami, które robiłem w swoim czasie. Nie roszczę sobie pretensji do gwarantowania autentyczności tych wspomnień, poza tą częścią, która działa się przy mnie; tę zaś odtworzę z taką samą szczerością i skrupulatnością, jak gdybym stał wobec sądu mającego w ostatniej instancji wyrokować o wszystkim, co jest mi drogie. Ta właśnie drobiazgowa wierność powstrzymuje mnie od wprowadzenia zmian do opowieści Mr Collinsa, od przystosowania jej do wymagań mego własnego smaku. A wkrótce okaże się, jak istotna jest ta opowieść dla wyjaśnienia moich dziejów.

Zamiarem mojego przyjaciela było ulżyć mi tą rozmową — w rzeczywistości jednak niepokój mój wzmógł się tylko. Nie zetknąłem się dotąd ze światem i jego namiętnościami; a choć w formie, w jakiej występują w książkach, nie były mi one całkiem nieznajome, to znajomość taka — kiedy zetknąłem się z nimi osobiście — małą mi była pomocą. Sprawa wyglądała całkiem odmiennie teraz, skoro człowiek przeżywający te namiętności był wciąż na moich oczach, a wypadki wydarzyły się tak niedawno w tej właśnie okolicy, gdzie sam mieszkałem.

Była jakaś konsekwencja w rozwoju tej historii, która czyniła ją całkiem odmienną od wszystkich wioskowych zdarzeń, jakie znałem. Uczucia moje kierowały się kolejno ku coraz to nowym osobom ukazującym się na widowni. Byłem pełen głębokiej czci dla Mr Clare'a i podziwu dla nieulekłej śmiałości Mrs Hammond. Zdumiewałem się, że może istnieć istota ludzka tak oburzająco przewrotna jak Mr Tyrrel. Rzewnymi łzami oddałem hołd pamięci niewinnej Miss Melville. Odkryłem tysiące nowych powodów, by kochać i uwielbiać Mr Falklanda.

Chwilowo zadowalało mnie to widzenie wszystkich wydarzeń w ich oczywistym sensie. Lecz usłyszana historia zapadła w moje myśli na zawsze i szczególnie mocno pragnąłem w pełni pojąć jej znaczenie. Przemyślałem o niej na tysiączne sposoby i rozpatrywałem ze wszystkich stron. W opowiadaniu wydała mi się wystarczająco jasna i przekonująca, lecz im dłużej ją rozważałem, tym bardziej stawała się zagadkowa.

W charakterze Hawkinsa było coś dziwnego: tak nieugięty, tak wytrwale szlachetny i prawy — i nagle zostaje mordercą! Jego zachowanie w początkowym stadium procesu budziło przekonanie o jego niewinności. Oczywiście, jeśli był winny, to nie sposób mu wybaczyć, że pozwolił na to, aby człowiek tak zacny i wartościowy jak Mr Falkland cierpieć, posądzony o jego zbrodnię! A jednak nie mogłem przemóc w sobie gorzkiego współczucia dla tak uczciwego człowieka, którego machinacje tego wcielonego diabła — Mr Tyrrela, zaprowadziły na szubienicę. A potem jego syn, dla którego poświęcił wszystko bez chwili wahania, a który musiał zginąć wraz z nim tą samą śmiercią... trudno o bardziej wzruszającą historię.

Na koniec, czy to możliwe, by Mr Falkland był mordercą? Czytelnik z trudem da wiare, że pytanie, jakie tu stawiam, mogło mi się nasunąć. Była to tylko przelotna myśl: lecz daję tu świadectwo szczerości mojego charakteru. Potem przypomniałem sobie cnoty mojego pana, niemal zbyt doskonałe jak na ludzką naturę; pomyślałem o jego cierpieniach, tak bezprzykładowych, tak nie zawinionych, i skarciłem się za to podejrzenie. Przyszło mi na myśl wyznanie umierającego Hawkinsa i poczułem, że nie sposób dłużej wątpić. A jednak cóż oznaczają wszystkie męki i trwogi Mr Falklanda? Słowem, podejrzenie to, raz zagościwszy w mojej głowie, zagnieździło się w niej na dobre. Przechodziłem od jednego domysłu do drugiego, lecz to był punkt centralny, dokoła którego krążyłem. Postanowiłem obserwować mego pana z całą czujnością.

Nałożywszy na siebie ten obowiązek, zacząłem w nim znajdować dziwne upodobanie. Zawsze jest przyjemnie robić to, co zakazane, ponieważ w zakazie wyczuwamy niejasno coś z samowładztwa i przemocy. Szpiegować Mr Falklanda! Niebezpieczeństwo związane z tym przedsięwzięciem

przydawało mu tylko powabu i smaku. Wspomniałem ostrą naganę, jaką otrzymałem swego czasu, i straszliwy wzrok mego pana, a wspomnienie to wywoływało we mnie rodzaj dreszczu, nie pozbawionego jednak rozkoszy. Im dalej się posuwałem, tym bardziej nieprzewyciężone było to uczucie. Zdawało mi się wciąż, że lada chwila zostanę odkryty, i to mnie ciągle pobudzało do krycia się z moimi zamysłami. Im bardziej nieprzenikniony starał się być Mr Falkland, tym bardziej niepomamowana była moja ciekawość. Przy tym wszystkim z obawą i świadomością osobistego niebezpieczeństwa łączyła się u mnie duża doza szczerości i prostoty; wiedząc o tym, że nie zamyślam nic złego, skłonny byłem w każdej chwili wyjawić wszystkie me myśli i wierzyłem, że gdyby wszystko wyszło na jaw, nikt by się na mnie poważnie nie gniewał.

Stopniowo te rozważania doprowadziły do zmiany mojego usposobienia. Zrazu, kiedy zostałem domownikiem Mr Falklanda, nowość sytuacji czyniła mnie ostrożnym i pełnym rezerwy. Wyniosłość i powaga mego pana tłumiała — zda się — moją wrodzoną wesołość. Lecz powoli wrażenie nowości zatarło się i moje skrępowanie w pewnej mierze ustąpiło. Usłyszana zaś opowieść i ciekawość, jaką obudziła we mnie, przywróciła mi dawną śmiałość, bystrość i ożywienie. Zawsze odczuwałem potrzebę dzielenia się swymi myślami, ponadto byłem w wieku, kiedy człowiek skłonny jest do gadatliwości; od czasu do czasu zatem ośmielałem się — co prawda z wahaniem, jak gdyby zapytując, czy to jest dopuszczalne — wyrażać głośno w obecności Mr Falklanda rodzące się we mnie myśli.

Za pierwszym razem, kiedym to uczynił, spojrział na mnie ze zdziwieniem, nie odparł nic i skorzystał z pierwszej okazji, aby odejść. Niedługo potem powtórzyłem ten eksperyment. Mój pan zdawał się na pół skłaniać do tego, by mnie ośmielić, jednak wahał się, czy może to zaryzykować. Od dawna obca mu była wszelka przyjemność, moje zaś proste i nieuczzone uwagi zdawały się obiecywać mu pewną rozrywkę. Czyż rozrywka tego rodzaju mogła być niebezpieczna?

W tej niepewności nie mogłem zapewne zdobyć się na to, by traktować z surowością moje niewinne wyłanie. A niewiele trzeba było, by mnie ośmielić, bo zamieszanie panujące w moim umyśle szukało ulgi w słowach.



Moja prostota, płynąca z nieznanomości świata, łączyła się z umysłem ukształconym w pewnej mierze przez lekturę, a nie pozbawionym zdolności i daru obserwacji. Dlatego też moje uwagi były zawsze dość nieoczekiwane, to świadczące o zupełnej ignorancji, to znów o pewnej dozie przenikliwości, zawsze jednak wydawały się niewinne, szczere i śmiałe.

Nawet wtedy, kiedy czujność moja była już na tyle pobudzona, że z całą dokładnością zestawiałem poczynione spostrzeżenia i rozmyślałem nad wnioskami, jakie mi się nasuwały, nawet wtedy, powiadam, był w moim zachowaniu pozorny brak określonych zamiarów. A to dlatego, że stare przyzwyczajenie wyraźniej się przejawiało niż nowy cel, nie całkiem jeszcze sprecyzowany.

Położenie Mr Falklanda było podobne do tego, w jakim znajduje się ryba igrająca z rzuconą sobie przynętą. Mój sposób bycia skłaniał go w pewnym stopniu do odrzucenia zwykłej sobie rezerwy i zejścia z wyżyn swej wyniosłości, póki jakaś nieoczekiwana uwaga lub zapytanie nie przywodziło go do opamiętania i nie przywracało czujności. Jasnym już było, że człowiek ten miał w sobie jakąś ukrytą ranę. Ilekroć ktoś dotknął przyczyny jego smutku, chociażby nie wprost, ale przez jakąś najdalszą aluzję, Mr Falkland natychmiast zmieniał się na twarzy, wpadał w zły humor i z trudem opanowywał swoje wzburzenie, czasem przewyciężając siebie z bolesnym wysiłkiem, czasem zaś wybuchając niby w napadzie szaleństwa i usuwając się jak najspieszniej z oczu ludzkich.

Objawy te zbyt często tłumaczyłem sobie jako potwierdzenie moich podejrzeń, choć z równym prawdopodobieństwem, a większą wyrozumiałością mogłem je przypisać okrutnym mękom, jakie mój pan cierpiał z powodu zranionej, a tak drogiej mu ambicji. Mr Collins bardzo nalegał na zachowanie tajemnicy; Mr Falkland zaś, ilekroć jakiś mój odruch lub jego wewnętrzne przekonanie nasuwało mu myśl, że wiem więcej, niż się przyznaję, wpatrywał się we mnie z takim natężeniem, jakby zapytywał, ile wiem i w jaki sposób zdobyłem te wiadomości. Lecz przy następnej rozmowie moja niewymuszona żywość przywracała mu spokój, zacierała sprawione przeze mnie wrażenie i wszystko było znów tak jak poprzednio.

Im dłużej trwała owa nieśmiała poufałość z mojej strony, tym więcej trzeba było wysiłku, by jej położyć kres. Mr Falkland zaś ani nie chciał mnie ukarać surowym zakazem odzywiania się, ani też nie chciał, być może, przywiązywać takiego znaczenia do mojej osoby, jakby tego dowodził podobny zakaz.

Byłem ciekawy; nie należy jednak przypuszczać, że przedmiot moich dociekań nie schodził mi z myśli lub że moje zapytania i napomknienia cechowała stale przebiegłość osiwiałego w swej służbie inkwizytora. Tajemna rana Mr Falklanda znacznie uparciej tkwiła w jego pamięci niż w mojej. Tysiące razy brał przypadkowe uwagi za aluzje, podczas gdy ja nie miałem o tym najsłabszego wyobrażenia, póki coś dziwnego w jego zachowaniu nie przywiodło mi znów całej sprawy na myśl. Świadomość tej chorobliwej wrażliwości i wyobrażenie, że ona to — być może — jest tu sednem sprawy, były przypuszczalnie bodźcem, który pchał Mr Falklanda do nowego ataku; jednocześnie zaś odczuwał wstyd, ilekroć chciał położyć kres mojej poufałości.

Pragnę dać próbkę tych rozmów, o których wspominam. A że jest to jedna z tych, które zaczynały się od najbardziej ogólnych i oderwanych tematów, przeto czytelnik łatwo sobie wyobrazi męki, jakie przeżywał niemal co dzień tak podniecony umysł mego pana.

— Przepraszam, wasza miłość — zagadnąłem pewnego dnia, pomagając Mr Falklandowi w porządkowaniu jakichś papierów, które miały być później przepisane i włączone do jego zbiorów — jak się to stało, że Aleksandra Macedońskiego nazwano Wielkim?

— Jak się to stało? A czyś nie czytał nigdy jego dziejów?

— Czytałem, wasza miłość.

— No i nie znalazłeś w nich na to odpowiedzi, Williamsie?

— Czy ja wiem, wasza miłość? Znalazłem odpowiedź na to, czemu zdobył taką sławę; ale nie każdy sławny człowiek zasługuje na cześć. Co do zasług Aleksandra sądy są rozbieżne. Doktor Prideaux [**Prideaux Humphrey (1648-1724) — duchowny angielski i znany orientalista.**] mówi w swoim dziele *Connexion*, że władca ten zasługuje na nazwę Wielkiego Zbója, zaś autor *Toma Jonesa* napisał całą książkę, aby dowieść,

ze Aleksander i inni wielcy zdobywcy powinni być traktowani na równi z Jonatanem Dzikim [**Mowa tu o znakomitym powieściopisarzu angielskim Henryku Fieldingu (1707-1754), którego dwie najślawniejsze powieści noszą tytuły: *Tom Jones* i *Jonathan Wild*. Bohater tej ostatniej, którego imieniem powieść jest nazwana, skończył życie na szubienicy, jako opryszek.**].

Mr Falkland poczerwieniał na te słowa.

— To niegodziwe bluźnierstwo! Czyż ci pisarze sądzą, że swymi grubymi żartami zdołają zniszczyć jego dobrze zasłużoną sławę? Czyż wiedza, subtelność umysłu i dobry smak nie mogą uchronić człowieka od prostackich zniewag? Czyś czytał kiedy, Williamsie, o szlachetniejszym, bardziej walecznym i hojnym człowieku? Czy istniał śmiertelnik będący tak zupełnym przeciwieństwem wszelkiej interesowności i samolubstwa? Aleksander stworzył sobie wzniosły ideał doskonałości i jedyną jego ambicją było osiągnąć go we własnym życiu. Przypomnij sobie, jak wyruszając na swoją wielką wyprawę, rozdał wszystko na znak, że sobie zostawia tylko nadzieję. Wspomnij na jego szlachetne zaufanie do lekarza Filipa i głęboką, niezmienną przyjaźń z Efestionem [**Efestion lub Hefajstion (ok. 356-324 p.n.e.) – Macedończyk, przyjaciel dzieciństwa i najbliższy towarzysz broni Aleksandra Wielkiego, dla którego król zachował przyjaźń do śmierci.**]. Wiesz o tym, jak serdecznie i z jaką grzecznością traktował wziętą do niewoli rodzinę Dariusza, a czcigodnej Syzygambis [**Syzygambis - matka króla perskiego Dariusza, którą Aleksander Wielki wziął do niewoli i potraktował z królewskimi honorami.**] okazał tak czułe względy, jak syn własnej matce.

W takich sprawach, Williamsie, nie przyjmuj nigdy sądów od uczonego szkolarza ani westminsterskiego sędziego. Sam badaj — a odkryjesz w Aleksandrze wzór bezinteresowności i honoru — odkryjesz człowieka, który dzięki wspaniałemu, ukształconemu umysłowi i nieporównanemu rozmachowi swoich planów powinien stać się wzorem i przedmiotem podziwu po wsze czasy.

— Tak, wasza miłość! Dobrze nam siedząc tutaj układać panegiryki na

jego cześć. Ale czyż mogę zapomnieć, jak wiele kosztowało wzniesienie pomnika jego sławy? Czyż nie był on zwykłym burzycielem pokoju ludzkości? Czyż nie podbijał narodów, które nigdy by o nim nie słyszały, gdyby nie te podboje.

Ileż setek tysięcy istnień ludzkich poświęcił podczas swej triumfalnej drogi! Cóż myśleć o jego okrucieństwach: całe plemię wycięte w pień za zbrodnię przodków popełnioną przed stu pięćdziesięciu laty... pięćdziesiąt tysięcy sprzedanych w niewolę... dwa tysiące ukrzyżowanych za waleczną obronę własnego kraju... **[Mowa tu o mieszkańcach greckiego miasta Teby. Podczas wojen perskich Teby stanęły po stronie Persów. Aleksander zrównał miasto z ziemią, a ludność częściowo wymordował, częściowo zaś zaprzedał w niewolę.]**

Zaiste, dziwnym stworzeniem jest człowiek, który nikogo nie wychwala goręcej niż tego, co tylko zagładę i zniszczenie szerzył na powierzchni ziemi!

— Twój sposób myślenia, Williamsie, jest dość naturalny i nie mogę cię za niego ganić. Lecz mam nadzieję, Williamsie, że staniesz się bardziej wyrozumiały. Śmierć stu tysięcy ludzi na pierwszy rzut oka jest czymś okropnym; lecz czy w rzeczywistości sto tysięcy takich ludzi jest czymś więcej niż sto tysięcy baranów? Ducha powinniśmy czcić, Williamsie, ducha, z którego rodzi się wiedza i cnota. To było zamiarem Aleksandra: podjął ogromne przedsięwzięcie ucywilizowania ludzkości, wyzwolił wielki kontynent azjatycki z otępiającej i poniżającej władzy perskiej monarchii. I choć zginął nie skończywszy swego zadania, bez trudu możemy dostrzec poważne skutki jego zamierzeń. Wśród narodów, które przed jego przyjściem tkwiły w niemal zwierzęcej egzystencji, szerzyć się zaczęła grecka literatura i kultura pod kolejnymi rządami dynastii Seleucydów, Antiochidów, Ptolemeuszów. Aleksander zasłynął nie tylko jako burzyciel, lecz również jako budowniczy miast.

— A jednak, wasza miłość, obawiam się, że dzida i topór wojenny nie są odpowiednimi narzędziami do udoskonalania ludzi. Przypuśćmy, żeśmy przyjęli, że można bez żalu poświęcać życie ludzkie, jeżeli wyniknąć stąd ma najwyższe dobro — ale mnie się wydaje, że mordy i rzezie to bardzo

wątpliwa droga dla tworzenia cywilizacji i zyskiwania miłości. Niech mi pan powie, proszę, czy nie sądzi pan, że ten wielbi bohater był pewnego rodzaju szaleńcem. Co pan powie o podpaleniu przez niego pałacu w Persepolis [**Persepolis - stolica królów perskich w starożytnej Persji. W r. 331 p.n.e. Aleksander Wielki zdobył miasto, zrabował je i podpalił pałac królewski.**], o jego skargach, że nie ma innych świątów, które by można było podbić, lub o tym, jak poprowadził całą swą armię przez rozpalone piaski Libii po to tylko, aby odwiedzić jakąś świątynię i przekonać ludzkość, że on jest synem Jowisza Ammona?

— Mój chłopcze, Aleksander był bardzo nie zrozumiany. Ludzkość zemściła się na nim za to, że tak dalece przerósł swój gatunek, i opacznie przedstawiła jego czyny. Do realizacji jego zamierzeń potrzebne było, aby uchodził za boga. Był to jedyny sposób by wzbudzić cześć w tępych, a nabożnych Persach. I to, nie zaś szalona próżność, było źródłem jego postępowania. A ile walk musiał stoczyć z niezrozumieniem i uporem niektórych swych rodaków — Macedończyków?

— Ależ wasza miłość, koniec końców Aleksander używał środków, których używają zazwyczaj wszyscy politycy. Siłą zmuszał ludzi do rozsądku i oszukiwał ich dążąc jakoby do ich własnego szczęścia. Ale co gorsza, wasza miłość, ten sam Aleksander w napadzie zapamiętałej wściekłości nie oszczędzał ani przyjaciela, ani wroga. Nie będzie pan chyba próbował usprawiedliwiać ekscesów jego niepohamowanej pasji. To pewne, że nie sposób znaleźć choć słowa na obronę człowieka, którego przelotna prowokacja potrafi doprowadzić do morderstwa...

Ledwie te słowa zostały wypowiedziane, natychmiast poczułem, com zrobił. Pomiedzy mną a mym panem było jakieś magnetyczne współodczuwanie i skoro tylko słowa te dotarły do jego umysłu, natychmiast mój własny zaczął wyrzucać mi okrucieństwo tej aluzji. Pomieszanie nasze było obopólne. Z twarzy Mr Falklanda o przezroczystej karnacji na jedną chwilę spłynęła cała krew napływając zaraz szybko i gwałtownie z powrotem.

Nie śmiałem wyrzec ani słowa z obawy, bym nie popełnił nowego błędu, gorszego od tego, który mi się przydarzył. Po krótkiej, lecz ciężkiej walce,

jaką stoczył, by móc mówić dalej, Mr Falkland zaczął z drzeniem w głosie, uspokajając się w miarę jak mówił:

— Nie jesteś szczery... Aleksander... powinieneś nauczyć się większej wyrozumiałości... Aleksander, powiadam, nie zasługuje na taką surowość. Czy przypominasz sobie jego łzy, jego wyrzuty sumienia, jego uparte powstrzymywanie się od jadła, od czego z trudem udało go się odwieść perswazją? Czy nie dowodzi to subtelnych uczuć i głęboko zakorzenionych zasad prawości? Tak, tak, prawdziwie i roztropnie kochał ludzkość, a jego rzeczywiste zasługi małe znalazły zrozumienie.

Nie wiem, jak dokładnie odmalować stan mojej duszy w owej chwili. Kiedy owładnie nami jakaś jedna myśl, niepodobieństwem jest niemal, by nie wyraziła się w słowach. Raz popełniony błąd ma w sobie fascynującą moc, podobną do mocy przypisywanej oku węża grzechotnika — popycha nas do następnego. Pozbawia nas tej dumnej ufności we własne siły, której tyle zawdzięcza nasza cnota. Ciekawość jest nienasyconym popędem i często im większe niebezpieczeństwo towarzyszy jego zaspokojeniu, tym bardziej nieodparcie pcha nas do niego.

— Nieprawdaż — powiedziałem — że Klejtos [**Klejtos zwany Czarnym (ok. 380-328 p.n.e.) - wódz w armii Aleksandra Wielkiego. Uratował królowi życie w bitwie, a w siedem lat później został przez niego zabity podczas pijackiej kłótni.**] był człowiekiem o bardzo grubiańskich i wyzywających manierach?

Mr Falkland odczuł aluzję w całej pełni. Rzucił mi przenikliwe spojrzenie, jakby chciał mnie przejrzeć na wskroś. Potem natychmiast odwrócił oczy. Spostrzegłem, że wstrząsa nim konwulsyjne drzenie, które choć silnie opanowywane i przez to ledwo widoczne, miało w sobie coś niepojęcie straszliwego. Zostawił swoje zajęcie, szybko, ze złością przemierzył pokój, twarz jego przybierała stopniowo coraz silniejszy wyraz niehumanoidalnego wprost okrucieństwa i niespodziewanie wyszedł, tak gwałtownie zatrzaskując drzwi, że — zdawało się — cały dom zadrżał.

— Czy to jest — zapytywałem siebie — świadomość winy, czy też obrzydzenie, jakie w szlachetnym człowieku budzi nie zasłużone podejrzenie?

## ROZDZIAŁ XIV

Czytelnik wyczuje, z jaką szybkością zbliżałem się do krawędzi przepaści. Miałem niejasne poczucie tego, co robię, ale nie mogłem się zatrzymać. „Czy możliwe — mówiłem sobie — aby Mr Falkland, tak wstrząśnięty poczuciem nie zasłużonej hańby, która przyłgnęła do jego imienia w oczach świata, długo znosił przykrą obecność nieżyczliwego sobie młokosa? Młokosa, który ustawicznie przypomina mu o tej hańbie i który zdaje się być gotowy podtrzymywać oskarżenie?”

W rzeczywistości czułem, że Mr Falkland nie będzie się kwapił z oddaleniem mnie dla tej samej przyczyny, która powstrzymywała go od wielu innych czynów mogących świadczyć o przeczulonej wrażliwości, dającej zbyt wiele do myślenia. Ale to rozumowanie niewielką było dla mnie pociechą. Myśl, że w głębi serca będzie żywił do mnie coraz większą nienawiść i że będzie uważał za swój obowiązek zatrzymywać mnie na służbie, mnie — przykrego jak kolec w żywym ciele — nie była pomyślną wróżbą dla mego przyszłego spokoju.

W niedługi czas potem, porządkując w starej komodzie, znalazłem papier, który jakimś trafem zasunął się był za jedną z szuflad i tam pozostał. Być może, że kiedy indziej moja ciekawość ustąpiłaby poczuciu przyzwoitości i zwróciłbym go nieotwarty właścicielowi — mojemu panu. Ale poprzednie wypadki zbyt pobudziły moją żądzę zdobycia dalszych informacji, bym mógł zaniedbać jakąkolwiek po temu okazję.

Papier okazał się listem napisanym przez Hawkinsa-ojca, a z treści wynikało, że musiał być skreślony, kiedy Hawkins zamierzał właśnie ukryć się przed prześladowaniem Mr Tyrrela. Brzmiał, jak następuje:

„Jaśnie wielmożny panie,

Czekałem przez pewien czas, codziennie spodziewając się powrotu Waszej Miłości w nasze strony. Stary Warnes i jego kobieta, których

zostawił pan, aby się opiekowali domem, powiedzieli mi, że nie wiedzą, kiedy to może nastąpić ani w jakiej części kraju jest pan właśnie teraz. Co się mnie tyczy, to nieszczęścia tak się na mnie wałą, że muszę coś postanowić (to pewne), i to jak najspieszniej. Nasz pan dziedzic, który początkowo — trzeba przyznać — był mi dość przychylny (choć obawiam się, że po części było to na przekór panu dziedzicowi Underwood), od niejakiego czasu postanowił mnie zrujnować. Wielmożny panie! Nie byłem tchórzem, walczyłem dzielnie, bo koniec końców, wie pan, niech Bóg zachowa Waszą Wielmożność, toć to tylko człowiek przeciw człowiekowi, ale nie dałem mu rady.

Gdybym pojechał do miasta i zapytał pańskiego jurysty Munsle'a, może on powiedziałałby mi, jak skierować ten list do pana. Ale kiedym tak czekał i spodziewał się pana, jak to pisałem, i wciąż na próżno, przyszły mi inne myśli do głowy. Nie kwapiłem się uciekać do Wielmożnego Pana o pomoc, bo nie lubię się nikomu naprzykrzać. Zachowałem tę możliwość jako ostatnią deskę ratunku. No, a teraz, proszę Wielmożnego Pana, kiedy zawiodła mnie i ona, jakoś mi wstyd, zem i myślał o tym. Czyż to nie mam, myślę sobie, rąk i nóg jak inni ludzie? Wypędzono mnie z domu i z zagrody. No i co z tego? Toż nie jestem kapustą, co wyrwana z ziemi musi zmarnieć! Nie mam grosza przy duszy, to prawda; ale ile tysięcy jest takich, co od kolebki do śmierci żyją, ot, z dnia na dzień. Za pozwoleniem Waszej Miłości, ale ja myślę, że gdybyśmy my, skromni ludzie, mieli tylko na tyle rozumu, żeby się zająć swoimi sprawami, to i ludzie wyższego stanu nie byłiby takimi zmiennikami i chimerykami. Zaczęliby się oglądać na nas.

Ale jest inna sprawa, która przybiła mnie bardziej niż cała reszta. Nie wiem, jak mam to Wielmożnemu Panu powiedzieć... Mój biedny chłopiec, mój Leonard, duma mojego życia od trzech tygodni siedzi w powiatowym areszcie. To prawda, proszę Wielmożnego Pana. Pan Tyrrel tam go wsadził. Za każdym razem, kiedy układam się do snu pod moim skromnym dachem, serce mi się ściska na myśl o moim Leonardzie. Nie chodzi mi tyle o niewygody: nie dbam o to tak bardzo. Nie oczekiwałem tego, żeby miał jedwabne życie. Nie jestem tak głupi! Ale kto wie, co się może przytrafić w więzieniu! Widziałem go tam trzy razy i jest tam w tej samej celi jeden



człowiek, który wygląda na takiego łotra! Nie mam zbyt dobrego wyobrażenia i o innych. Pewno, że Leonard jest najlepszym w świecie chłopcem. Myślę, że nie będzie zważał na takich. Ale niech się co chce dzieje, postanowiłem, że nie zostawię go między nimi ani dnia dłużej. Może jestem starym upartym głupcem, ale wbiłem to sobie do głowy i zrobię to. Niech pan nie pyta, co mianowicie. Lecz gdybym pisał do Waszej Miłości i czekał na odpowiedź, trwałoby to tydzień albo i dziesięć dni dłużej. Nie mogę o tym myśleć!

Pan Tyrrel jest bardzo zacięty, a pan, Wasza Miłość, mógłby się okazać nieco porywczym, czy jak tam. Nie, nie chciałbym, żeby przeze mnie doszło do jakiejś zwady. I tak już dosyć zła się stało; jakoś będę sam sobie dawał radę. Więc, proszę Waszej Miłości, piszę to tylko, żeby sobie ulżyć. Poczuję się równie zobowiązany do czci i miłości dla Pana, jak gdyby uczynił pan dla mnie wszystko możliwe, co — wierzę — stałoby się, gdyby rzeczy inaczej się ułożyły. Najprawdopodobniej nie usłyszy pan już o mnie nigdy. Gdyby tak było istotnie, proszę, niech się pan nie niepokoi w swym szlachetnym sercu. Znam siebie dobrze i nie lękam się, żebym kiedykolwiek mógł mieć pokusę popełnienia jakiegoś naprawdę złego czynu. Muszę teraz szukać szczęścia gdzieś w świecie. Jakich doznałem krzywd, Bóg jeden wie. Ale nie noszę w sobie złości: jestem spokojny i wszystkim przebaczam.

Całkiem to możliwe, że niemałe trudy czekają nas obu, mojego biednego Leonarda i mnie, wśród obcych ludzi. Będziemy może zmuszeni kryć się jak złodzieje, włamywacze lub rozbójnicy. Ale ja urągam złościwości losu — nic nas nie przywiedzie do złego. Tę pociechę zachowamy zawsze we wszystkich przeciwnościach pełnego utrapień świata.

Niech Bóg Pana błogosławi!

Prosi o to Waszej Miłości pokorny i oddany sługa

Beniamin Hawkins”

Przeczytałem ten list z dużą uwagą, nasunął mi wiele refleksji. Moim zdaniem, dawał on interesujący obraz prostej, do głębi prawej, szlachetnej duszy. „Smutne to stwierdzenie — mówiłem sobie — ale taki już jest

człowiek! Sądząc według pozorów, można by rzec, że taki charakter przyjmie i uśmiechy, i przeciwności losu zachowując nieskażoną prawość duszy. A jednak spójrzcie, jak się to wszystko skończyło! Ten sam człowiek później stał się mordercą i zakończył życie na szubienicy. O nędzo! zaiste jesteś wszechmocna! Dręczysz nas doprowadzając do rozpacz! Drwisz z naszych najgłębszych zasad, największej naszej chluby; napełniasz nas bez reszty złością i pragnieniem zemsty i czynisz nas zdolnymi do najokropniejszych, niepojętych wprost postępów! Obyś nigdy nie nawiedziła mnie w pełni swej potęgi!”

Zaspokoiwszy swą ciekawość przeczytaniem listu, postarałem się tak go umieścić, aby znalazł go Mr Falkland. Jednocześnie zgodnie z obsesją, która mną owładnęła, chciałem, aby list ów zwrócił na siebie jego uwagę podsuwając mu myśl, że przeszedł przez moje ręce. Zobaczywszy Mr Falklanda nazajutrz z rana postarałem się pokierować rozmową wiedząc już teraz, jak stopniowo doprowadzić ją do pożądanego punktu. Po paru zadanych uprzednio pytaniach, uwagach i odpowiedziach tak ciągnąłem dalej:

— Z tym wszystkim, proszę pana, jestem przygnębiony moimi wyobrażeniami o ludzkiej naturze; widzę, że nie można bynajmniej polegać na jej stałości i że przynajmniej pośród nieoświeconych, najbardziej obiecujące pozory mogą doprowadzić do jak najbardziej haniebnego końca.

— Myślisz zatem, że kultura literacka i ukształcony umysł są jedyną gwarancją stałości naszych zasad?

— Hm... A czy nie przypuszcza pan, proszę pana, że wykształcenie i zdolności służą ludziom często do ukrywania swych zbrodni, a nie powstrzymują od ich popełniania? Historia na ten temat dziwne nam mówi rzeczy.

— Mój Williamsie — powiedział Mr Falkland, nieco wzburzony — jesteś nadzwyczaj skłonny do potępiania i surowości.

— Sądzę, że nie. Pewny jestem, że wolę patrzeć na przeciwną stronę medalu i rozmyślać o tym, jak wielu ludzi zostało niesłusznie zniesławionych, a czasem niemal rozszarpanych przez swych bliźnich, kiedy tymczasem zgłębiwszy sprawę należycie, stwierdzamy, że zasługują

na naszą cześć i miłość.

— To prawda — odparł z westchnieniem Mr Falkland — kiedy myślę o tym, przestaję się dziwić okrzykowi umierającego Brutusa: „O Cnoto! Szukałem ciebie jak czegoś, co istnieje rzeczywiście, a widzę, że jesteś tylko pustym brzmieniem. “ Niestety, jestem skłonny przychylić się do jego zdania.

— Cóż, prawdę mówiąc, proszę pana, niewinność i wina zbyt są w życiu ludzkim splątane. Przypominam sobie wstrząsającą historię jakiegoś biedaka, który za panowania królowej Elżbiety, na mocy poszlak tylko, zostałby niechybnie powieszony, gdyby osoba faktycznie winna nie była obecna na rozprawie i nie zapobiegła temu.

Mówiąc to jakbym dotknął ukrytej sprężyny, która obudziła w nim szaleństwo. Podszedł do mnie z dzikim wyrazem twarzy, jak gdyby zdecydowany zmusić mnie, abym wyznał swoje myśli. Nagle jakby dojmujący ból kazał mu zmienić zamiar. Cofnął się z drzeniem i wykrzyknął:

— Przeklęty niech będzie ten świat i prawa, które nim rządzą! Honor, sprawiedliwość, cnota — wszystko to łotrowskie oszustwo! Gdyby to było w mej mocy, w jednej chwili roztrzaskałbym cały wszechświat i obrócił go w nicość!

— O panie — odparłem — nie jest tak źle, jak pan sobie wyobraża. Świat został stworzony dla ludzi rozumnych, którzy umieją dać sobie z nim radę. I nic nie może być lepsze niż to, że jego sprawy pozostają pod kierunkiem prawdziwych bohaterów. A ponieważ w końcu okaże się, że oni to byli najwierniejszymi przyjaciółmi całej ludzkości, więc pospólstwu nie pozostaje nic innego jak patrzeć na nich, naśladować i czcić.

Mr Falkland z ogromnym wysiłkiem zdołał odzyskać spokój.

— Williamsie — powiedział — dobre mi dajesz nauki. Masz słuszne pojęcia o rzeczach i pokładam w tobie wielkie nadzieje. Uczynię więcej, niż zwykli ludzie zazwyczaj czynią: zapomnę o przeszłości, a od dziś będę postępował lepiej. Przyszłość, tak, przyszłość zawsze należy do nas.

— Żałuję, proszę pana, że sprawiłem panu przykrość. Obawiam się powiedzieć wszystko, co myślę. Ale moim zdaniem, pomyłki będą w końcu

wyjaśnione, sprawiedliwość — wymierzona i prawda wyjdzie na jaw mimo fałszywych pozorów, które ją często zaciemniały.

Wyrażona przeze mnie myśl nie była Mr Falklandowi szczególnie przyjemna. Na chwilę popadł powtórnie w poprzedni stan prostracji.

Sprawiedliwość — mruknął. — Nie wiem, co to jest sprawiedliwość. W moim wypadku nie poradzą zwykle środki: a może nawet — żadne. Wiem tylko to, że jestem nieszczęśliwy. Rozpocząłem życie z najlepszymi zamiarami, oddawałem się całą duszą dobrym uczynom, a oto jestem dziś nieszczęśliwy, nieszczęśliwy nad wyraz i ponad miarę.

Powiedziawszy to, nagle jak gdyby przyszedł do siebie i odzyskując zwykłą swą godność i panowanie nad sobą, zawołał:

— Jak doszło do tej rozmowy? Kto dał ci prawo do takiej poufałości? Podły, przebiegły nędzniku! Naucz się okazywać mi więcej szacunku! Cóż to? Bezczelny sługa ma igrać moimi uczuciami? Czy myślisz, że będę powolnym instrumentem w twych rękach, póki nie wydrzesz mi wszystkich skarbów mej duszy? Precz stąd i bacz, byś nie musiał odpokutować za swą zuchwałość!

W gestach, które towarzyszyły tym słowom, tyle było siły i determinacji, że niepodobieństwem było oprzeć się im. Milczałem. Czułem się pozbawiony wszelkiej energii i byłem zdolny tylko do tego, by biernie, bez słowa wyjść z pokoju.

## ROZDZIAŁ XV

W dwa dni po tej rozmowie Mr Falkland rozkazał mi przyjść do siebie.

W moim opowiadaniu będę nadal uwzględniał na równi z rozmowami także i bezsłowne chwile naszego obcowania.

Twarz Mr Falklanda była zazwyczaj o wiele bardziej wyrazista i pełna życia niż inne twarze, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć. Podniecony ciekawością, która — jak już mówiłem — stała się moją największą namiętnością, studiowałem tę twarz ustawicznie. Może się także z dużym prawdopodobieństwem zdarzyć, że kiedy tak staram się zebrać i połączyć w jedno poszczególne fragmenty moich dziejów, dołączę jakieś wyjaśnienie, którego wówczas nie mogłem być posiadać, a które nasunęły mi późniejsze wypadki.

Wszedłszy do pokoju zauważyłem w twarzy Mr Falklanda niezwykle spokoj. Spokój ten jednak nie zdawał się płynąć z duszy, lecz być narzucony siłą. Przygotowując się bowiem do ważnej dla siebie rozmowy pragnął zabezpieczyć przytomność umysłu i zdolność świadomego działania przed jakimkolwiek zachwianiem.

— Williamsie — powiedział — postanowiłem w rozmowie z tobą wyjaśnić niektóre rzeczy — choćby to mnie miało nie wiem ile kosztować. Jesteś zuchwałym i nierozważnym chłopcem i sprawiłeś mi wiele niepokoju. Powinieneś być wiedzieć, że choć pozwalam ci rozmawiać ze sobą na różne obojętne tematy, niestosowne jest z twojej strony kierować konwersację na cokolwiek, co mnie osobiście dotyczy. Mówiłeś ostatnio wiele rzeczy w sposób bardzo tajemniczy i zdajesz się wiedzieć więcej, niż mnie się wydawało. Trudno mi odgadnąć, zarówno jak doszło to do twej wiadomości, jak też, co ci jest wiadome. Lecz zdaje mi się, że spostrzegam u ciebie zbytnią skłonność do igrania ze spokojem mojej duszy. Tak być nie powinno i ja też nie zasłużyłem na takie postępowanie. Ale jakkolwiek by z

tym było — domysły, do jakich mnie zmuszasz, są zbyt przykre dla mnie. Jest to jakieś igranie z moimi uczuciami, któremu, jako człowiek zdecydowany, postanowiłem położyć koniec. Przeto oczekuję, że odrzucając wszelką tajemnicę i dwuznaczności poinformujesz mnie wyraźnie, na czym oparte są twoje aluzje. Co wiesz? Do czego zmierzasz? Dość już byłem narażony na bezprzykładne udręki i cierpienia i moja zraniona dusza nie zniesie tego ciągłego wdzierania się w jej wnętrze.

— Czuję, proszę pana — odparłem — jak źle postępowałem, i wstyd mi, że taka jak ja istota sprawiła panu tyle niepokoju i przykrości. Czułem tak zawsze, ale coś mnie do tego pchało, sam nie wiem co. Ciągłe próbowałem zatrzymać się, ale diabeł, który mnie opętał, był silniejszy. Wiem tylko to, proszę pana, co mówił mi Mr Collins. Opowiedział mi historię Mr Tyrrela, Miss Melville i Hawkinsa. Zapewniam pana, że nie powiedział nic, co by naruszało pańską cześć, i przedstawił pana jako anioła, a nie człowieka.

— Dobrze. Ale słuchaj no: znalazłem wczoraj list od tego Hawkinsa. Czy ten list nie był w twoich rękach? Czyś go nie czytał?

— Przez Boga żywego, błagam, niech mnie pan wyrzuci z domu. Niech mnie pan ukarze w jakikolwiek sposób, abym mógł sam sobie przebaczyć. Jestem głupim, przewrotnym, podłym nędznikiem. Przyznaję się, proszę pana, że przeczytałem ten list.

— Jak śmiałeś to zrobić? Doprawdy, postąpiłeś bardzo źle. Ale pomówimy o tym niebawem. A teraz, powiedz mi, co myślisz o tym liście. Wiesz, zdaje mi się, że Hawkins został powieszony.

— Co myślę, proszę pana? Przeczytawszy go byłem wstrząśnięty do głębi. I powtórzę to, co mówiłem onegdaj, że kiedy widzę, jak człowiek o takich zasadach z rozmysłem popełnia w końcu najokropniejszą zbrodnię, ledwie mogę myśleć o tym.

— A więc tak myślisz? Zdaje się, że wiesz także — przekłete wspomnienie — że ja byłem oskarżony o tę zbrodnię?

Milczałem.

— Więc słuchaj waść. Wiesz, być może, również, że od godziny, w której popełniono zbrodnię — tak, od tej chwili (kiedy mówił to w twarzy jego było coś przerażającego, rzekłbym niemal — diabelskiego) nie zaznałem godziny

spokoju; z najszcześliwszego stałem się najbardziej nędznym człowiekiem pod słońcem, sen odbiegł moich oczu, radość stała się obca moim myślom; tysiąc razy wolałbym nie istnieć niż być tym, czym jestem. Odkąd zdolny tylko byłem dokonywać wyboru, wybierałem cześć i poważanie ludzkie, jako dobro droższe mi od wszystkich innych. Wiesz, zdaje się, jak wielu zawodów doznała moja ambicja. Nie jestem wdzięczny Collinsowi, że stał się dziejopisem mojej hańby — o, gdyby Bóg zechciał wymazać tę noc z ludzkiej pamięci...!

Lecz wydarzenie tej nocy, miast zatrzeć się i zginąć, stało się dla mnie nie wyczerpanym nigdy źródłem coraz to nowych nieszczęść! Czy jestem zatem, tak nędzny i doprowadzony do ruiny, odpowiednim obiektem, na którym mógłbyś ćwiczyć twą bystrość i próbować umiejętności dręczenia? Czy to nie dość, że zostałem publicznie zhańbiony? Że zostałem pozbawiony za sprawą jakiegoś złośliwego demona możliwości pomszczenia swej niesławy? Nie: na dobitkę wszystkiego oskarżono mnie, że w tym krytycznym momencie udaremniłem mą własną zemstę najohydniejszą ze zbrodni. Przeszedłem tę próbę. Wszystkie nieszczęścia ziemi nie mogą już mi zgotować nic gorszego poza cierpieniem, jakieś ty mi wyrządził zdając się wątpić o mojej niewinności, która została stwierdzona po tak dokładnym i głębokim zbadaniu sprawy.

Zmusiłeś mnie do tych wyjaśnień. Wydarłeś mi zwierzenia, których nie zamierzałem być czynić. Lecz i na tym także polega moja obecna niedola, że jestem wydany na łaskę i niełaskę każdej istoty, choćby najpodlejszej, która zechce igrać z moim bólem. Ciesz się. Upokorzyłeś mnie dostatecznie.

— Och, panie, nie cieszę się wcale. Jakże mogę się cieszyć! Nie potrafię znieść myśli o tym, co uczyniłem. Nigdy już nie będę mógł spojrzeć w twarz najlepszemu z panów i najlepszemu z ludzi. Błagam, niech mnie pan oddali ze swej służby. Niech mi pan pozwoli odejść i ukryć się tak, abym nigdy już pana nie ujrział.

W czasie całej tej rozmowy twarz Mr Falklanda wyrażała wielką surowość, lecz teraz stała się jeszcze groźniejsza i zwiastująca burzę.

— Jakże to, łotrze — krzyknął. — Chcesz mnie teraz opuścić? Któż to ci powiedział, że chcę się rozstać z tobą? Ale czy ty nie możesz znieść życia z

tak nieszczęśliwą, nędzną istotą jak ja! Nie masz zamiaru znosić kaprysów niezadowolonego i niesprawiedliwego człowieka!

— Och, błagam pana! Niech pan tak nie mówi. Proszę, niech pan uczyni ze mną, co się panu podoba. Niech mnie pan zabije, jeśli pan zechce.

— Zabić ciebie! (Tomy nie zdołałyby opisać uczuć, którymi zabrzmiało to echo moich słów — i uczuć, jakie obudziły się we mnie.)

— O, panie! Życie bym oddał w pana służbie! Kocham pana więcej, niż potrafię powiedzieć. Uwielbiam pana jak istotę wyższego rzędu. Jestem głupi, niedojrzały i niedoświadczony, gorszy od kogokolwiek innego, ale nigdy nie powstała w mej głowie myśl, by zdradzić pańską służbę.

Na tym zakończyła się nasza rozmowa; nie podobna opisać wrażenia, jakie wywarła ona na moim młodocianym umyśle. Ze zdumieniem, a nawet uniesieniem wspominałem względy i życzliwość Mr Falklanda wobec mnie, którą odkryłem w nim mimo całej jego szorstkości. Nie mogłem się wprost nadziwić temu, że oto ja, tak niskiego stanu, ciemny, jakim dotąd byłem, stałem się nagle tak potrzebny dla szczęścia jednego z najświetlejszych i najbardziej wykształconych ludzi w Anglii. Lecz ta świadomość wzmacniała jeszcze bardziej niż dotychczas więzy mojego przywiązania i kiedym rozmyślał o swym położeniu, kazała mi po tysiącokroć przysięgać, że nigdy nie okażę się niegodnym takiego opiekuna.



## ROZDZIAŁ XVI

Czy nie jest to niepojęte, że wśród całej wzrastającej czci dla mego pana, skoro tylko przeminął pierwszy zamęt uczuć — już powróciło do mej głowy dawne pytanie, które pobudziło moje domysły. Czy to on był mordercą? Była to jakaś fatalna siła, jakby przeznaczona, by mnie pchać do zagłady. Nie dziwiłem się, że każda choćby najdalsza aluzja do owej fatalnej sprawy powodowała takie wzburzenie w Mr Falklandzie. Mogłem je sobie tłumaczyć równie dobrze jego wybujałą wrażliwością na kwestie honoru, jak i najstraszniejszą przewiną. Pamiętając, że takie oskarżenie było już raz związane z jego nazwiskiem, musiał być naturalnie w ustawicznym niepokoju i w byle powiedzeniu dopatrywać się jakiejś ukrytej aluzji. Musiał mieć wątpliwości i obawiać się, czy każdy człowiek, który z nim rozmawia, nie żywi wobec niego najohydniejszych podejrzeń. W moim wypadku odkrył on, że byłem w posiadaniu pewnych informacji, ale niemożliwością było dlań stwierdzić, jak daleko one sięgają i czy usłyszałem prawdziwą lub nieprawdziwą, uniewinniającą czy też oszczerczą wersję. Miał też podstawy przypuszczać, że dawałem dostęp myślom uwłaczającym jego czci i że nie wyrobiłem sobie o nim tego zaszczytnego sądu, który na skutek jego wybujałego poczucia honoru był mu niezbędny dla wewnętrznego spokoju. Wszystkie te rozważania musiały niewątpliwie utrzymywać go w stanie ciągłej obawy. Lecz choć nie potrafiłem znaleźć nic na usprawiedliwienie tkwiącego we mnie wciąż cienia wątpliwości, jednak jak to już powiedziałem, nie mogłem w żaden sposób zaprzestać moich niespokojnych i pełnych niepewności rozmyślań.

Zmienny stan mego umysłu powodował ścieranie się sprzecznych zasad, które kolejno kierowały moim postępowaniem. Czasem ogarniało mnie głębokie uwielbienie dla mojego pana: pokładałem nieograniczoną ufność w jego prawości i cnocie i myśli swe oddawałem pod jego władzę, aby je

kierował, gdzie zechce. Kiedy indziej zaufanie, które przedtem płynęło obfitym strumieniem, zaczynało wysychać. Stawałem się znów, jak poprzednio, uważny, dociekliwy, podejrzliwy, pełen tysięcy domysłów co do znaczenia najbardziej obojętnych czynności. Mr Falkland, który był nader boleśnie wrażliwy na wszystko, co dotyczyło jego honoru, widział te zmiany i okazywał tak lub inaczej, że wie o nich, często zanim dotarły do mojej świadomości, a czasem niemal wcześniej, niż rzeczywiście powstały. Położenie nasze było bardzo uciążliwe: byliśmy jeden dla drugiego utrapieniem i często dziwiłem się, że cierpliwość i łagodność mego pana nie wyczerpały się jeszcze i że nie postanowił pozbyć się raz na zawsze swego upartego obserwatora.

Między jego a moim udziałem w tej sprawie była przy tym wyraźna różnica. Ja — mimo całego niepokoju — miałem chwile wytchnienia. Ciekawość jest sprężyną postępowania, która niesie ze sobą zarówno przykrości, jak i przyjemności. Umysł jest nieustannie podniecany, zdaje się wciąż zbliżać do celu, lecz ponieważ kieruje nim nienasycone pragnienie zaspokojenia ciekawości, przeto w zaspokojeniu tym upatruje dla siebie jakiejś nieznannej nagrody, która wyrówna wszystkie niepowodzenia wycierpiane po drodze.

Ale dla Mr Falklanda nie było wytchnienia. To co znosił przez obcowanie ze mną, zdawało się niepotrzebną męką. Mógł tylko życzyć sobie, aby moja osoba nie istniała na świecie, i przeklinać godzinę, w której — wiedziony dobrocią — wydobył mnie z mego niskiego stanu i przyjął na służbę.

Trzeba tu wspomnieć o tym, jaki wpływ wywarło na mnie to niezwykle położenie. Stan ustawicznej czujności i podejrzliwości, w jakim trwał mój umysł, spowodował niezwykle szybką zmianę w moim charakterze. Takich przemian można by oczekiwać po całych latach obserwacji i doświadczeń. Dokładność, z jaką starałem się dostrzec, co się dzieje w duszy jednego człowieka, i rozmaitość nasuwających się domysłów zdawały się czynić mnie biegłym w sztuce rozpoznawania rozmaitych nastrojów, przez jakie umysł ludzki zdradza swoje najtajniejsze poruszenia. Nie mówiłem już do siebie jak na początku: „Zapytam Mr Falklanda, czy to on był mordercą.”

Przeciwnie, zbadawszy starannie wszystkie dotyczące tej sprawy świadectwa i uprzytomniwszy sobie cały jej przebieg, poczułem nie bez dotkliwego bólu, że nie podobna mi znaleźć sposobu, który by całkowicie i nieodwołalnie przekonał mnie o niewinności mego pana. Co do jego winy nie mogłem mieć wątpliwości, że jeśli rzeczywiście istniała, tak czy inaczej wcześniej czy później dojdzie to do mojej wiedzy. Ale nie mogłem nawet przez chwilę znieść myśli o możliwości takiej alternatywy. I przy wszystkich nie dających się stłumić podejrzeniach, rodzących się z tajemniczych okoliczności sprawy, przy całej rozkoszy, jaką młody i niedoświadczony umysł czerpie z wyobrażeń wszystkiego, co straszliwe i wzniosłe, nie mogłem uważać winy Mr Falklanda za prawdopodobną.

Mam nadzieję, że czytelnik przebaczy mi tak długie zatrzymywanie się przy przedwstępnych wydarzeniach. Dojdę niezadługo do historii własnych mych nieszczęść. Wspomniałem już, że jedną z przyczyn, które doprowadziły mnie do skreślenia tej opowieści, była chęć znalezienia pociechy w mym nieznośnym cierpieniu. Znajduję smętną rozkosz w rozpisywaniu się o wypadkach, które niepostrzeżenie gotowały drogę do mej ostatecznej klęski. Kiedy wspominam lub opisuję minione zdarzenia, które działy się w szczęśliwym okresie mego życia, uwaga moja na krótką chwilę jest odwrócona od beznadziejnej niedoli, w jakiej dziś się znajduję. Człowiek, który by z zawiścią patrzył na tę nędzną moją pociechę, musiałby zaiste mieć niezwykle twarde serce.

Ale wracam do rzeczy.

Po tym wyjaśnieniu, jakie nastąpiło między mną a Mr Falklandem, melancholia jego, zamiast zmniejszyć się choć odrobinę pod kojącą ręką czasu, nie przestawała wzrastać. Jego napady szaleństwa — bo tak muszę je nazywać w braku odpowiedniego określenia, choć może nie odpowiadałyby definicji fakultetu medycyny lub najwyższego trybunału — napady te, powiadam, stawały się coraz ostrzejsze i uporczywsze. Nie dawało się ich ukryć całkowicie przed domownikami, a nawet przed sąsiedztwem.

Zdarzało się czasami, że nie uprzedziwszy nikogo ani słowem Mr Falkland zniknął z domu na dwa lub trzy dni, sam, bez żadnego sługi czy

towarzysza. Było to tym dziwniejsze, że — jak to wiedzieli wszyscy — nie składał nigdy wizyt ani nie utrzymywał w ogóle żadnych stosunków z okoliczną szlachtą.

Aczkolwiek znaczna część naszego hrabstwa należała do najdzikszych i najbardziej bezludnych okolic południowej Brytanii, niemożliwe byłoby, aby człowiek o tej co Mr Falkland pozycji społecznej i majątku mógł przez dłuższy czas, nieodkryty, postępować w ten sposób. Widywano go czasem, jak wspinał się po skałach, całymi godzinami trwał bez ruchu wsparty o krawędź nad przepaścią lub pełen rozpaczy, pogrążony w jakiejś niepojętej drętwocie, stał nad huczącymi potokami. Bywało, że całą noc pozostawał pod gołym niebem, nie bacząc na żadne względy, na porę roku i miejsce, niewrażliwy na zmianę pogody lub nawet jakby zadowolony, kiedy rozpętane żywioły częściowo odwracały jego uwagę od zamętu i melancholii panujących w jego duszy.

Zrazu, kiedy tylko dostawaliśmy wiadomość, gdzie udał się Mr Falkland, ktoś z domowników, Mr Collins lub ja sam, lecz najczęściej ja, ponieważ zawsze byłem w domu i zawsze, w przyjętym tego słowa znaczeniu, dysponowałem czasem, jechaliśmy tam, by nakłonić go do powrotu. Lecz po paru takich próbach uznaliśmy za pożyteczne zaniechać tego i pozwolić, by przedłużał swą nieobecność lub wracał zgodnie z własnymi skłonnościami. Mr Collins, któremu siwy włos i długoletnia służba dawały niejako prawo do natarczywego nastawiania, osiągał czasem jakiś skutek, choć i w tych wypadkach nic nie było Mr Falklandowi równie niemiłe jak insynuacja, jakoby potrzebował opiekuna lub jakoby jego obecny stan albo grożący mu w najbliższej przyszłości powodował niezdolność kontrolowania własnych słów i czynów. Czasem nieoczekiwanie ulegał swemu skromnemu a czcigodnemu przyjacielowi, mrużąc coś ze smutkiem o przymusie, jaki mu zadają, lecz nie mając dość siły, by się energiczniej na to uskarżać. Kiedy indziej, poddając się wprawdzie namowom, wpadał nagle w paroksyzm wściekłości. W jego gniewie było wtedy coś straszliwie niepojętego i dzikiego, coś, co człowieka, przeciw któremu gniew ten był skierowany, napawało nieznośnym poczuciem upokorzenia. Mnie w takich wypadkach traktował nadzwyczaj

srogo i odpędzał z tak wyniosłą, a tłumioną gwałtownością, do jakiej nie sądziłem, by natura ludzka była zdolna. Wybuchy te zdawały się zawsze stanowić jakby krytyczny moment jego niedyspozycji i kiedy zmuszano go do takiego przedwczesnego powrotu, wpadał natychmiast potem w stan melancholijnego bezwładu, w którym trwał zazwyczaj dwa lub trzy dni. Uporczywe fatum sprawiało, że ilekroć ujrzałem Mr Falklanda w takiej pożałowania godnej sytuacji, a zwłaszcza ilekroć natknąłem się na niego szukając go wśród skał i przepaści, widząc go bladego, wynędzniałego, z obłąkaną twarzą, kryjącego się w samotności — wtedy wbrew przekonaniu i oczywistości nasuwała mi się ta uporczywa myśl: ten człowiek musi być mordercą.

## ROZDZIAŁ XVII

Wtedy to, podczas jednego z takich *lucida intervalla*, jakbym je nazwał, stanął przed nim, jako przed sędzią pokoju, jakiś wieśniak oskarżony o morderstwo. Mr Falkland zyskał już był w owym czasie opinię człowieka opanowanego chorobliwą melancholią i — być może — nie powierzono by mu tej sprawy, gdyby nie to, że dwóch czy trzech okolicznych sędziów pokoju znajdowało się poza domem i jego jednego można było znaleźć na przestrzeni wielu mil.

Chociaż opisując stan Mr Falklanda użyłem słowa „szaleństwo”, czytelnik nie powinien sobie wyobrażać, że był uważany przez ludzi mających z nim styczność za obłąkańca. To prawda, że zachowanie jego w pewnych okresach bywało szczególne i niewytłumaczone, kiedy indziej jednak w postępowaniu jego było tyle godności, harmonii i ładu; tak dobrze umiał wydawać rozkazy i nakazywać szacunek dla siebie, a sposób bycia był tak pełen łaskawości, tak roztropny i uprzejmy, że ogół nie tylko nie postradał szacunku dla nieszczęśliwego, ale wychwalał go głośno i skwapliwie.

Byłem obecny przy badaniu tego wieśniaka. W chwili kiedy usłyszałem o sprawie, która sprowadziła do nas tylu obcych ludzi, uderzyła mnie nagła myśl. Dostrzegłem okazję, by włączyć ten wypadek w wielkie śledztwo, które pochłoneło wszystkie władze mej duszy. Oto człowiek oskarżony o morderstwo — powiedziałem sobie — zaś morderstwo jest kluczem, który niezawodnie wyzwala kryjącą się w duszy Mr Falklanda chorobę. Będę obserwował go nieubłaganie. Będę śledził labirynt jego myśli. W takich okolicznościach jego tajemny niepokój na pewno będzie musiał się zdradzić. Niewątpliwie, jeśli nie popełnię tu błędu, zdołam tym razem odkryć, jak przedstawia się sprawa Mr Falklanda wobec trybunału nieomyślnej sprawiedliwości.

Zająłem miejsce możliwie najbardziej dogodnie dla zamiarów pochłaniających mój umysł. Kiedy Mr Falkland wszedł, mogłem dostrzec w jego rysach przemożną odrazę do zadania, jakie przed nim stało; ale wycofać się było niepodobieństwem. Twarz jego wyrażała zakłopotanie i niepokój; ledwie rozpoznawał ludzi. Badanie nie posunęło się jeszcze daleko, kiedy przypadkiem zwrócił oczy na to miejsce, gdzie ja siedziałem. Nastąpiło to, co parokrotnie już się zdarzyło poprzednio: bez słowa wymieniliśmy spojrzenia, które powiedziały każdemu z nas więcej niż całe tomy. Mr Falkland zbladł, a potem się zaczerwienił. Zrozumiałem doskonale jego uczucia i najchętniej usunąłbym mu się z oczu. Lecz to było niemożliwe: zbyt namiętnie obchodziła mnie ta sprawa. Byłem jak przyrośnięty do miejsca; gdyby od tego zależało moje własne życie, życie mojego pana lub niemal całego narodu, ruszyć się stąd nie było w mej mocy.

Kiedy jednak minęła pierwsza chwila zdumienia, Mr Falkland przybrał wyraz niezłomnej determinacji, a nawet jego panowanie nad sobą jak gdyby wzrosło o wiele bardziej, niżby tego można było oczekiwać w chwili, gdy wchodził. Przypuszczalnie udałoby mu się i nadal je zachować, gdyby scena, która się przed nim odgrywała, nie zmieniała się ustawicznie. Człowiek, którego miał sądzić, był oskarżony przez brata ofiary, że zabił pod wpływem zawziętej złości. Przysięgał, że między stronami istniała od dawna zawziętość, i przytaczał wiele jej przykładów. Twierdził, że morderca szukał tylko okazji do zemsty, że uderzył pierwszy i że starcie wyglądało pozornie na zwykłe zapasy pięściarskie, lecz oskarżony od początku upatrywał możliwości zadania śmiertelnego ciosu, po którym natychmiast nastąpiła śmierć jego przeciwnika.

Podczas gdy oskarżyciel dowodził swego, oskarżony całym swym zachowaniem zdradzał niezwykle podniecenie. Chwilami rysy jego wykrzywiało cierpienie, nieproszone łzy spływały po jego męskiej twarzy, to znów zrywał się z widocznym zdumieniem, widząc niepomysłny obrót, jaki przybierały zeznania, aczkolwiek nie okazywał zniecierpliwienia i nie zamierzał mówiącemu przerywać. Nigdy nie widziałem człowieka, w którego wyglądzie było tak mało okrucieństwa. Był to wysoki, dobrze

zbudowany i przystojny mężczyzna. Twarz miał bystrą i łagodną, bez śladu złych namiętności. Obok stała młoda kobieta, jego ukochana, o niezwykle miłej powierzchowności, której twarz zdradzała, jak bardzo przejmował ją los kochanka. Przypadkowi widzowie byli podzieleni: jedni oburzali się na potworność rzekomej zbrodni, drudzy współczuli biednemu dziewczęciu, które towarzyszyło obwinionemu. Nikt z początku nie zwracał uwagi na twarz i postać oskarżonego, które przemawiały za nim, aż do chwili kiedy wypadki zmusiły obecnych do poświęcenia mu większej uwagi. Co do Mr Falklanda, to ten raz pochłonięty był ciekawością i pragnieniem zbadania sprawy, a za chwilę przeżywał jakby odpływ tych uczuć i dalsze badanie stawało się dlań bolesne nie do zniesienia.

Kiedy wezwano oskarżonego do podjęcia obrony, przyznał od razu, że istniało nieporozumienie między nim a zmarłym, który był jego największym w świecie wrogiem. W istocie był jego jedynym wrogiem i on nie umiałby nawet powiedzieć, jak do tego doszło. Próbował wszystkich sposobów, by przewyciężyć niechęć tego człowieka, ale na próżno. Zmarły przy każdej okazji usiłował dokuczyć mu i wyrządzić krzywdę. Ale on postanowił sobie, że nigdy nie da się wciągnąć w żadną burdę z nim, i aż do tamtego dnia udawało mu się to. Gdyby zdarzyło mu się to nieszczęście z jakimkolwiek innym człowiekiem, ludzie uwierzyliby przynajmniej, że to przypadek, a tak zawsze będą uważali, że działał pod wpływem tajonej złości i w złej intencji.

Faktem jest ciągnął dalej — że on i jego dziewczyna poszli na pobliski jarmark, gdzie ów człowiek ich spotkał. Nieraz już próbował go obrazić; jego bierność przyjmowana za tchórzostwo być może prowokowała tamtego do tym większego grubiaństwa. Widząc, że trywialne obelgi nie wytrącają z równowagi przeciwnika, zmarły uznał z kolei za stosowne zwrócić swą brutalność ku młodej kobiecie, która towarzyszyła oskarżonemu. Szedł za nimi, na próżno usiłowali się go pozbyć. Dziewczyna była bardzo wylękła. Oskarżony zwrócił się do prześladowcy i zapytał, jak może być tak okrutny, by z uporem straszyć kobietę. Ten odpowiedział obelżywym tonem, że „kobieta powinna znaleźć sobie kogoś, kto by potrafił ją obronić. Ludzie, którzy ufają i okazują swe względy takim jak on złodziejom, nie zasługują



na nic lepszego.” Oskarżony próbował wszystkich sposobów, jakie mu przychodziły do głowy, w końcu nie mógł już dłużej wytrzymać: zdesperowany wyzwał napastnika. Wyzwanie zostało przyjęte, przygotowano plac, on oddał swoją dziewczynę pod opiekę kogoś z obecnych — i tak się nieszczęśliwie stało, że pierwszy cios okazał się śmiertelnym.

Oskarżony dodał, że nie dba o to, co się z nim stanie. Starał się iść przez życie nie szkodząc nikomu, a oto teraz jest na nim zmasakra krwi. Sam nie wie — mówił — lecz wyświadczone by mu łaskę powiesiwszy go. Przez resztę życia dręczyć go będzie sumienie i twarz zmarłego, kiedy tak leżał u jego stóp bez czucia i bez ruchu, będzie go wiecznie prześladować. Myśl o tym człowieku, który dopiero co był pełen życia i sił, a po chwili bezwładnym trupem, i to wszystko z jego przyczyny — myśl ta zbyt jest straszliwa, by mógł ją znieść. Całym sercem kochał tę biedną dziewczynę, która, bez własnej winy, stała się przyczyną zajścia, lecz odtąd nigdy nie będzie mógł znieść jej widoku, który byłby dla niego tym, czym całe atakujące wojsko diabelskie. Jedna nieszczęsna minuta zatruła wszystkie nadzieje i uczyniła mu życie ciężarem. Mówiąc to załamał się zupełnie, twarz jego drżała w okrutnym bólu i cały wyglądał jak posąg rozpaczny.

Tak brzmiała opowieść, którą Mr Falkland zmuszony był wysłuchać. Choć wypadki te były po większej części odmienne od poprzednio opisanych zdarzeń, a w całej tej wioskowej zwadzie było z obu stron nieporównanie mniej sztuki i umiejętności, to jednak człowiekowi, któremu poprzednie wydarzenia stały tak żywo w pamięci, nasuwało się wyraźne podobieństwo w wielu punktach. W obu wypadkach zwierzę ludzkie prześladowało z uporczywą wrogością człowieka o szlachetnym charakterze i zostało w nagły i straszliwy sposób zgładzone w pełni swych sił. To podobieństwo nieustannie raniło serce Mr Falklanda. Wzdrygał się ze zdumienia, to znów zmieniał pozycję jak ktoś niezdolny dłużej znieść przytłaczającego wrażenia. Potem na nowo zmuszał swe nerwy do cierpliwości. Widziałem, jak łzy udręki spływały po jego policzkach, choć twarz zachowała niezmienny spokój. Ani na chwilę nie śmiał skierować swego wzroku w tę stronę pokoju, gdzie ja stałem, i to nadawało całej jego twarzy wyraz zakłopotania. Lecz kiedy oskarżony zaczął mówić o swoich uczuciach, aby

oddać całą głębię skruchy za tę mimowolną przewinę, Mr Falkland nie mógł już dłużej wytrzymać. Wstał gwałtownie i wypadł z pokoju z wszelkimi oznakami zgrozy i rozpaczy.

Ta okoliczność nie miała istotnego wpływu na sprawę. Obie strony zatrzymano tylko na pół godziny dłużej, bo Mr Falkland zbadał już cały materiał dowodowy. Po tej przerwie wywołał Mr Collinsa z pokoju. Opowiadanie winowajcy zostało potwierdzone przez wielu świadków, którzy widzieli całe zajście. Przyniesiono wiadomość, że nasz pan źle się czuje, i jednocześnie polecenie, by zwolnić oskarżonego. Jak się jednak później dowiedziałem, brat zabitego nie zrezygnował ze swej zemsty i znalazł sędziego, który — czy to bardziej skrupulatny w swym sumieniu, czy bardziej bezwzględny — osadził winnego w więzieniu dla przeprowadzenia procesu.

Skoro tylko rozprawa została zakończona, udałem się spieszenie do ogrodu i zaszyłem w największy gąszcz.

W głowie mej był taki zamęt, jakby miała pęknąć za chwilę. Ledwie stwierdziłem, że jestem wystarczająco bezpieczny od oczu ludzkich, kiedy myśli cisnęły mi się na język i porwany nieopanowanym uniesieniem, zawołałem:

— Oto morderca: Hawkinsowie byli niewinni! Jestem tego pewien! Głowę daję w zakład! To jasne! Wydało się! Na moją duszę, on jest winny!

Kiedy tak spiesznymi krokami przemierzałem najbardziej ustronne ścieżki ogrodu, co chwila jakimś mimowolnym okrzykiem dając upust zamętowi mych myśli, poczułem, jak gdyby w całym moim systemie cielesnym dokonał się zupełny przewrót. Krew wrzała we mnie. Znajdowałem się w stanie jakiegoś uniesienia, którego nie umiałbym wytłumaczyć. Byłem w uroczystym nastroju, a zarazem pełny gwałtownych uczuć, płonąłem oburzeniem i żądzą czynu. Pośród tej burzy, tej nawałnicy namiętności byłem jednocześnie niebiańsko spokojny. Nie potrafię lepiej wyrazić stanu mej duszy w owej chwili, jak mówiąc, że nigdy nie osiągnąłem tej pełni życia, co wówczas.

Ten wzniosły nastrój trwał kilka godzin, lecz w końcu ustąpił miejsca bardziej rozważnemu zastanowieniu. Jednym z pierwszych pytań, jakie mi

się nasunęły, było: co mam zrobić z wiedzą, do której zdobycia tak usilnie dążyłem? Nie miałem ochoty stać się donosicielem. Zrozumiałem, o czym dotąd nie miałem pojęcia, że można kochać mordercę, i to jak mi się zdawało, najgorszego z morderców. Stwierdziłem, że byłoby najwyższym absurdem i niegodziwością zniszczyć człowieka mającego wszelkie dane, by stać się wyjątkowo użytecznym — zniszczyć go tylko ze względu na czyn, słuszny czy niesłuszny, ale w każdym razie nieodwracalny.

Ta myśl nasunęła mi inną, która zrazu wymknęła się mojej uwadze. Gdybym nawet miał ochotę zostać donosicielem, to i tak to, co zaobserwowałem, nie stanowiłoby dowodu w sądzie. A zatem — rozumowałem dalej — jeśli posiadam dowód, którego by nie uwzględnił trybunał, czy mam pewność, że ja sam powinienem go uznać? Poza mną dwadzieścia osób było świadkami tej sceny, która mnie nasunęła takie wnioski. Nikt z nich nie ujrzał tego, co zaszło, w tym świetle co ja. Albo wydało im się to przypadkową i pozbawioną znaczenia okolicznością, albo też sądzili, że niedyspozycja i niedole Mr Falklanda dostatecznie tłumaczą ten fakt. Czy istotnie było w tym wydarzeniu tyle argumentów i tak ścisły związek z tamtą sprawą, a nikt poza mną nie był wystarczająco przenikliwy, by je dostrzec?

Ale całe to rozumowanie nie zmieniło mego sposobu myślenia. Tym razem nie potrafiłem ani na chwilę odpędzić tej myśli: „Mr Falkland jest mordercą! Jest winien! Wiem o tym! Czuję! Jestem pewien!” W ten sposób nieodmienne przeznaczenie pchało mnie do czynu. Rosnące wzburzenie moich uczuć, dociekliwość i niecierpliwość myśli czyniły decyzję nieuniknioną.

Wtedy też w ogrodzie zdarzył się wypadek, który wówczas nie zrobił na mnie wrażenia, ale który uprzytomniłem sobie później, kiedy myśli moje coś niecoś się uspokoiły. Wybuchnąłem właśnie jednym z tych niepohamowanych okrzyków, sądząc, że jestem zupełnie sam, kiedy jakiś cień ludzki przesunął się pośpiesznie w niedalekiej ode mnie odległości, jak gdyby starając się mnie uniknąć. Choć ledwie zdołałem rzucić przelotne spojrzenie na tę postać, było w niej coś, co dało mi przeświadczenie, iż był to Mr Falkland. Zadrzałem na myśl, że mógł usłyszeć słowa mego

monologu. Ale ta myśl, aczkolwiek tak przerażająca, nie zdołała od razu zatrzymać toku moich rozważań. Jednakże późniejsze okoliczności naprowadziły mnie z powrotem na to podejrzenie. Nie miałem już prawie wątpliwości, kiedy nadeszła pora obiadowa, a Mr Falklanda nie można było znaleźć. Podobnie przeszła pora wieczery i czas udania się na spoczynek. Jedynym wnioskiem, jaki wyciągnęła z tego faktu służba, było, że musiał się on udać na jedną ze swych zwykłych smętnych wędrówek.

## ROZDZIAŁ XVIII

Okres, do którego dobiega moja opowieść, wydawał się przełomowym w historii Mr Falklanda. Wypadek następował za wypadkiem w jakimś zawrotnym tempie. Następnego ranka około godziny dziewiątej podniósł się alarm, że zapalił się jeden z kominów dworu. Na pozór trudno byłoby o bardziej niewinny wypadek; lecz po chwili ogień wybuchnął z taką wściekłością, że jasnym się stało, iż płomienie musiały dosięgnąć jednego ze słupów wspierających belkowanie, które w głównym budynku było nieodpowiednio postawione. Lękano się pewnego niebezpieczeństwa dla całego dworu. Na skutek nieobecności pana domu jak również Mr Collinsa — rządcy, zamęt był tym większy. Podczas gdy jedni z domowników próbowali stłumić pożar, inni uznali za słusze zająć się przeniesieniem najcenniejszych ruchomości na gazon w ogrodzie. W tej akcji objąłem jakby dowództwo, do czego upoważniała mnie niejako moja pozycja w domu i jak sądzono — rozsądek i inteligencja.

Wydawszy pewne ogólne polecenia, pojąłem, że nie dość być tu obecnym i nadzorować, ale że powinienem również i ja przyczynić się do wspólnego wysiłku. Ruszyłem do domu w tym celu i jakieś tajemnicze fatum skierowało moje kroki do alkierza znajdującego się za biblioteką. Tu, kiedy rozglądałem się dokoła, oko moje spoczęło na owej skrzyni, wspomnianej na pierwszych stronach mojej opowieści.

Umysł mój znajdował się już w stanie najwyższego podniecenia. W pokoju, na ławie pod oknem, leżało kilka dłut i ciesielskich narzędzi. I nie wiem, co mnie nagle napadło, ale myśl była za silna, by jej się można było oprzeć. Zapomniałem o celu, dla którego tu przyszedł, zapomniałem o tym, co robi służba, i o nagłym niebezpieczeństwie. Zrobiłbym to samo, gdyby płomienie, które zdawały się rozprzestrzeniać z każdą chwilą i już ogarniały cały dom, dosięgły alkierza. Porwałem jakieś narzędzie

odpowiednie dla tego celu, rzuciłem się na podłogę i z chciwością przypadłem do tego schowka zawierającego wszystko, do czego rwało się moje serce. Po dwóch czy trzech próbach, w których energia niepohamowanych namiętności złączyła się z wrodzoną siłą, rygle puściły, skrzynia otwarła się i wszystko, czego pragnąłem, było przede mną — tylko ręką sięgnąć.

Właśnie miałem podnieść wieko, kiedy wszedł Mr Falkland, bez tchu, z dzikim, nieprzytomnym spojrzeniem. Widok płomieni sprowadził go do domu ze znacznej odległości. Kiedym go ujrzał, wieko wysunęło mi się z rąk, a on, ledwo mnie spostrzegł, zadrżał z gniewu. Przypadł śpiesznie ku wiszącej na ścianie parze nabitych pistoletów i chwytając jeden z nich przyłożył do mej głowy. Pojąłem jego zamiar i odskoczyłem, by uniknąć śmierci, lecz on z taką samą szybkością, z jaką powziął swoją decyzję, zmienił ją teraz: skoczył do okna i wyrzucił pistolet na podwórko. Potem ze zwykłą swoją nieodpartą mocą kazał mi iść precz, ja zaś, przejęty już grozą na myśl, że mnie odkryto, usłuchałem niezwłocznie.

W chwilę potem znaczna część komina z hukiem zwała się na podwórko i ktoś zakrzyknął, że pożar jest coraz groźniejszy. Te okoliczności oddziaływały jak gdyby mechanicznie na mego pana, który zamknąwszy wpierw alkierz, ukazał się na zewnątrz domu, wy dostał się na dach i po chwili był już wszędzie, gdzie była potrzebna jego obecność. Ogień w końcu ugaszono.

Czytelnik z trudem zdoła sobie wyobrazić stan, w jakim się teraz znajdowałem. Mój czyn był w pewnym sensie czynem szaleńca: ale uczucia, które obudził we mnie później, nie dadzą się opisać! Był to jakiś spontaniczny odruch, krótkotrwałe i przelotne zaćmienie umysłu. Lecz co o takim zaćmieniu pomyśli Mr Falkland? Człowiek, który raz okazał taki brak rozsądku, każdemu musi się wydać niebezpieczny, a cóż dopiero komuś w położeniu Mr Falklanda? Przed chwilą ten człowiek, zdecydowany położyć kres memu życiu, przyłożył mi pistolet do głowy; lecz jaki jeszcze los chowa dla mnie przyszłość? Nienasyconą zemstę takiego Falklanda, którego ręce — w moim pojęciu — były czerwone od krwi, a myśli przywykłe do okrucieństw i zbrodni. Jak wielkie są jego umysłowe

zdolności, które odtąd sprzysięgną się na moją zgubę? Taki oto był koniec nieopanowanej ciekawości, popędu, który wydawał mi się tak niewinnym lub dozwolonym.

Opanowany najwyższą ciekawością, byłem ślepy na wszystkie następstwa mego czynu. Teraz wydało mi się to niby snem. Czy podobna, by człowiek skakał z urwiska w przepaść lub rzucał się nie dbając o nic w środek płomieni? Czy to możliwe, abym zapomniał choć na chwilę o budzącym grozę postępowaniu Falklanda, o nieubłaganej wściekłości, jaką obudzę w jego duszy? Nie pomyślałem ani razu o przyszłym niebezpieczeństwie. Nie miałem żadnego planu. Nie obmyśliłem żadnego sposobu ukrycia swego czynu, kiedy już został dokonany. Lecz teraz wszystko było skończone. Jedna krótka chwila dokonała w moim położeniu tak nagłego przewrotu, że nie zdoła go chyba w tym względzie prześcignąć żaden wypadek w dziejach ludzkich. Zawsze byłem w kłopotcie, jak wytłumaczyć sobie fakt, że popełniłem czyn tak okropny, bez zastanowienia, jakby na oślep. Było w tym coś z niepojętego, nieświadomego przejęcia się ogólnym nastrojem. Jest to naturalną koniecznością, że nastrój ogólny udziela się jednostkom, których uczucia są pogmatwane.

Po raz pierwszy zetknąłem się z grozą pożaru. Dokoła mnie był zamęt i we mnie samym rozpętała się nawałnica. Ogólna sytuacja zdała się memu niedoświadczeniu rozpaczliwą, pod wrażeniem tych myśli sam też popadłem w rozpacz. Z początku zachowywałem pewien spokój i opanowanie, ale i to z rozpaczliwym wysiłkiem; kiedy stał się zbyt wielki, natychmiast opanowało mnie jakby szaleństwo.

Mogłem się teraz lękać wszystkiego. A przecież czym zawiniłem? Wina moja nie płynęła z żadnej z owych przywar, którymi słusznie brzydzi się ludzkość. Celem moim nie było ani bogactwo, ani zaspokojenie namiętności, ani zdobycie władzy. Nie żywiłem w duszy ani odrobiny złości. Szanowałem zawsze wzniosłą duszę Mr Falklanda i nie przestałem jej szanować. Mój grzech płynął tylko z żądzy poznania, a jednak był grzechem, który nie dopuszczał możliwości przebaczenia lub zapomnienia. Był to krytyczny moment w moich losach, dzielący okres, który można by

nazwać zaczepnym, od okresu obrony, która wypełniła mi bez reszty pozostające lata. Niestety! Występek mój był kwestią chwili i nie obciążały go żadne złe zamiary, ale kara, którą miałem wycierpieć, ciągnie się długo i zakończyć się może dopiero wraz z moim życiem!

Kiedy zdałem sobie sprawę z tego, co zrobiłem, stan mego ducha był taki, że niezdolny byłem do żadnej decyzji. Wszystko we mnie było chaosem i niepewnością, a myśli ogarnęła groza i bezwład. Głowę miałem pustą, duszę jakby dotknął paraliż, tak że potrafiłem tylko bez słowa, biernie oczekiwać nieszczęścia, które mi los przeznaczał. Wedle mego własnego zdania podobny byłem do człowieka, który rażony gromem i na zawsze pozbawiony władzy w ciele, zachowuje jednak świadomość swego położenia. Zabójcza rozpacz była jedyną docierającą do mnie myślą. Byłem nadal w tym stanie ducha, kiedy przysłał po mnie Mr Falkland. Jego wezwanie wyrwało mnie z letargu. Przychodząc do siebie odczuwałem jakieś mdłości i dziwną obmierzłość, jakie pono męczą człowieka budzącego się ze snu śmierci. Stopniowo odzyskiwałem władzę nad swymi myślami i członkami. Powiedziano mi, że Mr Falkland, skoro tylko zażegnano niebezpieczeństwo pożaru, usunął się do swego pokoju. Był już wieczór, kiedy zawezwał mnie do siebie.

Zastałem go w najgłębszej rozpacz, złagodzonej wyrazem uroczystego i smutnego spokoju. Nie było w nim tym razem ani śladu chmurnej dumy i surowości. Kiedy wszedłem, podniósł wzrok, a ujrawszy, że to ja, kazał zaryglować drzwi. Usłuchałem. On zaś obszedł pokój dokoła i sprawdził inne wyjście, po czym zbliżył się do miejsca, gdzie stałem. Drżałem na całym ciele i w duszy zawołałem: „Jakąż scenę śmierci odegra teraz ów Roscius?” **[Roscius Gallus - sławny aktor rzymski za czasów Sulli.]**

— Williamsie! — zaczął tonem, w którym więcej było smutku niż niechęci — targnąłem się na twoje życie! Jestem nędznikiem godnym ludzkiej pogardy i obrzydzenia. — Tu urwał.

— Jeśli na całej kuli ziemskiej znalazłby się człowiek silniej od wszystkich innych odczuwający pogardę i obrzydzenie, na jaką taki nędznik zasługuje, to ja sam nim jestem. Narażony byłem dotąd na tortury i szaleństwo. Lecz mogę położyć temu kres. Przynajmniej w stosunku do



ciebie zdecydowany jestem to uczynić. Znam cenę tego kroku i... gotów ją jestem zapłacić!

— Musisz przysiąc — ciągnął dalej — musisz zakląć się na wszystkie boskie i ludzkie świętości, że nigdy nie wyjawisz tego, co ci teraz powiem. — Wypowiedział słowa przysięgi, a ja powtórzyłem je ze ściśniętym sercem. Nie miałem siły, by dodać coś od siebie.

— Tego zwierzenia — powiedział Mr Falkland — tyś pragnął, nie ja. Mnie jest ono wstrętne, dla ciebie zaś niebezpieczne.

Poprzedziwszy w ten sposób wyjaśnienie tajemnicy, którą miał wyjawić, zamilkł. Zdawał się zbierać siły niby przed jakimś ogromnym wysiłkiem. Otarł twarz chusteczką, a wilgoć, którą chciał usunąć, okazała się nie łzami, lecz potem.

— Spójrz na mnie. Przyjrzyj mi się. Czyż to nie dziwne, że ktoś taki jak ja zachował twarz ludzkiej istoty? Jestem ostatnim złoczyńcą. Jestem mordercą Tyrrela. Jestem zabójcą Hawkinsów.

Wzdrygnąłem się z przerażenia i milczałem.

— Pomyśl, co mnie spotkało! Obrażony, znieważony, pohańbiony na oczach setek ludzi, zdolny byłem do każdego czynu, podyktowanego mi przez rozpacz. Czekałem tylko sposobności, wyszedłem za Mr Tyrrelem z sali, schwyciłem ostro zakończony nóż, który wpadł mi w rękę, dogoniłem go i pchnąłem z tyłu, przebijając serce. Mój potężny prześladowca runął na ziemię u moich stóp.

Wszystko to są ogniwa jednego łańcucha. Policzek! Morderstwo! Następnie musiałem się bronić. Trzeba było spreparować kłamstwo tak zręcznie, żeby świat uwierzył, że jest prawdą. Nie podobna wyobrazić sobie bardziej męczącego i nieznośnego zadania.

Cóż? tu los mi sprzyjał; sprzyjał bardziej, niż tego pragnąłem. Podejrzenie zostało zdjęte ze mnie, a zrzucone na kogoś innego; ale musiałem zgodzić się na to. Skąd się wzięły poszlaki przeciw niemu: złamany nóż i krew — nie potrafię powiedzieć. Przypuszczam, że przedziwnym zrzędzeniem przypadku Hawkins przechodził właśnie tamtędy i próbował ulżyć swemu prześladowcy w mękach konania. Słyszałeś jego historię, czytałeś jeden z jego listów. Lecz nie znasz

tysięcznej części dowodów jego prostej a niezachwianej prawości, które mnie są znane. Syn jego cierpiał wraz z nim, ten syn, dla którego szczęścia i cnoty doprowadził się do ruiny i gotów był umrzeć sto razy... Co czułem wtedy, nie potrafię opisać.

Oto co znaczy być dżentelmenem! Człowiekiem honoru! Byłem błaznem w służbie dobrego imienia. Cnota, szlachetność, wiecznotrwały pokój ducha — żadna ofiara nie była zbyt droga, by ją złożyć na ołtarzu tego bożka. Ale, co gorsza, żadne z tych straszliwych wydarzeń nie przyczyniło się choćby w najmniejszym stopniu do tego, by mnie wyleczyć. Jestem tym samym błaznem w służbie dobrego imienia co dawniej. Pozostanę wierny temu bóstwu do ostatniego tchu. Choćbym był najgorszym łotrem, zostawię po sobie nieskalane i świetne imię. Nie ma tak straszliwej zbrodni, tak okrutnego przelewu krwi, do których ten cel nie potrafiłby mnie skłonić. Nic to, że z oddalenia spoglądam z odrazą na moje czyny — jestem pewny, żebym tak właśnie postąpił. Wystaw mnie na próbę, a ustąpię swym skłonnościom. Pogardzam sobą, lecz takim jestem — rzeczy zaszły za daleko, by można je była cofnąć.

Co zmusza mnie do tego wyznania? Namiętna troska o reputację. Drżałbym na widok każdego pistoletu lub innego śmiertelnościanego narzędzia, które by mi wpadło w ręce. A być może, to morderstwo nie zakończyłoby się tak szczęśliwie jak pierwsze, które popełniłem. Musisz stać się moim powiernikiem lub moją ofiarą: nie widzę innego wyjścia. Lepiej zaufać ci, zawierzywszy całą prawdę pod przysięgą zachowania tajemnicy, niż żyć w ustawicznym strachu przed twą dociekliwością lub nierozwagą.

Czy wiesz, coś uczynił? Zaprzedałeś samego siebie, aby zaspokoić głupią ciekawość. Pozostaniesz w mej służbie, lecz nigdy nie będę miał dla ciebie życzliwości. Wynagrodzę cię sowicie, lecz zawsze będę cię nienawidzić. Jeśli kiedykolwiek niebaczne słowo wymknie się z twoich ust, jeśli obudzisz we mnie nieufność lub podejrzenie, wiedz, że kosztować cię to będzie życie lub więcej. Drożą cenę płacisz w tym targu. Ale za późno już, żeby się oglądać za siebie. Zobowiązuję cię i zaklinam na wszystko, co święte i co straszliwe — dochowaj przysięgi.

Po raz pierwszy od wielu lat mówię prawdę, a rozmowa dzisiejsza nigdy się nie powtórzy. Nie chcę litości. Nie pragnę pociechy. Żyjąc w ciągłej grozie zachowam przynajmniej do końca hart duszy. Gdyby los mój był inny, umiałbym ten hart duszy obrócić na lepszą sprawę... Mogę odchodzić od rozumu, mogę być nieszczęsny i szalony, lecz nawet w szaleństwie potrafię zachować przytomność umysłu i roztropność.

Taka była historia, którą tak pragnąłem poznać. Choć rozmyślałem na ten temat od całych miesięcy, każde słowo uderzało mnie jako nowe i nieoczekiwane. „Mr Falkland jest mordercą” — mówiłem sobie wychodząc po tej rozmowie i to straszliwe miano „morderca” mroziło mi krew w żyłach. „Zabił Mr Tyrrela, gdyż nie mógł opanować swej nienawiści i gniewu, poświęcił Hawkinsa-ojca i Hawkinsa-syna, gdyż za żadną cenę nie mógł znieść myśli o publicznej niesławie; jakżeż mam wierzyć, że człowiek tak porywczy i okrutny wcześniej czy później nie uczyni mnie swą ofiarą?” Lecz mimo tych okropnych wniosków, jakie z historii tej wyciągnąłem — wniosków, którym w tej lub innej postaci ludzkość zawdzięcza dziewięć dziesiątych swej odrazy do występku — nie mogłem powstrzymać się od nasuwających mi się czasem refleksji przeciwnej natury. „Mr Falkland jest mordercą — mówiłem sobie — mógłby jeszcze być najdoskonalszym człowiekiem, gdyby się tylko za takiego uważał.” Gdyż to nasze przekonanie o własnej występności pomaga nam stać się występny.

Wstrząśnięty odkryciem, że moje podejrzania były słuszne, w co nigdy całkowicie nie wierzyłem, odnajdywałem jednak nowe powody, by podziwiać mego pana. Groźby jego były istotnie straszliwe. Lecz uprzytomniwszy sobie własną przewinę, tak sprzeczną z wszystkimi przyjętymi zasadami cywilizowanego społeczeństwa, przewinę tak zuchwałą i grubiańską, tak niedopuszczalną wobec człowieka o tej co Mr Falkland pozycji i w jego szczególnej sytuacji — zdumiony byłem jego pobłażliwością. Nie brakło oczywistych racji, dla których Mr Falkland wolałby nie uciekać się do ostateczności wobec mnie. Jednakże jak odmienne od tego, czego w lęku oczekiwałem, było jego nacechowane spokojem zachowanie i umiarkowana mowa! Z tego względu przez krótki czas wyobrażałem sobie, że nie grożą mi nieszczęścia, które mnie tak

trwożyły, i że mając do czynienia z człowiekiem tak wyrozumiałym, nie powinienem się lękać żadnej srogości.

„Spodziewa się po mnie najgorszego — mówiłem sobie. — Wyobraża sobie, że nie kieruję się żadnymi zasadami i że jestem niewrażliwy na jego osobiste zalety. Lecz przekona się, że się omylił. Nigdy nie stanę się donosicielem. Nigdy nie będę działał na szkodę mego chlebodawcy i dlatego też nigdy nie stanie się on moim wrogiem. Pamiętając o wszystkich jego niedolach i błędach, z całej duszy pragnę jego dobra. Jeśli był zbrodniarzem — sprawiły to okoliczności; w innych okolicznościach ta sama natura byłaby — a raczej była — wyjątkowo użyteczna.

Niewątpliwie moje rozumowanie było nieskończenie bardziej przychylnie dla Mr Falklanda niż zwykle rozumowania ludu w wypadkach tzw. wielkich zbrodniarzy. Nic w tym zresztą dziwnego zważywszy, że i ja sam przekroczyłem ustalone granice tego, co dozwolone, i dlatego mogłem żywić współczucie dla innych przestępców. W dodatku uważałem kiedyś Mr Falklanda za dobroczynne bóstwo. Mogłem do woli i z niezawodną dokładnością poznać wyjątkowe zalety jego serca i stwierdziłem, że umysł jego był nieporównanie bogatszy i bardziej ukształcony od wszystkich, jakie kiedykolwiek znałem.

Lecz choć dręczące mnie obawy znacznie ustąpiły, położenie moje było mimo to godne pożałowania. Swoboda i wesołość młodych lat odbiegły mnie na zawsze. Nieodparty głos konieczności wołał do mnie: „nie zaśniesz już więcej” [**Cytat z *Makbeta* Wiliama Szekspira. Akt II, scena 2, tłumaczenie Paszkowskiego.**]. Ciężała mi tajemnica, od której brzemienia nigdy nie miałem się uwolnić, a świadomość tego była w moim wieku źródłem wiecznej melancholii. Na całe lata, kto wie, może na resztę życia uczyniłem z siebie więźnia w najokropniejszym sensie tego słowa. Choćbym zawsze był roztropny i ostrożny, muszę pamiętać, że będzie mnie śledził człowiek podejrzliwy w poczuciu swej winy, żywiący urazę za niewybaczalny sposób, w jaki wydobyłem z niego to wyznanie; człowiek, którego najłżejszy kaprys może w każdej chwili zdecydować o wszystkim, co mi drogie. Nawet czujność despotycznego systemu państwowego ustępuje wobec czujności, której bodźcem są najsilniejsze namiętności

duszy. Nie wiedziałem, jaki znaleźć ratunek przed takim prześladowaniem. Nie śmiałem ani uciec spod baczego oka Mr Falklanda, ani żyć dalej pod jego spojrzeniem. Początkowo moja ostrożność była istotnie w pewnej mierze uśpiona pozornym bezpieczeństwem, choć stałem tuż nad przepaścią. Lecz niezadługo tysiączne jej okoliczności zaczęły mi przypominać o moim rzeczywistym położeniu. Opiszę tu najbardziej pamiętne spośród nich.

## ROZDZIAŁ XIX

W niedługim czasie od chwili kiedy Mr Falkland odkrył mi swą tajemnicę, przybył do naszego dworu na krótki pobyt jego starszy brat przyrodni ze strony matki, Mr Forester. Wobec trybu życia i skłonności mego pana było to wydarzenie szczególnie dlań niepomyślne. Jak już wspomniałem, zerwał on wszystkie sąsiedzkie stosunki towarzyskie. Odmawiał sobie wszelkiej zabawy i rozrywki. Unikał towarzystwa swoich bliźnich, a samotność i zapomnienie, w jakich żył, zdawały mu się ciągle za małe. Człowiekowi o silnej woli nietrudno było w większości wypadków wprowadzać w życie tę zasadę. Lecz jak uniknąć wizyty brata — tego Mr Falkland nie wiedział. Dżentelmen ów powrócił był właśnie do kraju po wieloletnim pobycie na kontynencie i prosił o możliwość zatrzymania się w domu przyrodniego brata do chwili, kiedy jego własna siedziba oddalona o trzydzieści mil będzie gotowa na jego przyjęcie. Zwrócił się do Mr Falklanda z taką ufnością, że trudno było odmówić. Mr Falkland mógł tylko wymawiać się złym stanem zdrowia i niewesołym usposobieniem, które — obawiał się — nie wróżą bratu przyjemnego pobytu w jego domu. Mr Forester zaś sądził, że jest to mankament, który wzrasta, im bardziej mu się pobłaza, i miał nadzieję, że zmuszając Mr Falklanda do rezygnacji ze swoich nawyków samotnika odda mu prawdziwą przysługę. Mr Falkland nie oponował dłużej. Nie chciał być posądzony o nieżyczliwość względem krewniaka, dla którego czuł szczególny szacunek, zaś świadomość, że nie może wyjawić prawdziwych powodów ostrzegała go, by nie trwał w swym uporze.

Mr Forester był pod wieloma względami przeciwieństwem mego pana. Już sama powierzchowność mówiła o jego szczególnym usposobieniu. Wzrostu niskiego, budowy był kanciastej; nad głęboko osadzonymi oczami zwisały brwi czarne, grube, krzaczaste. Cerę miał smagłą, a rysy twarzy

ostre. Widział niemało świata, lecz sądząc z powierzchowności i manier, można by pomyśleć, że nigdy nie ruszył się krokiem z własnego domu.

Z natury był kwaśny, drażliwy i szorstki. Obrażał się o byle co i dlatego ci, którzy z nim obcowali, nigdy nie wiedzieli, o co się obrazi. Obrażony, stawał się jeszcze o wiele bardziej przykry niż zazwyczaj. Myślał tylko o tym, aby winowajcy dać dobrą naukę i upokorzyć za popełniony błąd, a w tym zapale zapominał o uczuciach ofiary i o bólu, jaki zadawał. Perswazje w takim wypadku uważał za wynik tchórzostwa, które należy wytrzebić pewną i nie cofającą się przed niczym ręką, nie zaś pobłażać mu pozorami uprzejmości i wyrozumiałości. Zgodnie z właściwościami natury ludzkiej stworzył sobie filozofię odpowiadającą jego uczuciom. Utrzymywał, że życzliwość, jaką odczuwamy do kogoś, powinna być ukrywana, że może się objawiać w czynach, lecz nie w słowach, aby człowiek, ku któremu jest skierowana, nie nadużył jej.

Przy całej pozornej szorstkości Mr Forester miał żywo czujące i szlachetne serce. Na pierwszy rzut oka wszystkich odstraszał jego sposób bycia i ludzie skłonni byli przypisywać mu zły charakter. Lecz im dłużej ktoś go znał, tym bardziej szanował. Szorstkość jego wydawała się wówczas tylko nawykiem, a bliscy znajomi wychwalali ponad wszystko jego rozsądek i uczynność. Rozmowa z nim, kiedy nie używał ostrych przytyków i uszczypliwie nie cedził słówek, nabierała płynności i stawała się niezwykle zajmującą. Łączył w sobie powagę ze specyficznym humorem angielskim — co świadczyło jednocześnie o żywości obserwacji i przenikliwości umysłu.

Osobliwości charakteru tego dżentelmena ujawniły się prędko w nowym otoczeniu. Z natury bardzo życzliwy, rychło zainteresował się nieszczęściem swego krewnego. Czynił wszystko, co mógł, by mu pomóc, lecz usiłowania jego były zbyt prostackie i niezręczne. Mając do czynienia z człowiekiem o tak światłym umyśle i wrażliwej duszy jak Mr Falkland, Mr Forester nie dawał folgi swej zwykłej rubasznosci, lecz choć troskliwie starał się nie być szorstki, nie miał w sobie jednak tej z duszy płynącej słodyczy, która mogłaby na chwilę ukoić rozpacz Mr Falklanda.

Napominał gospodarza, by wzbudził w sobie męstwo i stawiał czoło

plugawemu szatanowi, lecz ton tych napominań nie trafiał do serca mego pana. Mr Forester nie miał dość zręczności, by go przekonać, że jest w błędzie. Jednym słowem, po tysiącnych wysiłkach okazania życzliwości gospodarzowi domu gość znużył się, stał się markotny i niezadowolony więcej z powodu własnej bezsilności niż uporu Mr Falklanda. Tego ostatniego obdarzał po dawnemu serdecznym uczuciem i szczerze bolał widząc, że tak niewiele może mu dopomóc. Obie strony miały uznanie dla siebie, jednak usposobienia ich były tak różne, że nie było obawy, by przybysz mógł stać się nieodłącznym towarzyszem właściciela domu. Charaktery ich nie miały bodaj żadnego punktu stycznego. Mr Forester nie potrafił sprawić bratu ani żywego bólu, ani wielkiej przyjemności, nie umiał poruszyć Mr Falklanda, aby choć na chwilę wyrwać go z samotności.

Nasz gość, mimo odmiennych pozorów, był człowiekiem o wyjątkowo towarzyskim usposobieniu, a kiedy mu nie przerywano ani nie przeciono — również bardzo rozmownym. Obecna sytuacja pozbawiająca go właściwego żywiołu zaczęła mu być przykra. Mr Falkland żył w samotności, pochłonięty swymi rozmyślaniami. Po przyjeździe krewnego narzucił był sobie pewien przymus, choć i wtedy jego ulubione przyzwyczajenia brały nad nim górę. Lecz po pewnym okresie przestawania ze sobą, kiedy stało się widoczne, że towarzystwo jednego byłoby drugiemu raczej ciężarem niż przyjemnością, postanowili w drodze milczącego porozumienia, iż każdy będzie miał swobodę pójścia za własnymi skłonnościami. Najwięcej — w pewnym sensie — zyskał na tym Mr Falkland. Powrócił do swoich przyzwyczajzeń i zachowywał się prawie tak, jak gdyby Mr Forester w ogóle nie istniał. Ten ostatni natomiast nie wiedział zupełnie, co ze sobą począć. Musiał znosić wszystkie przykrości życia w odosobnieniu, nie mogąc, jakby to był uczynił we własnym domu sprowadzić sobie towarzystwa ani oddawać się ulubionym rozrywkom.

Będąc w tym położeniu zwrócił uwagę na mnie. Zasadą jego było czynić wszystko, co mu się podobało, nie dbając o konwenanse światowe. Nie widział powodu, dla którego chłop o pewnym wykształceniu i w pewnych okolicznościach nie miałby być równie dobrym towarzyszem co lord. Przekonanie to w niczym nie naruszało głębokiej czci, jaką Mr Forester



miał dla z dawien dawna istniejącego porządku świata. Zmuszony niejako szukać ostatniej deski ratunku, uznał, że lepiej mu się nadaje niż ktokolwiek inny z domowników Mr Falklanda.

Sposób, w jaki zaczął zbliżać się do mnie, był dość charakterystyczny. Czynił to bez wielkich wstępów, ale z prawdziwą dobrocią, ceremonialnie i z humorem; ale ta rubaszność, z jaką zniżał się do poziomu przeciętności (zwłaszcza w wypadku obcowania z nierównym sobie), miała w sobie coś pociągającego. Musiał przewyciężyć siebie, a zarazem zachęcić mnie, przewyciężyć nie do lekceważenia arystokratycznej pychy, bo tej miał bardzo niewiele, ale zadając sobie trud kaptowania mnie — lubił bowiem wygodę. Wszystko to czyniło go trochę innym niż zwykle. Był niezdecydowany i zachowywał się jak gdyby chimerycznie.

Ze swej strony bynajmniej nie byłem niewdzięczny za to wyróżnienie. Ogarnęła mnie przejściowo melancholia, ale rezerwa, z jaką się zachowywałem, nie wynikała z niewrażliwości lub mrukliwości. Nie opierałem się długo łaskawym względom Mr Forestera. Stawałem się stopniowo uważny, ośmielony, pełen ufności. Byłem niezwykle spragniony znajomości świata, a choć nikt może nie okupił tak drogo doświadczeń nabytych w tej szkole, skłonność ta nie uległa bynajmniej osłabieniu. Mr Forester był drugim człowiekiem, którego uznałem za niezwykle godnego mego zainteresowania. Doszedłszy do końca pierwszego eksperymentu, sądziłem, że zasługuje on na dokładne studium niemal w równej mierze co sam Mr Falkland. Cieszyłem się, że mogę uciec przed przykrymi myślami, i nawiązawszy kontakt z nowym przyjacielem zapomniałem o krytycznym położeniu i o nieszczęściach, które mi nieustannie groziły.

Pod wpływem tych uczuć stałem się tym, czego pragnął Mr Forester — pilnym i zapalonym słuchaczem. Byłem łatwo podatny na wzruszenia, a zmienne wrażenia odbierane przez mój umysł odbijały się w mojej fizjonomii i ruchach. Obserwacje poczynione przez Mr Forestera w podróży, szereg poglądów, jakie sobie wyrobił — wszystko bawiło mnie i zajmowało. Jego sposób opowiadania lub wykładania swych pojęć był dosadny, jasny i oryginalny, zaś sposób prowadzenia rozmowy miał w sobie szczególny ogień. Wszystko, co mówił, zachwycało mnie, a z kolei moje

żywe współodczuwanie, nienasycona ciekawość i szczerść uczuć czyniły ze mnie dla Mr Forestera najbardziej pożądanego słuchacza. Nie należy się przeto dziwić, że stosunki nasze z każdym dniem stawały się bardziej zażyłe i serdeczne.

Mr Falklandowi sądzone było zawsze być nieszczęśliwym, wydawało się, że z każdego nowego zdarzenia potrafi on wyciągnąć pożywkę dla tej wszechwładnej skłonności. Był znudzony wiecznym powtarzaniem się tych samych wrażeń, a zarazem żywił nieprzewyciężoną odrazę do wszystkiego, co nowe. Na pobyt Mr Forestera patrzył niechętnie. Ledwie mógł spojrzeć na niego nie wzdrygnąwszy się. Gość widział to i litował się, biorąc te objawy raczej za nawyk i skutek choroby niż za jakąś świadomą niechęć. Żadna z czynności przybysza nie pozostała nie zauważona, najbardziej obojętne z nich budziły w gospodarzu niepokój i podejrzliwość. Początki zbliżenia między mną a Mr Foresterem zrodziły przypuszczalnie w umyśle mego pana uczucie zazdrości. Zmienny, nierówny charakter gościa pogłębiał jeszcze tę zazdrość, wywołując wrażenie czegoś niewytłumaczalnego i tajemniczego. Wtedy to Mr Falkland dał mi do zrozumienia, że bliższe stosunki między mną a tym panem są mu niemiłe.

Cóż mogłem zrobić? Czy można było oczekiwać, abym tak młody, odgrywał filozofa i nieustannie trzymał w ryzach swe skłonności? Choć raz postąpiłem nieroztropnie, czy mogłem dobrowolnie poddać się wiecznej karze i wykluczeniu z ludzkiej społeczności? Czy mogłem odpowiadać niechęcią na szczerść tak doskonale zgodną z moimi pragnieniami i niewdzięcznym sercem przyjmować łaskawość, która porwała mnie bez reszty?

Poza tym jak najgorzej nadawałem się do owej niewolniczej uległości, jakiej żądał Mr Falkland! We wczesnej młodości przyzwyczałem się być panem samego siebie. Kiedy wstąpiłem na służbę Mr Falklanda, nowość położenia trzymała zrazu na wodzy moje przyzwyczajenia, a wyjątkowe przymioty mego pana zdobyły me serce. Kiedy zatarł się wpływ nowości, wystąpiła ciekawość, która póki trwała we mnie, silniejsza była nawet od ukochania niezależności. Gotów jej byłem poświęcić wolność i życie. Dla jej zaspokojenia gotów byłem znieść warunki życia Murzynów w Indiach

Zachodnich lub tortury zadawane przez dzikich mieszkańców Ameryki Północnej. Lecz teraz podniecenie ciekawości ustąpiło.

Tak długo, jak groźby Mr Falklanda były ogólnikowe — znosiłem je. Miałem poczucie niestosowności czynu, który popełniłem, i to czyniło mnie uległym. Lecz kiedy on posunął się dalej i zaczął dyktować mi, jak mam postępować w najdrobniejszych szczegółach, cierpliwość moja wyczerpała się. Już przedtem dość głęboko przeżywałem nieszczęsną sytuację, w jakiej postawiła mnie własna nieostrożność, teraz ujrzałem okoliczności tej sprawy w jaśniejszym i bardziej niepokojącym świetle. Mr Falkland nie był stary; miał duże zasoby sił, aczkolwiek siły te mogły się wydawać nadwerężone. Mógł żyć równie długo jak ja. Byłem jego więźniem, i to jakim więźniem! Każda moja czynność była śledzona, każdy gest dostrzeżony. Nie mogłem się krokiem ruszyć, by nie podążyło za mną spojrzenie mojego dozorczy. Śledził mnie, a ten nieustanny nadzór męczył mnie straszliwie. Nie było już dla mnie ani swobody, ani beztroski, ani młodości. Takie więc było to życie, z którym łączyłem tyle żywych i słodkich nadziei. Czy miałem zmarnować wszystkie moje dni w tym bezradosnym mroku? Bezwolny w rękach tego świata, niczym galernik, którego śmierć dopiero, śmierć moja lub mojego nieubłaganego zwierzchnika, może wyzwolić?

Poczynałem sobie hazardownie, kiedy chodziło o zaspokojenie dziecinnej i nierozsądnej ciekawości, i teraz, kiedy szło o obronę wszystkiego, co czyni życie pięknym, postanowiłem, jeśli zajdzie tego potrzeba, poczynić sobie niemniej hazardownie. Byłem przygotowany na przyjazne uzgodnienie naszych interesów. Gotów byłem zaręczyć, że Mr Falkland nigdy nie dozna krzywdy z mojej przyczyny, lecz w zamian za to oczekiwałem, że i ja nie spotkam się z wdzieraniem się w moje prawa, a będę miał swobodę postępowania według własnej woli.

W dalszym ciągu więc z całą skwapliwością szukałem towarzystwa Mr Forestera, a z natury rzeczy zażyłość, która nie wygasa, stopniowo wzrasta. Mr Falkland obserwował te objawy z widocznym wzburzeniem. Ja zaś, ilekroć czułem, że on mnie obserwuje, zdradzałem zmieszanie — co z kolei nie przyczyniało się do uspokojenia jego obaw. Pewnego dnia zwrócił

się do mnie na osobności i z wyrazem tajemniczej, lecz straszliwej powagi tak powiedział:

— Przyjmij tę przestrożę, młodzieńcze! Być może, jest to ostatnia, jaką ci daję! Nie będę wiecznie zabawką dla twego prostactwa i niedoświadczenia ani nie zniosę, by twoja niezręczność triumfowała nad moją siłą! Czemu igrasz ze mną? Nie podejrzewasz ogromu mej potęgi. W tej chwili uwięziony jesteś w niewidzialnym dla ciebie potrzasku mej zemsty, a gdybyś pochlebiał sobie, żeś już wolny, zatrzaśnie się ostatecznie. Równie dobrze mógłbyś myśleć o wymknięciu się spod władzy wszechobecnego Boga, jak spod mojej! Gdybyś próbował zaszkodzić mi, choćby ot, tyle, odpokutowałbyś to godzinami, miesiącami i latami udręki, o jakiej dotąd nie masz najsłabszego wyobrażenia. Zapamiętaj to sobie! Nie mówię na wiatr! Jeśli mnie sprowokujesz, każde słowo z tego, co tu powiedziałem, będzie dotrzymane co do joty.

Łatwo się domyślić, że te groźby nie pozostały bez skutku. Odszedłem w milczeniu. Całą duszą buntowałem się przeciw takiemu traktowaniu, nie mogłem jednak wydobyć z siebie ani słowa. Czemu nie byłem w stanie powiedzieć tego, na co skarżyło się serce, lub nie przedstawiłem polubownego rozwiązania sprawy, o jakim myślałem? Przerazał mnie nie brak siły, ale niedoświadczenie. Każdy postępek Mr Falklanda miał w sobie coś nieoczekiwanego i zaskakiwał mnie. Być może, dałoby się stwierdzić, że największy bohater zawdzięcza swe bohaterstwo właśnie temu, że nie jest zaskoczony żadnymi przeciwnościami i natychmiast potrafi przeciwstawić się im.

Z najgłębszym zdumieniem przyglądałem się poczynaniom mego chlebodawcy. Życzliwość i uprzejmość dla wszystkich były istotnymi cechami jego charakteru; w stosunku do mnie jednak cechy te przestawały działać, stawały się bezpłodne. Jego własne dobro wymagało, by zdobył sobie moją przyjaźń, lecz on wolał opanować mnie strachem i spoglądać na mnie z nieustannym niepokojem. Pełen najposępniejszych uczuć, rozmyślałem nad własną niedolą. Byłem przekonany, że nigdy żadna istota ludzka nie znajdowała się w tak pożałowania godnej sytuacji jak ja. Każdy atom mego ciała zdawał się żyć odrębnym życiem i poruszać się we mnie.

Miałem — niestety — aż za wiele powodów, by wierzyć, że groźby Mr Falklanda nie były pustymi słowami. Znałem jego możliwości, czułem jego przewagę. Gdybym się zmierzył z nim, jakąż miałbym szansę zwycięstwa? Gdybym w walce przegrał, jakąż karę musiałbym wycierpieć? Więc cóż, reszta mojego życia musi upłynąć w niewolniczej uległości. Okrutna to myśl! A gdyby i tak było, jakąż mogę mieć pewność — wobec niesprawiedliwości człowieka podejrzliwego, chimerycznego i zbrodniarza? Zazdrościłem skazańcowi na rusztowaniu, zazdrościłem ofiarom inkwizycji, poddawanych torturom. Oni wiedzą, co ich czeka. Ja mogłem tylko wyobrazić sobie wszystko najstraszliwsze i mówić sobie: „Los, który mnie czeka, jest gorszy od tego.”

Na szczęście dla mnie były to uczucia przejściowe: natura ludzka nie może długo pozostawać w stanie, jaki przeżywałem. Stopniowo umysł mój otrząsnął się z tego brzemienia. Uczucie strachu ustąpiło oburzeniu. Wrogi stosunek Mr Falklanda obudził wrogość i we mnie. Postanowiłem, że nigdy nie będę go obmawiał, choćby w sprawach najbłaższych, a tym bardziej, że nie zdradzę wielkiej tajemnicy, od której zawisło wszystko, co mu drogie. Lecz całkowicie wyrzekając się działań zaczepnych, zdecydowałem stać twardo na linii obronnej. Czymkolwiek by to mogło grozić, postanowiłem zachować wolność postępowania według własnej woli. Jeśli zostanę pokonany w tej walce, znajdę przynajmniej pociechę rozmyślając o tym, że walczyłem dzielnie. W miarę jak umacniałem się w tym przekonaniu, zdecydowałem nie marnować sił na drobne potyczki, a działać z premedytacją i według planu. Rozważałem ustawicznie jakieś plany oswobodzenia się, lecz nie chciałem zrobić zbyt pochopnego wyboru.

Właśnie w tym okresie rozmyślań i niepewności Mr Forester postanowił wyjechać. Zauważył moje dziwne oddalenie się i wypomniał mi to na swój szorstki, dobroduszny sposób. Mogłem odpowiedzieć tylko chmurnym, pełnym tajemniczej powagi spojrzeniem i posępnym, a wymownym milczeniem. Starał się wydobyć ze mnie jakieś wyjaśnienie, lecz tak jak pierwszej gorąco szukałem jego towarzystwa, tak teraz zręcznie go unikałem. Tak więc opuścił nasz dwór pod wrażeniem, jak mi to później opowiedział, że nad tym domem zawisł jakiś zły los, który nieuchronnie pcha wszystkich

jego mieszkańców ku nieszczęściu, podczas gdy stojący na boku obserwator  
niezdolny jest dociec jego przyczyn.

## ROZDZIAŁ XX

Od wyjazdu Mr Forestera upłynęło około trzech tygodni, kiedy Mr Falkland wysłał mnie w jakimś interesie do swej posiadłości ziemskiej w sąsiednim hrabstwie, położonej o blisko pięćdziesiąt mil od jego głównej rezydencji. Droga moja prowadziła w kierunku zupełnie różnym od miejsca zamieszkania naszego niedawnego gościa. W drodze powrotnej zacząłem zastanawiać się nad rozmaitymi okolicznościami mojej sytuacji i — pogrążony w tych rozważaniach — przestałem stopniowo zwracać uwagę na otaczające mnie przedmioty. Pierwszym moim postanowieniem było wymknąć się spod podejrzliwej zazdrości i despotycznej władzy Mr Falklanda, drugim zaś, całym możliwym wysiłkiem rozwagi i ostrożności zapobiec nieszczęściu, które — jak dobrze wiedziałem — musiałyby iść w parze z taką próbą.

Zajęty tymi myślami, ujechałem wiele mil, zanim spostrzegłem, że zupełnie zboczył z drogi. W końcu ocknąłem się i rozejrzałem dokoła, ale nie mogłem dostrzec nic znanego. Z trzech stron, jak daleko wzrok sięgał, otaczało mnie wrzosowisko, z czwartej ujrzałem w pewnej odległości niewielki las. Nie widziałem przed sobą najmniejszego śladu, że jakaś ludzka istota odwiedzała już kiedyś to miejsce. Najlepszym wyjściem, jakie mogłem wymyślić, było skierować się w stronę wspomnianego lasu i potem jechać, o ile się dało, wzdłuż biegnącego kręto jego ogrodzenia. W ten sposób znalazłem się po pewnym czasie na skraju wrzosowiska, ale w dalszym ciągu nie wiedziałem zupełnie, jaką obrać drogę. Słońce skryło się, niebo zachmurzyło i poszarzało. Musiałem nadal posuwać się brzegiem lasu i z pewną trudnością przebywać płoty i inne napotykanne raz po raz przeszkody. Myśli moje były mroczne i pełne troski: posępny dzień, otaczające mnie pustkowia, zdawały się napełniać mnie smutkiem.

Ujechałem tak spory kawał i osłabłem z głodu i zmęczenia, kiedy

ujrzałem drogę i w niewielkiej odległości — jakąś niedużą gospodę. Zbliżyłem się do niej, a rozpytawszy ludzi dowiedziałem się, że nie jadę w dobrym kierunku, a zdążam raczej ku dworowi Mr Forestera niż ku naszemu. Zsiadłem z konia i wszedłem do gospody, gdzie wzrok mój napotkał od razu właśnie tego dżentelmena.

Mr Forester zbliżył się do mnie łaskawie, zaprosił do izby, w której siedział, i zapytał, jaki przypadek sprowadził mnie w to miejsce.

Podczas gdy on mówił, ja nie mogłem się oprzeć rozważaniom, w jak niezwykle sposób los zetknął nas ponownie, a to znów nasuwało mi dalsze myśli. Mr Forester kazał przygotować dla mnie jakiś posiłek, usiadłem i zacząłem go spożywać. Tymczasem w mojej świadomości tkwiło wciąż uparcie: „Mr Falkland nie dowie się nigdy o naszym spotkaniu. Oto okazja, która wprost wychodzi mi naprzeciw, jeśli nie skorzystam z niej, zasługuję na wszystko, co może mnie spotkać. Mogę oto rozmawiać z przyjacielem, i to przyjacielem potężnym, nie obawiając się, że jestem śledzony i nadzorowany.” Cóż dziwnego, że odczuwałem pokusę pomówienia, nie o tajemnicy Mr Falklanda, ale o własnej sytuacji, by zasięgnąć rady człowieka zacnego i doświadczonego, co być może, dałoby się zupełnie dobrze zrobić bez wchodzenia w jakiegokolwiek krzywdzące dla mego chlebodawcy szczegóły.

Mr Forester ze swej strony podkreślał, że pragnie dowiedzieć się, dlaczego czuję się nieszczęśliwy i czemu unikałem go pod koniec jego pobytu pod wspólnym dachem, skoro poprzednio przestawałem z nim z widoczną przyjemnością. Odparłem, że w tym względzie mogę zaspokoić jego ciekawość w sposób niepełny, lecz chętnie wyjaśnię wszystko, co będę mógł.

— Rzecz w tym — ciągnąłem — że dla pewnych przyczyn nie miałem pod dachem Mr Falklanda ani chwili spokoju. Niejednokrotnie zastanawiałem się nad tą sprawą i w końcu doszedłem do wniosku, że powinienem opuścić jego służbę.

Dodałem, że czuję, iż takim częściowym tylko zwierzeniem mogę pozornie zasłużyć raczej na naganę Mr Forestera niż na jego łaskę, wyraziłem jednak przekonanie, że gdyby znał całą sprawę, sam



pochwalałby moją powściągliwość, choć teraz moje zachowanie może mu się wydawać dziwne.

On zdawał się przez chwilę dumać nad tym, co powiedziałem, a potem zapytał, jakie mam powody, by skarżyć się na Mr Falklanda. Odparłem, że żywię dla mego chlebodawcy najgłębszy szacunek, że podziwiam jego talenty i uznaję go za chlubę rodzaju ludzkiego. Wedle mego własnego zdania byłbym najnędniejszym łotrem, gdybym szepnął choć słowo przeciwko niemu. Ale to mu nie wystarcza. Nie jestem dla niego odpowiedni, być może, nie jestem mu dość użyteczny. Tak czy inaczej, jak długo pozostanę z nim, będę nieszczęśliwy.

Zauważyłem, że Mr Forester spogląda na mnie bystro, z ciekawością i zdumieniem; lecz sądziłem, że nie wypada mi się z tym zdradzić. Czemuż więc, zapytał, uświadomiwszy sobie, że tak się rzeczy mają, nie opuściłem służby? Odpowiedziałem, że oto dotknął tego, co najbardziej przyczynia się do mojej niedoli. Mr Falkland orientuje się, jak cięży mi obecne położenie; być może, uważa moje zdanie za nierozsądne, niesprawiedliwe, ale wiem, że nigdy nie przystanie na spełnienie mojego pragnienia.

Tu Mr Forester przerwał mi i z uśmiechem powiedział, że wyolbrzymiam trudności i przeceniam własne znaczenie. Dodał, że postara się usunąć tę przeszkodę i znaleźć mi jakieś przyjemniejsze zajęcie. Ta wzmianka zatrwożyła mnie poważnie. Odpowiedziałem, że muszę go błagać, aby pod żadnym pozorem nie myślał o zwróceniu się do Mr Falklanda w tej sprawie. Dodałem, że być może, daję tym tylko świadectwo własnej głupoty, lecz będąc tak niedoświadczony i nieznający świata, choć nie dogadza mi mój obecny pobyt, boję się upierać przy własnych zamiarach i narazić tak znacznemu człowiekowi jak Mr Falkland. Jeśli Mr Forester zechce łaskawie doradzić mi coś w tej sprawie lub jeśli pozwoli mi liczyć na jego pomoc w wypadku jakichś nieprzewidzianych zdarzeń — byłoby to wszystko, o co ośmieliłbym się prosić. W takim wypadku odważyłbym się pójść za głosem mych skłonności i w ucieczce szukać utraconego spokoju.

Kiedy już tak otworzyłem serce — na tyle, na ile to było stosowne i bezpieczne przed tym szlachetnym i przyjaznym mi człowiekiem, przez

pewien czas siedział on bez słowa w głębokiej zadumie. Wreszcie z wyrazem niezwyklej surowości i z właściwą sobie szorstkością w głosie i zachowaniu odezwał się w te słowa:

— Możliwe, młody człowieku, że nie orientujesz się, czym jest w istocie twoje postępowanie. Nie wiesz, być może, o tym, że gdzie jest tajemnica, tam zawsze kryje się coś, czego nie wolno powiedzieć. Czy w ten sposób myślisz pozyskać względy poważnego i rozsądnego człowieka? Okazujesz mi niby zaufanie, potem zaś opowiadasz jakąś nie trzymającą się kupy historię, w której nie ma ani krzty zdrowego rozsądku!

Odparłem, że cokolwiek by myślał o tej sprawie, nie mogę nic więcej powiedzieć. Ufam, że prawość jego charakteru pozwoli mu nadać moim słowom odpowiednie znaczenie.

— Ach więc tak? Doprawdy? — powiedział. — Powiadam ci, mój panie, że prawość mego charakteru jest nieprzyjaciółką wszelkiego fałszu. Słuchaj, chłopcze, wiesz chyba, że pojmuję tę rzecz lepiej od ciebie. Powiedz mi wszystko lub nie oczekuj niczego poza naganą i pogardą.

— Wasza miłość — odrzekłem — zastanowiłem się dobrze. — Opowiedziałem o moim postanowieniu i cokolwiek by z tego wynikło, muszę trwać przy nim. Jeśli pan odmawia mi w tym nieszczęściu pomocy, muszę na tym zakończyć osiągnąwszy tą rozmową tylko nieprzychylnie zdanie i niełaskę z pana strony.

Spojrzał na mnie ostro, jakby chciał mnie przejrzeć na wskroś. W końcu twarz jego wy pogodziła się i obejście złagodniało:

— Jesteś nierozsądnym, upartym chłopcem — powiedział — i będę miał na ciebie oko. Nie będę już ci ufał jak dotąd. Ale nie opuszczę cię. W tej chwili szale niechęci i życzliwości przechyliły się na twoją korzyść.

Jak długo to potrwa, nie umiem powiedzieć, nie ręczę za nic. Lecz jest moją zasadą postępować tak, jak czuję. Tym razem zrobię to, czego pragniesz, i prosz Boga, aby ci to wyszło na korzyść. Przyjmę cię pod swój dach czy to teraz, czy później — ufając, że nie będę miał powodów żałować tego i że wszystko zakończy się tak szczęśliwie, jak tego pragnę, choć z trudem przychodzi mi w to wierzyć.

Zaczęliśmy żywo omawiać sprawy tak ważne dla mojego spokoju, kiedy

przerwał nam wypadek, którego najbardziej chciałem uniknąć. Do izby wtargnął nieoczekiwanie — jak gdyby spadł z nieba — Mr Falkland. Dowiedziałem się później, że Mr Forester zjechał tu udając się na spotkanie z Mr Falklandem i że miejscem tego spotkania miała być najbliższa stacja pocztowa. Nasze przypadkowe zejście się zatrzymało Mr Forestera w tej oberży i rzeczywiście na chwilę zapomniał, że miał jechać dalej. Tymczasem Mr Falkland nie znalazłszy go tam, gdzie go oczekiwał, ruszył w kierunku dworu swego kuzyna i zjechał tutaj. Na razie jednak spotkanie to wydało mi się czymś najbardziej niepojętym w świecie.

Natychmiast przewidziałem fatalne komplikacje, jakie mogą wyniknąć z tego wydarzenia. Moje spotkanie z jego bratem musi się wydać Mr Falklandowi nie przypadkowe, ale — przynajmniej z mojej strony — zamierzone. Zjechałem całkowicie z drogi, którą on mnie posłał, i znajdowałem się na szlaku, który wiódł prosto do dworu Mr Forestera. Co on o tym pomyśli? Jak wytłumaczy sobie fakt, że znalazłem się tutaj? Gdybym powiedział prawdę, że przybyłem tu bez żadnego zamiaru, po prostu dlatego, że zmyliłem drogę, prawda ta musiałaby się wydać najwierutniejszym kłamstwem, jakie kiedykolwiek wymyślono.

Zostałem więc przyłapany na gorącym uczynku tak surowo zakazanego mi spotkania. Lecz tym razem sprawa przedstawiała się nieskończenie gorzej niż dawniej, kiedy moja przyjaźń z jego bratem tak niepokoiła Mr Falklanda. Wówczas moje spotkania z Mr Foresterem były jawne i nie ukrywane i dlatego można było przypuszczać, że nie miały w sobie nic tajemniczego. Lecz obecna rozmowa, jeśli z góry ukartowana, była w najwyższym stopniu potajemna. Była też w tym samym stopniu niebezpieczna. Została wszak zakazana pod groźbą najstraszliwszych kar i Mr Falkland wiedział, jak głębokie wrażenie wywarły na mnie owe groźby. W tych zatem warunkach spotkanie takie nie byłoby, jego zdaniem, ukartowane dla jakiegoś błahego celu, o którym mógłby myśleć bez bólu serca. Takie były rozmiary mojej winy, taką śmiertelną trwogę musiała budzić moja obecność i słusznie mogłem przypuszczać, że kara, jaka mnie czeka, będzie odpowiednio wysoka. Groźby Mr Falklanda jeszcze dźwięczały mi w uszach, ogarnął mnie przemożny lęk.

Postępowanie tego samego człowieka w odmiennych okolicznościach jest często tak różne, że wprost trudno to sobie wytłumaczyć. W tej straszliwej, krytycznej dla siebie sytuacji Mr Falkland nie uległ w najmniejszym stopniu swym namiętnościom. Z początku oniemiał, oczy jego zabłysły zdumieniem; lecz w chwilę potem był już idealnie spokojny i opanowany. Gdyby nie to, niewątpliwie wyjaśniłbym natychmiast, w jaki sposób znalazłem się tutaj, a szczerłość opowiadania i zgodność faktów musiałaby choć w pewnej mierze wywołać pomyślne wrażenie. Lecz w tym stanie rzeczy pozostałem niemy, uległem, podobnie jak w przeszłości, pomieszeniu, które płynie z zaskoczenia. Zaledwie śmiałem oddychać, patrzyłem na to, co się dzieje, tyleż niespokojny co zdziwiony. Mr Falkland spokojnie rozkazał mi wrócić do domu i zabrać ze sobą chłopca stajennego, który mu towarzyszył. Usłuchałem w milczeniu. Dowiedziałem się później, że mój pan wypytywał dokładnie Mr Forestera o okoliczności towarzyszące naszemu spotkaniu. Widząc, że spotkanie zostało wykryte, Mr Forester wiedziony nawykami szczerości, który raz zakorzeniony z trudem daje się wykorzenić, opowiedział Mr Falklandowi wszystko, co się zdarzyło, wraz z uwagami, jakie się jemu samemu nasunęły. Mr Falkland przyjął to do wiadomości zachowując nienaturalne i dwuznaczne milczenie, co nie podniosło mnie bynajmniej w opinii Mr Forestera, którego umysł i tak już był zatruty nieufnością. Milczenie to płynęło po części z ostrożnego, badawczego i podejrzliwego usposobienia, po części zaś mogło być środkiem dla osiągnięcia pewnego celu — Mr Falkland nie był bowiem od tego, by nie podsycić nieufności wobec człowieka, z którym pewnego dnia przyjdzie mu się może zetrzeć.

Co do mnie, udałem się istotnie do domu, nie był to bowiem odpowiedni moment, by stawiać opór. Mr Falkland z całą premedytacją, której nadał pozory przypadku, zatroszczył się o to, by wysłać ze mną strażnika, który by czuwał nad jego więźniem. Zdawało mi się, jakoby mnie wiedziono do jednej z tych twierdz, słynnych w dziejach despotyzmu, z której nieszczęsna ofiara nigdy nie wychodzi z życiem, kiedym zaś wchodził do mego pokoju, czułem się, jakbym wchodził do lochu. Rozmyślałem o tym, że jestem wydany na łaskę człowieka, którego moje nieposłuszeństwo

doprowadziło do ostateczności i którego morderstwa zaprawiły w okrucieństwie. Nie miałem już żadnych widoków na przyszłość, nigdy już nie miałem wykonać planów, które snułem z niewymowną rozkoszą; a moja śmierć mogła być kwestią najbliższych paru godzin. Byłem ofiarą świadomej zbrodni, nie znającej spokoju ni nasycenia. Imię moje będzie wymazane spomiędzy żywych, a mój los pozostanie na zawsze tajemnicą. Człowiek, który mnie zamorduje, doda do swych wcześniejszych zbrodni jeszcze jedną, a nazajutrz będzie ze czcią i podziwem powitany przez swych bliźnich.

Pośród tych straszliwych rojeń jedna myśl przynosiła mi ulgę. Było to wspomnienie owego dziwnego i niewytłumaczalnego spokoju, który Mr Falkland przejawiał ujrzawszy mnie w towarzystwie Mr Forestera. Nie dałem się tym oszukać. Wiedziałem, że było to przelotne uciszenie i że nastąpią po nim najstraszliwsze burze i zawieruchy. Lecz człowiek o władnięty takim przerażeniem, jak ja w tej chwili, chwyta się najkruchszego źdźbła. „Ten spokój — mówiłem sobie — to chwila, którą obowiązany jestem wykorzystać. Im krócej potrwa, tym pośpieszniej winienem z niej zrobić użytek...!” Jednym słowem, powziąłem postanowienie, by skoro już byłem pod grozą zemsty Mr Falklanda — zaryzykować podsycenie jego zawziętości do jeszcze wyższego stopnia i zakończyć od razu obecny stan niepewności. Dopiero co przedstawiłem był moją sprawę Mr Foresterowi, a on zapewnił mnie o swej opiece. Postanowiłem niezwłocznie wystosować do Mr Falklanda następujący list. Nie pomyślałem o tym, że jeśli zamyśla coś tragicznego, list taki tylko go utwierdzi w tym postanowieniu.

„Wielmożny panie,

Powziąłem zamiar opuścić służby Waszej Miłości. Jest to krok dla nas obu pożądany. Stanę się wówczas tym, kim być jest moją powinnością — panem własnych czynów. Pan zostanie uwolniony od obecności osoby, której widok mimo wszelkich pana wysiłków sprawia mu przykrość.

Czemu miałby mnie Pan poddawać wiecznej pokucie? Czemu

młodzieńcze moje nadzieje skazywać na cierpienia i rozpacz? Miej na względzie dobroć, która ogólnie cechowała twoje postępowanie, i nie traktuj mnie — błagam — z niepotrzebną surowością. Serce moje pełne jest wdzięczności za Pańską łaskawość. Serdecznie proszę Waszą Miłość o przebaczenie mi wielu błędów W moim postępowaniu. Traktowanie, jakiego doznałem pod pańskim dachem, wydaje mi się niemal nieprzerwanym pasmem dobroci i szlachetności. Nigdy nie zapomnę o moich wobec Pana zobowiązaniach i nigdy się im nie sprzeniewierzę.

Pozostaję Waszej Miłości wdzięcznym, uniżonym i powolnym sługą

Kaleb Williams”

Napisanie tego listu zajęło mi wieczór owego dnia, który pozostanie na zawsze pamiętny w historii mojego życia. Mr Falkland nie powrócił jeszcze, choć oczekiwano go z godziny na godzinę. I to skłoniło mnie, bym pod pozorem znużenia uniknął z nim rozmowy. Udałem się na spoczynek. Łatwo sobie wyobrazić, że sen mój nie był ani głęboki, ani krzepiący.

Nazajutrz rano dowiedziałem się, że mój pan powrócił do domu dopiero późną nocą; że pytał o mnie, a kiedy mu powiedziano, że śpię już, nie odezwał się ni słowem więcej w tej sprawie.

Zadowolony z tego, poszedłem do gabinetu, w którym podawano śniadanie, i choć pełen niepokoju i lęku, próbowałem zająć się porządkowaniem książek i innymi drobnymi czynnościami, póki nie nadejdzie Mr Falkland.

Po krótkiej chwili dobiegły mnie z korytarza jego kroki, które tak doskonale umiałem rozpoznać. Nagle zatrzymał się i dosłyszałem, jak zwracając się do kogoś z naciskiem, aczkolwiek ściszonego głosem, powtórzył kilkakrotnie moje imię dopytując się o mnie. Wówczas zgodnie z planem, który powziąłem, położyłem list na stole, przy którym zazwyczaj siadał Mr Falkland, i kiedy on wchodził jednymi drzwiami, ja wyszedłem drugimi. Uczyniwszy to usunąłem się podniecony i z biciem serca do położonego na osobności pomieszczenia — był to rodzaj alkierza za biblioteką, gdzie zwykłem być nieraz siadywać.

Nie przebyłem tu i trzech minut, kiedy posłyszałem głos Mr Falklanda:

wzywał mnie. Poszedłem do niego do biblioteki. Wyglądał jak człowiek dręczony jakąś straszną myślą i próbujący nadać swemu zachowaniu pozory beztroski i spokoju. Żadne chyba inne postępowanie nie wywołałoby uczucia tak niewytłumaczalnej grozy ani nie obudziłoby w człowieku, którym ona owładnęła, tak niepokojącej niepewności co do tego, co nastąpi.

— Oto twój list — powiedział rzucając go. — Mój chłopcze — ciągnął dalej — spodziewam się, że wyczerpałeś już wszystkie swoje sztuczki i że cała ta farsa dobiega końca! Twoją niedorzeczną jednak, małą dokuczliwością nauczyłeś mnie jednego — i tak jak przedtem opędzanie się od niej było dla mnie udręką, tak teraz będę twardy i gruboskórny. I ostatecznie zmiążdżę cię z taką samą obojętnością, z jaką zgniótłbym nędznego robaka zakłócającego mi spokój.

Nie potrafię powiedzieć, jak doszło do wczorajszego twego spotkania z Mr Foresterem. Może było ono zamierzone, może przypadkowe. Ale nie zapomnę o tym. Piszesz mi tutaj, że pragniesz opuścić moje służby. Mam na to krótką odpowiedź: nie opuścisz ich nigdy, pókiś żywy. Jeśli pokusisz się o to, do końca dni twoich żałować będziesz twego szaleństwa. Taka jest moja wola i nie pozwolę, by się jej ktoś opierał. Za pierwszym razem, kiedy okażesz mi nieposłuszeństwo w tym czy innym względzie, raz na zawsze położę koniec wszystkim twym konceptom. Twoje położenie jest, być może, godne pożałowania — ale to już twoja sprawa. Ja wiem tylko, że w twojej mocy jest zapobiec temu, by nie stało się jeszcze gorsze. Ani czas, ani przypadek nie odmienią go przenigdy na lepsze.

Nie imaginuj sobie, że się ciebie boję! Mam na sobie zbroję, przeciw której każda twoja broń jest bezsilna. Wykopałem dla ciebie dół grobowy i w którąkolwiek stronę się ruszysz, w przód czy w tył, w prawo czy w lewo, on czeka, by cię pochłonać. Więc milcz! Kiedy raz weń wpadniesz, możesz wołać ile sił w płucach — nie usłyszy cię nikt na całym świecie. Przygotuj sobie najbardziej prawdopodobną albo najprawdziwszą historię, i tak cały świat przeklnie cię jako oszusta. Niewinność nie przyda ci się na nic; śmiać mi się chce z tak słabej obrony. Ja ci to mówię, możesz mi wierzyć!

Czy nie wiesz, podły nędzniku — dodał odmieńając nagle ton głosu i tupiąc nogą z wściekłością — że przysiągłem sobie za każdą cenę zachować

dobre imię? Że kocham je więcej niż cały świat i wszystkich jego mieszkańców razem wziętych? I ty myślisz, że zdołasz zaszargać to imię? Precz, łotrze, gadzie! przestań opierać się niezwykłej potędze!

Losy moje, które teraz opisuję, budzą we mnie najmniej pobłażliwości. Jak to się stało, że znów uległem władczej postawie Mr Falklanda i niezdolny byłem wyjąkać ani słowa? W dalszym toku opowieści czytelnik zapozna się z niejednym wypadkiem, w którym nie zbywało mi ani na pomysłowości w wynajdywaniu fortelów, ani na sile, z jaką podejmowałem własną obronę. Prześladowanie w końcu dodało mi tężyzny i zrobiło ze mnie mężczyznę. Ale w obecnej chwili byłem niezdecydowany, zalękniony i zmieszany.

Słowa, które usłyszałem, podyktowane były szaleństwem i obudziły we mnie podobne szaleństwo. Ono to skłoniło mnie do czynu, przed którym tak uroczyście zostałem ostrzeżony — do ucieczki z domu mego chlebodawcy. Nie mogłem się wdawać z nim w rozmowy; nie mogłem dłużej znosić tego upodlającego jarzma, jakie mi narzucał. Na próżno rozsądek ostrzegał mnie przed każdym pośpiesznym i nieprzemyślanym krokiem. Byłem w stanie, w jakim rozsądek nie ma żadnej władzy. Zdawało mi się, że mógłbym spokojnie rozważyć wszystkie argumenty, jakie podsuwał mi rozsądek, dostrzec, że są roztropne i słuszne, potem zaś odpowiedzieć im: jestem pod władzą wielekroć mocniejszego od was rozkazodawcy.

Nie czekałem długo, aby wprowadzić w czyn to, co tak pośpiesznie postanowiłem. Wyznaczyłem czas mojej ucieczki na wieczór tego samego dnia. Nawet przy tak krótkim terminie miałem jeszcze czas na zastanowienie. Ale wszystkie możliwości nie przydały mi się na nic. Byłem zdecydowany i każda chwila zwiększała tylko moje niewysłowione pragnienie ucieczki. Życie domowników tej wiejskiej rezydencji było ściśle uregulowane i wiedząc, że w pewnych godzinach nikt mi nie przeszkodzi, wybrałem pierwszą w nocy na moją ucieczkę.

Zbadawszy pokój, w którym spałem, odkryłem już poprzednio ukryte drzwi prowadzące do małego, tajemnego schowka, który nie był niczym niezwykłym w domu tak starym jak dwór Mr Falklanda. Pokoik ten służył zapewne jako schronisko przed prześladowaniem lub napaścią w



barbarzyńskich czasach. Byłem przekonany, że nikt poza mną nie wie o tej kryjówce. Poczułem niepojęty nakaz przeniesienia tam różnych przedmiotów stanowiących moją osobistą własność. Nie mogłem chwilowo zabrać ich ze sobą. Gdybym nie miał ich odzyskać, to świadomość, że po moim wyjeździe nie zostanie odnaleziony żaden ślad mojego istnienia, byłaby dla mnie pewną pociechą.

Skończywszy przenoszenie i doczekawszy się wyznaczonej godziny, wysunąłem się po cichu z mego pokoju z lampą w dłoni. Szedłem korytarzem, który prowadził do małych drzwiczek wychodzących na ogród, potem poprzez ogród ku bramie oddzielającej grabową aleję od ścieżki dla konnych.

Ledwie wierzyłem własnemu szczęściu widząc, że jak dotąd wypełniam swój plan bez żadnej przeszkody. Pod wrażeniem straszliwych obrazów, jakie groźby Mr Falklanda wywołały w mojej duszy, oczekiwałem na każdym kroku, że będę odkryty. Mimo to podniecenie kazało mi iść naprzód z desperacką pewnością. On jednak przypuszczalnie zbyt liczył na przemożne wrażenie swych słów wypowiedzianych rozkazującym tonem, by uważał za potrzebne przedsięwziąć jakieś kroki ostrożności na wypadek niepomyślnego dlań obrotu sprawy. Co do mnie, to uznałem szczęście, jakie mi na razie dopisywało, za dobry omen ostatecznego powodzenia.

## ROZDZIAŁ XXI

Pierwszym planem, jaki mi się nasunął, było dojść do najbliższego traktu i wsiąść w pierwszy dyliżans jadący do Londynu. Sądziłem, że jeśli mściwość Mr Falklanda skłoni go do pościgu za mną, tam będę najbezpieczniejszy. Nie wątpiłem także, że wśród różnorodnych możliwości stolicy znajdę okazję do wykorzystania moich umiejętności. Mr Forestera zachowałem w rezerwie jako ostatnią deskę ratunku, mając zamiar nie odwoływać się do niego jak tylko o pomoc przeciw prześladowaniu i przemocy. Brak mi było tej znajomości świata, która podsuwa człowiekowi pomysły lub umożliwia dokonanie słusznego wyboru wśród możliwości, które się następują. Byłem jak zwierzę obezwładnione przerażeniem, ogarnięte straszliwą trwogą i zarazem niezdolne przedsięwziąć nic skutecznego dla swego ocalenia.

Skoro już wiedziałem, dokąd się udaję, z ufnością badałem nieuczęszczaną drogę, którą miałem iść. Noc była posepna, zaciął drobny deszcz, lecz ja ledwie zdolny byłem to zauważyć, w sercu miałem słońce i radość. Nie czułem ziemi pod stopami, powtarzałem sobie po tysiackroć: „Jestem wolny. Cóż mnie obchodzi strach i niebezpieczeństwo? Czuję, że jestem wolny. Czuję, że pozostanę wolny. Jakaż siła zdolna jest narzucić więzy śmiałej i płomiennej duszy? Jakaż siła może zmusić człowieka, który całą swą istotą wyrywa się do życia, aby umarł? Ze wstrętem myślałem o uległości, w której żyłem. Nie czułem nienawiści do sprawcy mych nieszczęść — prawda i sprawiedliwość niech mi poświadczą — litowałem się raczej nad smutnym losem, na który był skazany. Ale z niewymowną odrazą myślałem o błędach społeczeństwa, które z każdego prawie człowieka czyni niewolnika lub tyrana. Zdumiewałem się nad szaleństwem rodu ludzkiego, że nie powstanie jak jeden mąż, by strząsnąć z siebie jarzmo tak hańbiące, tak nieznośnej niedoli. Co do mnie, to postanowiłem

— i o postanowieniu tym nigdy nie zapomniał — trzymać się na uboczu od widowni tych ohydnych spraw i nigdy nie być ani gnębicielem, ani uciskanym.

Podczas całej tej nocnej wyprawy trwałem w stanie tego radosnego, pełnego ufności podniecenia. Zapomniałem o strachu, pozostał we mnie tylko słaby lęk, który powoduje raczej przyjemne wzruszenie, nie rodząc udręki ni rozpacz. Po trzygodzinnym marszu dotarłem bez żadnych przygód do wioski, w której miałem nadzieję złapać dylizans do stolicy. Była wczesna poranna godzina i dokoła panowała zupełna cisza. Uszu moich nie dobiegał żaden dźwięk świadczący o obecności ludzi. Z trudem dostałem się na podwórzec gospody, gdzie zastałem jednego tylko chłopca stajennego obrządzającego kilka koni. Otrzymałem od niego niepomyślną nowinę, że spodziewają się tu wozu pocztowego nie wcześniej niż o szóstej rano pojutrze, jako że dylizans przejeżdża tędy tylko trzy razy w tygodniu.

Wiadomość ta była zimną wodą na szal upojenia panującego w mojej duszy, od chwili kiedy opuściłem dwór Mr Falklanda. Cały mój majątek w gotowiźnie wynosił około jedenastu gwinei. Miałem ponadto około pięćdziesięciu gwinei, które przypadły mi ze sprzedaży posiadłości po śmierci ojca; lecz suma ta była umieszczona w sposób uniemożliwiający jej bezpośrednie użycie i zastanawiałem się nawet, czy nie lepiej będzie zrezygnować z niej niż dopominając się o nią naprowadzić Mr Falklanda na mój ślad, czego najbardziej się obawiałem.

Niczego nie pragnąłem tak gorąco, jak uniknąć na przyszłość jakichkolwiek stosunków z tym człowiekiem, tak aby on nie wiedział, że gdzieś na świecie żyje ktoś taki jak ja, i abym ja nie słyszał już nigdy więcej imienia, które tak zgubne było dla mojego spokoju.

Wśród takich okoliczności uznałem, że oszczędność jest jak najbardziej wskazana w moim wypadku, tym bardziej że nie podobna było przewidzieć, jakie trudności mogą wypłynąć w czasie realizacji moich zamiarów po przyjeździe do Londynu. Dla tej i innych przyczyn postanowiłem trzymać się mego planu podróżowania pocztowym dylizansem. Pozostawało mi tylko rozważyć, w jaki sposób zapobiec temu, aby niespodziewana zwłoka dwudziestu czterech godzin nie stała się przez jakieś niepomyślne

wydarzenie źródłem nowej klęski. Nie uważałem za wskazane pozostawać tam, gdzie znajdowałem się obecnie, ani wędrować na piechotę głównym traktem. Postanowiłem więc zrobić okrążenie, pójść najpierw w przeciwnym kierunku niż cel mojej drogi, potem zmienić kierunek, co pozwoliłoby mi o schyłku dnia znaleźć się w pewnym miasteczku położonym o dwanaście mil bliżej stolicy.

Ustaliwszy w ten sposób plan dnia i przekonany, że w tych warunkach jest on najlepszy, wyrzuciłem z duszy wszystkie bez mała dalsze niepokoje i ochoczo oddawałem się różnym przygodnym rozrywkom. Odpoczywałem lub szedłem dalej zależnie od chwilowej zachcianki. Siadałem na skraju drogi, pogrążony w zadumie, albo zastanawiałem się kolejno nad widokami przyszłości. Po mglistym poranku nastąpił dzień tak piękny, że serce rosło. Z ową charakterystyczną dla młodego wieku łatwością zapomniałem o cierpieniu, które ostatnio było moim stałym towarzyszem, i w zupełności dałem się pochłonąć marzeniom o czekającej mnie odmianie losu i szczęściu. Nigdy bodaj w ciągu całego mego życia nie spędziłem dnia, który by mi dał tyle różnorodnych i wybornych rozkoszy. Stanowiło to silny i — być może — zbawienny kontrast z grozą, w której żyłem dotąd, i straszliwymi wydarzeniami, które mnie oczekiwały.

Wieczorem przybyłem do miejsca mego przeznaczenia i zapytałem o gospodę, do której zazwyczaj zajeżdża dyliżans. Jednakowoż pewna okoliczność wcześniej już obudziła moją ostrożność i napełniła mnie lękiem.

Choć ściemniło się, nim doszedłem do miasta, uwagę moją przyciągnął jakiś człowiek, który jadąc wierzchem w przeciwnym kierunku wyminął mnie był w odległości mniej więcej pół mili od miasta. W jego zachowaniu była jakaś czujność, która nie podobała mi się. O ile mogłem dostrzec jego twarz, określiłem go sobie jako człowieka, któremu źle z oczu patrzy. Nie upłynęło i dwóch minut, odkąd mnie wyminął, aż tu dobiega mnie odgłos powolnego stępa końskiego z tyłu za mną. Zrobiło mi się trochę nieswojo. Zrazu przyśpieszyłem kroku, lecz później zdało mi się to bezcelowym, zwolniłem więc tempa, aby jeździec mógł mnie wyminąć. Tak też i zrobił, ja zaś spojrzawszy na niego pomyślałem, że to jest ten sam człowiek. Jeździec puścił konia klusem i wjechał do miasta. Ja również doszedłem do miasta i

po niedługiej chwili ujrzałem go we drzwiach szynku przy kuflu piwa. Z powodu ciemności zauważyłem go dopiero wtedy, kiedym się prawie otarł o niego. Ruszyłem szybko i nie ujrzałem go aż do momentu, kiedy u bram gospody, gdzie zamierzałem przenocować, ten sam człowiek wyjechał mi naprzeciw i zapytał, czy moje nazwisko jest Williams.

Cała ta przygoda zgasiła moją radość i napełniła mnie niepokojem. Jednakże obawa wydała mi się bezpodstawną: przyjąłem za pewnik, że gdyby mnie ścigano, byłby to któryś z ludzi Mr Falklanda, a nie jakiś obcy. Ciemność uniemożliwiła mi przedsięwzięcie najprostszych środków ostrożności. Postanowiłem przynajmniej pójść do gospody i dowiedzieć się o nocleg i dylizans.

Zaledwie wszedłem na podwórze, usłyszałem tupot konia i rzucone mi przez jeźdźca pytanie. W jednej chwili umysł mój ogarnęła okropna pewność tego, czego się obawiałem.

Każde wydarzenie mające związek z moją niedawną niedolą musiało budzić we mnie najokrutniejszą trwogę. Pierwszą moją myślą było rzucić się w pole i polegając na szybkości własnych nóg, szukać tam ocalenia. Lecz było to prawie niewykonalne. Zauważyłem, że mój nieprzyjaciel był sam i nabrałem przekonania, że zmierzywszy się z nim w cztery oczy mam szansę wygrać bądź to dzięki mej zdecydowanej śmiałości, bądź też dzięki chytryści i pomysłowości.

Tak nastawiony, odparłem popędliwie i pewnym głosem, że owszem, jestem tym, za kogo mnie wziął, dodając:

— Odgaduję, co wam zlecono; lecz na nic się to nie zda. Macie mnie odprowadzić z powrotem do dworu Mr Falklanda, ale żadna siła nie przywlecze mnie tam żywego. Miałem poważne powody, kiedym powziął taką decyzję, i nic na świecie nie zdoła mnie przekonać, bym ją odmienił. Jestem Anglikiem, a przywilejem Anglika jest być jedynym sędzią i panem własnych czynów.

— Diabło panu śpieszno — odparł ów człowiek — odgadywać moje zamiary i opowiadać mi o swoich. Lecz zgadłeś trafnie i może jeszcze podziękujesz niebu, że moje poselstwo nie zwiastuje czegoś gorszego. Pewnie, że dziedzic oczekuje waszmości, ale mam tu list i myślę, że kiedy

go przeczytasz, spuścisz nieco z tonu. Jeśli to nie poskutkuje, będzie wtedy dość czasu na rozważania, co czynić dalej.

Mówiąc to podał mi list od Mr Forestera, który — wedle jego słów — znajdował się w domu Mr Falklanda. Wszedłem do gospody, aby przeczytać pismo, a posłaniec udał się ze mną. Oto co było w liście:

„Williamsie,

Mój brat Falkland wysłał w ślad za waćpanem tego posłańca. Spodziewa się on, że jeśli ten cię odnajdzie, wrócisz z nim razem. I ja się tego spodziewam. Cały twój honor zależy od tego w najwyższym stopniu. Jeśliś nikczemnikiem i łotrem, to przeczytawszy te wiersze spróbujesz może zbiec. Jeśli twoje sumienie mówi ci, żeś niewinny — bez wątpienia wrócisz. Niech się dowiem, czy wystrychnąłeś mnie na dudka i czy ujęty twoją pozorną szczerością stałem się narzędziem w ręku przebiegłego szalbierza. O ile wrócisz i oczyścisz swą reputację, to zaręczam, że nie tylko będziesz mógł udać się, gdziekolwiek zechcesz, ale otrzymasz wszelką pomoc, jaką dać ci będzie w mej mocy. Pamiętaj, że nie zobowiązuję się do niczego więcej.

Walentyn Forester”

Cóż to był za list! Dla serca, co jak moje płonęło miłością cnoty, takie wezwanie było dość silne, aby ściągnąć mnie z jednego krańca ziemi na drugi. Duszę miałem przepełnioną ufnością i zapałem. Byłem niewinny i zdecydowany to udowodnić.

Z chęcią obrałem los zbiega, cieszyłem się nawet swą ucieczką i beztrąsko szedłem w świat, bez żadnych środków do życia, zdając całą przyszłość na własną pomysłowość.

„Tyle — mówiłem sobie — możesz dopiąć, Falklandzie! Rozporządzaj mną, jak chcesz, w tym, co dotyczy dóbr materialnych, lecz nigdy nie zawładniesz moją wolnością ani nie zbrukasz mego nieskalanego imienia.” Przeszedłem w myśli wszystkie godne uwagi wypadki, jakie przydarzyły mi się pod jego dachem. Poza historią z ową tajemniczą skrzynią nie mogłem sobie przypomnieć nic, z czego można by było wydobyć cień oskarżenia o jakieś przestępstwo. W tym jednym wypadku zachowanie moje było godne

surowej nagany i ja sam nie potrafiłem myśleć o nim inaczej jak odczuwając wyrzuty sumienia i potępiając sam siebie. Nie sądziłem jednak, by ten wypadek dał się podciągnąć pod odpowiedzialność sądową. Tym mniej mogłem uwierzyć, aby Mr Falkland, który drżał na samą myśl o możliwości wykrycia jego zbrodni i który myślał, że jest całkowicie w mojej mocy, ośmielił się ujawnić sprawę, tak ściśle związaną z tajemną a śmiertelną trwogą jego duszy. Jednym słowem, im więcej myślałem nad pismem Mr Foreстера, tym trudniej było mi sobie wyobrazić, do jakich wydarzeń Mr Forester robił aluzje.

Nieprzenikniona tajemnica, jaką były otoczone, nie zdołała jednak pokonać mej odwagi. Duch mój uległ jak gdyby gwałtownej przemianie. Tak jak czułem się onieśmielony i zmieszany, kiedy uważałem Mr Falklanda za swego skrytego wroga na terenie domu, tak teraz sądziłem, że sprawa była zgoła odmienna. „Wystąp przeciwko mnie — mówiłem sobie — otwarcie jako oskarżyciel, jeśli mamy się zetrzeć, niech będzie to starcie w pełnym świetle, a wtedy, jakkolwiek środki, jakimi rozporządzasz, nie mogą się równać z moimi, nie lękam się ciebie.” Niewinność i wina były, według mego zdania, czymś najbardziej na świecie sprzecznym ze sobą. Nie mogłem uwierzyć, że pierwsza może być pomyłona z drugą, jeżeli niewinny człowiek nie pozwoli się zastraszyć, zanim zostanie obdarty z dobrego imienia. Marzyłem o cnocie, która wychodzi obronną ręką ze wszystkich nieszczęść i posługując się nie upiększoną prawdą odnosi zwycięstwo nad wszystkimi fortelami występku, zapędzając przeciwnika do jego własnej matni. Był to jeden z ulubionych tematów moich młodzieńczych rojeń. Choć postanowiłem, że nigdy nie stanę się narzędziem zguby Mr Falklanda, niemniej jednak byłem zdecydowany uzyskać dla siebie sprawiedliwość.

O tym, co wynikło ze wszystkich tych ufnych nadziei, opowiem. I tak oto bez strachu i zwątpienia zbliżałem się szybko do nieuchronnej zguby.

— Przyjacielu — rzekłem do posłańca po dłuższej chwili milczenia — masz rację. List, któryś mi doręczył, jest w istocie niezwykły, lecz dobrze służy swemu celowi. Teraz z pewnością udam się z tobą, jakiegokolwiek będą tego skutki. Póki jest w mojej mocy oczyścić swoje imię, nikt i nigdy nie zdoła rzucić nań plamy.

Znalazłszy się w sytuacji, w jakiej postawił mnie list Mr Forestera, odczuwałem nie tylko gotowość, ale niecierpliwą chęć powrotu. Postaraliśmy się o drugiego konia i w milczeniu ruszyliśmy w drogę. Na nowo próbowałem wytłumaczyć sobie znaczenie listu Mr Forestera. Znałem nieugiętość i surowość Mr Falklanda w realizowaniu powziętych zamierzeń, lecz wiedziałem również, że właściwe mu były wszystkie zalety i cnoty wielkoduszności.

Kiedyśmy przybyli na miejsce, było już po północy i musieliśmy obudzić służbę, aby nas wpuszczono. Okazało się, że Mr Forester przewidując możliwość mojego nocnego przyjazdu zostawił dla mnie polecenie, abym udał się niezwłocznie na spoczynek i nabrał sił do oczekującej mnie nazajutrz rozprawy. Próbowałem pójść za jego radą, ale niespokojne sny nie przyniosły mi pokrzepienia. Nie czułem jednak, aby moja odwaga uległa zachwianiu: szczególność mojej sytuacji, domysły związane z chwilą obecną, ciekawość przyszłości, nie pozwoliły mi pogrążyć się w leniwej bierności.

Nazajutrz z rana pierwszą osobą, jaką ujrzałem, był Mr Forester. Powiedział mi, że dotąd nie wie, co Mr Falkland ma przeciw mnie, ponieważ nie chciał słuchać oskarżenia. Przybył do domu brata wczoraj, jak się umówili, dla załatwienia jakiejś koniecznej sprawy i miał zamiar wyjechać natychmiast po jej załatwieniu, gdyż wiedział, że to by najbardziej dogadzało Mr Falklandowi. Lecz natychmiast po przyjeździe zauważył, że w całym domu panuje zamęt wywołany moją ucieczką, o której dowiedziano się na kilka godzin przedtem. Mr Falkland we wszystkie strony wyprawił służbę w pościg za mną. Jednocześnie z Mr Foresterem powrócił z miasteczka służący z wiadomością, że jakiś człowiek, którego rysopis odpowiadał mojemu, był tam wczesnym rankiem i dopytywał się o dylizans do Londynu.

Mr Falkland zdawał się być niezwykle poruszony tą informacją i pełen goryczy nazwał mnie niewdzięcznym i ohydny łotrem.

Mr Forester odparł:

— Panuj lepiej nad sobą, mój drogi! „Łotr” to ciężka obelga i nie godzi się z nią igrać. Anglicy są wolnymi ludźmi i nikt nie powinien być



oskarżany o łotrostwo, dlatego że zmienia jedno źródło utrzymania na drugie.

Mr Falkland potrząsnął głową i rzekł z uśmiechem pełnym zrozumienia:

— Ej, bracie, bracie, dałeś się zwieść jego przebiegłości. Ja zawsze spoglądałem na niego podejrziwym okiem i byłem przekonany o jego przewrotności. Ale teraz dopiero odkryłem...

— Wstrzymaj się, mój drogi! — przerwał Mr Forester. — Myślę, wyznam ci, że w chwili rozdrażnienia skłonny jesteś używać tych ostrych epitetów bez zastanowienia. Lecz jeśli poważnie go oskarżasz, poczekaj, aż chłopak będzie mógł cię usłyszeć. Sam obojętny jestem na dobrą opinię ludzką. Świat używa jej i cofa tak bezmyślnie, że nie mogę liczyć się z jego sądem. Lecz to nie upoważnia mnie, bym lekkomyślnie sądził innych. Najmniejsze, co mogę zrobić dla tych, których piętnuję jako postrach i ostrzeżenie dla rodzaju ludzkiego, to wysłuchać ich obrony. Mądra to zasada, która wymaga, aby sędzia przybywał do trybunału nie powiadomiony o sednie sprawy, którą ma rozpatrywać. Do tej zasady postanowiłem się stosować w życiu prywatnym. Uważam za właściwe być surowym i nieugiętym w traktowaniu winnych. Lecz surowość, jaką okazuję potem, musi być poprzedzona bezstronnością i ostrożnością.

Kiedy Mr Forester opowiadał mi te szczegóły, widział, jak gotów byłem lada chwila wybuchnąć jakimiś wyznaniem, jakie nasuwały mi jego słowa; ale on nie pozwolił mi przemówić.

— Nie — powiedział — nie chciałem wysłuchać tego, co Mr Falkland ma przeciw tobie, nie mogę też wysłuchać twojej obrony. W tej chwili chcę mówić, nie słuchać. Uważałem za słuszne ostrzec cię przed niebezpieczeństwem, to wszystko. Wstrzymaj się z tym, co masz powiedzieć, aż przyjdzie czas. Dobrze pomyśl nad tym, co powiesz, powiedz prawdę; jeśli jak się spodziewam, prawda może cię obronić. Lecz jeśli nie, wymyśl najzręczniejszą i najbardziej podobną do prawdy historię. Instynkt samoobrony wymaga tego od każdego człowieka w chwili, kiedy ma cały świat przeciwko sobie, a tak się zawsze dzieje, kiedy człowiek staje przed sądem i kiedy musi stoczyć bitwę z całym światem. Żegnaj i niech Bóg

sprawi, byś był wymowny! Jeśli oskarżenie Mr Falklanda, jakkolwiek by ono brzmiało, okaże się przedwczesnym, bądź pewien, że znajdziesz we mnie gorętszego niż kiedykolwiek przyjaciela. Jeśli nie, jest to ostatni dowód przyjaźni, jaki ode mnie otrzymasz!

Można sobie wyobrazić, że ta przemowa, tak szczególna, tak uroczysta, tak pełna ukrytej groźby, nie podniosła mnie zbyt na duchu. Nie miałem pojęcia, o co mnie oskarżano. Lecz niemało dziwiłem się widząc, jak można całkowicie odwrócić zasady sprawiedliwości. Było wszak w mojej mocy stać się najstraszliwszym oskarżycielem Mr Falklanda! Tymczasem to ja byłem oskarżony, ja cierpiałem zamiast tego, żeby prawdziwy zbrodniarz zależał od mojej łaski i niełaski, co byłoby przecież naturalne. Jeszcze bardziej zdumiewała mnie nadludzka potęga, jaką zdawał się posiadać Mr Falkland sprowadzając ofiarę swoich prześladowań w orbitę swej władzy. Refleksja ta ostudziła nieco niecierpliwość i śmiałość, które w tym okresie były najsilniejszymi namiętnościami mej duszy.

Lecz nie był to czas odpowiedni na medytację. Temu, kogo dotknął los, odjęta jest możność kierowania biegiem wypadków: jakaś nieprzeparta siła pcha go wciąż dalej, a powstrzymać szybkość ich rozwoju okazuje się nie w jego mocy. Miałem tylko krótką chwilę, by zebrać myśli, i wnet rozpoczęło się badanie. Poprowadzono mnie do biblioteki, gdzie spędziłem tyle szczęśliwych godzin i tyle przemyślałem. Tam zastałem Mr Forestera i trzy czy cztery osoby spośród służby, zgromadzonych już w oczekiwaniu na mnie i na mego oskarżyciela. Wszystko było obliczone na to, by napełnić mnie przekonaniem, że powinienem ufać tylko w sprawiedliwość moich sędziów i nie pokładać żadnej nadziei w ich pobłażliwości. Mr Falkland wszedł jednymi drzwiami prawie natychmiast potem, kiedym ja wszedł drugimi.

## ROZDZIAŁ XXII

Zaczął tymi słowy:

— Zasada mego życia było nigdy nie wyrządzać umyślnej niesprawiedliwości żadnej żyjącej istocie. Nie potrzebuję mówić, z jakim żalem stoję wobec konieczności wystąpienia jako oskarżyciel. Jakże chętnie pozwoliłbym na to, by zło, jakiego doznałem, przeszło nie zauważone. Lecz moim obowiązkiem wobec społeczności jest ujawnić winowajcę i przestrzec innych, aby tak jak ja nie dali się zwieść pozorom uczciwości.

— Lepiej byłoby — przerwał mu Mr Forester — zmierzać prosto do celu. Nie powinniśmy, chociażby bez złych intencji, usprawiedliwiając samych siebie, krzywdzić jednocześnie człowieka, dla którego oskarżenie o przestępstwo jest i tak dość dużą krzywdą.

— Mam silne podejrzenie — ciągnął Mr Falkland — że ten młody człowiek, którego otaczałem szczególną życzliwością, okradł mnie na poważną sumę.

— Jakież — Mr Forester na to — są podstawy takiego podejrzenia?

— Pierwsza z nich to strata, jaką poniosłem w banknotach, klejnotach i srebrnej zastawie. Brakuje mi pieniędzy na sumę dziewięciuset funtów, trzech złotych repetierów dużej wartości, całego garnituru diamentów, własności nieboszczki mojej matki, i paru innych przedmiotów.

— I czemuż — ciągnął dalej mój rozjemca, podczas gdy zdumienie, boleść i pragnienie zachowania władzy nad sobą przejawiały się w jego głosie i twarzy — wskazujesz na tego młodzieńca jako na sprawcę rabunku?

— W dniu, w którym panowało ogólne zamieszanie na skutek alarmu wywołanego pożarem, złapałem go na gorącym uczynku właśnie w chwili, kiedy opuszczał tajemny schowek, gdzie owe przedmioty były złożone. Bardzo się zmieszał na mój widok i usunął się jak najspieszniej.

— Czy nie powiedziałeś mu nic, czy nie zauważyłeś niepokoju, jakie wywołało twoje niespodziewane pojawienie się?

— Zapytałem go, czego tu szuka. Zrazu był tak przerażony i zgnębiony, że nie mógł mi odpowiedzieć. Potem wyjąkał, że ponieważ cała służba zajęta była ratowaniem najcenniejszego dobytku, i on przyszedł tu w tym samym zamiarze, lecz że dotąd niczego nie ruszył.

— Czy sprawdziłeś, bracie, natychmiast potem, czy wszystko było nietknięte?

— Nie. Przywykłem wierzyć w jego uczciwość. Zresztą w tym właśnie momencie odwołano mnie nagle, abym się zajął wzrastającym pożarem. Dlatego zdążyłem tylko zamknąć pomieszczenie na klucz, włożyłem klucz do kieszeni i w pośpiechu udałem się tam, gdzie moja obecność zdawała się być niezbędną.

— Kiedy zauważyłeś brak twojej własności?

— Tegoż samego wieczora. Okoliczności tego dnia w zupełności wyrugowały z mej pamięci to wydarzenie, aż do chwili kiedy przypadkowo przechodził mimo tego alkierza. Wtedy przypomniała mi się nagle cała sprawa wraz ze szczególnym, a dwuznacznym zachowaniem Williamsa. Wszedłem niezwłocznie, obejrzałem skrzynię, w której przedmioty były przechowywane, i stwierdziłem, że zamki były rozbite, a zawartość znikła.

— I jakie podjąłeś kroki zrobiwszy to odkrycie?

— Posłałem po Williamsa i bardzo surowo go upomniałem. Lecz on odzyskał już był w zupełności panowanie nad sobą i z całym spokojem stwierdził, że nic mu w tej kwestii nie jest wiadome. Starłem się wytłumaczyć mu ogrom jego winy, ale słowa moje nie zrobiły na nim wrażenia. Nie okazywał ani zdumienia i oburzenia, których można by oczekiwać u człowieka zupełnie niewinnego, ani zmieszania, które zazwyczaj towarzyszy poczuciu winy. Był raczej milczący i zamknięty w sobie. Powiedziałem mu tedy, że będę musiał postąpić zupełnie inaczej, niż on się przypuszczalnie spodziewa. Nie chciałem, jak to się zbyt często zdarza w podobnych wypadkach, zrobić ogólnej rewizji: wolę bowiem utracić swą własność na zawsze i bezpowrotnie niż narażać tyle

niewinnych osób na niepokój i niesprawiedliwość. W tej chwili bowiem moje podejrzenia siłą rzeczy skierowane były na niego. Lecz w sprawie tak wielkiej wagi postanowiłem nie kierować się podejrzeniami. Nie chciałem go gubić, jeśli był niewinny, ani też narażać innych na rabunek z jego strony, jeśli był winny. Dlatego nalegałem tylko na to, by pozostał nadal w mojej służbie. Postanowiłem go dobrze obserwować i ufałem, że w końcu cała prawda wyjdzie na jaw. Skoro teraz nie chciał nic wyznać, radziłem mu, aby się zastanowił, jak mało jest prawdopodobne, aby całkiem pozostał bezkarny. Tak więc rozstrzygnąłem, że z chwilą kiedy spróbuje ucieczki, będę to uważał za dowód jego winy i postąpię odpowiednio.

— Jakie dalsze okoliczności zaszły od tamtej pory do chwili obecnej?

— Żadne, na których mógłbym oprzeć pewność jego winy, wiele takich, które przemawiają za słusnością moich podejrzeń. Od tego czasu Williams był wiecznie skrepowany, *zawsze*, jak się teraz okazuje, pragnął uciec, lecz zbyt był zalękniony, aby decydować się na to bez pewnych przygotowań. Niezadługo potem pan, panie bracie, przybyłeś do mnie w odwiedzin. Z niechęcią widziałem, jak zacieśniają się między wami stosunki rzucające światło na dwulicowość jego charakteru i jakie wysiłki podejmował, aby uczynić cię ofiarą swej hipokryzji. Zabroniłem mu więc tego surowo i myślę, żeś zauważył zmianę, jaka natychmiast potem zaszła w jego zachowaniu wobec ciebie.

— Owszem, i wydało mi się to wtedy czymś niezwykłym i tajemniczym.

— W jakiś czas później, jak sam dobrze wiesz, miało miejsce spotkanie między wami, czy przypadkowe, czy zamierzone z jego strony, nie potrafię powiedzieć, wtedy wyznał ci swoje obawy, nie wyjawiając ich przyczyn, i otwarcie zaproponował ci, byś mu pomógł w ucieczce i zasłonił go przed moją zemstą, gdyby zaszła tego potrzeba. Podjąłeś się pono przyjąć go w swoją służbę. Lecz jak sam wyznał, zamierzeniom jego nie odpowiadało żadne wyjście, które by nie usuwało go całkowicie spod zasięgu mojej władzy.

— Czy nie wydało ci się dziwnym, że spodziewał się ode mnie pomocy, podczas kiedy w każdej chwili mogłeś mnie uprzedzić o jego niegodziwości?

— Być może, spodziewał się, że nie zrobię tego, przynajmniej tak długo,

jak długo kryjówka jego pozostanie dla mnie nie znana, a co za tym idzie, skutki takiego kroku byłyby wątpliwe. Być może, ufał we własną umiejętność, której bynajmniej nie należy lekceważyć, zmyślenia jakiejś prawdopodobnej opowieści, zwłaszcza że postarał się o to, aby pierwsze wrażenie było na jego korzyść. Bo przecież twoją opiekę rezerwował sobie tylko na wypadek, gdyby wszystkie inne środki zawiodły. Zdaje się, że nie co innego miał na myśli jak to, że na wypadek, gdyby nie udało mu się umknąć przed ręką sprawiedliwości, lepiej mieć przyobiecane miejsce pod twoją opieką niż być pozbawionym jakiegokolwiek pomocy.

Wyliczywszy swoje dowody Mr Falkland wezwał lokaja Roberta, aby potwierdził te, które dotyczyły dnia pożaru.

Robert stwierdził, że owego dnia przechodził przypadkiem przez bibliotekę, w parę minut potem, jak widok pożaru sprowadził Mr Falklanda do domu; że napotkał tam mnie stojącego w widocznym pomieszczeniu i trwodze, dalej, że nie mógł się powstrzymać, aby nie przystanąć i przyjrzeć mi się; że zwracał się do mnie dwa czy trzy razy, zanim zdołał otrzymać odpowiedź, i jedyne, co zdołał wydobyć ze mnie w końcu, było, że jestem najnieszczęśliwszą istotą na świecie.

Dalej powiedział, że tego samego dnia wieczorem Mr Falkland wezwał go do owego tajemnego alkierza przylegającego do biblioteki i rozkazał przynieść młotek i gwoździe. Po czym pokazał mu stojącą w pokoiku skrzynię o rozbitych zamkach i ryglach i rozkazał mu przyjrzeć się temu i zapamiętać, lecz nie wspominać o tym nikomu. Robert nie wiedział wówczas, co Mr Falkland miał na myśli wydając te rozkazy w sposób niezwykle uroczysty i znaczący, lecz nie miał żadnych wątpliwości, że rygle były strzaskane i wyszarpięte Przy użyciu dłuta czy innego podobnego narzędzia, z zamiarem otworzenia skrzyni siłą.

Wysłuchawszy tych zeznań Mr Forester zauważył, że to, co się działo w dniu pożaru, istotnie nasuwa mocne podejrzenia, a dalej, że okoliczności, które zaszły od tamtej pory, są dziwnie zbieżne i utwierdzają te podejrzenia. Tymczasem, aby nie zaniedbać niczego w dochodzeniu, zapytał, czy uciekając zabrałem swoje kufry. Chciał się przekonać, czy w ten sposób nie natrafi na jakiś ślad, który by potwierdził stawiane mi

zarzuty. Mr Falkland zbył to napomknienie lekko, mówiąc, że jeśli jestem złodziejem, zachowałem niewątpliwie środki ostrożności, aby zapobiec tak oczywistemu sposobowi wykrycia. Na to Mr Forester odparł tyle, że nawet najzręczniejsze pomysły nie zawsze pokrywają się z czynami i zachowaniem ludzi. Za czym rozkazał, by przyniesiono do biblioteki moje kufry i skrzynie, jeśli je odnajdą. Przysłuchiwałem się tej propozycji z zadowoleniem i tak, jak byłem zaniepokojony i zgnębiony zgodnie przeciw mnie przemawiającymi pozorami, tak teraz wierzyłem, że to odwołanie się do faktów nada mojej sprawie nowe oblicze. Skwapliwie określiłem miejsce, gdzie złożone było moje mienie, i śludzy idąc za moimi wskazówkami natychmiast dostarczyli żądanych przedmiotów. Pierwsze dwa kufry nie zawierały nic, co by potwierdzało wysunięte przeciw mnie oskarżenie, w trzecim znaleziono zegarek i kilka klejnotów, które natychmiast rozpoznano jako własność Mr Falklanda. Ten na pozór rozstrzygający dowód wywołał powszechne zdumienie i smutek; lecz zdawało się, że nikt nie był bardziej zdumiony niż sam Mr Falkland. Niewiarygodnym wydawał się fakt, że zostawiłem skradzione przedmioty w swoich rzeczach; lecz kiedy stwierdzono, jak pewną kryjówkę znalazłem na nie, zdziwienie zmniejszyło się. Mr Forester dodał, iż mogłem uważać za rozsądniejsze wziąć je później niż podczas mej pośpiesznej ucieczki.

Tu jednakowoż uznałem za konieczne wtrącić się. Z całą żarliwością nalegałem na to, że mam prawo, aby moje czyny były tłumaczone uczciwie i bezstronnie. Zapytałem Mr Forestera, czy było prawdopodobne, abym — jeśli ukradłem te przedmioty — nie próbował przynajmniej zabrać ich ze sobą. A dalej: czy wiedząc, że zostaną znalezione między moimi rzeczami, wskazałbym sam miejsce, gdzie ukryłem kufry?

Zarzut stronnictwa, jaki postawiłem Mr Foresterowi, wywołał rumieńce gniewu na jego twarzy.

— Bezstronnie, młody człowieku! Tak, bądź pewny tego, że doznasz bezstronnego traktowania z mej strony! Daj Boże, by ci ono wyszło na dobre! Za chwilę wysłuchamy wszystkiego, co masz do powiedzenia w swojej obronie.

Spodziewasz się, że uwierzmy w twoją niewinność, dlatego że nie

zabrałeś tych przedmiotów ze sobą. Pieniądze zostały zabrane. Gdzie one są, mój panie? Nie da się wytłumaczyć sprzeczności i przeoczenia w postępowaniu jakiegokolwiek człowieka, a tym mniej człowieka nękanego świadomością winy.

Zwracasz uwagę, że te kufry i skrzynie zostały odnalezione dzięki twej własnej wskazówce: w istocie to niezwykle. Nie wygląda to całkiem zrozumiale. Po cóż jednak odwoływać się do możliwości i domysłów wobec niezaprzeczalnych faktów? Oto są kufry, mój panie, ty jeden wiedziałeś, gdzie można je znaleźć; ty jeden miałeś klucze: powiedz nam zatem, jak to się stało, że ów zegarek i owe klejnoty znalazły się między twoimi rzeczami?

Milczałem.

Dla reszty obecnych byłem po prostu przedmiotem badania, a jednak spośród wszystkich ja jeden nie wiedziałem, co nastąpi dalej, i przysłuchiwałem się każdemu słowu w najgłębszym zdumieniu. Jednakowoż zdumienie to ustępowało kolejno miejsca oburzeniu i zgrozie. Z początku nie mogłem się powstrzymać i raz po raz próbowałem przerwać mówiącym. Lecz Mr Forester ukrócił te próby. Zrozumiałem wtedy, jak ważne jest dla mojej przyszłości, abym zebrał wszystkie siły i udowodnił, że jestem niewinny.

Kiedy powiedziano już wszystko, co mogło być powiedziane przeciwko mnie, Mr Forester zwracając ku mnie wzrok pełen smutku i litości powiedział, że jeśli chcę przytoczyć coś na własną obronę, to teraz na to pora.

W odpowiedzi na to zaproszenie zacząłem mniej więcej w te słowa:

— Jestem niewinny. Na próżno tyle poszlak przemawia przeciw mnie: nie ma na świecie człowieka mniej zdolnego do popełnienia zbrodni, o które mnie oskarżacie. Biorę na świadectwo moje serce, mój wygląd, każde słowo, jakie kiedykolwiek wyszło z moich ust.

Spostrzegłem, że zapał, z jakim mówiłem, zrobił pewne wrażenie na wszystkich słuchających. Lecz oczy ich natychmiast padły na leżące przed nimi przedmioty i twarze wyciągnęły się. Ciągnąłem dalej:

— Za jedno jeszcze mogę ręczyć. Mr Falkland nie jest zmylony



pozorami, on doskonale wie, że jestem niewinny.

Ledwie wypowiedziałem te słowa, kiedy mimowolny okrzyk oburzenia wyrwał się z wszystkich ust. Mr Forester zwrócił na mnie wzrok pełen największej surowości i powiedział:

— Młodzieńcze, zastanów się, co robisz! Przywilejem oskarżonego jest mówić wszystko, co uzna za stosowne. Postaram się, byś w pełni mógł skorzystać z tego przywileju. Lecz czy myślisz, że rzucanie tak bezczelnych i niedopuszczalnych insynuacji w jakikolwiek sposób przyczyni się do twego dobra?

— Dziękuję panu najszczerzej — odparłem — za to ostrzeżenie, lecz wiem dobrze, co robię. Składałem to oświadczenie nie tylko dlatego, że to jest święta prawda, ale również dlatego, że jest nierozzerwalnie związane z moją obroną. Jestem oskarżonym i powiedzą mi, że nie należy wierzyć w to, co mówię na swoją obronę. Nie mogę powołać innych świadków mojej niewinności. Dlatego wzywam Mr Falklanda, by był moim świadkiem. Zapytuję go:

Czy nigdy potajemnie nie chełpił się pan przede mną swą mocą zgubienia mnie? Czy nigdy nie mówił pan, że skoro raz ściągnę na siebie ciężar jego gniewu, klęska moja będzie nieuchronna? Czy nie opowiadał mi pan, że choćbym przygotował na ten wypadek nie wiem jak wiarygodną lub nie wiem jak prawdziwą opowieść, postara się pan o to, aby cały świat przeklął mnie jako oszusta? Czy nie były to pana własne słowa? Czy nie dodał pan, że moja niewinność na nic mi się nie zda i że pan drwi sobie z tak słabej obrony? Zapytuję pana dalej:

Czy w dniu mojego wyjazdu nie otrzymał pan z rana listu ode mnie, w którym prosiłem o pańską zgodę? Czy uczyniłbym to, gdyby moja ucieczka była ucieczką złodzieja? Wzywam was, abyście zestawili wyznania poczynione w tym liście z obecnym oskarżeniem. Czy zaczynałbym od stwierdzenia, że pragnę opuścić pańską służbę, gdyby to pragnienie i jego przyczyny były takiej natury, jaką się im teraz przypisuje? Czy ośmieliłbym się zapytać, dlaczego mam być poddany wiecznej męce?

Mówiąc to wyciągnąłem kopię mego listu i położyłem na stole. Mr Falkland nie dał natychmiastowej odpowiedzi na moje zapytania. Mr

Forester zwrócił się do niego:

— I cóż, jaka jest twoja odpowiedź na wyzwanie twego sługi?

Mr Falkland odparł:

— Podobny sposób obrony zaledwie wymaga odpowiedzi. Lecz oto moja odpowiedź: nie prowadziłem nigdy takiej rozmowy, nie wypowiadałem nigdy takich słów, nie otrzymałem żadnego takiego listu. Chyba oratorstwo i nieulękniona postawa oskarżonego nie wystarczą jeszcze na odparcie zarzutu zbrodni.

Mr Forester zwrócił się do minie:

— Jeśli — zaczął — wierzysz, że opowieść twoja obroni cię, musisz postarać się, aby była konsekwentna i kompletna. Nie opowiedziałeś nam, co było przyczyną twojego zmieszania i niepokoju, kiedy Robert cię spotkał, jak to zeznał. Dlaczego tak bardzo kwapiłeś się opuścić służbę Mr Falklanda? Albo też jak tłumaczysz fakt, że pewne przedmioty, będące jego własnością, zostały znalezione wśród twego mienia?

— Wszystko to jest prawdą, panie — odparłem. — Są pewne fragmenty mojej historii, których nie opowiedziałem, gdybym je wyjawiał, nie tylko przemówiłyby na moją korzyść, lecz sprawiłyby, że wysunięte przeciw mnie oskarżenie wydałoby się jeszcze bardziej niesłychanym. Lecz nie mogę, jak dotąd przynajmniej, zmusić się do tego, by je opowiedzieć. Czyż potrzeba, bym podawał szczegóły i określone przyczyny, dla których chcę zmienić miejsce pobytu? Wszyscy tu zebrani znacie nieszczęsny stan Mr Falklanda. Znacie jego surowość, rezerwę i dystans, jaki zachowuje w stosunkach z ludźmi. Gdybym nie miał innych przyczyn, to fakt, że chciałem zmienić służbę u niego na jakąś inną, niewielki by doprawdy dawał asumpt do podejrzenia mnie o przestępstwo.

Pytanie, jak to się stało, że owe przedmioty stanowiące własność Mr Falklanda znalazły się w moim posiadaniu, jest bardziej istotne. Jest to pytanie, na które jestem zupełnie niezdolny odpowiedzieć. To, że zostały tam znalezione, było co najmniej tak samo nieoczekiwane dla mnie jak dla każdej z obecnych tu osób. Wiem tylko jedno: będąc najgłębiej przeświadczony, że Mr Falkland zna moją niewinność, bo proszę zwrócić uwagę, że nie waham się przed tym twierdzeniem, a powtarzam je z

naciskiem, jestem z całej duszy przekonany, że przedmioty te znalazły się tam zgodnie z zamysłem Mr Falklanda.

Na te słowa znów wyrwał się mimowolny okrzyk z ust wszystkich obecnych. Spojrzenia utkwione we mnie były tak pełne wściekłości, jakby miały mnie rozerwać na ćwierci.

Ciągnąłem dalej:

— Odpowiedziałem już na wszystkie zarzuty. Pan — rzekłem zwracając się do Mr Forestera — miłujesz sprawiedliwość, zaklinam pana, abyś nie pogwałcił jej w tym wypadku. Jest pan człowiekiem przenikliwym; proszę spojrzeć na mnie! Czy dostrzega pan jakiegokolwiek oznaki winy? Proszę przypomnieć sobie wszystko, co pan wie o mnie, i powiedzieć, czy da się to pogodzić ze zbrodnią, którą mi zarzucają? Czy prawdziwy złoczyńca mógłby zachować taki spokój i niewzruszoną pewność siebie, jak ja w tej chwili?

Przyjaciele — powiedziałem zwracając się do obecnej służby — Mr Falkland jest człowiekiem wysokiej pozycji i fortuny, jest waszym panem. Ja jestem biednym wiejskim chłopcem, który na całym świecie nie ma ani jednego przyjaciela. Do pewnego stopnia stanowi to podstawę istotnej różnicy między nami. Nie jest to jednak wystarczająca podstawa do obalenia sprawiedliwości. Pamiętajcie, że jestem w położeniu, którego nie należy lekceważyć, że wyrok wydany przeciwko mnie teraz, kiedy uroczyście zapewniam, że jestem niewinny, na zawsze pozbawi mnie dobrego imienia i spokoju ducha i zadecyduje, być może, o mojej wolności i życiu. Jeśli wierzycie, jeśli widzicie, jeśli wiecie, że jestem niewinny, przemówcie za mną. Nie zezwólcie, aby bojaźliwa nieśmiałość przeszkodziła wam ocalić od zguby bliźniego, który nie zasłużył na to, aby choć jedna ludzka istota była mu wrogiem. Czyż nie po to mamy zdolność mówienia, aby powiedzieć, co myślimy? Nigdy nie uwierzę, by człowiek przekonany o swej niewinności nie zdołał udzielić innym tego przekonania. Czy nie czujecie, jak serce moje woła, że nie jestem winny tego, o co mnie posądzają?

Panu — kończyłem zwracając się do Mr Falklanda — nie mam nic do powiedzenia: znam pana i wiem, że jest pan nieprzenikniony. W tej samej chwili, kiedy rzucasz przeciwko mnie tak ohydne oskarżenie, podziwiasz

moją odwagę i cierpliwość. Lecz od pana niczego nie mogę się spodziewać. Potrafi pan patrzeć na moją zgubę nie odczuwając litości ni wyrzutów. Zaiste, jestem najniezwyklejszym pod słońcem człowiekiem mając do czynienia z takim nieprzyjacielem. Zmusza mnie pan do tego, bym mówił o nim złe rzeczy, ale odwołuję się do pańskiego serca i pytam — czy moje słowa zrodziła przesada lub mściwość?

Teraz, kiedy obie strony powiedziały już swoje, Mr Forester przystąpił do zreasumowania całości.

— Williamsie — powiedział — oskarżenie przeciw tobie jest ciężkie, poszlaki mocne, okoliczności potwierdzające je liczne i uderzające. Przyznaję, że w swych odpowiedziach okazałeś wielką zręczność. Lecz przekonasz się, młody człowieku, na własnej skórze, że zręczność, choć niekiedy znaczy bardzo wiele, małą przyniesie korzyść wobec nieprzejednanej prawdy. Szczęście to dla ludzkości, że potęga zdolności ma swoje granice i że pomysłowość nie jest w stanie zniweczyć różnicy między dobrem a złem. Możesz mi wierzyć na słowo, że wymowa faktów w twojej sprawie jest zbyt silna, by można ją zagłuszyć wykrętnym gadaniem, że sprawiedliwość zwycięży, a bezsilna złość zostanie pogięta.

Tobie, bracie, społeczeństwo jest zobowiązane za postawienie tej sprawy w prawdziwym świetle. Nie pozwól, aby złośliwe oszczerstwa winowajcy zamąciły twój spokój. Bądź pewien, że będą lekko potraktowane. Nie wątpię, że w opinii każdego, kto je słyszał, charakter twój ceniony jest teraz wyżej niż kiedykolwiek. Współczujemy twojemu nieszczęściu. Musiałeś wysłuchać tych kalumnii z ust człowieka, który tak bardzo cię skrzywdził. Należy cię jednak traktować w tym względzie jako męczennika dla dobra powszechnego. Czystość twoich intencji i charakteru pozostaje poza zasięgiem ludzkiej przewrotności, a prawda i sprawiedliwość przyznają niechybnie: twemu potwarcy — hańbę, tobie zaś — miłość i poważanie ludzkie.

Powiedziałem ci już, Williamsie, co myślę o twojej sprawie. Nie mam jednak prawa brać na siebie ostatecznego wyroku. Jakkolwiek sprawa ta wydaje mi się beznadziejną, dam ci jedną radę — jak gdybym występował tu jako twój obrońca. Broń się sam, jak potrafisz, ale nie atakuj twego

pana. W twoim interesie leży wywołać w tych, którzy cię słuchają, korzystne dla siebie nastawienie. Tymczasem rekryminacje, jakich dopiero co się dopuściłeś, będą zawsze budzić oburzenie. Nieuczciwość pozwala sobie na pewne ubarwienie sprawy pięknymi pozorami. Rozmyślna złośliwość jednak, którą przed chwilą okazałeś, jest czymś stokroć bardziej szkaradnym. Dowodzi ona w tobie duszy raczej diabelskiej niż zbrodniczej. Gdziekolwiek powtórzysz to, coś tu mówił, sędziowie uznają cię winnym na tej tylko podstawie, nawet gdyby właściwe dowody przeciw tobie były w jaskrawy sposób niedostateczne. Gdybyś zatem uwzględnił własne dobro, co zdaje się być jedynym twym celem, powinieneś natychmiast odwołać to, coś powiedział. Jeśli chcesz, by wierzo w twoją uczciwość, musisz przede wszystkim pokazać, że masz właściwe poczucie cudzej wartości. Nie możesz lepiej przysłużyć się swojej sprawie jak błagając twego pana o przebaczenie i składając hołd prawości i cnocie, nawet jeśli skierowane są przeciw tobie.

Nie trudno zrozumieć, że wyrok Mr Forestera wstrząsnął mną do głębi; lecz jego wezwanie, abym cofnął to, co powiedziałem, i ukorzył się przed moim oskarżycielem, przepoiło mą duszę oburzeniem. Odparłem:

— Powiedziałem już panu, że jestem niewinny. Jestem pewien, że nie potrafiłbym podjąć wysiłku zmyślenia przekonującej obrony, gdyby było inaczej. Stwierdził pan dopiero co, że i największa pomysłowość nie ma mocy, by obalić różnice między dobrem i złem, a ja w tej właśnie chwili widzę, że zostały one obalone. Doprawdy straszna to dla mnie chwila. Nie znając świata nie wiem nic o jego sprawach poza tym, co doszło do mnie jako pogłoska, lub tym, co wyczytałem w książkach. Wchodziłem w ten świat pełen zapału i ufności nieodłącznej od mych lat. W każdym człowieku spodziewałem się znaleźć przyjaciela. Obce mi są podstępny świat, nie znana nawet jego niesprawiedliwość. Nie uczyniłem nic, by zasłużyć na gniew ludzki; a jednak jeśli mogę wnosić z obecnego zdarzenia, mam być od tej chwili pozbawiony przywilejów uczciwości i honoru. Mam postradać przyjaźń tych, których znałem dotychczas, i być pozbawiony możliwości zdobycia przyjaźni innych. Muszę przeto poprzestać na tym, by szukać zadowolenia we własnych czynach. Zapewniam was, że nie rozpocznę tej drogi od niegodnych ustępstw. Jeśli będę musiał zwątpić o dobrej woli

innych ludzi, zachowam przynajmniej niezależność własnego ducha. Mr Falkland jest moim nieprzejednanym wrogiem. Jakikolwiek byłyby jego zasługi pod innymi względami, w stosunku do mnie postępuje nieludzko, bez skrupułów i bez zasad moralnych. Czy myślicie, że okażę uległość człowiekowi, który tak się ze mną obchodzi, że upadnę do nóg komuś, kto jest dla mnie wcieleniem szatana, lub będę całować rękę czerwoną od mojej krwi?

— W takim razie — odpowiedział Mr Forester — rób, jak uważasz za stosowne. Muszę wyznać, że twój niezachwiany upór napełnia mnie najgłębszym zdumieniem. Rzuca to nowe światło na moje wyobrażenie o sile człowieka. Może obrałeś rolę, która, uwzględnivszy wszystko, jest dla ciebie najkorzystniejsza, choć sądzę, że zachowując więcej umiarkowania łatwiej byś sobie zjednał ludzi. Przyznaję, że niewinny wygląd może zachwiać decyzją ludzi, w których ręku znajdzie się twój los, lecz nigdy nie zdoła przeważyć szali prostych i niezaprzeczalnych faktów. Ale ja skończyłem już z tobą. Widzę w tobie nowy przykład tego tak częstego nadużywania zdolności budzących podziw w niewybrednym tłumie. Patrzę na ciebie z odrazą. Jedyne, co mi jeszcze pozostaje do zrobienia, to spełnić moją powinność i przekazać cię jako okaz zepsucia miejscowym organom sprawiedliwości.

— Nie — wtrącił Mr Falkland. — Na to nigdy nie przystanę. Zadałem sobie przymus dopuszczając do tego dochodzenia, ponieważ słusznym było, aby doszło do zeznań i badań. Powściągnąłem wszystkie swoje nawyki i cały sposób myślenia, ponieważ wydawało mi się obowiązkiem wobec społeczeństwa zerwać tę maskę hipokryzji. Ale nie będę sobie dłużej zadawał gwałtu. Przez całe życie wdawałem się w ludzkie sprawy, aby wspomagać, nie aby gnębić cierpiących, i teraz muszę postąpić tak samo. Nie czuję nawet w najmniejszym stopniu urazy o te bezsilne ataki na mój charakter, śmieję się z ich złośliwości i nie wpływają one na moją dobrą wolę w stosunku do ich sprawcy. Niech mówi, co mu się spodoba: nie może mi wyrządzić krzywdy. Słuszne było, że publicznie został zawstydzony po to, by inni nie padli ofiarą jego oszustwa, tak jak my. Ale nie ma potrzeby ciągnąć tej sprawy dalej i nalegam, aby mu pozwolono udać się,

gdziekolwiek zechce. Przykro mi, że ze względu na dobro publiczne musiałem rzucić taki cień na jego przyszłość.

— Bracie — odparł Mr Forester — te uczucia przynoszą zaszczyt twemu poczuciu człowieczeństwa, lecz ja nie mogę ustąpić. Uczucia te ukazują tylko w jaskrawym świetle tego jadowitego węża, to monstrum niewdzięczności, co najpierw okrada swego dobroczyńcę, a potem go szkaluje. Czy nic cię nie poruszy, nikczemniku? Czy wyrzuty sumienia nie mają do ciebie dostępu? Czy nie zasłużona dobroć twego pana nie wstrząsa twej duszy? Podły oszczerco! Natura brzydzi się tobą, ty zakało rodzaju ludzkiego, i tylko twoja zagłada zdoła uwolnić ziemię od nieznośnego ciężaru. Pamiętaj, bracie, że w tej samej chwili, kiedy ty okazujesz mu tak bezprzykładną pobłażliwość, ten potwór ma czelność obwiniać cię o to, że oskarżasz go wiedząc, że jest niewinny, ba, nawet o to, żeś ukrył rzekomo ukradzione przedmioty między jego rzeczami mając na celu jego zgubę. Ta bezprzykładna nikczemność nakłada na ciebie obowiązek uwolnienia świata od takiej zakały, a dla swojego dobra powinienes nie folgować mu, ale ścigać swą karzącą ręką, aby świat nie wywnioskował z twej łagodności, że należy dać wiarę tym podłym insynuacjom.

— Nie dbam o następstwa — odparł Mr Falkland — i pójdę za nakazem własnego serca. Przenigdy nie przyłożę ręki do ulepszania ludzkości przy pomocy topora i stryczka. Mam tę pewność, że na świecie nigdy nie będzie tak, jak być powinno, póki honor, zamiast prawa, nie obejmie nad nim najwyższej władzy, póki występki nie nauczy się ustępować przed nieprzepartą mocą wrodzonej godności, nie zaś przed chłodną formułą ustaw. Gdyby mój oszczerca był godny mojej zemsty, ukarałbym go własnym mieczem, nie mieczem sędziego, lecz tak, jak się rzeczy mają, uśmiecham się na widok jego złości i postanawiam oszczędzić go, tak jak szlachetny pan lasu oszczędza robaka, który zakłócił mu odpoczynek.

— To, co mówisz w tej chwili — powiedział Mr Forester — to słowa wyjęte z rycerskiej opowieści, nie zaś podyktowane przez rozsądek. A jednak nie mogę nie widzieć kontrastu między wielkoduszną cnotą i zatwardziałą, nieprzeniknioną ohydą występku. Podczas gdy twoja dusza przepełniona jest dobrocią, nic nie zdoła poruszyć serca tego na cztery nogi

kutego łotra. Nigdy sobie nie przebaczę, że dałem się swego czasu złapać na jego obmierzłe sztuczki. Nie pora nam teraz rozstrzygać kwestię między rycerskością a prawem. Dlatego jako sędzia pokoju, który zapoznał się z dokonanym przestępstwem, obstaję przy swoim prawie i obowiązku, by skierować tę sprawę dalej na drogę wymiaru sprawiedliwości i przekazać oskarżonego władzom okręgowego więzienia.

Po paru chwilach dalszego sporu Mr Falkland napotykając na niezłomny opór Mr Foreстера cofnął swój protest. Jakoż wezwano odpowiedniego urzędnika z sąsiedniej wioski, wystawiono rozkaz uwięzienia i przygotowano jeden z ekwipaży Mr Falklanda, aby odwieźć mnie do aresztu. Łatwo sobie wyobrazić, że ten nagły zwrot losu był bardzo bolesny dla mnie. Patrzałem wokoło na twarze sług, którzy byli świadkami mego badania, lecz nikt spośród nich ni słowem, ni gestem nie okazał współczucia dla mej niedoli. Rabunek, o jaki byłem oskarżony, wydawał im się straszliwy swoimi rozmiarami. I jeśli w ich prostych i szczerych duszach mogłaby się w innym wypadku zrodzić jakaś iskra współczucia, stłumiłoby ją do cna oburzenie na moją rzekomą występność, z jaką rzucałem oskarżenia na ich szlachetnego i będącego wzorem doskonałości pana.

Kiedy mój los został już przesądzony, a ktoś ze służby wyprawiony po woźnego sądowego, Mr Forester i Mr Falkland wyszli pozostawiając mnie pod strażą dwu innych służących.

Jeden z nich był synem mieszkającego niedaleko farmera, który długie lata przyjaźnił się z nieboszczykiem moim ojcem. Pragnąłem w pełni odkryć stan mojej duszy przed tymi, którzy byli świadkami niedawnej sceny, a którzy mieli poprzednio niejedną okazję przypatrzeć się mojemu charakterowi i obyczajom. Próbowałem przeto wejść z nimi w rozmowę.

— No i cóż, mój dobry Tomasz — zacząłem z wahaniem i żalnym głosem — czyż nie jestem najnieszczęśliwszą pod słońcem istotą?

— Niech pan nie odzywa się do mnie, panie Williamsie! Tak mną wstrząsnęło to, coś pan zrobił, że długo o tym nie zapomnę. Kura was wysiedziała, jak mówi przysłowie, ale k...a była twoja matka. Cieszę się z całego serca, że ten uczciwy gospodarz Williams nie żyje, toż przekląłby



dzień, w którym się urodził, gdyby widział twoją niegodziwość.

— Tomaszu, ja jestem niewinny! Przysięgam na Boga żywego, przed którego sądem kiedyś stanę, że jestem niewinny!

— Proszę, nie przysięgaj! Na litość boską, nie przysięgaj! I bez tego twoja biedna dusza dość zasłużyła na potępienie. Przez ciebie, chłopcze, nigdy już nie będę ufał niczyjemu słowu ani wierzył pozorom, chociażby to był sam anioł z nieba. Boże, zachowaj nas! Jak to gładko ci szło gadanie, zupełnie jakbyś był czysty jak nowonarodzone dziecię. Ale nic z tego. Nigdy nie zdołasz przekonać ludzi, że czarne to białe. Co do mnie, to między nami kwita. Kochałem cię wczoraj tak samiuteńko, jakbyś był moim rodzonym bratem. A dzisiaj tak cię kocham, że z ochotą zrobiłbym dziesięć mil, żeby zobaczyć, jak cię wieszają.

— Dobry Boże! Tomaszu, czy ty nie masz serca? Tak się zmienić! Wzywam Boga na świadka, że nie zrobiłem nic, by na to zasłużyć! W jakimż ja świecie żyję!

— Zamilcz już nareszcie! Kiszki mi się przewracają, kiedy cię słucham. Za nic na świecie nie chciałbym ani nocy przespać pod jednym dachem z tobą. Bałbym się, że dom się zawali, by skruszyć taką przewrotność. Dziwię się, że ziemia się nie otworzy, by cię żywcem pochłonąć. Sam twój widok jest jak trucizna. Jeśli będziesz i dalej okazywał taką zatwardziałość, wierzę z całej duszy, że ludzie, do których będziesz się zwracał, rozerwą cię na sztuki i nie pożyjesz nawet tak długo, żeby pójść na szubienicę. A pewnie! Masz rację litując się nad sobą. Biedna delikatna istota, co jak ropucha pluje jadem dokoła siebie i nawet ziemię, po której pełza, kazi swoim mułem.

Widząc, że do tego człowieka nie dotrze nic, co bym powiedział, i zważywszy, że korzyść z pozyskania go byłaby niewielka, nawet gdybym zdołał przewyciężyć jego uprzedzenie, poszedłem za jego radą i zamilkłem. Niedługo potem wszystko zostało już przygotowane do mojego wyjazdu i odstawiono mnie do tego samego więzienia, w którym tak niedawno przebywali nieszczęśliwi, a niewinni Hawkinsowie. Oni także byli ofiarami Mr Falklanda. Ten zaś był jakby wizerunkiem — na mniejszą skalę, lecz wiernie odtwarzającym główne rysy — owych monarchów, którzy między

narzędzia swej władzy wliczają publiczne więzienia.

## ROZDZIAŁ XXIII

Co do mnie, to nie widziałem dotąd więzienia i tak jak większość moich bliźnich, niewiele się frasowałem o to, aby zbadać położenie tych, którzy popełnili jakąś winę wobec społeczności lub uznani zostali za podejrzanych. O jakże ponętna jest najbiedniejsza szopa, pod której dach nędzarz udaje się na spoczynek, w porównaniu z mieszkaniem wśród tych murów!

Wszystko tu dla mnie było nowością — masywne drzwi, głośno skrzypiące zamki, mroczne, ponure korytarze, zakratowane okna i charakterystyczna powierzchowność dozorców, przywykłych odmawiać każdej prośbie i opancerzać swe serca przeciw uczuciu litości. Ciekawość i zrozumienie mego położenia kazały mi skierować wzrok na twarze tych ludzi, lecz po paru chwilach odwróciłem oczy z nieprzewyciężonym wstrętem.

Nie podobna opisać ohydy i jakiegoś plugawego brudu, jakim odznaczają się te przybytki. Widziałem brudne twarze w brudnych izbach, które mimo to sprawiały wrażenie zdrowych i wyrażały raczej beztroskę i lekkomyślność niż rozpacz. Lecz brud więzienia napawa serce smutkiem i wygląda, jakby znajdował się już w stanie rozkładu i zarazy.

Ponad godzinę przetrzymano mnie w izbie naczelnika, podczas gdy dozorczy więzienia wchodzili jeden po drugim, aby przyjrzeć mi się bliżej. Ponieważ uważano mnie już za winnego rabunku na poważną kwotę, poddany zostałem gruntownej rewizji i zabrano mi scyzoryk, parę nożyczek oraz tę część posiadanych przeze mnie pieniędzy, która była w złocie. Roztrząsano kwestię, czy te przedmioty powinny być opieczętowane, czy nie, aby mi je zwrócić, jak mówiono, po moim uwolnieniu. I gdybym nie okazał bezprzykładnej stanowczości i siły przekonywania, tak by przypuszczalnie postąpiono. Kiedy przeszedłem ten ceremoniał, wepchnięto mnie do pomieszczenia, gdzie na dzień zamykano więźniów. Tu

zgrupowani byli wszyscy zatrzymani pod zarzutem kradzieży — w liczbie jedenastu, a wszyscy zbyt byli pochłonięci własnymi myślami, by zwrócić na mnie uwagę. Spośród tych dwaj zostali uwięzieni za kradzież koni, trzej za to, że ukradli owcę, jeden za złodziejstwo popełnione w sklepie, jeden za fałszerstwo pieniędzy, dwaj za rozbój na gościńcach, dwaj za włamanie.

Złodzieje koni byli zajęci grą w karty, która po krótkiej chwili została przerwana różnicą zdań, połączoną z głośnymi wrzaskami, jako że odwoływali się to do tego, to do owego z obecnych o rozstrzygnięcie sporu, ale nadaremnie: ten nie zwracał uwagi na ich wezwania, ów odchodził nie dosłuchawszy do końca opowieści, nie mogąc już dłużej znieść własnego wewnętrznego niepokoju wśród tych błazeństw.

Pomiędzy złodziejami istnieje zwyczaj powoływania spośród nich samych pewnego rodzaju błazeńskiego trybunału, o którego wyrokach każdy jest powiadamiany: czy ma być zwolniony, czy mu wyrok zawieszają, czy go ułaskawią, jak również o możliwie najzręczniejszym sposobie obrony.

Jeden z włamywaczy, który już miał za sobą tę udrękę, przechadzał się po izbie z udanym animuszem, zawołał on do swego towarzysza, że jest tak bogaty jak sam książę Bedfordu. Ma bowiem pięć i pół gwinei, to jest tyle, ile byłby w stanie wydać w ciągu następnego miesiąca, a co będzie potem, to niech się tym Jack Ketch [**Jack Ketch - popularna nazwa nadawana katowi w Anglii. (Przyp. tłum.)**] martwi, nie on. Wypowiedziawszy te słowa rzucił się gwałtownie na stojącą w pobliżu ławę i natychmiast zapadł w sen. Lecz sen jego był niespokojny, jakby czymś zakłócony, oddech ciężki, niekiedy przypominający raczej jęk. Do miejsca, gdzie leżał, podszedł ostrożnie z drugiego końca izby jakiś młodzik z wielkim nożem w ręku, przyłożył go tępą stroną do szyi leżącego, którego głowa zwisała poza brzeg ławy, i przycisnął z taką mocą, że ten ostatni dopiero po paru bezowocnych próbach zdołał się podnieść.

— Ej, tam, Jack — zawołał żartowniś — zrobiłem prawie całą robotę za ciebie.

Tamten nie okazał wcale gniewu, lecz odpowiedział posepnie:

— Niech cię diabli, czemuś nie uderzył ostrzem? Byłaby to najlepsza

rzecz, jaką zrobiłeś od wielu dni.

Historia jednego z ludzi zatrzymanych za rozbój na gościńcu należała do dość niezwykłych. Był to prosty żołnierz o wyjątkowo ujmującej fizjonomii, liczący sobie dwadzieścia dwa lata. Ten, który go oskarżył, wracał kiedyś późnym wieczorem z szynku i został obrabowany na sumę trzech szylingów. Przysięgał z całą stanowczością, że żołnierz jest winowajcą. Więzień ten odznaczał się charakterem nie mającym prawie równych sobie. Z zapałem oddawał się kształceniu swego umysłu i znajdował ulubioną rozrywkę w dziełach Wergilego i Horacego. Jego niskie pochodzenie w połączeniu z zapałem do literatury tylko podnosiło urok jego osoby. Był prosty i niewymuszony, niczego nie udawał, kiedy okoliczność tego wymagała, zdolny był do stanowczości, lecz zazwyczaj wydawał się bezbronny i pokorny. Nie podejrzewał podstępów w innych, ponieważ sam był niezdolny do podstępów. Jego uczciwość była przysłowiowa. Pewna dama poruczyła mu dostarczyć sumę tysiąca funtów osobie oddalonej o kilka mil. Kiedy indziej pewien dżentelmen powierzył mu na czas swojej nieobecności pieczę nad domem i meblami o wartości przynajmniej pięciokrotnie wyższej. Sposób myślenia miał samodzielny, pełen prawości, prostoty i mądrości. Dzięki szczególnej umiejętności czyszczenia broni od czasu do czasu dostawał od oficerów jakieś pieniądze, lecz kiedy proponowali mu, że zrobią z niego sierżanta lub kaprała, tłumaczył się, że pieniędzy nie chce, a na nowym stanowisku miałby mniej wolnego czasu na naukę. Tak samo stanowczo odmawiał przyjmowania prezentów od ludzi, których zdobywał swoimi zaletami, nie żeby powodowała nim fałszywa delikatność i duma, ale że nie miał ochoty przyjmować rzeczy, których braku nie odczuwał jako przykrości. Człowiek ten umarł w tym czasie, kiedy ja przebywałem w więzieniu. Przy mnie wydał ostatnie tchnienie. **[Niezwykle podobną historię znaleźć można w *Kronikach więzienia Newgate*, tom I, str. 382. (Przyp. autora.)]**

Skazany byłem na to, by spędzać całe dni w towarzystwie tych ludzi, z których jedni istotnie popełnili to, co im zarzucano, inni zaś padli ofiarą podejrzania. A wszystko razem przedstawiało obraz takiej niedoli, jakiej bez naocznej obserwacji nie podobna sobie wyobrazić.

Niektórzy więźniowie zachowywali się hałaśliwie i wyzywająco, usiłując udanym animuszem zagłuszyć myśli o swoim położeniu; podczas gdy inni, niezdolni nawet do takiego wysiłku, męczyli się jeszcze bardziej w ustawicznym rozgardiaszu i zamieszaniu, które panowały dokoła. Na twarzach tych, którzy udawali odważnych, można było dostrzec bruzdy wyżłobione niepokojem i troską, a niekiedy natrętne, straszliwe myśli przerywały ich sztuczną wesołość wykrzywiając ich twarze i nadając każdemu rysowi wyraz śmiertelnej trwogi.

Słońce nie potrafiło przywrócić tym ludziom radości. Dzień za dniem mijał, a los ich pozostawał niezmienny. Życie było dla nich nieustającym pasmem smutku, a każda chwila — chwilą udręki. A jednak woleli przedłużać te chwile lękając się, by przyszłość nie przyniosła czegoś gorszego. O przeszłości myśleli z dotkliwym żalem i każdy z ochotą dałby sobie odrąbać prawą rękę, by jeszcze raz mieć do wyboru spokój i wolność, które tak bezmyślnie przefrymarczył.

Mówimy o narzędziach tortur. Anglicy chlubią się tym, że usunęli je ze swej szczęśliwej wyspy. Niestety! Ten, kto poznał tajemnice więzienia, wie dobrze, że większą torturą jest tęskny żywot skazańca, wolno płynące minuty nieznośnej ciszy niż namacalna krzywda, jaką wyrządzić mogą bicz i katowskie obcęgi!

Tak przechodziły nam dni. O zachodzie słońca zjawiali się nasi dozorczy, a każdy z nas otrzymywał rozkaz udania się do swej celi, gdzie go zamykano. Wszechwładny dozór tych ludzi dotkliwie pogarszał naszą dolę. Nie mieli współczucia dla ludzkiego smutku, byli ostatnimi pod słońcem istotami zdolnymi do jakiegokolwiek uczucia. Odczuwali okrutną i posępną rozkosz wydając nienawistne nam rozkazy i obserwując ponurą niechęć, z jaką je wykonywaliśmy. Cokolwiek by rozkazali, daremne było im tłumaczyć. Kajdany, chleb i woda były nieodwołalnym skutkiem stawiania oporu. Ich tyrania nie znała innych granic prócz własnego kaprysu. Do kogo miał się odwołać nieszczęsny zbrodniarz? W jakim celu miał się skarżyć, skoro skargi jego na pewno byłyby przyjęte z niedowierzaniem? Opowieść o buncie i niezbędnych środkach ostrożności jest niezawodną wymówką naczelnika więzienia i opowieść ta uniemożliwia więźniowi

skargę.

Cele nasze były podziemnymi lochami mierzącymi siedem i pół na sześć i pół stóp, wilgotnymi, pozbawionymi okien, światła i dopływu powietrza poza paroma otworami zrobionymi w tym celu we drzwiach. W niektórych z tych nędznych nor umieszczano na noc po trzech ludzi razem [**Patrz książka Howarda *On Prisons.* (Przyp. autora.)**]. Ja miałem szczęście dostać loch dla siebie samego.

Nadchodziła właśnie zima. Nie zezwolono nam na posiadanie świec, a — jak już wspomniałem — wpychano nas tu o zachodzie słońca i pozostawiano aż do nastania dnia. Trzymano nas w lochach po czternaście lub piętnaście godzin na dobę. Nigdy nie miałem zwyczaju sypiać więcej niż sześć lub siedem godzin, teraz zaś odczuwałem mniejszą niż kiedykolwiek skłonność do snu. W ten sposób zmuszony byłem połowę doby spędzać w okropnym pomieszczeniu i w zupełnej ciemności. I to w niemałym stopniu pogarszało mój los.

Wśród smętnych rozmyślań zadawałem pracę mej pamięci i przeliczałem wszystkie drzwi, zamki, rygle, łańcuchy, potężne mury i zakratowane okna, które dzieliły mnie od wolności.

— Oto — mówiłem sobie — urządzenia, które tyrania wynajduje z całą powagą i zimną krwią. Oto władza, jaką człowiek zdobywa nad człowiekiem. W ten oto sposób istota stworzona do swobody, działania, śmiechu i radości traci wolność i staje się jak odrętwiiała. Jak wielką musi być przewrotność lub nierozwaga tego, kto usprawiedliwia ów system, zmieniający zdrowie, radość i pogodę serca na więzienną bladość i głębokie bruzdy — ślady śmiertelnej trwogi i rozpaczy!

— Dzięki Bogu — woła Anglik — my nie mamy Bastylii! Dzięki Bogu, u nas nikt nie może być ukarany nie popełniwszy zbrodni.

Nieszczęsny, bezmyślny człowieku! Czy to jest kraj wolności, gdzie tysiące ludzi męczy się w więzieniach i okowach? Idź, nieświadomy głupcze, idź i popatrz na to, co dzieje się w naszych więzieniach. Zobacz na własne oczy, jak są niezdrowe, jak brudne, zobacz wszechwładzę nadzorców, niedolę ich mieszkańców. A potem pokaż mi człowieka tak bezwstydного, by mógł powtórzyć z triumfem, że Anglia nie ma Bastylii.

Czy jest tak błahe oskarżenie, które by nie kierowało ludzi w to nienawistne miejsce? Czy jest jaka niegodziwość, której by nie stosowali sędziowie i oskarżyciele? Lecz przeciw temu wszystkiemu — mówiono ci — jest odwołanie. O, tak! odwołanie, o którym wspominać nawet to najwyższa hańba!

Gdzie taki nieszczęśnik doprowadzony do ostatniej rozpacz, który zostaje uwolniony na sekundę przed ostateczną zagładą — gdzie taki człowiek znajdzie wolny czas, a tym bardziej pieniądze, aby opłacić obrońcę i woźnych i zakupić ten wolno działający i drogi lek, jakim jest orzeczenie prawa? Nie! Nadto jest szczęśliwy, jeśli zostawi za sobą swoją celę i pamięć o niej, to samo zaś okrucieństwo i nie znający hamulca ucisk stają się z kolei udziałem jego następcy. Co się mnie tyczy, to patrzyłem dokoła po murach i przed siebie, oczekując przedwczesnej śmierci, której spodziewać się aż nadto miałem powodów. Wejrzałem twe własne serce, które mówiło mi tylko o mej niewinności. I powiedziałem: „Oto czym jest społeczeństwo. Oto sprawiedliwość, której poszukuje ludzkość. Nad tym głowili się mędracy i na to marnowano po nocach oliwę. Na to!”

Czytelnik mi wybaczy tę dygresję od bezpośredniego tematu mojej opowieści. Gdyby mówiono, że są to ogólnikowe uwagi, proszę pamiętać, że zostały drogo okupione doświadczeniem. To serce przepełnione bólem dyktuje gorzkie słowa. Nie są to deklamacje człowieka, który chce być wymowny. Poczułem na sobie, czym są kajdany niewolnictwa, które wzerają się w duszę.

Zdawało mi się, że żadna istota ludzka nie zaznała większej niedoli. Ze zdumieniem myślałem o młodzieńczej niecierpliwości, z jaką czekałem na przesłuchanie, by udowodnić, że jestem niewinny. Przeklinałem ją jako nieznośną pedanterię godną najwyższej pogardy.

Wołałem z goryczą:

— Cóż warta jest dobra sława? To klejnot dla ludzi, których pociągają błyskotki. Gdyby nie ta sława, byłbym zachował pogodę serca i ochotę do pracy, spokój i wolność; czemuż uzależniałem swoje szczęście od opinii innych ludzi? Lecz gdyby dobra sława miała bezcenną nawet wartość, to czy można na zdrowy rozum uważać więzienie jako środek do jej



odzyskania? Oto bowiem jakimi słowami przemawiają owe instytucje do nieszczęśnika: „Pójdź i bądź pozbawiony światła dziennego, stań się towarzyszem tych, których społeczeństwo napiętnowało swym wstrętem, bądź niewolnikiem dozorców, zakutym w kajdany. W ten sposób zostaniesz oczyszczony od wszelkiej niegodnej potwarzy, a przywrócone ci będą dobre imię i honor.” Takiej pociechy udziela sprawiedliwość tym, których złość ludzka lub głupota, osobista uraza lub niczym nie usprawiedliwiony upór skalały piętnem oszczerstwa.

Co do mnie, to czułem własną niewinność, a rychło przekonałem się, że zazwyczaj trzy czwarte więźniów to ludzie, przeciw którym — nawet przy całej wzgardliwej wyniosłości i skwapliwości naszych sądów — nie sposób znaleźć wystarczająco przekonywający dowód. Jak szczupły zatem musi być zasób wiadomości i jak nikła przenikliwość człowieka, który chce złożyć swoją reputację i swoje szczęście pod taką pieczę!

Lecz moje położenie było jeszcze gorsze. Czułem wewnętrznie, że proces — będąc tym, czym go zrobiły nasze instytucje — okaże się tylko godnym następstwem więzienia. Jakaż była szansa na to, że po tym czyścicu, jaki przechodziłem teraz, zostanę w końcu uniewinniony? Jakież prawdopodobieństwo, że sąd, któremu poddano mnie w domu Mr Falklanda, był mniej sprawiedliwy niż każdy inny? Nie: spodziewałem się, że zostanę skazany.

Tak więc musiałem się pożegnać na zawsze z tym wszystkim, co może dać życie, z wszystkimi szczytnymi nadziejami, które tak często snułem, z całą przyszłą świetnością, o której z taką rozkoszą marzyła moja dusza. Miałem spędzić parę tygodni w nędznym więzieniu, a potem zginąć z ręki kata. Żadne słowa nie oddadzą w pełni, ile oburzenia i jak bolesną odrazę budziły te myśli. Moja nienawiść nie ograniczała się do mego prześladowcy, ale rozciągała się na całą machinę społeczeństwa. Nie mogłem uwierzyć, że to, co się działo w więzieniach i sądach, jest sprawiedliwe i że te instytucje są niezbędne dla powszechnego dobra. Cała ludzkość wydawała mi się jakby złożona z samych katów i oprawców, którzy sprzymierzyli się, aby mnie rozedrzeć na sztuki. I ten obraz nieubłaganego prześladowania przepełniał mnie niewysłowioną męką. Rozpatrywałem moje położenie ze

wszystkich stron; byłem niewinny, miałem prawo oczekiwać pomocy, lecz wszystkie serca były dla mnie zamknięte, wszystkie dłonie gotowe użyczyć swej siły, by przypieczętować moją zgubę. Nikt, kto w największym nieszczęściu nie czuł, że sprawiedliwość, odwieczna prawda i niezmienna prawość są po jego stronie, po drugiej zaś brutalna siła, nieugięty upór i nieczułe na nic grubiaństwo — nie może sobie wyobrazić tego, co ja przeżywałem. Widziałem, jak zdrada triumfuje i zasiada na tronie, widziałem, jak niewinność zmiażdżono na pył potężną dłonią występku. Jaką ulgę przynosiły mi te przeżycia? Czy można nazwać ulgą to, że dzień spędzałem wśród rozwiązłości i przekleństw, że na każdej twarzy widziałem odbicie cierpień jeszcze gorszych niż moje własne? Człowiekowi, który chciałby mieć żywe wyobrażenie miejsc, gdzie przebywają potępieni, wystarczyłoby spędzić tylko sześć godzin w otoczeniu, na które ja byłem skazany przez wiele miesięcy. Ani na godzinę nie mogłem usunąć się z tego kłębowiska ohydy lub szukać ucieczki w spokoju, jaki daje rozmyślanie. Nieubłagane okrucieństwo, w którego mocy się znalazłem, pozbawiło mnie powietrza i ruchu, pewności jutra i rozrywek, tego wszystkiego, co jest tak ważne dla zdrowia. Niemniej nieznośną wydawała mi się samotność mej nocnej celi. Jedynym jej umeblowaniem była wiązka słomy służąca mi za posłanie. Sama cela była niska, wilgotna i niezdrowa. Umęczony odrażającą jednostajnością, nie mając żadnych rozrywek ani zajęcia, które mogłyby mi skrócić te przykre godziny, zapadałem na krótko tylko w niespokojny, nie dający wytchnienia sen. I moje sny, bardziej jeszcze niżli myśli na jawie, były okropne, pomieszane i bezładne. Potem następowały godziny, które — zgodnie z przepisami więziennymi — musiałem spędzać, choć już nie spałem, w samotności i ponurych ciemnościach. Nie miałem tu ani książek, ani piór, nic, czym bym mógł zająć uwagę, dokoła tylko nieprzebity mrok.

Jak miał znosić te nieszczęścia umysł tak żywy i niestrudzony jak mój? Nie mogłem zapaść w letargiczną obojętność, nie mogłem zapomnieć o mojej niedoli: stawała mi wciąż przed oczyma jak upiór, z nieustępliwą, diabelską złośliwością. Okrutna to, nieprzeblagana sztuka rządzenia ludzkimi sprawami, która skazuje człowieka na takie tortury, która

przywalała na nie i nie wie, co dzieje się za jej przyzwoleniem, która zbyt jest opieszalą i nieczułą, by wnikać w te błahe szczegóły, która nazywa to próbą niewinności i obroną wolności! Po tysiąckroć gotów byłem roztrzaskać sobie głowę o mury mojej celi, tysiąc razy tęskniłem do śmierci i z niewysłowionym żarem pragnąłem, by przyszedł kres moich męczarni, tysiące razy rozmyślałem o samobójstwie i z sercem pełnym gorzkości rozważałem rozmaite sposoby zrzucenia z siebie ciężaru istnienia. Cóż miałem wspólnego z życiem? Widziałem dosyć, abym patrzył na nie z odrazą. Czemuż miałbym czekać na powolną zagładę z ręki despotycznego prawa i nie mieć tyle śmiałości, by umrzeć wcześniej, a nie wtedy i w ten sposób, jak postanowią jego wykonawcy? A jednak jakiś niewytłumaczalny wewnętrzny głos powstrzymywał moją rękę. Rozpaczliwie czepiałem się tego cienia egzystencji, jakim było moje obecne życie, jego tajemniczych powabów i beznadziejnych widoków na przyszłość.

## ROZDZIAŁ XXIV

Takie myśli nawiedzały mnie ustawicznie w pierwsze dni po uwięzieniu, toteż były to dni strasznej udręki. Lecz po pewnym czasie znużona rozpaczą natura nie chciała dłużej zginać się pod tym ciężarem; myśli, które nie stoją w miejscu, skierowały się w zupełnie inną stronę.

Odżył we mnie hart ducha. Zwykłym moim usposobieniem była wesołość, dobry humor i pogoda. I to usposobienie powróciło do mnie w moim lochu. A ledwie myśli moje wzięły ten obrót, zrozumiałem, że jest i wskazane, i możliwe zachować wewnętrzny spokój. Jakiś głos szeptał mi, że w tych opłakanych warunkach powinienem okazać wyższość nad moimi prześladowcami. O błogosławiony stanie niewinności i zadowolenia z siebie! Świadomość uczciwości niczym światło słoneczne przez mury przenikała do mej celi i dawała mi taką radość, jakiej wszystkie razem zebrane cuda natury i sztuki nie mogą dać niewolnikom występku.

Odkryłem sekret, jak zatrudnić mój umysł. Powiedziałem sobie: „Przez pół dnia jestem zamknięty w zupełnych ciemnościach, bez żadnej rozrywki z zewnątrz, drugą połowę spędzam wśród hałasu, kłótni i zamętu. Cóż zatem? Czyż nie mogę znaleźć rozrywki we własnych myślach? Czy umysł mój nie jest pełen różnorodnej wiedzy? Czyż od dzieciństwa nie kierowała mną nienasycona ciekawość? Kiedyż miałbym wyciągnąć korzyść z tych niepoślednich walorów, jeśli nie teraz?”

Zaprzęgam więc do roboty moją pamięć i fantazję. Szukałem rozrywki w przypominaniu sobie historii własnego życia. Wywoływałem w pamięci drobne zdarzenia, które — gdyby nie ten wysiłek — zostałyby na zawsze zapomniane. Przechodziłem w myśli całe rozmowy, uprzytamniałem sobie ich materię, ich tok, niespodziewane zwroty, często nawet słowa. Dumalem nad nimi, póki myśli moje nie pochłonęły mnie bez reszty. Powtarzałem je sobie, póki mój umysł nie rozgorzał zapalem. Czym innym zajmowałem się

w nocnej samotności, kiedy mogłem pozwolić na swobodny bieg tłoczących się myśli; czym innym znowu podczas dziennej wrzawy, kiedy głównym moim celem było nie poddać się panującemu dokoła zamętowi.

Potem stopniowo poniechałem historii własnego życia i zająłem się zmyślonymi przygodami. Wyobrażałem sobie wszystkie możliwe sytuacje, w jakich mógłbym się znaleźć, i rozmyślałem, jakby należało się zachować w każdej z nich. W ten sposób zaznajomiłem się z hańbą i niebezpieczeństwem, czułością i prześladowaniem. Nieraz przeżywałem w wyobraźni tę straszną godzinę, kiedy pęka nić życia. W moich rojeniach wrzałem niekiedy gwałtownym oburzeniem, kiedy indziej zaś zbierałem całą siłę ducha w obliczu jakiejś straszliwej próby. Ćwiczyłem się w wymowie przydatnej w tych różnorodnych sytuacjach i w samotnej celi zrobiłem prawdopodobnie większe postępy, niżbym tego dokonał w najbardziej gwarnym i ruchliwym życiu.

W końcu doszedłem do tak regularnego rozkładu zajęć, jak człowiek w swoim gabinecie, który ma ustalone godziny na matematykę, poezję, prawo narodów, i tak samo rzadko jak on odstępowałem od mojego planu. Tematy moich roztrząsań były niemniej liczne. W czasie mego pobytu w więzieniu przeszedłem, jedynie przy pomocy pamięci, znaczną część Euklidesowej geometrii i dzień po dniu odświeżałem w pamięci szereg faktów i zdarzeń opisywanych przez najsłynniejszych historyków. Stałem się sam poetą. A opisując uczucia, jakie budzi widok natury, odtwarzając charaktery i namiętności ludzkie, z płomienną gorliwością brałem udział w ich szlachetnych zamierzeniach; opuszczałem plugawą samotnię więzienia i myślą przebiegałem społeczeństwo ludzkie w całej jego różnorodności. Z łatwością znalazłem środki, jakich zawsze wymaga umysł, a jakich książki i pióro dostarczają człowiekowi pod dostatkiem, aby od czasu do czasu zanotować uczynione postępy.

Wśród tych zajęć rozmyślałem z zapałem, w jakim stopniu człowiek może być niezależny od uśmiechów i kaprysów fortuny. Znajdowałem się poza zasięgiem jej władzy, bo nie mogłem już spaść niżej. Zwykłemu oku mogłem się wydawać nieszczęśliwy i opuszczony, lecz w rzeczywistości nie brakowało mi niczego. Strawa moja była prosta, cieszyłem się jednak

zdrowiem. Cela — ohydna, lecz ja nie czułem żadnych niewygód. Byłem pozbawiony powietrza i ruchu, ale znalazłem sposób, by w mojej celi uprawiać takie ćwiczenia, że nieraz dobrze spotniałem. Nie miałem możliwości opuścić wstrętnego towarzystwa ludzi, z którymi musiałem spędzać najcenniejsze, najmilsze godziny dnia, lecz rychło doprowadziłem do doskonałości sztukę oddawania się własnym myślom i ludzi dokoła siebie widziałem i słyszałem tylko wtedy, kiedy tego chciałem.

Taki oto jest człowiek pozostawiony sobie, tak prosta jego natura, tak niewielkie jego potrzeby. Jakże odmienny jest od człowieka żyjącego w społeczeństwie, które odeszło od natury. Na przyjęcie tego człowieka buduje się pałace, obmyśla się tysiące środków lokomocji, aby go przenosić z miejsca na miejsce, plądruje się całe prowincje, aby zaspokoić jego apetyt, i wędruje po całym świecie, aby dostarczyć mu ubiorów i mebli. Tak ogromne są jego potrzeby, a ceną, jaką płaci — jest niewola. Spokój i zdrowie człowieka uzależnione są od tysięcy okoliczności, a ciało i dusza wydane na łaskę każdego, kto tylko zaspokoi jego wielkie wymagania.

A oprócz tych przykrych stron mojej obecnej sytuacji czekała mnie sromotna śmierć. Lecz cóż? Każdego czeka śmierć. Nikt nie wie, kiedy nadejdzie. Na pewno jest lepiej spotkać tę straszliwą panią będąc w dobrym zdrowiu i mając siły, by zachować się mężnie, niż wtedy, kiedy jest się już na wpół pokonanym przez chorobę i cierpienia. Chciałem być przynajmniej panem tych dni, które mi jeszcze zostały, a to jest w mocy człowieka, który zachowa zdrowie do ostatniej chwili życia. Czemuż miałbym pozwolić, aby myśli moje opanowały daremne żale? Moja pycha, a raczej moja niezależność i poczucie sprawiedliwości pchały mnie do tego, abym powiedział memu prześladowcy: „Możesz pozbawić mnie życia, lecz nie możesz zakłócić mojej pogody.”

## ROZDZIAŁ XXV

Pośród tych rozważań nasunęła mi się inna myśl, która do tej pory mnie nie uderzyła. „Ciesz się — mówiłem sobie — i nie bez racji, bezsilność mego prześladowcy. Czy ta bezsilność nie jest przypadkiem większa, niż to sobie dotąd wyobrażałem? Mówię, że on może pozbawić mnie życia, lecz nie może zakłócić pogody. To prawda: mój umysł, czystość duszy, stałość charakteru są poza zasięgiem jego władzy, czy i z życiem nie jest tak samo, jeśli tego zechcę? Jakie są materialne przeszkody, których człowiek już kiedyś nie pokonał? Jakie przedsięwzięcie tak trudne, by przez kogoś nie zostało już wykonane? A jeśli przez innych, czemu nie przeze mnie? Czy mieli silniejsze pobudki niż ja? Czy życie miało dla nich więcej różnorodnych powabów? Lub może znali więcej sposobów upiększenia go i umilenia? Wielu z tych, którzy okazali najwięcej wytrwałości i nieustraszonej odwagi mieli jej mniej niż ja. Czemu nie miałbym być równie śmiały jak oni? Diament i stal są podatne jak woda dla umysłu pełnego męstwa i rozwagi. Umysł jest panem samego siebie, obdarzony jest władzą, dzięki której potrafi drwić z czujności tyrana.” Przetrawiłem w duszy te myśli nie raz i nie dwa i podniecony tym rozmyślaniami powiedziałem sobie: „Nie, ja nie umrę.”

We wczesnej młodości moja lektura była niezwykle różnorodna. Czytałem o włamywaczach, dla których rygle i zamki były niczym i którzy chępiąc się swoją sztuką pokazywali na próbę, jak wejść do najmocniej zabarykadowanego domu, czyniąc tak mało hałasu i prawie tak mało zamieszania, jak gdyby otwierali drzwi z klamki. Nic tak nie pociąga młodzieńczego umysłu jak to, co niezwykle. Żadnej mocy nie pragnie on tak chciwie jak mocy zadziwiania widzów cudownymi wyczynami. W prostocie ducha wyobrażałem sobie umysł ludzki ogólnikowo jako coś lotnego i nieskrępowanego, jako wrażliwego obserwatora praw i przyczyn, lecz

myślałem, że w intencji natury nie leżało, aby był niewolnikiem siły. Czemuż miałyby być w mocy człowieka ująć mnie i uwięzić przemocą? Czemu, jeślibym postanowił wydostać się stąd, nie miałbym wymknąć się najczujniejszym poszukiwaniom? Te członki, to ciało są niewygodnym i uciążliwym brzemieniem, jakie myśl musi wlec za sobą, lecz czemu myśl nie miałaby zmniejszyć tego brzemienia tak, aby stało się nieodczuwalne? Owe młodzieńcze myśli nieobce były moim rozważaniom.

Najbliższy sąsiad mego ojca był cieślą. Mając świeżo w pamięci lekturę, o której tu wspominam, z ciekawością oglądałem jego narzędzia, badałem ich właściwości i zastosowanie. Cieśla ten był człowiekiem o wybitnym i żywym umyśle, jego umiejętności ograniczały się głównie do własnego zawodu, lecz w tym zakresie miał wiele doświadczenia i wyciągał z niego ciekawe wnioski. Toteż przestawanie z nim dawało mi niemało satysfakcji, a raz pobudzony do myślenia, snułem nawet czasem dalsze rozważania na temat jego uwag. Rozmowa z nim sprawiała mi szczególną przyjemność, pracowałem u niego niekiedy dla rozrywki, potem zaś przez krótki czas jako wyrobnik dzienny. Z natury byłem krzepki, a ta praca wzmogła jeszcze moją siłę fizyczną i zręczność mych mięśni, tak że mogłem podejmować dowolne wysiłki.

Dziwna to, lecz nierzadka cecha ludzka, że człowiek w krytycznej sytuacji poszukując środków, które by mu pomogły w nieszczęściu, chwilowo zapomina o tym, że środki te są do jego dyspozycji. I tak od czasu mego uwięzienia przeszedłem przez dwa bardzo różne stany ducha, zanim pomyślałem o odzyskaniu wolności przy pomocy mej sprawności fizycznej. W pierwszym okresie byłem całkowicie otępiały, w drugim zanadto rozegzaltowany. W obu uważałem niejako za rzecz pewną, że muszę poddać się biernie woli mych prześladowców.

Podczas kiedy mój umysł pozostawał w takim niezdecydowaniu — a przebywałem już coś ponad miesiąc w więzieniu — rozpoczęła się sesja sądu, który zjeżdżał dwa razy do roku do miasteczka. Moja sprawa nie została przy tej okazji rozpatrzona, ale odłożona na dalsze sześć miesięcy. Zwłoka ta miałaby miejsce w każdym wypadku, nawet gdybym miał równie silne powody, by oczekiwać uniewinnienia, tak jak oczekiwałem wyroku



skazującego. Gdybym został pojmany dla najbliższego powodu, dla którego jakikolwiek sąd pokoju uznał kiedykolwiek za stosowne zatrzymać obdartego żebraka, musiałbym tak samo czekać około dwustu siedemnastu dni, zanim moja niewinność mogłaby wyjść na jaw. Tak niedoskonałe jest działanie tego wychwalanego systemu praw w kraju, w którym prawodawcy sądzą sprawy co cztery lub sześć miesięcy! Nie mogłem nigdy z całą pewnością stwierdzić, czy zwłokę w mojej sprawie należało przypisać jakiejś interwencji ze strony mego prześladowcy, czy też wynikała ona ze zwykłego działania aparatu sprawiedliwości, który zbyt jest poważny i dostojny, aby uwzględnić prawa czy dobro jakiejś nic nie znaczącej jednostki.

Lecz nie było to jedyne wydarzenie w czasie mego pobytu w więzieniu, dla którego nie mogłem znaleźć zadowalającego wytłumaczenia. W tym samym niemal czasie dozorca więzienny zmienił swoje zachowanie w stosunku do mnie. Pewnego ranka zawezwał mnie do tej części budynku, która była przeznaczona na jego osobisty użytek, i po chwili wahania powiedział, że przykro mu, iż moje pomieszczenie odznacza się tak miernymi wygodami, potem zaś zapytał, czy nie zechciałbym dostać pokoju przy jego rodzinie. Byłem zaskoczony tym nieoczekiwanym pytaniem i chciałem dowiedzieć się, czy to kto inny za jego pośrednictwem zapytuje o to. Odpowiedział, że nie, ale ponieważ sesja sądowa dobiegła końca, mniej ma poruczonych sobie przestępców, więcej zatem czasu na to, aby rozejrzeć się dokoła siebie. Był przekonany — jak mówił — że jestem dobrym chłopcem — i powziął do mnie pewnego rodzaju sympatię. Kiedy to mówił, utkwilem wzrok w jego twarzy. Nie mogłem odkryć w niej żadnych zwykłych objawów życzliwości, zdawało mi się, że odgrywa jakąś obcą mu rolę, która źle do niego pasowała. Zaproponował mi jeszcze przywilej jadania przy jego stole, co gdybym się zgodził, nie zrobiłoby mu, jak mówił, najmniejszej różnicy ani też nie zamierzał przyjmować za to nic ode mnie. On zawsze ma tyle na głowie, ile tylko jeden człowiek może podołać, ale jego żona i córka Peggy byłyby niezwykle zachwycone przysłuchując się temu, co opowiada uczona osoba, za jaką mnie uważał, a być może, że i ja nie czułbym się źle w ich towarzystwie.

Zastanowiłem się nad tą propozycją i nie miałem najmniejszych wątpliwości, że nie płynęła ona z wrodzonej mu życzliwości, lecz że miał — mówiąc językiem ludzi jego pokroju — dobre po temu powody. Gubiłem się w domysłach co do tego, kto mógł go skłonić do podobnej pobłażliwości i względów. Dwie najprawdopodobniejsze osoby były: Mr Falkland i Mr Forester. Wiedziałem, że ostatni jest człowiekiem surowym i nieubłaganym wobec tych, których poczytywał za występnych. Chełpił się, że był niedostępny dla łagodniejszych uczuć, które — jak mniemał — nie służą innemu celowi, jak żeby nas sprowadzić z drogi obowiązku. Przeciwnie — Mr Falkland był człowiekiem o głębokiej wrażliwości, stąd płynęły jego rozkosze i cierpienia, jego cnoty i wady. Choć był najzawziętym wrogiem, jakiemu mógłbym się narazić, i choć żadne życzliwe uczucia nie mogły zmienić ani pohamować jego zamierzeń, przecież doszedłem do przekonania, że większe jest prawdopodobieństwo, iż to on, a nie jego krewniak, ujrzał w wyobraźni moją celę więzienną i poczuł się zniewolony, by ulżyć mym cierpieniom.

Domysł ten bynajmniej nie wpłynął na mnie kojąco. Pełen byłem irytacji na mojego prześladowcę. Jakże mogłem z życzliwością myśleć o człowieku, który ma za nic moje dobre imię lub życie, aby zadośćuczynić swojej największej namiętności? Wiedziałem, jak zniszczył pierwsze, a drugie naraził na niebezpieczeństwo z takim spokojem i zimną krwią, że nie mogłem wspomnieć o tym bez zgrozy. Nie wiedziałem, jakie są jego zamiary w stosunku do mnie. Nie wiedziałem, czy chciałby sobie zadać choć tyle trudu, by pragnąć ocalenia człowieka, którego przyszłość tak niegodziwie zburzył. Aż do tej chwili zachowałem milczenie co do głównego argumentu mej obrony. Ale nie miałem wcale pewności, czy powinienem przystać na to, by w milczeniu opuścić ten świat jako ofiara zaciętości i przebiegłości tego człowieka. Serce moje krwawiło na myśl o jego niesprawiedliwości, a dusza odwracała się od tych mizernych ochłapów, jakie mi dawał, podczas gdy jednocześnie z nieubłaganą mściwością starał się mnie zmiażdżyć na proch.

Odpowiadając dozorczy pełen byłem takich uczuć i jakąś ukrytą radość sprawiało mi, że mogłem dać ujście mej goryczy. Spojrzałem na niego z

sarkastycznym uśmiechem i powiedziałem, że miło mi odkryć w nim nagle tyle ludzkich uczuć, że nie brak mi jednakowoż pewnej przenikliwości co do ludzkich uczuć dozorca więziennego i że mogę się domyślić, jakie okoliczności je zrodziły. Lecz że może powiedzieć swemu rozkazodawcy, iż jego starania są bezowocne: nie przyjmę żadnej łaski od człowieka, który trzyma strychezek na mojej szyi, oraz że starczy mi odwagi do zniesienia wszystkiego, co najgorsze, tak w przyszłości, jak i w chwili obecnej.

Dozorca spojrział na mnie w zdumieniu i odwracając się na pięcie wykrzyknął:

— Wybornie, mój chwacie! Widzę, żeś się nie na darmo uczył. Zdecydowałeś się nie umierać jak tchórz. Ale na tym się, chłopcze, skończy i lepiej zrobisz zachowując swoją odwagę do czasu, kiedy jej będziesz potrzebował.

Sesja sądowa, która minęła bez żadnego wpływu na mój los, wywołała ogromny przewrót w losach moich towarzyszy niedoli. Tak długo przebywałem już w więzieniu, że byłem świadkiem, jak zmienia ono swych mieszkańców. Jeden z włamywaczy (rywal księcia Bedfordu) i fałszerz pieniędzy zostali powieszani. Dwóch zostało skazanych na deportację, a resztę zwolniono. Skazani na deportację zostali tymczasem z nami i choć ubyło nam dziewięciu więźniów, to do następnej sesji sądu, po pół roku, znajdowało się tu znów tyluż przestępców, ilu zastałem w chwili przybycia.

Żołnierz, którego historię już opisałem, umarł wieczorem tego właśnie dnia, kiedy zjechał sąd, na chorobę, którą zrodziło więzienie. Tak wyglądała sprawiedliwość wymierzona temu człowiekowi przez prawa jego ojczyzny. Człowiekowi, który byłby chlubą każdej epoki, jednemu z najlepszych, najzyczliwszych ludzi, jakich kiedykolwiek znałem, człowiekowi o niezwykle ujmującym i naturalnym sposobie bycia i nieskalanym życiu. Nazywał się Brightwel. Gdyby moje pióro potrafiło zapewnić mu wiecznotrwałą chwałę, nie mógłbym podjąć milszego memu sercu trudu. Jego sąd o rzeczach był przenikliwy i męski, mądry i jasny, podczas gdy na twarzy malowała się tak niezaprzeczona prostoduszność, że nawet powierzchowny obserwator przysięgłby, iż ten człowiek musi paść ofiarą pierwszego oszustwa, które by miało pozory prawdy. Nie brak

powodów, bym go tak czule wspominał. Był moim najgorętszym, powiedziałbym niemal — ostatnim przyjacielem. I ja mu w tym nie pozostawałem dłużnym. Mieliśmy — jeśli wolno mi być tak zadufałym — bardzo pokrewne natury, chociaż nie uważam, bym mu dorównywał oryginalnością i rzutkością umysłu, które sobie samemu zawdzięczał, lub nienaganną czystością obyczajów, którym równych nie znalazłby w całym świecie. Z zainteresowaniem wysłuchał mojej historii, ile z niej uznałem za stosowne przed nim wyjawić, rozważył ją ze szczerą bezstronnością i jeśli z początku miał jakieś wątpliwości, to obserwując mnie często w chwilach, kiedy się tego najmniej domyślał, przekonał się szybko, że może pokładać pełne zaufanie w mej niewinności.

O niesprawiedliwości, której obaj byliśmy ofiarami, mówił bez goryczy i rozkoszował się myślą, że nadejdzie czas, kiedy raz na zawsze usunięta zostanie możliwość tak nieznośnego ucisku. Lecz to szczęście, mówił, los chowa dla potomności, dla nas za późno już, byśmy mieli zbierać owoce tej zmiany. Pocięchą dla niego było, że nie pamiętał okresu w swojej przeszłości, który według swego najlepszego rozumienia, mógłby być przeżyć lepiej. Miałyby tyleż racji, co większość ludzi, by powiedzieć, że dopełnił swych obowiązków. Lecz czuł, że nie przeżyje ciosu, który go dotknął. Przepowiadał to jeszcze będąc zdrowym. W pewnym sensie można by powiedzieć o nim, że miał złamane serce. Lecz jeśli to wyrażenie dałoby się w jakiś sposób do niego zastosować, to pewne, że nie było nigdy spokojniejszej, bardziej zrezygnowanej i pogodnej rozpacz. Przez wszystkie koleje mego losu ani razu nie doznałem okrutniejszego wstrząsu niż śmierć tego człowieka. Pamięci mej nasunęły się wszystkie okoliczności jego doli w całym ich fatalnym powikłaniu. Od jego osoby i od złorzeczeń, jakimi obrzucałem ustrój, który stał się narzędziem tej tragedii, zwracałem myśli ku sobie. Na katastrofę Brightwela patrzyłem z zazdrością. Tysiąc razy pragnąłem, aby to nie jego ciało, lecz moje leżało martwe. Mnie czekały tylko, jak przekonywałem siebie, niewypowiedziane cierpienia. On byłby za kilka dni uniewinniony, odzyskałby wolność, dobrą sławę, a ludzie wstrząśnięci wyrządzoną mu niesprawiedliwością okazaliby, być może, skwapliwość, aby wynagrodzić jego niedole i zatrzeć hańbę. Lecz człowiek

ten umarł, ja zaś zostałem żywy! Ja, który — równie źle potraktowany — nie miałem żadnej nadziei na zadośćuczynienie i za życia musiałem być napiętnowany jako łotr, a po śmierci przypuszczalnie wystawiony na pogardę i nienawiść rodzaju ludzkiego!

Oto refleksje, które nasunęły mi się bezpośrednio po śmierci tego nieszczęsnego męczennika. A jednak — kiedy patrzę wstecz — moje współzycie z Brightwelem nie było pozbawione pewnej pociechy. „Ten człowiek — mówiłem sobie — przejrzał przez okrywającą mnie zasłonę oszczerstwa, zrozumiał mnie i pokochał. Czemuż miałbym rozpaczać? Czy nie mogę i później spotykać ludzi szczerych jak on, którzy oddadzą mi sprawiedliwość i będą współczuć mojej niedoli? Ta pociecha powinna mnie zadowolić. W objęciach przyjaźni zapomnę o złości świata. Odtąd wystarczy mi żyć w spokoju i zapomnieniu, pielęgnować uczucia i mądrość w wąskim kółku przyjaciół. W ten sposób zapaliłem się do projektu, nad którym właśnie medytowałem.

Zdecydowany na ucieczkę, postanowiłem ułatwić sobie przygotowania do niej w sposób następujący. Trzeba mi było pozyskać przychylność dozorczy. W świecie spotykałem na ogół ludzi, którzy słysząc o mojej sprawie spoglądali na mnie z pewnego rodzaju odrazą i wstrętem, jakbym był dotknięty morową zarazą. Myśl o tym, że najpierw ograbiłem mego chlebobawcę, a potem usiłowałem oczyścić siebie oskarżając go o fałszywe zarzuty przeciw mnie, stawiała mnie w odrębne i nieskończenie bardziej zbrodniczej kategorii niż zwykłych przestępców. Lecz dozorca więzienny zbyt dobrze znał swój zawód, by żywić wstręt do bliźnich na podstawie tych subtelnych rozróżnień. Ludzi oddanych jego pieczy traktował wyłącznie jako tyle a tyle ludzkich ciał, za które był odpowiedzialny, aby zostały dostarczone na czas i miejsce, na różnicę zaś między niewinnością a winą spoglądał jako na sprawę niegodną jego uwagi. Dlatego polecając się jego łaskom nie musiałem zwalczać przeszkód, które okazałyby się nie do przebycia w innych wypadkach. Na dodatek ten sam powód, nie wchodząc w to jaki, który niedawno kazał mu być tak szczodrym w ofertach, nie pozostał bez wpływu i w obecnej chwili.

Wspomniałem, jak zręczny jestem w stolarce, i zaofiarowałem się zrobić

mu pół tuzina pięknych krzesel, jeśli ułatwi mi uzyskanie narzędzi potrzebnych do tego, abym i nadal mógł w więzieniu wykonywać swój zawód. Nie uzyskawszy bowiem uprzednio jego zgody próżno byłoby oczekiwać, że mi pozwolą w spokoju oddawać się tego rodzaju zajęciom, choćby nawet moje życie miało od tego zależeć. Dozorca zrazu spojrział na mnie jakby zapytując siebie, jak ma rozumieć tę nową propozycję, potem twarz jego wygładziła się i przybierając jak najłaskawszy wyraz odparł, że cieszy się bardzo, iż spuściłem nieco z tonu i nie zadzieram nosa, i że zobaczy, co się da zrobić. W dwa dni później wyraził zgodę. Powiedział, że co do prezentu, to nie myśli o tym wcale — mogę zrobić, jak mi się będzie podobało, on i tak wyświadczy mi każdą grzeczność, która nie narazi go, jeżeli ja w odpowiedzi na jego uprzejmość nie będę próbował znowu czegoś zwędzić i narazić go na szkodę.

Mając w ten sposób wolną rękę na przygotowania, gromadziłem powoli różnego rodzaju narzędzia: świdry, kliny, dłuta et caetera. Do pracy przystąpiłem natychmiast. Noce były długie, a niska chciwość mego dozorca — mimo jego ostentacyjnej bezinteresowności — ogromna. Wniosłem zatem prośbę — a ta została wysłuchana — o kawałek świecy, abym mógł zająć się jeszcze godzinę lub dwie moją pracą już po zamknięciu w celi. Jednakże nie oddawałem się wyłącznie podjętej pracy i mój dozorca nieraz zdradzał oznaki niecierpliwości. Być może, obawiał się, że powieszą mnie, zanim zrobię krzesła. Ale ja nalegałem na to, że chcę pracować bez pośpiechu i kiedy będę miał ochotę, a tego nie ośmielał się wyraźnie kwestionować. Oprócz tych korzyści udało mi się potajemnie dostać łom żelazny od panny Peggy, która czasem zachodziła do więzienia, by popatrzeć na jego mieszkańców, i która powzięła pewną skłonność do mojej osoby.

Nie trudno stwierdzić, że tak postępując byłem do pewnego stopnia nieuczciwy i przebiegły, co idzie w parze z niesprawiedliwością. Nie wiem, czy moi czytelnicy wybaczą mi owe nędzne korzyści, jakie ciągnąłem dla siebie z tajemniczej ustępliwości mego dozorca. Lecz muszę wyznać swą słabość w tym względzie: piszę historię swego życia, nie swoją obronę, nie byłem też zdecydowany zachować niezmienną prawość obyczajów kosztem

rychłego kresu życia.

Plan mój był już teraz do gruntu przemyślany. Byłem pewny, że przy pomocy łomu uda mi się łatwo i bez hałasu wyważyć z zawiasów drzwi mej celi lub — jeśli to się nie uda — wyłamać rygle. Drzwi owe wychodziły na wąski korytarz: po jednej jego stronie ciągnęły się rzędem cele, po drugiej znajdowały się mieszkania dozorczy i odźwiernego więzienia; przez ten korytarz wchodziło się do więzienia z ulicy. Tego przejścia nie śmiałem próbować z obawy, by nie być usłyszonym przez ludzi, którzy zajmowali te mieszkania, gdyż musiałbym przejść tuż koło ich drzwi. Wybrałem przeto inne drzwi na końcu korytarza, mocno zaryglowane i prowadzące do czegoś w rodzaju ogródka, który dozorca miał w użytkowaniu. Do tego ogrodu nigdy nie wchodziłem, ale miałem możliwość przyjrzenia mu się z okna izby, w której zamykano nas na dzień, a które wychodziło właśnie na ogród, jako że izba ta znajdowała się dokładnie nad rzędem cel.

Zauważyłem wtedy, że dokoła ogrodu biegł mur pokaźnej wysokości, który — jak mi mówili współtowarzysze niedoli — stanowił granicę terenu więzienia z tej strony, za nim zaś ciągnął się zaułek, który kończył się na skraju miasta. Dokonawszy dokładnych obserwacji i rozważywszy je gruntownie, pomyślałem sobie, że jeśli się już raz dostanę do ogrodu, będę mógł powtykać świdry i kliny w mur i po tej drabinie przebyć go i odzyskać słodką wolność. Wolałem ogrodowy mur od tego, który przebiegał bezpośrednio koło mojej celi i graniczył z ludną ulicą.

Przeczekałem dwa dni od chwili, kiedy mój plan został do gruntu przemyślany, i drugiej nocy zabrałem się do jego wykonania. Pierwsze drzwi nastręczyły mi niemało trudności, wreszcie jednak ta przeszkoda zastała szczęśliwie usunięta. Następne drzwi były zaryglowane od wewnątrz, toteż z zupełną łatwością odryglowałem je. Z zamka jednak, na którym niewątpliwie polegano przede wszystkim i który z tego powodu był szczególnie silny — wyjęto klucz przekręciwszy go wprzód dwukrotnie. Próbowałem otworzyć go przy pomocy mego dłuta, lecz bezskutecznie. Odśrubowałem zatem cały zamek, a skoro go odjąłem, drzwi nie stawiały już dłużej oporu moim pragnieniom.

Jak dotąd szło mi jak najpomyślniej, ale tuż po drugiej stronie drzwi

znajdowała się psia buda, a w niej ogromny brytan, o czym nie miałem najmniejszego pojęcia. Choć posuwałem się naprzód, jak mogłem najostrożniej, zwierzę obudziło się i zaczęło ujadać. Zmieszało mnie to niezmiernie, lecz natychmiast zacząłem uspokajać psa, co mi się rychło udało. Wtedy zawróciłem korytarzem, aby przekonać się, czy hałas kogo nie obudził. Postanowiłem, że gdyby tak było w istocie, Powróciłbym do mej celi i usiłowałbym jej nadać pierwotny wygląd. Lecz wszystko zdawało się pogrążone w zupełnym spokoju, co zachęciło mnie, bym wrócił do swoich poczynań.

Już wdrapałem się prawie do połowy muru, kiedy we drzwiach prowadzących z więzienia do ogrodu usłyszałem głos wołający: — Hej tam! Jest tam kto? Kto otworzył drzwi? — Pytający nie otrzymał odpowiedzi, a noc była zbyt ciemna, aby mógł rozróżniać przedmioty nawet w małej odległości. Zawrócił więc, jak sądziłem, do domu, aby przynieść światło. Tymczasem pies, rozumiejąc ton głosu, jakim te słowa były wypowiedziane, zaczął znów ujadać, i to głośniejsz niż przedtem. Nie miałem już teraz żadnej możliwości odwrotu, a świeciła mi jeszcze nadzieja, że uda mi się osiągnąć mój cel i przebyć mur.

Tymczasem pojawił się drugi człowiek i podczas kiedy pierwszy szukał latarni, dostrzegł mnie, bowiem wydostawszy się na szczyt muru stałem się widoczny. Natychmiast krzyknął głośno i rzucił za mną kamieniem, który drasnął mnie w locie. Zatrwożony, musiałem opuścić się na drugą stronę muru nie zachowując niezbędnych ostrożności i padając o mało nie zwichnąłem nogi w kostce.

W murze była furtka, o czym nie wiedziałem. Otworzywszy ją, mężczyźni z latarniami w jednej chwili znaleźli się po drugiej stronie. Wystarczyło im zatem pobiec uliczką do miejsca, w którym przeszedłem przez mur. Po upadku próbowałem wstać, lecz ból był tak silny, że ledwo mogłem ustać, toteż powłókszy się kulejąc parę kroków, potknąłem się na mej chorej nodze i znowu upadłem. Nie było już teraz dla mnie ratunku, przeto spokojnie pozwoliłem się ująć.



## ROZDZIAŁ XXVI

Odprowadzono mnie na tę noc do izby dozorczy, a obaj strażnicy czuwali przy mnie. Zadawano mi różne pytania, na które niewiele odpowiadałem, skarżąc się jedynie na ból w nodze. Jedyłą odpowiedzią, jaką na to otrzymałem, były słowa:

— A niech cię licho porwie, gagatku. Jeśli o to idzie, to już my ci damy na to dobrą maść. Namaścimy cię szczyptą zimnego żelaza.

Obaj okazywali mi nader kwaśne humory za to, że przerwałem im nocny odpoczynek i sprawiłem tyle kłopotu. Rano dotrzymując słowa nałożyli mi na obie nogi kajdany, nie bacząc na kostkę, która tymczasem napuchła poważnie, potem zaś przymocowali je kłódką do skobla wbitego w podłogę mojej celi. Wyrzucałem im namiętnie podobne traktowanie i mówiłem, że jestem człowiekiem, co do którego prawo nie wydało jeszcze jak dotąd wyroku i który zatem w oczach prawa jest niewinny. Ale oni zaproponowali mi, żebym schował te brednie dla kogoś, kto się nie zna na rzeczy, oni wiedzą dobrze, co robią, i gotowi są odpowiedzieć za to przed jakimkolwiek sądem w Anglii.

Ból, jaki sprawiały mi kajdany na chorej nodze, był nieznośny. Próbowałem na różne sposoby sobie ulżyć, a nawet niepostrzeżenie uwolnić nogę, lecz im bardziej była nabrzmiała, tym bardziej stawało się to niemożliwe. Postanowiłem więc znosić ból cierpliwie, stawał się jednak coraz dokuczliwszy. Po dwóch dniach i dwu nocach poprosiłem strażnika, aby wezwał lekarza, który zwykle opiekował się więźniami: niech obejrzy nogę, bo jeśli dłużej tak będzie, pewien jestem, że wda się gangrena.

On wszakże spojrział tylko ponuro na mnie i powiedział:

— Niech mnie jasne pioruny! Chciałbym doczekać tego dnia. Śmierć od gangreny to zbyt dobry koniec dla takiego szubrawca jak ty.

Podczas gdy tak do mnie przemawiał, cała moja krew burzyła się od

przebytej męki, wyczerpała się moja cierpliwość i byłem na tyle głupi, że na jego bezczelność i grubiaństwo odpowiedziałem z irytacją nie znającą już żadnych granic:

— Słuchaj pan, mości strażniku, tacy jak pan mają tu tylko jedno do roboty. Jesteście od tego, żeby pilnować, abyśmy nie uciekli. Ale nie należy do waszych obowiązków obrzucać nas wyzwiskami lub znieważać nas. Gdybym nie był przykuty do podłogi, w głowie by ci nie powstało ośmielić się na podobne słowa i możesz mi wierzyć na słowo, że odpokutujesz jeszcze za swoją bezczelność.

Kiedy to mówiłem, strażnik wpatrywał się we mnie ze zdumieniem. Tak nie był przyzwyczajony do podobnie ostrych odpowiedzi, że zrazu ledwie mógł uwierzyć własnym uszom, a w postawie mojej tyle było stanowczości, że zdawał się zapominać, że nie jestem na swobodzie. Lecz skoro się tylko opamiętał, nie raczył się nawet rozgniewać. Na jego twarzy pojawił się wzgardliwy uśmiech. Prztyknął mi palcami przed nosem, odwrócił się na pięcie i zawołał:

— Pięknie, mój zuchu. Patrzcie, napuszył się jak kogut! Uważaj tylko, żebyś nie pękł!

Po czym zamykając drzwi jął naśladować głos wspomnianego ptaka.

Słyszając taką replikę w jednej chwili przyszedłem do siebie i ujrzałem całą bezsilność mojej nienawiści. Lecz chociaż w ten sposób położono koniec moim gwałtownym słowom, udręka ciała przecież trwała dalej nie tracąc nic na sile. Postanowiłem odmienić swój system ataku. Po paru minutach powrócił ten sam dozorca, a kiedy się zbliżył, by postawić przyniesione jadło, wsunąłem mu w rękę szylinga mówiąc:

— Mój dobry panie, na litość boską, idź po lekarza. Pewien jestem, że nie chcesz, abym tu zginął z braku opieki.

On zaś schował pieniądze do kieszeni, popatrzył na mnie ostro, a potem, skinąwszy raz głową i nie wyrzekłszy ni słowa, wyszedł. Prawie niezwłocznie ukazał się lekarz: stwierdziwszy silny stan zapalny w nodze, zaordynował pewne środki i wydał stanowczy nakaz, aby do końca kuracji nie nakładano z powrotem żelaza na tę nogę. Cały miesiąc minął, zanim noga została zupełnie wyleczona i stała się równie silna i giętka jak druga.

Znalazłem się obecnie w całkiem innej sytuacji niż przed ucieczką. Cały dzień pozostawałem w mojej celi, skuty łańcuchem, a jedyną ulgę stanowiło to, że popołudniami otwierano regularnie na parę godzin drzwi i wówczas zdarzało się, że podchodzili do mnie niektórzy więźniowie i rozmawiali ze mną, zwłaszcza jeden, który chociaż nie był godnym następcą mojego szlachetnego Brightwela, nie był pozbawiony wybitnych zalet. Był to nie kto inny jak ów człowiek, którego parę miesięcy temu Mr Falkland uwolnił słuchając jego sprawy o zabójstwo. Odwaga tego człowieka prysła, odzienie było brudne, znikły bez śladu uroda i czystość spojrzenia. I on był niewinny, szlachetny, dzielny i życzliwy ludziom. Później został, zdaje się, puszczony na wolność, by błąkać się po świecie jak samotne, gnane niepokojem widmo.

Mojej pracy fizycznej położono teraz koniec. Co wieczór przeszukiwano celę i starannie pilnowano, by jakiegokolwiek narzędzia nie dostały się w moje ręce. Słomę, na której dotąd spałem, zabrano teraz pod pozorem, że się nadaje do ukrywania różnych przedmiotów. Jedyne wygody, jakich mi dozwolano, były krzesło i koc.

Niedługo potem otworzyła się przede mną możliwość pewnej poprawy, lecz przesładujące mnie nieszczęście sprawiło, że spełzła na niczym. Zjawił się ponownie ów dozorca okazując mi tą samą legalną, a dwuznaczną życzliwość. Udawał, że jest zdziwiony brakiem wszelkich wygód w mojej celi. Ostroymi słowami skarcił mnie za próbę ucieczki i nadmienił, że grzeczność ze strony ludzi w takim jak on położeniu musi mieć swoje granice, jeśli łaskawi panowie sami koniec końców nie doceniają, kiedy im jest dobrze. W wypadkach podobnych do mojego należy czekać na normalne postępowanie prawne, gdybym zaś po procesie skarżył się, że sprawa wzięła zły obrót, byłoby to zabawne z mojej strony. Jeśli zezwolę, to on ze wszech miar pragnie być moim przyjacielem. W samym środku tych omówień i wstępów odwołano go w związku z jakąś sprawą służbową. Ja tymczasem rozważałem jego propozycję i czując odrazę do pobudek, z których — jak sądziłem — płynęła, nie mogłem powstrzymać się od myśli o tym, jak daleko idące korzyści mógłbym z niej wyciągnąć na wypadek ucieczki. Lecz moje rozmyślania okazały się płonne. Dozorca nie powrócił

już tego dnia, a nazajutrz zaszło pewne wydarzenie, które położyło kres wszelkim nadziejom na życzliwość z jego strony.

Aktywny umysł, raz skierowany na określoną drogę, z trudem daje się z niej odwieść i uznać jej beznadziejność. Przeżywając straszliwe męki od ucisku żelaza na moją zwichniętą kostkę, obejrzałem dokładnie moje łańcuchy. I chociaż na skutek opuchnięcia i nadmiernej wrażliwości chorej nogi wszystkie próby ulżenia sobie okazały się chwilowo niewykonalne, przecież to trzeźwe zbadanie przyniosło mi inną i niewątpliwie poważniejszą korzyść.

W nocy cela moja była pogrążona w zupełnej ciemności, lecz kiedy drzwi były otwarte, sprawa przedstawiała się nieco inaczej. Korytarz, na który wychodziła cela, był istotnie tak wąski, a przeciwległa ślepa ściana tak bliska, że do mojego pomieszczenia przedostawał się tylko blady i smutny poblask światła, nawet w samo południe, i kiedy drzwi były na oścież otwarte. Lecz po dwóch czy trzech tygodniach moje oczy przystosowały się do tych warunków i nauczyłem się rozróżniać najdrobniejsze kształty.

Pewnego dnia, kiedy kolejno to rozmyślałem, to wpatrywałem się w otaczające mnie przedmioty, dostrzegłem przypadkiem niedaleko od siebie gwóźdź wdeptany w podłogę z ubitej gliny. Natychmiast zapragnąłem zdobyć go, lecz obawiając się, by mnie nie zaskoczono (jako że ludzie przechodzili ustawicznie to w tę, to w tamtą stronę), zadowolilem się tymczasem dokładnym zaobserwowaniem jego położenia, abym z łatwością mógł go odnaleźć w ciemności. Skoro tylko zamknięto drzwi, rzuciłem się na ten nowy skarb, a obmyśliwszy, jaki nadać mu kształt, by odpowiadał mojemu celowi, stwierdziłem, że mogę odemknąć nim kłódkę, którą przytwierdzono mnie do skobla w podłodze. Uznałem to za atut nie do pogardzenia, choć miałem zamiar zużytkować nową zdobycz w związku z moim głównym planem. Łańcuch pozwalał mi poruszać się w lewo czy w prawo tylko w zasięgu osiemnastu cali, a znosiłem już tę niewolę przez kilka tygodni, toteż choć mizerna to była pociecha, serce aż mi skoczyło w piersiach na myśl, że będę mógł swobodnie obejść tę nędzną klatkę, w której byłem zamknięty. Wydarzenie to miało miejsce na wiele dni przed ostatnią bytnością mojego dozorczy.

Od tej pory uczyniłem z tego stałą praktykę: co nocy uwalniałem się z łańcucha i nie powracałem do niego aż rano, kiedy się budziłem i lada chwila oczekiwałem ukazania się strażnika. Poczucie bezpieczeństwa rodzi niedbałość. Następnego ranka po mojej rozmowie z dozorcą zdarzyło się, że zaspałem lub też może strażnik przyszedł na obchód wcześniej niż zazwyczaj. Hałas, jaki czynił otwierając sąsiednią celę zerwał mnie ze snu i choć starałem się, jak mogłem, przecież — zmuszony po omacku szukać narzędzi — nie zdołałem przymocować łańcucha do skobla, a już wszedł strażnik, jak zwykle z latarnią. Ujrzawszy, że jestem wolny, zdziwił się niezmiernie i natychmiast wezwał naczelnika więzienia. Pytano mnie o sposób, w jaki tego dokonałem, a ponieważ byłem przekonany, że ukrywanie prawdy nie doprowadziłoby do niczego poza surowszą rewizją i obostrzoną dyscypliną, więc nie zwlekając wyznałem wszystko. Dostojna osobistość, do której należało czuwanie nad mieszkańcami tych murów, była z powodu tego wydarzenia oburzona na mnie do ostatecznych granic. Skończyły się grzeczność i piękne słówka. Oczy płonęły mi wściekłością: krzyknął, że teraz widzi, jakim szaleństwem jest okazywać dobroć takim jak ja łotrom i wyrzutkom, i że niech go diabli porwą, jeśli go złapią jeszcze na czymś takim w stosunku do kogokolwiek. Wyleczyłem go skutecznie! Dziwił się, że artykuły prawa nie przewidują jakiejś straszliwej kary na więźniów, którzy próbują oszukać swych dozorców. Stryczek jeszcze jest dla mnie tysiąc razy za dobry!

Pofolgowawszy swemu oburzeniu, wydał następnie takie zarządzenia, jakie mu podsunęli ci dwaj podżegacze: gniew i strach. Przeniesiono mnie do innej celi. Zostałem zaprowadzony do pomieszczenia zwanego karcerem, do którego wchodziło się przez środkową celę. Był to podziemny loch, jak i wszystkie cele, i leżał bezpośrednio pod izbą, gdzie więźniowie spędzali dzień. Obszerny był i posepny. Drzwi tu nie otwierano od lat, powietrze było zatęchłe, ściany zaś pokryte wilgotnymi zaciekami i pleśnią. Łańcuch, kłódkę i skobel zastosowano jak poprzednio, na dodatek nałożono mi parę kajdanków na ręce. Na pierwszy posiłek dozorca przysłał mi jedynie kawałek czarnego stęchłego chleba i trochę brudnej, cuchnącej wody. Nie wiem doprawdy, czy należy to traktować jako dodatkowe okrucieństwo z

jego strony, jako że prawo przezornie daje wskazania, aby w pewnych wypadkach woda dostarczana więźniom czerpana była „z najbliższego rynsztoku lub kałuży podle więzienia”. Dalej wydano rozkaz, aby jeden z dozorców spał w celi stanowiącej rodzaj przedpokoju do pomieszczenia, które zajmowałem. Choć uczyniono wszystko, aby komnatę tę przygotować na przyjęcie osobistości, która swą godnością tak bardzo przewyższała przestępcę, dozorca okazał silne niezadowolenie z tego rozkazu; nie było jednak innej rady.

Sytuacja, w jakiej się w ten sposób znalazłem, była na pozór najbardziej nie zachęcająca, jak tylko sobie można było wyobrazić. Lecz ja nie traciłem nadziei. Nauczyłem się od pewnego czasu nie sądzić po pozorach. Pomieszczenie było ciemne i niezdrowe, ale ja zdobyłem sekret przeciwdziałania jego wpływom. Drzwi były stale zamknięte i inni więźniowie mieli uniemożliwiony dostęp do mnie, lecz jeśli obcowanie z naszymi bliźnimi ma swoje rozkosze, z drugiej strony samotność nie jest pozbawiona pewnych korzyści. W samotności możemy z niezakłóconym spokojem iść za biegiem własnych myśli, w dodatku ja potrafiłem, jeśli chciałem, znajdować najprzyjemniejsze rozrywki. Zresztą dla kogoś, kto rozważał takie plany, jakie mnie obecnie zajmowały, samotność była szczególnie cenna. Ledwo pozostawiono mnie samego, natychmiast przystąpiłem do wypróbowania pomysłu, który przyszedł do głowy, kiedy zakładano mi na ręce kajdanki, przy pomocy samych tylko zębów uwolniłem się od nich. Dozorcy odwiedzali mnie regularnie o pewnych godzinach i zawsze byłem gotów na ich przyjście. Na dodatek było tu wąskie zakratowane okienko, umieszczone niemal pod sufitem, a mierzące około dziewięciu cali wysokości i półtorej stopy szerokości. Okienko to, choć tak małe, dopuszczało więcej światła, niż do tego byłem przyzwyczajony od szeregu tygodni. W tych warunkach rzadko kiedy otaczała mnie zupełna ciemność i lepiej byłem zabezpieczony przed zaskoczeniem, niż to miało miejsce w poprzedniej celi. Takie były moje uczucia w nowej celi.

W bardzo niedługi czas po moim przeniesieniu odwiedził mnie niespodziewanie Tomasz, pokojowy Mr Falklanda, o którym wspomniałem już w toku mojego opowiadania. Kilka tygodni temu służący Mr Forestera

przyjechał do miasta, w którym byłem więziony, i przyszedł mnie odwiedzić, wtedy właśnie, kiedy cierpiałem na nogę. Jego sprawozdanie o tym, co widział, bardzo zmartwiło Tomasza. Pierwsza wizyta była sprawą czystej ciekawości, lecz Tomasz należał do wartościowszego typu służących. Widok mój wstrząsnął nim głęboko. Choć umysł mój był teraz pogodny, a zdrowie zadowalające, to jednak cera utraciła świeżość, a w rysach było coś twardego — co zrodziły niewygody i zahartowanie, a co krańcowo odbijało od gładkości, jaką odznaczałem się w dawnych dobrych dniach. Tomasz patrzył kolejno na moją twarz, ręce i nogi, potem westchnął głęboko, a po chwili milczenia powiedział głosem, w którym wyraźnie przebijała litość:

— Panie, miej nas w swej opiece. Czyś to ty?

— Czemu pytasz o to, Tomaszu? Wiedziałeś przecież, że mnie zamknięto w więzieniu, prawda?

— W więzieniu. Ale czy w więzieniu ludzie muszą być tak skuci i związani? A gdzie ty śpisz?

— Tutaj.

— Tutaj? Toż tu nie ma łóżka.

— Nie, Tomaszu, nie ma. Nie zezwolono mi na łóżko. Przedtem miałem trochę słomy, ale teraz zabrano ją.

— A czy na noc zdejmują to z ciebie?

— Nie. Mam spać tak, jak mnie tu widzisz.

— Tak spać? Myślałem, że jestem w chrześcijańskim kraju, toż z psem nie podobna by się tak obchodzić.

— Nie powinieneś tak mówić, Tomaszu. To władze obmyśliły to w swej mądrości.

— Dlaboga! A to mnie okpiono. Mówili mi, jaka to wspaniała rzecz być Anglikiem, mówili o wolności i własności, i takie tam różne bzdury. A ja widzę, że to wszystko łgarstwo. Boże, jacyż z nas głupcy! Takie rzeczy dzieją się pod samym naszym nosem, a my o tym nic nie wiemy. I zgraja łotrów z poważnymi twarzami przysięga nam, że to wszystko dzieje się tylko we Francji i innych krajach do niej podobnych. No, a byłeś badany?

— Nie.

— Cóż to zresztą znaczy być badanym, kiedy to, co oni robią, to jeszcze

gorsze, niż gdyby człowieka powiesili, i to wszystko przód, nim go skazą. Tak, mój paniczku, musiałeś pewno popełnić jakąś wielką niegodziwość i zdawało mi się, że chętnie bym zobaczył, jak cię wieszają. Ale sam nie wiem, jak to jest: serce w człowieku mięknie i litość ogarnia, jak człowiek nieco ochłonie. Wiem, że to niedobrze. Ale do licha, kiedy mówiłem o tym, że powinni cię powiesić, nie myślałem, że będziesz tak cierpieć na dodatek.

Niedługo po skończeniu tej rozmowy Tomasz opuścił mnie. Opanowała go nagle myśl o dawnej przyjaźni naszych rodzin i w tej chwili więcej odczuwał moje cierpienia niżli ja sam. Po południu ku swemu zdumieniu ujrzałem go ponownie. Powiedział, że nie mógł się opędzić myślom o mnie, i spodziewa się, że nie będą niezadowolony, że przyszedł jeszcze raz się pożegnać. Mogłem zauważyć, że coś mu leży na sercu, ale nie wie, jak to z siebie zrzucić. Za każdym razem do celi wraz z nim wchodził jeden z dozorców i pozostawał w niej tak długo jak i on. Jednakże tym razem coś przyciągnęło jego uwagę — bodajże jakiś hałas na korytarzu — i odszedł aż do drzwi, aby zaspokoić ciekawość, wtedy Tomasz, czekający tylko sposobności, wsunął mi w rękę dłuto, pilnik i piłę i zawołał głosem pełnym smutku:

— Wiem, że źle robię; ale choćby i mnie także mieli powiesić, nie mogę inaczej. Na rany Chrystusa, uciekaj z tego miejsca! Nie mogę myśleć o tym.

Przyjąłem te narzędzia z wielką radością i schowałem szybko na piersi, a kiedy tylko wyszedł, ukryłem w trzcinie mojego krzesła. Co do Tomasza, to spełniwszy cel, dla którego przyszedł, natychmiast potem pożegnał mnie.

Następnego dnia strażnicy — nie wiem z jakiej przyczyny — byli bardziej niż zwykle gorliwi przeszukując moje rzeczy i mówili, co prawda nie powołując się na nic konkretnego, że z pewnością mam u siebie jakieś narzędzie, którego nie powinienem mieć, ale nie odnaleźli wybranej przeze mnie kryjówki.

Czekałem przez więcej niż pół tygodnia, aby skorzystać z jasnego światła księżyca. Mogłem pracować tylko w nocy, musiałem wykonać moje zamierzenia między ostatnim obchodem dozorców z wieczora a pierwszym z rana: to jest między dziewiątą wieczór a siódmą rano.

Jak już wspomniałem, czternaście lub szesnaście godzin na dobę



spędzałem w celi sam. Lecz od czasu, kiedy zyskałem reputację mechanika, w stosunku do mnie czyniono specjalne odstępstwa od ogólnych reguł więziennych.

Była jedenasta godzina, kiedy przystąpiłem do mojego przedsięwzięcia. Celę, w której mnie więziono, zabezpieczono podwójnymi drzwiami. Było to zupełnie zbędne, jeśli chodzi o udaremnienie mi ucieczki, skoro na zewnątrz i tak stał szyldwach. Lecz dla moich zamiarów było to bardzo szczęśliwe, ponieważ drzwi te utrudniały przenikanie dźwięków i dawały mi niejaką gwarancję, że przy pewnej ostrożności nie będę słyszany. Wpierw zdjąłem z rąk kajdanki. Następnie przepiłowałem łańcuchy na nogach, potem ten sam los spotkał trzy ze stalowych sztab w moim oknie, na które wdrapałem się częściowo przy pomocy krzesła, częściowo zaś wykorzystując występy muru. Wszystko to zabrało mi więcej niż dwie godziny czasu. Kiedy pręty kraty były już przepiłowane, z łatwością odgiąłem je nieco od linii pionowej, a następnie wyjąłem po jednym z muru, w którym tkwiły na jakie trzy cale zupełnie prosto i bez żadnego zabezpieczenia przed wyciągnięciem. Lecz otwór w ten sposób uzyskany nie był w żadnym razie wystarczający, abym się w nim zmieścił. Toteż zabrałem się, częściowo przy pomocy dłuta, częściowo zaś używając jednej ze sztab żelaznych, do obluzowania cegieł w murze, a kiedy już wyjąłem w ten sposób cztery czy pięć, zszedłem na dół i ułożyłem je na podłodze. Czynność tę powtarzałem trzy czy cztery razy. Otwór miał teraz dostateczne rozmiary i wyczołgawszy się przezeń, stanąłem na dachu jakiejś szopy.

Znajdowałem się obecnie na pustej przestrzeni między dwoma ślepyimi ścianami: południową ścianą dziennej izby więźniów (której okna wychodziły na wschód) i murem otaczającym więzienie. Lecz nie miałem, jak poprzednim razem, żadnych narzędzi, którymi mógłbym dopomóc sobie wdzierając się na mur pokaźnej wysokości. Jedyne więc, co mi pozostawało, to zrobić dostateczny wyłom u dołu muru, który był nie byle jakiej mocy, jako że zbudowany z kamieni od zewnątrz, miał jeszcze w środku warstwę cegieł. Pod kątem prostym do budynku, z którego się właśnie wydostałem, znajdowały się pomieszczenia dla więzionych za długi, a ponieważ noc była

niezwykle jasna, groziło mi każdej chwili niebezpieczeństwo, że przy najmniejszym hałasie zostanę przez nich zauważony, kilka okien bowiem wychodziło na teren, na którym się znajdowałem. W tych warunkach postanowiłem, że owa szopa musi mi posłużyć za schronienie. Była zamknięta, otwarłem jednak zamek bez większych trudności, posługując się przepiłowanym ogniwiem z mych łańcuchów, które przezornie zabrałem ze sobą. Miałem więc już wystarczającą osłonę dla swej osoby na czas dalszego działania. Osłona ta miała tylko jedną złą stronę: byłem mianowicie zmuszony zostawić drzwi szopy nieco uchylone ze względu na światło. Po pewnym czasie zdołałem usunąć na znacznej przestrzeni warstwę cegieł od wewnętrznej strony muru, lecz skoro doszedłem do kamienia, stwierdziłem, że sprawa jest nieskończenie trudniejsza. Zaprawa murarska użyta do spajania przy budowie muru z biegiem czasu niemal skamieniała i po pierwszych wysiłkach z mej strony wydawała mi się litą, twardą jak najtwardszy diament skałą. Już od sześciu godzin bez przerwy pochłaniała mnie ta niewiarygodnie mozolna praca: dłuto pękło przy pierwszym ataku na nową przeszkodę i mając za sobą tyle przebytych wysiłków, przed sobą zaś nieprzezwykłe na pozór trudności, pomyślałem w końcu, że muszę już pozostać tu, gdzie jestem, i wyrzec się myśli o dalszych próbach, ponieważ nie prowadzą do niczego. W tej samej chwili zaszedł księżyc, którego światło było mi do tej pory tak bardzo pożyteczne, i pozostałem w zupełnych ciemnościach.

Jednakże wytchnąwszy przez dziesięć minut, z nową siłą podjąłem atak. Upłynęło chyba nie mniej niż dwie godziny, zanim pierwszy kamień został wyjęty z muru. W godzinę później otwór był już wystarczająco duży, by umożliwić mi ucieczkę. Stos cegieł, jakie pozostawiłem w karczerze, był niemałych rozmiarów. Wydawał się jednak kretowiskiem w porównaniu ze złomami kamienia, które wykruszyłem z zewnętrznej warstwy muru. Jestem głęboko przeświadczony, że praca, którą wykonałem, zajęłaby dwa lub trzy dni zwykłemu robotnikowi, który mógłby korzystać z wszelkich narzędzi.

Lecz moje trudności, zamiast się skończyć, zdawały się dopiero zaczynać. Zanim uporałem się z wyłomem, nastał dzień, a w dziesięć minut

później mieli do mojej celi wejść dozorczy, którzy dostrzegą pozostawione przeze mnie spustoszenie. Uliczka, która z tej strony łączyła teren więzienia z pobliskimi wsiami, biegła na ogół między dwiema ślepyimi ścianami, gdziekolwiek tylko trafiały się to jakaś stajnia, to skład na towary lub też nędzne domostwa zamieszkiwane przez ludzi z niższych stanów. Najbezpieczniej było opuścić jak najspieszniej miasteczko i szukać schronienia w szczerym polu. Ręce miałem nieznośnie opuchnięte i pokaleczone od pracy i siły moje zdawały się zupełnie wyczerpane. Niezdolny byłem na krótką bodaj chwilę przyspieszyć kroku. A gdybym nawet mógł, to pośpiech byłby przypuszczalnie bezcelowy, ponieważ nieprzyjaciel deptał mi prawie po piętach. Zdawało się, że jestem w tym samym niemal położeniu, w którym znajdowałem się przed pięcioma czy sześcioma tygodniami, kiedy po udanej ucieczce zmuszony byłem nie stawiając oporu pozwolić się ująć moim prześladowcom. Tym razem nie miałem zwichniętej kostki, byłem zdolny do wysiłku, w jakim co prawda stopniu — nie wiedziałem. Zdawałem sobie jednak dobrze sprawę, że gdybym nie dopiął swego celu, utrudniłoby to ogromnie wszelkie próby ucieczki na przyszłość. Takie myśli nasuwały mi się w związku z obecną ucieczką. Bo nawet gdyby się udała, musiałem liczyć się — wśród innych trudności — także z tą, że w chwili kiedy opuszczałem więzienie, pozbawiony byłem wszelkich środków do życia i nie miałem ani szylinga przy duszy.

## ROZDZIAŁ XXVII

Idąc wzdłuż opisaney uliczki nie widziałem żywego ducha i nikt mnie nie widział. Drzwi były pozamykane, okiennice zawarte, a dokoła głucha cisza. Doszedłem do końca uliczki bez przeszkód. Gdyby była pogoń, to ścigający od razu wiedzieliby, że prawdopodobieństwo, abym w międzyczasie znalazł tutaj jakieś schronienie, było niewielkie, toteż poszliby nie zatrzymując się w dół uliczki, jak i ja musiałem zrobić.

Okolica, do której trafiłem, była dzika i nieuprawna. Porastał ją młody zagajnik i janowiec, gleba była tu po większej części piaszczysta, krajobraz falisty. Wdrapałem się na niewielkie wzgórze, skąd mogłem dostrzec w niezbyt dużej odległości parę luźno rozrzuconych chat. Ten widok bynajmniej mi się nie spodobał, zrozumiałem bowiem, że w obecnej chwili najbezpieczniej będzie trzymać się z dala od ludzkich oczu.

Spuściłem się więc znowu w dolinę i po dokładnym rozpatrzeniu się stwierdziłem, że grunt był poprzecinany różnego rodzaju rozpadlinami, wszystkie jednak były zbyt płytkie, by ukryć człowieka lub wzbudzić podejrzenie jako kryjówka. Tymczasem zaczynało właśnie świtać, ranek był posępny, mżył drobny deszczyk. Okoliczni mieszkańcy z pewnością dobrze znali głębokość tych jam, ale cień rzucany przez nie był tak czarny i nieprzenikniony, że obcemu mogły się wydać głębsze, niż były. Jakkolwiek nędzne to było schronienie, uznałem chwilowo za słuszne skorzystać z niego, gdyż było najlepsze spośród tych, jakie mi traf nastęczał.

Chodziło o moje życie, a im większy był hazard, na jaki ono było wystawione, tym droższe mi się stawało. Kryjówka, jaką wybrałem jako najpewniejszą, znajdowała się w odległości niespełna stu jardów od końca uliczki i ostatnich budynków miasta.

Nie przebyłem tam i dwóch minut, kiedy usłyszałem odgłos kroków, a natychmiast potem zobaczyłem, jak mój dawny dozorca i ktoś drugi mijają

właśnie miejsce mojej kryjówki. Byli tak blisko, że gdybym wyciągnął rękę, to nie zmieniając nawet pozycji mogłem dotknąć ręką ich ubrania. Ponieważ jama była płytka, mogłem ich widzieć całych, podczas kiedy głęboki cień czynił mnie zupełnie niewidzialnym. Słyszałem, jak rozmawiają między sobą ostrymi, gniewnymi głosami:

— A to łotr przeklęty! Którędyż mógł pójść?

— Do diabła z nim — brzmiała odpowiedź. — Niech tylko dostanie się znów w nasze ręce.

— Nie bój się — odpowiedział pierwszy. — Nie mógł nas wyprzedzić więcej niż o pół mili.

Po chwili przestałem ich słyszeć: co do widzenia zaś, to nie śmiałem wychylić się na jeden cal z obawy, że może mnie dostrzec pogoń nadchodząca z innej strony. Sądząc po tym, że między moją ucieczką a pojawieniem się tych ludzi upłynęło bardzo niewiele czasu, Wywnioskowałem, że musieli wyjść przez otwór, który zrobiłem w murze, gdyby bowiem wyszli bramą więzienną, musieliby okrążyć znaczną część miasta.

Byłem tak przerażony tym dowodem gorliwości ze strony nieprzyjaciela, że przez pewien czas ledwie ważyłem się wychylić z mojej kryjówki lub nawet zmienić pozycję. Deszczyk, który mżył z rana, z nastaniem dnia zamienił się w ulewę. Ponura pogoda, zamglony krajobraz, bliskość więzienia i zupełny brak żywności sprawiały, że godziny mijały mi pośród niezbyt miłych wrażeń. Jednakże nielitościwa pogoda, która rodziła poczucie pustki i samotności, zachęciła mnie pomалу do zmiany schronienia na inne w tym samym rodzaju, lecz nieco bezpieczniejsze. Krążyłem tak z małymi odchyleniami dokoła jednego miejsca, póki słońce nie skryło się za horyzontem.

Pod wieczór chmury zaczęły się rozpraszać i księżyc, podobnie jak poprzedniej nocy, zajaśniał w pełnym swym blasku. W ciągu całego dnia nie widziałem żywej duszy z wyjątkiem wspomnianych już strażników. Być może, należało to zawdzięczać pogodzie, w każdym razie uznałem za zbyt ryzykowny eksperyment opuścić moją kryjówkę w tę jasną i bezchmurną noc. Byłem więc zmuszony czekać, aż księżyc zblednie, co nastąpiło dopiero

o piątej nad ranem. Tymczasem osunąłem się na dno mojej jamy, by nieco odpocząć, ponieważ prawie nie podobna mi było utrzymać się dłużej na nogach. Po pracowicie spędzonej nocy i smutno wlokącym się dniu zapadłem w twardy, niespokojny sen. Wolałem co prawda nie spać, bowiem sen przy tym chłodzie mógł mi przynieść więcej szkody niż pożytku.

Postanowiłem wykorzystać tych kilka godzin po zachodzie księżyca, kiedy zapanuje ciemność, by oddalić się od więzienia. Miałem może niespełna trzy godziny. Podniosłem się z mego legowiska słaby z głodu i zmęczenia, a co gorsze, zdawało mi się, że od wilgoci wczorajszego dnia i ostrego przymrozku pogodnej nocy utraciłem władzę w członkach. Podniosłem się i otrząsałem, potem zaś oparłem o pochyłość pagórka i zacząłem ruszać rękami i nogami. W końcu odzyskałem w pewnym stopniu władzę czucia. Ćwiczeniom tym towarzyszył niewiarogodnie dojmujący ból, który wymagał niemałej siły woli, by mu stawić czoło i dalej je prowadzić. Opuściwszy schronienie zrazu posuwałem się naprzód wolno i niepewnie, lecz w miarę jak szedłem, przyśpieszałem kroku. Przez jałowy szmat wrzosowiska aż do krańców miasteczka — przynajmniej od tej strony — nie przebiegała żadna ścieżka, lecz na niebie świeciły gwiazdy i kierując się według nich postanowiłem odejść, jak tylko zdołam najdalej, od tego nienawistnego miejsca, gdzie tak długo byłem więziony. Droga, którą obrałem, była nierówna: raz musiałem wspinać się na stromy pagórek, kiedy indziej spuszczać się w ciemną, pełną nieprzebitego mroku dolinę. Ponieważ droga była niebezpieczna, musiałem często zmieniać kierunek. Tymczasem posuwałem się naprzód z szybkością, na jaką te i podobne przeszkody pozwalały. Ruch i przejrzystość powietrza przywróciły mi rześkość. Zapomniałem o dokuczliwych trudnościach, poczułem radosne podniecenie i ogarniający mnie entuzjizm.

Znalazłem się na skraju wrzosowiska, które w tym miejscu przechodziło już w las. Jakkolwiek dziwne się wyda, to jednak prawdą jest, że w takich warunkach, wygłodniały, bez żadnych widoków na przyszłość, pośród przejmujących trwogą niebezpieczeństw, stałem się nagle ożywiony, wesół i pełen płomiennego zapału. Pomyślałem sobie, że skoro upłynęło już tyle czasu od mojej ucieczki, to największe trudności mojego przedsięwzięcia

były już przewyciężone: nie mogłem też uwierzyć, abym — dokonawszy tyle — napotkał w dalszym etapie jakąś przeszkodę nie do pokonania. Z odrazą wspominałem pobyt w więzieniu i wiszącą nade mną groźbę losu. Żaden człowiek nigdy nie odczuwał tak żywo słodyczy wolności, jak ja w tym momencie. Żaden człowiek nie wybrał z większym przekonaniem ubóstwa i niezależności zamiast sztucznych powabów życia w niewoli. W uniesieniu wyciągnąłem ramiona, klasnąłem w dłonie i zawołałem:

— Ach, to istotnie znaczy być człowiekiem! Te ręce jeszcze niedawno były skute kajdanami, każdemu ruchowi, czym wstawał, czy siadał, wtórzył jak echo szczęk łańcuchów. Byłem uwiązany jak dzikie zwierzę i mogłem się poruszać tylko w zasięgu kilku stóp. Teraz mogę biec jak chyży chart lub wspinać się po górach jak młoda sama. O Boże, jeśli jest Bóg, który raczy słyszeć każde uderzenie cierpiącego serca, ty jeden możesz powiedzieć, z jaką rozkoszą więzień wyrwawszy się ze swego lochu kosztuje błogosławieństw odzyskanej wolności! Święta to i nieopisana chwila, kiedy człowiek odzyskuje swe prawa! Niedawno jeszcze życie moje było w niebezpieczeństwie, ponieważ inny człowiek był tak niegodziwy, by świadomie oskarżać mnie o nie popełnioną zbrodnię. Czekala mnie przedwczesna i niechybna śmierć z rąk moich bliźnich, ponieważ żaden z nich nie był na tyle przenikliwy, aby odróżnić od fałszu to, co ja mówiłem z najszczerzego serca! Dziwne, że człowiek od tylu wieków znosi, by życie jego zależało od woli innego człowieka, po tylko, aby i on z kolei mógł być tyranem pod osłoną prawa.

O Boże! Daj mi ubóstwo, ześlij mi wszystkie przeciwności, jakie mogą spotkać człowieka! Przyjmę je wszystkie z wdzięcznością. Rzuć mnie na pastwę dzikich zwierząt w pustyni, abym nigdy więcej nie mógł paść ofiarą człowieka okrytego skrwawionym płaszczem władzy. Pozwól mi przynajmniej nazwać życie i co ono niesie moją własnością. Wydadaj me życie na łaskę i niełaskę sił przyrody, na głód dzikich bestii lub wściekłych barbarzyńców, ale nie wydawaj go na łup chłodnej roztropności królów i samowładców.

Jakże godnym zazdrości był ów zapał, który w głodzie, nędzy i zupełnym opuszczeniu mógł mi dać tyle sił żywotnych.

Uszedłem już co najmniej sześć mil. Początkowo unikałem starannie osiedli z lęku, aby ktoś z ich mieszkańców mnie nie dostrzegł i nie naprowadził pogoni na mój ślad. W miarę jak się oddalałem od więzienia, uznałem, że być może, należałoby zrezygnować częściowo z tej ostrożności. W tej samej chwili ujrzałem kilku ludzi wychodzących wprost na mnie z gęstwiny. Okoliczność ta wydała mi się raczej pomyślną. Konieczne było, abym unikał miasteczek i pobliskich wsi. Był już jednak najwyższy czas, abym zdobył cokolwiek do jedzenia, a ci ludzie prawdopodobnie mogliby mi w tym dopomóc. W moim położeniu było mi obojętne, czym się trudnili. Rozbójników nie miałem powodów się lękać i wierzyłem, że tak samo jak i uczciwi ludzie musieliby okazać jakieś współczucie dla człowieka w moim położeniu. Toteż raczej szedłem im naprzeciw, niż starałem się ich wyminąć.

Byli to istotnie rozbójnicy. Jeden spośród nich zawołał:

— Stój! Kto idzie?

Zbliżyłem się do nich ze słowami:

— Jestem biedny podróżny, prawie...

Kiedym to mówił, otoczyli mnie i ten, który pierwszy mnie zagabnął, powiedział:

— Niech mnie diabli, daj no spokój z takim gadaniem, tę historię o biednym podróżnym słyszymy za każdym razem od pięciu lat. No, dawaj tu swoje dytki. Obaczymy, co tam masz!

— Panie — odparłem — nie mam ani szylinga przy duszy, a poza tym jestem na wpół żywy z głodu.

— Ani szylinga — powiedział napastnik. — Cóż to, nie jesteś chyba tak biedny jak złodziej. A jeśli nie masz pieniędzy, to masz ubranie i musisz je oddać.

— Ubranie — rzekłem z oburzeniem. — Nie możecie tego żądać. Czyż to nie dosyć, że jestem bez grosza? Całą noc spędziłem na wrzosowisku, pod gołym niebem. Od dwóch dni nie miałem w ustach kawałka chleba. Czy chcecie mnie odrzeć z ubrania i nagiego zostawić tu na chłodzie wśród tych odludnych lasów? Nie, nie, przecież jesteście ludźmi. Ta sama nienawiść ucisku, która każe wam powstać przeciw bezczelności bogaczy, nauczy was



pomagać tym, którzy giną. Na litość boską, dajcie mi jeść! Nie odzierajcie mnie z ostatniego mienia, jakie mam!

Choć dzień nie zaczął się jeszcze, wywnioskowałem z gestów jednego czy dwóch napastników, że nieumyślna elokwencja, z jaką wypowiedziałem tę apostrofę, wzruszyła ich tak, że zaczęli się jakby skłaniać na moją stronę. Lecz ów, który występował w ich imieniu, zauważył to również. Wrodzona porywczosć lub może żądza władzy pchnęły go do czynu, który miał mu uniemożliwić porażkę. Rzucił się na mnie gwałtownie i z ogromną siłą pchnął tak, że znalazłem się o kilka stóp od miejsca, gdzie stałem. Wpadłem w ten sposób na innego członka bandy, nie był to żaden z tych, którzy skłaniali ucha ku moim błaganiom — i ten zachował się równie brutalnie.

Takie postępowanie oburzyło mnie do żywego. Popychany w ten sposób dwa czy trzy razy, wyrwałem się napastnikom i natarłem na nich. Pierwszy, który znalazł się w zasięgu mojej pięści, był mój napastnik. W tej chwili nie powodowałem się niczym oprócz wściekłości i od mego ciosu człowiek ten runął na ziemię jak długi.

W tej chwili natarto na mnie z kijami i pałkami i w oka mgnieniu dosięgnął mnie cios, od którego niemal straciłem zmysły. Człowiek, którego powaliłem, podniósł się tymczasem i uderzył mnie kordelasem raniąc głęboko w szyję i ramię. Szykował się do następnego uderzenia. Ci dwaj, którzy zdawali się początkowo wzruszeni, przyłączyli się do natarcia, zniewoleni czy to instynktownym poczuciem jedności, czy prostym naśladownictwem. Jednakże jeden z nich, jak to później pojąłem, chwycił za rękę człowieka, który zamierzał uderzyć mnie po raz wtóry kordelasem, co przypuszczalnie położyłoby koniec mojemu życiu. Usłyszałem słowa:

— Do licha, dosyć już, dosyć! Za ostro się bierzesz, Gines!

— A cóż to — odparł drugi głos — będzie się tylko męczył w tym lesie i konał powolnie. To akt miłosierdzia skrócić jego męki.

Można sobie wyobrazić, że nie pozostałem obojętny wobec tego rodzaju debaty. Spróbowałem powiedzieć coś, ale głos uwiązł mi w gardle. Błagalnym gestem wyciągnąłem więc rękę.

— Nie uderzysz, jak mi Bóg miły — odezwał się jakiś głos — czy mamy

być mordercami?

W końcu przeważała szala pobłażliwości. Rozbójnicy poprzestali na ograbieniu mnie z surduta i kamizelki i zepchnęli mnie w suchy rów. Po czym odeszli nie bacząc na mój oplakany stan ani na krew, która obficie płynęła z rany.

## ROZDZIAŁ XXVIII

W tym żalnym stanie mimo ogromnego osłabienia nie straciłem przecież przytomności. Zdarłem koszulę z półnagięgo ciała i spróbowałem — nie bez powodzenia — zrobić z niej bandaż dla zatamowania upływu krwi. Następnie wyteżyłem siły, aby wyczołgać się z rowu. Zaledwie mi się to udało, kiedy ze zdumieniem i radością ujrzałem w niewielkim oddaleniu nadchodzącego człowieka. Ze wszystkich sił zacząłem wołać o pomoc. Człowiek zbliżył się do mnie z widocznymi oznakami współczucia, a obraz, jaki przedstawiałem, istotnie mógł budzić litość. Byłem bez kapelusza. Rozczochrane włosy wisiały w kosmykach, a końce ich pozlepiane były krwią. Koszula obwiązana dokoła szyi i ramion była gęsto pokryta plamami czerwieni. Na obnażonym do pasa ciele odcinały się strugi krwi, nie brak było też krwi na mojej bieliźnie.

— Mój dobry człowieku — powiedział głosem, w którym dźwięczała najśłodsza dobroć — na litość boską, co się wam stało? — Mówiąc to podniósł mnie i postawił na nogi.

— Czy możecie stać? — zapytał z powątpiewaniem.

— O tak, zupełnie dobrze — odparłem.

Otrzymawszy tę odpowiedź, puścił mnie i zaczął zdejmować własny surdut, aby okryć mnie przed chłodem. Ale ja widać przeceniłem swe siły i pozbawiony oparcia, natychmiast zachwiałem się i omal nie upadłem na ziemię jak długi. Wyciągnąłem jednak zdrową rękę i upadłem tak, że mogłem się zaraz podnieść na kolana. Mój dobroczyńca okrył mnie tymczasem, podniósł i prosząc, abym się o niego oparł, powiedział, że zaprowadzi mnie zaraz do miejsca, gdzie znajdę należyłą opiekę.

Odwaga jest dziwną właściwością: jak długo musiałem polegać jedynie na sobie, zdawało się, że mam niewyczerpane zasoby hartu, a przecie skoro tylko spotkałem się z niespodziewanym współczuciem innego człowieka,

siła ducha opuściła mnie i poczułem się bliski omdlenia. Mój miłosierny przewodnik spostrzegł to i raz po raz dodawał mi otuchy z taką pogodą, dobrocią i życzliwością, w sposób wolny zarówno od nieznośnych napomnień, jak i od zbytnej pobłażliwości, że zdawało mi się, nie człowiek to, lecz anioł mnie prowadzi. Zdołałem zauważyć, że jego zachowanie nie miało w sobie nic prostackiego, a on sam miał głęboko wpojone zasady wyrafinowanej grzeczności.

Uszliśmy tak około trzy czwarte mili, i to nie w stronę otwartego pola, ale kierując się ku najdzikszej i najbardziej nieuczęszczanej części lasu. Minęliśmy miejsce, które niegdyś musiało być fosą, teraz jednak ziemia była tu prawie zupełnie sucha i gdzieniegdzie tylko pozostało nieco błotnistej, stojącej wody. Na terenie otoczonym fosą mogłem rozpoznać jedynie zwalisko ruin i kilka murów, które zdawały się pochylać ku swoim fundamentom i grozić runięciem. Jednakże mój przewodnik poprowadził mnie przez arkadowe wejście i kręty, zupełnie ciemny korytarz. Zatrzymaliśmy się. W końcu korytarza znajdowały się drzwi, których nie mogłem dostrzec. Mój przewodnik zastukał w nie, a z drugiej strony odezwał się głos, który z brzmienia i siły mógł być głosem mężczyzny, miał jednak w sobie kobiecą ostrość i cierpkość. „Kto tam?” — zapytał ten głos. Skoro tylko padła zadowolająca odpowiedź, usłyszałem, że ktoś odciąga dwie zasuwę i odmyka drzwi. Weszliśmy do środka. Wnętrze tego mieszkania nie odpowiadało bynajmniej powierzchowności mojego opiekuna, lecz przeciwnie, robiło wrażenie niewygodnego, zaniedbanego i brudnego. Jediną osobą, jaką ujrzałem wewnątrz, była kobieta raczej w podeszłym wieku, która miała w sobie coś niezwykłego i odrażającego. Oczy jej były zaczerwienione i nabiegłe krwią, zmierzwiłone włosy zaplecione w warkocze zwisały jej na ramiona, twarz miała smagłą i pomarszczoną jak pergamin, była drobna, ciało zaś, a zwłaszcza ramiona, miała niezwykle mocne i muskularne. W piersiach jej zamiast mleka ludzkiej dobroci zdawała się płynąć dzika i wściekła krew, cała zaś postać nasuwała myśl o niepohamowanej energii i wściekle zawistnej pożądliwości. Skoro tylko owa piekielna Thalestris zobaczyła nas wchodzących, zawołała kłótliwym i niezadowolonym głosem:

— A to co takiego? To ktoś obcy!

Mój przewodnik nie odpowiadając na ten okrzyk kazał jej przysunąć stojący w rogu fotel i postawić go tuż koło ognia. Usłuchała go z widoczną niechęcią, mrużąc:

— Oho, tobie wciąż to samo w głowie, nie wiem, po co takim ludziom, jak my, miłosierne uczynki! Jakbym widziała, skończy się to naszą zgubą!

— Milcz, wiedźmo — odparł mężczyzna z naciskiem — i przynieś którąś z moich najlepszych koszul, kamizelkę i bandaż.

Mówiąc to wsunął jej jednocześnie w rękę niewielki pęk kluczy. Słowem, traktował mnie z taką dobrocią, jakby był moim ojcem. Obejrzał moją ranę, przemył ją i owiązał. Tymczasem starucha przyrzadziła na jego specjalny rozkaz takie pożywienie, jakie on uznał za najstosowniejsze przy moim osłabieniu i wyczerpaniu.

Zaledwie zakończono te starania dokoła mnie, kiedy mój dobroczyńca zaproponował mi, abym udał się na spoczynek, a gdy właśnie czyniono przygotowania w tym celu, dał się nagle słyszeć tupot nóg, a następnie pukanie do drzwi. Starucha otworzyła zachowując takie same środki ostrożności, jak wtedy, kiedy nas wpuszczała, i w chwilę potem do izby weszło z hałasem sześć czy siedem osób. Powierzchność ich była różnorodna: jedni wyglądali na zwykłych wieśniaków, inni na podupadłych szlachciców. Na wszystkich twarzach malowały się zuchwalstwo, niepokój i rozwiązłość tak wielkie, jakich nigdy nie widziałem u podobnych ludzi. Lecz zdumienie moje wzrosło jeszcze bardziej, kiedy spojrzawszy powtórnie, dostrzegłem w ich postaciach coś znajomego. Szczególnie jeden z nich pozostał mi w pamięci. Była to ta sama banda, z której rąk dopiero co się wyrwałem, a ów człowiek o mało mnie nie zabił. Wyobraziłem sobie, że wtargnęli do tej nory we wrogich intencjach i że mój dobroczyńca zostanie za chwilę ograbiony, ja zaś przypuszczalnie zamordowany.

Obawy te jednak szybko zostały rozwiane. Przybyli zwracali się do mojego przewodnika z uszanowaniem, nazywając go kapitanem. Wymieniali między sobą uwagi głośno i hałaśliwie, lecz ich krzyki były miarkowane pewnymi względami na jego opinię i autorytet. Zauważyłem, że mój napastnik zmieszał się ujrawszy mnie. Przewyciężył się jednak i z

pewnym trudem zawołał:

— Któż to jest, do diabła?

W tonie tego okrzyku było coś, co zwróciło uwagę mojego opiekuna. Utkwił w mówiącym twarde, przenikliwe spojrzenie, potem zapytał:

— No, a co, Gines? Czyś widział kiedy przedtem tego człowieka?

— Do licha, Gines — wtrącił się trzeci — piekielnie się nie wie. Ludzie mówią, że umarli wstają, widzisz, że jest w tym coś prawdy.

— Daj pokój tym niewczesnym żartom — odparł mój opiekun. — Nie ma tu żadnego powodu do błazeństw. A ty, Gines, powiedz mi, czy to twoja sprawka, że ten oto młody człowiek leżał nagi i poraniony w lesie i na takim chłodzie?

— A gdyby nawet, to co z tego?

— Czym ci zawinił, żeś tak okrutnie z nim postąpił?

— Dostyc zawinił. Nie miał pieniędzy.

— Jak to, więc tak się z nim obszedłeś, mimo to, że nie rozgniewał cię oporem?

— Owszem, stawiał opór. Szturchnąłem go tylko, a on ośmielił się mnie uderzyć.

— Gines, ty jesteś niepoprawny.

— Phi, a cóż z tego, jaki ja jestem? Za to pan ze swoim współczuciem i delikatnością uczuć zaprowadzi nas wszystkich na szubienicę.

— Nie mam ci nic do powiedzenia, niczego się już po tobie nie spodziewam. Towarzysze! Wy musicie rozstrzygnąć, na co zasługuje postępowanie tego człowieka. Wiecie, jak często powtarzają się jego winy, wiecie, ile trudu zadaję sobie, by na niego wpłynąć. W naszym zawodzie wymierzamy sprawiedliwość. (Oto jak stronnicość uczy ludzi upiększać najokropniejszą sprawę, do której zdecydowali się przystać.) My, którzy kradniemy wbrew prawu, prowadzimy otwartą wojnę z tymi, którzy kradną pozostając w zgodzie z prawem. Czy możemy służyć takiej sprawie kłać ją okrucieństwem, złością i zemstą? Naturalnie, wśród nas, rozbójników, wszyscy są równi. Nie pretenduję więc do tego, aby w jakikolwiek sposób narzucić wam swą władzę. Róbcie, jak uważacie za stosowne, lecz jeśli o mnie chodzi, głosuję za tym, aby Gines został

wykluczony z naszego grona jako zakała naszej społeczności.

Ta propozycja zdawała się zbiegać z sądem ogółu. Nietrudno było spostrzec, że ogół zgadza się z przywódcą. Niemniej jednak kilku bandytów wahało się, jak należy postąpić. Tymczasem Gines zaczął coś ponuro mrużyć pod nosem, że powinni uważać i nie prowokować go. To napomknienie w jednej chwili rozpaliło śmiałą duszę mego opiekuna i jego oczy zabłysły wzdargą.

— Łotrze — zawołał — grozisz nam? Czy myślisz, że będziemy twoimi niewolnikami? Nie, nie, rób, co tylko chcesz. Idź do najbliższego sędziego pokoju i wydaj nas, całkiem wierzę, że jesteś do tego zdolny. Mój panie, kiedyśmy wstępowali do tej bandy, nie byliśmy tak głupi, aby nie wiedzieć, że w niebezpieczną wstępujemy służbę. Jednym z tych niebezpieczeństw jest zdrada ze strony takich jak ty. Lecz nie po to weszliśmy na tę drogę, by teraz się cofać. Czy przypuszczasz, że będziemy żyli w wiecznym lęku przed tobą, że będziemy drzeć przed twymi groźbami i przymykać oczy na twoją bezczelność? To by było dopiero wspaniałe życie! Ale prędzej dam się posiekać w kawałki! Idź! Idź! Wyzywam cię! Nie ośmielisz się! Nie ośmielisz się poświęcić tych dzielnych towarzyszy, by zaspokoić swą wściekłość i w oczach całego świata okazać się zdrajcą i łajdakiem! Jeśli zrobisz to, siebie samego ukarzesz, nie nas! Precz stąd!

Nieustraszona postawa przywódcy udzieliła się i reszcie obecnych. Gines ujrzał wyraźnie, że nie ma nadziei, aby udało się zmienić ich uczucia. Po chwili milczenia odparł:

— Nie myślałem was opuszczać... Nie, do licha. Ale też nie będę płakał. Byłem zawsze wierny moim zasadom i byłem wam wszystkim przyjacielem. Ale skoroście postanowili mnie wyrzucić, to cóż... żegnajcie!

Wygnanie tego człowieka wpłynęło korzystnie na całą bandę. Ci, którzy poprzednio byli skłonni do ludzkich uczuć, widząc, że takie uczucia zyskują poklask, nabrali nowej energii. Dotychczas poddawali się grubiaństwu Ginesa, lecz teraz z powodzeniem obrali odmienną linię postępowania. Ci zaś, którzy naśladowali Ginesa, bo mu zazdrościli autorytetu, zaczęli się wahać co do swego postępowania na przyszłość. Wyszły na jaw różne sprawki Ginesa, które nigdy nie doszły do uszu przywódcy, a świadczyły o

okrucieństwie i brutalności Ginesa wobec ludzi i zwierząt. Historii tych nie będę powtarzał. Mogą one wywołać jedynie uczucie wstrętu i odrazy, zaś niektóre z nich świadczą o takim zdeprawowaniu, że wielu czytelnikom wydałyby się absolutnie niewiarygodne. A jednak ten człowiek miał swoje zalety: był przedsiębiorczy, wytrwały i wierny.

Usunięcie Ginesa było dla mnie poważną korzyścią. Jakież czekałyby mnie kłopoty, gdybym został sam w mej trudnej sytuacji, w dodatku ranny. Jednakże nie odważyłbym się chyba pozostać pod jednym dachem z człowiekiem, dla którego mój widok był jakby żywym wyrzutem sumienia, przypominającym mu o jego własnej winie i o niezadowoleniu przywódcy. Jego zawód wyrobił w nim pewnego rodzaju obojętność na konsekwencje swych czynów i niepohamowanych wybuchów wściekłości. Bez trudu mógłby znaleźć okazję, aby mnie znieważać lub skrzywdzić, ja zaś musiałbym polegać na własnych nadwątlonych siłach, by mu się przeciwstawić.

Uwolniony od tego niebezpieczeństwa, uznałem, że — wzięwszy pod uwagę moją sytuację — sprawy moje układają się dość pomyślnie. Korzystałem z tak doskonałej kryjówki, jakiej tylko pragnąć mogłem, i nie pozbawiony byłem dobrodziejstw ludzkiej życzliwości.

Nie sposób wyobrazić sobie bardziej odmiennych ludzi niż bandyci, z którymi zetknąłem się w więzieniu, i bandyci, których poznałem teraz. Ci ostatni byli na ogół weseli i pełni ochoty. Mogli robić wypadki, gdzie tylko zechcieli. Mogli układać plany i wykonywać je. Kierowali się swymi skłonnościami. Nie narzucali sobie tak częstego w społeczeństwie ludzkim przymusu pozornej, milczącej zgody na to, co było skierowane przeciw nim, lub co gorsza, nie przekonywali siebie, że wszystko zło, które wycierpieli, było czymś dobrym. Ludzie ci byli w otwartej wojnie ze swoimi gnębicielemi.

Inaczej zbrodniarze, których niedawno widziałem w więzieniu: ci byli zamknięci jak dzikie zwierzęta w klatce, pozbawieni możliwości ruchu, sparaliżowani bezczynnością. Rzadkie przejawy dawnej przedsiębiorczości były podobniejsze do konwulsyjnych wyskoków choroby niż do przemyślanych i konsekwentnych czynności zdrowego człowieka. Nie mieli



już nadziei ani planów na przyszłość, ani złotych marzeń — pozostały im najstraszliwsze perspektywy, zabroniono im myśleć o czymkolwiek innym. To prawda, że te dwa obrazy przestępców stanowiły dwie części jednej całości. Obraz drugi był zakończeniem pierwszego, a pierwszy w każdej chwili mógł zamienić się w drugi.

Lecz ludzie, których obecnie miałem przed sobą, nie zważali na to, co ich czeka, i pod tym względem zdawali się nie mieć nic wspólnego z rozważą czy rozsądkiem.

Z jednej strony, jak już mówiłem, mogłem sobie pogratulować obecnego miejsca pobytu: miało wszystkie zalety dobrej kryjówki. Panowała tu radość i wesele. Lecz ta wesołość nie budziła echa w moim sercu. Członkowie tej wspólnoty nie mieli żadnych zasad. Ich rzemiosłem była przemoc, a ustawicznym dążeniem — uniknąć czujności społeczeństwa. Okoliczności te wpłynęły na ich charaktery. Spotkałem się wśród nich z życzliwością i dobrocią — szlachetne uczucia znajdowały do nich łatwy dostęp. Lecz ich położenie było niepewne, a w związku z tym i usposobienie zmienne. Przyzwyczajeni do wrogości ludzi, byli gwałtowni i łatwo unosili się gniewem. Przywykłszy do szorstkiego taktowania tych, których grabili, nieraz przebierali miarę w brutalności. Zadawanie ran, użycie pałki czy sztyletu uważali za oczywisty sposób przewyciężenia każdej trudności. Natomiast wolni od obezwładniającej rutyny zwykłych spraw ludzkich, nierzadko przejawiali energię, która w bezstronnym obserwatorze wzbudziłaby głęboki podziw.

Ze wszystkich cech ludzkich energia jest — być może — najbardziej wartościową i sprawiedliwy ustrój społeczny potrafiłby zrobić dobry użytek nawet z energii takich ludzi, zamiast ograniczać ją — jak to ma miejsce dzisiaj — do bezmyślnego niszczenia. Postępujemy jak chemik, który odrzuca najczystsze złoto, by posługiwać się tylko podłym metalem, ponieważ nadaje się natychmiast do jego niskich celów. Energia tych ludzi, podług moich obserwacji, była w najwyższym stopniu źle skierowana, nie wspomagana liberalnymi i światłymi poglądami, służyła najbardziej ciasnym i niskim celom.

Wielu osobom może się wydawać, że przebywanie w opisywanym przeze

mnie miejscu związane było z wielkimi przykrościami. Lecz niezależnie od tego, że dostarczało mi tematu do refleksji, było rajem w porównaniu z miejscem, z którego się właśnie wydostałem. Niemiłe towarzystwo, niewygodne mieszkanie, brud i wieczne burdy przestawały napawać mnie odrazą, skoro i tak byłem zmuszony wśród nich pozostać. Mogłem cierpliwie znosić wszystkie trudności, tak błahe w porównaniu z groźbą tragicznej i przedwczesnej śmierci. Nie było cierpienia, którego bym nie uznał za błahe, poza tym, które płynie z okrucieństwa, zimnego wyrachowania i nieludzkiej mściwości rodzaju ludzkiego.

Otoczony troskliwością i dobrocią mojego opiekuna, wracałem pomyślnie do zdrowia, reszta zaś bandy wzorowała się na jego przykładzie. Jedna tylko starucha zarządzająca gospodarstwem domowym wciąż okazywała mi niechęć. Uważała mnie za przyczynę wykluczenia Ginesa z ich bractwa. A Gines był przedmiotem jej szczególnych względów, ponadto, choć dbała o opinię ogółu, uważała, że to zły interes wymienić starego doświadczonego łotra na niewyćwiczonego nowicjusza. W dodatku była z natury zgryźliwa i wiecznie niezadowolona, a osoby tego pokroju nie potrafią pono żyć nie wylewając na kogoś nadmiaru swojej złości. Toteż nie traciła sposobności, aby okazać mi swą wrogość, a czasem mierzyła mnie wściekłym spojrzeniem, w którym malowała się zwierzęca żądza mojej zagłady. Nic nie sprawiało jej więcej udręki jak to, że nie mogła natychmiast zaspokoić swojej nienawiści, nie mogła też znieść myśli, że tak niepohamowana a okrutna pasja sprowadza się w gruncie rzeczy do bezsilnej złości posługującej dziewczyny.

Co do mnie, to przyzwyczajony byłem do ataków potężnych nieprzyjaciół i do walki ze straszliwymi przeciwnościami, więc jej złe humory nie miały dostatecznej mocy, by zakłócić mój spokój.

Wróciwszy do sił, opowiedziałem mojemu opiekunowi historię mego życia pomijając doniosłą tajemnicę Mr Falklanda. Do tej pory nie potrafiłem zmusić się do wyjawienia jej nawet w mojej obecnej sytuacji, która zdawała się wykluczać możliwość, aby zrobiono z tej historii użytek na szkodę mego prześladowcy.

Jednakże mój słuchacz, którego sposób myślenia był tak krańcowo inny

niż Mr Forestera, nie wyciągnął żadnych niekorzystnych dla mnie wniosków z tego, że opowiadanie moje na skutek powściągliwości było niejasne. Był to człowiek tak przenikliwy, że oszust miałby bardzo nikłe szanse wprowadzenia go w błąd jakąś fałszywą relacją, przy tym ufał swej przenikliwości. Prostota i prawość mojego zachowania przekonały go o mojej niewinności i zapewniły mi jego przychylny sąd i przyjaźń.

Słuchał mojej opowieści z napięciem, przerywając mi, by wtrącić swoje uwagi. Powiedział, że jest to jeszcze jeden przykład samowoli i przewrotności możnych wobec ludzi mniej uprzywilejowanych. Nic oczywistszego niż ich gotowość poświęcenia rodzaju ludzkiego swym najbardziej sobkowskim interesom lub najdzikszym kaprysom. Któż widząc tę sytuację we właściwym świetle czekał, aż gnębiciele uznają za stosowne orzec jego zgubę, i nie przedsięwzięcie kroków w swej obronie, póki jeszcze może to zrobić? Co jest lepsze: bierna i tchórzliwa uległość niewolnika, czy decyzja i śmiałość człowieka, który ma odwagę walczyć o swoje prawa? Jeżeli na skutek stronniczości naszych sędziów niewinność prześladowana przez możnych może oczekiwać tego samego losu co występki, cóż więc dziwnego, że człowiek naprawdę odważny zuchwale powstaje przeciw takim prawom i jeśli musi cierpieć ich niesprawiedliwość, to przynajmniej stara się uprzednio pokazać swą wzdargę dla ich jarzma. On sam nigdy nie wzięłby się do swego obecnego rzemiosła, gdyby nie te logiczne i przekonujące racje. Spodziewa się też, że w przyszłości będzie miał szczęście zdobyć mnie do współpracy, skoro moje własne doświadczenie przekonało mnie o słuszności jego wywodów. Zobaczymy zaraz, co się wydarzyło, by upewnić go w tych nadziejach.

Banda rozbójnicza, z którą obecnie mieszkałem, stosowała liczne środki ostrożności, aby uniknąć czujnego oka stróżów bezpieczeństwa. Jedną z ich zasad było nie dokonywać grabieży w pobliżu swojej siedziby. Napad, któremu zawdzięczałem obecne schronienie, był przekroczeniem tego przepisu ze strony Ginesa. Po napadach bandyci ostentacyjnie obierali drogę możliwie przeciwną tej, która wiodła do ich rzeczywistego schronienia. Miejsce to i najbliższa okolica wyglądały na szczególnie bezludne i opuszczone, a nawet mówiono, że tu straszy. Opisywana przeze

mnie starucha mieszkała tu od dawna i powszechnie przypuszczano, że jest jedyną mieszkanką, a jej postać odpowiadała wiejskim wyobrażeniom o wiedźmie-czarownicy. Jej lokatorzy przychodzili i wychodzili tylko w nocy, oglądając się przedtem na wszystkie strony. Światła przeblyskujące z coraz to innych okien jej siedziby wydawały się przerażonym wieśniakom czymś nadprzyrodzonym. A jeżeli i dobiegły ich czasem odgłosy hulatyki, wyobrażali sobie, że to jakiś diabelski sabat.

Mimo tych wszystkich sprzyjających okoliczności rozbójnicy ośmielali się przebywać tu jedynie okresowo, często na całe miesiące udawali się w zupełnie inne okolice. Starucha czasem towarzyszyła im w tych wędrówkach, a czasem pozostawała na miejscu. Zawsze jednak opuszczała swą siedzibę wcześniej lub później niż rozbójnicy, tak że najbystrzejszy obserwator nie dostrzegłby związku między jej ponownym pojawieniem się a alarmującymi pogłoskami o nowych grabieżach. Przerażonym zaś wieśniakom wydawało się, że czarci wyprawiają tu swe wesele niezależnie od tego, czy starucha jest w domu, czy też nie.

## ROZDZIAŁ XXIX

Pewnego dnia podczas mego pobytu u rozbójników zaszło wydarzenie, którym chcąc nie chcąc musiałem się zainteresować. Dwóch spośród naszych ludzi wysłano do niezbyt odległego miasta po zakupy. Oddawszy je naszej gospodyni, usunęli się w kąt izby, po czym jeden z nich wyciągnął jakiś papier i wszyscy po społu zajęli się czytaniem. Siedziałem w fotelu opodal kominka, czując się znacznie lepiej niż poprzednio, jednakże osłabiony jeszcze i bezsilny. Oni tymczasem czytali przez dłuższą chwilę, spoglądając na mnie, potem na papier, a potem znowu na mnie. Następnie wyszli razem z izby, jak gdyby po to, by niezwłocznie naradzić się nad czymś, co wyczytali. Po jakimś czasie wrócili, a w tej samej chwili wszedł do pokoju mój opiekun, który do tej pory był nieobecny.

— Proszę spojrzeć, kapitanie — powiedział jeden z nich z wyrazem zadowolenia na twarzy — cośmy znaleźli. To wielka wygrana. Myślę, że to tyle warte, co czek na sto gwinei.

Mr Raymond (tak bowiem brzmiało jego nazwisko) wziął papier i przeczytał. Przez chwilę milczał. Potem zmiął arkusz w dłoni i zwracając się do tego, który mu go podał, odezwał się tonem człowieka pewnego zwycięstwa swych argumentów:

— A po cóż ci potrzebne owe sto gwinei? Czy ci czego niedostaje? Czyś w nędzy? Czy chcesz zdobyć te pieniądze za cenę zdrady, za cenę pogwałcenia praw gościnności?

— Słowo daję, kapitanie, sam nie wiem dobrze. Skoro pogwałciłem inne prawa, nie widzę, czemu miałbym się lękać takich starych opowiastek. Myślałem, że jesteśmy sędziami własnych postępków i nie lękamy się straszaka jakiejś przypowieści. Zresztą to przecież dobry uczynek i myślę, że przyczynić się do zguby takiego złodzieja, to dla mnie tyle co obiad zjeść.

— Złodzieja! I to ty mówisz o złodziejach!

— Powoli, kapitanie. Niech Bóg broni, żebym miał powiedzieć choć słowo przeciw złodziejstwu jako rzemiosłu. Ale jeden człowiek kradnie na jeden sposób, drugi na inny. Co do mnie, to idę na gościniec i zabieram obcemu człowiekowi to, bez czego w stu wypadkach na jeden może się doskonale obyć. Nie widzę w tym nic złego. Ale mam takie samo sumienie jak inni ludzie. Czy to, że drwię sobie z sądów, sędziowskich peruk i szubienicy, że nie dam się odstraszyć od niewinnego zajęcia, choć prawo mówi mi „nie”, czy to oznacza, że mam być kamratem różnych złodziejaszków, nikczemnych służących i ludzi, którzy ani nie kierują się sprawiedliwością, ani nie mają żadnych zasad? Nie. Zbyt wiele mam szacunku dla naszego rzemiosła, bym nie był wrogiem intruzów i takich gagatków, którzy tym bardziej zasługują na moją nienawiść, że świat nazywa nas tym samym mianem.

— Nie masz racji, Larkinsie! To pewne, że gdyby nawet twoja nienawiść była usprawiedliwiona, nie powinienes przeciw ludziom, których nienawidzisz, wykorzystywać tego prawa, któremu sam swymi czynami urągasz. Trzymaj się jednego. Bądź albo przyjacielem, albo przeciwnikiem prawa. A możesz być pewien, że gdziekolwiek w ogóle istnieje jakieś prawo, tam na pewno znajdą się prawa przeciwko takim ludziom jak ty i ja. Więc albo wszyscy, ilu nas tu jest, zasługujemy na karę przewidzianą przez prawo, albo też prawo nie jest narzędziem do korygowania naszych występów.

Mówię ci to dlatego, że chciałbym bardzo, byś sobie uświadomił, że donosiciel albo konfident, człowiek, który wykorzystuje zaufanie innego człowieka, aby go zdradzić, który za pieniądze sprzedaje życie sąsiada albo po tchórzowsku z byle powodu odwołuje się do prawa, aby uczyniło za niego to, czego sam nie może lub nie śmie uczynić, jest najpodlejszym łotrem. Lecz twoje racje, choćby były najsłuszniejsze w świecie, nie dadzą się zastosować w tym wypadku.

Podczas gdy Mr Raymond to mówił, reszta bandy weszła do izby. On zwrócił się ku nim niezwłocznie mówiąc:

— Przyjaciele, oto wiadomość, którą właśnie przyniósł Larkins i którą, za jego pozwoleniem, wam przedstawię.

Po czym, rozprostowując trzymany papier, ciągnął:

— Oto rysopis zbiegłego przestępcy i obietnica stu gwinei za jego pojmanie. Larkins przyniósł to z miasta. Sądząc z czasu i innych okoliczności, zwłaszcza zaś dokładnego rysopisu jego osoby, chodzi bez wątpienia o naszego młodego przyjaciela, do którego uratowania przyczyniłem się swego czasu. Oskarżają go tutaj, że wykorzystując zaufanie swego pana i dobroczyńcy dokonał rabunku jego mienia o pokaźnej wartości. Pod tym zarzutem wtrącono go do okręgowego więzienia, skąd uciekł przed dwoma tygodniami, nie mając odwagi stanąć na rozprawie, którą to okoliczność uznaje się w ogłoszeniu za równoznaczną z przyznaniem się do winy.

Przyjaciele, ja już od pewnego czasu znam szczegóły całej sprawy. Ten młodzieniec wtajemniczył mnie w historię swego życia wówczas jeszcze, kiedy nie mógł przewidzieć, że będzie musiał odwołać się do tego fortelu dla swej obrony. Ten człowiek nie popełnił czynu, o który go oskarżają. Któż z was jest tak naiwny, aby przypuszczać, że ucieczka jest jakimkolwiek potwierdzeniem jego winy? Kto, uwięziony i oczekujący rozprawy sądowej, myślał kiedy o swej niewinności czy winie jako o czymś decydującym w sprawie? Kto byłby tak głupi, by z własnej woli czekać na rozprawę, skoro ludzie, do których należy decyzja, więcej myślą o ohydzie czynu, o którym mówi oskarżenie, niż o tym, czy oskarżony jest rzeczywiście sprawcą tego czynu. Kto zdałby się na wyrok sądu, skoro sędziowie urabiają sobie pojęcie o naszych czynach na podstawie zeznań zgrai ciemnych świadków, na których żaden rozsądny człowiek nigdy by nie polegał, nawet gdyby chodziło o przedstawienie najbardziej obojętnego wydarzenia jego życia.

Historia tego biednego chłopca jest długa i nie będę nią teraz zaprzętał wam głowy. Lecz z tej historii wynika jedna rzecz jasna jak słońce, że ponieważ chciał opuścić służbę u swego pana, ponieważ być może, zbyt interesował się sprawami swego chlebodawcy i ponieważ jak podejrzewam, powierzono mu jakąś ważną tajemnicę, jego pan powziął do niego gwałtowną niechęć. Niechęć ta przybrała wreszcie takie rozmiary, że doprowadziła do fałszywego oskarżenia. Wolał powiesić chłopaka, aby usunąć go w ten sposób ze swej drogi, niż pozwolić mu, by udał się, gdzie

zechce, i wy dostał się poza zasięg jego władzy. Williams opowiedział mi tę historię z taką szczerością, że pewien jestem, iż w tej sprawie jest on równie niewinny jak ja sam. Jednakże służba jego pana jednogłośnie wypowiedziała się po stronie chlebobdawcy. To samo zrobił sędzia pokoju, niesłusznie mniemając, że jako krewny oskarżyciela potrafi być bezstronny. W ten sposób Williams miał próbkę tego, czego może spodziewać się na rozprawie.

Larkins, który po przeczytaniu tego ogłoszenia nie znał jeszcze szczegółów sprawy, był za tym, aby skorzystać z okazji zdobycia stu gwinei. Czy teraz, wysłuchawszy wszystkiego, zgodzicie się na to? Czy chcecie dla tak niskiego celu wydać jagnię w wilcze pazury? Czy chcecie dopomóc zamiarom tego krwiożerczego łotra, któremu nie dość było wypędzić zależnego od siebie człowieka z domu i z rodzinnej okolicy, pozbawić go dobrego imienia i normalnych środków utrzymania, pozostawiając go w niemal beznadziejnej sytuacji, ale który pragnie jeszcze jego krwi? Jeżeli nikt inny nie ma odwagi położyć tamy okrutnej samowoli naszych sądów, czyż nie powinniśmy tego zrobić my? Czyż my, którzy z wielką odwagą zdobywamy środki utrzymania, możemy zawdzięczać choćby pensa podłej sztuce donosicielskiej? Czy wolno nam, nam, przeciw którym zbroi się cały ród ludzki, odmawiać opieki człowiekowi bardziej narażonemu, a mniej jeszcze zasługującemu. na prześladowanie niż my sami?

Argumenty kapitana natychmiast wywarły wrażenie na całej kompanii. Wszyscy zaczęli wołać:

— Wydać go? Za nic na świecie! Bezpieczny tu jest. Będziemy go bronić, choćby nam przyszło życiem własnym zapłacić. Gdyby spomiędzy złodziei wygnano wierność i honor, gdzież na całej ziemi znalazłyby schronienie?

Zwłaszcza Larkins dziękował kapitanowi za jego interwencję i przysięgał, że raczej dałby sobie prawą rękę odciąć niż wyrządzić krzywdę tak zacnemu młodzieńcowi i dopomóc w tak niesłychanej nikczemności. Mówiąc to ujął mnie za rękę i prosił, abym się nie lękał niczego. Pod ich dachem nic złego nigdy mnie nie spotka. A gdyby nawet pachołkowie prawa odkryli moje schronienie, on i jego przyjaciele raczej zginą do ostatniego w mojej obronie, niż pozwolą, by jeden włos spadł mi z głowy. Z



całego serca dziękowałem mu za tę życzliwość, lecz przede wszystkim uderzyła mnie żarliwa sympatia mojego dobroczyńcy. Powiedziałem, że — o ile mogłem stwierdzić — moi nieprzyjaciele są nieubłagani i nie spoczną, póki nie przeleją mojej krwi. Po czym z całą powagą i zapałem, jaki daje prawdomówność, zapewniałem moich nowych przyjaciół, że niczym nie zasłużyłem na prześladowanie, z jakim się spotykam.

Mr Raymond bronił mnie z taką odwagą i siłą, że ja sam nic już nie potrzebowałem robić, by odeprzeć ten nieprzewidziany atak. Niemniej jednak zostawił nader głęboki ślad w moim umyśle. Zawsze miałem pewną nadzieję, że Mr Falkland znów okaże się sprawiedliwy. Choć prześladował mnie z taką zawziętością, nie mogłem oprzeć się myśli, że czyni to niechętnie, i byłem przeświadczony, że ten stan nie będzie trwać wiecznie. Człowiek prawy z natury, człowiek honoru, nie może nie uprzytomnić sobie kiedyś, jak niesłusznie postępował, i nie pohamować swej srogości. Ta myśl nie odstępowała mnie i przyczyniła się niemało do moich poczynań. „Przekonam mego prześladowcę — mówiłem sobie — że zbyt wiele jestem wart, by można było poświęcać moje życie jedynie ze względu na ostrożność.” Zachowanie Mr Falklanda w związku ze sprawą mojego uwięzienia i różne drobne okoliczności, które miały miejsce od tamtego czasu, potwierdzały słuszność takich nadziei.

Lecz ostatecznie wydarzenie ukazało mi go w zupełnie nowym świetle. Widziałem teraz człowieka, któremu nie dość było zniesławić mnie, osadzić na pewien okres w więzieniu i uczynić ze mnie bezdomnego włóczęgę. Prześladował nieszczęsnego nadal z nieubłagany okrucieństwem. Duszę moją zdawały się przenikać po raz pierwszy oburzenie i nienawiść. Tak dobrze rozumiałem jego nieszczęście, tak dokładnie znałem przyczyny tego nieszczęścia i tak głęboko byłem przeświadczony, że nie zasłużył na nie, że cierpiąc sam boleśnie, litowałem się jednak raczej nad moim prześladowcą, niż go nienawidziłem.

Ale ten wypadek odmienił moje uczucia. „Przecież — mówiłem sobie — mógłby teraz mieć pewność, że uczyni mnie wystarczająco bezbronnym, i mógłby wreszcie zostawić mnie w spokoju. A czy przynajmniej nie powinien się zadowolić pozostawieniem mnie memu losowi, niebezpiecznemu i

niepewnemu życiu zbiegłego przestępcy, zamiast judzić przeciw mnie moich rodaków podsycając ich nienawiść i czujność? Czyżby broniąc mnie przed nieubłaganą surowością Mr Forestera, świadcząc mi różne grzeczności później, grał tylko rolę, by uspić moją czujność i skłonić mnie do cierpliwości? Czy nękał go nieustanny lęk przed pełnym odwetem z mej strony i udawał, że ma skrupuły, podczas gdy jednocześnie wprowadzał potajemnie w ruch wszelkie środki, które musiały doprowadzić do mojej zagłady?” Samo podejrzenie, że tak się rzeczy miały, napełniało mnie niewypowiedzianą zgrozą, a zimny dreszcz wstrząsał każdym moim nerwem.

Tymczasem rana moja zagoiła się już całkowicie i stanąłem przed koniecznością powzięcia jakichś postanowień na przyszłość. Właściwy mi sposób myślenia sprawiał, że czułem niepohamowaną odrazę do rzemiosła moich gospodarzy. Nie żywiłem w stosunku do tych ludzi ani wstrętu, ani obrzydzenia, którymi się ich zwykle darzy. Widziałem i szanowałem ich zalety i cnoty. Daleki byłem od tego, by uważać ich za gorszych lub bardziej groźnych dla szczęścia rodzaju ludzkiego niż większość tych, którzy spoglądają na nich z góry z najsurowszą naganą. Ale choć nie przestali mi być mili jako ludzie, nie mogłem zamknąć oczu na ich błędy. Na szczęście miałem możliwość już wcześniej przyjrzeć się życiu przestępców w więzieniu, zanim zobaczyłem ich w stanie względnej pomyślności. Fakt ten uchronił mnie przed niewłaściwym sądem o przestępcach i był niezawodnym środkiem przeciw tej truciznie. Widziałem, jak w tym zawodzie znajdują ujście niezwykła energia, pomysłowość i męstwo i nie mogłem nie uzmysławiać sobie, jak błogosławione skutki mogłyby wydać te zalety na wielkiej arenie ludzkich spraw, podczas kiedy obecnie szły na marne, trwonione na cele krańcowo sprzeczne z podstawowymi interesami społeczeństwa ludzkiego. A czyny tych ludzi były równie szkodliwe dla nich samych jak niezgodne z dobrem powszechnym. Człowiek, który naraża lub poświęca życie dla sprawy ogółu, nagradzany jest pochwałą własnego sumienia, lecz ci, którzy lekkomyślnie urągają niezbędnym, choć monstrualnie przesadnym przepisom, jakimi władze chronią prawo własności, nie tylko dopuszczają się niesłychanego ataku na całe

społeczeństwo, ale nawet w tym, co dotyczy ich własnego dobra, są niemal tak nierozsądni i lekkomyślni jak człowiek, który by ustawił się jako cel dla rotty muszkietierów.

Widząc sprawy w tym świetle, nie tylko postanowiłem, że sam nie wezmę się do rzemiosła moich gospodarzy, lecz pomyślałem sobie, że w zamian za doznaną pomoc powinienem przynajmniej spróbować odwieść ich od tego rzemiosła, które im samym najwięcej szkodzi. Moje wywody spotkały się z różnym przyjęciem. Ci, do których się zwracałem, całkiem nieźle przekonali siebie, że rzemiosło ich jest zgoła niewinne, a resztki wątpliwości zostały stłumione i starannie zapomniane. Niektórzy śmieli się z moich argumentów uważając je za zabawny przejaw apostołskiej donkiszoterii. Inni, a zwłaszcza nasz kapitan, odrzucali je ze śmiałością ludzi, którzy znają swoją przewagę.

Lecz niedługo trwał ich spokój i zadowolenie z siebie. Do argumentów odwołujących się do religii i świętości prawa przywykli. Dawno je odrzucili jako przesady. Ale ja apelowałem do zasad, których nie mogli podważyć, i nie zwracałem się do nich ze zwykłymi wyrzutami, które kładzione z uporem w uszy nie znajdują żadnego oddźwięku w naszych sercach. Niektórzy z nich pod wrażeniem nieoczekiwanych, a przekonywających zastrzeżeń, jakie wysuwałem, zaczęli okazywać niechęć i niecierpliwość wobec nieproszonych przestróg.

Ale z Mr Raymondem sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Człowiek ten odznaczał się rzadką szczerością. Dziwił się, że można znaleźć jeszcze tak poważne argumenty przeciw czemuś, co tak gruntownie — jak sądził — przemyślał. Zastanawiał się nad moimi słowami pilnie i bezstronnie. Powoli zaczynał im przyznawać słuszność, a w końcu przyznał ją w całej rozciągłości. Miał teraz w rezerwie jedną już tylko replikę.

— Niestety, mój Williamsie — powiedział — byłoby to szczęście dla mnie, gdybym zetknął się z takimi poglądami, zanim poświęciłem się memu obecnemu zawodowi. Teraz jest za późno. Te same prawa, których niesprawiedliwość popchnęła mnie do tego, czym jestem, wzbraniają mi odwrotu. Mówią, że Bóg sądzi człowieka podług jego ostatnich uczynków i nie bacząc na przestępstwa wybacza grzesznikowi, który zrozumiał i

przeklął swe zbrodnie. Lecz instytucje krajów, które głoszą cześć dla tego Boga, nie znają takich rozróżnień. Nie przewidują możliwości poprawy i zdają się czerpać brutalną rozkosz piętnując wszystko, co przestępca zrobi. Charakter człowieka w chwili rozprawy nie ma żadnego znaczenia. Mógł się zmienić, stać się czystym i użytecznym człowiekiem — na nic mu się to nie przyda. Jeśli wykryją popełniony przed czternastoma czy czterdziestoma laty czyn, za który prawo przewiduje karę śmierci, nie raczą wnikać w to, że przestępca — być może — przeżył ten okres bezgrzesznie jak święty i z poświęceniem najlepszego patrioty [**Autor powołuje się na dwa konkretne wypadki. W pierwszym chodzi o Eugeniusza Arama, w drugim o Williama Andrzeja Horne'a, których sprawy znajdują się w rejestrze karnym z roku 1759. Annual Register for 1759.**]. Cóż więc mogę zrobić? Czy raz wkroczywszy na tę drogę nie jestem zmuszony brnąć dalej w mój szaleństwo?

## ROZDZIAŁ XXX

Słowa te wstrząsnęły mną do głębi. Mogłem tylko odpowiedzieć, że Mr Raymond sam najlepiej osądzi, jaką drogę powinien obrać, i wyraziłem nadzieję, że sprawa nie jest tak rozpaczliwa, jak on to sobie wyobraża.

Temat ten nie był już później poruszany, a w pewnym stopniu wyrugowało go z mych myśli bardzo szczególne wydarzenie.

Wspomniałem już o nienawiści, jaką żywiła do mnie piekielna odźwierna naszego samotnego domostwa. Gines — wypędzony członek bandy — był jej szczególnym faworytem. Poddała się wyrokowi skazującemu go na wygnanie, ponieważ czuła swoją niższość wobec energii i naturalnej przewagi Mr Raymonda. Ale poddała się niechętnie i z szemranieniem. Nie mając śmiałości przeciwstawić się głównemu sprawcy tego wygnania, całą gorycz zwróciła ku mnie.

Do tej niewybaczalnej winy, jaką popełniłem na samym początku, doszły argumenty, jakie ostatnio wysuwałem przeciw bandyckiemu rzemiosłu. Rozbój był podstawowym artykułem wiary owej posiwialej weteranki, która słuchała moich wywodów z tym samym nieudanym zdumieniem i zgrozą, z jakim starsza kobieta innych obyczajów słuchałaby kogoś poddającego w wątpliwość cierpienia i śmierć Stwórcy świata lub ową niebiańską szatę nagrodzonej cnoty zgotowaną dla przyobleczenia dusz wybranych. Gotowa była jak jaka bigotka szukać zemsty za poglądy sprzeczne z jej własnymi wojując całkiem ziemską bronią.

Ja tymczasem uśmiechałem się na widok tej bezsilnej złości, zasługującej raczej na wzgardę niż na obawę. Ona zaś — jak sądzę — spostrzegła, że darzę ją niewielkim szacunkiem, i to przyczyniło się znacznie do wzburzenia panującego w jej myślach.

Pewnego dnia pozostałem sam z ową brudną wiedźmą. Rozbójnicy wyruszyli poprzedniego wieczoru, coś ze dwie godziny po zachodzie słońca,

na wyprawę i nie powrócili, jak zazwyczaj, przed świtem następnego dnia. Zdarzało się to czasami, zatem nie wzbudziło w nas szczególnego niepokoju. Czasem nadzieja łupu zaprowadzała ich dalej, niż zamierzali, kiedy indziej zaś lęk przed pogonią: życie złodzieja jest tak niepewne. Starucha w ciągu nocy przygotowywała posiłek, do którego po powrocie spodziewali się jak najspieszniej zasiąść.

Co do mnie, to ich obyczaje nauczyły mnie nie przywiązywać wagi do regularnego rozkładu dnia i poniekąd przywykłem z dnia robić noc, a z nocy dzień. Spędziłem w ich siedzibie już kilka tygodni, zbliżała się przyjaźniejsza pora roku. Przez kilka godzin w ciągu tej nocy myślałem o moim położeniu. Charaktery i sposób bycia ludzi, wśród których żyłem, były mi wstrętne. Ich gruba ciemnota, dzikie obyczaje i grubiańskie zachowanie zamiast stawać się bardziej znośnymi z czasem, pogłębiały z każdą godziną moją pierwotną odrazę. Niezwykła energia, bystrość i pomysłowość, jaką okazywali w swoim rzemiośle, w zestawieniu z ohydą tego rzemiosła i gruntownym zepsuciem tych ludzi, były dla mnie nie do zniesienia. Stwierdziłem, że wstręt moralny, przynajmniej dla umysłu, któremu brak łagodzącego wpływu filozofii, jest ustawicznym źródłem niepokoju i zamętu.

Towarzystwo Mr Raymonda nie przynosiło mi bynajmniej ulgi w tej udręce. Oczywiście przewyższał nieskończenie występłą resztę bandy, lecz ja tym mocniej odczuwałem, jak bardzo niewłaściwe to dla niego miejsce, jak nieodpowiednie towarzystwo, jak godne wzgardy zajęcie. Próbowałem wstrzymać jego i jego towarzyszy od błędów ich obecnego życia, lecz stwierdziłem, że opór z ich strony był silniejszy, niż przypuszczałem.

Cóż miałem czynić? Czy miałem czekać na wyniki moich misjonarskich przedsięwzięć, czy jak najspieszniej odejść? Czy odejść potajemnie, czy też otwarcie wyznać swój zamiar i siłą przykładu próbować wyrównać to, czego niedostawało moim argumentom? Skoro uchylałem się od udziału w zajęciach tych ludzi, nie ponosiłem przypadającej na mnie części ryzyka, związanego ze zdobywaniem środków do życia, i nie miałem nic wspólnego z ich obyczajami — uważałem za niewłaściwe pozostawać z nimi dłużej, niż to było absolutnie konieczne. Pewna okoliczność przyspieszyła konieczność

decyzji. Za parę dni banda zamierzała opuścić swą obecną siedzibę i udać się do odległej miejscowości, gdzie nieraz już znalazła schronienie. Jeżeli nie zamierzałem pozostać z nimi, należało, być może, nie towarzyszyć im w tych przenosinach.

Mój nieubłagany prześladowca doprowadził mnie do tak opłakanego stanu, że nawet schronienie w jaskini zbójców było dla mnie pomyślną okolicznością. Jednak od tamtej pory upłynęło dość czasu i pogoń przypuszczalnie straciła na zawziętości. Wzdychałem do samotności i życia z dala od ludzi, z dala od utrapień świata i w takim zaciszu, że żadna wieść o mnie nie dochodziłaby do wiadomości ogółu — słowem, do takiego życia, o jakim snułem plany uciekając z więzienia.

Takimi rozmyślaniami zajęty był wówczas mój umysł. W końcu zmęczyło mnie to nieustanne roztrząsanie i dla odpoczynku wyciągnąłem kieszonkowe wydanie Horacego, dar mego najdroższego Brightwela. Z chciwością czytałem list, w którym tak pięknie opisuje Fuscusowi **[Mowa tu o X liście Horacego (data nie ustalona) do serdecznego przyjaciela Fuscusa. W liście tym Horacy wychwala życie na wsi.]** rozkosze wiejskiej ciszy i swobody. Tymczasem od wschodu słońce wyjrzało spoza wzgórz, otworzyłem okno, aby je podziwiać. Nastawał dzień szczególnie jasny i pogodny, pełen tego uroku, który poeci zwani piewcami natury tak chętnie opisują. W widoku tym — zwłaszcza dla człowieka zmęczonego wyteżoną pracą umysłu — było coś, co przywracało duszy spokój. Jakaś dziwna senność owładnęła mną niepostrzeżenie, odszedłem od okna, rzuciłem się na łóżko i zapadłem w sen.

Nie pamiętam dokładnie widzianych we śnie obrazów, wiem tylko, że przewijała się przez nie jakaś osoba na usługach Mr Falklanda, zbliżająca się, by mnie zamordować. Myśl ta nasunęła mi się przypuszczalnie w związku z zamiarem powrotu do świata, gdzie mogła mnie osiągnąć zemsta Mr Falklanda. Roilo mi się, że zamiarem mordercy było zająć mnie znienacka, że wiedziałem o jego zamiarze, a jednak, jak urzeczony, nie myślałem nawet o tym, by ująć śmierci. Słyszałem kroki zbliżającego się ostrożnie napastnika. Zdawało mi się, że dochodzi mnie nawet jego wstrzymywany, lecz dosłyszalny oddech. Zbliżył się aż do kąta izby, gdzie

leżałem, po czym zatrzymał się.

Sen stał się już zbyt straszliwy: obudziłem się, otwarłem oczy i ujrzałem wspomnianą już szkaradną wiedźmę stojącą nade mną z wielkim rzeźniczym nożem w ręku. Uchyliłem się bodaj szybciej, niż zdołałby się zrodzić we mnie świadomy akt woli i ostrze wymierzone już w moją czaszkę ześliznęło się bezsilnie, trafiając w łóżko. Zanim starucha zdołała w pełni odzyskać równowagę, rzuciłem się na nią, chwyciłem za nóż i niemal wydarłem go z jej rąk. Ona jednak w oka mgnieniu odzyskała siły i powróciła do swego szaleńczego zamysłu. Stoczyliśmy więc zacieklą walkę: ona z nienawiści, ja — w obronie życia. Jej siły były doprawdy godne amazonki — nigdy nie miałem okazji walczyć z potężniejszym od niej przeciwnikiem. Spojrzenie jej było szybkie i pewne, a nacierając na mnie co pewien czas rzucała się do przodu całym ciężarem swego ciała i z niepojętą gwałtownością. W końcu zyskałem przewagę, odebrałem jej narzędzie śmierci i powaliłem na ziemię. Do tego momentu zawziętość, z jaką walczyła, hamowała jej wściekłość, teraz jednak zaczęła zgrzytać zębami, oczy wyskakiwały jej niemal z orbit, a ciało drgało w dzikim obłąkaniu.

— Łotrze! Czarcie! — krzyczała. — Co chcesz ze mną zrobić?

Do tej chwili wszystko odbywało się w nieprzerwanej ciszy.

— Nic — odparłem. — Tylko precz mi stąd, jedź do piekła rodem! Zostaw mnie w spokoju.

— Zostawić cię! O, nie! Własnymi palcami rozedrę ci piersi i będę piła twoją krew. Myślisz, żeś górą? Ha, ha... Dobrze, dobrze, zobaczysz! Będę siedziała na tobie dusząc, aż cię wtłoczę do piekła. Będę cię piekła siarką, a wydarte wnętrzości cisnę ci w oczy! Ha, ha, ha!

Mówiąc to skoczyła na równe nogi i zamierzała rzucić się na mnie ze zdwojoną wściekłością. Chwyciłem ją za ręce i zmusiłem, by siadła na łóżku. Pozbawiona swobody ruchów, okazywała nadal wzburzenie to grymasem twarzy, to jakimś wściekłym potrząsaniem głowy, a czasem gwałtowną próbą uwolnienia się z moich rąk. Te drgawki i gwałtowne ruchy miały charakter paroksyzmów szaleństwa, podczas których chorego podobno muszą trzymać dwie lub trzy osoby. Lecz przekonałem się, że w tym wypadku wystarczą moje własne siły. Pasja staruchy przedstawiała



niepojęty, straszliwy widok. Jednakże wybuchy jej poczęły wreszcie przygasać, ogarniało ją przekonanie, że walka jest beznadziejna.

— Daj mi odejść — powiedziała. — Czemu mnie trzymasz? Nie chcę, żebyś mnie trzymał.

— Od początku chciałem, żebyś sobie poszła. Czy zdecydowałaś się nareszcie?

— Powiadam ci, że tak, ty bękarcie, łajdaku! Tak, łotrze!

Natychmiast puściłem jej dłoń. Rzuciła się do wyjścia i z ręką na drzwiach zawołała: „Jeszcze zrobię z tobą koniec — nie minie dzień, a będzie po tobie!” Wymawiając te słowa zatrzasnęła drzwi i zarygłowała je od zewnątrz. Ten zupełnie nieoczekiwany postępek przeraził mnie. Dokąd się udała? Co zamierza zrobić? Myśl o tym, że mogę zginąć na skutek knowań takiej jędzy, była mi nieznośna. Każda forma śmierci spadająca na nas niespodziewanie, do której człowiek nie ma czasu się przygotować, ma w sobie coś niespodziewanie straszliwego. W mej głowie kłębiły się bezładne myśli, zamierałem z trwogi, a jednocześnie byłem okropnie wzburzony. Próbowałem wyważyć drzwi, lecz nadaremnie. Chodziłem dokoła izby w poszukiwaniu jakiegoś narzędzia, którym bym mógł sobie dopomóc. W końcu rzuciłem się na drzwi z całą siłą desperacji, ustąpiły, a ja o mało nie zleciałem ze szczytu schodów na sam dół.

Zszedłem ze schodów zachowując całą możliwą ostrożność i czujność. Wszedłem do izby, która służyła nam jako kuchnia; była zupełnie pusta. Przeszukałem wszystkie inne pomieszczenia — na próżno. Wszedłem pomiędzy ruiny, lecz i tu nie znalazłem śladu mojej niedawnej napastniczki. To było zastanawiające: cóż się mogło z nią stać? Jaki wniosek należało wyciągnąć z jej zniknięcia? Pomyślałem o rzuconej na odchodnym groźbie: „Nie minie dzień, a będzie po tobie.” Było w niej coś tajemniczego, nie brzmiała jak groźba zabójstwa.

Nagle błysnęła mi myśl: przypomniałem sobie o ogłoszeniu przyniesionym przez Larkinsa. Czy możliwe, aby jej pożegnalne słowa były aluzją do tego właśnie? Czy podobna, by sama wyruszyła na taką wyprawę? Czyż nie naraziłaby na niebezpieczeństwo całego bractwa, jeśliby — nie zachowując żadnych środków ostrożności — sprowadziła

między nich przedstawiciele sprawiedliwości? To jednak nieprawdopodobne, aby dopuściła się tak desperackiego czynu... Ale trudno odpowiadać za postępowanie osoby w podobnym stanie umysłu. Czy miałem czekać na rozwój wypadków ryzykując utratę wolności?

Na to pytanie odpowiedziałem sobie natychmiast przecząco. I tak już postanowiłem, że wkrótce opuszczę obecne miejsce pobytu, a kwestia: trochę wcześniej czy trochę później — nie była istotna. Pozostawanie pod jednym dachem z osobą, która okazała mi tak silną i nieprzejednaną nienawiść, nie mogło być ani przyjemne, ani roztropne. Lecz najbardziej zaważyła na mojej decyzji myśl o ponownym uwięzieniu, rozprawie sądowej i wyroku śmierci. Im dłużej o tym myślałem, tym silniejszy czułem nakaz wewnętrzny, by się przed tym ustrzec. Dążyłem przecież do określonego celu, poniosłem już wiele ofiar i ufałem, że przez własne zaniedbanie nie dopuszczę nigdy do klęski moich projektów. Na myśl o tym, co gotują mi moi prześladowcy, serce we mnie zamierało, a im bliżej zapoznawałem się z uciskiem i niesprawiedliwością, tym głębiej przenikała mnie odraza, na którą w pełni zasługują.

Takie były powody, które sprawiły, że tak nagle, w jednej chwili, bez pożegnania i słowa wdzięczności za tę szczególną i tylekroć okazywaną życzliwość, opuściłem dotychczasową siedzibę. To jasne, że w okresie sześciu tygodni zawdzięczałem jej obronę przed sądem, wyrokiem i niesławną śmiercią.

Przybyłem tu bez grosza, opuszczałem zaś to schronienie będąc w posiadaniu kilku gwinei. Mr Raymond nalegał, abym i ja dostawał swoją część przy podziale zdobyczy.

Chociaż mogłem przypuszczać, że z biegiem czasu zapalczywość, z jaką mnie ścigano, nieco przygasała, to jednak myśl o nieszczęściach, które spadłyby na mnie, gdyby mnie złapano, skłoniła mnie, abym nie zaniedbał żadnego możliwego środka ostrożności. Przypomniałem sobie ogłoszenie, które było przyczyną mego obecnego niepokoju, i pojąłem, że jednym z największych niebezpieczeństw, jakie mi groziły, było rozpoznanie mojej osoby bądź to przez ludzi, którzy mnie znali, bądź też przez nieznajomych. Wydało mi się zatem rzeczą roztropną odmienić swą postać tak

gruntownie, jak to tylko będzie możliwe. W tym celu postanowiłem wykorzystać zawiniątko ze starymi podartymi ubraniami, rzucone niedbale w rogu naszego mieszkania. Zdecydowałem przebrać się za żebraka.

Zgodnie z tym planem zrzuciłem z siebie koszulę, a głowę owiązałem dużą chustką do nosa starając się zakryć nią jedno oko, na to naciągnąłem stary wełniany czepek nocny. Wybrałem najgorsze odzienie, jakie mogłem znaleźć, a i temu nadałem jeszcze bardziej oplakany wygląd, rozdzierając je umyślnie w różnych miejscach. Wystroiwszy się tak, obejrzałem się w lustrze. Doprowadziłem swój wygląd do doskonałości: nikt by się teraz nie domyślił, że nie byłem członkiem tego bractwa, do którego rzekomo należałem. „Oto w jakiej postaci — powiedziałem sobie — tyrania i niesprawiedliwość zmuszają mnie szukać ratunku, lecz lepiej, po stokroć lepiej wraz z wyrzutkami społeczeństwa ściągać na siebie wzgardę niż zdawać się na czułe łaski możnych.”

## ROZDZIAŁ XXXI

Jedyną zasadą, jaką przyjąłem wędrując przez las, było trzymać się kierunku jak najbardziej przeciwnego temu, w którym znajdowało się miejsce byłego więzienia. Po jakichś dwóch godzinach drogi znalazłem się na skraju dzikich, nieuprawnych terenów. Odtąd rozciągały się już pola i ogrodzenia gospodarskie. Usiadłem na brzegu strumyka, a wyciągnąwszy zabraną ze sobą kromkę chleba, odpocząłem i posiliłem się. Siedząc tu zacząłem rozmyślać o planach, jakie powinienem ułożyć na przyszłość, i znowu jakaś wewnętrzna siła pchała mnie do stolicy, która poza innymi dobrymi stronami wydawała mi się najpewniejszym schronieniem.

Kiedym tak dumał, ujrzałem w niewielkiej odległości paru wieśniaków i spytałem ich o gościniec do Londynu. Z ich słów zrozumiałem, że aby obrać najkrótszą drogę, należało wrócić się kawałek przez las i że trzeba by znacznie zbliżyć się do powiatowego miasta. Nie przypuszczałem, aby to miała być okoliczność o większym znaczeniu. Wydawało mi się, że moje przebranie jest wystarczającym zabezpieczeniem przed czymś niespodziewanym. Dlatego też udałem się ścieżką, co prawda nie najprostszą, prowadzącą we wskazanym przez nich kierunku.

Niektóre wypadki tego dnia zasługują na to, by o nich wspomnieć. Kiedy szedłem gościńcem, który na przestrzeni paru mil biegł zgodnie z kierunkiem mojej podróży, ujrzałem jakiś pojazd zmierzający w przeciwną stronę. Przez chwilę biłem się z myślami nie wiedząc, czy powinienem minąć go niepostrzeżenie, czy też skorzystać z okazji i głosem lub gestem wypróbować moje rzemiosło. Te próżne roztrząsania jednak szybko przestały zaprzętać mój umysł, skorom zauważył, że ekwipaż należał do Mr Falklanda. To nieoczekiwane spotkanie poraziło mnie i napełniło grozą, choć spokojnie rzecz rozważywszy trudno może byłoby doszukać się w nim jakiegoś poważniejszego niebezpieczeństwa. Zeszedłem z gościńca i

przyciłem się za żywopłotem, aby przeczekać, póki pojazd nie minie mnie zupełnie. Zbyt byłem pochłonięty własnymi przeżyciami, aby odważyć się na zbadanie, czy mój straszliwy wróg znajdował się w jego wnętrzu, czy też nie. Byłem przekonany, że tak jest. Popatrzyłem za odjeżdżającym ekwipażem i wykrzyknąłem:

— Oto macie przed sobą przepych, wygody i zbytek, jakie są na usługach zbrodni, a oto nędzę, która towarzyszy niewinnym!

Popełniałem błąd myśląc, że mój przypadek był pod tym względem czymś szczególnym. Wspominam o tym tylko po to, by pokazać, jak każda błażostka może przepełnić kielich goryczy człowieka nękanego przeciwnościami losu. Była to jednak tylko przelotna myśl. Cierpienia nauczyły mnie, abym nie pozwalał sobie na ten zbytek, jakim jest niezadowolenie. Kiedy odzyskałem spokój, zacząłem zastanawiać się, czy to, co przed chwilą widziałem, mogło mieć jakiś związek z moją osobą. Lecz chociaż umysł mój był niezwykle dociekliwy i wyostrzony pod tym względem, przecież nie mogłem znaleźć żadnej wystarczającej podstawy, na której mógłbym oprzeć takie mniemanie.

O zmroku wszedłem do niewielkiej oberży na skraju jakiejś wioski i usiadłszy w kącie kuchni poprosiłem o chleb i ser. Kiedy tak siedziałem przy posiłku, weszło trzech czy czterech wieśniaków, którzy chcieli napić się czegoś po pracy. Pojęcia o nierówności ludzi żywe są we wszystkich stanach społeczeństwa, ponieważ ja wyglądałem biedniej i nędzniej od nich, przeto uznałem za stosowne ustąpić z drogi tym panom z wioskowej karczmy i usunąć się na jakieś skromniejsze miejsce. Zdziwiłem się i bardzo przeraziłem usłyszawszy, że prawie natychmiast zaczęli rozmowę o mnie, i — niewiele tylko zmieniając pewne okoliczności — nazywali mnie słynnym włamywaczem Kitem Williamsem.

— A niech go diabli — powiedział jeden z nich — o niczym innym się nie słyszy. Na mą duszę, toć chyba cały kraj o nim mówi.

— Święta prawda — odparł drugi. — Byłem dziś w mieście na targu, bo pan mnie posłał z owsem na sprzedaż, aż tu zrobił się krzyk: „Trzymaj złodzieja”, niektórzy myśleli, że już złapany, ale to był fałszywy alarm.

— Sto gwinei to nie byle co — dodał pierwszy. — Chciałbym, żeby mi

tak wpadł w ręce.

— Jeśli o to idzie — powiedział jego towarzysz — to i mnie przydałoby się sto gwinei jak komu drugiemu. Ale z tym wszystkim nie zgodzę się z tobą. Zawsze bym uważał, że nie wyjdą mi na dobre pieniądze, które przyczyniły się do tego, żeby duszę chrześcijańską zaprowadzić na szubienicę.

— Et, babskie gadanie! Niektórych ludzi trzeba wieszać, żeby utrzymać naszą machinę państwową w ruchu. A zresztą mógłbym mu przebaczyć wszystkie jego inne rabunki, ale żeby już tak nie mieć sumienia i w końcu włamać się do domu swojego własnego pana, tego już za wiele.

— O Boże, Boże — odparł drugi — widzę, że nic nie wiesz, jak się rzeczy mają. Opowiem ci, jak to było, dowiedziałem się w mieście. Ja wątpię, czy on w ogóle obrabował swojego pana. Ale, słuchaj no! Musisz to wiedzieć, że wielmożny pan Falkland miał raz sprawę o zabójstwo...

— Tak, tak, wiemy o tym.

— Otóż on był niewinny jak nowonarodzone dziecko. Ale wydaje mi się, jakby był to człowiek trochę słaby czy coś takiego. No i Kit Williams, a Kit to diablo chytra sztuka, wiadomo, jeśli ni mniej ni więcej tylko pięć razy uciekał z więzienia. No więc, powiadam wam, groził swemu panu sprawą i że go znowu poda do sądu i tak strasząc od czasu do czasu wyciągał od niego pieniądze. Aż w końcu jeden pan, Forester się nazywał, krewny tamtego, wszystko wykrył. I narobił piekielnej wrzawy, i w oka mgnieniu posłał Kita do więzienia. Myślę, że powiesiliby go, bo jak się zejdzie razem dwóch panów, a zaczną dobrze kręcić głową, to — wiecie sami — mniejsza o to, co powie prawo. Albo też tak będą to prawo plątać, aż na ich wyjdzie, nie wiem dobrze, czy obejdą prawo, czy go nagną, ale zawsze to siła złego na jednego, a biedakowi i tak już jedno, kiedy ducha wyzionie.

Chociaż ta historia była opowiedziana bardzo dokładnie, z wystarczającą ilością szczegółów, wywołała różne wątpliwości. Każdy podtrzymywał słuszność własnego zdania i dysputa była długa i zaciekła. Na koniec historycy i komentatorzy wyszli po społu.

Kiedy rozpoczęto tę rozmowę, ogarnęło mnie najwyższe przerażenie. Rzuciłem ukradkowe spojrzenie w tę i tamtą stronę, żeby stwierdzić, czy

nie zwróciłem na siebie czyjejś uwagi. Drżałem jak w ataku febry i początkowo coś mnie wprost pchało, by opuścić ten dom i uciekać przed siebie. Wcisnąłem się jeszcze bardziej w mój kąt, odwróciłem głowę, a cały mój organizm zdawał się od czasu do czasu podlegać jakiemuś przemożnemu wstrząsowi.

W końcu rozmowa wzięła inny obrót. Kiedy spostrzegłem, że nikt nie zwraca na mnie uwagi, ogarnęło mnie mocne przeświadczenie, że dzięki przebraniu jestem zupełnie bezpieczny. Zacząłem się po cichu radować, choć nie śmiałem narzucać się ludzkim oczom. Powoli zaczynała mnie bawić absurdalność tych opowieści i przekręcone fakty, które słyszałem dokoła siebie. Duch we mnie odżył, byłem dumny, że z takim opanowaniem i z tak lekkim sercem mogę się przysłuchiwać tej scenie, wreszcie postanowiłem zażyć tej przyjemności dłużej i pełniej. Skoro goście wyszli, zwróciłem się do oberżystki, hożej, pełnej na twarzy, wesołej wdowy, pytając, jak mógł wyglądać ów Kit Williams. Odparła, że — o ile jej wiadomo — jest to urodziwy chłopak, jakiego drugiego w czterech najbliższych hrabstwach pewno nie znajdzie, że uwielbia go za spryt, z jakim wyprowadził w pole wszystkich postawionych nad sobą strażników i przedostał się przez kamienne mury, jakby to była, ot, pajęczyna.

Rzuciłem uwagę, że w całym kraju wszczęto taki alarm, że nie uważam za możliwe, by Williams mógł się wymknąć wysłanemu pościgowi. Słowa te wywołały w niej żywe oburzenie: spodziewa się, mówiła, że on już jest daleko, lecz jeśli tak nie było, to kara boska na tych, którzy by wydali tego dzielnego człowieka na haniebną śmierć! Choć nie podejrzewała, że ten, o którym mówi, jest tak blisko niej, przecież szczerzy i szlachetny zapał, z jakim okazywała zainteresowanie moim losem, sprawił mi niemałą przyjemność. Czułem, jak to wrażenie osładza mi trudy dnia i mą rozpaczliwą sytuację. Opuściłem kuchnię, a udawszy się do pobliskiej stodoły położyłem się na słomie i zapadłem w głęboki sen.

Następnego dnia koło południa, kiedym wędrował dalej, doгнаło mnie dwóch konnych, zatrzymali mnie, aby zapytać o człowieka, który wedle ich przypuszczenia musiał iść tą drogą. Podczas gdy opisywali go, ze zdumieniem i zgrozą pojąłem, że to ja sam jestem człowiekiem, o którego

im chodzi. Oni zaś zaczęli w dość ścisły sposób opisywać różne charakterystyczne szczegóły, po których można mnie najlepiej rozpoznać. Mówili, że z całą pewnością widziano mnie dopiero wczoraj w pewnej miejscowości w tym hrabstwie. Kiedy to mówili, trzeci ich towarzysz, który został w tyle, zbliżył się do nas, przerażenie moje jeszcze wzrosło, kiedy zobaczyłem, że jest to ów służący Mr Forestera, który odwiedzał mnie w więzieniu na dwa tygodnie przed moją ucieczką.

Najlepszym ratunkiem w tej krytycznej sytuacji był spokój i pozorna obojętność. Szczęściem dla mnie moje przebranie było tak doskonałe, że nawet oko Mr Falklanda nie zdołałoby chyba odkryć, kto się pod nim ukrywa. Od pewnego czasu uświadamiałem sobie, że wypadki mogą zmusić mnie do szukania ratunku w przebraniu, i odpowiednio się przygotowałem.

Od młodości posiadałem ogromną łatwość w sztuce udawania. Opuszczając zaś moje schronisko w siedzibie Mr Raymonda, przybrałem wraz z kostiumem żebraka specjalną niedbałość postawy i prostackie ruchy, z czego zamierzałem zrobić użytek, ilekroć miałbym choćby cień obawy, że gestem śledzony. Zamierzałem posługiwać się irlandzkim dialektem, którego nauczyłem się w więzieniu.

Oto nikczemne środki, oto cały wyuczony fałsz, którego człowiek, zasługujący na miano człowieczeństwa tylko o tyle, o ile jest nieulekły i wolny, musi się z konieczności chwycić w obronie przed nieubłaganą zawziętością i bezdusznym okrucieństwem bliźniego!

Używałem tego dialektu (choć nie uznałem za potrzebne utrzymać go w tej opowieści) podczas rozmowy w wiejskiej karczmie. Służący Mr Forestera zbliżywszy się zobaczył, że jego towarzysze wdali się ze mną w rozmowę, a odgadując, o czym była mowa, zapytał, czy nie uzyskali jakiejś wiadomości. Dodał, że wydano nakaz, by wytropić mnie i pojmać nie szczędząc trudu ni kosztów, że jeśli jestem na terenie Królestwa Angielskiego i nie ukryłem się pod ziemią, niepodobieństwem będzie mi się wymknąć.

Każdy z wypadków, jakie mi się kolejno przytrafiały, pogłębiał we mnie poczucie straszliwego niebezpieczeństwa, które wisiało nade mną. Niewiele brakło, abym sobie wyobraził, że jestem wyłącznym przedmiotem



powszechnego zainteresowania i że cały świat powstał przeciw mnie dybiąc na moją zgubę. Na myśl o tym dreszcz przebiegał każde włókno mego ciała. Jakkolwiek okropna była ta myśl, dodawała mi jednak nowych sił. Postanowiłem sobie, że mimo całej przewagi moich przeciwników nie ustąpię dobrowolnie z pola, to jest, mówiąc dosłownie, nie oddam szyi pod katowski stryczek.

Lecz choć wypadki tego dnia nie zachwiały moich zamierzeń, skłoniły mnie, bym jeszcze raz rozpatrzył, jakimi środkami je osiągnąć. Na skutek tego obrachunku zdecydowałem się kierować ku najbliższemu portowi morskemu na zachodnim brzegu wyspy i przeprowić się do Irlandii. Nie potrafię powiedzieć teraz, co powodowało mną, że zdecydowałem się szukać schronienia w Irlandii, a nie w Londynie. Być może, ponieważ sam przyzwyczałem się do pierwszego projektu — zdawało mi się, że i inni łatwo się go domyślą. Natomiast drugi wydawał mi się trudniejszy do odgadnięcia i dlatego się nań zdecydowałem.

Bez dalszych przeszkód dotarłem do miejscowości, skąd zamierzałem odpłynąć, zapytałem o statek, a stwierdziwszy, że w przeciągu paru godzin może on wyruszyć w morze, ugodziłem się z kapitanem co do mojej podróży.

Irlandia o tyle była dla mnie niedogodna, że pozostawała w zależności od rządu angielskiego i z tego względu była miejscem mniej bezpiecznym niż inne kraje oddzielone od nas oceanem. Sądząc po tym, jak uparcie ścigano mnie w Anglii, było całkiem możliwe, że gorliwość moich prześladowców pójdzie za mną na drugą stronę Kanału. Tak czy inaczej, cieszyłem się na myśl, że lada moment odsunę się o krok dalej od niebezpieczeństwa, które tak dręczyło moją wyobraźnię.

Cóż mogło mi grozić w tym krótkim przeciągu czasu, który pozostawał do chwili, gdy statek podniesie kotwicę i opuści brzegi Anglii? Przypuszczalnie — nic. Od momentu, gdy postanowiłem uciekać morzem, do przybycia tutaj upłynęło bardzo niewiele czasu i jeśli moi prześladowcy otrzymali jakąś nową wiadomość o mnie, musiała ona pochodzić od owej staruchy i mogła do nich dotrzeć dopiero parę dni temu. Miałem nadzieję, że ubiegł ich gorliwość. Tymczasem, aby nie zaniedbać żadnego

rozsądnego środka ostrożności, udałem się natychmiast na pokład postanowiwszy nie narażać się niepotrzebnie na jakiś nieprzewidziany wypadek, który mógł się przydarzyć, gdybym chodził po ulicach miasta. Po raz pierwszy żegnałem się z moim rodzinnym krajem.

## ROZDZIAŁ XXXII

Zbliżał się już ku końcowi czas przewidziany na postój statku i w każdej chwili oczekiwano sygnału na podniesienie kotwicy, kiedy okrzyknięto nas z płynącej od brzegu szalupy, w której poza wioślarzami siedziało dwóch jeszcze ludzi. Po małej chwili weszli na nasz statek. Byli to przedstawiciele sprawiedliwości. Rozkazano pasażerom, których poza mną było pięciu, stawić się na pokład dla przesłuchania. Podobna okoliczność w tak nieodpowiednim momencie zmieszała mnie niewymownie. Byłem pewny, że to mnie poszukują. Czy było możliwe, aby dzięki jakiemuś nieprzewidzianemu wypadkowi zostali powiadomieni o moim przebraniu? Spotkać się z nimi na tej ograniczonej przestrzeni i w tych szczególnych warunkach było czymś nieskończenie gorszym od poprzednich spotkań z moimi prześladowcami, kiedy miałem wygląd zupełnie przeciętny. Jednakże przytomność umysłu nie opuszczała mnie. Ufałem w moje przebranie i w irlandzki dialekt, jakby to była opoka zapewniająca bezpieczeństwo przeciw wszystkim przypadkom.

Zaledwie ukazaliśmy się na pokładzie, kiedy skonsternowany, spostrzegłem, że uwaga przybyszów zwróciła się przede wszystkim w moim kierunku. Zadali parę błahych pytań tym spośród moich współpasażerów, którzy przypadkiem znaleźli się najbliżej, potem zaś zwróciwszy się do mnie wypytywali, jak się nazywam, kim jestem, skąd przybywam, i co mnie tu sprowadza. Nie zdążyłem niemal otworzyć ust, aby odpowiedzieć, kiedy z miejsca chwycili mnie, powiedzieli, że jestem ich więźniem, i oświadczyli, że mój akcent wraz z powierzchownością, która odpowiada podanemu opisowi, wystarczy, abym został skazany przez każdy angielski sąd. Sprowadzili mnie pospiesznie ze statku do szalupy, którą przyjechali, i posadzili między sobą na wszelki wypadek, abym nie skoczył za burtę lub nie wymknął się im w jakiś inny sposób.

Miałem już teraz pewność, że znowu jestem w rękach Mr Falklanda, a myśl ta sprawiała mi nieznośną męczarnię i ciążyła niewymownie. Całą duszą pragnąłem tylko uniknąć jego prześladowania, wyzwolić się spod jego tyranii. Czy żadna ludzka zręczność, żadne wysiłki nie zdolne są tego sprawić? Czyż jego władza nie zna granic, a oko odkryje każdą kryjówkę? Byłbyż on podobny do owej tajemniczej istoty, przed której okrutną zemstą nie skryje nas, jak mówią, ni woda, ni ziemia? Żadna myśl nie może być równie bolesna, równie straszliwa. Lecz w moim wypadku nie była to kwestia rozumowania czy wiary, nie mogłem znaleźć ani bezpośredniej pociechy w niewierze, którą pewni ludzie mają wobec spraw nadprzyrodzonych, ani owej pośredniej pociechy, jaką daje nam wiara w rzeczy dalekie i niezrozumiałe. To była sprawa czucia: czułem, jak pazury krwiożerczej bestii wbijają mi się w samo serce.

Lecz choć początkowo wrażenie to było niezmiernie silne i połączone, jak zazwyczaj, ze smutkiem i trwogą, przecież rychło umysł mój, jak gdyby machinalnie, zwrócił się ku rozważaniom na temat odległości między portem, gdzie się znajdowaliśmy, a moim więzieniem oraz różnych możliwości ucieczki, jakie się mogły w międzyczasie nastąpić. Moje pierwsze zadanie polegało na tym, by się nie zdradzić z niczym ponad to, co jak się później mogło okazać, już o mnie wiadano. Było możliwe, że choć aresztowano mnie, jednak rozkaz aresztowania został wydany na podstawie jakiejś błażej przyczyny i że postępując zręcznie mógłbym dopiąć tego, by zwolniono mnie równie szybko, jak szybko aresztowano. Było nawet możliwe, że zatrzymano mnie na skutek jakiejś omyłki i że był to krok nie mający żadnego związku ze sprawą Mr Falklanda.

Jakiegokolwiek bym snuł przypuszczenia, należało dowiedzieć się, jak się rzeczy mają. W drodze ze statku do miasta nie odezwałem się ani słowem. Konwojenci komentowali obszernie mój kwaśny humor, nadmieniając, że nic mi to nie pomoże — zadyndam bez ochyby, jako że nie słyszano jeszcze, żeby ktoś uszedł z życiem za rabunek poczty jego królewskiej mości.

Trudno wyobrazić sobie, jaką ulgę odczułem na te słowa. Milczałem jednak dalej uporczywie, jak to sobie umyśliłem. Z dalszego ciągu ich rozmowy, która była dość ożywiona, dowiedziałem się, że dwóch

Irlandczyków dokonało napadu rabunkowego na wóz pocztowy w drodze z Edynburga do Londynu, że jeden z nich był już pojmany, a ja zostałem zatrzymany na skutek podejrzenia, że jestem tym drugim. Mieli jego rysopis, który choć — jak się później przekonałem — nie zgadzał się z moim w kilku istotnych punktach, w ich oczach stosował się do mnie co do joty. Na wieść o tym, że zatrzymano mnie przez pomyłkę, ogromny ciężar spadł mi z serca. Miałem nadzieję, że uda mi się niezwłocznie wykazać swą niewinność w sposób przekonywający dla każdego sądu królestwa i choć pokrzyżowano moje plany i uniemożliwiono mi opuszczenie wyspy, w momencie kiedy już znajdowałem się na morzu, jednak stanowiło to tylko drobną nieprzyjemność w porównaniu z tym, czego aż nadto mogłem się obawiać.

Skoro tylko znaleźliśmy się na brzegu, zaprowadzono mnie do domu sędziego pokoju, człowieka, który swego czasu był kapitanem na statku przewożącym węgiel, lecz któremu powiodło się w świecie, zatem zaniechawszy wędrownego żywota miał zaszczyt od kilku lat reprezentować osobę jego królewskiej mości. Zatrzymano nas przez pewien czas w jakimś niby przedpokoju, gdzieśmy czekali, aż jego dostojność będzie miał wolny czas. Ludzie, którzy mnie ujęli, byli doświadczeni w swoim rzemiośle i uparli się, by wykorzystać tę wolną chwilę na zrewidowanie mnie w obecności dwóch osób spośród służby jego sędziowskiej mości.

Znaleźli przy mnie piętnaście gwinei i trochę srebra. Potem rozkazali mi, abym się zupełnie rozebrał, tak aby mogli sprawdzić, czy nie mam gdzie na sobie ukrytych biletów bankowych. Chwyтали poszczególne części mojej nędznej odzieży, w miarę jak ją zrzucałem z siebie, i obmacywali jedną po drugiej, aby przekonać się, czy poszukiwane przez nich walory nie były w jakiś chytry sposób zaszyte w odzieniu. Wszystkiemu temu poddawałem się bez szemrania. Przypuszczalnie i tak na tym by się skończyło, zresztą natychmiastowe rozpatrzenie sprawy było po mojej myśli, gdyż moim pierwszym i zasadniczym celem było wydostać się możliwie jak najszybciej spod opieki tych czcigodnych osób, które miały mnie obecnie w garści.

Zaledwie zakończona została ta operacja, kiedy polecono nas wprowadzić do apartamentu jego dostojności. Moi oskarżyciele rozpoczęli od opowiadania, że kazano im udać się do tego miasta w związku z pogłoską, jakoby jeden z ludzi, którzy obrabowali edynburską pocztę, tu się znajdował, i że ujęli mnie na pokładzie statku, który właśnie miał odpłynąć do Irlandii.

— No dobrze — powiada jego dostojność — to jest wasza opowieść, teraz posłuchajmy, co ten dżentelmen powie o sobie. Jak się nazywasz, hę, mój panie? I z jakich stron Tipperary [**Tipperary — hrabstwo w Irlandii, również miasto w tym hrabstwie.**] byłeś łaskaw przybyć?

Powziąłem już w tym względzie decyzję i skoro tylko zapoznałem się szczegółowo ze skierowanym przeciw sobie oskarżeniem, postanowiłem, przynajmniej na teraz, skończyć z irlandzką wymową i mówić swym ojczystym językiem. Uczyniłem to już wcześniej wypowiadając parę słów w przedpokoju do mych konwojentów: zdumieli się na widok tej metamorfozy, lecz za daleko już zaszli, by mogli się cofnąć nie narażając swego honoru na uszczerbek. Teraz zaś opowiedziałem sędziemu, że nie jestem wcale Irlandczykiem i nigdy nawet nie byłem w tym kraju: byłem rodowitym Anglikiem. To spowodowało powtórne studiowanie mojego rzekomego rysopisu, który moi opiekunowie mieli ze sobą dla zawartych w nim wskazówek. Nie było wątpliwości: zgodnie z nim przestępca musiał być Irlandczykiem.

Widząc, że jego dostojność waha się, pomyślałem, że pora popchnąć sprawę nieco dalej. Powołałem się na ten rysopis i dowiodłem, że nie zgadza się co do wzrostu i cery. Odpowiadał jednak co do lat i koloru włosów, a — jak mnie ów dżentelmen poinformował — nie miał zwyczaju sprzeczać się o drobnostki ani zwalniać czyjaś szyję z postronka ze względu na rzekomy błąd o parę cali wzrostu.

— Jeśli kto jest za niski — powiedział — nie ma innej rady tylko go powiesić, zaraz się wyciągnie.

Traf chciał, że ja byłem za długi, ale czcigodny sędzia nie uznał za stosowne zrezygnować ze swego żartu. Koniec końców był trochę w kłopotcie, nie bardzo wiedząc, co czynić.

Moi konwojenci zauważyli to i zaczęli drzeć o nagrodę, której dwie godziny temu byli tak pewni, jakby ją już mieli w kieszeni. Uznali, że zatrzymanie mnie w areszcie będzie zupełnie bezpiecznym procederem: gdyby w końcu wszystko okazało się pomyłką, nie obawiali się zbytnio procesu o bezprawne uwięzienie ze strony takiego jak ja, odzianego w łachmany, biedaka.

Namawiali przeto jego sędziowską mość, aby przystał na ich punkt widzenia. Powiedzieli mu, że co prawda dowody przeciw mnie nie okazały się tak mocne, jakby oni ze swej strony serdecznie sobie życzyli, ale że istniała w stosunku do mnie spora ilość podejrzanych okoliczności. Kiedy sprowadzono mnie na pokład statku, mówiłem tak doskonałym dialektem irlandzkim, że trudno lepiej, teraz zaś nie zostało po nim ani śladu. Obszukując mnie znaleźli piętnaście gwinei, a czy taki obdarty żebrak, na jakiego wyglądałem, mógł w uczciwy sposób dojść do posiadania piętnastu gwinei? Poza tym, kiedy mnie rozebrali do naga, przekonali się, że choć odzienie moje jest tak liche, skórę mam gładką jak dżentelmen. Na koniec, co za cel mógłby mieć biedny żebrak, który nigdy w życiu nie był w Irlandii, by przeprawiać się do tego kraju? Było jasne jak słońce, że nie byłem nikim lepszym niż ten, za kogo mnie wzięli. To rozumowanie, wraz z paroma znaczącymi mrugnięciami i gestami wymienionymi między sędzią a oskarżycielami, przekonało go o słuszności ich sposobu myślenia. Orzekł, że muszę udać się do Warwick, gdzie jakoby trzymany jest teraz w areszcie drugi rabuś, i zostać z nim skonfrontowany. Jeśli wtedy wszystko wyjaśni się w sposób zadowalający — zostanę zwolniony.

Nie mogło być straszliwszej dla mnie wiadomości. Ja, przeciw któremu uzbroił się cały kraj, którego ścigano z tak szczególną czujnością i zaciekłością, miałem teraz, pozbawiony możliwości przygotowania się do nowej sytuacji, być zawleczony do samego serca królestwa, pod bezpośrednią strażą przedstawicieli sprawiedliwości. Wydawało mi się to równoznaczne z wyrokiem śmierci. Z całą siłą podkreślałem niesprawiedliwość podobnego postępowania. Zwróciłem uwagę sędziego na to, że nie podobna mnie wziąć za człowieka, którego poszukiwali. Miał to być Irlandczyk. Ja nie byłem Irlandczykiem. Rysopis wymieniał osobę

niższą ode mnie — szczegół najtrudniejszy do ukrycia. Nie było najsłabszej racji zatrzymywania mnie w areszcie.

I tak doznałem zawodu w związku z zamierzoną podróżą i straciłem wpłacone już pieniądze, a to przez zbytnią skwapliwość tych dżentelmenów. Zapewniałem jego sędziowską mość, że w moich warunkach najmniejsza zwłoka posiada ogromne znaczenie. Nie podobna wymyślić większej krzywdy dla mnie, jak odesłać mnie pod strażą w głąb królestwa, zamiast pozwolić mi kontynuować moją podróż!

Na próżno protestowałem. Sędzia bynajmniej nie był skłonny słuchać wywodów człowieka w stroju żebraka, który dyskutował z nim w ten sposób. Byłby już dawno położył kres mojemu zuchwalstwu i przerwał moją przemowę, gdyby nie zapał, z jakim mówiłem, a któremu on nie umiał się przeciwstawić. Kiedy skończyłem, powiedział mi, że wszystko to do niczego nie prowadzi i że lepiej byłoby dla mnie, gdybym był mniej bezczelny. To jasne, że jestem włóczęgą i podejrzaną figurą. Im goręcej dopominałem się o zwolnienie, tym więcej widział racji, by mnie dobrze pilnować. Może koniec końców okaże się, że jestem owym poszukiwanym przestępcą. Lecz jeśli nie, to on nie ma wątpliwości, że jeszcze lepszy ze mnie ptaszek. Kłusownik albo i morderca. Ma wrażenie — mówił — że widział już kiedyś moją twarz w związku z podobną sprawą. Nie ma dwóch zdań, że stary zbrodniarz ze mnie. Miał do wyboru: na podstawie mojego wyglądu i sprzecznych zeznań skazać mnie jako włóczęgę na ciężkie roboty lub też skierować do Warwick. Powodowany wrodzoną dobrocią, wybrał łagodniejszą alternatywę. Może mnie zapewnić, że nie wymknę mu się. Zresztą z większą korzyścią dla rządu jego królewskiej mości będzie powiesić takiego łotrzyka, jakim przypuszczalnie byłem, niż z błędnie pojętej łagodności frasować o pomyślność wszystkich żebraków w kraju.

Stwierdziwszy, że na człowieka tak do głębi przejętego własnym dostojnictwem i znaczeniem, tak pełnego pogardy dla mojej nicości nie uda mi się wpłynąć, jakbym tego chciał, zażądałem, aby przynajmniej zwrócono mi zabrane pieniądze. Zezwolił na to. Być może, jego sędziowska mość podejrzewał, że swym dotychczasowym postępowaniem przebrał już miarę, i dlatego skłonniejszy był okazać względy w tej ubocznej sprawie. Moi



strażnicy nie oponowali przeciw tej łaskawości. Dlaczego — okaże się w dalszym ciągu. Sędzia jednak rozwodził się nad swoją w ten sposób okazaną łagodnością. Sam nie wie — powiedział — czy nie narusza istoty swych obowiązków przystając na moje żądanie. Tyle pieniędzy nie mogło znaleźć się w moim posiadaniu uczciwą drogą. Ale w naturze jego leżało łagodzić — tak dalece jak to było właściwe — surową literę prawa.

Istniały logiczne powody, dla których dżentelmeni, którzy ujęli mnie na statku, postanowili zatrzymać mnie pod swoją opieką i po przesłuchaniu. Każdy człowiek ma swoiste poczucie honoru, i oni nie chcieli narazić się na hańbę, która czekała ich w wypadku, gdyby sprawiedliwości stało się zadość. Każdy człowiek w pewnym stopniu odczuwa żądzę władzy i oni chcieli, abym wszelkie dobrodziejstwo zawdzięczał ich wszechwładnej łasce i dobroci, nie zaś samej słuszności mojej sprawy. Przedmiotem ich pragnień były jednak nie tylko chudy honor i goła władza, zamiary ich sięgały dalej. Jednym słowem, choć chcieli, abym opuścił siedzibę sprawiedliwości, tak jak zjawiłem się w niej: w charakterze więźnia — przecież treść przesłuchania nasunęła im, wbrew nim samym, podejrzenie, że nie byłem winny zarzucanego mi przestępstwa. Pojmując zatem, że w obecnym stanie rzeczy nie może być mowy o owych stu gwinejach, przyobiecanych jako nagroda za ujęcie winowajcy, zadowolili się grą o mniejszą stawkę. Zaprowadzili mnie do oberży i wydawszy polecenie, by przygotowano do podróży jakiś ekwipaż, wzięli mnie na stronę, a jeden z nich zwrócił się do mnie w następujący sposób:

— Widzisz, mój chłopcze, na czym rzecz stanęła: do Warwick! brzmi rozkaz. A co może się tam przytrafić, nie podejmuję się powiedzieć. Czy jesteś winny, czy nie, to nie moja rzecz, ale chyba nie jesteś takim zółtodzióbem, żeby przypuszczać, że jeśli nawet jesteś niewinny, to już jesteś całkiem bezpieczny. Mówiłeś, że twoje sprawy wzywają cię w innym kierunku i że ci się spieszy. Uważam za rzecz haniebną przeszkadzać komuś w jego interesach, jeśli coś mogę poradzić. Więc jak nam dasz tych piętnaście złotych pieniążków, to rozkaz będzie: nie pokazuj się nam na oczy. Tobie one na nic się nie przydadzą, żebrak, sam wiesz, wszędzie jest jak w domu. Jeśli o to idzie zresztą, to mogliśmy je dostać w drodze

urzędowej, jakżeś sam widział, u sędziego. Ale ja jestem człowiekiem z zasadami, szczególnie lubię załatwiać wszystko po prostu, bez ogródek, a brzydę się wydzierać człowiekowi nawet szylinga.

Człowiek zasad moralnych skłonny jest czasem ulec tym zasadom i zapomnieć o własnym interesie. Wyznam, że pierwszym uczuciem, jakie w mojej duszy obudziła ta propozycja, było oburzenie. Coś mnie pchało, aby dać upust temu uczuciu i zlekceważyć na chwilę wszelki wzgląd na przyszłość. Odparłem tak surowo, jak na to zasługiwała podobna podłość. Moi opiekunowie byli ogromnie zdziwieni tą stanowczością, lecz widocznie uznali za rzecz niegodną siebie spierać się ze mną o głoszone przeze mnie zasady. Ten, który wysunął propozycję, zadowolił się taką odpowiedzią:

— Dobrze, dobrze, mój chłopcze, rób, jak chcesz, nie jesteś pierwszy, który raczej da się powiesić, niż rozstanie się z paroma gwinejami. — Słowa te nie pozostały bez echa. Pasowały nadzwyczajnie do mojej sytuacji, postanowiłem więc nie przepuścić tej sposobności.

Jednakże duma tych dżentelmenów była zbyt wielka, by pozwoliła im teraz prowadzić ze mną dalsze pertraktacje. Opuścili mnie nagle, rozkazawszy uprzednio staruszkowi, ojcu oberżystki, aby pozostał ze mną w izbie podczas ich nieobecności. Dla pewności kazali mu zamknąć drzwi i schować klucz do kieszeni. Jednocześnie powiedzieli na dole, w której izbie mnie zostawili, aby mieszkańcy domu mogli mieć oko na to, co się tam dzieje, i nie pozwolili mi się wymknąć. Jaka była intencja tego posunięcia, nie umiem powiedzieć. Przypuszczalnie był to rodzaj kompromisu między ich dumą a skąpstwem. Pragnęli widocznie się mnie pozbyć, skoro tylko nadarzy się wygodna okazja, i dlatego postanowili czekać na wynik moich samotnych rozmyślań nad ich propozycją.

## ROZDZIAŁ XXXIII

Ledwie wyszli, skierowałem wzrok na starca. Uderzyła mnie jego niezwykle czcigodna i ciekawa powierzchowność. Wzrostu był więcej niż średniego. Budowa jego wskazywała na to, że niegdyś musiał się odznaczać ogromną siłą, która i teraz nie całkiem go opuściła. Włos miał gęsty i tak biały jak śniegowe zaspasy. Cerę — zdrową i czerstwą, choć twarz poorana była bruzdami. Oko zwracało uwagę żywym blaskiem, a całe oblicze wyrażało ogromną dobroć. Czułe i wrażliwe serce uszlachetniało tego człowieka, który nie miał nic z prostactwa swojej sfery.

Na widok tej twarzy natychmiast pomyślałem o korzyściach, jakie można by wyciągnąć z obecności takiego człowieka. Wszelka próba przedsięwzięcia jakichś kroków bez jego zgody była beznadziejna, bo choćbym dał sobie radę z nim, to on mógłby bez trudu zaalarmować innych ludzi, którzy na pewno byli gdzieś w pobliżu. Na dodatek trudno by mi przyszło zdobyć się na wyrządzenie jakiejś krzywdy człowiekowi, który na pierwszy rzut oka obudził we mnie taką sympatię i szacunek. Myślałem o całkiem innym wyjściu. Poczułem gorące pragnienie móc nazwać tego człowieka swym dobroczyńcą. Ścigany przez złe losy, nie mogłem dłużej uważać się za członka społeczeństwa. Byłem samotną istotą, pozbawioną wszelkiej nadziei na współczucie, dobroć lub życzliwość ludzką. I oto znalazłem się w sytuacji, która kusiała mnie, bym pozwolił sobie na zbytek, którego los mi odmawiał. Cóż za różnica zawdzięczać wolność szczerzej życzliwości zacnego i szlachetnego człowieka czy też samolubstwu i podłości najgorszych członków społeczeństwa. W ten sposób, będąc o krok od zagłady, pozwoliłem sobie na lekkomyślność szukania tak subtelnej rozkoszy.

Wiedziony tymi uczuciami, poprosiłem go o chwilę uwagi, by mu opowiedzieć o okolicznościach, które doprowadziły mnie do mej obecnej

sytuacji. Natychmiast wyraził zgodę i powiedział, że chętnie wysłucha wszystkiego, cokolwiek uznam mu za stosowne zakomunikować. Opowiedziałem mu, jak ludzie, którzy pozostawili mnie pod jego dozorem, przybyli do tego miasta w poszukiwaniu winnych napadu rabunkowego na pocztę, jak zatrzymali mnie na podstawie nakazu aresztowania i zaprowadzili do sędziego pokoju, jak rychło odkryli swoją pomyłkę, gdyż poszukiwany był Irlandczykiem i różnił się ode mnie pochodzeniem i wzrostem, jak na skutek porozumienia między nimi a sędzią dostali pozwolenie zatrzymać mnie w areszcie i udawali, że zamierzają odstawić mnie do Warwick dla skonfrontowania ze współtowarzyszem winy, jak rewidując mnie u sędziego znaleźli przy mnie pewną sumę pieniędzy, która obudziła ich chciwość, i jak dopiero co ofiarowywali mi wolność za tę sumę. Wobec tego wszystkiego prosiłem go, aby się zastanowił, czy chciałby stać się narzędziem w tym akcie jawnej grabieży. Oddaję się w jego ręce, mówiłem, i uroczyście ręczę za prawdziwość przytoczonych tu przeze mnie faktów. Jeśli chce pomóc mi w ucieczce, to pokrzywdzeni byłiby tylko moi konwojenci, którzy zawiedliby się w swej chciwości! Żadną miarą nie chciałbym go narażać na nieprzyjemności, lecz jestem w pełni przekonany, ciągnąłem, że ta sama wielkoduszność, która skłoniłaby go do spełnienia dobrego czynu, pomogłaby mu skutecznie usprawiedliwić ten czyn już dokonany. Sądziłem, że ci, którzy mnie więżą, straciwszy swą ofiarę z oczu, poczują się tak okryci wstydem, że nie będą śmieli uczynić żadnych dalszych kroków w tej sprawie.

Starzec słuchał tego, co mówiłem, z ciekawością i zajęciem. Powiedział, że zawsze czuł wstręt do tego typu ludzi, którzy mieli mnie teraz w swym ręku, że czuje odrazę do roli, jaką mu narzucili, lecz że nie może odmawiać pewnych drobnych choć niemiłych mu usług ze względu na córkę i zięcia. Sądząc po mojej twarzy i zachowaniu — mówił — nie ma wątpliwości, że mówię prawdę. Prośba, z jaką się do niego zwróciłem, jest niezwykła i nie wie, co nasunęło mi myśl, że on właśnie jest człowiekiem, do którego można się z nią zwrócić z pewnymi widokami powodzenia. Jednak istotnie ma odmienny niż ogół ludzi sposób myślenia i czuje się na wpeł skłonny zadośćuczynić mojej prośbie. W zamian za to prosiłby mnie o jedno:

chciałby wiedzieć coś bliższego o człowieku, któremu pragnął oddać tę przysługę. Jak brzmi moje nazwisko?

To pytanie zaskoczyło mnie. Lecz cokolwiek by z tego wynikło, nie mogłem znieść myśli o wprowadzeniu w błąd człowieka, który je zadał, i to w tych właśnie okolicznościach. Ustawiczne kłamstwo jest zanadto ciężkim brzemieniem. Odpowiedziałem, że nazywam się Williams.

Siedział bez słów. Utkwił we mnie wzrok. Ujrzałem, jak powtarzając to słowo zmienia się na twarzy.

— A imię? — pytał dalej z widocznym niepokojem.

— Kaleb.

— Wielki Boże! To nie może być chyba... — Zaklął mnie na wszystko, co dla mnie święte, abym odpowiedział mu zgodnie z prawdą na jedno jeszcze pytanie. Nie byłem chyba... nie, to niemożliwe... człowiekiem, który służył niegdyś u Mr Falklanda z N.?

Odparłem, że cokolwiek miało oznaczać jego pytanie, powiem mu prawdę. Byłem tym człowiekiem, o którym mówił.

Kiedym wyrzekł te słowa, starzec wstał z miejsca. Przykro mu, powiedział, że los tak jest na niego niełaskawy, że zetknął go ze mną! Jestem potworem, którego nawet ziemia brzydzi się nosić!

Błagałem go, aby pozwolił mi wyjaśnić to nowe nieporozumienie, tak jak to zrobił poprzednio. Nie miałem wątpliwości, że i tym razem potrafię go przekonać.

Nie, nie, nie! Pod żadnym pozorem nie zgodzi się wysłuchać takiej ohydy. Ta sprawa i tamta różniły się zasadniczo. Na całym świecie nie ma zbrodniarza, mordercy w połowie tak odrażającego jak człowiek, który przez zemstę mógł rzucić podobne oskarżenia, jakie ja rzuciłem, przeciw tak szlachetnemu panu.

Na to wspomnienie starzec wstrząsał się cały z żalu.

W końcu uspokoił się na tyle, że przez chwilę ze mną rozmawiał. Mówił, że nie wie, czego wymaga od niego surowa sprawiedliwość, lecz skoro sam wyznałem, kim jestem, nie może zrobić z tej wiadomości użytku na moją szkodę, gdyż postępek taki budzi nieprzeparty wstręt w jego sercu. Na tym jednak kończy rozmowę ze mną, gdyż byłoby to naprawdę nadużywaniem

słów odnosić się do mnie jak do ludzkiej istoty. On nie zrobi mi żadnej krzywdy, ale z drugiej strony za nic na świecie nie chce mi w niczym pomagać, w niczym ułatwiać.

Odraza, jaką okazywał mi ten dobry i życzliwy człowiek, wstrząsnęła mną niewypowiedzianie. Nie mogłem milczeć. Próbowałem raz i drugi skłonić go, by zechciał mnie wysłuchać. Ale jego postanowienie było nieodwołalne. Nasz spór trwał czas jakiś, aż wreszcie starzec zakończył go zadzwoniwszy na chłopca do posług. Po małej chwili weszli moi konwojenci, a tamci opuścili izbę.

Osobliwość moich losów tkwiła po części w tym, że gnały mnie one z jednego nieszczęścia w drugie z taką gwałtownością, że żadne utrapienie nie zagościło na długo w mojej duszy. Patrząc wstecz skłonny jestem twierdzić, że połowa tych klęsk, jakie los mi przeznaczył, zdołałaby niechybnie przytłoczyć mnie i zniszczyć. Lecz przy tym stanie rzeczy nie miałem czasu suszyć sobie głowy spadającymi na mnie nieszczęściami, lecz byłem zmuszony zapominać o nich i zbierać siły na nowe, nieprzewidziane niebezpieczeństwa, które każdej chwili groziły mi zagładą.

Postępowanie tego wyjątkowego i tak miłego starca zraniło moje serce. Był to straszliwy prognostyk na całą moją przyszłość. Ale jak już wspomniałem, weszli moi konwojenci i co innego z całą siłą zajęło mą uwagę. Tak byłem udręczony w owej chwili, że odczułbym zadowolenie, gdybym mógł się zamknąć w niedostępnej samotni i niepokieszony, zatopić się w moim cierpieniu. Lecz ból, który odczuwałem, nie miał nade mną takiej władzy, abym zapomniał o grożącej mi szubienicy. Umiłowanie życia, a jeszcze bardziej nienawiść ucisku uzbroiła moje serce przeciw podobnemu odrętwieniu. W sytuacji, która tak niedawno miała miejsce, pozwoliłem sobie — jak powiedziałem — na pewną lekkomyślność i zbytek wyszukanej rozkoszy. Nadeszła teraz pora, by temu folgowaniu położyć kres. Niebezpiecznie było nadal igrać z losem stojąc nad brzegiem przepaści, więc choć wynik mojej ostatniej próby przepełniał mnie smutkiem, nie byłem wcale skłonny do niepotrzebnych wahań.

Byłem już w usposobieniu, w jakim pragnęli mnie zastać dwaj dzentelmeni, którzy mieli mnie w swej władzy. Jakoż przystąpiliśmy

natychmiast do sprawy, a po pewnych targach oni zgodzili się ustalić cenę mojej wolności na jedenaście gwinei. Jednak dbając o zachowanie swej reputacji, uparli się podwieźć mnie parę mil zajmąwszy miejsca na zewnątrz dyliżansu. Następnie zmyślili, że droga, którą mieli się udać, odchodzi w bok, przez wieś, i opuściliśmy ekwipaż. Umożliwiło to i mnie rozstać się z kłopotliwym dla mnie towarzystwem, co też uczyniłem niemal w tej samej chwili, kiedy dyliżans znikł nam z oczu. Nie od rzeczy wspomnieć będzie mimochodem, jak te ptaszki pokpiły swoją własną sprawę. Zrazu pojмали mnie z myślą o nagrodzie stu gwinei, po jakimś czasie byli szczęśliwi przyjmując umówione jedenaście, lecz gdyby zatrzymali mnie w swych rękach jeszcze trochę dłużej, mieliby sposobność zdobycia tej sumy, która pierwotnie skłoniła, ich do pogoni za mną, lecz z innego konta.

Niepowodzenie, z jakim spotkała się moja ostatnia próba ucieczki morzem, odwiodło mnie od myśli o powtarzaniu tego eksperymentu. Dlatego raz jeszcze wróciłem do pomysłu ukrycia się, przynajmniej na czas najbliższy, wśród tłumów stolicy. Chwilowo jednak uznałem, że nie powinienem obierać prostej drogi, tym bardziej że moi niedawni konwojenci zmierzali w tym samym kierunku, ruszyłem więc wzdłuż granicy Walii.

Jedyny wypadek godny, by wspomnieć o nim na tym miejscu, zdarzył się, kiedy usiłowałem przejść w pewnym punkcie rzekę Severn. Mogłem przepłynąć się promem, lecz przez jakąś dziwną nieuwagę zmyliłem tak zupełnie drogę, że niepodobieństwem stało się dotrzeć tego wieczoru do miejsca przewozu i przybyć do miasta, gdzie zamierzałem zatrzymać się na odpoczynek.

W zestawieniu z innymi poważnymi trudnościami, które — zda się — powinny były zająć wszystkie moje myśli, fakt ten może się wydawać drobnym niepowodzeniem. We mnie jednak wywołał szczególne zniecierpliwienie. Byłem tego dnia niezwykle zmęczony. Jeszcze zanim zmyliłem czy też uświadomiłem sobie, że zmyliłem drogę, niebo pociemniało od chmur, a niedługo potem lunął rześisty deszcz. Znajdowałem się w szczerym polu, dokoła ani jednego drzewa, ani żadnej osłony, gdziebym mógł znaleźć schronienie. W jednej chwili przemokłem na wskroś. Szedłem

pospiesznie z jakąś ponurą determinacją. Stopniowo deszcz przeszedł w gradową nawałnicę. Grad był duży i gęsty. Nędzne odzienie, jakie miałem na sobie, źle mnie przed nim chroniło, tak że zdawał się ciąć mnie tysiącem uderzeń. Potem nawałnica gradowa ustała i znowu lunął deszcz. W tej właśnie chwili spostrzegłem, że zupełnie zszedłem z drogi. Nie mogłem odszukać wzrokiem ani człowieka, ani zwierzęcia, ani żadnego domostwa. Posuwałem się dalej, na każdym zakręcie rozważając, którą ścieżkę powinienem obrać, lecz nie znajdowałem dostatecznych racji, dla których miałbym odrzucić jedną z nich, a obrać drugą. Głowa pękała mi z rozpacz i udreki. Idąc kłąłem przez zęby i mruczałem coś z niezadowoleniem. Przepęłniały mnie wstręt i odraza do życia i wszystkiego, co niesie ono w swoim biegu. Błąkałem się tak bez żadnego określonego kierunku przez dwie godziny, aż zaskoczyła mnie noc. Znalazłem się na bezdrożu i o tym, aby posuwać się dalej, nie było nawet co myśleć.

Szedłem dalej całkowicie opuszczony, bezdomny, bez żywności. Nie miałem na sobie skrawka odzieży, który by nie był tak mokry, jakby go wyłowiono z dna oceanu. Szczękałem zębami, drżałem na całym ciele. W sercu paliła się wściekłość skierowana ku całemu światu. W pewnej chwili potknąłem się i wpadłem na jakąś niewidoczną przeszkodę, innym razem jakaś niepokonalna zapora zmusiła mnie, bym zawrócił z drogi.

Między tymi przypadkowymi trudnościami a prześladowaniem, jakie cierpiałem, nie było ścisłego związku. Lecz moje wzburzone myśli pomieszały wszystko razem. Przeklinałem cały porządek świata. „Jestem wyrzutkiem — mówiłem sobie — któremu przeznaczone jest zginąć z głodu i chłodu. Wszyscy ludzie mnie opuścili. Wszyscy mnie nienawidzą. Groźba śmierci odpędza mnie od źródła pociechy i życia. Przeklęty świat! Świat, który nienawidzi bez powodu, który obezwładnia niewinnych takimi klęskami, jakich nawet występny winien zaoszczędzić. Przeklęty świat! Głuchy na każdy głos ludzkiego współczucia, o oczach z kamienia, a sercu z żelaza! Czemu godzę się na to, by żyć dłużej? Czemu usiłuję przeciągać ten żywot, skoro muszę go wlec dalej wśród tych bestii w ludzkich ciałach?”

W końcu uspokoiłem się. W chwilę później odkryłem samotnie stojącą szopę, do której wszedłem szukając schronienia. W progu szopy znalazłem



nieco czystej słomy, zrzuciłem więc z siebie łachmany, umieściłem je tak, aby mogły jak najlepiej wyschnąć, i zagrzebałem się cały w słomie ciesząc się jej przyjaznym ciepłem. Tu stopniowo zapomniałem o dręczących mnie cierpieniach. Opatrznościowo napotkana szopa i świeża słoma mogą się wydawać bardzo skromnym dobrodziejstwem losu, lecz spotkało mnie ono, kiedym się go najmniej spodziewał, i zrobiło mi się lekko na sercu. Zmęczenie ducha i ciała sprawiło, że tym razem spałem prawie do południa dnia następnego, choć na ogół mój nocny wypoczynek bywał bardzo krótki. Kiedym wstał, stwierdziłem, że znajduję się w niewielkiej odległości od promu, przepравиłem się przez rzekę i wszedłem do miasta, gdzie zamierzałem spędzić poprzednią noc.

Był dzień targowy. Przechodząc koło rynku, zauważyłem, że dwóch ludzi przygląda mi się z wielką ciekawością, po czym jeden z nich zawołał:

— Niech mnie jasne pioruny, jeśli to nie jest właśnie ten ptaszek, o którego rozpytywali ci dwaj, co godzinę temu wyjechali dyliżansem do Y.

Ta wiadomość ogromnie mnie zatrwożyła, przyspieszając kroku skręciłem gwałtownie w wąską boczną uliczkę. Skoro tylko zniknąłem im z oczu, puściłem się biegiem z całą szybkością, jaką mogłem rozwinąć, i nie poczułem się bezpieczny aż w odległości paru mil od miejsca, gdzie podsłuchałem cytowaną rozmowę. Byłem przeświadczony, że chodziło o tych samych, którzy aresztowali mnie na pokładzie statku, że jakimś trafem napotkali oni opis mojej osoby ogłoszony przez Mr Falklanda i że skojarzywszy te okoliczności doszli do przekonania, że chodziło tu o tego samego osobnika, który niedawno był w ich ręku. Istotnie uległem jakiemuś zamroczeniu, którego dziś nie potrafię sobie wytłumaczyć, że pozostałem w tym samym przebraniu, choć moi niedawni konwojenci mogli się przecież domyśleć, że byłem człowiekiem w krytycznej i bardzo szczególnej sytuacji. Gdybym na skutek nawałnicy gradowej nie zmylił drogi poprzedniej nocy lub gdybym nie zasnął tak bardzo następnego ranka, musiałbym niechybnie wpaść w ręce tych szatańskich naganiaczy.

Miasto, do którego się udali, a którego nazwa wpadła mi w ucho na targowisku, było tym samym, do którego i ja zdążyłem. Lecz skoro rzeczy tak się miały, postanowiłem okrążyć je z tak daleka, jak to tylko będzie

możliwe. Przybywszy do pierwszej osady, gdzie to było wykonalne, kupiłem lepszy kapelusz i obszerny płaszcz, który zarzuciłem na moje żebracze łachmany. Kapelusz nasunąłem na czoło, jedno oko zasłoniłem zielonym fularem. Chustką, którą dotychczas nosiłem na głowie, owiązałem teraz dolną część twarzy, tak aby zakryć usta. Zrzuciłem z siebie kolejno wszystkie części mego poprzedniego stroju i wdziałem na siebie rodzaj kapoty, jaką noszą woźnice, ale w lepszym gatunku, co nadało mi wygląd gospodarskiego syna z jakiejś przyzwoitej niebogatej rodziny. Tak wystrojony, ruszyłem w dalszą podróż i po tysiącnych niepokojach, zachowując wszystkie środki ostrożności, klucząc i zbaczając z prostej drogi, dotarłem w końcu bezpiecznie do Londynu.

## ROZDZIAŁ XXXIV

Tu zatem był kres ogromnego łańcucha trudów, na który nikt nie potrafiłby spojrzeć wstecz bez zdumienia, a w przyszłość bez uczucia graniczącego z rozpaczą. By dotrzeć do tego miejsca wytchnienia, zapłaciłem cenę nie dającą się oszacować, czy to biorąc pod uwagę wysiłki, jakie kosztowała mnie ucieczka z więzienia, czy też niebezpieczeństwa i niepokoje, których byłem pastwą od tamtej pory do chwili obecnej.

Lecz czemu nazywam Londyn miejscem wytchnienia? Niestety, stał się czymś wręcz przeciwnym. Moim pierwszym i natychmiastowym zadaniem było teraz dokonać przeglądu wszystkich dotychczasowych projektów ukrycia się, wprowadzić wszystkie ulepszenia, jakie mogły mi nasunąć przebyte doświadczenia, i stworzyć sobie bardziej niż kiedykolwiek niedostępną kryjówkę. Była to praca na bardzo długą metę.

W zwykłych wypadkach alarm, jaki podnosi się dokoła zbiegłego rzekomego złoczyńcy jest kwestią krótkotrwałych poszukiwań, lecz zwykłe wypadki nie stanowiły żadnej reguły dla ogromnej inteligencji Mr Falklanda. Dla tej samej przyczyny Londyn, który na ogół wydaje się miastem o nieprzebranych możliwościach ukrycia się, mnie nie napawał taką kojącą nadzieją. Nie potrafię orzec, czy życie w takich warunkach godne jest zachodu. Wiem tylko, że uparcie wyteżądałem wszystkie swoje siły, by wykonać mój plan, wiedziony jakby rodzicielską miłością, którą ludzie żywią zazwyczaj w stosunku do owocu swego umysłu. Im więcej trudu wkładałem w to, by doprowadzić mój plan do doskonałości, tym mniej byłem skłonny wyrzec się go. Drugim niemniej silnym bodźcem do dalszych wysiłków była wciąż wzmagająca się odraza, jaką czułem w stosunku do niesprawiedliwości i bezwzględnej władzy.

Pierwszego wieczoru po przyjeździe do stolicy spałem w jakiejś nędznej gospodzie w Southwark, wybrawszy tę dzielnicę miasta ze względu na to,

że leży najdalej od okolic Anglii, skąd przybywałem. Wszedłem do gospody wieczorem w mojej wieśniaczej kapocie, a opłaciwszy nocleg wcześniej, nim udałem się na spoczynek, przyodziałem się następnego ranka tak odmiennie, jak mi na to tylko pozwoliły moje garderobiane zasoby, i przed świtem opuściłem dom. Z kapoty uczyniłem małe zawiniątko i oddaliwszy się na odległość, jaką uznałem za konieczną, porzuciłem je na rogu mijanej ulicy. Moją następną troską było postarać się o inny ubiór, zupełnie odmienny od tego, który służył mi dotąd. Miałem zamiar nadać sobie teraz powierzchowność Żyda. Jeden z członków owej zbójczej bandy z lasów koło N. należał do tego narodu i liczyłem, że dzięki talentowi naśladowania, o którym już wspomniałem, potrafię na tyle dokładnie odtworzyć jego akcent, żeby się nim posługiwać na wypadek potrzeby. Jedną ze wstępnych czynności, jakie przedsięwziąłem, była wyprawa do pewnej dzielnicy miasta, w której zamieszkiwało wielu Żydów, dla wystudowania ich wyglądu i sposobu bycia. Zaopatrzywszy się w to, co mi doradzała roztropność, tego samego wieczoru udałem się na spoczynek do pewnej gospody w połowie drogi między Mile-End i Wapping. Tu ubrałem się w moje nowe szaty i zachowując te same środki ostrożności, co poprzednim razem, wysunąłem się z gospody o takiej porze, kiedy najmniej groziło mi, że zostanę zauważony. Nie ma potrzeby opisywać poszczególnych części mego nowego kostiumu: wystarczy powiedzieć, że zatroszczyłem się między innymi o to, by zmienić kolor cery i nadać jej ten ciemnobrunatny odcień bladości, jaki w większości wypadków jest charakterystyczny dla plemienia, do którego przynależność udawałem, że — dalej — kiedy moja metamorfoza była już zakończona, przyjrząwszy się sobie najdokładniej stwierdziłem, że nikt w tym nowym przebraniu nie odkryłby Kaleba Williamsa.

Doszedłszy w wykonaniu mego planu do tego punktu, stwierdziłem, że pożądane będzie wynaleźć sobie jakieś mieszkanie i odmienić moje ostatnio wędrowne życie na życie osiadłe. W mieszkaniu tym żyłem wiecznie zamknięty od wschodu do zachodu słońca, w krótkich tylko chwilach pozwalałem sobie na spacer, a i to w nocy. Byłem do tego stopnia ostrożny, że bałem się nawet zbliżyć do okna w moim pokoju, choć było to najwyższe

piętro, zasadą, jaką sobie postawiłem, było nie narażać się lekkomyślnie i niepotrzebnie na niebezpieczeństwo, jakkolwiek niegroźne mogłoby się ono wydawać.

Tu niech mi wolno będzie przerwać na chwilę, aby przedstawić czytelnikowi moją sytuację tak, jak ją widziałem. Urodziłem się wolny: urodziłem się zdrowy, silny i pełen energii, a rysom mojej twarzy i członkom ciała nic nie brakowało. Nie urodziłem się, co prawda, by objąć dziedziczne majątki, lecz posiadałem cenniejsze dziedzictwo: żywy umysł, dociekliwą inteligencję, szlachetną ambicję. Słowem, przyjmowałem to, co mi życie niesło, z ochotą i zadowoleniem; nie lękałem się o nic więcej poza tym, by dobrze zapisać się w rejestrach życia. Nie mierzyłem zbyt wysoko, zadowalałem się małym na początku, a osobiste znaczenie wołałem zawdzięczać własnej pracy niż pochodzeniu.

I oto wystarczył jeden wypadek, by zniweczyć swobodę ducha i ufność serca, z którymi wchodziłem w życie. Byłem nieświadomy władzy, jaką ustrój społeczny daje jednemu człowiekowi nad innymi, a dostałem się nieopatrznie w ręce osoby, której największym pragnieniem było zgnieść mnie i zniszczyć.

Bez najmniejszej winy z mojej strony byłem osaczony przez wszystkie nieszczęścia, jakimi ludzie — po głębszej rozwadze — wahaliby się ukarać nawet niewątpliwych przestępców. W każdej ludzkiej twarzy lękałem się ujrzeć twarz wroga. Cofałem się przed uważniejszym spojrzeniem każdego człowieka. Nie śmiałem otworzyć swego serca najlepszym uczuciom ludzkim.

Byłem odcięty od ludzi, opuszczony, samotny nieszczęśnik w zbiorowisku ludzkim. Nie śmiałem szukać pociechy i przyjaźni i zamiast dzielić radości i smutki innych, zamiast wymieniać z nimi cudowne dary zaufania i współczucia, zmuszony byłem ześrodkować myśli i czujność na własnej osobie. Życie moje było jednym kłamstwem. Musiałem znosić ciężar narzuconej sobie obcej roli. Musiałem przybrać obcy sobie sposób bycia. Moja postawa, ruchy, wymowa, wszystko to musiało być wyuczone. Nie wolno mi było pozwolić sobie na jeden choćby szlachetny odruch duszy. I przy wszystkich tych trudnościach musiałem stworzyć sobie jakąś

egzystencję, egzystencję, która wymagała niezliczonych środków ostrożności i nie obiecywała cienia zadowolenia.

Ale i takie, nawet takie życie byłem zdecydowany znieść, wziąć ten ciężar na ramiona i dźwigać go z niezachwianą wytrwałością. Niech nikt nie przypuszcza jednak, że znosiłem ten stan bez sarkania i wstrętu. Przechodziłem kolejno od lęku zwierzęcia, które kuli się w swej norze przed prześladowcami, do upartej i niezachwianej wytrwałości, to znów do owych szybko po sobie następujących, a sprzecznych uczuć, które szarpią sercami nieszczęśliwych. Jeśli czasem gotów byłem rzucać dumne wyzwanie mym srogim losom, to kiedy indziej — i to zdarzało się częściej — pogrążałem się w beznadziejnej rozpacz. Patrzyłem w przyszłość na to, co mnie jeszcze czekało, bez nadziei, łzy bólu płynęły z moich oczu, odwaga obumierała i przeklinałem wysiłek życia, który z każdym nadchodzącym dniem trzeba było podejmować na nowo.

— Czemuż — zwykłem wołać w takich wypadkach — czemu przytłacza mnie brzemień życia? Czemu wszystko sprzysięgło się, by mnie dręczyć? Nie jestem mordercą, lecz gdybym nim był nawet, cóż gorszego mogło mnie czekać? Jak podłe, plugawe i obmierzłe jest życie, na które jestem skazany. Nie takie powinno być moje miejsce w wielkiej księdze żywota, nie do takiego miejsca upoważniały mnie charakter i inteligencja. Jakiemu celowi służą nieukozone pragnienia mojej duszy, jeśli nie temu tylko, bym jak przestraszony ptak na próżno tłukł się o pręty mej klatki? Naturo, barbarzyńska Naturo! Zaiste okazałaś się dla mnie najgorszą macochą, dałaś mi nienasycone pragnienia i pogrążyłaś w wiecznym poniżeniu.

Może uważałbym się za bezpieczniejszego, gdybym miał dość pieniędzy. Konieczność zdobycia środków egzystencji sama przez się uniemożliwiała życie w odosobnieniu, na które byłem skazany. Zanim bym przyjął jakąkolwiek pracę lub uznał się za zdolnego do jej wykonywania, należało wpierw rozważyć, w jaki sposób miałem się starać o zajęcie i gdzie znaleźć pracodawcę czy nabywcę na moje talenty. Ja tymczasem nie miałem już wyboru: niewielkie zasoby pieniędzy, jakie ocaliłem przed tymi dwoma psami gończymi, były już prawie na ukończeniu.

Rozpatrzywszy tę kwestię z taką skrupulatnością, do jakiej tylko byłem

zdolny, postanowiłem, że terenem mych pierwszych prób będzie sztuka pisarska. Czytałem, że można tą drogą zdobyć pieniądze, i o tym, jakie ceny płacą ludzie spekulujący na tym towarze jego prawdziwym wytwórcom. Swoje możliwości oceniałem skromnie. Zdawało mi się, że doświadczenie i praktyka muszą torować drogę do doskonałej twórczości. Lecz choć tych brakowało mi zupełnie, miałem wrodzoną skłonność do pisania, a wczesny głód wiedzy doprowadził mnie do bliższej znajomości z książkami niżby się tego można było spodziewać w moich warunkach. Jeśli moje pretensje literackie były nieznaczne, to niewiele też zamierzałem żądać za mą pracę. Pragnąłem tylko zapewnić sobie utrzymanie, a byłem przekonany; że niewielu ludzi miało tak skromne wymagania. Uważałem zresztą pisanie za chwilowy sposób zarobkowania i ufałem, że przypadek lub czas mogą zmienić moją sytuację na lepsze. Zdecydowałem się na to zajęcie sądząc, że wymaga najmniej przygotowań i może być wykonywane najbardziej po kryjomu.

W tym samym domu i na tym samym piętrze co ja mieszkała pewna samotna kobieta w średnim wieku. Powziąwszy postanowienie co do mojej pracy natychmiast zwróciłem oczy na nią, jako na ewentualną pośredniczkę przy sprzedaży mych utworów. Pozbawiony na ogół stosunków z ludźmi, z przyjemnością zamieniałem niekiedy kilka słów z tą dobroduszną i nieszkodliwą istotą, która była już w wieku wykluczającym możliwość skandalu. Żyła ona z bardzo skromnej pensji rocznej, wypłacanej jej przez daleką krewną, damę z wyższych sfer, która opływając sama we wszystkie dostatki, nie kierowała się bynajmniej troską o biedną krewną, lecz obawą, by istota owa nie zhańbiła jej nazwiska wykonywaniem uczciwej pracy. Była to kobieta skromna, z natury zrównoważona, pogodna i czynna, nie znająca ani trosk, jakie niesie bogactwo, ani też ciężarów ubóstwa. Choć jej pretensje były niewielkie, a zasób wiadomości — szczupły, przecież nie zbywało jej na przenikliwości umysłu. Dostrzegała błędy i szaleństwa ludzkie z niemałą przenikliwością, ale miała tak łagodny charakter i tak skłonna była do przebaczenia, że większość ludzi mogłaby ją posądzać o niedostrzeżenie ludzkich ułomności. Serce jej przepełnione było dobrocią. Dla przyjaciół była szczerą i oddaną i nigdy nie

omieszkała wyświadczyć człowiekowi przysługi, jeśli widziała po temu możliwość.

Gdyby nie te jej zalety charakteru, przekonałbym się przypuszczalnie, że moja powierzchowność, powierzchowność opuszczonego, samotnego chłopca żydowskiego pochodzenia, wyklucza możliwość odwołania się do jej dobroci. Jednak ze sposobu, w jaki przyjmowała moje zdawkowe uprzejmości i odpowiadała na nie, szybko wywnioskowałem, że jej serce było zbyt szlachetne, by jakiegokolwiek niskie i niegodne względy mogły wpłynąć na jej uczucia. Zachęcony tymi wstępnymi próbami, postanowiłem uczynić z niej mego agenta literackiego. Okazała się chętna i szybka w wykonywaniu funkcji, jaką jej zaproponowałem. Aby uprzędzić możliwość podejrzeń z jej strony, powiedziałem jej szczerze, że z przyczyn, o które proszę, by mnie nie pytała, lecz których ujawnienie z pewnością nie zmieniłoby jej dobrego o mnie mniemania — uważam w chwili obecnej za konieczne żyć w ukryciu. Ona łatwo przystała na to oświadczenie i powiedziała mi, że nie pragnie żadnych dalszych wiadomości poza tymi, które uznaję za stosowne jej udzielić.

Moje pierwsze utwory miały charakter poetycki. Wykończywszy dwa czy trzy spośród nich, poprosiłem tę szlachetną kobietę, by zaniósła je do redakcji pewnego dziennika, zostały jednak z pogardą odrzucone przez miejscowego Arystarcha [**Aristarchos z Samotraki (ok. 217-145) p.n.e.) – filozof i krytyk. Imię jego stało się symbolem drobiazgowego krytyka.**], który rzuciwszy na nie pobieżnie okiem, powiedział, że poezja nie wchodzi w zakres jego zainteresowań.

Nie mogę tu nie wspomnieć o tym, że twarz Mrs Marney (tak brzmiało nazwisko mojej posłanniczki) była zawsze doskonałym wskaźnikiem jej powodzenia, tak że wszelkie wyjaśnienia stawały się zupełnie zbędne. Mr Marney tak szczerze interesowała się sprawą, której się podjęła, że o wiele mocniej niż ja odczuwała niepowodzenia i uśmiechy losu. Ja miałem niezachwianą wiarę we własne możliwości i mając głowę zajęta bardziej interesującymi i boleśniejszymi rozmyślaniami, uważałem chwilową klęskę za zupełnie błahą.

Ze spokojem wziąłem poematy z powrotem i położyłem je na stole. Po



dokładnym przejrzeniu zmieniłem i przepisałem jeden z nich i wraz z dwoma innymi wysłałem do wydawcy pewnego periodyku. Poprosił, aby mu je zostawić na dwa dni. Po upływie terminu powiedział mojej przyjaciółce, że zostaną zamieszczone, lecz kiedy Mrs Marney zapytała go o wynagrodzenie, odparł, że jego stałą zasadą jest nie płacić nic za wiersze, jako że skrzynka na listy przepełniona jest tego rodzaju utworami. Dodał, że jeśli ten pan zechce popробować sił w dziedzinie prozy w jakimś krótkim szkicu lub opowiadaniu, to — kto wie — może da się coś dla niego zrobić.

Natychmiast poddałem się żądaniom mego literackiego dyktatora. Pokusiłem się o napisanie szkicu w stylu drukowanych w „Spektatorze” pism Addisona [**Addison Joseph (1672-1719) – angielski eseista, poeta i pisarz. Wsławił się cyklem esejów do pisma „Spectator”, w których wystąpił jako moralista i krytyk współczesnej mu Anglii.**]; szkic został przyjęty. W krótkim czasie miałem już w tej dziedzinie ustaloną pozycję. Ja jednak nie ufałem swoim umiejętnościom w roztrząsaniach natury moralnej i rychło zwróciłem myśli ku drugiej sugestii wydawcy — opowiadaniu. Jego zamówienia stały się teraz częstsze i — aby ułatwić sobie pracę — pomyślałem o pomocy, jaką może mi dać tłumaczenie gotowych utworów. Nie miałem prawie żadnych możliwości zdobywania książek, lecz ponieważ pamięć miałem dobrą, często przekładałem lub wzorowałem swoje opowieści na utworach przeczytanych przed paroma laty. Jakaś fatalna siła, z której nie umiem sobie dobrze zdać sprawy, zwracała często moje myśli ku dziejom osławionych rozbójników, od czasu do czasu więc opisywałem wypadki i anegdoty z życia Cartouche’a, Gusmana d’Alfarache i innych podobnych im niezapomnianych, a czcigodnych dżentelmenów, których kariera życiowa została zakończona na szubienicy lub rusztowaniu.

Pamięć o przeszłości, o moim położeniu utrudniała mi jednak systematyczną pracę. Często w porywie rozpaczy odrzucałem pióro. Czasem całymi dniami byłem niezdolny do czynu, pogrążony w jakimś częściowym bezwładzie, żalonym ponad wszelkie słowa. Jednakowoż młodość i zdrowie pozwalały mi czasem przewyciężyć melancholię i zdobyć się niemal na wesołość. Gdyby ten stan był trwały, mógłbym dziś mile

wspominać ten epizod moich losów.

## ROZDZIAŁ XXXV

Kiedym tak usiłował wypełnić czas i zapewnić sobie utrzymanie w tym przejściowym okresie, aż poszukiwania mojej osoby stracą na gwałtowności, zawisło nade mną nowe niebezpieczeństwo, którego istnienia dotąd nie podejrzewałem.

Gines, rozbójnik wyrzucony z bandy herszta Raymonda, miał w ciągu ostatnich lat dwa zawody: jeden polegał na gwałceniu prawa, drugi — na służeniu prawu. Początkowo poświęcał się pierwszemu i przypuszczalnie jego wtajemniczenie w arkaana sztuki złodziejskiej uczyniło go później tak sprawnym w zawodzie łapacza złodziejów — zawodzie, któremu się poświęcił nie z wolnego wyboru, lecz z konieczności. W tym fachu zdobył wielką sławę, choć być może — nie dorównującą jeszcze jego zasługom, bo i tu, jak w innych profesjach ludzkiego społeczeństwa, jest tak, że jakkolwiek podwładni mogą się odznaczać rozumem i sprytem, jedynie zwierzchnicy chodzą w blasku sławy. Gines wykonywał swój zawód bardzo udatnie, kiedy przypadkiem zdarzyło się, że jeden czy dwa z jego wyczynów z okresu, kiedy jeszcze parał się niedozwolonym przez prawo rabunkiem, groziły wyjściem na jaw. Powtarzające się wzmianki na ten temat sprawiły, że Gines uznał za roztropne umknąć i w tym właśnie czasie wycofania się z areny publicznej wstąpił do bandy z okolic N.

Oto losy tego człowieka, zanim znalazł się w sytuacji życiowej, w jakiej go po raz pierwszy spotkałem. W tym okresie Gines był weteranem w bandzie herszta Raymonda, bowiem w krótkowiecznym narodzie złodziejskim łatwo się doczekać pozycji weterana. Wypędzony z bandy, powrócił raz jeszcze do swego prawego zawodu i został przyjęty przez dawnych towarzyszy z oznakami radości jako zbłąkana owieczka. W niższych klasach społeczeństwa najdłuższy okres czasu nie zdoła zmyć winy człowieka, lecz w owym czcigodnym bractwie szpiclów i łapaczów

panuje zasada: nigdy, jeśli z zachowaniem przyzwoitości da się tego uniknąć, nie żądać od współbraci rachunku za popełnione zbrodnie. Ludzie ci przypuszczalnie mają wstręt do niepotrzebnego brukania nieskalanej bieli swego zawodu. Inną zasadą przestrzeganą przez tych, którzy mają za sobą podobną karierę co Gines, zasadą, której i Gines hołdował, jest oszczędzać współników ostatnich rabunków i pod żadnym pozorem nie zaczepiać ich, chyba że z konieczności lub pod wpływem przemożnej pokusy. Z tej przyczyny herszt Raymond i jego kompania — zgodnie z taktycznym systemem Ginesa — byli (jakby on to określił) zabezpieczeni przed odwetem z jego strony.

Lecz chociaż Gines był — w tym właśnie znaczeniu słowa — człowiekiem o ścisłym poczuciu honoru, mój wypadek na nieszczęście nie podpadał pod jego kodeks honorowy. Los ścigał mnie bezlitośnie i z żadnej strony nie widać było pomocy ni wytchnienia. Prześladowanie, które cierpiałem, opierało się na domniemaniu, że dopuściłem się grabieży na ogromną sumę. Ale Gines nie miał z tym nic wspólnego, nie troszczył się o to, czy domniemanie jest prawdziwe, czy fałszywe, i nienawidził mnie tak samo, jak gdyby moja niewinność została udowodniona nad wszelką wątpliwość.

Łapacze, którzy aresztowali mnie na statku, opowiedzieli, jak to zwykle bywa w ich bractwie, o swych przygodach i wyrazili przypuszczenie, że mieli w ręku samego Kaleba Williamsa, za którego pojmanie ogłoszono nagrodę stu gwinei. Gines, odznaczający się w swoim zawodzie wybitną przenikliwością, porównywając fakty i daty zaczął podejrzewać w duszy, że Kalebem Williamsem był też człowiek, którego pchnął, a potem zranił w lesie opodal N. Do człowieka tego żywił najzawziętszą urazę.

Ja to byłem mimowolną przyczyną jego niesławnego wypędzenia z bandy Raymonda, a Gines, jak później zrozumiałem, miał wewnętrzne przekonanie, że nie było porównania między wolnym i godnym mężczyzny zawodem rozbójnika, który ja mu uniemożliwiłem, a nikczemnym i pospolitym zajęciem łapacza, do którego był zmuszony powrócić. Toteż otrzymawszy wspomniane informacje, natychmiast poprzysiągł mi zemstę. Postanowił poniechać wszystkich innych spraw i poświęcić swe siły na

wykurzenie mnie z mojej kryjówki. Nagroda, którą w zarozumiałstwie uważał już za swoją, miała być wystarczającym wynagrodzeniem za poniesione trudy i wydatki. Miałem więc przeciw sobie chytrego i doświadczonego łapacza, któremu pragnienie zemsty dodawało mocy i bezwzględności, człowieka, który nie znał hamulców sumienia czy ludzkich uczuć.

Kiedy w niedługi czas po zainstalowaniu się w mej obecnej siedzibie skreśliłem przed sobą obraz własnej sytuacji, myślałem — nierozumny — jak to często robią ludzie nieszczęśliwi, że moja dola już cięższa być nie może. Nowe nieszczęście, które wówczas nade mną zawisło, choć o nim nie wiedziałem, było najstraszliwszym ze wszystkich, jakie podsunąć może wyobraźnia. Nic chyba nie było tak groźne dla mego przyszłego spokoju, jak to fatalne spotkanie z Ginesem w lesie opodal N. Wtedy to — jak się okazuje — zrobiłem sobie drugiego wroga, i to ze szczególnego i straszliwego gatunku wrogów, którzy nigdy, póki życia, nie zapominają o swej nienawiści. Podczas gdy Falkland był niby zgłodniały lew, którego ryk wprawiał mnie w osłupienie i trwogę, Gines przypominał złośliwego insekta, niemal równie groźnego i napełniającego lękiem, który krążył nade mną, gdziekolwiek się ruszyłem, i ustawicznie groził mi swym trującym żądłem.

Pierwszym krokiem, jaki podjął Gines w celu wytropienia mnie, było udać się do portu, gdzie zostałem zatrzymany. Stamtąd wyszedł moją drogę do brzegów rzeki Severn, a od brzegów Severn do Londynu. Nie trzeba chyba nadmieniać, że każdego można wysledzić, byleby ścigający miał dość silne powody skłaniające go do wytrwałości. Nie udaje się to jedynie w wypadku, kiedy uciekający nie tylko ma doskonały plan ucieczki, ale i największe szczęście w jego wykonaniu. Gines w ciągu swego pościgu istotnie nieraz musiał zawracać i jak chart, kiedy zmyli trop, biec do miejsca, gdzie po raz ostatni zwietrzył zwierzynę, na której śmierć dybał. Nie szczędził trudów ni czasu, by zaspokoić namiętność, która opanowała go bez reszty.

Po moim przybyciu do stolicy Gines stracił na pewien czas wszelki ślad po mnie, ponieważ Londyn jest miastem, w którym ze względu na jego

ogromne rozmiary pojedynczy człowiek mógłby się ukryć i pozostać nieznanym. Lecz żadna trudność nie mogła zniechęcić mojego nowego wroga. Chodził od gospody do gospody (rozsądnie przypuszczając, że nie było prywatnego domu, do którego mógłbym się natychmiast udać), póki podając mój rysopis i odświeżając ludzkie wspomnienia nie odkrył, że przez jedną noc spałem w dzielnicy Southwark. Lecz dalszych wiadomości nie mógł zdobyć. Ludzie z gospody nie mieli pojęcia, co się stało ze mną następnego ranka.

To jednak uczyniło go tylko bardziej zaciekle w poszukiwaniach. Opisywać mnie było teraz trudniej ze względu na częściową zmianę stroju, jakiej dokonałem drugiego dnia pobytu w stolicy. Lecz w końcu Gines przewyciężył i te trudności.

Wytropiwszy moją bytność w drugiej gospodzie, otrzymał tam obfitsze informacje. Kilka osób z tej gospody zainteresowało się moją osobą i w wolnych chwilach komentowało na mój temat. Jakaś stara kobieta, ogromnie ciekawa i gadatliwa z natury, która mieszkała naprzeciwko i która tego ranka wstała wcześniej do prania, zobaczyła mnie ze swego okna, przy świetle dużej latarni wiszącej nad wejściem do gospody, jak wychodziłem z bramy. Mogła mnie widzieć tylko bardzo niedokładnie, ale zdawało się jej, że w mojej powierzchowności było coś żydowskiego. Każdego ranka miała zwyczaj prowadzić rozmowy z właścicielką gospody, czasem ponadto w towarzystwie chłopców do posług i pokojowych. Tego ranka w trakcie rozmowy zadała parę pytań dotyczących Żyda, który spał tu poprzedniej nocy. Żaden Żyd tu nie spał z kolei pobudzona została ciekawość gospodyni. O tej rannej porze nie mógł to być nikt inny poza mną. Było to bardzo dziwne! Porównały obserwacje dotyczące mojego wyglądu i stroju. Różniły się zasadniczo. W braku innych tematów rozmowy ów Żyd-chrześcijanin wielokrotnie dostarczał im tematu do dyskusji.

Ta wiadomość zdawała się Ginesowi ogromnie ważną. Lecz przez pewien czas rzeczywistość nie dotrzymywała kroku obietnicom. Gines nie mógł przecież wchodzić do każdego prywatnego domu, w którym kiedykolwiek odnajmowano mieszkania, tak jak to robił z gospodami.

Chodził więc po ulicach i natrętnym, badawczym wzrokiem wpatrywał się w twarz każdego Żyda, który przypominał mnie wzrostem, lecz na próżno. Odwiedzał Duke's Place i synagogi. Prawdę mówiąc nie mógł liczyć na to, że właśnie tu mnie znajdzie. Chwytał się jednak tego sposobu z rozpaczą, traktując go jako ostatnią nadzieję. Nieraz był już prawie gotów zaniechać pościgu, ale nienasycona, wiecznie żywa żądza zemsty przywoływała go na tę drogę z powrotem.

Traf zdarzył, że w tym podnieceniu i niepewności Gines odwiedził brata, który był głównym majstrem w drukarni. Usposobienie i tryb życia tych dwu ludzi były w najwyższym stopniu niepodobne do siebie, toteż stosunki ich były luźne. Drukarz był człowiekiem pracowitym, statecznym, skłaniającym się do wyznania metodystów i gorliwym w przymnażaniu majątku. Charakter i zajęcia brata ogromnie mu się nie podobały i nieraz próbował nakłonić go do poprawy, ale bezskutecznie. Chociaż mieli inne poglądy, widywali się jednak czasami. Gines lubił się chełpić swymi znakomitymi czynami, o których ważył się wspominać. Brat był jeszcze jednym słuchaczem, poza gromadą zwykłych kompanów. Drukarza zaś w opowieściach Ginesa bawiły prostackie, lecz bystre spostrzeżenia i interesowały nieznanne historie. W głębi ducha, (mimo całej swej stateczności i bigoterii, znajdował zadowolenie w myśli, że był bratem tak zręcznego i śmiałego człowieka.

Tym razem nasłuchawszy się przez pewien czas niezwykłych historii, które Gines na swój szorstki sposób raczył opowiadać, drukarz dla zaspokojenia swej ambicji zapragnął zabawić z kolei brata. Zaczął opowiadać niektóre z moich opowiadanków o Cartouche'u i Gusmanie d'Alfarache'u. Gines był zaintrygowany. Pierwszym jego uczuciem był podziw, drugim zazdrość i niechęć. Skąd mógł drukarz znać te historie? Brat odpowiedział na to pytanie.

— Coś ci powiem — mówił drukarz. — Nikt nie wie, co sądzić o pisarzu, który przysyła te historyjki. Pisze poezje, opowiadanki moralne i rozprawy historyczne. Ja, który jestem drukarzem i korektorem, i bez przechwałki mogę się uważać za dość dobrego sędziego w tych sprawach, uważam, że wszystkie te utwory są doskonałe, a przecież autor jest zwykłym Żydem.

(Mojemu poczciwemu drukarzowi wydawało się to tak dziwne, jakby utwory te pisał wódz plemienia Cherokeezów [**Cherokezy - plemię czerwonoskórych Indian, jedno z największych w Ameryce Północnej.**] znad wodospadu Missisipi.)

— Żydem! Skąd to wiesz? Czyś go kiedy widział?

— Nie, rękopisy przynosi nam zawsze jakaś kobieta. Ale mój szef nie znosi tajemnic: lubi znać autorów osobiście. Więc prześladowuje bez przerwy tę starą damę, nic z niej jednak nie może wydobyć; tylko jednego dnia wymknęło się jej przypadkiem, że ten młody człowiek jest Żydem.

Żyd! Młody człowiek! Ktoś, kto załatwia wszystko przez pełnomocników i wszystkie swoje czyny otacza tajemnicą! Oto był obfity materiał do rozważań i podejrzeń Ginesa. Niezależnie nawet od toku jego rozumowania upewniał go w tych podejrzaniach temat moich prac: pisałem o ludziach, którzy zginęli z ręki kata.

Gines krótko już potem rozmawiał ze swoim bratem, zapytał go tylko, jakby od niechcenia, co to za jedna owa starsza dama, w jakim mogła być wieku i czy często przynosiła mu podobne rękopisy. Po czym szybko skorzystał z okazji i pożegnał się.

Gines wysłuchał tej nieoczekiwanej wiadomości z niezmierną przyjemnością. Zdobywszy na podstawie napomknień brata wystarczającą ilość danych dotyczących osoby i wyglądu Mrs Marney i domyśliwszy się, że drukarz spodziewał się otrzymać coś ode mnie nazajutrz, Gines już od wczesnego rana zajął stanowisko na ulicy, aby przez własną niedbałość nie narazić się na niepowodzenie. Czekał kilka godzin, lecz nie bez pomyślnego skutku. Nadeszła Mrs Marney. Widział, jak wchodziła do drukarni, a po dwudziestu minutach ujrzał, że wraca. Szedł za nią krok w krok, aż weszła w bramę jakiegoś prywatnego domu. Wtedy powinszował sobie, że nareszcie jego trudy zostały uwieńczone powodzeniem.

Dom, do którego weszła Mrs Marney, nie był tym, gdzie mieszkała. Jakiś cudowny przypadek sprawił, że dostrzegła idącego za nią Ginesa. Po drodze do domu ujrzała jakąś kobietę, która upadła zemdlona. Wiedziona zawsze żywym współczuciem dla bliźnich, podeszła, by jej pomóc. W jednej chwili zebrał się dokoła nich tłum. Zrobiwszy wszystko, co było w jej mocy,



Mrs Marney skierowała się znów w stronę domu. Widok otaczającego ją tłumu nasuwał jej myśl o złodziejach kieszonkowych. Z obu stron przytrzymując suknię dłońmi rozglądała się jednocześnie po otaczających ją ludziach. Nieco gwałtownie wydostawała się z tłumu, a Gines, który musiał podejść bliżej, aby w tym zamieszaniu nie stracić jej z oczu, stał akurat naprzeciw niej. Miał bardzo dziwną twarz, na której długoletnia praktyka zostawiła ślady złośliwego sprytu i nieustraszonego zuchwalstwa. Mrs Marney, która nie była ani filozofem, ani fizjonomistą, była jednak wstrząśnięta. Ta dobra kobieta, jak większość osób o jej godnym uznania charakterze, miała szczególny sposób wracania do domu: nie głównymi ulicami, ale poprzez wąskie zaułki i pasáže pełne zawitych przejść i nagłych zakrętów. Na jakimś zakręcie przypadkiem mignął jej znowu ten sam człowiek. Ta okoliczność wraz z jego szczególnym wyglądem obudziła jej obawy. Czyżby szedł za nią? Był dzień i nie miała się czego lękać o siebie. Lecz czy ta okoliczność nie miała jakiegoś związku ze mną? Przypomniała sobie moją ostrożność, tajemnicę, jaką się otaczałem, i nie miała wątpliwości, że były po temu przyczyny. Przypominała sobie, że zawsze miała się na baczności, o ile chodziło o mnie, lecz czy dostatecznie? Pomyślała, że gdyby przez nią miała mnie spotkać jakaś bieda, do końca życia byłaby nieszczęśliwa. Postanowiła przeto dla ostrożności, na wypadek najgorszego, zająć do przyjaciółki i przesłać mi krótką wiadomość o tym, co zaszło. Pouczywszy przyjaciółkę, co ma robić, sama udała się natychmiast w odwiedziny do kogoś, kto mieszkał w zupełnie przeciwnym kierunku, prosząc, aby przyjaciółka udała się z misją do mnie w pięć minut po jej wyjściu. Tą przezornością uchroniła mnie na razie przed niebezpieczeństwem.

Tymczasem dostarczona mi wiadomość wcale mnie nie przekonała, aby niebezpieczeństwo było groźne. Czegokolwiek bym próbował się w tym doszukać, zdarzenie mogło być zupełnie niewinne, a strach — spowodowany wyłącznie zbyt dużą ostrożnością i dobrocią tej życzliwej i wyjątkowej kobiety. Lecz na tym właśnie polegała groza mojej sytuacji, że nie miałem wyboru. Zagrożony czy nie zagrożony musiałem opuścić mieszkanie w mgnieniu oka, nie zabierając ze sobą nic poza tym, co

mogłem unieść w rękę, musiałem odejść nie zobaczywszy się już z mą szlachetną dobrodziejką, zostawić moje skromne urządzenie i zapasy i jeszcze raz w jakimś nędznym schronieniu budować nowe plany i szukać — gdyby rozsądek dopuszczał takie nadzieje — nowych przyjaciół.

Wyszedłem na ulicę z ciężkim sercem, lecz nie tracąc animuszu. Był jasny dzień. W tej chwili, powiedziałem sobie, po ulicy włączą się podobno ludzie wypatrując mnie: nie wolno mi łudzić się nadzieją, że pójdą w innym niż ja kierunku. Przeszedłem kilka ulic, a potem wstąpiłem niespodzianie do jakiejś nędznej traktierni przeznaczonej dla ludzi o skromnych dochodach. Tu posiliłem się trochę, spędziłem kilka godzin na wyteżonym, choć smętnym rozmyślaniu, a w końcu poprosiłem o nocleg. Jednakże skoro tylko się ściemniło, wyszedłem (było to nieodzowne), aby zdobyć rzeczy potrzebne do nowego przebrania. Uporawszy się z przebraniem, w ciągu nocy opuściłem moje schronienie zachowując te same co i w poprzednich wypadkach środki ostrożności.

## ROZDZIAŁ XXXVI

Postarałem się o nowe mieszkanie. Dzięki specjalnemu nastawieniu umysłu, może dlatego, że ciągle myślałem o niebezpieczeństwach, wierzyłem, że alarm podniesiony przez Mrs Marney nie był bezpodstawny. Nie mogłem jednak odgadnąć, z jakiej strony groziło mi niebezpieczeństwo. Jedyłą więc, choć niewystarczającą, radą było zdwoić czujność we wszystkim, co robiłem. Musiałem jednak uwzględnić jednocześnie dwie konieczności: zachowanie bezpieczeństwa i zdobycie środków do życia. Posiadałem niewielkie resztki tego, co mi przyniosła moja poprzednia praca, lecz było to niewiele, ponieważ mój pracodawca zalegał z zapłatą i nie uważałem za stosowne zwracać się do niego po należność.

Mimo walki, jaką podjąłem z losem, niepokój niszczył moje zdrowie. Ani przez chwilę nie czułem się bezpieczny. Wyglądałem jak cień, a na każdy nieoczekiwany dźwięk wzdrygałem się ze strachu. Niekiedy czułem niemal pokusę, by oddać się w ręce prawa i stawić czoło najgorszemu, lecz w takich chwilach serce moje zalewała na nowo fala gniewu i oburzenia podsycając słabnącą wytrwałość.

W związku ze zdobyciem środków do życia nie widziałem lepszego rozwiązania niż to, do którego uciekłem się w poprzednim wypadku, to jest skorzystać z pośrednictwa osoby trzeciej przy proponowaniu owoców mojej pracy. Mogłem znaleźć człowieka gotowego podjąć się tego zadania, ale gdzie znajdę życzliwą duszę Mrs Marney?

Człowiekiem, którego wybrałem, był niejaki Mr Spurrel, przyjmujący do domu robotę od zegarmistrzów i mieszkający na drugim piętrze naszego domu. Zanim odważyłem się zbliżyć do niego, dwa czy trzy razy mijając na schodach obrzuciłem go niezdecydowanym spojrzeniem. Zauważył to i w końcu zaprosił mnie z całą uprzejmością do swego mieszkania.

Kiedy siedliśmy, zaczął ubolewać nad moim najwidoczniej złym

zdrowiem i samotnym trybem życia i chciał się dowiedzieć, czy nie mógłby mi być w czym pomocny. Od pierwszej chwili, w której mnie ujrzał poczuł do mnie sympatię. W moim obecnym przebraniu wyglądałem na szpetnego i ułomnego i pod żadnym względem nie byłem pociągający. Ale okazało się, że Mr Spurrel przed pół rokiem mniej więcej stracił jedyne syna, a ja byłem „jego żywym obrazem”. Gdybym odrzucił całą swą przybraną brzydotę, straciłbym przypuszczalnie wszystkie jego uczucia. Stary już z niego człowiek — mówił — chylący się do grobu, a syn był mu jedyną pociechą. Biedny chłopak wciąż niedomagał i on go doglądał, a im więcej pielęgnacji wymagał za życia, tym więcej brak mu go było, gdy już nie żył. Teraz nie ma na całym świecie ani jednego przyjaciela, ani jednego człowieka, którego by jego los obchodził. Gdybym zechciał, mógłbym mu zastąpić syna, a on traktowałby mnie z tą samą troskliwością i dobrocią.

Wyraziłem wdzięczność za te propozycje płynące z dobrego serca, lecz powiedziałem, że byłoby mi przykro stać się dla niego w jakikolwiek sposób ciężarem. Chciałbym — mówiłem — żyć w samotności i ukryciu, a największą trudnością będzie pogodzić to z jakimś sposobem zarobkowania. Gdyby zechciał udzielić mi pomocy w przewycięzeniu tej trudności, byłoby to największe dobrodziejstwo, jakie może mi wyświadczyć. Zawsze — dodałem — miałem inklinacje do prac mechanicznych i rękodzielnictwa i nie wątpię, że udałoby mi się szybko opanować każde rzemiosło, do jakiego bym się poważnie zabrał. Nie mam żadnego zawodu, lecz gdyby był łaskaw udzielić mi wskazówek, pracowałbym z nim, póki by chciał, za samo tylko utrzymanie. Wiem, że żądam od niego niezwyklej dobroci, lecz z jednej strony zmusza mnie do tego nagląca konieczność, z drugiej zachęcają jego szczerze słowa przyjaźni.

Starzec uronił kilka łez na widok mej rozpacz i chętnie zgodził się na wszystko, co proponowałem. Porozumieliśmy się szybko i rozpocząłem pracę. Mój nowy przyjaciel był człowiekiem o szczególnym usposobieniu. Miłość grosza i pełna miłosierdzia uczynność były głównymi cechami jego charakteru. Sam żył w najgorszym niedostatku i odmawiał sobie każdej przyjemności.

Po niedługim czasie zasługiwałem już na pewne wynagrodzenie, jak

sam powiedział, i nalegał, by mi je wypłacić. Nie wypłacił mi jednak całej sumy moich zarobków, jakby to uczynili w tych warunkach niektórzy ludzie, lecz oświadczył, że odlicza dwadzieścia procent, które mu się słusznie należą za naukę oraz jako komisowe za zapewnienie zbytu na wykonywane przeze mnie artykuły. Jednocześnie często płakał nade mną, nie lubił rozstawać się ze mną i ustawicznie okazywał mi przywiązanie i tkliwość. Stwierdziłem, że jest to człowiek niezwykle pomysłowy we wszystkim, co dotyczy mechaniki, i przestawanie z nim sprawiało mi dużą przyjemność. Moje własne wiadomości były dość różnorodne i towarzysz mój często wyrażał podziw i zachwyt nad moimi umiejętnościami, tak w zakresie rozrywki, jak i pracy.

Wydawało się, że znów znalazłem się w położeniu nie mniej dogodnym niż to, jakie zapewniały mi stosunki z Mrs Marney. Byłem jednakże bardziej nieszczęśliwy. Zwątpienie opadało mnie coraz silniej i coraz częściej. Zdrowie pogarszało się z każdym dniem i Mr Spurrel miał obawy, że straci mnie, tak jak stracił swego jedyne go syna.

Nie upłynęło wiele czasu, kiedy zdarzył się wypadek, który nappełnił mnie większą niż kiedykolwiek trwogą i przerażeniem. Po długotrwałym osłabieniu wyszedłem pewnego wieczoru na godzinę dla zażycia ruchu i powietrza, kiedy o uszy moje uderzyły dwa czy trzy przypadkowe wyrazy obwołującego swe towary ulicznego sprzedawcy. Przystanąłem, aby usłyszeć dokładniej, kiedy ku mojemu najwyższemu zdziwieniu i zmieszaniu usłyszałem, jak przemawia tymi mniej więcej słowy:

— Macie oto przed sobą zadziwiającą, a niezwykłą historię oraz cudowne przygody Kaleba Williamsa: dowiedcie się, jak wpierw ograbił, a potem rzucił fałszywe oskarżenie na swego pana, dalej, jak wielokroć próbował uciec z więzienia, co mu się wreszcie udało przedziwnym i zupełnie niewiarygodnym sposobem, o tym, jak wędrował po całym królestwie angielskim w różnych przebraniach, i o rabunkach, jakich dokonywał wraz z niezwykle zuchwałą bandą złodziejską, dalej o tym, jak przybył do Londynu, gdzie się teraz podobno ukrywa, wraz z prawdziwą i wierną kopią listu gończego wydrukowanego i ogłoszonego przez jednego z ważniejszych sekretarzy stanu jego królewskiej mości, a który obiecuje

nagrodę stu gwinei za pojmanie Williamsa. Wszystko za jednego pół pensa.

Choć skamieniałem na dźwięk tych zdumiewających i straszliwych słów, miałem przecież tyle śmiałości, aby podejść do owego człowieka i kupić jedną z jego broszur. Powziąłem desperacką decyzję: zapoznać się z jej treścią i dowiedzieć się, czego się mogę spodziewać. Unosząc ze sobą broszurę odszedłem niedaleko i — niezdolny dłużej poskromić niecierpliwości — znalazłem radę, by zapoznać się z głównymi punktami broszury, odczytując ją przy świetle latarni u wylotu jakiegoś wąskiego zaułka. Stwierdziłem, że zawiera ona więcej szczegółów, niż można by oczekiwać od tego rodzaju publikacji. W sztuce przenikania przez ściany i drzwi porównywano mnie z najbardziej osławionym włamywaczem, a pod względem obłudy, fałszu i udania — z najbardziej wykwalifikowanym oszustem.

List gończy, który Larkins przyniósł kiedyś do naszej leśnej siedziby, był przedrukowany w całości. Wyliczone były dokładnie wszystkie przebrania, pod którymi ukrywałem się aż do czasu ostrzeżenia udzielonego mi niedawno przez przezorną Mrs Marney, ostrzegano również publiczność, aby miała się na baczności przed osobnikiem o dziwacznym i niezwykłym wyglądzie, żyjącym na uboczu i w samotności. Dowiedziałem się także, że wieczorem w dniu mojej ucieczki przeszukano mieszkanie, które opuściłem, i że Mrs Marney, oskarżona o zatajenie przestępstwa, została uwieczniona w Newgate. Ta ostatnia okoliczność dotknęła mnie żywo. Mimo własnych cierpień nie osłabło we mnie uczucie życzliwości ku ludziom. Okrutna i nieznośna była mi myśl, że nie tylko sam byłem ofiarą niesłabnącego prześladowania, lecz i obcowanie ze mną było jak obcowanie z zapowietrzonym, tak że każdy okazujący mi pomoc musiał być wespół ze mną skazany na zagładę. Pierwszym moim odruchem było pragnienie, by nawet narażając się na całą wściekłość nieprzyjaciela, ustrzec ową wyjątkową kobietę przed niebezpieczeństwem. W jakiś czas później dowiedziałem się, że Mrs Marney została wypuszczona z więzienia dzięki wstawiennictwu swej wysoko urodzonej krewnej.

Jednakże moje współczucie dla Mrs Marney było w tej chwili uczuciem przelotnym. Należało wypełnić ważniejszy, bardziej naglący nakaz chwili.

Co przeżywałem rozważając treść owej broszury? Każde słowo napełniało mnie rozpaczą. Aresztowanie, którego się tak panicznie bałem, byłoby chyba lepsze. Położyłoby kres ustawicznej trwodze, która mnie trawiła. Przebranie na nic się już teraz nie zda. W każdej dzielnicy, w każdym niemal domu Londynu tłumy ludzi będą teraz patrzeć podejrzliwym okiem na każdego obcego, zwłaszcza samotnika. Nagroda stu gwinei miała pobudzić ich chciwość i zaostrzyć spostrzegawczość. To już nie sąd mnie ścigał, ale milion wrogich ludzi. Nie miałem nawet tej ucieczki, jakiej tylko nieliczni nieszczęśnicy są pozbawieni, ucieczki, jaką jest choćby jeden człowiek, któremu mógłbym powierzyć moje troski i który osłoniłby mnie przed spojrzzeniami bezmyślnej ciekawości.

Co mogło przewyższyć grozę tej sytuacji? Serce tłukło się jak oszalałe, pierś podnosiła się ciężko, dusiłem się i z trudem chwytalem oddech.

— „Nie ma więc końca — mówiłem sobie — moim prześladowcom. Moje nieznużone, nieustanne wysiłki nie położyły kresu prześladowaniom. Kres prześladowaniom! Nie: czas, który leczy wszystkie rany, moją sprawę czyni tylko bardziej rozpaczliwą.”

— Więc cóż — zawołałem, uderzony nową myślą — czemuż miałbym dłużej znosić ten wyścig? Przynajmniej w śmierci mogę znaleźć ucieczkę przed prześladowcami. Mogę pogrzebać siebie i ślady mego istnienia w kojącej niepamięci zostawiając moim niezmordowanym prześladowcom w spadku wieczną niepewność i ciągłą obawę. W mej ciężkiej udręce myśl ta była mi przyjemna, ruszyłem więc śpiesznie w stronę Tamizy, aby natychmiast wprowadzić ją w czyn. Umysł mój był w stanie takiego napięcia, że nawet wzrok miałem jakby przytępiony. Zapomniałem o osłabieniu spowodowanym chorobą, lecz gnałem naprzód z namiętną gwałtownością. Mijałem ulicę za ulicą nie dostrzegając, w jakim kierunku zdążam. Błąkając się w ten sposób sam nie wiem jak długo, znalazłem się wreszcie przy London Bridge. [**London Bridge (dosłownie: most londyński) — nazwa jednego z najstarszych mostów londyńskich.**]

Ruszyłem szybko ku schodom i na rzece ujrzałem mnóstwo statków.

„Żadna ludzka istota nie powinna mnie widzieć — powiedziałem sobie — w chwili gdy zniknę na zawsze.” Ta myśl wymagała rozważenia. Od

momentu mojego pierwszego, rozpaczliwego postanowienia upłynęło trochę czasu. Rozum zaczął mi powracać. Widok statków podsunął mi myśl, by jeszcze raz spróbować opuścić rodzinny kraj.

Zacząłem się dopytywać i rychło dowiedziałem się, że najtaniej wypadłaby mi podróż pewnym żaglowcem zakotwiczonym w pobliżu Tower, który za kilka dni miał odpłynąć do Middleburghu w Holandii. Byłbym się natychmiast udał na pokład i spróbował przekonać kapitana, by pozwolił mi zostać tu do chwili podniesienia kotwicy, niestety jednak nie miałem w kieszeni dość pieniędzy, aby opłacić podróż.

Gorzej. W ogóle nie miałem dość pieniędzy. Mimo to wpłaciłem kapitanowi połowę tego, co żądał, i obiecałem powrócić z resztą. Nie wiedziałem, w jaki sposób je zdobędę, ale wierzyłem, że jakoś uda mi się tego dopiąć. Przyszło mi na myśl, by zwrócić się do Mr Spurrela. Nie odmówi mi chyba. Zdawał się obdarzać mnie ojcowską miłością i myślałem, że mogę mu na chwilę zaufać.

Wróciłem do mieszkania z ciężkim, pełnym złych przeczuć sercem. Mr Spurrela nie było w domu i musiałem czekać na jego powrót. Wyczerpany zmęczeniem, rozczarowaniem i złym stanem zdrowia, upadłem na krzesło. Niezadługo jednak opamiętałem się. Miałem u siebie w skrzyni robotę Mr Spurrela doręczoną mi dzisiejszego ranka, o wartości przekraczającej pięciokrotnie potrzebną mi kwotę. Przez chwilę roztrząsałem, czy nie powinienem zrobić użytku z tych rzeczy, jakby były moją własnością, ale odrzuciłem tę myśl z pogardą. Nigdy w najmniejszym stopniu nie zasłużyłem na zarzuty, jakimi mnie obrzucano, i postanowiłem, że nigdy na nie nie zasłużę. Siedziałem oddychając ciężko, niespokojny, pełen najczarniejszych przeczuć. Sam nawet miałem wrażenie, że bardziej lękam się i gnębię, niżby to usprawiedliwiało moje położenie.

Było coś niezwykłego w tym, że Mr Spurrel znajdował się o tej godzinie poza domem, nie przypominałem sobie, by kiedykolwiek przedtem zdarzyło się coś podobnego. Udawał się na spoczynek między dziewiątą a dziesiątą. Nadeszła godzina dziesiąta, jedenasta, a jego nie było. O północy usłyszałem stukanie do drzwi. Cały dom pogrążony był we śnie. Mr Spurrel ze względu na swoje systematyczne życie nie posiadał klucza i nie mógł



sam sobie otworzyć. W duszy mojej zaświtało nikłe, słabe poczucie ludzkich powinności. Zbiegłem zwawo po schodach i otworzyłem drzwi.

Przy świetle niewielkiej woskowej świeczki trzymanej w ręku mogłem zauważyć w jego twarzy coś niezwykłego. Nie zdążyłem powiedzieć słowa, kiedy ujrzałem za nim dwóch mężczyzn. Raz rzuciwszy okiem wiedziałem już, co to za jedni. Spojrzawszy powtórnie dostrzegłem, że jednym z nich był nie kto inny, jak sam Gines. Już wcześniej wiedziałem, że pracował w tym zawodzie, i nie byłem zdziwiony spotkawszy go znów w tej roli. Choć przez trzy godziny przygotowywałem się w pewnym sensie do nieuniknionej konieczności, że znowu dostanę się w ręce przedstawicieli prawa, wejście ich przepęliło mnie uczuciem nieopisanej męki. Poza tym zdumiewały mnie niemało pora i sposób ich zjawienia się, chciałem koniecznie wiedzieć, czy Mr Spurrel mógł być tak nikczemny, by ich przyprowadzić.

Mój niepokój trwał krótko. Zobaczywszy, że jego towarzysze są już w drzwiach, zawołał z gorączkowym podnieceniem:

— Jest, jest, macie tu waszego ptaszka. Dzięki Bogu, dzięki Bogu!

Gines uważnie spoglądał mi w twarz z wyrazem to nadziei, to zwątpienia, po czym odparł:

— Na Boga, ale ja nie wiem, czy to on. Boję się, że trafiliśmy kulą w płot. — Potem opamiętawszy się dodał:

— Ale wejdźmy do środka i zobaczymy, co dalej.

Wszyscy poszliśmy po schodach do pokoju Mr Spurrela, usiadłem i postawiłem świeczkę na stole. Do tej chwili milczałem. Postanowiłem jednak nie poddawać się od razu, do czego zachęcały mnie trochę wyrażone przez Ginesa wątpliwości.

Zapytałem więc spokojnym i stanowczym głosem, nadając mu fałszywe brzmienie, które charakteryzowało się między innymi seplenieniem:

— Powiedzcie mi, proszę, panowie, czym wam mogę służyć?

— Szukamy — odparł Gines — niejakiego Kaleba Williamsa, a to łotr jakich mało. Powinienem znać tego ptaszka niegorzej, ale mówią, że on ma tyle twarzy, ile dni w roku. Zatem bądź pan łaskaw zdjąć z twarzy maskę, a jeśli nie możesz tego zrobić, możesz przynajmniej zdjąć z siebie

ubranie, żebyśmy zobaczyli, z czego jest zrobiony twój garb.

Protestowałem, lecz na próżno. Odkryto już częściowo mój podstęp, a Gines, choć jeszcze niezupełnie pewny, z każdą chwilą był głębiej przekonany o słuszności swoich podejrzeń. Mr Spurrel pożerał mnie wprost oczyma, które zdawały się gotowe pochłonąć wszystko na swej drodze. W miarę jak moje oszustwo stawało się coraz bardziej jawne, wołał raz po raz: „Dzięki Bogu, dzięki Bogu.” Znużony w końcu tą maskaradową sceną i czując niezmierny niesmak do sytuacji, w której wyglądałem na jakąś nikiemną i przewrotną kreaturę, zawołałem:

— Tak, jestem Kalebem Williamsem. Prowadźcie mnie, gdzie się wam podoba. A teraz, Mr Spurrel...

On wzdrygnął się cały. W chwili kiedy wyjawilem, kim jestem, uniesienie tego człowieka sięgało najwyższych granic i żadną siłą niezdolny był go pohamować. Lecz moje nieoczekiwane słowa i ton, jakim je wypowiedziałem, wprawiły go w drżenie.

— Czy to możliwe — ciągnąłem dalej — abyś pan musiał być tym nędznikiem, który mnie zdradził? Co zrobiłem, by zasłużyć na takie postępowanie? Czy to ma być ta dobroć, którą głosiłeś? Przywiązanie, któreś miał wiecznie na ustach? Pan będziesz winien mojej śmierci.

— Mój biedny chłopcze. Mój drogi! — zawołał Mr Spurrel, płacząc cicho, głosem, w którym brzmiała najpokorniejsza prośba o przebaczenie. — Wierz mi, nie mogłem nic na to poradzić. Gdybym tylko mógł, zaradziłbym temu. Ufam, że nikt nie skrzywdzi mego ukochanego dziecka. Umarłbym na pewno, gdyby ktoś je skrzywdził.

— Podły głupcze! — przerwałem ostro. — Wydajesz mnie w okrutne szpony prawa, a potem mówisz o tym, że nikt mnie nie skrzywdzi? Wiem, co mnie czeka, i gotów jestem na wszystko. Zarzuciłeś mi stryzynek na szyję i za tęże cenę postąpiłbyś tak samo z własnym synem. Idź, policz swoje przekłete gwineje. Bezpieczniejszy byłbym w rękach człowieka, którego nigdy przedtem nie widziałem niż w twoich, ty, coś miał w ustach fałsz, a w oczach krokodyla łyzy współczucia.

Zawsze byłem przekonany, że moja choroba i obawa, zbliżającej się śmierci odegrały swoją rolę w zdradzie Mr Spurrela, który przewidywał w

głębi duszy, że nadejdzie czas, kiedy nie będę już zdolny do pracy.

Ze śmiertelnym lękiem wspominał wydatki, jakie towarzyszyły chorobie i śmierci syna. Postanowił sobie, że nie okaże mi takiej pomocy, bał się jednak wyrzutów sumienia, że mnie opuścił. Bał się swej wrodzonej miękkości. Czuł, że coraz mocniej wkradam się w jego uczucia i że niedługo nie będzie już mnie mógł opuścić.

Powodował nim jakiś wewnętrzny nakaz, który dla uniknięcia jednego nieszlachetnego czynu popchnął go do innego, najnikczemniejszego, najbardziej diabelskiego. To, wraz z nadzieją obiecanej nagrody, było pokusą, której nie mógł się oprzeć.

## ROZDZIAŁ XXXVII

Dawszy folgę swemu gniewowi zostawiłem Mr Spurrela jak wrosłego w ziemię, niezdolnego wypowiedzieć słowa. Gines i jego towarzysze szli przy mnie. Nie ma potrzeby opowiadać tu o całej bezczelności tego człowieka. To rozkoszował się zaspokojeniem swej zemsty, to znów żałował straconej nagrody, mającej przypaść temu zgrzybiałemu staremu kutwie, z którym przed chwilą się rozstał, a którego — jak przysięgał — tak czy inaczej okpi. Przypisywał sobie autorstwo sprytnego pomysłu, by wykoncypować ową historyjkę za pół pensa, która nie mogła zawieść. Nie byłoby już — mówił — prawa ani sprawiedliwości, gdyby takiemu pokurczowi, który nic właściwie nie zrobił, pozwolono schować te pieniądze do kieszeni, a jego zasługi pozostawiono bez wyróżnienia i nagrody.

Nie bardzo słuchałem tego, co mówi. Jednakże gadanina ta zapadła mi w pamięć i przy najbliższej okazji przypomniałem ją sobie, choć wówczas o niej nie myślałem. Chwilowo zajmowało mnie bez reszty rozmyślanie nad moim nowym położeniem i nad tym, jak powinienem postąpić. Dwakroć, w momentach najgorszej rozpaczki, przychodziła mi do głowy myśl o samobójstwie, lecz na ogół biorąc była mi ona daleka. Więc i teraz, jak zawsze, kiedy ludzka niesprawiedliwość zagrażała mi bezpośrednio śmiercią, czułem się gotów walczyć do ostatka.

Rysujące się przede mną perspektywy były zaiste dość ponure i niezachęcające. Ilez trudu włożyłem w to, by najpierw wyrwać się z więzienia, a potem uchronić przed gorliwością ścigających mnie wrogów: i w wyniku tego wszystkiego wrócić znów do punktu, od którego zacząłem. To prawda, zdobyłem sławę, ale mizerna to była sława. Moją historię wykrzykiwali uliczni przekupnie i sprzedawcy ballad ludowych, a lokaje i pokojówki wielbili mnie jako poważnego i przebiegłego łotrzyka. Lecz nie byłem ani Erostratusem [**Erostratus lub Herostratos z Efezu. W r. 356**

**p.n.e. Podpalił świątynię Artemidy pod Efezem. Na torturach zeznał, że uczynił to dla zdobycia sławy.]** ani Aleksandrem, bym chciał umierać w glorii takiej chwały. Uwzględniając wszystkie te niezaprzeczone fakty, jaką odmianę losu mogły mi przynieść nowe, podobne do poprzednich próby? Żaden człowiek nie był nigdy prześladowany przez równie przebiegłych i zajadłych wrogów. Niewielka była nadzieja, że kiedykolwiek ustaną w prześladowaniu lub że moje przyszłe przedsięwzięcia zostaną uwieńczone pomyślniejszym skutkiem.

Takie myśli podyktowały mi nową decyzję. Mr Falkland stawał się dla mnie coraz bardziej obcy, aż uczucie to doszło niemal do odrazy. Przez długi czas żywiłem dla niego szacunek, którego nie mogły całkiem zniszczyć ani jego wrogość, ani nawet jego fałszywe oskarżenia. Lecz teraz widziałem w nim takie nieludzkie okrucieństwo — ścigał mnie przecież po całym świecie postanowiwszy sobie, że nie spocznie, póki nie przeleje mojej krwi — że widziałem w nim coś szatańskiego. Wiedział przecież, że jestem niewinny, niezdolny do zła, ba, mogę powiedzieć, wiedział nawet o moich cnotach. Od tej chwili podeptałem własnymi nogami szacunek i pamięć dawnego poważania dla Mr Falklanda. Utraciłem wszelkie względy dla jego wielkiego umysłu i wszelką litość nad śmiertelną męką jego duszy. Odżegnywałem się też od dotychczasowej wyrozumiałości. Pokażę, że jestem równie zawzięty i nieugięty jak on. Czy było rozumne z jego strony doprowadzać mnie do ostateczności i szaleństwa? Czy nie obawiał się o własną tajemnicę, odkrycie własnych okropnych zbrodni?

Resztę nocy, w ciągu której pojmano mnie, zmuszony byłem spędzić w więzieniu. Przez ten czas usunąłem wszelkie ślady noszonego przebrania i następnego ranka ukazałem się we własnej postaci.

Naturalnie rozpoznano mnie bez trudu, a ponieważ sędziowie, przed którymi stanąłem, to jedynie uważali za swój obowiązek, zajęli się z kolei przygotowaniem nakazu, by mnie odstawiono z powrotem do hrabstwa, skąd pochodziłem. Odwlokłem wykonanie tego nakazu nadmieniając, że pragnę coś wyjawić. Jest to oświadczenie, któremu ludzie w służbie sprawiedliwości nigdy nie poskąpią uwagi.

Stałem przed sędziami, przed których przyprowadził mnie Gines i

jego towarzysz, z mocnym postanowieniem wyjawienia tej niezwyklej tajemnicy, której do tej pory tak wiernie strzegłem, i raz wreszcie postanowiłem skierować sprawiedliwość przeciw memu oskarżycielowi. Już czas na to, by rzeczywisty zbrodniarz został ukarany, a niewinność przestała cierpieć wieczne męki.

— Zawsze twierdziłem, że jestem niewinny, i muszę raz jeszcze to oświadczenie ponowić — powiedziałem.

— W takim wypadku — odparł porywczo starszy sędzia — co możesz mieć do wyjawienia? Jeśli jesteś niewinny, to nie nasza sprawa. My postępujemy zgodnie z obowiązkami naszego urzędu.

— Zawsze oświadczałem — ciągnąłem dalej — że nie dopuściłem się żadnej winy, że cała wina leży po stronie mojego oskarżyciela. To on umieścił po kryjomu tamte przedmioty w moich skrzyniach, a potem oskarżył mnie o rabunek. Lecz teraz powiem więcej: oświadczam, że ten człowiek jest mordercą, że ja odkryłem jego zbrodnię i że z tego powodu zdecydowany jest doprowadzić do mej śmierci. Sądzę, panowie, że uznacie to oświadczenie za sprawę, która was dotyczy. Jestem przekonany, że pod żadnym pozorem, czynnie czy biernie, nie będziecie chcieli się przyczynić do okrutnej krzywdy, którą cierpię niesprawiedliwie, do uwięzienia i skazania niewinnego człowieka po to, by morderca mógł ujść bezkarnie. Milczałem tak długo, jak mogłem. Czułem przemożny wstręt do tego, by stać się sprawcą niedoli lub śmierci jakiegokolwiek ludzkiej istoty. Lecz wszelka cierpliwość i uległość mają swoje granice.

— Pozwól, panie — odparł z pompatyczną powściągliwością sędzia — zadać ci dwa pytania. Czyś w jakikolwiek sposób pomagał, podzegał lub też współdziałał w tym morderstwie?

— Nie.

— A powiedz mi, proszę, któż to jest ów Mr Falkland? I jaki charakter mogły mieć wasze wzajemne stosunki?

— Mr Falkland jest to szlachetnie urodzony pan, o sześciu tysiącach rocznego dochodu. Mieszkałem u niego jako jego sekretarz.

— Innymi słowami, byłeś wać jego sługą?

— Jak pan woli.

— Doskonale, to mi wystarcza. Po pierwsze muszę panu powiedzieć jako sędzia, że pańskie oświadczenie wykracza poza zakres moich funkcji. Gdybyś był waść zamieszany w morderstwo, o którym mówisz, rzecz wyglądałaby inaczej. Lecz dla sędziego przyjmować jakąś informację od przestępcy jest wykroczeniem poza wszelkie rozsądne przepisy, chyba że informacja przestępcy dotyczy jego współników.

Następnie, uważam za słusne powiedzieć panu od siebie, że wydajesz mi się najbardziej bezczelnym łotrem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Cóż to? Byłżebyś takim osłem, aby przypuszczać, że tego rodzaju historia, jaką tu opowiedziałeś, może ci coś pomóc czy tutaj, czy na rozprawie sądowej, czy gdzie indziej? A to by była doprawdy piękna historia, gdyby panowie o sześciu tysiącach rocznego dochodu, złapawszy służących na kradzieży, musieli patrzeć na to, jak ci służący zmyślają podobne oskarżenia, a jakiś sąd czy sędzia słucha tego! Czy przestępstwo, o które jesteś oskarżony, zaprowadziłoby cię pod szubienicę, czy nie, nie podejmuję się powiedzieć, lecz że ta ostatnia sprawa zaprowadzi cię tam, tego jestem pewien. Rychło by nastąpił koniec wszelkiego ładu i porządku, gdyby ludziom, którzy tak bezczelnie depczą różnice stanu i pozycji, pozwolono pod jakimkolwiek pozorem wywinąć się od odpowiedzialności.

— A czy odmawia pan wysłuchania szczegółów wnoszonego przeze mnie oskarżenia?

— Tak, mój panie, odmawiam. Lecz gdybym nawet nie odmówił, jakich — proszę — możesz przedstawić świadków tego morderstwa?

To pytanie zachwiało moją pewność.

— Żadnych. Lecz sądzę, że mogę wymienić poszlaki tego rodzaju, że zwrócą uwagę najbardziej obojętnego słuchacza.

— No tak, tak właśnie myślałem. Woźny, proszę odprowadzić tego człowieka.

Taki był skutek owego ostatniego środka ratunku, do jakiego się uciekłem, a do którego przywiązywałem tak wielką wagę. Do tej chwili uważałem, że okropna sytuacja, w jakiej się znajdowałem, przeciągała się na skutek mojej własnej wyrozumiałości, i postanowiłem raczej ścierpieć wszystko, co tylko może znieść człowiek, niż uciec się do tej ostateczności.

Tą myślą w skrytości ducha pocieszałem się wśród najgorszych klęsk: była to dobrowolna ofiara i składałem ją z radością. Wydawało mi się, że jestem zjednoczony z armią męczenników i wyznawców wiary Chrystusowej, byłem dumny z mego hartu i samozaparcia i znajdowałem upodobanie w myśli, że ode mnie zależało — choć ufałem, że nigdy nie zrobię z tego użytku — by przez wyjawienie tajemnicy położyć od razu koniec moim cierpieniom i prześladowaniom.

Więc taka jest ludzka sprawiedliwość? Są okoliczności, kiedy człowiek, który chce wyjawić zbrodnię, nie zostanie wysłuchany, ponieważ nie był jej współnikiem! Historia ohydneho morderstwa zostanie wysłuchana z obojętnością, podczas gdy niewinny człowiek ścigany będzie jak dziki zwierz do najdalszych krańców świata! Sześć tysięcy rocznego dochodu uchroni człowieka przed oskarżeniem, zaś oskarżenie będzie nieważne dlatego, że oskarżyciel jest służącym!

Odwieziono mnie z powrotem do tego samego więzienia, z którego przed kilkoma miesiącami uciekłem.

Serce mi pękało, kiedy wchodziłem w te mury. Nie mogłem się oprzeć uczuciu, że wszystkie moje więcej niż herkulesowe trudy nic mi poza udręką nie przyniosły. Od chwili ucieczki z więzienia zdobyłem pewną wiedzę o świecie. Gorzkie doświadczenie nauczyło mnie, jak licznymi więzami trzyma mnie w swej mocy społeczeństwo i jak mocno oplątują mnie sidła despotyzmu. Świat nie wydawał mi się już teraz, jak go widziałem w młodzieńczej wyobraźni, areną, na której można ukazywać się i znikać zależnie od kaprysów płoczej beztroski. Cała ludzkość zdawała mi się gotowa — w ten czy w inny sposób — stać się powolnym narzędziem tyranii. Nadzieja w moim sercu wygasła. Pierwszej nocy spędzonej w celi ogarniało mnie chwilami szaleństwo. Od czasu do czasu przerywałem panującą ciszę jękami niepohamowanej rozpacz. Lecz szaleństwo przeminęło i wkrótce powróciłem do trzeźwych rozmyślań o sobie i swej niedoli.

Przyszłość wydawała mi się czarniejsza, a obecne położenie bardziej beznadziejne niż kiedykolwiek. Znowu byłem narażony, jeśli to mogło pogorszyć sytuację, na bezczelność i samowolę, które nieustannie panowały



wśród tych ścian. Po cóż mam powtarzać ohydną opowieść o tym, co przecierpiałem, a co cierpi każdy, kto miał nieszczęście dostać się w ręce tych wyświęconych kapłanów naszego systemu prawa. Cierpienia, jakich już doznałem, obawy, ucieczka, wieczny lęk przed odkryciem, gorszy nawet od samego odkrycia — wydały się może wystarczającą karą nawet najbardziej bezlitosnemu człowiekowi, sądzącemu mnie w swoim sumieniu, i to nawet w wypadku gdybym był tym zbrodniarzem, za jakiego mnie uważano. Lecz prawo nie ma ani ludzkich oczu, ani uszu, nie zna ludzkiej litości i zamienia w kamień serca tych, którzy wychowani są w jego zasadach.

Znów jednak odzyskałem śmiałą gotowość na wszystko. Postanowiłem sobie, że póki życia śmiałość tę zachowam. Mogę być gnębiony, unicestwiony, lecz nawet umierając stawiać będę opór. Jaki pożytek, jaką korzyść, jakie zadowolenie może zrodzić pokorna uległość? Nie ma człowieka, który by nie wiedział, że korzyć się u stóp prawa to trud bezpłodny: w jego przybytkach nie ma miejsca na zadośćuczynienie i poprawę.

Niektórym ludziom może się wydawać, że hart mego ducha przekraczał zwykłą miarę ludzką. Lecz jeśli odsłonię moje serce, natychmiast poznają swój błąd. Serce to krwawiło boleśnie. Moja determinacja nie była wynikiem filozoficznego spokoju i rozsądku. Była ponura i desperacka, nie nadzieja ją zrodziła, lecz umysł zaciekle obstawający przy swych ideałach, umysł, który znajdował jak gdyby zadowolenie w samym wysiłku, obojętny na pomyślny czy niepomyślny wynik. Do tego oplakanego stanu, który mógłby obudzić litość w najtwardszym sercu, doprowadził mnie Mr Falkland.

Ja tymczasem — jakkolwiek dziwnym się to może wydać — tu, w więzieniu, wśród niezliczonych niewygód, oczekując niechybnego wyroku śmierci — odzyskałem zdrowie. Przypisuję to stanowi mego umysłu, który uległ zmianie: ustawiczny niepokój, lęk i obawy (ci zwykli domownicy celi więziennej, których tym razem nie przyprowadziłem ze sobą) ustąpiły miejsca desperackiej decyzji.

Przewidywałem wynik procesu. Postanowiłem jeszcze raz uciec z

więzienia i nie miałem wątpliwości, że potrafię zdobyć się przynajmniej na ten pierwszy krok do przyszłego ocalenia. Jednakże termin sesji sądowej był już bliski i istniały pewne względy, nad którymi nie będę się rozwodził, które przemawiały za tym, że może być korzystne poczekać, aż moja sprawa zostanie osądzona, i dopiero potem spróbować ucieczki.

Sprawa moja była jedną z ostatnich na liście. Zdziwiłem się więc niezmiernie, słysząc, że wbrew porządkowi wywołują ją w drugim dniu sesji wczesnym rankiem. Lecz jeśli to było zaskakujące, o ileż większe było moje zdumienie, kiedym ujrzał, że na wezwanie, by mój oskarżyciel wystąpił, nie zjawił się ani Mr Falkland, ani Mr Forester, ani nikt inny. Oskarżenie moich prześladowców uznano za nieważne i bez żadnych dalszych przeszkód sprawa moja została umorzona.

Nie podobna opisać wrażenia, jakie wywarła na mnie ta niewiarygodna odmiana losu. Ja, który stanąłem przed sądem, przekonany, że usłyszę wyrok śmierci, dźwięczący mi już w uszach, usłyszałem, że jestem wolny i mogę iść, gdzie mi się żywnie podoba! Czy po to rozbijałem tyle zamków i kłódek, i nieskruszone mury mego więzienia? Czy po to spędziłem tyle niespokojnych dni i tyle bezsennych, upiornych nocy? Więc po to suszyłem mózg poszukiwaniem sposobów ucieczki i ukrycia się, po to duch mój zdobył się na taką siłę, jakiej nie podejrzewałem w sobie, i po to życie moje wydane zostało na niekończące się męki, które wydawały mi się ponad siły ludzkie!

Wielki Boże! Czymże jest człowiek? Czyż jest tak ślepy i nieświadom swej przyszłości, tak zupełnie nieświadom tego, co go czeka w następnej chwili jego życia? Czytałem gdzieś, że niebiosy z litości kryją przed nami przyszłe zdarzenia naszego życia. Własne moje doświadczenie niezbyt dobrze zgadza się z tym twierdzeniem. W tym przynajmniej wypadku zaoszczędziłbym sobie nieznośnej męki i nieopisanych cierpień, gdybym mógł przewidzieć zakończenie tej niezwykle interesującej historii.

## ROZDZIAŁ XXXVIII

Niewiele czasu upłynęło, zanim pożegnałem się na zawsze z nienawistnym i ohydnyim więzieniem. Zbyt byłem zdumiony, zbyt podniecony nieoczekiwanym wyzwoleniem, by niepokoić się o przyszłość.

Opuściłem miasto, szedłem powoli, zamyślony, oddając się na przemian wybuchom radości, to znów zapadając w głęboką i nieokreśloną zadumę. Przypadek zaprowadził mnie ku temu samemu wrzosowisku, które niegdyś dało mi schronienie, kiedy za pierwszym razem wyrwałem się z więzienia. Błądziłem wśród jam i wądołów. Sam nie wiem, jak długo pozostawałem na tym bezludnym i dzikim pustkowiu. W końcu niepostrzeżenie zaskoczyła mnie noc i postanowiłem wrócić tymczasem do opuszczonego niedawno miasta.

Było już zupełnie ciemno, gdy wyskoczyło na mnie z tyłu dwóch mężczyzn, których do tej pory nie zauważyłem. Chwycili mnie za ręce i powalili na ziemię. Nie było czasu na stawianie oporu ani namysłu. Zdołałem jednak dostrzec, że jednym z nich był ten szatan — Gines. Zawiazali mi oczy, zakneblowali usta i pociągnęli w niewiadomym kierunku. Idąc w milczeniu, próbowałem odgadnąć, co mógł oznaczać ten niezwykły akt przemocy. Byłem absolutnie przekonany, że po wypadkach dzisiejszego ranka najcięższa i najboleśniejcza część mych losów została zakończona, i choć wyda się to dziwnym, nie chciałem wierzyć, by w tym nieoczekiwanym napadzie należało dopatrywać się czegoś groźnego. Mógł to jednak być jakiś nowy plan, który Ginesowi podsunęła jego wrodzona brutalność i zaciekle nienawiść.

Wkrótce przekonałem się, że powróciliśmy do miasta, które dopiero co opuściłem. Napastnicy zaprowadzili mnie do jakiegoś domu, a wszedłszy do jednej z izb, uwolnili mnie z knebla i opaski na oczach. Wtedy Gines ze złośliwym grymasem zawiadomił mnie, że nikt nie zamierza mi zrobić

krzywdy i że dlatego najrozsądniej zrobię, jeśli się będę zachowywał spokojnie.

Stwierdziłem, że znajdujemy się w jakiejś gospodzie. Gdzieś z sąsiedniego pokoju słyszałem głosy, toteż nabrałem równie mocnego przekonania jak i Gines, że w tej chwili nie było wielkiego powodu obawiać się jakiegoś gwałtu. Sądziłem, że wystarczy, jeśli zacznę się opierać wtedy, kiedy napastnicy będą usiłowali wyprowadzić mnie z gospody w ten sam sposób, w jaki mnie tu wprowadzili. Byłem także po trochu ciekawy, jak zakończy się historia o tak niezwykłym początku.

Ledwie dokonano opisanych przeze mnie przygotowań, kiedy do pokoju wszedł Mr Falkland. Pamiętam, jak Collins — opowiadając mi po raz pierwszy szczegóły życia naszego chlebodawcy — rzucił uwagę, iż jest on zupełnie niepodobny do tego, czym był niegdyś. Nie miałem możliwości stwierdzić, czy ta uwaga była prawdziwa. Natomiast widok, jaki ukazał się teraz moim oczom, w uderzający sposób potwierdził opinię Collinsa. A przecież, kiedy ostatni raz widziałem nieszczęśliwego Mr Falklanda, był on ofiarą tych samych namiętności, pastwą tych samych nieukojonych wyrzutów sumienia, co teraz. Już wtedy nieszczęście wyryło na tej twarzy swój widomy ślad. Lecz teraz jego postać niepodobna była do niczego, co ma ludzkie kształty.

Twarz mu wychudła, znędzniała, stwardniała. Cera miała odcień brunatnej, wyblakłej czerwieni. Barwa ta rozlewała się jednolicie po całej twarzy i wywoływała wrażenie, że twarz pali i wysusza wieczny ogień, pożerający ją od środka. Zaczerwienione, ostro patrzące oczy błędziły dokoła, podejrzliwe i szalone. Włos był rozwiany i zmierzwiony, całe ciało zaś wychudłe do tego stopnia, że sprawiało wrażenie szkieletu raczej niż żywego człowieka. Zdawało się niemal, że w tak wyniszczonym i upiornym ciele nie może tlić się życie. Płomień zdrowego życia wygasł, lecz namiętność, wściekłość i szaleństwo potrafiły go chwilowo zastąpić.

Jego widok zdumiał mnie i przeraził w najwyższym stopniu. On tymczasem rozkazał surowo ludziom, którzy mnie przyprowadzili, by opuścili izbę.

— A więc, mój panie — zaczął — udało mi się dzisiaj uchronić cię przed

szubienicą. Dwa tygodnie temu ty robiłeś, co mogłeś, by mnie zgotować ten haniebny koniec.

Byłżebyś tak głupi i niepojętny, by nie wiedzieć, że jedynym celem moich wysiłków: było ocalić ci życie? Czy nie wspomagałem cię w więzieniu? Czy nie próbowałem zapobiec temu, by cię tam posłano? Jak mogłeś pomylić zaślepienie i upór Forestera, który ogłosił nagrodę stu gwinei za pojmanie ciebie, z moim postępowaniem?

Miałem cię na oku we wszystkich twych wędrówkach. Przez cały ten czas nie uczyniłeś żadnego kroku, o którym nie byłbym powiadomiony. Chciałem twego dobra. Nie przelałem niczyjej krwi poza krwią Tyrrela, to było w chwili szaleństwa, a stało się przyczyną nieustannych, wiecznych wyrzutów. Nie przyczyniłem się do niczyjego nieszczęścia poza nieszczęściem Hawkinsów, nie mogłem ich inaczej ocalić jak tylko przyznając się do popełnionego morderstwa. Resztę mego życia spędziłem na dobrych uczynkach.

Chciałem twego dobra. Dlatego zamierzałem poddać cię próbie. Udawałeś w stosunku do mnie szacunek i względy. Gdybyś wytrwał w tym do końca, znalazłbym przecie jakiś sposób, by cię wynagrodzić. Pozostawiłem ci wolną wolę. Mogłeś okazać bezsilną złość twego serca, lecz wiedziałem, że w warunkach, w jakich się wtedy znajdowałeś, nie zdołasz mi zaszkodzić. Twoje względy dla mnie okazały się — jak to od dawna podejrzewałem — czczym wymysłem. Próbowaleś zniszczyć moje dobre imię. Staraleś się wyjawić największą tajemnicę mojej duszy. Tego ci nigdy nie przebaczę. Będę o tym pamiętał do ostatniego tchu. Moja pamięć o tym przetrwa, kiedy ja już żyć nie będę. Czy myślisz, że nie dosięgnie cię moja potęga, dlatego że sąd uznał twoją niewinność?

Kiedy Mr Falkland mówił, twarz jego zbladła nagle, ciałem wstrząsnęły konwulsje i chwiejnym krokiem skierował się ku krzesłu. Po jakichś trzech minutach przyszedł do siebie.

— Tak — powiedział. — Jeszcze żyję. Będę żył jeszcze dni, miesiące i lata, jedynie siła, która mnie stworzyła — czymkolwiek ona jest — potrafi określić, jak długo. Żyję, by być strażnikiem swej reputacji. Tak, i po to, by cierpieć męki, jakich nie cierpiał żaden człowiek. Lecz kiedy mnie nie

stanie, żyć będzie moja sława. Póki imię Falklanda powtarzane będzie po najdalsze zakątki wielomilionowego globu, potomność czcić będzie moją nieskalaną, nieposzlakowaną reputację.

Powiedziawszy to wrócił do tematu, który bardziej bezpośrednio dotyczył moich przyszłych losów i szczęścia.

— Jest jeden warunek — ciągnął dalej — pod którym możesz uzyskać pewne złagodzenie swej przyszłej niedoli. W tym celu posłałem po ciebie. Wysłuchaj mojej propozycji trzeźwo i rozsądnie. Pamiętaj, że igrać z moim nieodwołalnym postanowieniem jest nie mniejszym szaleństwem niż ściągnąć sobie na głowę skałę niepewnie wiszącą nad krawędzią potężnych Apeninów!

Obstaję więc przy tym, abys podpisał oświadczenie, stwierdzające w najbardziej uroczysty sposób, że nie jestem winny morderstwa i że oskarżenie, jakie złożyłeś w sądzie przy Bow-Street, jest fałszywe, złośliwe i bezpodstawne. Będiesz miał może skrupuły ze względu na prawdę. Czyż jednak prawda zasługuje na uznanie sama w sobie, a nie ze względu na szczęście, jakie powinna dawać? Czy rozsądny człowiek złoży ofiarę nagiej prawdzie, kiedy życzliwość, uczynność i wszystkie drogie ludzkiemu sercu uczucia żądają, by od niej odstąpić? Możliwe, że nigdy nie zrobię użytku z tego oświadczenia, lecz żądam go jako jedyne osiągalnego zadośćuczynienia za zamach, jakiego się dopuściłeś na moją dobrą sławę. To miałem ci zaproponować. Czekam twej odpowiedzi.

— Wysłuchałem pana do końca — odparłem — i nie trzeba mi namysłu, by odpowiedzieć panu odmownie. Przyjął mnie pan jako niedojrzałego i niedoświadczonego chłopca, którego mógł pan ukształtować wedle swej woli. Lecz w bardzo krótkim czasie dał mi pan ogromny zasób doświadczeń. Nie jestem już niezdecydowany i uległy. Nie potrafię odgadnąć, jaką władzę ma pan nadal nad moimi losami. Może mnie pan zniszczyć, lecz nie może pan sprawić, bym drżał przed nim. Obojętne, czy to, co wycierpiałem, było przez pana zamierzone lub nie, czy jest pan sprawcą moich nieszczęść, czy tylko na nie zezwalał. To jedno wiem, że zbyt okrutnie cierpiałem przez pana, abym uznał, że ma pan jakiegokolwiek prawo żądać ode mnie dobrowolnej ofiary.

Mówi pan, że życzliwość i uczynność wymagają ode mnie tej ofiary. Nie, byłaby to tylko ofiara złożona pańskiej szalonej i obłądnej żądzy sławy — tej namiętności, która stała się źródłem wszystkich pańskich nieszczęść, źródłem najtragiczniejszych cierpień dla innych ludzi i wszystkich niedoli, jakie stały się moim udziałem. Nie mam względów dla tej namiętności. Jeśli pan do tej pory nie został wyleczony z tego straszliwego i okrutnego szaleństwa, ja przynajmniej nie zrobię nic, by je podsycać. Nie wiem, czy od młodości byłem przeznaczony na bohatera, lecz mogę panu podziękować za lekcję niezłomnego męstwa.

Czegóż to bowiem żąda pan ode mnie? Aby podpisał wyrok na moje dobre imię dla ratowania pańskiego. Gdzież tu sprawiedliwość? Cóż to jest, co stawia mnie tak bardzo poniżej pana, że moje sprawy stają się absolutnie nieważne? Pan został wychowany w przesądach o wyższości pochodzenia. Ja te przesady odrzucam ze wstrętem. To pan doprowadził mnie do desperacji i mówię teraz to, co desperacja ciśnie mi na usta.

Powie mi pan może, że nie mam już dobrego imienia, które bym mógł postradać, że podczas gdy pana ludzie szanują jako człowieka bez winy i skazy, mnie uważają powszechnie za złodzieja, krzywoprzysięcę i oszczercę. Niech i tak będzie. Nigdy jednak nie zrobię nic, by dać podstawy do tych fałszywych zarzutów. Im bardziej pozbawiony jestem szacunku innych, tym bardziej będę się starał zachować szacunek dla samego siebie. Nigdy ze strachu lub innych niesłusznych pobudek nie zrobię nic, czego musiałbym się wstydić.

Jest pan zdecydowany na zawsze pozostać moim wrogiem. Niczym nie zasłużyłem na tę wieczną nienawiść. Zawsze miałem dla pana szacunek i litość. Przez długi czas wolałem znosić wszelkie utrapienia niż wyjawić ową, tak drogą panu tajemnicę. Nie kierował mną strach przed pana groźbami (coż jeszcze mógł pan dodać do moich cierpień?), lecz własna życzliwość, własne serce. W nim, a nie w gwałcie, powinien pan być pokładać ufność.

Cóż to za tajemnicza zemsta, którą może pan mnie jeszcze osiągnąć? Groził mi pan wprzód, teraz nie może pan zagrozić niczym gorszym. Pańskie groźby przestają działać. Rób pan ze mną teraz, co się panu

podoba, uczy mnie pan przyjmować wszystko z niezachwianym, desperackim spokojem. Proszę uprzytomnić sobie jedno! Nie uczyniłem kroku, który mi pan wyrzuca, póki nie zmusiła mnie do tego najgorsza ostateczność. Zniosłem tyle, ile może znieść człowiek. Żyłem w wiecznej trwodze i ciągłej czujności. Dwakroć byłem doprowadzony do zamiaru samobójstwa. Jednak żałuję teraz, że uczyniłem ten krok, o który mnie pan oskarża. Lecz doprowadzony do rozpaczyny okrucieństwami losu, nie miałem czasu ochłonąć ani rozważyć sprawy. Nawet w tej chwili nie żywię wobec pana mściwych uczuć. Chętnie zgodzę się na wszystko, co jest rozsądne, co istotnie może się przyczynić do pana bezpieczeństwa, ale nic mnie nie zmusi do czynu sprzecznego z rozsądkiem, uczciwością i sprawiedliwością.

Mr Falkland słuchał mnie ze zdumieniem i niecierpliwością. Nie wyobrażał sobie, że okażę się tak niezachwianym. Parokrotnie wstrząsała nim nurtująca go wściekłość. Raz i drugi chciał mi przerwać, lecz powstrzymywał go mój spokój i może chęć dokładnego zapoznania się ze stanem mego umysłu. Przekonawszy się, że skończyłem, milczał przez chwilę. Jego wściekłość zdawała się wzrastać, aż w końcu przestał panować nad sobą.

— Dobrze! — powiedział zgrzytając zębami i tupiąc nogą. — Odmawiasz ugody, którą proponuję! Nie mam władzy, by skłonić cię do uległości! Uragasz mi! Ale mam inną władzę nad tobą i zrobię z niej użytek: ta władza zetrze cię na pył. Nie zniżę się do dalszych wyjaśnień. Wiem, kim jestem i kim być mogę. Wiem także, kim ty jesteś i jaki los cię czeka!

Z tymi słowami opuścił pokój.

Oto szczegóły owej pamiętnej sceny. Zostawiła ona na mym umyśle niezatarte wrażenie. Postać Mr Falklanda i wyraz jego twarzy, jego słabość i wyniszczenie, przywodzące na myśl trupa, jego nadludzka energia i wściekłość, słowa, które wypowiadał, pobudki, którymi się kierował — wszystko to odbiło się w moim umyśle z siłą, której nic dorównać nie może. Na myśl o jego męce przebiegał mnie dreszcz. Jak blade w porównaniu z nią jest owo urojone, piekło, które — jak sobie ludzie wyobrażają — towarzyszy wszędzie wielkiemu nieprzyjacielowi rodzaju ludzkiego.



Od tych rozważań myśl moja zwróciła się teraz ku jego groźbom. Były tajemnicze i nieokreślone. Mówił o władzy nade mną, ale nie dał wskazówki, na czym ona miała polegać. Mówił o nieszczęściu, ale nie wymknęło mu się ani słowo, jakiego to rodzaju nieszczęście miało mnie spotkać.

Przez pewien czas siedziałem w milczeniu, roztrząsając to wszystko w myśli. Nikt nie przeszkadzał mi w tych medytacjach: ani Mr Falkland, ani nikt inny. Wstałem, opuściłem gospodę i wyszedłem na ulicę. Nie było nikogo, kto by mi stanął na drodze. Dziwne. Cóż to była za władza, której miałem się tak lękać, a która zostawiała mi zupełną swobodę? Zaczęło mi się roić, że wszystko, co słyszałem z ust mego strasznego wroga, było tylko szaleństwem, dziwactwem i że rozum, który tak długo służył mu, by zadawać udręki, odmówił wreszcie posłuszeństwa.

Lecz czy było możliwe, by w tym wypadku zapewnił sobie pomoc Ginesa i jego kamrata, którzy tak niedawno dokonali gwałtu na mojej osobie?

Szedłem ulicami z wielką ostrożnością. Patrzyłem uważnie na wszystkie strony, na ile tylko pozwalały mi ciemności, nie chciałem bowiem znów niespodzianie natknąć się na jakichś ludzi knujących przeciw mnie podstęp i gwałt. Nie wychodziłem — jak poprzednim razem — poza granice miasta, wydawało mi się bowiem, że ulice, domy i ludzie zapewniają mi pewien stopień bezpieczeństwa.

Idąc tak pełen podejrzeń i złych przeczuć, ujrzałem przed sobą Tomasza, służącego Mr Falklanda, o którym już nieraz miałem sposobność wspomnieć. Zbliżał się ku mnie tak prosto i otwarcie, że myśl o jakimś podstępie odbiegła mnie natychmiast. Poza tym zawsze uważałem, że Tomasz, choć nieokrzesany wieśniak, zasługuje na wyjątkowy szacunek.

— Tomaszu — powiedziałem, kiedy był już blisko — spodziewam się, że zechcesz mi powinszować: uwolniłem się nareszcie od tego okropnego niebezpieczeństwa, które wisiało nade mną od wielu miesięcy.

— Nie — odparł szorstko Tomasz — wcale nie chcę. Nie wiem, co mam myśleć o całej tej sprawie. Kiedy byłeś w więzieniu, taki nieszczęśliwy, poczułem nagle, jakbym cię niemal kochał. Teraz zaś, kiedy tamto minęło i puścili cię luzem, byś znowu mógł szkodzić, na sam twój widok krew się we

mnie burzy. Spojrzeć na ciebie, to jesteś ten sam chłopak, Williams, za którego z ochotą, jak to mówią, życie bym oddał. A przecież ta uśmiechnięta twarz ma za sobą rabunek i kłamstwa, niewdzięczność i podłość. Ostatni twój postępek przeszedł wszystkie. Jak mogłeś odgrzebać tę straszną historię z Mr Tyrrelem, której wszyscy zgodnie postanowili nigdy nie wspominać ze względu na dziedzica, a w której, jak to obaj dobrze wiemy, on jest niewinny jak nowonarodzone dziecko. Mam pewne dowody i przyczyny do tej rozmowy, w przeciwnym razie pragnąłbym z całego serca nie widzieć cię więcej na oczy.

— I wciąż tak źle o mnie myślisz?

— Gorzej. Myślę o tobie gorzej niż kiedykolwiek. Przedtem myślałem, że jesteś tak zły jak tylko człowiek potrafi. Zachodzę w głowę, co teraz zrobisz nowego. Ale na tobie sprawdza się stare przysłowie: „Ostro ten jeździ, komu diabeł woźnicą.”

— A więc nigdy nie będzie końca mojej niedoli! — wykrzyknąłem. — Cóż gorszego mógł uknuć przeciwko mnie Mr Falkland niż skazać mnie na złą sławę i nienawiść całego rodzaju ludzkiego?

— Mr Falkland, uknuć? To najlepszy przyjaciel, jakiego masz na całym świecie, choć okazałeś się wobec niego najnikczemniejszym zdrajcą. Biedny człowiek! Serce boli patrzeć na niego: jest wcieloną boleścią. A wcale nie jestem pewny, czy nie tobie zawdzięcza to wszystko. W każdym razie dorzuciłeś ostatnie brzemie do zgryzot, które go od dawna zżerają. A co to były za historie między naszym panem a panem Foresterem! Ten to wprost szalał z wściekłości na naszego pana za to, że go wyprowadził w pole z tym procesem i ocalił ci życie. Mr Forester przysięgał, że złapią cię i będą jeszcze raz sądzić na najbliższej sesji sądowej. Ale nasz pan jest stanowczy i jestem pewien, że postawi na swoim. Powiada, prawo jest przeciw panu Foresterowi. Kiedy człowiek widzi, jak nasz pan obmyśla wszystko dla twego dobra, jak całą twą złośliwość przyjmuje z cierpliwością niewinnego baranka, i kiedy się pomyśli, jak podle postąpiłeś w stosunku do niego, to się w głowie nie mieści. Na całym świecie nie spotka się czegoś podobnego. Na Boga, żałuj za swoje niegodziwe czyny i daj chociaż to skromne zadośćuczynienie, jakie dać możesz. Myśl o swej biednej duszy, zanim

pewnego dnia ockniesz się, jak amen w pacierzu, wśród siarki i wiekuistego ognia.

Mówiąc to wyciągnął rękę i ujął moją dłoń. Dziwne mi się to wydało, zrazu myślałem, że zaklinając mnie tak uroczyście, pełen dobrych zamiarów, zrobił to mimowolnie. Poczułem jednak, że wkłada mi coś do ręki. Natychmiast potem opuścił mnie i pobiegł jak strzała.

To, co mi w ten sposób ofiarował, było dwudziestofuntowym banknotem. Nie miałem wątpliwości, że to Mr Falkland polecił mu oddać mi te pieniądze.

Co miałem o tym myśleć? Jakie światło rzucało to na zamiary mojego nieubłaganego prześladowcy? Jego nienawiść do mnie była równie silna jak zawsze. Słyszałem to niedawno z jego własnych ust. Lecz zdawało się, że hamowały ją ostatki ludzkiej życzliwości. Zakreślił tej nienawiści granice, które pozwalały mu wykonać swoje zamysły, ale też w tych granicach ją utrzymywał.

To odkrycie nie dało mi żadnej pociechy. Nie wiedziałem, ile jeszcze cierpień przyjdzie mi znieść, zanim jego urażony honor i nienasycone pragnienie sławy znajdą zaspokojenie.

Nasuwało się jeszcze inne pytanie. Czy powinienem przyjąć pieniądze, które w ten sposób znalazły się w moich rękach? Pieniądze pochodzące od człowieka, który wyrządził mi taką krzywdę, mniejszą wprawdzie niż ta, którą wyrządził sobie samemu, lecz największą, jaką jeden człowiek może wyrządzić drugiemu. Od człowieka, który zmarnował moją młodość, zburzył spokój, który ściągnął na mnie odrazę ludzi i uczynił, że mnie wyrzutka nie mającego dla siebie miejsca na calutkiej ziemi. Od człowieka, który uknuł najpodlejsze i najbardziej niegodziwe kłamstwa i obstawał przy nich z taką powagą i uporczywością, że spotkał się z powszechną wiarą. Który godzinę temu ślubował mi nieubłaganą nienawiść i przysięgał, że ściągnie na mą głowę niekończące się pasmo nieszczęść. Czy takie postępowanie z mojej strony nie świadczyłoby o nikczemnej i podlej duszy, która płaszczy się przed tyranią, i że całuję rękę zbrczoną moją krwią?

Jeśli te argumenty były dość przekonujące, to nie brakowało mi też

kontrargumentów. Pieniądze były mi potrzebne: nie na coś złego czy zbytek, lecz na to, by utrzymać się przy życiu. Człowiek powinien umieć wszędzie, gdziekolwiek się znajdzie, zapewnić sobie środki egzystencji. Ale ja miałem rozpocząć nową erę w moim życiu, wyjechać gdzieś daleko, być przygotowanym na całą ludzką niechęć i nieodgadnione, a wrogie plany mego genialnego wroga. Środki codziennego utrzymania powinny być powszechną własnością. Cóż mogło mi zaszkodzić wziąć to, czego rzeczywiście potrzebowałem, skoro biorąc nie narażałem się na zemstę ani nie popełniałem żadnego gwałtu? Wspomniana suma będzie dla mnie zbawieniem, była przy tym ofiarowana dobrowolnie, a jej poprzedni właściciel nie poniósł z tego powodu żadnej krzywdy. Cóż jeszcze mogłoby przemawiać za tym, abym musiał zwrócić te pieniądze? Człowiek, który mi je dał, skrzywdził mnie: czy to jednak zmienia wartość tej kwoty jako środka wymiany? On — być może — będzie się chełpił tym, że zaciągnąłem w stosunku do niego zobowiązanie. Lecz to pewne, że cofać się przed czynem słusznym samym w sobie na skutek podobnej obawy byłoby tylko dowodem lęku i tchórzostwa.

## ROZDZIAŁ XXXIX

Pod wpływem tego rozumowania postanowiłem zatrzymać sumę, która znalazła się w moich rękach. Moją następną troską było wybranie miejsca, gdzie w ukryciu mógłbym pędzić życie ocalone tak niedawno z katowskiej ręki. Obecnie istniało mniejsze prawdopodobieństwo niż do czasu ostatnich krytycznych wypadków, że moje poczynania zostaną nagle przerwane. Poza tym niemały wpływ wywarła na tok moich rozumowań głęboka odraza do życia, jakie prowadziłem ostatnio.

Nie wiedziałem, w jaki sposób Mr Falkland zamierzał wyrzucić na mnie swą zemstę, lecz ogarnął mnie tak nieprzeparty wstręt do przebierań wszelkiego rodzaju i do spędzenia reszty życia grając jakąś rolę, że — przynajmniej w tej chwili — nie mogłem pogodzić się z myślą o czymś podobnym. Ten sam wstręt odczuwałem w stosunku do stolicy, gdzie spędziłem tyle godzin wśród kłamstwa, smutku i lęku. Zdecydowałem się przeto na plan, który już wcześniej wydawał mi się pociągający, a mianowicie: usunąć się daleko w jakieś wiejskie zacisze, spokojne i nikomu nie znane, gdzie — przez parę lat przynajmniej, może póki żyć będzie Mr Falkland — mógłbym skryć się przed światem i leczyć rany, jakie zadał mojej duszy fatalny splot naszych losów. Mógłbym tam uporządkować i wykorzystać nagromadzone doświadczenia, pielęgnować posiadane w pewnym stopniu talenty, a w przerwach od tych zajęć oddawać się prostym rzemiosłom i obcować z niewinnymi, niewykształconymi, lecz pełnymi życzliwości ludźmi. Groźby mojego prześladowcy zdawały się rokować nieuchronny kres takiemu życiu. Ale ja uznałem za roztropne nie brać tych gróźb pod uwagę. Porównywałem je do śmierci, która nieuchronnie nas zaskoczy, choć nie wiemy kiedy, ale możliwość jej nadejścia za rok, za tydzień lub jutro nie może być brana w rachubę przez nikogo, kto przystępuje do ważnego lub gruntownie przemyślanego dzieła.

Takie myśli zdecydowały o moim wyborze. Groźby wiszącej nade mną zagłady dźwięczały mi jeszcze w uszach, a już mój młodzięczy umysł kreślił przed sobą obraz dalekich lat. Tak długo żyłem w cieniu nieszczęścia, że w końcu groźne pomruki nadciągającej burzy nie potrafiły już zburzyć mego spokoju. Uważałem jednak, że póki jestem w zasięgu wroga, powinienem zachować całą możliwą czujność. Aby nie narażać się niepotrzebnie, wystrzegałem się ciemności i samotności.

Opuściłem miasto pocztowym dyliżansem, co dawało pełną gwarancję przeciw jawnemu i ohydному gwałtowi. Tymczasem stwierdziłem, że jestem w tym samym stopniu narażony na przykrości w podróży, co człowiek światowy mający najmniejsze powody do tego rodzaju obaw. W miarę jak wzrastała przebyta droga, zmniejszała się moja ostrożność, choć nadal miałem poczucie niebezpieczeństwa, a obraz mojego wroga prześladował mnie ustawicznie.

Zdecydowałem się na pewne nieznanne miasteczko w Walii. Kiedy wędrowałem po kraju w poszukiwaniu jakiegoś schronienia, miejscowość ta zwróciła moją uwagę. Miasteczko było czyste, wesołe, odznaczało się ogromną prostotą. Leżało z dala od gościńców i ruchliwych dróg i nie znalazłbyś tam nic, co by zasługiwało na nazwę rzemiosła. Krajobraz był tu mile urozmaicony, okolica częściowo dzika i romantyczna, częściowo bogata i żyzna.

Tu zdobyłem pracę w dwóch zawodach. Pierwszym było zegarmistrzostwo, w którym — choć miałem niewiele wiadomości — braki wynagradzała moja wrodzona pomysłowość w dziedzinie mechaniki. Drugim było nauczanie matematyki i dyscyplin stanowiących jej praktyczne zastosowanie: geografii, astronomii, miernictwa i nawigacji. W tej zapadłej mieścinie, którą wybrałem na swe schronienie, żadne z tych zajęć nie było źródłem wielkich dochodów, lecz jeśli moje dochody były szczupłe, wydatki były jeszcze mniejsze.

Zamieszkawszy tu zawarłem znajomość z wikarym, aptekarzem, adwokatem i resztą osób, które od niepamiętnych czasów uważane były za miejscową elitę.

Każdy z nich miał kilka zawodów. Wygląd wikarego niewiele mówił o

jego zawodzie z wyjątkiem dni niedzielnych. W inne dni raczył przyłożyć ewangeliczną rękę do pług lub zagnać z pola krowy na udój. Aptekarz od czasu do czasu urzędował jako balwierz, a adwokat był wioskowym nauczycielem.

Wszystkie te osoby przyjęły mnie życzliwie i gościnnie. W ludziach tak dalekich od zgiełku życia jest jakaś szlachetna ufność, która sprawia, że obcy bez trudu znajduje drogę do ich dobrych, przyjaznych serc.

Moje obyczaje nigdy bardzo nie odbiegły od prostoty wiejskiego życia: nie skaziły ich koleje mojego losu, a trudy, jakie znosiłem, dodały memu usposobieniu łagodności. W środowisku, w którym znalazłem się teraz, nie miałem żadnej konkurencji. Mój zawód mechanika-zegarmistrza był dotąd nie obsadzony, a nauczyciel, nie mając aspiracji w stosunku do wyżyn wiedzy, którą ja oświadczyłem gotowość wykładać, zgodził się dopuścić mnie jako współnika w dziele cywilizowania nieokrzesanych mieszkańców. Co do plebana, to cywilizacja nie wchodziła w zakres jego rzemiosła: jego sprawą było życie niebieskie, nie zaś doczesne, związane z ziemskim padołem. W istocie myśli jego przede wszystkim zaprzętała mąka owsiana i krowy.

Nie było to jednak jedyne towarzystwo, jakie znalazłem w tym dalekim ustroniu. Mieszkała tu rodzina całkiem innego pokroju, w której stopniowo uzyskałem przywilej bliskiej zażyłości. Ojciec był bystrym, roztropnym i rozumnym człowiekiem, lecz interesowała go przede wszystkim uprawa roli. Żona jego, prawdziwie zachwycająca i niezwykła kobieta, była córką neapolitańskiego szlachcica, który zwiedziwszy wszystkie kraje Europy i zyskawszy wszędzie duży rozgłos, w tej osadzie zakończył wreszcie swe życie.

Podejrzany o religijną i polityczną nieprawomyślność, wygnany został z rodzinnego kraju, jego mienie zaś skonfiskowano. Niczym Prospero w *Burzy* [Mowa tu o bohaterze dramatu Szekspira.] usunął się ze swym jedynym dziecięciem w najbardziej nieznany i dziki zakątek świata. W niedługi jednak czas po przybyciu do Walii chwyciła go złośliwa gorączka, która w przeciągu trzech dni przecięła nić jego życia. Zmarł nie pozostawiając nic poza kilkoma klejnotami i płatnym u jakiegoś

angielskiego bankiera biletem bankowym na niewysoką sumę.

W ten sposób nieletnia Laura znalazła się w obcym kraju, bez żadnych przyjaciół. Ojciec jej obecnego męża, kierując się ludzką życzliwością, próbował ulżyć niedoli umierającego Włocha. Choć był prostym, nieuczonym człowiekiem bez żadnego wyrobienia umysłowego, przecież miał w sobie coś, co skłoniło cudzoziemca znajdującego się w fatalnej, tragicznej wprost sytuacji, aby uczynił go wykonawcą swej woli i opiekunem córki. Neapolitańczyk na tyle znał język angielski, że zdołał wytłumaczyć swoje życzenie temu dobremu człowiekowi, pielęgnującemu go na łożu śmierci. Ponieważ warunki życia Walijczyka były skromne, więc służących cudzoziemca — parę Włochów, mężczyznę i kobietę — natychmiast po śmierci pana odesłano do ojczyzny.

Laura miała wówczas osiem lat. W tak młodym wieku niewiele mogła korzystać z bezpośrednich pouczeń swego ojca, a z biegiem lat nawet wspomnienie o nim stawało się w jej umyśle z każdym rokiem coraz bardziej mgliste i niewyraźne. Było jednak coś, co otrzymała od ojca czy to wraz z życiem, którym ją obdarzył, czy też w wyniku jego nauk i obyczajów, a czego czas nie mógł zatrzeć. Z każdym rokiem wzbogacał się zasób jej wiadomości. Czytała, patrzyła, rozmyślała. Nie mając żadnych nauczycieli nauczyła się sama rysować, śpiewać, rozumieć bardziej wytworne języki europejskie. Nie mając na tym odludziu żadnego towarzystwa poza wieśniakami, nie wiedziała, że można się chlubić czy wynosić z powodu tych umiejętności, pielęgnowała je, wiedziona wewnętrznym upodobaniem i ponieważ sprawiało jej to przyjemność.

Pomiędzy nią a jedynym synem jej opiekuna wzrastało stopniowo wzajemne przywiązanie. Ojciec od wczesnej młodości wciągał chłopca do prac i rozrywek wiejskich, tak że zajęcia jego i Laury mało miały ze sobą wspólnego. Lecz było to niedociągnięcie, którego ona nie potrafiła dostrzec. Przywykła do braku towarzystwa w swych ulubionych rozrywkach, przyzwyczajenie nawet kazało jej myśleć w owym czasie, że w samotności rozrywki te są bardziej urocze.

Młody wieśniak odznaczał się wielką prawością, gorącym sercem i był chłopcem wyjątkowo rozumnym. Nadto był hoży, zgrabny, a wrodzona



dobroć nadawała wdzięk jego zachowaniu. Od śmierci ojca Laura nie widziała nigdy większych zalet w ludzkim ciele. I rzeczywiście trudno ją uważać za nieszczęśliwą, bo jeśli uwzględnimy panujące dziś poglądy i obyczaje, jest mało prawdopodobne, aby w tym opuszczeniu i biedzie talenty Laury, którym nie towarzyszył majątek, zapewniły jej równego partnera w związku małżeńskim.

Zostawszy matką Laura otwarła swe serce nowym uczuciom. Olśniła ją nigdy przedtem nie przeczuwana myśl, że przynajmniej we własnych dzieciach może znaleźć partnerów i towarzyszy swych ulubionych zajęć. Kiedy zamieszkałam tu, miała czworo dzieci (z tego najstarszy syn) i dla wszystkich była niezwykle gorliwą nauczycielką. Było to dobrze dla niej, zapewne, że znalazła takie ujście dla swych zainteresowań. Stało się to w tym właśnie okresie, kiedy zachwyty, jakim napęła człowieka urok nowości, zaczyna przygasać. Teraz stała się znów czynna i ożywiona. Być może, jest niepodobieństwem, by subtelniejsze uczucia, do których zdolna jest natura ludzka, nie ustępowały z czasem zgnuśnieniu, gdyby nie przychodził im w pomoc wpływ towarzystwa i serdecznych przeżyć.

Syn walijskiego farmera i tej zachwycającej kobiety miał siedemnaście lat, kiedy osiedliłem się w ich sąsiedztwie. Najstarsza siostra była o rok młodsza od niego. Cała rodzina tworzyła grono ludzi, z którymi obcowanie byłoby rozkoszą dla każdego miłośnika spokoju i cnoty. Łatwo przeto pojąć, jak bardzo w tym dalekim od świata ustroniu cieszyła mnie ich przyjaźń, mnie, który czułem się ofiarą złości i obojętności ludzkiej.

Przemiała Laura miała zdumiewająco bystre oko i lotny umysł. Lecz silniej od tych cech malowała się na jej twarzy taka słodcz usposobienia, jakiej nie spotkałem u żadnej istoty ludzkiej. Rychło zaczęła mnie wyróżniać okazując życzliwość i przyjaźń, choć bowiem znane jej były płody wykształconego umysłu, przecież nigdy w życiu poza osobą ojca nie widziała wykształconego człowieka. Znajdowała przyjemność w rozmowach o literaturze i dobrym smaku i gorąco zapraszała mnie do pomocy w nauczaniu dzieci. Syn, choć bardzo młody, był tak doskonale wychowany i kształcony przez matkę, że odnalazłem w nim niemal wszystkie najważniejsze zalety, jakich wymagamy od przyjaciela. Zarówno obowiązki,

jak i serce kazały mi przepędzać znaczną część każdego dnia w tym miłym towarzystwie. Laura traktowała mnie, jak gdybym był członkiem rodziny, a ja czasem pochlebiałem sobie, że pewnego dnia mógłbym naprawdę nim zostać. Jakież by to było wymarzone miejsce odpoczynku dla mnie, człowieka, który nie znał nic oprócz nieszczęścia i ledwie śmiał szukać w ludzkiej twarzy śladów współczucia i życzliwości!

Przyjazne uczucia, które tak szybko zrodziły się pomiędzy mną a członkami tej uroczej rodziny, z każdym dniem stawały się silniejsze. Za każdą bytnością wzrastało zaufanie, jakim darzyła mnie matka. Im dłużej trwała nasza zażyłość, tym więcej nabierała owych subtelnych odcieni duchowego zbliżenia, dzięki któremu zdawała się ogarniać wszystkie dziedziny życia. W rosnącej przyjaźni istnieją tysiące drobnych, niedostrzegalnych posunięć, które w stosunkach zwyczajnej znajomości nie przyszłyby nikomu na myśl ani też nie zostałyby zrozumiane. Czcilem i szanowałem zacną Laurę niczym matkę, bo choć różnica wieku między nami nie była wcale tak duża, by mogła tłumaczyć takie uczucie, nasuwał mi je nieodparcie fakt, iż widywałem ją zawsze w tej roli. Jej syn był chłopcem porządnie wykształconym, bardzo rozumnym, prawym i czułym. Jednakże młody wiek i nieprzeciętne zalety matki hamowały cokolwiek niezależność jego sądów, wpajając weń jakąś religijną niemal uległość wobec jej woli. W najstarszej córce widziałem obraz Laury i to pociągało mnie ku niej obecnie, czasem zaś myślałem, że — być może — kiedyś później nauczę się ją kochać dla niej samej.

Niestety! Tak oto bawiłem się wizją dalekiej przyszłości, gdy w istocie stałem nad brzegiem przepaści.

Wyda się to może dziwne, że nigdy nie opowiedziałem tej uroczej damie ani mojemu młodemu przyjacielowi — bo tak pozwalał sobie nazwać jej syna — szczegółów mego życia. Lecz doprawdy pamięć tej historii przepełniała mnie wstrętem i całą nadzieję przyszłego szczęścia pokładałem w całkowitym zapomnieniu o niej. Pielęgnowałem miłe złudzenia, że tak właśnie się stanie, i wśród mego nieoczekiwanego szczęścia nie pamiętałem prawie lub pamiętając, nie chciałem przykładąć większej wagi do grózb Mr Falklanda.

Pewnego dnia, kiedy byłem sam z doskonałą Laurą, wymówiła ona to straszliwe dla mnie nazwisko. Drgnąłem ze zdziwienia, zdumiony, że kobieta, która nikogo nie знаła, która żyła w takim odosobnieniu, gdzieś w zapadłym kącie świata, która nigdy ani na chwilę nie zetknęła się z wykwiutnym towarzystwem, że ta cudowna i urocza pustelnica jakimś niezrozumiałym trafem poznała to fatalne, straszliwe nazwisko. Zdumienie nie było jednak jedynym uczuciem, jakiego doznałem. Zbladłem z przerażenia, wstałem z krzesła, spróbowałem usiąść na powrót, chwiejnym krokiem wypadłem z pokoju i szukałem ucieczki w samotności. Zdarzenie było tak nieoczekiwane, że zapomniałem o całej ostrożności. Byłem jak otępiały.

Laura z właściwą sobie przenikliwością zauważyła, co się ze mną dzieje. Lecz nic więcej nie wydarzyło się na razie, by zająć jej uwagę tą sprawą. Wnioskując z mojej twarzy, że wypytywanie byłoby dla mnie bolesne, miłosiernie powściągnęła swą ciekawość.

Odkryłem później, że ojciec Laury znał Mr Falklanda, że nieobca mu była historia księcia Malvesi i wiele innych spraw przynoszących najwyższy zaszczyt dzielnemu Anglikowi. Neapolitańczyk zostawił listy, w których sprawy te były opisane i które były istnym panegirykiem na cześć Mr Falklanda. Laura przywykła spoglądać na każdą najdrobniejszą pamiątkę po swym ojcu z rodzajem religijnej czci i dzięki temu imię Mr Falklanda łączyło się w jej duszy z uczuciem niezmiernego szacunku.

Otoczenie, w jakim żyłem, było może miłsze dla mnie niż dla większości ludzi o moim wyrobieniu umysłowym. Wycierpiawszy tyle prześladowań i utrapień, krwawiąc niejako z każdej żyły, niczego bardziej nie pragnąłem jak wytchnienia i spokoju. Byłem — przynajmniej w chwili obecnej — tak wyczerpany niedawnym, niemal nadludzkim wysiłkiem, że stanowczo potrzebny mi był okres względnego spokoju.

Był to jednak stan przejściowy. Zawsze miałem żywy umysł, a przebyte cierpienia zaostrzyły moją wrażliwość dodając większej siły moim myślom. Rychło zapragnąłem jakiegoś zatrudnienia dodatkowego i wymagającego wysiłku. W tym stanie umysłu natknąłem się przypadkowo u jednego z sąsiadów na słownik czterech północnych języków. Ten przypadek

podsunął mi pewną myśl. W młodości interesowałem się dość żywo obcymi językami. Postanowiłem pokusić się — choćby na własny użytek — o etymologiczną analizę języka angielskiego. Szybko spostrzegłem, że ta praca ma dla człowieka w moim położeniu szczególne zalety i że studiowanie niewielkiej ilości książek pod tym kątem widzenia zajmie mi dłuższy czas. Postarałem się o inne słowniki. Oddając się przypadkowej lekturze notowałem, w jakim znaczeniu bywają używane poszczególne słowa i korzystałem z tych obserwacji w moich badaniach. Oddawałem się tym zajęciom niezmordowanie i moje materiały rosły w sposób obiecujący. Te studia dawały mi zarazem możliwości pracy i wypoczynku, co najskuteczniej usuwało z mych myśli wspomnienia przeżytych nieszczęść.

Przy tym pomyślnym stanie rzeczy tydzień mijał za tygodniem bez żadnych zajęć i niepokojów. Obecne warunki mojego życia przypominały nieco te, wśród których spędziłem lata młodości, a dodatkową ich zaletą było bardziej interesujące towarzystwo i większa dojrzałość moich poglądów. Miniony okres życia zaczął mi się wydawać bezładnym, a dręczącym snem lub raczej uczucia moje były niby uczucia człowieka, który po ataku straszliwego szału, kiedy dręczyły go strach, zmaćcone myśli o ucieczce i prześladowaniu, śmiertelna męka i rozpacz, odzyskał nagle przytomność. Kiedy uzmysławiałem sobie, com przeszedł, odczuwałem pewne zadowolenie, jak wówczas gdy wspominamy rzeczy minione. Każdy dzień umacniał we mnie nadzieję, że dawne cierpienia nie powrócą już nigdy. Ponure i przerażające groźby Mr Falklanda z pewnością były raczej błędnymi rojeniami jego wzburzonego umysłu niż ostatecznym wynikiem jakiegoś przemyślanego, dobrze przygotowanego planu. Jakże szczęśliwy byłbym, szczęśliwszy ponad miarę ludzką, gdyby — po wszystkich mękach strachu i rozpacz — nieoczekiwanie przywrócono mi prawa człowieka!

Podczas gdy tak kołem swoją duszę tymi miłymi wyobrażeniami, zdarzyło się, że z odległości pięciu czy sześciu mil przybyło do naszego miasta kilku mularzy i ich czeladników, by wykonać pewne prace przy rozbudowie jednego z okazalszych domów, który obejmował nowy lokator. Trudno o bardziej błahe wydarzenie, gdyby nie to, że zbiegło się dziwnie w czasie ze zmianą, która nastąpiła w moim położeniu. Zrazu przejawiało się

to w pewnym skrępowaniu, z jakim zaczęła mnie traktować najpierw jedna osoba, a potem inne spośród moich niedawno nawiązanych znajomości. Niechętnie wdawali się ze mną w rozmowę, a na moje pytania odpowiadali niezręcznie i z zaambarasowaniem. Spotykając mnie na ulicy czy w polu, pochmurnieli i starali się wyminąć. Uczniowie jeden po drugim zaczęli mnie opuszczać, nie zlecano mi już prac jako mechanikowi. Nie podobna opisać uczuć, jakie ta powolna, lecz stale postępująca odmiana budziła w mej duszy. Byłem jak człowiek dotknięty jakąś zaraźliwą chorobą, od którego wszyscy odsuwają się z trwogą, zostawiając samego bez pomocy, by marnie zginął.

Prosiłem tego i owego, by wytłumaczyli, co oznacza to zachowanie się, lecz wszyscy wymawiali się, dając jakieś wykrętne i dwuznaczne odpowiedzi. Czasem myślałem już, że wmawiam w siebie to wszystko, dopóki chłód, z jakim się do mnie odnoszono, nie uświadomił mi zbyt boleśnie, że to rzeczywistość.

Niewiele rzeczy potrafi tak wstrząsnąć ludzką duszą, jak pewne zmiany w zachowaniu naszych bliźnich, zmiany o wielkim dla nas znaczeniu, dla których nie umiemy znaleźć żadnego zadowalającego uzasadnienia. Niekiedy byłem niemal skłonny uwierzyć, że to nie ludzie zmienili się, lecz że to okropne przywidzenie miało swe źródło w obłąkaniu mego własnego umysłu. Próbowałem przebudzić się z tego koszmarne snu i wrócić do poprzedniego stanu wesela i szczęścia, lecz na próżno. Tak samo nie znając przyczyny nieszczęścia, ale widząc, że ustawicznie przybiera na sile i że (o ile mogłem zauważyć) zdaje się być niezawisłe od niczyjej woli, nie umiałem oznaczyć jego granic ani przewidzieć, do jakiego stopnia może mnie obezwładnić.

Przy całej jednak niezwykłości tej pozornie niepojętej sytuacji nasuwała mi się jedna uparta myśl, od której nie mogłem się już opędzić: „To sprawa Falklanda!” Daremnie walczyłem z tym na pozór nieprawdopodobnym przypuszczeniem. Daremnie mówiłem sobie:

„Mr Falkland, choć tak mądry, mający tak wiele możliwości, rozporządza przecież ludzkimi, nie nadprzyrodzonymi środkami. Może zaskoczyć mnie zniecka w sposób zupełnie nieprzewidziany, nie może

jednak osiągnąć tak poważnych i okropnych skutków bez widzialnego działania, choćby nie wiem jak trudno było wysledzić, kto się za nim kryje. Nie może przecież — na podobieństwo owych niewidzialnych istot, które od czasu do czasu mieszają się pono do ludzkich spraw — unosić się na skrzydłach wichru, spowijać w chmury i nieprzebitą ciemność i siał zniszczenie ze swej tajemnej siedziby.

W ten sposób próbowałem oszukać swą wyobraźnię i przekonać samego siebie, że moja obecna niedola miała inne przyczyny niż poprzednia. Wszystkie krzywdy wydały mi się błahe w porównaniu ze wspomnieniem i przeciąganiem owej pierwszej krzywdy. Czułem się jak człowiek szarpany sprzecznymi uczuciami: z jednej strony nie wiedziałem, co myśleć o tej historii wykluczając udział Mr Falklanda, z drugiej zaś — sama możliwość tego, że po wielotygodniowym (a łudziłem się, że będzie ono już trwałe) zawieszeniu broni przyjdzie mi znów stanąć naprzeciw jego nienawiści, napełniała mnie przerażeniem. Dla człowieka w tak fatalnej sytuacji, w jakiej ja się znajdowałem od dłuższego czasu, ten okres był całym wiekiem. Lecz mimo wszystkich wysiłków nie mogłem pozbyć się tej okropnej myśli. O geniuszu i wytrwałości Mr Falklanda miałem od dawna takie wyobrażenie, że z trudem przychodziło mi uwierzyć, by cokolwiek było dlań niemożliwe. Nie pomogły w tym wypadku moje rozumowania, że wszystko, co się dzieje, ma materialne przyczyny i jest ograniczone możliwościami człowieka. Mr Falkland był dla mnie zawsze przedmiotem podziwu, a zazwyczaj uważamy się za niepowołanych do analizowania tego, co budzi w nas podziw.

Łatwo zrozumieć, że jedną z pierwszych osób, do której zwróciłem się o wyjaśnienie tej straszliwej tajemnicy, była mądra Laura. Zawód, jakiego doznałem z tej strony, ugodził mnie w samo serce. Nie byłem na to przygotowany. Pamiętałem o jej wrodzonej szlachetności, o szczerości, jaka cechowała jej sposób bycia, o względach, jakimi mnie zaszczycała. Jeśli chłód, surowość i okrutna pomyłka, która mieszkańcom osady kazała odpychać moje próby zbliżenia, sprawiały mi udrękę, udręka ta tym silniej kazała mi szukać pociechy u tej, którą uwielbiałem.

„Mogę być pewny — mówiłem sobie — że do Laury nie znajdą dostępu

te gminne uprzedzenia. Ufam w jej sprawiedliwość. Jestem przekonany, że nie odtrąci mnie nie wysłuchawszy, nie zbadawszy ze wszystkich stron sprawy tak nieskończenie ważnej dla człowieka, którego niegdyś považała.”

Dodając sobie w ten sposób odwagi skierowałem się w stronę jej domu. Idąc zbierałem siły, przyzywałem na pomoc wszystkie zdolności.

„Mogę się stać nieszczęśliwym — mówiłem sobie — ale nie będzie to przez zaniedbanie czegokolwiek, co mogłoby dać szczęśliwe wyniki. W opowiadaniu będę jasny, zwięzły i prosty, w wyznaniach — szczery. Nie przemilczę nic, co mogłoby być potrzebne dla wyjaśnienia sprawy. Nie zahaczę z własnej woli o moje dawne stosunki z Mr Falklandem. Lecz jeśli stwierdzę, że moje obecne nieszczęście związane jest z tamtymi sprawami, nie lękam się, że uczciwym wyjaśnieniem położę koniec temu nieszczęściu.”

Zapukałem do drzwi. Otworzyła mi służąca mówiąc, że pani prosi, bym zechciał wybaczyć, ale nie może mnie przyjąć.

Zdawało mi się, że grom we mnie uderzył. Nogi wrosły mi w ziemię. Przygotowywałem się przezornie na wszystko, co wedle mego przypuszczenia mogło nastąpić, lecz taka ewentualność nie wchodziła w moje rachuby. Oprzytomniawszy częściowo, odszedłem bez słowa.

Nie zdążyłem odejść daleko, kiedy zobaczyłem, że idzie za mną jeden z robotników. Ten wręczył mi kartkę o następującej zawartości:

„Panie,

Proszę, byś pan nigdy więcej nie próbował mnie widzieć. Mam prawo oczekiwać, że się pan zastosujesz przynajmniej do tego żądania. I pod tym warunkiem przebaczę panu ową ogromną niestosowność i winę, jaką popełniłeś w stosunku do mnie i mojej rodziny.

Laura D e n i s o n”

Nie sposób opisać uczuć, z jakimi czytałem tych kilka wierszy. Znalazłem w nich okropne potwierdzenie osaczającego mnie ze wszystkich stron nieszczęścia. Lecz najbardziej zranił mnie niewzruszony chłód, z jakim zdawały się być napisane. Ten chłód ze strony Laury, mojej pocieszycielki, przyjaciółki, matki! Odprawić mnie, odpędzić na zawsze bez

najmniejszego żalu!

Pomimo tego żądania i pomimo jej chłodu postanowiłem jednak zobaczyć się z nią. Nie wątpiłem, że uda mi się przewyciężyć jej niechęć. Nie bałem się, że potrafię odwieść ją od niskiego i niegodnego postanowienia, by potępić człowieka w sprawie tak istotnej dla jego szczęścia, potępić nie poznawszy dobrze rzucanego nań oskarżenia ani nie wysłuchawszy jego obrony.

Choć byłem pewny, że okazując stanowczość zdołałbym dotrzeć do niej w jej własnym domu, postanowiłem zaskoczyć ją raczej, zastać nieprzygotowaną i niewzburzoną jakimś wstępnym sporem. Za czym nazajutrz z rana, o tej porze kiedy Laura zwykła wychodzić na półgodzinną przechadzkę, aby zażyć ruchu i powietrza, udałem się spiesźnie w stronę jej ogrodu, przeskoczyłem przez płot i ukryłem w altanie. Po chwili ujrzałem z mojej kryjówki, jak cała młodzież rodziny Denisonów spaceruje po ogrodzie, a stamtąd udaje się na pola. Lecz ja starałem się, by mnie nie dojrzano. Nie zauważony, rzuciłem jednak za nimi gorące spojrzenie i nie mogłem powstrzymać się, by nie zadać sobie pytania: czy możliwe, bym oto widział ich po raz ostatni?

Dzieci nie zdążyły się jeszcze zapuścić daleko w pola, kiedy ukazała się ich matka. Widziałem jej twarz jak zwykle pogodną i słodką. Czułem, jak serce tłucze mi się w piersi. Czułem, jak całego mnie ogarnia wzburzenie. Wysunąłem się z altany, a podchodząc bliżej przyśpieszyłem kroku.

— O pani! — zawołałem. — Na litość boską, zechciej mnie wysłuchać! Nie stroń ode mnie!

Stanęła bez słowa.

— Nie — odparła. — Nie będę od pana stronić. Chciałam, byś mi pan zaoszczędził tego spotkania, lecz jeśli to niemożliwe... nie poczuwam się do żadnej winy. I dlatego, choć to spotkanie jest dla mnie bolesne, nie lękam się go.

— O pani — odpowiedziałem — przyjaciółko! Ty, którą tak czciłem, którą niegdyś ośmielałem się nazywać matką. Czy podobna, byś nie chciała mnie wysłuchać? Czy podobna, byś niezależnie od tego, jak bardzo obciążające pogłoski doszły cię na mój temat, nie pragnęła usłyszeć, co



mam na swoje usprawiedliwienie?

— Nie, ani trochę. Ani nie pragnę, ani nie jestem skłonna pana słuchać. Tej opowieści, która w swym prostym i nieozdobnym brzmieniu rzuca najgorsze światło na człowieka, którego dotyczy, nie upiększą żadne zmyślane dodatki.

— Wielki Boże! Czy potrafiłaby pani potępić człowieka wysłuchawszy relacji tylko jednej strony?

— Owszem, potrafię — odparła z godnością. — Zasada, która każe wysłuchać obie strony, w niektórych wypadkach może być bardzo słuszną, lecz śmieszne byłoby przypuszczenie, że nie ma wypadków, które od pierwszego rzutu oka są zbyt jasne, by dopuszczać cię wątpliwości. Broniąc się zrećznie, możesz pan dać mi nowe powody do podziwu dla twych zdolności, lecz znam te zdolności. Mogę je podziwiać, lecz brzydzić się pańskim charakterem.

— O pani! Słodka, niezrównana Lauro! Surowa i nieubłagana Lauro, czczę panią nadal. Lecz zaklinam na wszystko, co święte, byś powiedziała mi, co obudziło w tobie tę nagłą odrazę.

— Nie. Tego pan nigdy ode mnie nie usłyszy. Nie mam panu nic do powiedzenia. Stoję dotąd i słucham, co mówisz, lecz to dlatego, że cnota nie zniży się do tego, by okazać zawstydzenie i zmieszanie w obecności występku. Zachowanie twoje, nawet w tej chwili, pogrąża cię w mojej opinii. Prawdziwa cnota gardzi niewdzięcznym trudem tłumaczeń i wymówek. Świeci własnym blaskiem i nie potrzebuje sztuki, by ten blask wydobyć. Musisz się jeszcze uczyć podstawowych zasad moralności.

— A czy sądzi pani, że przy najuczciwszym postępowaniu człowiek jest zawsze wolny od niebezpieczeństwa dwuznacznej sytuacji?

— Z pewnością. Cnota, mój panie, polega na czynach, nie na słowach. Dobry i zły człowiek to ludzie wyraźnie inni, nie zaś różniący się niedostrzegalnymi odcieniami. Opatrzność, która nad wszystkimi nami sprawuje swą władzę, nie zezwoliła, by to najważniejsze ze wszystkich pytań pozostawało dla nas bez odpowiedzi. Może pan próbować zaciemnić tę odpowiedź swoją wymową, ale ja się postaram, by nie poddać się jej kłamliwym wpływom. Nie chcę dopuścić do wypaczenia mojego sądu, nie

chcę utracić umiejętności rozróżniania między złem a dobrem.

— O pani, pani! nie mogłabyś tak mówić, gdybyś nie żyła zawsze w tym samotnym odludziu, gdybyś kiedykolwiek stykała się z namiętnościami ludzkimi i instytucjami stworzonymi przez człowieka.

— Być może. W takim wypadku mogę tylko być wdzięczną memu Bogu, który w ten sposób umożliwił mi zachowanie niewinności serca i prawości umysłu.

— Czyżby wierzyła w to pani, że nieświadomość jest jedyną lub najpewniejszą gwarancją prawości?

— Powiedziałam już panu i powtarzam, że wszystkie te deklamacje na nic się nie zdadzą. Wolałabym, byś pan oszczędził mnie i sobie męki, która jedynie może z tego wszystkiego wyniknąć. Ale przypuśćmy, jak pan mnie chcesz o tym przekonać, że i cnota może czasem podlegać wątpliwościom. Gdybyś pan był uczciwy, czy możliwe, byś nie opowiedział mi o swych losach? Czy możliwe, byś dopuścił do tego, abym dowiedziała się o wszystkim przypadkiem, dobrze wiedząc, że taki przypadek tylko obciąży cię mocniej? Czy możliwe, byś mógł pogwałcić najświętsze zaufanie? Sprawić, bym nieświadoma niczego pozwoliła mym dzieciom obcować z człowiekiem, który choćby był istotnie (jak pan twierdzi) uczciwy, jednak jest bezsprzecznie zniesławiony i napiętnowany w oczach całego świata? Proszę odejść, gardzę panem. Jesteś potworem, nie człowiekiem. Nie umiem powiedzieć, czy mój osobisty punkt widzenia wprowadza mnie w błąd, ale wydaje mi się, że ostatni pana postępek był gorszy od wszystkich wcześniejszych. Natura uczyniła mnie opiekunką mych dzieci. Nigdy nie zapomnę i nie przebaczę panu niezmaszalnej krzywdy, jaką im wyrządziłeś. Zranił mnie pan najboleśniej i nauczył, do jakich granic dojść może ludzka nikczemność.

— Pani, nie mogę milczeć dłużej. Widzę, że w jakiś sposób doszła twych uszu historia Mr Falklanda.

— Tak. Jestem zdumiona, że pan ma czelność wymawiać to imię. Imię, które — jak daleko sięga moja pamięć — było mianem najbardziej godnego czci spośród śmiertelników, najmędrszego i najszlachetniejszego z ludzi.

— Pani, moim obowiązkiem jest otworzyć ci oczy w tym względzie. Mr

Falkland...

— Pozwól pan, widzę, że dzieci wracają z pól i kierują się ku nam. Najpodlejszym pana postępkim było narzucanie się im w roli nauczyciela. Żądam kategorycznie, byś pan nigdy już się z nimi nie zetknął. Nakazuję panu milczeć. Nakazuję panu usunąć się stąd. Jeśli obstaje pan przy swym absurdalnym postanowieniu i chce tłumaczyć się przede mną, musi pan to zrobić kiedy indziej.

Nie mogłem mówić więcej. Cała ta rozmowa złamała mnie w pewnym sensie. Nie mogłem przedłużać udręki tej zachwycającej kobiety, której sprawilem już tyle cierpień, mimo że nie byłem winny tych zbrodni, jakie mi przypisywała. Uległem jej stanowczemu nakazowi i usunąłem się.

Opuszczając Laureę, nie wiedząc czemu udałem się śpiesznie do siebie. Wchodząc do domu, w którym zajmowałem izbę, stwierdziłem, że nie ma nikogo z mieszkańców. Gospodyni wyszła wraz z dziećmi, by odetchnąć świeżością poranka. Mąż oddawał się swoim zwykłym zajęciom.

W tej części kraju ludzie z niższych warstw na dzień zamykają drzwi od swych domostw tylko na klamkę. Wszedłem i skierowałem się do kuchni gospodarzy. Tu, kiedy się rozglądałem dokoła, wzrok mój natrafił przypadkiem na jakąś leżącą w kącie kartę papieru, która przez jakieś niewytłumaczalne skojarzenie obudziła we mnie silną ciekawość i podejrzliwość. Zbliżyłem się do niej szybko, wziąłem do ręki i przekonałem się, że jest to ta sama *Zadziwiająca i niezwykła historia Kaleba Williama*, która pod koniec mego pobytu w Londynie przyprawiła mnie o tak niewypowiedziane udręki.

To odkrycie rozjaśniło natychmiast całą tajemnicę wiszącą nad ostatnimi wydarzeniami. Wątpliwości, które z uporem nawiedzały mój umysł, ustąpiły miejsca okropnej i nieznośnej pewności. Spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba. Poczułem, jak każde włókno mego ciała przenika jakieś nagłe odrętwienie i słabość.

Czyż więc nie było już dla mnie żadnej nadziei? Czy na nic się zdało uniewinnienie? Czy nigdy już nie zaznam ulgi w cierpieniach? Czy wszędzie, gdziekolwiek się udam, iść za mną będzie to ohydne i okrutne kłamstwo zmyślane na moją zgubę? Kłamstwo, które kradnie mi dobre

imię, odbiera ludzką sympatię i życzliwość, wydziera z ust chleb powszedni, konieczny do życia?

Widząc, że nadszedł kres mego spokoju i że odtąd mogę spodziewać się tylko nienawiści, która gdziekolwiek bym się schronił, iść będzie za mną krok w krok, przez jakieś pół godziny cierpiałem tak strasznie, że nie podobna mi było pomyśleć o czymś rozsądnie, a tym mniej powziąć jakąś decyzję. Skoro tylko ustąpiły oszołomienie i zgroza i znikła śmiertelna martwota, która opanowała mój umysł, podniosła się we mnie potężna burza uczuć, które kazały mi natychmiast opuścić to do niedawna ulubione schronienie. Zbrakło mi cierpliwości, by wdawać się w dalsze tłumaczenia z tutejszymi mieszkańcami. Wiedziałem, że próżne były nadzieje na powrót przyjaznych stosunków i spokoju, jakim się do niedawna cieszyłem. Walcząc z wrogimi uprzedzeniami, musiałbym mieć do czynienia z ludźmi o tak różnorodnych usposobieniach, że choćby mi się powiodło z niektórymi, trudno przypuszczać, bym przekonał wszystkich. Za dużo się napatrzyłem panowania tryumfującego fałszu, bym mógł beztrąsko wierzyć, że moja niewinność zwycięży, choć tego właśnie spodziewałby się każdy inny człowiek o moich skłonnościach i w moim wieku. Ostatnie wydarzenie — moja rozmowa z Laurą — musiało się niemało przyczynić do tego, by mi odebrać odwagę. Nie mogłem znieść myśli o drobiazgowym zbijaniu wszystkich szczegółów tego jadowitego oszczerstwa, jakie na mnie rzucano. Gdybym kiedyś musiał stanąć z nim do wałki wręcz, gdybym szczuty jak dziki zwierz, doprowadzony został do tego, by obrócić się przeciw ścigającym mnie myśliwym, wówczas rzuciłbym się na prawdziwego sprawcę tej niesłychanej napaści, zniszczyłbym oszczercę w jego własnej twierdzy, zdobyłbym się na wysiłek, jakiego do tej pory nikt nigdy nie podjął, i nieustraszonym męstwem, niezłomną wytrwałością zmusiłbym jeszcze ludzkość, by uwierzyła, że Mr Falkland jest oszczercą i mordercą.

## ROZDZIAŁ XL

Spieszno mi zakończyć tę smutną opowieść. Zacząłem ją spisywać w niedługi czas od chwili, do której ją teraz doprowadziłem. Była to jeszcze jedna droga ratunku, która mi się nasunęła w mej ustawicznej gorliwości wynajdywania sposobów ucieczki przed mą rozpaczą.

Opuszczając pośpiesznie moje schronienie w Walii, gdzie uświadomiłem sobie po raz pierwszy, że groźby Mr Falklanda nie były płonne, zostawiłem cały warsztat naukowy mych etymologicznych badań i wszystko, co w związku z tym tematem napisałem. Nigdy nie zdołałem zdobyć się na to, by podjąć na nowo przerwana pracę. Rozpocząć ponownie mozolny trud, starać się o odzyskanie zajmowanej już kiedyś pozycji jest zawsze czymś zniechęcającym. Nie wiedziałem, jak prędko i jak niespodzianie będę musiał uciekać z nowego otoczenia, prace towarzyszące podjętym przeze mnie badaniom były zbyt uciążliwe, by je prowadzić w tak niepewnych warunkach: ukazywały mi tylko ostrzej nienawiść mojego wroga i pogłębiały moją odradzającą się rozpacz.

Lecz co było najważniejsze i co przeżyłem najboleśniej, to rozłąka z rodziną Laury. O, jakże głupi byłem sądząc, że znajdzie się dla mnie miejsce w przybytkach przyjaźni i spokoju! Teraz dopiero odczułem najdotkliwiej, jak nieprzebyta przepaść dzieli mnie od ludzi. Inne znajomości stosunkowo mało mnie interesowały i bez bólu z nich zrezygnowałem. Nigdy poza Collinsem i rodziną Laury nie doświadczałem najczystszych rozkoszy przyjaźni.

Samotność, rozłąka, wygnanie! To słowa częste w ludzkich ustach, lecz niewielu poza mną pojęło ich znaczenie w całej rozciągłości. Filozofia w swej pysze nauczyła nas traktować człowieka jako osobne indywiduum. Nic podobnego. Człowiek jest z konieczności nieodzownie związany ze swym gatunkiem. Przypomina owe bliźnięta, które wprawdzie mają dwie głowy i

czworo rąk, lecz jeśli spróbujecie oderwać jedno od drugiego, czeka je nieuchronnie powolna, rozpaczliwa zagłada.

To właśnie bardziej niż wszystko inne sprawiało, że w moim sercu wzbierała coraz gwałtowniej nienawiść do Mr Falklanda. Nie mogłem myśleć o nim bez wstrętu i odrazy, które zdawały się ponad miarę ludzką. Za jego to sprawą straciłem jedno po drugim wszystko, co było dla mnie pociechą, szczęściem lub choćby pozorem szczęścia.

Spisywanie tych wspomnień dostarczyło mi zajęcia na szereg lat. Przez pewien czas znajdowałem w tym smętne zadowolenie. Wolałem odtwarzać w pamięci szczegóły nieszczęść, które mnie niegdyś dotknęły, niż spoglądać w przyszłość — w czym niegdyś byłem aż nadto skwapliwy — wypatrując nieszczęść, które mnie dopiero spotkać mogły. Sądziłem, że moja historia, wiernie opowiedziana, będzie sprawiała tak silne wrażenie prawdy, że mało kto zdoła jej się oprzeć. Lub też w najgorszym razie, że kiedy mnie już tu nie będzie, potomność dzięki niej będzie mi mogła oddać sprawiedliwość i ujrzy na moim przykładzie, ile zła i cierpień ludzkich powoduje obecny ustrój społeczny. Wtedy, być może, ludzie zechcą zwrócić uwagę na źródło, z którego od tak dawna płyną gorzkie rzeki ludzkiej niedoli.

Lecz z czasem te pobudki straciły na znaczeniu. Ogarnęła mnie niechęć do życia i wszystkiego, co ono ze sobą niesie. Spisywanie tych dziejów, które było zrazu przyjemnością, stało się ciężarem. To zatem, co mi pozostaje do powiedzenia, zamknę w niewielu słowach.

W niedługi czas po wypadkach, o których mówiłem, odkryłem bezpośrednią przyczynę nagłej odmiany losu, której doznałem podczas mego pobytu w Walii, a poznawszy ją, pojąłem, czego mam się spodziewać na przyszłość. Mr Falkland wziął na swój żołąd Ginesa, tego szatana, którego grubiańskie okrucieństwo, zuchwalstwo połączone ze sprytem i szczególna mściwa nienawiść, jaką żywił do mnie, czyniły wyjątkowo przydatnym w tej nowej służbie. Praca, do której go najęto, polegała na tym, by szedł za mną z miejsca na miejsce psując mi reputację i nie dopuszczał do tego, bym zabawił dłużej na jednym miejscu i zdobył sobie opinię człowieka prawego, co podniosłoby wagę oskarżeń, jakie kiedyś w przyszłości mógłbym złożyć.

Gines zjawił się w miejscu mego zamieszkania wraz z mularzami i ich czeladnikami, o których wspomniałem. Starając się, bym go nie widział, zajął się gorliwie rozpowszechnianiem wiadomości, które w oczach ludzkich powinny dowodzić występności i nikczemności mojego charakteru. To on niewątpliwie dostarczył ową wstrętną broszurę, którą znalazłem w domu gospodarzy bezpośrednio przed jego opuszczeniem.

Wszystko to według rozumowania Mr Falklanda było tylko zachowaniem koniecznej ostrożności. W jego naturze było coś, co sprawiało, że myśl o tym, by położyć nagły kres memu życiu napełniała go odrazą, jednocześnie zaś, póki żyłem, póty niestety nie mógł się nigdy poczuć bezpieczny przed oskarżeniem z mojej strony. Co do faktu, że Gines został przez niego najęty do tego okrutnego celu, to Mr Falkland bynajmniej nie pragnął, aby stał się on powszechnie znany, lecz myśl, że to może wyjść na jaw, nie przerażała go wcale. Już i tak rozniosło się szerzej, niżby tego pragnął, że rzuciłem na niego najohydniejsze oskarżenie. Jeśli on nienawidził mnie jako człowieka zagrażającego jego reputacji, to ludzie, którzy w jakimkolwiek stopniu mieli sposobność zapoznać się z tą historią, nienawidzili mnie niemniej z jego powodu. Gdyby ci ludzie dowiedzieli się kiedykolwiek, ile trudów zadawał sobie starając się, aby wszędzie szła za mną moja zła sława, uznaliby to za akt bezinteresownej sprawiedliwości, być może, szlachetnej troski o to, by inni, podobnie jak on, nie zostali przeze mnie oszukani lub skrzywdzeni.

Jakich sposobów miałem się chwytać, aby przeciwdziałać tej chytrej i barbarzyńskiej przezorności, której celem było w każdym nowym środowisku pozbawiać mnie dobrodziejstwa i pociechy, jaką daje ludzka społeczność. Jeden sposób byłem bezwzględnie zdecydowany odrzucić — przebranie. Przeżyłem przecież tyle udręki i tak nieznośną niewolę stosując go dawniej, skojarzył mi się on z uczuciem tak dojmującego bólu, że nabrałem głębokiego przekonania, iż życie nie było warte takiej ceny! Lecz choć co do tego byłem zupełnie zdecydowany, był inny punkt, na pozór nie tak istotny, w którym chciałem przystosować się do okoliczności. Gdyby miało mi to zapewnić spokój, postanowiłem odwołać się do niegodnej skądinąd praktyki — żyć pod cudzym nazwiskiem.

Jednak ani zmiana nazwiska, ani nieoczekiwane zmiany miejsca pobytu, ani to, że na swoją siedzibę wybierałem zawsze najbardziej nieznaną miejscowość, nie wystarczyło, by obronić mnie przed przebiegłością Ginesa czy też niezmordowaną wytrwałością, z jaką Mr Falkland zachęcał mego dręczyciela do pogoni za mną. Gdziekolwiek bym się udał, zawsze po niedługim czasie miałem okazję przekonać się, że znienawidzony wróg idzie w ślad za mną. Żadne słowa nie oddadzą w pełni uczuć, jakie budziła we mnie moja sytuacja. Przypominało mi się to, co się mówi o oku Opatrzności, które ściga grzesznika i kiedy ten, znudzony, spocznie na chwilę, zapominając o wyrzutach sumienia, budzi go swymi promieniami do nowych cierpień. Sen mnie opuścił. Żaden mur nie potrafił skryć mnie przed wzrokiem tego znienawidzonego wroga. Był niestrudzony w wyszukiwaniu nowych cierpień dla mnie. Nie wiedziałem, co to odpoczynek, nie wiedziałem, co to wytchnienie, nie mogłem nigdy liczyć choćby na chwilę spokoju, nie było dla mnie schronienia we mgle niepamięci. Chwile, w których go nie widziałem przed sobą, były skażone i zatrute oczekiwaniem, że niechybnie zaraz się pojawi.

W moim pierwszym schronieniu przeżyłem parę tygodni złudnego spokoju, lecz potem nigdy już nie miałem szczęścia zakosztować nawet tak przelotnej radości. Kilka lat minęło wśród tych bolesnych kolei losu. W pewnych okresach bywałem bliski szaleństwa.

Przez cały czas postępowałem tak, jak to sobie na początku obmyśliłem. Postanowiłem nigdy nie wdawać się w żadne spory z tym przeklętym Ginesem na temat oskarżenia i tego, co miałem na swoją obronę. Jeśli z pewnych względów poszedłbym na to, to i tak na cóż by się to zdało? Mogłem tylko opowiedzieć jakąś niedokończoną, niepełną historię. Wierzyli jej ludzie, którzy znali mnie osobiście i byli mi przychylni, ale jak przyjmują ją nieznajomi? Wierzono mi tak długo, jak potrafiłem kryć się przed moimi prześladowcami, lecz co będzie teraz, kiedy nie dawano mi się ukrywać i kiedy moi prześladowcy podburzali przeciw mnie od razu całą okolicę.

Nie sposób pojąć, ile cierpień niesie ze sobą takie życie. Dlaczego miałbym mówić specjalnie o takich dodatkowych, a przykrych okolicznościach, jak głód, konieczność żebrania czy wygląd nędzarza? Były



to tylko nieuniknione następstwa. To przede wszystkim opuszczenie, jakie czekało mnie w każdym z kolei nowym środowisku, uprzytomniało mi mój nieszczęsny los. Opóźniając chwilę ucieczki pogarszałem tylko sprawę, a kiedy uciekałem, bieda i niedostatek były stałymi towarzyszami mej drogi. Lecz to wszystko nie miało wielkiego znaczenia. Czasem dodawało mi sił oburzenie, kiedy indziej zaś niezłomna wytrwałość, bez których człowiek pozostawiony sam sobie musiałby przypuszczalnie ulec.

W toku tego opowiadania ujawniło się już, że nie mam usposobienia, które by mi pozwalało znosić nieszczęścia bez tego, abym nie próbował na wszystkie sposoby uchronić się przed nimi lub je pokonać. Rozpatrując, jak to miałem w zwyczaju, różne możliwości polepszenia swej sytuacji, postawiłem sobie pytanie: „Czemu mam się męczyć, ścigany wciąż przez tego Ginesa? Czemu nie mógłbym zmierzyć się z nim twarzą w twarz i siłą własnego umysłu uzyskać nad nim przewagi?” W tej chwili on występuje w roli prześladowcy, a ja — prześladowanego, czy ta różnica nie jest jednak tylko tworem wyobraźni? Czemu nie miałbym wyteńczyć całego sprytu, aby go nękać trudnościami i drwić z tej męki bez końca, na którą byłby skazany?”

Niestety, były to tylko próżne spekulacje dobre dla tego, kto żyje bez troski! Nie prześladowanie, lecz związana z nim klęska życiowa stanowi różnicę między okrutnym tyranem a jego ofiarą! Jeśli idzie o sam cielesny wysiłek, to myśliwy stoi, być może, na równi ze ściganą, nieszczęsną zwierzyną! Ale czy można zapomnieć o tym, że Gines na każdym postoju zaspokajał swoją złość rozsiewając przeciw mnie najokropniejsze oskarżenia i budząc nienawiść przeciw mnie w każdym prawym sercu, gdy ja tymczasem musiałem bronić mego raz po raz zagrożonego spokoju, dobrego imienia i chleba? Czy zdołałbym przy pomocy subtelnych pomysłów uczynić z tej straszliwej nagonki rodzaj gry? Nie miałem żadnej filozofii, która by mi pomogła w tym niezwykle trudnym zadaniu. Gdybym nawet w innych okolicznościach mógł upierać się przy tym dziwacznym pomysle, to w chwili obecnej krępowały mnie konieczność zdobywania środków egzystencji i pęta, które w związku z tą koniecznością nakładały na mnie przepisy społeczeństwa.

Pewnego razu, kiedy zmieniałem miejsce zamieszkania, do czego tylekroć zmuszał mnie mój nieszczęsny los, spotkałem na drodze, którą musiałem przeciąć, przyjaciela młodości, najstarszego i najukochańszego przyjaciela, zacnego Collinsa.

Jednym z nieszczęśliwych wypadków, które dopełniły miary mojej rozpacz, był fakt, że właśnie na parę tygodni przed ową fatalną odmianą losu, który odtąd ścigał mnie z niesłabnącą zawziętością, człowiek ten opuścił Anglię. Mr Falkland poza ogromnymi włościami, jakie posiadał w Anglii, miał bogate plantacje w Indiach Zachodnich. Majątek ten pozostawał pod bardzo złym zarządem jednego z miejscowych ludzi. Po różnych obietnicach i wykrętach z jego strony, które poza uspokajaniem Mr Falklanda nie przynosiły żadnych pomyślnych skutków, zostało postanowione, że Mr Collins wybierze się tam osobiście, aby usunąć od tak dawna istniejące nadużycia. Mówiło się też o jego pozostaniu na plantacji na przeciąg kilku lat, a nawet o osiedleniu się tam na stałe. Od tamtej pory do chwili obecnej nigdy nie miałem o nim żadnej wiadomości.

Fakt jego nieobecności w krytycznych dla mnie chwilach uważałem zawsze za jedno z najgorszych nieszczęść, jakie mnie spotkały. Mr Collins jeden z pierwszych już w latach mego dzieciństwa uważał mnie za kogoś wybiegającego ponad przeciętny poziom, bardziej niż ktokolwiek inny przyczynił się też do mych postępów zachęcając i pomagając w młodzieńczych studiach. On był egzekutorem testamentu mego ojca, dotyczącego naszej niewielkiej posiadłości. Ojciec wybrał go do tej funkcji ze względu na istniejące między nimi wzajemne przywiązanie. Zdawało się więc ze wszech miar, że bardziej mogę liczyć na jego opiekę niż na czyjąkolwiek inną na świecie. Wierzyłem zawsze, że gdyby był obecny w chwilach krytycznych dla mego losu, byłby przekonany o mojej niewinności. A będąc sam przekonany, mógłby dzięki swym cnotom i sile charakteru przemówić za mną tak skutecznie, że uchroniłby mnie od większości późniejszych nieszczęść.

Jeszcze inna myśl przyszła mi do głowy na jego widok, ważniejsza dla mnie nawet od dowodów wielkiej przyjaźni, których mogłem oczekiwać od Collinsa. Najgorszym nieszczęściem mojej obecnej doli było to, że odjęta mi

została ludzka przyjaźń. Mogę śmiało stwierdzić, że głód i ubóstwo, włości bez kresu, niesława i przekleństwa, jakie zrosły się z moim imieniem, wszystko w zestawieniu z tym było błahą przykrością. Próbowałem pocieszać się myślą o własnej uczciwości, lecz na całej ziemi żaden głos ludzki nie wtórował głosowi mojego sumienia. „Wołałem na głos, lecz nie było, kto by odpowiedział, nie było, kto by wejrzał.” Dla mnie cały świat był głuchy jak burza i zimny jak ryba. Wygasło dla mnie bratnie współczucie, owa właściwa naturze ludzkiej siła przyciągająca, ukryty sens naszego istnienia. Lecz nie na tym koniec mej nędzy! Ów pokarm, tak niezbędny dla naszego duchowego życia, zdawał się wciąż wabić mnie swymi najpiękniejszymi barwami, aby potem tym boleśniej wymknąć się z moich rąk, drażniąc szarpiący mnie głód. Czasami odkrywałem przed ludźmi swe serce po to tylko, by zostać odepchniętym i cierpieć jeszcze bardziej, by przeżyć okrutny ból nowego zawodu.

Dlatego też żaden widok nie mógł mi sprawić czystszej radości jak ten, który ukazał się moim oczom. Upłynęło jednak parę chwil, zanim rozpoznaliśmy się wzajemnie. Od naszego ostatniego spotkania upłynęło dziesięć lat. Mr Collins wyglądał o wiele starzej niż wówczas, na dodatek był teraz blady i chudy, wyglądał na chorego. Były to niepomysłne skutki zmiany klimatu, szczególnie męczącej dla osób w podeszłym wieku. Ponadto przypuszczałem, że znajduje się on obecnie w Indiach Zachodnich. Ja prawdopodobnie zmieniłem się w przeciagu tego czasu tyleż co on. Poznałem go pierwszy: jechał wierzchem, ja byłem pieszo. Pozwoliłem mu przejechać mimo. I nagle olśniła mnie pełna świadomość, kim był ten człowiek, puściłem się biegiem, zacząłem natarczywie wołać, nie mogłem opanować wzburzonych uczuć.

Głębokie wzruszenie odmieniło zwykłe brzmienie mojego głosu, w przeciwnym bowiem razie Mr Collins niechybnie by go rozpoznał. Niedowidział już trochę; ściągnął swego konia i czekał, aż go dopędzę. Potem spytał:

— Ktoś ty? Nie znam cię.

— Ojciec — zawołałem z radością i uniesieniem, całując jedno z jego kolan. — To ja, twój syn; twój niegdyś mały Kaleb, którego tyle razy

darzyłeś swą nieskończoną dobrocią!

Na nieoczekiwany dźwięk mego imienia przyjaciel mój doznał jakby wstrząsu, lecz wiek i filozoficzny, dobroduszny spokój, który był jedną z jego bardziej charakterystycznych cech, pozwoliły mu się opanować.

— Nie spodziewałem się ujrzeć ciebie — odparł. — I nie pragnąłem tego.

— Najlepszy, najwierniejszy przyjacielu! — odpowiedziałem głosem, w którym szacunek mieszał się z niecierpliwością. — Proszę tak nie mówić. Na całym świecie nie mam poza panem przyjaciela! Obym mógł w panu przynajmniej znaleźć współczucie i wzajemną przyjaźń. Gdyby pan wiedział, z jaką tęsknotą myślałem o panu przez cały czas pańskiej nieobecności, nie mógłby pan teraz sprawić mi tak bolesnego rozczarowania!

— Jak się to stało — zapytał surowo Mr Collins — że widzę cię w tak opłakanym stanie? Czy nie jest to nieuchronnym skutkiem twoich własnych czynów?

— Cudzych czynów, nie moich! Czy serce nie mówi panu, że jestem niewinny?

— Nie. Spostrzeżenia, jakie zrobiłem w latach twojej wczesnej młodości, mówiły mi, że będziesz nieprzeciętny, lecz na nieszczęście nie wszyscy nieprzeciętni ludzie to ludzie dobrzy. To tak jak na loterii: wszystko zależy od na pozór najbłaższych okoliczności.

— Czy chce pan wysłuchać, co powiem na swoje usprawiedliwienie? Potrafię pana przekonać o swej niewinności, jestem tego pewny, jak tego, że tu stoję.

— Naturalnie, wysłucham cię, jeśli tego żądasz. Ale nie w tej właśnie chwili. Cieszyłbym się, gdyby mi się udało w ogóle tego uniknąć. Ludzie w moim wieku nie powinni już przeżywać burzliwych uczuć. I nie jestem tak pełen nadziei co do wyniku tej rozmowy jak ty. O czym chcesz mnie przekonać? Że Mr Falkland jest krzywoprzysięzcą i mordercą?

Nie odpowiedziałem nic. Cisza była potwierdzeniem jego pytania.

— I jaka będzie korzyść z tego, jeśli mnie o tym przekonasz? Znałem ciebie jako obiecującego chłopca, którego charakter w zależności od

wypadków mógł skłonić do złego lub dobrego. Znałem Mr Falklanda w jego dojrzałych latach i zawsze podziwiałem go jako żywy wzór szlachetności i dobroci. Jaka korzyść wynikłaby z tego, gdybyś potrafił odmienić wszystkie moje wyobrażenia i wykazać, że nie ma probierza, według którego można by z całą pewnością odróżnić występki od cnoty? Musiałbym pożegnać się ze wszystkim, co stanowi moją wewnętrzną pociechę i ze wszystkim, co łączy mnie ze światem zewnętrznym. I po co? Czego byś chciał? Śmierci Mr Falklanda z ręki kata?

— Nie. Nie tknę ani włosa z jego głowy, jeśli mnie nie zmusi do tego konieczność własnej obrony. Lecz przecież winien mi pan oddać sprawiedliwość.

— Sprawiedliwość? Na czym ona ma polegać? Na ogłoszeniu twojej niewinności? Wiesz, co się z tym łączy? Ale nie wierzę, że okażesz się niewinny. Gdyby ci się nawet udało wprowadzić zamęt do mojego umysłu, tego przekonania nie uda ci się weń wpoić. Tak już jest na świecie, że niewinność podejrzana o zbrodnie rzadko kiedy może się obronić. Występek zaś często potrafi sprawić, że wzdrygamy się nazwać go występkiem. Tymczasem ja, żeby się wyzbyć tej niepewności, musiałbym poświęcić wszystko, co mi pozostało miłego w życiu. Jestem przekonany o wielkich cnotach Mr Falklanda, lecz znam jego pełne uprzedzeń poglądy. Nie przebaczyłyby mi nawet tej przygodnej rozmowy z tobą, gdyby w jakiś sposób dowiedział się o niej.

— Ach, niech pan nie rozmyśla o tym, co mogłoby wyniknąć — odparłem niecierpliwie. — Mam prawo do pana życzliwości. Mam prawo do pana pomocy.

— Owszem. Ale tylko do pewnego stopnia i nie wydaje mi się prawdopodobnym, abyś poprzez jakieś tłumaczenia uzyskał to prawo bez ograniczeń. Znasz mój sposób myślenia. Uważam cię za występny, lecz nie sądzę, aby człowiek występny musiał zasługiwać na oburzenie i pogardę. Uważam cię za bezwolne narzędzie. Obawiam się, że nie jesteś stworzony na pożytek swych bliźnich, lecz nie stworzyłeś siebie sam: jesteś tym, czym uczyniły cię niezależne od twojej woli warunki. Martwią mnie twoje złe skłonności, ale nie czuję wobec ciebie nienawiści — jedynie litość.

Widząc cię w tym świetle, w jakim cię widzę obecnie, gotów jestem zrobić wszystko, co w mojej mocy, a co byłoby dla ciebie istotnie pożyteczne. Gdybym wiedział jak, pomógłbym ci chętnie wykryć i wyplenić te błędy, które cię zaprowadziły na manowce. Sprawileś mi zawód, ale nie chcę ci robić wyrzutów: wolę współczuć niż prawiąc nagany pogłębiać twoje nieszczęście.

Cóż mogłem powiedzieć takiemu człowiekowi? Temu ukochanemu, nieporównanemu człowiekowi? Nigdy boleśniesz wątpliwości nie szarpały mojej duszy. Im większy budził we mnie podziw, tym silniej serce nakazywało mi za jakąkolwiek cenę zdobyć z powrotem jego przyjaźń. Byłem przeświadczony, że surowy głos obowiązku nakazywałby mu odrzucić wszystkie osobiste względy i śmiało przystąpić do zbadania prawdy. Gdyby zaś ostateczny wynik tych badań przemawiał za mną, powinien wyrzec się wszystkich korzyści i jak ja. opuszczony przez świat, przyjąć wspólny los i próbować wynagrodzić mi powszechną niesprawiedliwość. Lecz czy mogłem narzucać mu gwałtem takie postępowanie, jeśli on sam, stojąc u schyłku swych lat, cofa się przed tym?

Niestety, żaden z nas nie przewidział straszliwej katastrofy wiszącej w powietrzu. Gdyby nie to, pewien jestem, że żadna troska o spokój na starość nie powstrzymałaby go przed spełnieniem mych życzeń. Z drugiej strony, skąd mogłem wiedzieć, jakie nieszczęścia może ściągnąć na siebie ogłosiwszy się moim obrońcą. Skąd pewność, że jego uczciwość nie zostałaby tak samo złamana siłą jak moja? Czyż mój straszliwy wróg nie wykorzystalby w tym pojedynku argumentu, że mój obrońca jest dziecinniałym starcem? Czy Mr Falkland nie mógłby go doprowadzić do takiej nędzy i poniżenia jak mnie? Czy koniec końców to, że chciałem wciągnąć innego człowieka w krąg własnych cierpień, nie było z mej strony zdrożne? Jeśli uważałem, że są okrutne, był to tylko dodatkowy powód, bym je znosił sam.

Pod wpływem tych rozmyślań zgodziłem się na jego punkt widzenia. Zgodziłem się raczej na to, by człowiek, którego szacunku pragnąłem najgoręcej w świecie, odepchnął mnie, niżby miał cierpieć przeze mnie. Zgodziłem się wyrzec tego, co w tym momencie wydawało mi się ostatnią

możliwą dla mnie pociechą, pociechą, która w chwili gdym się jej wyrzekał, budziła we mnie nieopisaną tęsknotę.

Mr Collins był do głębi wzruszony widoczną szczerością, z jaką wyrażałem swoje uczucia. W jego duszy toczyła się wewnętrzna walka: „Byłaby to obłuda? Jeśli człowiek, z którym rozmawiam, jest bez winy, jest jednym z najbardziej bezinteresownie cnotliwych ludzi na całym świecie.”

Rozstaliśmy się z trudem. Mr Collins obiecał śledzić, o ile to będzie możliwe, koleje mego losu i pomagać mi we wszystkim, co będzie zgodne z pojęciem słuszności. Tak pożegnałem ostatnią niejako gasnącą nadzieję mej duszy i opuszczony, zraniony, dobrowolnie przyjąłem wszystkie nieszczęścia, jakie los dla mnie gotował.

Jest to ostatnie wydarzenie, które — jak sądzę, powinienem tu opisać. W przyszłości na pewno będę miał jeszcze okazję wziąć znów pióro do ręki. Choć tak ogromne i bezprzykładne były moje cierpienia, jestem w głębi duszy przekonany, że czekają mnie cierpienia jeszcze gorsze. Jakaż to tajemna przyczyna pozwala mi pisać te słowa i nie umrzeć od okrutnego przeczucia!

## ROZDZIAŁ XLI

Stało się, jak przewidywałem. Wizja, która mnie nawiedzała, była prorocza. Opiszę teraz nowy a okropny przewrót, jaki nastąpił w moim życiu i moich myślach.

Spróbowawszy tylu sposobów z jednym i tym samym skutkiem, postanowiłem w końcu usunąć się, jeśli to będzie możliwe, poza zasięg władzy mego prześladowcy i skazać się na dobrowolne wygnanie z rodzinnej ziemi. Była to ostatnia możliwość odzyskania spokoju i dobrego imienia, tych przywilejów, którym życie ludzkie zawdzięcza całą swą wartość.

„W jakiejś dalekiej krainie — mówiłem sobie — na pewno znajdę to bezpieczeństwo, które jest konieczne do wytrwałej pracy, na pewno będę mógł unieść głowę, jak człowiek współżyć z ludźmi, zawierać znajomości i utrzymywać je.” Trudno sobie wyobrazić, jak gorąco, z całej duszy wzdychałem do takiego końca.

Lecz i tej ostatniej pociechy pozbawił mnie nieubłagany Falkland.

W czasie kiedy ten projekt zrodził się w mojej głowie, znajdowałem się niedaleko wschodniego wybrzeża wyspy: postanowiłem więc wsiąść na statek w Harwich i przeprowić się wprost do Holandii. Udałem się do tego miasta i natychmiast skierowałem się do portu. Żaden statek nie był jednak zupełnie gotowy do wyjścia w morze. Opuściłem więc port i zaszedłem do pewnej gospody, po jakimś czasie wynająłem izbę i udałem się na spoczynek. Ledwie się tam znalazł, kiedy drzwi się otwarły i do pokoju wszedł człowiek, którego twarz była najbardziej ze wszystkich nienawistna mym oczom. Stał na progu i zamknął za sobą drzwi.

— Młodziku — zaczął — mam ci zakomunikować pewną drobną sekretną wiadomość. Przychodzę jako przyjaciel, aby ci oszczędzić daremnych trudów i kłopotów. Jeśli w tym świetle rozpatrzysz to, co ci



mam powiedzieć, tym lepiej dla ciebie. Jak widzisz, z braku lepszego zajęcia pilnuję, żebyś się nie wydostał poza granice kraju. Nie przepadam za tym, żeby pracować dla jednego człowieka, a drugiemu deptać po piętach. Jestem ci jednak szczególnie życzliwy za kilka dobrych przysług, które mi oddałeś, i dlatego nie grymaszę. Prowadzisz mnie na dalekie wycieczki i przez miłość, jaką mam dla ciebie, pójdę za tobą jeszcze znacznie dalej, jeśli taka będzie twa wola. Lecz wara ci od słonych wód! Tak daleko moje obowiązki nie sięgają. Jesteś w tej chwili więźniem i sądzę, że pozostaniesz nim przez całe życie dzięki gołębiej łagodności twego dawnego pana. Gdyby sprawa była w moim ręku, inaczej bym się do ciebie zabrał. Jak długo zachowujesz się właściwie, jesteś więźniem na określonym terenie, a terenem, jaki ci przeznaczają łaskawy dziedzic, jest cała Anglia, Szkocja i Walia. Ale z tych krain nie wolno ci się wydalać. Dziedzic postanowił, że nigdy nie wydostaniesz się z kręgu jego władzy. Wydał więc rozkaz, na wypadek gdybyś kiedy tego próbował, by z więźnia na wolności zrobić cię więźniem prawdziwym. Mój towarzysz szedł za tobą aż do samego portu, ja byłem w pobliżu i gdyby tylko zanosilo się na to, że wybierasz się na morze, w mgnieniu oka znaleźlibyśmy się przy tobie i zagroziłi ci drogę. Jeśli chcesz, żeby cię nie spotkało coś najgorszego, radziłbym ci na przyszłość trzymać się w przyzwoitej odległości od morza. Widzisz, mówię to wszystko dla twojego dobra. Co do mnie, byłbym bardziej zadowolony, gdybyś się znalazł w kozie, z pętlą na szyi i z najlepszymi widokami na szubienicę, ale robię, jak mi każą. Zatem bądź zdrów.

Ta wiadomość gwałtownie wstrząsnęła moim ciałem i duszą. Nie raczyłem odpowiedzieć lub poświęcić choćby chwilę uwagi temu szatanowi, który mi ją przyniósł. Od chwili kiedy ją otrzymałem, minęło trzy dni i przez cały czas krew się we mnie nie przestała burzyć. Myśli z niewiarygodną szybkością przeskakują z jednej okropności na drugą. Nie sypiam wcale. Nie mogę usiedzieć spokojnie ani minuty. Z ogromnym trudem zdobyłem się na wysiłek dodania paru stron do mojej opowieści. Ale choć nie wiem, co przyniesie mi następna godzina, postanowiłem zmusić się do tej pracy. Coś niedobrego dzieje się ze mną. Bóg wie, jak się to

skończy. Czasem boję się, że postradam rozum.

Więc jak to — przewrotny, tajemniczy, okrutny i nieubłagany tyranie — doszło aż do tego? Kiedy Neron i Kaligula dzierżyli berło Rzymu, straszną było rzeczą obrazić tych krwawych władców. Cesarstwo sięgało już wtedy od krańca do krańca ziemi, od morza do morza. Jeśli ich nieszczęsna ofiara uciekała na wschód, gdzie świetlista pochodnia słońca zdaje się wynurzać z fal oceanu, przemoc tyrana szła za nią w ślad. Jeśli kierowała się na zachód, w królestwo wieczornego mroku, ku dzikim brzegom krainy Thule **[Thule - legendarna kraina uważana przez starożytnych za najdalszy cypel ziemi na północy. Nie wiadomo, czy chodziło o Islandię, czy Norwegię.]**, i tam nie była bezpieczna przed okrwawioną ręką wroga.

Falklandzie! Czyś ty ich potomkiem, w którym dziedzictwo tyranów tak wiernie się zachowało? Czy kula ziemską ze wszystkimi krainami nie ma schronienia dla twej bezbronnej niewinnej ofiary?

Drżyj!

Tyrani drżeli, choć otaczały ich całe rotacje janczarów! Co cię obroni przed moją wściekłością? Nie, nie użyję sztyletu! Lecz wyjawię wszystko w mej opowieści. Pokażę światu, kim jesteś, i świat uzna prawdę moich słów!

Czyś wyobrażał sobie, że zawsze będę bierny, niczym nędzny robak, stworzony na to, by odczuwać ból, ale nie gniew? Czyś wyobrażał sobie, że można bezkarnie zadawać mi najdotkliwszy ból, najsrozsze cierpienia? Czyś sądził, że jestem bezsilny, bezmyślny i głupi, że zbraknie mi rozumu, by uknuć plan twej zguby, i sił, by plan ten wykonać?

Opowiem dzieje swojego życia!... I usłyszają mnie ci, którzy wymierzają sprawiedliwość w tym kraju. Nie zagłuszą mnie wszystkie wzburzone żywioły! Głos mój będzie straszliwszy od gromu!

Dlaczego miałbym być posądzony o niegodne pobudki? Nie jestem już o nie oskarżony. Teraz nie będzie się nikomu zdawało, że próbuję zrzucić z siebie winę składając ją na mego oskarżyciela! Czy mam płakać nad zgubą, która cię dosięgnie? Zbyt długo byłem pobłażliwy i wybaczący. Co dobrego wynikło z mojej nierozumnej łagodności? Nie zawahałeś się ściągnąć na mą głowę każdego nieszczęścia! I ja nie będę miał większych skrupułów! Nie

miałeś dla mnie litości, i sam jej nie zaznasz...! Muszę być spokojny! Śmiały jak lew, lecz opanowany!

Oto chwila, w której ważą się losy. Widzę — wydaje mi się, że widzę — swój triumf i zagładę mego niby wszechwładnego wroga. Lecz gdyby miało być inaczej, przynajmniej zwycięstwo jego nie będzie pełne. Jego sława nie będzie wieczna, jak to sobie wyobraża. Te dokumenty dadzą świadectwo prawdzie: pewnego dnia zostaną ogłoszone i wtedy świat nas osądzi. Pamiętając o tym nie umrę bez pociechy. Kłamstwo i przemoc nie mogą panować wiecznie.

Jak bezsilne są ludzkie zabiegi wobec niezmiennych praw rządzących ludzkim umysłem! Ten Falkland rzucił na mnie wszystkie rodzaje nikczemnych oskarżeń! Szczuł mnie z miasta do miasta. Rozstawił nagonkę naokoło mnie, abym nie uciekł. Jego gończe psy, tropiciele ludzkiej zwierzyny, węszyły za mną niezmordowanie. Zdawało się, że może zaszczuć mnie na śmierć...

Na próżno! Tym narzędziem, tym niewielkim piórem, udaremnię wszystkie jego knowania. Ugodzę go w punkt, który chciałby najtroskliwiej osłonić.

Collinsie! Zwracam się teraz do ciebie. Przystałem na to, byś mi nie dawał pomocy w moim obecnym, okropnym położeniu. Wolałbym umrzeć niż zrobić coś, co zamąciłoby twój spokój. Lecz pamiętaj, jesteś wciąż moim ojcem. Zaklinam cię na miłość, jaką kiedyś dla mnie żywiłeś, na wszystko dobre, coś mi wyświadczył, na uczucia przebaczenia i życzliwości, jakie przepełniają moją duszę, na moją niewinność (bo jeśli by to miały być ostatnie słowa w moim życiu, umieram wołając, że jestem niewinny!), na to wszystko lub na cokolwiek, co jest ci świętsze, zaklinam cię, wysłuchaj mojej ostatniej prośby! Strzeż tych dokumentów przed zniszczeniem, strzeż ich przed Falklandem! To wszystko, czego żądam. Postarałem się o to, by w bezpieczny sposób przekazać je w twe ręce, i mam mocną wiarę, której nigdy nie stracę, że przyjdzie dzień, kiedy trafią do ludzi!

Pióro waha się w mych drżących palcach. Czy jest jeszcze coś, co pozostało nie wypowiedziane?...

Nigdy nie zdołałem stwierdzić, jaka była zawartość owej fatalnej

skrzynki, od której wzięły początek wszystkie moje nieszczęścia. Niegdyś myślałem, że zawiera ona jakieś mordercze narzędzie lub pamiątkę związaną z losem nieszczęsnego Tyrrela. Teraz jestem przekonany, że zamknięta w niej tajemnica to wierna opowieść o Tyrrele i związanych z nim wydarzeniach, spisana przez Mr Falklanda na najgorszy wypadek. Gdyby przez jakieś nieprzewidziane zdarzenia cała jego wina wyszła na jaw, ta opowieść mogłaby się przyczynić do ratowania resztek jego dobrego imienia. Ale słuszność lub niesłuszność tego domysłu nie ma większego znaczenia. Jeśli zbrodnia Falklanda nigdy nie zostanie wykryta i on nie będzie musiał dawać światu zadośćuczynienia, relacja jego przypuszczalnie nigdy nie ujrzy światła dziennego. W tym wypadku zastąpi ją w sposób wyczerpujący, może dość surowy, historia mojego życia.

Nie wiem, dlaczego tyle jest we mnie wzniosłej powagi. Mam jakieś tajemne przeczucie, jakbym nigdy już nie miał być panem siebie. Jeśli uda mi się to, co teraz zamierzam w związku z Falklandem, ostrożność, jaką otaczam te dokumenty, okaże się niepotrzebna, nie będę dłużej zmuszony uciekać się do fałszu i wybiegów. Jeśli jednak spotka mnie niepowodzenie, okaże się, że te środki ostrożności zostały mądrze obmyślane.

# POSTSCRIPTUM

Wszystko jest już poza mną. Przeprowadziłem swój plan. Moje położenie zmieniło się gruntownie: zasiadam teraz, by zdać z niego sprawę. Przez wiele tygodni po dokonaniu tego strasznego czynu mój umysł był w stanie takiego zamętu, że pisać było dla mnie niepodobieństwem. Wydaje mi się, że teraz będę zdolny na tyle uporządkować swe myśli, by mi się to udało. Wielki Boże! Jak przedziwne, jak straszliwe wydarzenia zaszły od czasu, kiedy ostatni raz miałem pióro w ręku! Nic dziwnego, że moje myśli były pełne podniosłej powagi, a serce — okropnych przeczuć.

Powziąwszy swą decyzję wyruszyłem z Harwich do głównego miasta hrabstwa, w którym mieszkał Mr Falkland. Gines, o czym doskonale wiedziałem, trzymał się gdzieś w pobliżu. Było to dla mnie bez znaczenia. Być może, dziwił się, że obrałem fen kierunek, lecz nie wiedział, dlaczego to zrobiłem. Mój plan był tajemnicą, którą troskliwie kryłem w sercu. Nie bez uczucia lęku wkraczałem do miasta, gdzie spędziłem tyle czasu w więzieniu. Natychmiast udałem się do domu głównego sędziego pokoju, aby nie dać wrogowi czasu na przeciwdziałanie.

Opowiedziałem, kim jestem i że przybyłem z dalekich stron, aby za jego pośrednictwem wnieść przeciwko swemu dawnemu panu oskarżenie o morderstwo. Moje nazwisko było już sędziemu znane. Odpowiedział, że nie może przyjąć do wiadomości mego zeznania, że w tych stronach jestem przez wszystkich przeklęty i że on zdecydowany jest pod żadnym pozorem nie stać się narzędziem mojej nikczemności.

Ostrzegłem go, aby dobrze rozważył, co zamierza uczynić. Zwróciłem jego uwagę, że nie żądam od niego łaski, a zwracam się do niego wyłącznie w granicach jego obowiązków. Czy odważyłby się twierdzić, że dla własnej zachcianki ma prawo nie przyjąć zeznania tak ważnej natury? Przyszedłem, by oskarżyć Mr Falklanda o wielokrotne zabójstwa.

Przestępca wie, że znam prawdę, a w związku z tym jego złość i mściwość zagrażają ustawicznie mojemu życiu. Postanowiłem raz skończyć z tą sprawą, jeśli tylko zdołam uzyskać sprawiedliwość w jakimś angielskim sądzie. Pod jakim pozorem — pytałem — odmawia on przyjęcia mojego oświadczenia? Jako świadek odpowiadam wszelkim wymogom prawa. Jestem w tym wieku, kiedy człowiek rozumie wagę przysięgi, najzupełniej zdrowy na umyśle, nie plami mnie orzeczenie żadnego sądu przysięgłych ani wyrok innego sędziego. Jego osobiste zdanie o mojej osobie nie mogło zmienić praw naszego kraju.

— Żądam konfrontacji z Mr Falklandem — ciągnąłem — i jestem zupełnie pewny, że udowodnię słuszność złożonego oskarżenia w sposób przekonywający dla wszystkich. Jeśli sędzia nie uzna za słuszne uwięzić winnego wyłącznie na podstawie mojego świadectwa, wystarczy mi, jeśli zawiadomi go o oskarżeniu i zawezwie na przesłuchanie.

Na widok mojej stanowczości sędzia uznał za stosowne spuścić nieco z tonu. Nie odmawiał już kategorycznie moim żądaniom, lecz raczył wdać się ze mną w wyjaśnienia. Przedstawił mi, że zdrowie Mr Falklanda od kilku lat było bardzo nieszczególne, że był on już bardzo dokładnie badany w związku z tym oskarżeniem, że moje postępowanie musi płynąć z szatańskiej złośliwości, że — w końcu — dziesięćkroć ściągnę na swoją głowę niechybną zgubę. Na wszystkie te perswazje odpowiadałem krótko: „Jestem zdecydowany nie ustępować i cierpieć skutki mego postępowania.” W końcu wystosowano do Mr Falklanda nakaz, by się stawił na przesłuchanie w sprawie o morderstwo.

Zanim można było uczynić jakiegokolwiek dalsze kroki w tej sprawie, minęły trzy dni. Ta zwłoka nie wpłynęła bynajmniej na moje uspokojenie. Myśl, że złożyłem oskarżenie grożące utratą życia i że przyspieszałem śmierć takiego człowieka jak Mr Falkland nie przynosiła mi ulgi. Chwilami mój czyn wydawał mi się chwalebny czy to jako akt słusznej zemsty (ponieważ utraciłem wiele z wrodzonej dobroduszości i stałem się zgorzkniały), czy też niezbędnej samoobrony lub jako wyjście, które z punktu widzenia bezstronnej racji i dobra ludzkiego było najmniejszym złem. Kiedy indziej dręczyły mnie wątpliwości. Lecz mimo tych zmiennych

uczuciem byłem przez cały czas zdecydowany wytrwać. Czułem, że pcha mnie do tego kroku jakaś nieprzewyciężona siła. Konsekwencje mojego czynu potrafiłyby przejąć lękiem najmężniejsze serce. Oznaczały one albo haniebną śmierć człowieka, którego niegdyś tak głęboko szanowałem, a który i dziś wydawał mi się czasem godny pewnego szacunku, albo te same, a może gorsze cierpienia, które już tak długo znosiłem, dla mnie. Ale wolałem to od niepewności. Chciałem wiedzieć choćby najgorsze, chciałem położyć kres nadziejom, które — choć słabe — od tak dawna były moją udręką, a przede wszystkim chciałem wyczerpać aż do końca listę dostępnych mi środków działania. Umysł mój był rozogniony, bliski niemal szaleństwa. Ciało od podnieconych myśli płonęło gorączką. Kiedy kładłem rękę na piersi czy czole, zdawało mi się, że spali je ona swym żarem. Nie mogłem ani chwili usiedzieć spokojnie. Trawiło mnie nieustanne pragnienie, aby straszna, krytyczna chwila, której tak gorąco wzywałem, nadeszła i minęła.

Po upływie trzech dni stanąłem naprzeciw Mr Falklanda w obecności sędziego, do którego zwróciłem się w tej sprawie. Miałem zaledwie dwie godziny, by przygotować się na to spotkanie, ponieważ Mr Falklandowi śpieszyło się bodaj tak samo jak mnie do ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy i zakończenia jej raz na zawsze.

Przed badaniem dowiedziałem się przypadkiem, że Mr Forester musiał w jakiejś sprawie udać się na kontynent, a Collins, który gdy go widziałem, był w bardzo niepokojącym stanie zdrowia, złożony jest obecnie niebezpieczną chorobą. Wyjazd do Indii Zachodnich zniszczył zupełnie jego organizm. W domu sędziego zastałem paru ludzi wyższego stanu i innych specjalnie wybranych. Zamierzano, jak i poprzednim razem, znaleźć formę w pewnym sensie pośrednią między badaniem w ściśle zamkniętym gronie, które miałyby podejrzany charakter, i niedelikatnością, jak mówiono, badania narażającego podsądnego na uwagi ze strony każdego przypadkowego widza.

Nie mogę sobie wyobrazić silniejszego wstrząsu niż ten, jakiego doznałem na widok Mr Falklanda. Kiedy go widziałem ostatnio, był wychudzony i blady, wzrok miał błędny, ruchy gorączkowe, a cały wygląd

zdradzał szaleństwo. Teraz wyglądał na trupa. Wniesiono go w fotelu, niezdolnego stać o własnych siłach, zmęczonego, niemal nieżywego po odbytej podróży. Twarz miał ziemistą, a członki bezwładne, jakby z nich życie uszło. Głowa zwisała mu na piersi, chwilami tylko unosił ją i patrzył wkoło zamglonymi oczami, zaraz potem zapadał znów w widoczną obojętność. Zdawało się, że nie pożyje nawet trzech godzin. Od szeregu tygodni nie opuszczał swego pokoju, lecz pozew sędziowski doręczono mu do łóżka, ponieważ jego rozkazy co do listów i wszelkich pism były tak stanowcze, że nikt nie śmiał się im sprzeciwić. W czasie czytania pisma chwycił go bardzo niebezpieczny atak, ale kiedy tylko przyszedł do siebie, zaczął nalegać, aby dostawiono go, jak tylko się da najspieszniej, na wskazane miejsce. Falkland, nawet bardzo chory, był nadal Falklandem: człowiekiem niezachwianym w raz wydanych rozkazach i zdolnym nakazać posłuszeństwo każdemu, kto się doń zbliżył.

Cóż to był dla mnie za widok! Do chwili kiedy Falkland ukazał się mym oczom, moje serce było niedostępne litości. Zdawało mi się, że postępując z chłodną rozwagą rozstrzygnąłem sprawę słusznie i że moja decyzja była bezstronna i sprawiedliwa. Namiętność, w całej swej powadze i gwałtowności, zawsze wydaje się człowiekowi, którego opanowała, chłodną rozwagą. Wierzyłem, że gdybym pozwolił Mr Falklandowi dalej wykonywać swoje zamiary, obaj stalibyśmy się na pewno ludźmi do głębi nieszczęśliwymi. Wierzyłem, że dzięki mej decyzji mogłem uwolnić siebie od nieszczęścia, zaś nieszczęście Falklanda nie mogło się już chyba pogłębić. Dlatego wydawało mi się czymś słusznym i sprawiedliwym, czymś, czego mógłby pragnąć człowiek bezstronny, aby raczej jedna osoba była nieszczęśliwa zamiast dwóch, aby raczej jedna osoba niż dwie pozbawiona była możliwości pracy dla powszechnego dobra. Myślałem, że w tej sprawie uniosłem się ponad względy osobiste i że nie kierowałem się wcale myślą o własnej korzyści.

Prawda, że Mr Falkland był śmiertelny, jednak mimo widocznego upadku sił mógł jeszcze żyć długo. Czyż mam marnować najpiękniejsze lata mojego życia w takiej jak teraz niedoli? On oświadczył, że jego sława pozostanie nigdy nie naruszona, to była jego największa namiętność, myśl,



która doprowadzała go niemal do szaleństwa. Przypuszczalnie więc zamierzał pozostawić po sobie w spadku nakaz, by kiedy go już nie będzie, Gines lub jakiś inny równie okrutny nikczemnik prześladował mnie nadal. Teraz lub nigdy, był właściwy czas, by położyć kres niekończącej się męce.

Wszystkie te misterne wywody pierzchły przed nowym, nasuwającym mi się teraz pytaniem: „Czy powinienem deptać człowieka tak straszliwie pogiębionego przez życie? Czy powinienem kierować swą nienawiść ku człowiekowi stojącemu nad grobem? Czy powinienem zatruwać ostatnie chwile takiego człowieka jak Falkland słowami najokrutniejszymi dla jego uszu? To niemożliwe. Musiał być jakiś okropny błąd w rozumowaniu, które zrobiło ze mnie sprawcę tej odrażającej sceny. Musiała istnieć jakaś lepsza i szlachetniejsza rada na przytłaczające mnie brzemię nieszczęść.

Lecz było za późno: popełnionego błędu nie dało się już teraz żadną siłą odwołać. Oto Falkland sprowadzony uroczyście przed oblicze sędziego, aby odpowiadać na zarzut morderstwa. Oto ja sam postawiłem ten zarzut i zaręczyłem uroczyście i święcie, że będę go podtrzymywał. Tak wyglądała moja sytuacja i w tej sytuacji musiałem natychmiast działać. Drżałem na całym ciele. Zgodziłem się z ochotą, aby ta chwila była ostatnią w moim życiu. Miałem jednak przekonanie, że moim nieodwołalnym obowiązkiem w tej minucie jest odsłonić przed obecnymi wnętrze mej duszy. Popatrzyłem najpierw na Mr Falklanda, potem na sędziego i jego asystę — i znów na Mr Falklanda. Głosem zduszonym od męki zacząłem:

— Czemu nie mogę cofnąć ostatnich czterech dni mego życia? Jakżeż mogłem być tak gorliwy i uparty w wykonaniu tak szatańskiego zamysłu? O, gdybym był posłuchał perswazji obecnego tu sędziego lub uległ jego nakazom, które tak słuszne miały intencje! Do tej pory byłem tylko nieszczęśliwy, odtąd będę się uważał za nikczemnika! Do tej pory, choć pogardzany przez ludzi, byłem niewinny przed sądem własnego sumienia. Nie dopełniła się jeszcze miara mej nędzy!

Jakżebym pragnął móc wyjść stąd nie powiedziawszy ani słowa więcej! Nie dbałbym o skutki — raczej zniósłbym każdy zarzut: tchórzostwa, kłamstwa, występku, niż powiększyłbym brzemię nieszczęść, jakie przytłaczają Mr Falklanda. Lecz obecna sytuacja i interes samego Mr

Falklanda zabraniają mi milczeć.

On, którego oplakany stan budzi we mnie taką litość, że gotów jestem zapomnieć o własnym interesie, sam by mnie zmusił do oskarżeń, aby móc dowieść swej niewinności. Chcę otworzyć przed wami moje serce.

Żadna skrucha, żadne cierpienie nie odkupi okrutnego szaleństwa tego ostatniego czynu, jakiego się dopuściłem. Lecz Mr Falkland dobrze wie, stwierdzam to w jego obecności, jak bardzo niechętnie chwyciłem się tego środka. Szanowałem go, był godny szacunku, kochałem go, jego cnoty wynosiły go ponad ludzką naturę.

Od pierwszej chwili, w której go ujrzałem, poczułem dla niego najgorętsze uwielbienie. On łaskawie dodawał mi zachęty. Przywiązałem się do niego całym sercem. Był nieszczęśliwy; pełen młodzieńczej ciekawości, próbowałem gorliwie odkryć tajemnicę jego strapienia. To był początek wszystkich nieszczęść.

Co mam jeszcze powiedzieć? Ten człowiek jest naprawdę mordercą Tyrrela, pozwolił, by Hawkinsów powieszono, wiedząc, że byli niewinni i że on jeden jest sprawcą tej zbrodni! Po różnych domysłach, po wielu niedyskrecjach z mojej strony, a napomknieniach — z jego, zawierzył mi w końcu całą tę fatalną historię.

Mr Falkland, zaklinam pana najuroczyściej, byś sięgnął pamięcią wstecz. Czy okazałem się kiedykolwiek niegodny pańskiego zaufania? Pańska tajemnica stała się dla mnie bolesnym ciężarem, dążyłem do jej odkrycia zamroczony szałem, lecz byłbym raczej umarł tysiąc razy, niż ją zdradzić. To pańska podejrzliwość i brzemie przytłaczające sumienie kazało panu śledzić moje ruchy i w najbliższym moim posunięciu widzieć powody do panicznego lęku.

Początkowo ufał mi pan, czemu przestał pan mi ufać? Zło, jakie wynikło z mojej początkowej nierozwagi, byłoby wtedy stosunkowo niewielkie. Groził mi pan wtedy, czy wydałem pana? Jedno słowo z moich ust w owym czasie uwolniłoby mnie na zawsze od pańskich gróźb. Znosiłem je dość długo, a w końcu opuściłem pańską służbę i jak zbieg ruszyłem w świat w milczeniu. Czemu nie pozwolił mi pan odejść? Podstępem i gwałtem sprowadził mnie pan z powrotem i nikczemnie oskarżył o poważny

rabunek! Czy i wtedy wspomniałem choć słowo o morderstwie, którego tajemnica była mi znana?

Gdzie jest człowiek, którego niesprawiedliwość społeczeństwa dosięgła srożej niż mnie? Oskarżono mnie o nikczemność, na myśl o której wzdryga się moje serce. Zostałem uwięziony. Nie będę wyliczał okropności mojej karni, z których najmniejsza przyprawiłaby o drżenie wasze serca. Oczekiwałem śmierci na szubienicy! Być młodym, ambitnym, kochającym życie, niewinnym jak nowonarodzone dziecko i oczekiwać szubienicy! Byłem pewny, że jedno słowo śmiałego oskarżenia przeciw memu chlebodawcy dałoby mi wolność, a przecież milczałem, zbroiłem się w cierpliwość wahając się, czy lepiej go oskarżyć, czy umrzeć. Czy tak postąpiłby człowiek niegodny zaufania?

Postanowiłem wydostać się z więzienia. Po nieskończonych trudnościach i wielu niepowodzeniach dopiąłem w końcu celu. Natychmiast pojawiło się obwieszczenie, które obiecywało nagrodę stu gwinei za moją głowę. Byłem zmuszony szukać schronienia między wyrzutkami społeczeństwa, w bandzie rozbójniczej. Przy tej okazji dwa razy zajrzałem śmierci w oczy: wchodząc do ich kryjówek i opuszczając ją. Zaraz potem przeszedłem wszczep i wzdłuż prawie całe królestwo — chory nędzarz, któremu w każdej chwili groziło, że zostanie znów pochwycony i zakuty w kajdany jak zbrodniarz. Chciałem uciec z rodzinnego kraju, ale nie pozwolono mi. Próbowałem ukrywać się pod coraz to innym przebraniem. Byłem niewinny, a przecież zmuszono mnie do tylu podstępów i wybiegów, jakich musiałby się chwycić najgorszy złoczyńca. W Londynie gnębiono mnie i niepokojono, tak samo jak w czasie wędrówki po kraju. Czy wszystkie te prześladowania otworzyły mi usta? Nie: znosiłem je cierpliwie i z poddaniem, ani razu nie spróbowałem odpłacić ich sprawcy tą samą monetą.

W końcu dostałem się w ręce łotrów, którzy żyją z ludzkiej krwi. W tym okropnym położeniu po raz pierwszy usiłowałem zrzucić z siebie winę stając sam w roli oskarżyciela. Szczęściem dla mnie sędzia londyński wysłuchał mojej opowieści z grubiańską wzgardą.

Rychło pożałowałem mojej popędliwości i cieszyłem się własnym

niepowodzeniem.

Przyznaję, że w całym tym okresie Mr Falkland na różne sposoby okazywał mi swą dobroć. Nie chciał dopuścić do uwięzienia mnie, starał się osłodzić mi pobyt w więzieniu, nie za jego sprawą wysłano za mną pogoń, to on wreszcie sprawił, że mnie zwolniono, kiedy stanąłem przed sądem. Lecz duża część tych aktów wyrozumiałości pozostała mi nie znana. Widziałem w nim nieubłaganego prześladowcę. Nie mogłem zapomnieć o tym, że źródłem wszystkich nieszczęść, jakie się później zwały na mnie, było jego fałszywe oskarżenie.

Zostałem oczyszczony od zarzutu zbrodni. Dlaczego więc nie było końca moim cierpieniom, czemu nie pozwolono mi złożyć zmęczoną głowę w jakimś nędznym, lecz spokojnym schronieniu? Czy nie wystarczająco dowiodłem stałości i wierności? Czy w tej sytuacji ugoda nie byłaby rzeczą najmądrzejszą i najbezpieczniejszą?

Jednak gorączkowy niepokój i podejrzliwość Mr Falklanda nie pozwalały mu ani na odrobinę ufności wobec mnie. Jedyna ugoda, jaką proponował, polegała na tym, abym własną ręką podpisał oświadczenie, że jestem niktzemnikiem. Odmówiłem i od tej pory, gnany z miejsca na miejsce, pozbawiony jestem spokoju, uczciwego imienia, nawet chleba. Przez długi czas trwałem w postanowieniu, że żadne wypadki nie zmuszą mnie, bym sam stał się stroną napastującą. W końcu, w jakiejś złej godzinie, poszedłem za głosem oburzenia i niecierpliwości i ów fatalny błąd doprowadził do obecnej sytuacji.

Widzę teraz ten błąd w całym jego ogromie. Jestem pewny, że gdybym otworzył serce przed Mr Falklandem, gdybym opowiedział mu na osobności to, co teraz opowiedziałem, nie mógłby się oprzeć moim słusznym żądaniom. Mimo całej ostrożności koniec końców jego spokój zależał od mojej cierpliwości. Czy mógł być pewny, że nie znalazłbym posłuchu, gdybym został doprowadzony do wyjawienia wszystkiego, i to z całą siłą, na jaką mnie stać? Jeśli w każdym wypadku był zdany na moją łaskę, w czym powinien był widzieć swoje bezpieczeństwo: w zgodzie czy w nieubłaganym okrucieństwie?

Mr Falkland jest człowiekiem szlachetnym. Tak, pomimo tragedii z

Tyrrelem, pomimo fatalnego końca, jaki spotkał Hawkinsów, i wszystkiego, co ja sam wycierpiałem, stwierdzam, że posiada zalety godne najwyższego podziwu. Dlatego nie podobna, aby był się oparł prostym i gorącym argumentom, szczerości i zapałowi, z jakim człowiek przemawia, kiedy otwiera swą duszę. Rozpaczałem, gdy przecież był jeszcze czas dokonać tej szlachetnej próby, moja rozpacz była zbrodnią, była zdradą wobec prawdy, silniejszej nad wszystko.

Oto moja prawdziwa, nie upiększona opowieść. Przyszedłem, by przeklinać, a teraz błogosławię. Przyszedłem oskarżać, a jestem zmuszony chwalić. Głoszę wobec całego świata, że Mr Falkland jest człowiekiem zasługującym na miłość i życzliwość, ja zaś najpodlejszym i najnędniejszym z ludzi! Nigdy sobie nie daruję niegodziwości dzisiejszego dnia. Pamięć o nim nie przestanie mnie dręczyć, zatruwając każdą godzinę mojego życia. Mój ostatni postępek zrobił ze mnie mordercę — zimnego, wyrafinowanego, nieczułego mordercę.

Opowiedziałem to, do czego zmusił mnie mój przeklęty pośpiech. Róbcie ze mną teraz, co chcecie! Nie proszę o łaskę. W porównaniu z tym, co czuję, śmierć byłaby łaską!

Takie słowa podyktowały mi wyrzuty sumienia. Wyrzucałem je z siebie z niepohamowaną gwałtownością. Zostałem ugodzony w samo serce i musiałem dać ujście straszemu bólowi. Słuchacze zastygli w zdumieniu.

Wszyscy tonęli we łzach. Nie mogli oprzeć się zapałowi, z jakim słałem wielkie zalety Falklanda, a widok mej skruchy głęboko ich wzruszył.

Jak opisać przeżycia tego nieszczęśliwego człowieka? Zanim zacząłem mówić, zdawał się zgnębiony i bezsilny, niezdolny do żadnego wysiłku. Kiedy wspomniałem o morderstwie, zauważyłem, jak wzdrygnął się mimo woli, choć wycieńczenie ciała i siła ducha stłumiły ten odruch. Spodziewał się oskarżenia i próbował się na nie przygotować. Tymczasem w tym, co powiedziałem, było wiele spraw, o których nie miał pojęcia.

Kiedy mówiłem o swej wewnętrznej męce, zdawał się wpierw zdumiony i zaniepokojony, czy nie jest to nowy środek, którego użyłem po to, by uwierzono mojej opowieści. Był straszliwie oburzony, że niemal do ostatniej

godziny jego życia zachowałem wobec niego tak zawziętą urazę. Oburzenie jego wzrosło jeszcze, kiedy słysząc o moim żalu pomyślał, że gram na uczuciach ludzkich, by dodać większej siły oskarżeniu. Lecz oburzył się jeszcze bardziej, przekonawszy się, że jak przypuszczał, udaję szlachetność i czułość, aby podjąć nowe jeszcze gwałtowniejsze kroki nieprzyjacielskie. Ale w miarę jak mówiłem, nie mógł się już dłużej opierać. Widział, że mówię szczerze, przejął się moim bólem i skruchą. Podtrzymywany przez towarzyszących mu ludzi powstał i — ku mojemu niezmiernemu zdumieniu — rzucił się w moje ramiona.

— Williamsie — zawołał — zwyciężyłeś! Zbyt późno widzę, jak wielką i wzniosłą masz duszę! Wyznaję, że ginę nie z twojej, lecz z własnej winy, że własnej nadmiernej podejrzliwości, która mnie pożerała, zawdzięczam mą zgubę. Oparłbym się wszelkim próbom złośliwych oskarżeń z twojej strony. Lecz widzę, że twoja prosta i męska opowieść trafiła do serca słuchaczy. Oto koniec wszystkich moich nadziei. To, czego najgoręcej pragnąłem, przepadło na zawsze. Przeżyłem życie pełne nikczemnych okrucieństw, aby ukryć jeden uczynek, jedną minutę występku i ochronić siebie przed uprzedzeniami moich bliźnich. Teraz wszystko zostało odkryte. Moje imię okryte zostanie niesławą, podczas gdy twój heroizm, cierpliwość i cnoty będą podziwiane przez wieki. Wyrządziłeś mi najokrutniejszy ból, lecz błogosławię rękę, która mnie rani.

A teraz — ciągnął zwracając się do sędziego — teraz róbcie ze mną, co chcecie. Gotów jestem przyjąć przewidzianą karę. Nie możecie ukarać mnie bardziej, niż na to zasługuję. Nie możecie nienawidzić mnie bardziej, niżli ja sam siebie nienawidzę. Jestem najohydniejszym z nikczemników. Przez wiele lat (nie wiem jak długo) wlokłem nędzny żywot w nieznośnych cierpieniach. Nareszcie w nagrodę za wszystkie moje trudy i zbrodnie stoję u kresu tych cierpień, utraciwszy jedyną, ostatnią nadzieję, widząc zniszczenie tego, dla czego jedynie godziłem się żyć. Oto godny koniec takiego życia — doczekać się chwili ostatecznej klęski. Jeśli jednak chcecie mnie ukarać, musicie się spieszyć. Bo tak jak dobra sława była krwią, która ożywiała moje serce, tak czuję, że śmierć i niesława przyjdą po mnie razem.

Przytaczam pochwały, jakimi obsypał mnie Falkland, nie dlatego, abym na nie zasługiwał, lecz by uwypuklić moje podłe okrucieństwo. Tylko o trzy dni przeżył Mr Falkland to okropne wydarzenie. Ja jestem jego mordercą. Trzeba więc było, aby mnie chwalił ten, czyje życie i dobre imię padły ofiarą mojej popędliwości. Gdybym zatopił sztylet w jego sercu, byłoby to łaską w porównaniu z tym, co zrobiłem, i on podziękowałby mi za moją dobroć. Lecz och, jakimż byłem okrutnym, obmierzłym łotrem! Skazałem go lekkomyślnie na mękę stokroć gorszą od śmierci.

Ja tymczasem pokutuję za popełnioną zbrodnię. Jego twarz stoi wiecznie żywa w mojej wyobraźni. Widzę go we śnie i na jawie. Zdaje mi się, że z łagodnością skarży się na moje okrucieństwo. Żyję skazany na to, by być ofiarą wyrzutów sumienia. Niestety! Jestem tym samym Kalebem Williamsem, który jeszcze tak niedawno chełpił się, że jakiegokolwiek znosił cierpienia, przecież był niewinny.

Takie skutki wydał mój plan wyswobodzenia się od nieszczęścia, które od tak dawna mnie prześladowało. Myślałem, że ze śmiercią Falklanda odzyskam wszystko, co czyni życie godnym pożądania. Myślałem, że jeśli wina Falklanda zostanie udowodniona, los i świat wynagrodzą mi jeszcze moje cierpienia. Spełniło się jedno i drugie — i dopiero teraz jestem prawdziwie nieszczęśliwy.

Dlaczego myśli moje krążą ustawicznie dokoła mej własnej osoby? Mego własnego ja, które zasłoniło mi innych ludzi i stało się źródłem wszystkich moich błędów. Falklandzie, odtąd myśleć będę tylko o tobie i z tej myśli czerpać wiecznie nowy pokarm dla mego żalu! Chcę poświęcić twoim popiołom jedną szlachetną, bezinteresowną łzę. Nie było między synami ludzkimi szlachetniejszego ducha. Twój umysł był prawdziwie wzniosły, a serce płonęło boską dumą. Lecz na co się zdają talenty i uczucia w tej dżungli zdeprawowania, jaką jest ludzkie społeczeństwo? To stęchła i przegniła gleba, z której każde szlachetniejsze ziele rosnąc czerpie truciznę. Wszystko, co na lepszym gruncie i w czystszy powietrzu krzewiłoby się cnotą i wyrastałoby na pożytek, zamienia się tu w trujący blekot i jadowitą wilczą jagodę.

Falklandzie! Wchodziłeś w życie pełen najczystszych, najbardziej

chwalebnych nadziei. Lecz w najwcześniejszej młodości przesiąkłeś trucizną ideałów rycerskich, a nikczemna i niska zazdrość, która wyszła ci na spotkanie, gdyś wracał w rodzinne strony, wraz z ową trucizną wpędziła cię w szaleństwo. I przez to fatalne połączenie szybko, zbyt szybko zniweczone zostały na zawsze najpiękniejsze nadzieje twojej młodości. Od tej chwili żyłeś tylko dla majaka utraconego honoru. Od tej chwili twoja życzliwość wobec ludzi zamieniła się w jęczącą podejrzliwość i nieustanną czujność. Rok po roku płynął ci wśród tych nieszczęsnych planów oszukania świata i musiałeś dożyć dnia, by ujrzeć, jak przez mój zły, wstrętny postępek zawodzi cię ostatnia nadzieja, a śmierci twojej towarzyszy najohydniejsza hańba.

Zacząłem pisać te wspomnienia z myślą, by bronić swej reputacji. Dziś nie mam reputacji, której bym chciał bronić, lecz chcę je zakończyć, aby dzieje twego życia mogły być w pełni zrozumiałe, a gdyby błędy, które tak gorąco pragnąłeś ukryć, wyszły na jaw — by świat przynajmniej nie słuchał i nie powtarzał niepełnej i niedokończonej historii.

**KONIEC**



# POSŁOWIE

„Dlaboga! A to mnie okpiono. Mówili, jaka to wspaniała rzecz być Anglikiem, mówili o wolności i własności i takie tam różne bzdury. A ja widzę, że to wszystko łgarstwo. Boże, jacyż z nas głupcy! Takie rzeczy dzieją się pod naszym nosem, a my o tym nic nie wiemy. I zgraja łotrów z poważnymi twarzami przysięga nam, że to wszystko dzieje się tylko we Francji i innych krajach do niej podobnych.”

Słowa Tomasza, głęboko wzburzonego na widok Kaleba skutego w kajdany w ohydny lochu więziennym, nie są przeznaczone dla uszu Kaleba jedynie. Co więcej, nie sam Tomasz je mówi. Wyrrywają się Godwinowi na myśl o trzech najbliższych przyjaciółach (Tomaszu Hardym, Johnie Horne Tooke’u i Tomaszu Holcrofcie), radykałach oczekujących wyroku za zdradę stanu. Słowa te są skierowane do parlamentu angielskiego i do całego kraju.

Przypomnijmy sobie, co się dzieje w Anglii w roku pańskim 1793, kiedy Godwin gorączkowo kończy swoją powieść, aby zdążyć oddać ją do druku jeszcze przed wyrokiem na przyjaciół, aby ją dać do ręki tysiącom ludzi blisko spokrewnionych z Kalebami i Tomaszami, ludzi wciąganych oto do wojny z Francją pod pretekstem, że tam ginie szlachetna rycerskość i że trzeba bronić ojczyzny przed jakobińską zarazą.

Rok 1793 jest momentem zwrotnym w ustosunkowaniu się angielskiej burżuazji do rewolucji francuskiej. W lutym tego roku zostaje wypowiedziana wojna Francji i rząd angielski ogarnia histeryczna panika. Angielska burżuazja ma już za sobą swoją rewolucję. Przeszło sto lat dzieli ją od egzekucji Karola I. Ugruntowała tymczasem swój stan posiadania, rozwinęła szeroko handel zagraniczny, uprzemysłowała kraj i robi znakomite interesy. Każdy nowy ruch rewolucyjny bezpośrednio godzi w te interesy, grozi podminowaniem stanowiska burżuazji i podniesieniem

znaczenia rosnącego proletariatu. Zaczynają się więc sypać aresztowania. Premier Pitt i jego Tajna Rada nie są zwolennikami półśrodków. W tajnych tekach znajduje się dość nazwisk, aby nimi zapełnić setki rejestrów sądowych. Na pierwszy ogień idą radykałowie-publicyści, których oskarża się o zdradę stanu za nawoływanie do reform parlamentarnych. Między nimi znajdują się trzej wspomniani przyjaciele Godwina. Los przyjaciół jest dla Godwina potężnym bodźcem do publicznego wystąpienia z szeregiem artykułów drukowanych w „Morning Chronicle”, w których autor namiętnie i z dużym rozmachem staje w ich obronie. „Proces ten — pisał Godwin — jest jednym z najbardziej decydujących zjawisk w i historii walki o wolność Anglii.” Przyspieszył on też powstanie dwu najważniejszych dzieł Godwina: *Sprawiedliwości politycznej* i *Kaleba Williamsa*.

Godwin doskonale zdawał sobie sprawę, na co się naraża występując z ostrą krytyką monarchii w *Sprawiedliwości* i tyranii klas rządzących w *Kalebie*. W przedmowie do *Sprawiedliwości* stwierdza bez ogródek, że „monarchia jest systemem rządów do cna przegniłym”. Za takie powiedzenie można było wisieć w Anglii Pitta. Szczęśliwym trafem Godwin uniknął indeksu, więzienia, a może nawet i stryczka. Tajna Rada zastanawiała się, czy nie dać *Sprawiedliwości* na indeks, ale doszło do wniosku, że książka, która kosztuje trzy funty, nie może stać się popularna wśród robotników, rzadko kiedy mających trzy szylingi przy duszy. Ale ten szczęśliwy traf nie zmylił Godwina co do „sprawiedliwości” panującej w jego ojczyźnie. W rok po *Sprawiedliwości* ukazuje się *Kaleb*, powieść, o której Godwin pisał: „Chcę stworzyć dzieło głęboko poruszające świadomość czytelnika. Ktokolwiek je przeczyta, nie pozostanie tym samym człowiekiem.”

A więc w czasie gdy Pitt przy pomocy uzbrojonej floty usiłował zatrzymać „zgubnego ducha rewolucji francuskiej” u brzegów Wysp Brytyjskich, a wewnątrz kraju zakuć w kajdany postępową myśl, gdy Paine w obronie rewolucji drukował swoje *Prawa człowieka*, a pastor Price wygłaszał swe entuzjastyczne przemówienia, kiedy parlamentarzysta Burke atakował rewolucję w *Refleksjach o rewolucji francuskiej* i grzmiał w

parlamencie, że „minęły już czasy rycerstwa” — Godwin pracował nad *Sprawiedliwością* i *Kalebem Williamsem*. Ideowo dzieła te stanowią całość. Są protestem przeciwko feudalizmowi, ciągle jeszcze — pomimo rewolucji burżuazyjnej — utrzymującemu się w systemie politycznym i społecznym Anglii. Demaskują feudalizm w instytucji monarchii, w przywilejach klas posiadających, w samowoli arystokracji i ziemiaństwa, dzierżących w swym ręku wymiar sprawiedliwości przy pomocy instytucji sędziów pokoju. Teoretycznie urząd sędziego pokoju wymagał nominacji, praktycznie każdy pan na włościach nominację taką dostawał. Analogia z feudalnymi seniorami była dla Godwina oczywista. Opłakany los ludzi pozostających w stosunkach zależności od tych seniorów głęboko go oburzał. Zgubny wpływ fałszywie pojętego rycerstwa z przestarzałym arsenałem szlacheckiego honoru, pojedynków i przesądów o błękitnej krwi usprawiedliwiał despotyzm ziemiaństwa i jeszcze bardziej zaostrzał konflikt między myślą Oświecenia a przestarzałymi formami życia.

Poprzednicy Godwina w literaturze angielskiej, którzy wystąpili z krytyką rzeczywistości, jak Fielding i Smollett, usiłowali tłumaczyć społeczne bolączki burżuazyjno-ziemiańskiej Anglii moralnym upadkiem jednostek. Godwin zajął pozycję o wiele bardziej skrajną. Dla niego zło kryje się w samym ustroju, który stwarza podłoże dla despotyzmu Tyrrelów i Falklandów.

Kim był autor *Sprawiedliwości* i *Kaleba*? William Godwin pochodził z pastorskiej rodziny dysydentów (protestantów nie należących do kościoła anglikańskiego). Urodził się w hrabstwie Cambridge w r. 1756. W domu i w szkole panowała purytańska atmosfera charakterystyczna dla angielskich dysydentów. Wcześniej poznał hamujące działanie tej atmosfery. Dzieciństwo miał smutne. Zamiast bawić się, czytał pobożne książeczki w rodzaju *Opowiadań o pobożnych zgonach wielu cnotliwych dzieci* Jakuba Janewayy. Trudno oprzeć się myśli, że późniejszy anarchizm Godwina był naturalnym buntem przeciwko temu smutnemu skrępowaniu dzieciństwa. Niektóre z jego wywodów w *Sprawiedliwości*, jak na przykład to, że wolni ludzie nie będą chcieli chodzić na koncerty, bo przecież są one organizowane i grane przez innych — a więc są ograniczeniem wolności —

robią wrażenie spontanicznego protestu, a nie przemyślanej analizy stosunków ludzkich.

Młodość pisarza przypadła na okres rewolucji przemysłowej, okres wielkich przemian społecznych w Anglii. Niesłychany rozwój przemysłu dał bodźca do dalszej ekspansji kolonialnej, a ta z kolei stworzyła nowe i obszerne rynki zbytu. Anglia stawała się państwem kapitalistycznym. Wzrastały wpływy burżuazji i bogatego ziemiaństwa, które po rewolucji burżuazyjnej zabrało się do handlu i przemysłu zachowując przywileje feudalne w armii i przy dworze. Natomiast położenie chłopów stale się pogarszało. Był coraz bardziej zależny od dziedzica, skupiającego w swych rękach coraz większe dobra. Często uciekał do miasta pomnażając szeregi miejskiego proletariatu. Pamiętamy, że Falkland nie tylko miał posiadłości w różnych częściach Anglii, ale i plantacje w koloniach. Nie tylko jeździł po Italii jako „rycerz bez strachu i zmazy”, ale nie zaniedbywał zysków z plantacji i wysyłał Collinsa, aby tam zrobił porządek. Godwin patrzył na wzrost potęgi klas posiadających naprzód oczami bezkrytycznego młodzieńca kształcącego się na pastora. Ale przecież nie zapomniał tego, co widział w młodości w hrabstwach rolniczych Hampshire i Hertfordshire, gdzie próbował zawodu pastora. Przecież główną akcję *Kaleba* umieścił właśnie w takim rolniczym hrabstwie. Tam właśnie widział z bliska bogatych ziemian, którym później dał nazwiska Falklanda, Tyrrela i Forestera. Tam obserwował ich w roli sędziów pokoju, sprawujących absolutną władzę administracyjną i sądową w okręgu. Tam też widział prototyp rodziny Kaleba, którego ojciec stracił resztki folwarku, a syn musiał iść na służbę do pana. Niesłodka musiała być to służba, skoro Hawkins wolał stracić wszystko niż puścić ukochanego syna na taką służbę.

Pełniąc urząd pastora Godwin jednocześnie z pasją studiuje filozofię. Pod wpływem francuskich filozofów Oświecenia staje się ateistą i porzuca stan duchowny. Francuska filozofia znajduje podatny grunt w dysydenckich tradycjach Godwina. Urabia go ona do walki o swobody obywatelskie. Przypomnijmy sobie, że w okresie rewolucji burżuazyjnej obóz purytański walczył przeciwko rojalistom o prawa polityczne dla

drobnej burżuazji i z natury rzeczy występował przeciw feudalnej monarchii i przywilejom ziemiaństwa. Jak wiadomo, walka ta zakończyła się kompromisem w postaci monarchii konstytucyjnej. Władza przeszła w ręce oligarchii. Kompromis ten pozostawił osad w kołach dysydentów wszelkiego wyznania, którzy kontynuowali tradycję walki z rządem. Z racji swego pochodzenia był więc Godwin predysponowany do podjęcia krytyki panującego systemu, a podstawy naukowe dla swej krytyki znalazł u racjonalistów francuskich: Rousseau, Voltaire'a, Diderota i innych.

W miarę kształtowania się racjonalistycznego światopoglądu Godwina wzrasta jego opór wewnętrzny wobec starego porządku. W roku 1783 Godwin przyjeżdża do stolicy, gdzie osiedla się na stałe. Zaczyna pisać artykuły polityczne i historyczne. Jego talent doskonałego polemika zostaje wkrótce odkryty przez wigów (partia reprezentująca liberalny odłam burżuazji), którzy proponują mu stanowisko pamflecisty. Godwin odmawia. Pociągają go raczej radykałowie. Zapoznaje się z poetą Williamem Blake'em, nawiązuje korespondencję ze znakomitym publicystą i chemikiem Józefem Priestleyem, zaprzyjaźnia się z Tomaszem Paine'em i pomaga mu wydać rewolucyjne *Prawa człowieka*. W tym okresie Godwin poważnie studiuje francuskich filozofów, zwłaszcza Holbacha i Helvetiusa i uczęszcza na słynne „obiady dyskusyjne” poświęcone rewolucji francuskiej.

Przez Priestleya i Paine'a Godwin nawiązuje bliski kontakt z organizacjami politycznymi, które mają na celu szerzenie ideałów demokratycznych i przeprowadzenie reformy parlamentarnej. Pierwsze zrzeszenia tego rodzaju, jak Towarzystwo Rewolucji i Towarzystwo Konstytucyjne, skupiały głównie postępową burżuazję. W roku 1892 powstaje Londyńskie Towarzystwo Korespondencyjne, w którym składka wynosiła tylko jednego pensa i które wkrótce przyciągnęło najbardziej postępowe umysły Londynu, w tym liczne szeregi robotników.

Kontakt z tymi organizacjami, blisko dziesięcioletnia już praktyka publicystyczna, rewolucja francuska i nadciągająca wojna z rewolucyjną Francją skłoniły Godwina do wystąpienia z własną koncepcją idealnego ustroju społecznego, który skutecznie zlikwidowałby wszelkie formy ucisku. Światopogląd swój rozwinął Godwin w broszurze filozoficzno-

politycznej: *Sprawiedliwość polityczna*, i w powieści dydaktycznej *Kaleb Williams*.

W *Sprawiedliwości* autor szkicuje obraz utopijnego społeczeństwa. Zdaniem jego, wszelki przymus jest szkodliwy i utwierdza tylko niesprawiedliwość społeczną. Należy zostawić człowiekowi faktyczną swobodę działania we wszystkich dziedzinach życia. Nierówność materialna daje bogatym władzę nad biednymi, toteż w społeczeństwie Godwina własność prywatna nie istnieje. Instytucje państwowe, aparat prawny, sądy, urzędy, a nawet małżeństwo i rodzina ograniczają swobodę jednostki, a więc powinny być zniesione. Utopijne społeczeństwo Godwina przypomina do złudzenia krainę mądrych koni z VI księgi *Podróży Guliwera* Swifta. Rozumne konie — Houyhnhnms — nie znają wcale słów na określenie „państwa”, „rozkazu”, „sądu” (choć porozumiewają się na swój sposób). Rządy w społeczeństwie końskim sprawuje się przy pomocy upomnienia i wskazówki. Koń — „racjonalista” nie potrzebuje nakazu lub przymusu. Wystarczy mu mądra rada. Tak właśnie, zdaniem Godwina, postępować mają mądrzy ludzie w idealnym społeczeństwie. Wystarczy przecież pokazać człowiekowi, co mądre, a co złe, a już sam pójdzie za głosem rozsądku działając z najwyższym pożytkiem dla siebie i społeczeństwa.

Nie trudno dzisiaj zrozumieć, dlaczego tego rodzaju koncepcja musiała pozostać w granicach utopijnych spekulacji. Zawiera ona wszystkie błędy i nielogiczności teorii anarchistycznych, które doszły do głosu w XIX wieku. Ale w okresie Godwina *Sprawiedliwość* została przyjęta entuzjastycznie, zwłaszcza przez młode pokolenie szukające nowych dróg. Zawierała ona postępowe idee epoki i długo jeszcze teorie propagowane przez Godwina i jego zwolenników były jednoznaczne z pojęciem nowoczesnej filozofii.

Jednakże Godwin pozostał żywą pozycją w literaturze światowej nie dzięki *Sprawiedliwości*, lecz dzięki *Kalebowi*, Trzy młodzieńcze powieści tego pisarza: *Damon i Delia*, *Włoskie listy* i *Imogena*, w ogóle nie dochowały się do naszych czasów. Późniejsze powieści: *St. Leon*, *Mandeville*, *Fleetwood*, wydane już po *Kalebie*, coraz dalej odbiegają od typu powieści realistycznej i zbliżają się do „romansów grozy”, tak że dla dzisiejszego

czytelnika są prawie nieczytelne.

Jeżeli chodzi o *Kaleba*, to powieść miała być uzasadnieniem filozofii rozwiniętej w *Sprawiedliwości*. Ale będąc realistycznym obrazem społeczeństwa, w którym Godwin żył, powieść zachowała aktualność rzeczy prawdziwych i uniezależniła się od utopijnej filozofii autora. Powieść jest wolna od pouczającego tonu propagandy, a działa jedynie przy pomocy wzruszenia. Fakt ten należy zaliczyć do wielkich osiągnięć Godwina, gdyż powieść została pomyślana jako utwór dydaktyczny.

We wstępie do pierwszego wydania Godwin pisze, że zamiarem jego jest pokazać różne odmiany „prywatnego despotyzmu”, o których milczy dotychczasowa literatura, a które wykażą, że duch i charakter rządów „przenikają szkodliwie do wszystkich warstw społecznych”.

Te „prywatne despotyzmy” są usankcjonowane przez system, w którym warstwy posiadające nagięły cały aparat państwowy do służenia ich interesom.

„Bogactwo i despotyzm dobrze wiedzą, jak oprzeć swój ucisk na prawie, które być może, przeznaczone było pierwotnie (nierozumny to i mizerny środek zapobiegawczy!) dla obrony biedoty” — wykrzykuje Kaleb w związku ze sprawą Hawkinsa.

Przystępując do pisania *Kaleba* szukał Godwin potwierdzenia w życiu dla dwóch wniosków, do których doszedł: 1) że feudalne ideały rycerstwa mają fatalny, demoralizujący wpływ na ludzi i 2) że w istniejącym porządku rzeczy człowiek niskiego pochodzenia jest absolutnie zdany na łaskę możnych.

Ponieważ z tych dwóch wniosków drugi jest bardziej dramatyczny, gdyż dotyczy ludzkiego cierpienia, a pierwszy wyjaśnia tylko przyczyny tego cierpienia, przeto Godwin zaczął pisać powieść niejako od końca. Opowiada o tym w przedmowie do jednej z późniejszych powieści. Najpierw naszkicował wstrząsające koleje losu biednego chłopca, który ściągnął na siebie gniew możnego pana. Potem zastanawiał się nad możliwymi przyczynami takiego gniewu; wreszcie umiejscowił początek akcji na prowincji w środowisku ziemiańskim, gdzie samowładztwo wielkich panów i ich feudalny tryb życia występują najjaskrawiej.

O ile więc dydaktyka kieruje pisarzem w wyborze tematu i w konstrukcji utworu, o tyle treść jest już po prostu obrazem życia. Godwin kilkakrotnie daje przypisy, że wydarzenia opisywane przez Kaleba w więzieniu znajdują potwierdzenie w rejestrach więzienia Newgate. Ale bez świadectwa dokumentów prawda stosunków między Tyrrelem i jego ubogą kuzynką, dzieckiem mezaliansu, albo między Tyrrelem i Hawkinsem, którego dziedzic niszczy za „niesłychaną czelność” posiadania własnej godności na szczeblu społecznym dzierżawcy — nie pozostawia wątpliwości. Wielcy twórcy angielskiej powieści realistycznej XVIII wieku: Fielding, Smollett czy Richardson, zostawili tak żywy obraz tych stosunków, że czytelnik z łatwością odnajduje w *Kalebie* prawdę o życiu biedaków. Natomiast rewelacyjne i nowe światło rzuca Godwin na konflikt Tyrrel-Falkland.

Oto dwaj panowie: jeden brutalny, niewykształcony, choć hojnie przez naturę obdarzony, drugi wyrafinowany, delikatny, cywilizowany, poeta i galant.

Zdawałoby się tak różni od siebie jak dzień i noc, a przecież tak podobni w bezwzględnym, szaleńczym okrucieństwie, gdy idzie o utwierdzenie własnej pozycji. Nie zawaha się Tyrrel przed bezmyślnym okrucieństwem wobec niewinnej Emilii, zamorduje ją „bez sztyletu”, aby choć pośrednio zemścić się na swym wrogu, zmiążdży Hawkinsa, aby pokazać, że dziedzic jest panem. Nie zawaha się też szlachetny Falkland przed prześladowaniem niewinnego Kaleba, aby utrzymać glorię nieskalanego imienia szlachcica. Oto dwaj krańcowi przedstawiciele feudalizmu: jeden wyrósł w przekonaniu, że majątek i urodzenie dają mu faktyczną władzę nad ludźmi i tej władzy broni ciężką pięścią, drugi uważa, że honor szlachecki jest czymś innym niż honor, a nawet życie człowieka z ludu. Między Tyrrelem i Falklandem stoi Forester — trzeci przedstawiciel warstwy rządzącej. Kaleb pisze o nim, że jest umiarkowany, mimo pewnej rubaszości nawet miły. Ale kiedy Forester w sumieniu swoim ma rozstrzygnąć, który z dwóch: Kaleb czy Falkland, mówi prawdę, Forester bez wahania staje po stronie Falklanda, a w dalszym biegu wypadków jest bardziej nieubłagany wobec Kaleba niż sam Falkland.



System społeczny opierający się na rządach możnych określa charakter moralności, która panuje w czasach Godwina. Moralność tę potępił Godwin w osobach dwu przedstawicieli warstwy rządzącej, natomiast co do trzeciej — Falklanda — autor nie jest zupełnie konsekwentny.

Oczywiście Falkland jest charakterem złożonym i jeśli chodzi o pokazanie tego charakteru w całym jego bogactwie — Godwin znakomicie osiąga cel. Rozumiemy, że wychowany w innych warunkach Falkland mógłby być cennym członkiem społeczeństwa. Litujemy się nad nim wraz z Godwinem, ale trudno nam pogodzić się z konkluzją Kaleba, który widząc złamanego Falklanda wyrzuca sobie, że go wreszcie zaprowadził przed oblicze sprawiedliwości. Czytelnik odczuwa dziwne zakłopotanie, że Kaleb przyśpieszył śmierć Falklanda, że jest w jakiś sposób winien jego najsroźszych, ostatnich cierpień, zmuszając go do publicznego wyznania swych zbrodni. A przecież przez cały ciąg powieści czekamy na to, aby Falklanda dosięgła kara. Słabość tego zakończenia nie jest oczywiście przypadkowa. Wynika ona z niejasności ideologii Godwina, który co prawda ostro widział choroby swego społeczeństwa, ale nie widział konkretnych dróg do ich leczenia. Utopijność *Sprawiedliwości* zaciążyła na zakończeniu powieści, a tym samym i na charakterystyce samego Kaleba.

Wybór skromnego chłopca wiejskiego na bohatera powieści jest wyrazem postępowych poglądów Godwina. Kaleb jest nie tylko prostym człowiekiem (był nim już bohater powieści Fieldinga, Józef Andrews), nie jest „szlachetnym dzikusem”, tak modnym w ówczesnych powieściach, wychowanym na łonie natury według recepty Jana Jakuba Rousseau. Kaleb jest człowiekiem myślącym, nieustannie kształcącym swój umysł, człowiekiem, który „chce być tym, do czego sam dojdzie, a nie tym, czym się urodził”. Moralnie stoi wyżej od swego prześladowcy. Nie jest potulną ofiarą, ale oskarżycielem, człowiekiem buntującym się przeciw niesprawiedliwości praw i instytucji społecznych. Ale mimo tych cech Kaleb nie jest realistą. Mamy uczucie, że w jakiś sposób zaraził się chorobą Falklanda. Jest chwilami wiejskim don Kichotem i to tłumaczy końcową partię powieści, lecz nie przekonuje nas o prawdzie charakterystyki Kaleba.

Te niedociągnięcia w charakterystyce Kaleba decydują o tym, że Kaleb traci cechy typowości. A przecież Godwin miał zamiar pokazać zjawisko typowe. Zaciążyła tu nad autorem rodząca się konwencja romantyczna, która miała osiągnąć swój szczytowy wyraz w początkach XIX wieku. Kaleb jest samotny nie tylko dlatego, że musi uciekać od ludzi, ale i dlatego, że w jego warunkach tylko jeden na milion zechciałby dobrowolnie przejść przez katusze, przez które on przeszedł, jedynie dlatego, że w chwili kiedy nie mógł przewidzieć, co go czeka, obiecał swemu prześladowcy zachowanie tajemnicy. Powstaje w nas niepokojące pytanie: co by się stało, gdyby Kaleb od razu bronił się przez wyjawienie tajemnicy Falklanda? Jakby się wtedy zachował Forester? Przez zbytne przeciąganie milczenia Kaleba stwarza Godwin niepotrzebne wrażenie sztucznego napięcia, a rezygnuje z pogłębienia psychiki Forestera i bardziej realistycznego obrazu spraw codziennych.

Słabości te jednak nie odebrały powieści jej siły przyciągającej. Podobnie jak autor *Robinsona Kruzo* Godwin ma szczególny dar opisywania rzeczy niezwykłych, czasem nawet fantastycznych w sposób rzeczowy i trzeźwy, tak że wierzymy w nie przy czytaniu, a krytyka przychodzi dopiero później. Żywa akcja nie zostawia nam czasu na wątpliwości, a drobne epizody są organicznie związane z głównym wątkiem.

Po wydaniu *Sprawiedliwości* i *Kaleba* Godwin staje się sławny. Zwiększa się krąg zwolenników, ale i oponentów. Z tymi ostatnimi nie przestaje polemizować. Rok 1797 jest punktem zwrotnym w karierze pisarskiej Godwina i jego życiu prywatnym. W roku tym żeni się ze znaną pisarką Mary Wollstonecraft, autorką śmiałej broszury: *Obrona praw kobiet*. Pod koniec tego roku Mary umiera w połogu zostawiając Godwina z malutką córeczką. W swoim krótkotrwałym małżeństwie Godwin usiłował realizować zasady propagowane w *Sprawiedliwości*. Pamiętamy, że uważał małżeństwo za jedną z form krępowania wolności człowieka. Co prawda ożenił się z Mary, aby dać nazwisko dziecku, ale zamieszkał osobno, niedaleko od „właściwego domu”. Oryginalne małżeństwo odwiedzało się, prowadziło dyskusje intelektualne, korespondencję.

Śmierć żony przeżył Godwin bardzo ciężko. Na domiar złego pomnożyły się też ataki na jego filozofię. Życie brało górę nad utopią. Godwin nie umiając sobie poradzić z wychowaniem córki ożenił się powtórnie, tym razem bardzo niefortunnie. Rodzina jego wzrastała. Popadł w kłopoty finansowe i żeby im podołać, założył przedsiębiorstwo wydawnicze. Z początku przynosiło jakiś dochód, ale wkrótce podupadło i tylko dzięki pomocy znajomych, zwłaszcza zięcia — Shelleya, rodzina Godwinów nie głodowała.

Po wydaniu *Sprawiedliwości* i *Kaleba* gwiazda Godwina zabłysła na kilka lat, lecz szybko zaczęła przygasać. Nie przestaje co prawda pisać. Powstało jeszcze kilka powieści: *St. Leon*, *Fleetwood* i *Mandeville*, kilka słabych dramatów, esejów krytycznych, ale przeszły bez echa. Resztę życia (umarł w r. 1836) przeżył jako „dawna wielkość”, ofiara karykatur i złośliwej krytyki konserwatystów.

Na ogół był jednak Godwin człowiekiem nieśmiałym i łagodnym. Jego skromna, zgarbiona postać stanowiła dziwny kontrast z płomienną śmiałością jego poglądów.

Zachował popularność wśród młodych pisarzy, a zwłaszcza poetów. Jego wpływ na wczesnych poetów romantycznych, jak Wordsworth, Coleridge i Southey, był nagły i krótkotrwały. Zapalili się najpierw do Godwinowskiej filozofii (mieli nawet założyć małą utopijną kolonię w Ameryce), ale dość szybko wyrzekli się nie tylko wiary w „czysty rozum”, lecz i w system społeczny Godwina. Za to inny wielbiciel, który czytał *Sprawiedliwość* jeszcze w szkole, jeden z największych liryków angielskich Percy Bysshe Shelley (późniejszy zięć), pomimo kłótni rodzinnych pozostał mu wierny ideowo. W poezji Shelleya znajdziemy godwinowską nienawiść do monarchii i despotyzmu i absolutną wiarę, że rozum odegra główną rolę w przyszłym społeczeństwie utopijnym. Do intelektualizmu mistrza dodał jednak Shelley nowy i bardzo ważny element: współczucie dla cierpień człowieka, ogień wielkiego poety, który zamienia abstrakcyjną wizję Godwina w płomienny manifest nawołujący do czynu.

Twórczość Godwina nie pozostała bez wpływu na prozę angielską. *Kaleb Williams*, entuzjastycznie przyjęty przez współczesnych, był zaraz po

opublikowaniu tłumaczony na język francuski w Paryżu i Lozannie. Powieść stała się prototypem dla powieści czysto awanturniczych, ale znalazła też i głębszy odzew. Lytton Bulwer napisał swego *Pawła Clifforda* wyraźnie pod wpływem *Kaleba*, dając prozie angielskiej drugą pozycję analizującą społeczne znaczenie zbrodni. Ale najważniejszy jest chyba związek *Kaleba Williamsa* z *Oliwerem Twistem* Dickensa.

Jest więc *Kaleb Williams* ogniwem pośrednim między wczesną powieścią realistyczną XVIII wieku (Fielding, Smollett, Goldsmith), w której co prawda odbija się rzeczywistość, ale widziana okiem pisarzy nie mających żadnej koncepcji społeczno-politycznej, a wielką powieścią dickensowską. W swoim czasie Godwin wniósł nową treść do powieści angielskiej. Rozszerzył jej realizm wprowadzając świadomość antagonizmu między warstwami rządzącymi i uciskanymi — a więc świadomość antagonizmu klasowego. A stosunki panujące w dżungli kapitalistycznego społeczeństwa bardzo celnie scharakteryzował w trójwierszu wybranym jako motto do powieści:

Pantera w dzikiej puszczy zna swój ród,  
Tygrys nie żywi się tygrysią krwią;  
I tylko człowiek człowiekowi wróg.

*Irena Dobrzycka*

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Tytuł oryginału angielskiego:  
»THE ADVENTURES OF CALEB WILLIAMS OR THINGS AS THEY ARE«

Przełożyła ALEKSANDRA FRYBES  
Posłowiem opatrzyła IRENA DOBRZYCKA



Redaktor: Cecylia Wojewoda  
Okładkę projektował Marek Rudnicki  
Redaktor techniczny: Paweł Zembrzuski  
Korektor: Janina Frentzel



*Państwowy Instytut Wydawniczy 1954 r.,  
Warszawa Wydanie pierwsze  
Nakład 10 000+176.  
Ark. wyd. 20,8.  
Ark. druku 29  
Papier mat. kl. VII 65 g, form. 82X104/32  
Oddano do składania 17. IV 1954 r.  
Podpisano do druku 27. VIII 1954 r.  
Druk ukończono 11. IX 1954 r.  
Krakowskie Zakłady Graficzne nr 8,  
Kraków,  
Kościuszki 3  
Nr zam. 137 — M-5-80061  
Cena zł 15.—*

**Więcej ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)**